

Zofia Kossak

Bez oręza

Tom 1-2

PAX
(jil4)

SPIS ROZDZIAŁÓW

TOM PIERWSZY

- Rozdział pierwszy — Gdy mija sto lat... 3
Rozdział drugi — Przy drodze 11
Rozdział trzeci — Król wbrew woli 18
Rozdział czwarty — Jako pielgrzymi i obcy wędrowcy... 28
Rozdział piąty — Hop! Hop! 40
Rozdział szósty — Dilemma 48
Rozdział siódmy — Sen – mara... 60
Rozdział ósmy — Kusiciel 84
Rozdział dziewiąty — Gdzie Bóg?! 95
Rozdział dziesiąty — Miłośnica 106
Rozdział jedenasty — Dzieci! Dzieci! Dzieci! 123
Rozdział dwunasty — Brat Pacyfik 143
Rozdział trzynasty — Próba 160
Rozdział czternasty — Vae vobis, si opus dei deseretis! 170

TOM DRUGI

- Rozdział pierwszy — Król 176
Rozdział drugi — Kochanek 185
Rozdział trzeci — Przywódca 201
Rozdział czwarty — Potępienie 207
Rozdział piąty — Pod Damietą 224
Rozdział szósty — Al-Azrak 233
Rozdział siódmy — Odzyskali 248
Rozdział ósmy — Przeciągnięta struna 258
Rozdział dziewiąty — On cię zna... 266
Rozdział dziesiąty — Tajemnica sfinksa 275
Rozdział jedenasty — Historia się powtarza 284
Rozdział dwunasty — Gniew ojca rzek 293
Rozdział trzynasty — Prawo życia 310
Rozdział czternasty — Straż Ziemi Świętej 319

Tom pierwszy

Rozdział pierwszy

Gdy mija sto lat...

Pomimo że dwieście lat już minęło od dreszczu tysiąclecia, gdy cały świat oczekiwał swej zagłady — ilekroć kończył się jeden wiek, a zaczynał drugi, ludzkość przeżywała echo tej dawnej obawy. **K o n i e c w i e k u** — to słowo niosło w sobie nieokreślony, dojmujący lęk. Doba wieczności zamykała drzwi za sobą. Nie doba! Wszakże śpiewano „Tysiąc lat przed oczyma Twymi jako dzień wczorajszy miną”. Tysiąc lat! Więc cóż jest wiek? Nie więcej niżli godzina żywota. Lecz i godzina ma swoje znaczenie. Godzina, która mija bezpowrotnie. Godzina upłyniona, która przybliży **m o m e n t O b r a c h u n k u ...**

Ostatnie lata każdego dogasającego wieku, pierwsze lata nadchodzącego pełne były nieokreślonych przeczuć i rozważań. Zaszłe podczas nich zdarzenia posiadały znaczenie wróżebne. Obserwowano je pilnie, wysnuwając z nich wnioski o urodzaju lub klęsce, doli lub niedoli lat nadejść mających. Przypominano opowiadania dziadów o podobnych zjawiskach i wpływie przez nie wywartym. I jak gdyby całe przyrodzenie dzieliło niepokój ludzi, mnożyły się znaki na ziemi i niebie, słońce gasło albo stawało w kształt krzyża; długo po zachodzie po niebie przewalały się czerwone chmury, rozdawał się miesiąc, a zdarzało się nawet, że zmarli wstawali z cmentarzy i zachodzili widomie do mieszkań.

Krytyczne lata rozdzielające wiek dwunasty od trzynastego, zamknięte między 1195 a 1205 rokiem, nie były wolne od podobnych strachów. Raczej przeciwnie: wszystko wskazywało, że czasy nadchodzące będą czasami klęski, pożogi i grozy.

Wprawdzie u progu nowego wieku zmarł Henryk VI, straszliwy Hohenstaufen, ciężący nad całą środkową Europą, wróg Italii i papieża, a nieletni jego dziedzic oddany był przez pobożną matkę Konstancję w opiekę papieża. Lecz cóż stąd, gdy już krążyły o tym nieletnim Fryderyku II

złe wróżby, wskazujące nań niechybnie jako na przyszłego, przez Objawienie świętego Jana przepowiedzianego, Antychrysta.

Niezależnie zaś od tego można było sądzić, że Antychryst już przemierzył świat i posiał swoje złe ziarno, taki niepokój trwał w sercach wszystkich ludzi. Bogatych i uczonych zarówno, jak prostaczków. Stary porządek feudalny trwający bez większych zmian od czasów upadku imperium, nagle zaczął pękać, załamywać się. Przestano wierzyć, że co było dobrym dla dziadów, musi być dobrym dla wnuków, która to wiara jest, jak wiadomo, węglem statecznym porządku. Mało kto był zadowolony ze swego losu. Ludzie oderwali się od ziemi, w którą poprzednio wrastali jak drzewa, i krążyli niespokojnie, pragnąc lepszego bytu, lepszych warunków, lepszej doskonalszej wiary. Tego szczególnie. Kościół rzymski, nigdy dotychczas przez nikogo nie sądzony, sprawujący władzę nad rządami dusz, stawiający swych księży, mnichów i biskupów powyżej wszystkich stanów, ujrzał się nagle w obliczu surowych sędziów, którzy zarzucali mu zdradę Chrystusa Pana. Sędziowie ci, dziwna rzecz, pochodzili przeważnie z gminu. Wielmoże, gdy się darli z duchowieństwem, to o prawa i dochody. Maluczkim szło o zasadę. Sekty głoszące nawrót do starochrześcijańskiej prostoty jęły się mnożyć jak grzyby po deszczu.

Z dziedziny czysto duchowej niepokój ten przenosił się w naukę, obyczaje. W nauce pożądanym nowym horyzontom, w obyczajach — nowym swobodom. Stary ład bronił się, jak mógł, przeciw tym zakusom. Obwarował przepisami udzielaną na uniwersytetach wiedzę i bezlitośnie tępił wszystko, co mogło być podciągnięte pod zepsucie, herezję albo czary. Ludzkość rwała się w górę nigdy przedtem ani potem nie znanym impetem, strzelała w niebo wieżycami katedr, domagała się wielkich czynów. Stary ustrój nie rozumiał tych porywów. Gniótł je i ścieśniał dopóty, aż zrezygnowawszy z pędu wzwyż ludzkość odnalazła radość życia w Odrodzeniu.

Ale to miało nastąpić znacznie później. Na razie był tylko niepokój. Nieuświadomiony, przecie dokuczliwy. Niepokój i lęk przed tym, co niósł zaczynający się wiek.

W bezsenne noce rozmyślał o tych sprawach papież Innocenty III. Rozmyślenia te były gorzkie i zżerały siły, wyczerpywały ciało do tyła, że Ojciec święty zaledwie czterdziestoletni czuł się nieraz starcem dobiegającym swych dni. Przygniatała go odpowiedzialność za losy Kościoła, za losy całego świata, którym kierować winien Kościół. Czuł się mały i niedorosły do swego zadania. Darmo przyjaciele, zarówno jak wrogowie, twierdzili, że dokonał rzeczy wielkich i pozornie niemożliwych. Przywrócił powagę i moc władzy papieskiej w Rzymie i Państwie Kościelnym. Był panem, gdy poprzednicy jego musieli raz po raz uciekać, kryć się po zamkach zaprzyjaźnionych wielmożów lub płacić rzymskiemu motłochowi za zezwolenie wjazdu do własnej stolicy! Wypędził zniechęconych Niemców, przywrócił wolność Italii. To uczynił. W

jego pojęciu jednak wszystko to było niczym. Pragnął dokonać nieskończenie więcej. Z niepohamowaną pasją politycznego geniuszu marzył o przetworzeniu wiecznie skłóconych państw Europy w Wielkie Stany Chrześcijańskie, żyjące w zgodzie, za arbitra i najwyższego ziemskiego rozjemcę uważające następcę Rybaka. Marzył o zniesieniu różnic stanowych i zapewnieniu dobrobytu wszystkim chrześcijanom. Dla osiągnięcia tego celu pożył żarłocznie, drapieżnie władzy. Władzy i siły. Świecka niezależność była jego zdaniem konieczną podstawą duchowej swobody Kościoła. Walczył o nią nieustannie. Wszakże gdyby ją już posiadał, nie byłaby upadła Jerozolima.

...Jerozolima!

To był cień najboleśniejszy, rana jęcząca się, niemożliwa do zagojenia, przyczyna bezsennych nocy, powód bezsilnych, tajemnie w sukno klęcznika wsiąkających łez... Jerozolima! Odzyskana i znów stracona! Jerozolima zaprzepaszczona! Jerozolima zdobyta!

...Przeklęty niech będzie wiek, który na to przystał. Przeklęty rok, który tę klęskę zobaczył i przeszedł mimo... Niech będzie zapomniany, zgładzony, zrównany w dziejach z dniem śmierci Abla, z dniem męczeństwa Niewiniątek, z rokiem straszliwego moru, co wyludnił Rzym... Ludzie, którzy do tej hańby dopuścili, niech nie zaznają wieczyście spokoju. Niechaj im będą przeciwne żywioły, niech ich obstąpią złe duchy... Ludzi, którzy dopuścili!

...Przekłęci wszyscy, co życia nie położyli, by Grób Święty na powrót odebrać! Przeklęty i odepchnięty Namiestnik, co ich do tego nie potrafił porwać! Biada im wszystkim w dzień Sądu!

...Jerozolima stracona!

Patrząc tępo w ciemność nocy Innocenty III przeżywał po raz setny mękę bólu i upokorzenia. Cierpiał za siebie i za poprzedników swoich. Za smętnego Grzegorza VIII, co w dwa miesiące po obiorze umarł z rozpaczki spowodowanej wiadomością o zwycięstwie Saladyna, a umierając powtarzał: Panie! Panie! Czemu to na mnie wypadło! Za cierpliwego Klemensa III, uparcie przygotowującego nową krucjatę i godzącego w tym celu króla angielskiego z królem francuskim, Pizę z Genuą. A nareszcie, najciężej — za siebie...

Od pierwszej chwili pontyfikatu odzyskanie Ziemi Świętej było jego przewodnią myślą, najważniejszym celem. Na uzbrojenie należyte wojska oddał cały skarb. Ogołocił Kościół z pieniędzy. Hamując wybuchową naturę działał ostrożnie, rozważnie. Na ławce przy jego łożu leżała dotąd sporych rozmiarów księga zawierająca dokładny memoriał o miastach, ludności, klimacie i innych właściwościach Ziemi Świętej, sporządzony na jego żądanie przez patriarchę jerozolimskiego (patriarchę in partibus infidelium) Aymara, zwanego Mnichem. Po

przedwczesnej śmierci Aymara nie dokończony memoriał uzupełnił następca jego Albert de Verceuil, a opatrzyli uwagami dotyczącymi sił, taktyki wojennej i charakteru Saracenów kardynałowie Soffredo i Pietro Capuano, długoletni legaci na Wschodzie. Wszystko było przewidziane, obmyślane. Już nie pochód na oślep w nieznane dale, jak niegdyś za Godfryda, lecz świadomie przygotowana wyprawa. Z Lateranu rozesłał wici wzywające wszystkich chrześcijan. I powtórzył się cud, ten sam co przed stu laty w Clermont. Odżył okrzyk: Bóg tak chce! Zaroily się drogi od konnych i pieszych. Stała się wspaniała armia. Czemuż nie stanął wówczas sam osobiście na jej czele?! Czemu z nią nie poszedł? Rwało się w nim do tego serce, ale nie mógł, nie mógł! Istotnie nie mógł. Wyjechawszy z Rzymu, nie wiadomo, czy mógłby do niego wrócić. Pobłogosławił więc tylko odjeżdżających i został...

A tymczasem po drodze Wenecjanie namówili krzyżowców, by zamiast na Jerozolimę, uderzyli na Bizancjum.

Chciwców zniechęcił powieściami o bogactwach greckich, uczciwych prostaków przekonali, że największą przeszkodą do odzyskania Ziemi Świętej byli zawsze Grecy, i że zdobywszy Bizancjum, odzyska się Palestynę samo przez się... I poszli.

Wdarli się na nie zdobyte dotąd mury Grodu Strzeżonego przez Boga, opanowali miasto, przepędzili basileusa, ogłosili cesarstwo łatyńskie. Obłożyli się łupem bogatszym niż wszystko, co świat dotąd widział.

Papież Innocenty, posłyszawszy o tym, mało nie oszalał z gniewu i rozpacz. Groził przywódcom klątwą, rozkazywał natychmiast rzucić Bizancjum i płynąć do Ziemi Świętej. Przypomniawszy sobie przysiężone śluby, zaklinał, błagał. Wszystko nadaremno. Ludzie już się byli dorwali złota...

Chytry starzec, doża Dandolo, gromadził i odsyłał do Wenecji skarby. Zdjął z cokołu spiżowe konie Aleksandra Macedońskiego, przez artystów z Chios rzeźbione, za Nerona przewiezione do Rzymu, za Teodozjusza Wielkiego zabrane z Rzymu do Bizancjum. Zgarnął bezmierne bogactwa i uczynił Republikę Świętego Marka panią mórz wszystkich.

Czego nie wziął Wenecjanin, szło do podziału między rycerstwo normandzkie, italskie, francuskie. Ubogie, proste wojaki ujrzeni się z dnia na dzień bogatszymi niż królowie.

Wobec takich przewrotów, wobec takich olśnień któż by myślał o Ziemi Świętej — ubogiej, niegościnniej, spiekłej? Do Bizancjum, do Bizancjum! Tam skarby leżą, tylko się chylić i brać. Tam cesarz Baldwin flandryjski rozdaje darmo ziemię, wzywa do siebie rycerzy. Grecy nienawidzą tych nowych władców, nienawidzą tak strasznie, jak tylko człowiek nienawidzić

może. Otoczone powszechną nienawiścią państwo nie ma jutra, jest tworem sztucznym, dorywczym, nienaturalnym. Szalony, kto by mu wróżył długi wiek. Ale ludzie śpieszą doń, nie dbając o nic. Tam jest złoto.

Śpieszą nie tylko krzyżowcy. Ostatni obrońcy Ziemi Świętej, tkwiący dotąd bohatersko na skrawku wolnego jeszcze wybrzeża, w kilku miastach nadmorskich stanowiących obecnie całe królestwo jerozolimskie, opuszczają je również, by udać się do Bizancjum. Już przedtem sporą ich ilość odciągnął Cypr, teraz cesarstwo łatyńskie. Zamiast przybywać, ubywa Grobowi Świętemu obrońców.

Więc nic dziwnego, że przedwcześnie posiwił Ojciec święty, że bezsenne i gorzkie są jego noce. Tyle trudów, tyle starań dla tak nikczemnego końca! I co teraz będzie, co będzie!?

Spokojnie, bez przeszkody ze strony niczyjej, wnuk Saladyna, al-Muzaam buduje warowną twierdzę na górze Tabor, na świętej górze Przemienienia... Rozrzucone mury starej bazyliki Heleny przydadzą się do budowli. O tyle mniej kamieni będą wciągać na stromą górę jeńcy chrześcijańscy. Pod razami batów wznoszą oni mozolnie warownię w tym samym miejscu, gdzie Apostołowie mówili: „Panie, dobrze nam tu być...”

— Och... — jęczy z bólu Ojciec święty. Kołacze czołem o poręcz kłęcznika.

I tak godzina za godziną wloką się w męce do świtu. Jeżeli zaśnie śmiertelnie znużony, tym gorzej. Sen porywa natychmiast duszę w odmęt widziadeł majaczących, wir bezładny, gdzie splątani zawodzą dziwaczny tan: doża Dandolo, Baldwin flandryjski, sułtan Malik al-Adil, Saraceni, krzyżowcy i kupcy... Krażą obojętnie wokoło Grobu Pańskiego, a papież patrzy bezsilnie.

Gdy dzień nadchodził, ta główna troska musiała ustąpić pomniejszszym. Życie jest życiem i niezależnie od tego, co się działo za morzem, każdy ranek przynosił swoje miejscowe kłopoty i sprawy, które należało rozsądzić. Innocenty III wstawał z kłęczek, przecierał zbolące oczy i zabierał się do pracy. Dzięki doskonale urządzonej poczcie wiedział wcale dokładnie, co się działo w świecie. Biskup Paryża donosił o ostatnich poczynaniach króla Filipa Augusta. Sprytny to pomazaniec. Zabieglivy, nie tracący żadnej sposobności, by powiększyć obszar królestwa i podnieść swą władzę. Poza tym, zgodnie z tradycją królów francuskich, oddalił ślubną, cnotliwą, lecz niezbyt urodziwą żonę i żyje z piękną grzesznicą, w tym wypadku Agnieszką z Meranu, rodzoną siostrą świątobliwej księżny śląskiej, Brodaczowej. Tradycyjnie jest też za to postępowanie obłożony kłatwą. Biskup Paryża wyrażał jednak przekonanie, że król, który dotąd

nie przejmował się anatema, zechce teraz pojednać się z Kościołem ze względu na rozdzielanie dóbr po albigenkach i kto wie, może do ślubnej Ingelburgi wróci...

Ojciec święty skrzywił się niechętnie na wzmiankę o albigenkach. Ta krucjata nie szła również po jego myśli. Choć był zwolennikiem bezwzględnego postępowania z heretykami, jako gruntownie uczciwy i sprawiedliwy człowiek nie pochwałał sposobów samowładnego kierownika krucjaty przeciw albigenkom, Szymona de Montfort, znanego okrutnika, chciwca i pieniacza.

Gdybyż jeszcze ta srogość odnosiła pożądany skutek, gdyby wypłeniła herezję! Ale gdzie tam! Sekciarzy wciąż przybywało. Prócz albigenów, czyli, jak się sami zwali, katarów, „czystych”, zanieczyszczali świat chrześcijański begwardzi i pataryni; waldensi; Biedacy Lionscy, żądający od duchowieństwa doskonałego ubóstwa; Bracia Apostolscy, jedyni w swym przekonaniu prawdziwi wyznawcy Chrystusa; popelikanie, odrzucający sakramenta święte; ajmeryci, przeczący istnieniu nagrody i kary, nieba i piekła, obrzydliwi sekciarze, którym przewodził Carnonensis, dowodzący, że rozdział płci jest wynikiem grzechu pierworodnego; humiliaci, należący jeszcze wprawdzie do Kościoła, ale już podejrzani, posepni i pyszni, ostro powstający przeciw duchowieństwu. Ostatnio pojawił się podobno w Asyżu półgłówek szerzący zasadę życia według Ewangelii... Niebezpieczne hasło w ustach nieodpowiedzialnego prostaka! Codziennie słyszy się o nowych sektach. I cóż będzie w końcu z jednością Kościoła?!

Innocenty III, surowy dla samego siebie, a przy tym bystry, nie od dziś spostrzegł, że wina tych odszczepień tkwiła często w Kościele samym. Zarzuty stawiane księżom i mnichom przez sekciarzy były przeważnie aż nadto usprawiedliwione. Walczył z tym, wiele mógł, domagał się zapalczywie zupełnej reformy obyczajów, groził karami, ale skutku znacniejszego nie uzyskał.

Z westchnieniem sięgnął po dalsze listy. Przebiegł oczami pismo arcybiskupa gnieźnieńskiego, Kietlicza, zawierające niezrozumiałe jakieś skargi. Ach, ta Polska! Nielatwo rozpoznać, który spośród zwalczających się zawzięcie książąt o trudnych do wymówienia imionach ma słuszność: Leszek Biały, Władysław Laskonogi, Mieszko raciborski, Odonic, Konrad czy Henryk Brodaty?

Każdy z tych książąt miał sprzyjającego mu biskupa, który w odpowiednim świetle przedstawiał Stolicy Apostolskiej postulaty swego pana. Oblicze kwestii polskiej zmieniało się więc zasadniczo zależnie od tego, czy pisał o niej zawzięty, nieugięty Kietlicz gnieźnieński, łagodny, uczony Kadłubek krakowski, Wawrzyniec wrocławski lub Arnold poznański. Pod wpływem sprzecznych ich starań Innocenty wydał niedawno bullę wznawiającą zasadę senioratu (a uczynił to wzruszony przypomnieniem udziału Władysława Wygnańca w drugiej krucjacie). Dzięki tej bulli Mieszko raciborski, najstarszy z żyjących Piastów, objął tron krakowski. Wnet

jednak Kietlicz przedstawił papieżowi, że Mieszko jest starcem stojącym nad grobem i wysuniecie go było intrygą Laskonogiego, najstarszego po nim wiekiem, który w ten sposób dla siebie, ale bynajmniej nie dla Kościoła, pracował. Szkodliwy człowiek ów Laskonogi. Rozporządzenia Kościoła ma za nic, biskupów poniewiera, przypisuje sobie prawo nadawania beneficjów i ściągania danin z majątków kościelnych! Jedynym naprawdę godnym poparcia księciem jest Leszek Biały, powolny, łagodny, dający sobą kierować. Od niego można by oczekiwać poszanowania immunitetu, zniesienia ius spoliī oraz uwolnienia duchownych spod sądów książęcych.

...Ale bullę raz wydaną trudno cofnąć.

Gorący i gwałtowny papież nie lubił widoku własnych omyłek, toteż teraz skrzywił się na wzmiankę o Polsce prawie równie niechętnie jak na wspomnienie albigensów.

Odkładając na później rozpatrzenie żalów Kietliczowych zajął się relacją z Anglii. Tam nic nowego nie zaszło. Król Jan bez Ziemi rządzi nadal nieudolnie i przewrotnie. Odkąd własnoręcznie zadusił młodziutkiego bratanka, Artura z Bretanii, ludność znienawidziła go do reszty. Gdy król Jan jedzie przez miasto, poddani unikają spojrzenia mu w twarz. Patrzą tylko uparcie na ręce, na palce, które dusiły.

Ojciec święty odkłada list, bierze nowy. Co takiego?! Miasta włoskie — Piza z Genuą, Florencja z Mediolanem, Perugia z Asyżem — są znów w stanie wojny?! Walczą zażarcie, zaciekłe. Walczą, jak gdyby nic ważniejszego nad ich spory nie istniało na świecie.

Wzdycha papież Innocenty i, niechając na razie poczty, przechodzi do kaplicy na modły. Ale modlitwa nie daje mu ukojenia. Serce przepełnia gorzki żal, niechęć i wżgarda dla ludzi. Marne robactwo! Złoto, władza, żądza, oto ich jedyne bogi; ot, czego im potrzeba!

Tak się przedstawia początek nowego wieku w świecie chrześcijańskim, takim go widzi namiestnik Chrystusa. A jakże ten sam czas, który jest sześćsetnym rokiem Hidzry, wygląda w krajach islamu, w krajach Mahometa?

Wielki, mądry sułtan Saladyn nie żyje. Pozostawił siedemnaścioro dzieci i drugie tyle bratańców, siostrzeńców, krewniaków, którzy szarpią pomiędzy siebie olbrzymią spuściznę zjednoczyciela islamu. Z jednego zwartego państwa tworzy się dziesięć państweczek trwających w ustawicznej wojnie. Na czoło spadkobierców wybija się nieoczekiwanie najmłodszy brat zmarłego, Malik al-Adil, giętki, przebiegły, opanowany. Zagarnia dla siebie sułtanat Damaszku,

rozciga opiekę nad Egiptem. Umiejętnie wyzyskuje spory skłóconych bratanków, narzuca się im rozjemcą, godzi jednych, różni drugich, zależnie od tego, jak mu w danej chwili korzystniej.

W stosunku do chrześcijan Malik al-Adil nie czuje tej nienawiści co bratankowie i synowie, al-Afdal, al-Muzaam lub al-Kamil. Choć niepodobny do wielkiego Saladyna, przejął coś niecoś z jego szerokości wejrzenia. Przed kilkunastu laty zresztą rozważał bez wstępu zrodzoną w szalonej głowie Ryszarda Lwie Serce myśl poślubienia Joanny, królowy angielskiej i wspólnego rządzenia z nią Jerozolimą.

Zamysł się rozchwiał (wskutek oporu Joanny), a Malik al-Adil mimo swej przebiegłości i doświadczenia do dziś nie rozumie Franków. Podobnie jak niegdyś dla Saladyna, stanowią dlań dręczącą zagadkę. Zaprawdę, łatwiej pojąć naturę wichru na pustyni niżli naturę chrześcijan! Są nieobliczalni. Bez widomej przyczyny przerzucają się od niedołęstwa do bohaterstwa, od nikczemności do wzniosłości, od okrucieństwa do rzeczywistej dobroci. Nigdy nie wiadomo, czego się można po nich spodziewać.

Toteż pomimo że państwo jerozolimskie już nie istnieje (tych kilka grodów nadmorskich nie wchodzi w rachubę), stary Malik al-Adil nie może oprzeć się myśli, że zapasy półksiężyca z krzyżem nie są jeszcze zakończone, ostatnie słowo dotychczas nie padło i nie wiadomo, jakim Allach wypowie je głosem...

Starzec z Gór, władca Izmaelitów, następca straszliwego Sinana, pan niedostępnych gniazd skalnych Alamut, Kalat al-Kaf, Kadmus i Oleika, górujących nad wybrzeżem syryjskim, przechadza się gniewnie po skalnym krużganku. Spogląda z góry w dolinę jak sęp. Na blankach i wykuszach zamku, pochyleni nad zdającą się nie mieć dna przepaścią, stoją nieruchomo niby posągi biało odziani słudzy, jego wierni „fidais”, zaprzędane dusze, gotowi na wszelkie skinienie. Wskaże ręką w dół — rzucają się w przepaść bez wahania. Każe iść do Damaszku i zabić sultana — wykonają to natychmiast. Zawróci ich z drogi, by biegli do Rzymu zamordować tam Ojca świętego — uczynią to również. Nic nie ochroni przed ich przebiegłym, okrutnym sztyletem. Dlatego Starca z Gór lęka się cały świat. Dlatego ludzie pragnący pozbyć się wrogów albo niedogodnych świadków płacą mu olbrzymie sumy. Starzec z Gór nie gardzi żadnym zamówieniem. Dla jego wyznawców nie istnieje odległość ani niemożliwość. Są chytrzejsi niż węże i nie lękają się śmierci. Pewni osiągnięcia rajy, którego przedsmak czerpią z konopianego odwaru zwanego haszyszem, wyglądają niecierpliwie zgonu. Nic nie zmaci ich wiary.

Dzięki nim Starzec z Gór jest potężny i groźny. W swych twierdzach skalnych posiada skarby większe od sułtańskich. Nie ma na świecie człowieka, co by się z nim chciał poróżnić.

Jednakże jest chmurny. Nie kazałby już dziś, jak niegdyś dla zadziwienia Henryka z Szampanii, skakać w przepaść najlepszym swym ludziom. Ma ich mało. Coraz mniej. Wykruszają się te doskonale narzędzia, a trudno zwerbować nowych ochotników.

Zresztą przyjmowanie do sekty dorosłych adeptów chyba celu. Przenigdy nie udaje się wypłenić w nich należycie instynktu samozachowawczego, wrodzonej obawy śmierci. Kończą obłąkaniem, stają się do niczego. To trzeba wyrabiać od małego dziecka.

Ale skąd wziąć dzieci tam, gdzie dostęp wzbroniony kobietom? Starzec z Gór, posępny władca sekty assassinów-morderców, wspomina z zazdrością nieustraszone saraceńskie pułki mameluków, rekrutujących się wyłącznie z dzieci jeńców chrześcijańskich, chowanych od małego na sułtańskim chlebie...

Genueńscy, przerażeni nagłym rozkwitem Wenecji, pragną dorównać jej za wszelką cenę. Wenecja posiadała Bizancjum, Genua nawiązuje ściśle stosunki przyjaźni handlowej z Egiptem i muzułmańską Syrią. Podeści genueńscy gotowi są przyjąć cichaczem nawet islam, byle Malik al-Kamil, bratanek Saladyna rządzący Egiptem, zezwolił im na założenie własnej stacji handlowej w Aleksandrii...

Wielki złocisty relikwiarz z Drzewem Krzyża świętego stoi w kącie szatni, a raczej graciarni sułtańskiej. Poza Innocentym III mało kto o nim pamięta. Ludzie mają swoje troski.

Zaczyna się nowy wiek.

Rozdział drugi

Przy drodze

Gospoda Baptisty Viano stanowiła zwykle ostatni postój podróżnych udających się do Rzymu. W pogodne dni ze wzgórza widać było w oddali Wieczne Miasto, skąd dolatywał dźwięk dzwonów. Gospoda miała nazwanie: „Pod Dobrą Opieką”. Nie opodal niej wznosiła się

stara, szerniała od wieku kapliczka z kamienną figurą Matki Bożej. Od tej kapliczki poszło opiekuńcze miano gospody, zdarzył się w niej bowiem niegdyś wielki cud. Złoczyńca wiedziony na szubienicę zatrzymał się przed figurą Orędowniczki, by zmówić ostatni pacierz. I oto na oczach wszystkich wyciągnęło się ku niemu kamienne ramię, dobrotliwa dłoń objęła palce skazańca i przytrzymała, dopóki więźnia nie ulaskawiono.

Od tego czasu wszyscy skazańcy prosili, aby ich wiedziono tą drogą, czego sędziowie przeważnie uwzględnić nie chcieli.

Gospoda była obszerna, niska, murowana. Po zaśmieconym dziedzińcu wałęsały się kury rozgrzebując koński nawóz. Dwa chude muły stały uwiązane u płotu. Gospodyni Sabina, zażywna, kłębiasta, wyszła przed dom, oparła ręce na biodrach, rozejrzała się.

— Tina! Beppo! — krzyknęła donośnie.

Lecz nikt nie odpowiedział, tylko kury biegły ku niej spieszenie, sądząc, że rzuci im ziarna.

Sabina rozegnała je gniewnym machnięciem i wołała dalej:

— Tina! Beppo!

Wyszła z dziedzińca na drogę pustą i pylną. Doszła do kapliczki Dobrej Matki. Spojrzała w pokryte mchem kamienne lico, jak gdyby chcąc się uzalić, i powtarzając swoje „Tina! Beppo!” zawróciła ku domowi. Obfity jej podbródek opadł na piersi frasobliwie.

W izbie prawie mroczonej, pełnej zapachu cebuli i ziół, gospodarz drzemał pod wiankami czosnku. W kącie dwaj właściciele stojących na dziedzińcu chudych mułów pogadywali nad szklanicami kwaśnego cienkusza. Poznali się przed godziną czy dwiema, lecz byli już przyjaciółmi. W wędrowce człowiek zaznajamia się szybko.

Starszy z nich zwał się Mateusz Pesaro i był uczonym człowiekiem. Znał przednio łacinę, liznął nawet nieco greki. Mógłby siedzieć spokojnie w jakimkolwiek klasztorze i przepisywać księgi otoczony powszechnym szacunkiem, lecz niespokojne usposobienie wodziło go wciąż po świecie. Zanadto był dociekliwy, by usiedzieć spokojnie w ramach zakreślonych jego myślom przez przeora.

Młody, zwany Pietro Cani, nie posiadał żadnego wykształcenia, jeno znakomitą pamięć i niepoślednią dozę sprytu. Wędrował po świecie z czystego upodobania, nie zatrzymując się nigdy dłużej na miejscu — zależnie od okoliczności podając się za bakałarza, cyrulika lub goliarda. Mało co umiał, ale o każdej rzeczy posiadał wyrobione zdanie. Teraz też on głównie podtrzymywał rozmowę. Uczony Mateusz ograniczał się do cierpliwego słuchania i uprzejmego fundowania wina.

Otarłszy zamasyście wierzchem dłoni usta Pietro dowodził wyższości życia poza murami klasztorными.

— Było dwóch braci — mówił. — Jeden chował się w klasztorze, zaś drugi w świecie. Po latach ten pierwszy znał wszystkie złe sprawki, gdy drugi niewinnym został...

— Ejże, i poza klasztorem nie raj — zauważył Mateusz, który z natury lubił być bezstronny.

— Zapewne, messer Matteo, zapewne! Wszakże wszystko lepiej niżli gnić na miejscu... Człowiek nie roślina, żeby w miejscu tkwił. Gdyby Blondel był domatorem, król Ryszard umarłby nędznie w więzieniu, ojczyzny nie oglądając... Nie co innego go uratowało, tylko wędrowki trubadura-przyjaciela... A wiecie, panie, że znam tę piosenkę, po której się wzajem poznali? Sami ją pono wspólnie ułożyli. Taka była:

...Nikt, piękna pani, nie może ujrzyć twych wdzięków bezkarnie, każdego porazi miłość... Lecz ja się nie dam usidlić urodzie, która jest dostępna wielu. Wolej spojrz na mnie okiem nienawistnym, byłem w twej nienawiści był sam...

— Dumna piosenka — przyznał obojętnie mało wrażliwy na rymy Pesaro.

Drzwi skrzypnęły. Ciężko, jak gdyby dźwigając brzemień, weszła gospodyni. Nie spojrzawszy na pijących trąciła śpiącego męża w ramię.

— Dzieci znów gdzieś poleciały!

— Może na oliwki poszły! — zamamrotał trąc oczy.

— Gdzie tam! Koszyki wiszą na miejscu — odparła.

Splotła ręce i utkwiała oczy w polepę z wyrazem takiego bólu, że Baptysta aż zachnął się zniecierpliwiony.

— Nie patrz jak krowa, bo nic im się nie stanie. Nie maleństwa przecież. Pobiegły i wróć.

Nic nie odparła. Pietro zaciekał się rozmową.

— Sąż tu blisko zbóje — zapytał — czy drapieżne bestie, że tak się o dzieci strachacie?

— Nie ma nic — mruknął gospodarz. — Niewiasta, jak to matka, krzyk robi o byle co.

— Nie o byle co — odparła z gniewem. — Łazi tu od kilku niedziel jakiś obcy, dzieci do siebie przyłudza... Ciągną ku niemu jak muchy do miodu. Na polanie w lesie je zbiera i tam z nimi dziwy odprawia... Zakazywać, bić — nie pomaga, zewsząd do niego lecą.

— Cóż z nimi robi takiego?

— Nic szczególnego ani grzesznego — zapewnił Baptysta. — O Grobie Świętym opowiada, o Jerozolimie straconej... Pieśni pobożne z nimi śpiewa... Ja w tym nic złego nie widzę...

— Et, milczałbyś lepiej! — fuknęła żona. — Nic złego? A czemu się z nimi w kościele nie zbiera!? Czemu tam pięknie nie zaśpiewa? Czyby mu kto zganił? Czyby kto bronił? Po co w lesie, kryjomo jak pogany? Po co powiada dzieciom, żeby księdza nie słuchały, na ojców nie miały baczenia? Bo tak im powiada... Wiem! Każdy mężczyzna to tylko zauważy, co mu samo pod nos podlezie, a ja przecie dobrze widzę, że dzieciaki są już jak odmienione, jak urzeczone! Ciche takie... dobre jakieś. Skrzyczeć, uderzyć, nic nie powiadają... Oj, żebym ja dopadła gdzie tego chwata, odechciałoby mu się tu zachodzić. Ale nie podejdzie on, nie...

— Cóż to za jeden?

Wzruszyła ramionami.

— Nikt go z nas starszych nie widział, tyle wiemy, co od dzieci... Pewnikiem jakiś obieżyświat, szczurołap, jak ów, co wywiódł dzieci z grodu Hameln. Tam też pono ojcowie mówili: „Wielkie rzeczy, że dzieciom gra na piszczałce; niech sobie gra!” A on zabrał niebożątka gdzieś na zatracenie...

Wyszła trzaskając drzwiami za sobą. Słysząc było jeszcze, jak wydzierała się na dworze:

— Tina! Beppo!

Gospodarz westchnął i stuknął się znacząco palcem w głowę.

— Musi to być jakiś mnich, co chce przeorem dzieckim zostać albo nowicjuszów do klasztoru zapędzić — roześmiał się Pietro. — Oj, te mnichy! Strasznie mi niełubi. Słyszeliście, messer Matteo, tę gadkę: Miał diabeł siedem córek. Wszystkie wydał za mąż. Symonię za księży, Hipokryzję za mnichów, Rapinę za żołnierzy, Luksurię przeznaczył na gamratkę.

— A za kogo wydał resztę, bo jeszcze trzy zostały?

— Uleciało mi z pamięci — wyznał Pietro nie stropiony. — Ot, dziwujcie się: o mnichach mowa, a one właśnie się wloką...

Jakoż gościńcem zbliżała się gromada, ze dwunastu ludzi, jednako buro odzianych.

— Nie zakonniki — odparł gospodarz spojrzawszy. — Chude, a każdy mnich ma spaśny kałdun. A obdarte! Jakieś żebraki...

— Gospodyni już z nimi gada, to się zaraz dowiemy.

Jakoż przybyli zatrzymali się naprzeciw wrót. Stojąca u wejścia Sabina podparła się pod boki.

— Nie ma miejsca w gospodzie! — zawołała stanowczo.

— My miejsca nie potrzebujemy! — odkrzyknęli pogodnym chórem. — Gdzieżby nam do takiej szumnej gospody!

— Ale i szopa zajęta!

— Gdzieżby nam i do takiej szopy!

— To gdzież chcecie nocować?

— Na ziemi pod gwiazdami, jeśli zezwolicie.

— Ziemi nie ubędzie — mruknęła ułagodzona. — Ale nocą teraz zimno.

— Nas chód nie kasa, my go zwyczajni...

— Żebraki, żebraki... Nawet torby żaden nie ma, nawet zawiniątka — stwierdzał wzgardliwie stojący w oknie Baptysta. — A z daleka idą: widać po mowie, że nietutejsi, i zapyleni jacy...

— Może to jakie sekciarze? — przypuszczał Mateusz.

— A może... Hej, matka! Zapytaj ich, co za jedni!

— Coście za jedni? — powtórzyła.

Rozejrzeli się jakby stropieni i wypchnęli ze środka swojego widno przywódcę. Nie miał jeszcze chyba trzydziestu lat, drobny, szczupły, mała głowa na smukłej pańskiej szyi wyrastała z luźnego kołnierza szpetnej i szorstkiej odzieży. Oczy miał miłe, radosne.

— Niech Bóg was darzy pokojem! — rzekł. — Chrześcijany jesteśmy, choć liche. Pana naszego niegodne.

— Nie heretyki? Bo się tu lada jakie ludzie włączą.

— O nie, my wierne syny Kościoła, matki naszej.

— A jak was zowią?

Zapytany potarł policzek z zakłopotanym uśmiechem.

— Kiedyż właśnie wędrujemy do Rzymu do Ojca świętego prosić, żeby naszą regułkę zatwierdził i miano nam dał... Tymczasem możecie nas wołać, jak chcecie. Najlepiej: Bracia Mali, Bracia Mniejsi...

— To Ojciec święty przypisze was do jakiego klasztoru?

— O nie, my nie klasztorni, my wolni.

— Więc co? Nie zakonniki?

— Ot, takie kuglarze Boże, śpiewaki...

Potrząsnęła niedowierzająco głową. Rozmowa była właściwie wyczerpana, ale Sabina nie odchodziła.

— Czym powiecerzacie? — badała. Byстрыm okiem sprawdziła już, że nie mają żadnych zapasów przy sobie. (Panie święty, żeby mi się do kur nie dobrali! — przeleciało jej przez głowę.)

— Jeżeli dacie nam jaką robotę, a za jej wykonanie obdarzycie jadłem, to powiecerzamy...

— Robotę? My sprzedajemy jadło za pieniądze. Tanio wam policzę.

— Ale my pieniędzy nie mamy — odparł przywódca gromady i roześmiał się tak wesoło, jakby go posadzono, że trzyma w kieszeni miesiąc. Śmiech jego był zaraźliwy. Wszyscy mu zawtórowali.

Sabina zgorzozona skrzyżowała ręce na brzuchu.

— Tylu was jest i ani grosza nie macie?

— Nie mamy — zapewnił śmiejąc się znowu. — Jedzenie wdzięcznie przyjmujemy, jeśli pozwolicie odrobić. Może drew narąbać, dziedziniec uprzatnąć, kuchnię wyszorować?

— Jest u nas pacholek do tych posług — odparła wydymając wzgardliwie wargi. — Nie potrzebujemy czekać, aż się kto ze świata przypląta.

— Może przecie coś dla nas znajdziecie?

— Już powiedziałam, że nie.

— To się obejdziemy bez wieczerzy. Też dobrze. Niezdrowo jeść na noc.

— Zaśniecie na głodno?

— Oho, zaśniemy na oba uszy.

Jeszcze stała, nie odchodziła, kręciła głową.

— Jakby człowiek chciał wszystkich łąęgów darmo żywić — rzekła niby sama do siebie — to by sam rychło z torbami poszedł...

— Cóż za krzywda? Zbyłby troski i w pieczy Pana naszego z kolei z ludzkiej dobroci korzystał...

Aż zatrzęsała się ze zgrozy.

— Gorzki to chleb proszony — stwierdziła. Z przyjemnością odczuwała własną osiadłą zamożność.

— Nam się wydaje słodki. Okrutnie nam dobrze.

— Chyba próżniakom smakuje takie żebractwo — wycedziła pogardliwie.

Otworzył szeroko oczy.

— Gdzie my próżniaki? Za każdy kęs ucziwie odrobim. Nic nie przyjmujemy za darmo. Jeno i nic zbytecznego też nie przyjmiam. Ubóstwo to święta rzecz, to nasza pani...

Zwrócił się ku swoim. Usiedli na ziemi zbici w ciasną gromadkę. Słońce już zaszło i zaraz dołem zaczynał pociągać chłód.

Gospodyni weszła do kuchni.

— Noc idzie, a dzieci wciąż nie ma!

Ręce jej drżały z niepokoju, ale przysła tu na razie po co innego. Schyliła się ku dolnym półkom i zgarnęła z nich czerstwe podpłomyki, zostały z ubiegłych tygodni. Pod pachę małą bańkę oliwy i dzban zieleniaka. Poszła z tym żywo ku wędrowcom. Usiłowali rozpalić ogień z uzbieranego przy drodze chrustu. Twarze ich, gdy dmuchali na płomień, zdawały się mizerne, choć młode.

...Chudziaki — pomyślała, a głośno: — Ano, macie tu wieczerzę...

Wykrzyknęli chórem tak radośnie wdzięcznym, że aż się zakłopotąła.

— Niech Pan nasz wynagrodzi wam, miła pani sestro...

— E... zaraz tam siostra...

— Jak to? Nie mamyż wspólnego Ojca?

Tęgo musieli być głodni, bo suche jak gnaty podpłomyki tylko im w zębach trzeszczały. Ten starszy postąpił ku niej.

— Niech Pan nasz obdarzy was pokojem i wszystkim swym dobrem. Robotę sami jutro znajdziemy. Nie odejdziem bez odrobku...

— Dziedziniac zdałoby się uprzętnąć — przyznała.

— Zamieciemy go jak izbę. A co za troska dręczy was, pani sestro, bo w twarzy macie zgryzotę?

Patrzył na nią współczująco tak dobrymi, jasnymi oczami, że opowiedziała mu swoje zmartwienie. Dzieci uciekają z domu. Ot teraz: noc już, a ich jeszcze nie ma...

Słuchał zafrasowany.

— Niedobry to jakiś człowiek, co dzieci do nieposłuszeństwa namawia. Powiedział Pan nasz, by wszystko rzucić, i ojca, i matkę, a za Nim iść, ale ludziom dojrzałym to prawil, nie dzieciom... Jako dziecko był swoim rodzicom poddany... Nie trapie się przecie, pani sestro. Gdy tylko

rozednieje, pójdziemy szukać waszych dzieci. Może napotkamy i tego człowieka, co je wzywa, poprosimy go, by tego więcej nie czynił...

— Po co prosić? — wybuchnęła. — Ubić jak padalca!

Roześmiał się znowu głośno, serdecznie.

— Pan nasz nie pozwolił zabijać. A dobre słowo więcej znaczy niżli...

Nie dokończył, bo w tejże chwili na drodze rozległ się tętent. Błysnęły liczne pochodnie. Nadszedli jacyś spóźnieni a możni podróżni.

Sabina skoczyła do domu. Za chwilę dziedziniec zaroił się ludem konnym i pieszym. Nawoływano groźnie gospodarza, który unizony i poskoczny obiecywał przednie wino i sutą wieczerzę, zgięty wpół, zapraszał wielmożnych rycerzy do środka.

— Kto to? Kto to? — pytał ciekawie Pietro jednego z hajduków.

— Nie dla ciebie towarzysz — odparł tamten hardo. — To sam rycerz Jan de Brienne, z grabiów Szampanii, jedzie do Rzymu. Królem jerozolimskim ma zostać...

— Fiu, fiu! — gwizdnął z uznaniem cyrulik-bakałarz uskakując przezornie w cień przed pięścią oburzonego pacholka.

Rozdział trzeci

Król wbrew woli

Rycerz Jan de Brienne miał szpakowatą głowę i kopę lat życia za sobą. Te dwa dowody starości, metryka i siwizna, nie licowały z jego ogólnym wyglądem i usposobieniem, był bowiem nadal pięknym mężczyzną i kobiety chętniej spoglądały nań niż na wielu młodych. Żywotność jego zdawała się niewyczerpana, zasób sił nietknięty. Może dlatego, że zaoszczędził je w młodzieńczych latach. Jako młodszy syn jednego z najpotężniejszych rodów francuskich przeznaczony był od dziecka do stanu duchownego. Nie mogąc się z tym pogodzić, uciekł z domu w świat. Na to, by zostać rycerzem, nie miał środków. Na giermka w niczyją służbę iść nie chciał. Cóż mu zostawało? Do zbójów przystać albo ukryć się w klasztorze i tam czekać pomyślniejszej odmiany losu. Wybrał to ostatnie. Pod przybranym mianem spędził kilka ciężkich lat u ojców cystersów jako brat konwers używany do najprostszych posług. Zamiatął kuchnię, rąbał drwa i nie zdradzał się ze swym pochodzeniem, wiedząc, że rodzice szukają go pilnie. Jakoś zwiedził

się w końcu o nim starszy brat Walter, sławny już podówczas wódz, wielokrotnie zwycięski, i wyprosił u ojców łaskę dla zbiega, a także obiecał go wyposażyć, by na księdza iść nie potrzebował. Tak się też stało.

Rzekomy parobek wyszedł z kuchni klasztornej i rozprężył się radośnie. Och, żyć! Nareszcie żyć! Pełną piersią, pełnym tchem! Czuć się niezależnym od nikogo, nie liczyć się z wolą niczyją!

— Nie dla mnie chodzić w juku ni być podjarzemnym — mawiał do brata, któremu ślubował wieczystą wdzięczność.

Niedługo zasłynął jako najpierwszy z rycerzy. Zazdrosny snadź o wywalczoną z takim trudem swobodę, nie ożenił się wcale, ale od kobiet nie stronił. Jego spóźniona, cierpka uroda działała na niewiasty. Ostatnio głębsze uczucie związało go z żoną bliskiego krewniaka, Blanką z Szampanii, królową Nawarry. Wspaniała to była kobieta, ostatnia dziedziczka rodu wywodzącego się z Merowingów, co od trzystu lat z okładem rządził królestwem Nawarry. Przednia krew. Każde pokolenie walczyło z Maurami, a dziad Blanki, mając dziewięćdziesiąt pięć lat, zatrzymał i rozbił zwycięskie wojska kalifa Abderrama III. Tak, to była niewiasta! Dumna, gorąca, w miłości nienasycona. Równie jak Jan niemłoda, przecie wciąż piękna i pożądliva. Kochali się bez pamięci. Tybald, grabia Szampanii, jej mąż, przedwcześnie zużyty i poterany, nie spostrzegął nic, a może udawał, że nie spostrzega. Jan był krewniakiem, co znacznie zmniejszało winę. A wiersze, które de Brienne, hołdując powszechnemu zwyczajowi, układał dla ukochanej, były przypisywane młodemu Tybaldowi, synowi Blanki, rywalizującemu z zapalem z trubadurami.

Lata mijały. Męstwo i miłość wypełniały życie rycerzowi de Brienne utrzymując jego ducha w doskonałej równowadze. Równowaga ta zachwiała się nagle na skutek poselstwa przybyłego z Akry, obecnej stolicy Królestwa Jerozolimskiego.

Królestwo Jerozolimskie, a raczej pozostały jego szczątek, znajdowało się znowu w stanie bezkrólewia. Dziedziczką tronu była Maria de Montferrat, piętnastoletnia, wątła, chorowita dziewczynka. Baronowie syryjscy wysłali poselstwo do Rzymu prosząc Ojca świętego o wyznaczenie odpowiedniego rycerza na męża dla niej. Innocenty III zwrócił się z kolei do Filipa Augusta. Słuszne jest, aby król Franków wybierał króla dla Franków.

Poselstwo owo narobiło wiele wrzawy. Wszyscy o nim mówili, ciekawie oczekując, kogo król wybierze. Wymieniano po cichu nazwiska przyszłych kandydatów. Król wezwał do Paryża najprzedniejsze rycerstwo na radę. Dał im się wszystkim wygadać, po czym oznajmił, że wybór

jego już jest postanowiony: królową Marię jerozolimską de Montferrat poślubi rycerz Jan de Brienne.

Nazwisko to nie było przez nikogo brane w rachubę, toteż osłupieli wszyscy, ze zdumieniem patrząc na wybrańca, który bladł i czerwieniał na przemian, nareszcie rzekł schrypłym z wrażenia głosem:

— Miłościwy Pan raczy żartować. Mam biały łeb i sześćdziesiąt lat.

— Nie zdają się wam ciężyc te lata — odparł król. — Zresztą tam właśnie trzeba doświadczonego męża, nie młodzika. Na Rolandowy miecz Durandal! Wy pójdziecie — nie kto inny!

Ostatnie słowa powiedział wcale twardo. Niewielkie jego ciemne oczy uśmiechały się przy tym złośliwie. I de Brienne zrozumiał nagle: król to umyślnie uczynił! Od pewnego czasu jawnie nadskakiwał Blance. Może sprzykrzył już sobie piękną Agnieszkę z Meranu, a może spodziewał się przeprowadzić jakieś szacherki z królestwem Nawarry? W tych zalecankach de Brienne przeszkadzał...

Rycerz poczuł, że krew uderza mu do głowy, aż w oczach robi się ciemno. Zbyt wielka pasja niebezpieczna bywa w sześćdziesięciu latach. Opanował ją z wysiłkiem, a król mówił uroczyście:

— Nie potrzebujemy przedstawiać wam, szlachetni panowie, jak ważnym jest dla całego chrześcijaństwa należyty wybór króla jerozolimskiego. Komu ten zaszczyt przypadnie, winien wdzięczność Stwórcy naszemu miłosiernemu. Zali istnieje bowiem na świecie świętszy i dostojniejszy cel niżli odebranie Grobu Świętego z rąk niewiernych? Choć ciężko nam będzie rozstawać się ze szczególnie nam miłym rycerzem de Brienne, poniesiem ochotnie tę ofiarę dla miłości Bożej.

Skończył i uśmiechnął się po swojemu, z ukosa spoglądając na przyszłego króla. Ciemne koliska wirowały nadal w oczach Jana. W uszach huczało. Pasował się, by nie krzyknąć: „Kłamiesz, Miłościwy Panie! Nie dla miłości Chrystusa to czynisz, lecz by mieć lżejszy dostęp do niewiasty!” Ale milczał. Nie z obawy o swą głowę, jeno by nie narazić czci Blanki. Milczał dłuższą chwilę, na koniec odetchnął ciężko, otarł pot z czoła i rzekł:

— Nie czuję się godnym ni odpowiednim, Miłościwy Panie. Przy tym biedak ze mnie, a tam potrzebują pieniędzy. Królem może zostać ten, co posiada majątek.

— Nie kłopotcie się, rycerzu! — zawołał uprzejmie Filip. — Dam wam czterdzieści tysięcy dukatów ze swojej szkatuły, a nie wątpię, że Ojciec święty drugie tyle dołoży...

— Czterdzieści tysięcy dukatów! — szmer zazdrosnego podziwu rozległ się po sali. — Ma szczęście de Brienne!

— Czuję się starym — powtórzył wybraniec uparcie.

— Nikt w to nie uwierzy.

— Rady sobie nie dam z rządami.

Król roześmiał się pozornie prostodusznym uśmiechem.

— Przestańcie wymyślać przeszkody, a raczej powiedzcie otwarcie: jaka przyczyna sprawia, że najzaszczytniejsze wyróżnienie odrzucacie?

Patrzył wyzywająco w twarz rycerza. Jan poczuł się w duszy królobójcą.

— Nie dziwota, że się nie kwapi — zauważył pojednawczo któryś ze starszych rycerzy. — Nielekki to posterunek.

Janowi żyły nabrzmiały na skroniach. Tego jeszcze nie dostawa, by powiedziano, że de Brienne uląkł się niebezpieczeństwa!

Nie było rady. Skłonił się głęboko przed królem, który podniósł go i ucałował.

— Witaj, miły królu-bracie...

Usta Filipa drgały, jakby mówił: „A co? Dobrze cię zażyłem?” Jan poczuł, że go ponownie ogarnia szaleństwo. Trzaśnie pięścią w te uśmiechnięte oczy, w tę drwiącą twarz. I znów wstrzymały go nie obawa o własne życie, nie szacunek dla majestatu, ale wzgląd na cześć niewiasty. Cześć Blanki.

Przyjął pocałunek monarszy, ucałował dłoń króla. Rycerze otoczyli go kołem, jedni z radością, inni z zawiścią i żalem. Posłaniec pognął do Rzymu, on zaś wrócił na swój kasztel i tam gryzł palce z wściekłości. Mimo że papież przynaglał do spieszniejszego przyjazdu, gdyż posłowie nie chcieli powracać bez króla, de Brienne zwlekał z opuszczeniem Francji blisko rok. Z dnia na dzień zatrzymywała go bezsensowna nadzieja, że coś się stanie, królowna nie zechce tak długo czekać lub posłowie obrażą się i odjadą... Ale nic nie zaszło i na koniec musiał wyruszyć do Rzymu, niechając bratu swój kasztel, swoje ogary, sokoły, a przede wszystkim opuszczając Blankę, Blankę!

Gdyby to z nią mógł jechać na owo zamorskie cudaczne królowanie, z tą pyszną babą, co najtrudniejszego konia ujeździła, na łowach była pierwsza, a mieczem robiła nie gorzej od męża, gdyby to z nią! Czegóż by razem nie dokazali, ej, Boże, Boże! Ale Blanka zostanie. On musi jechać sam i poślubić owo mizerne panieństwo...

Jak wszyscy jego współcześni, rycerz de Brienne żywił głębokie lekceważenie dla rodzaju dziewczynskiego. W myśl powszechnie uznawanych wskazań trubadurów kobietą rozumiejącą miłość i zasługującą na miłość była wyłącznie mężatka. Ona jedna знаła smak życia i rozkoszy.

Dziewczyna, cóż to jest dziewczyna? Mdłe ziele. Moszcz, co się jeszcze nie spienił.

Czekający w Rzymie posłowie — biskup Akry, Walter i Aymar de Layron, pan Cezarei — przysłali Janowi wizerunek królowej, jego narzeczonej. Wolej by tego nie uczynili! Od widoku malowidła rycerza całkiem zemdlilo. Chude to, ni z pierza ni z mięsa, z długą, wydłużoną jak pyszczek gronostaja twarzą. Niepodobna do rodziców, którzy oboje byli urodziwi. I on, de Brienne, tak wciąż niesyty życia, z takim żalem spoglądający na jego przemijanie, ma się wyrzec ostatnich lat młodości i kochanki, by dożywotnio podzielić łożę tej chudej łasiczki! To można oszaleć! Oszaleć! Oszaleć!

Co za przekleństwo zawisło nad tą jerozolimską koroną, że wiecznie przechodzi po córkach, że nie mogą się tam dochować króla ni następcy? Toć już chyba czwarty czy piąty raz szukają męża w ciągu ostatniego dwudziestopięciolecia? Najpierw był ten piękny a głupi gładysz, Wit Luzynian, co go sobie upodobała królowa Sybilla. Zaprzepaścił królestwo. Świeć, Panie, nad jego duszą! Ciemiega to była skończona... Potem za trzeciej krucjaty, gdy królowie francuski i angielski stali pod Akrą, Sybilla póty się nadstawiała wrażliwemu na białogłowy Ryszardowi Lwie Serce, aż ten jej i mężowi oddał we władanie świeżo zdobyty Cypr... Niedługo się darem cieszyła, bo ze smrodu, jaki od trupów panował, wybuchła w obozie zaraza i z tej zarazy umarła... Mogła sobie przed zgonem powiedzieć, że niemało mętu i szkody uczyniła na świecie! Mimo jej śmierci Ryszard darowizny Cypru nie cofnął i Luzynian królował tam, także co prawda niedługo. Zmarło się rychło nieborakowi. Młody jeszcze był, ale zgryzota go zjadła. Strasznie ludzie na niego wydziwiali o to, że stracił Grób Święty. Tym się truł. Brat jego Amalryk panował po nim na wyspie.

Tymczasem barony syryjskie gwałtem chciały króla. Po śmierci Sybilli prawo do tronu miała Izabela, jej przyrodnia siostra. Jeszcze jako młódka wydała się za Onufrego de Thoron, urodziwego niezdare. Ni do boju, ni do rady. Gorszy jeszcze od Luzyniana. Kazali się jej więc z nim rozejść, a pojąć Konrada de Montferrat, obrońcę Tyru, wielkiego pana i wojownika całą gębą. Sam patriarcha zgodził się na to dla dobra królestwa i byłby niewątpliwie ów Konrad Jerozolimę odzyskał, sławę królestwa przywrócił, gdyby w dwa tygodnie po ślubie nie zamordowali go Izmaelici nasłani przez Starca z Gór. Przyszli podając się za zbiegów pragnących poznać wiarę świętą. Sam Konrad był im ojcem chrzestnym. Po chrzcie zadomowili się na dworze. De Montferrat ufał im i chętniej niż innych pokojowców koło siebie trzymał.

— Mowy naszej nie znają — powiedział — nic z tego, co gadamy, nie wyniosą...

A oni tylko czekali sposobnej chwili.

Rozdarto ich potem na sztuki, ale rycerzowi to życia nie przywróciło. Nie dowiedział się też nikt, na czyje życzenie nasłał zbójów Starzec z Gór. Wymieniali ludzie Saladyna, Ryszarda, Onufrego, ale w to dziecko by nie uwierzyło. Tak i zostało. Nie dowiedziano się nigdy.

Teraz wydano Izabelę za Henryka z Szampanii. Nie był on taki ognisty i bystry jak Konrad, ale też mężny, rozważny, sumienny rycerz. Cóż, kiedy i jemu nie był długi żywot sądzony! Jakoś w rok po koronacji znaleziono go martwego u stóp wieży. Wyleciał w nocy przez okno z komnaty. Karzeł jego przyboczny z nim, roztrzaskany na miazgę. Znow nikt nie wiedział, co zaszło. Ludzie snuli domysły, że królowi było duszno spać, że chciał zaczerpnąć powietrza, że miewał zawroty głowy, wychylił się nadto przez okno i wyleciał... Że karzeł chciał go za kaftan w ostatniej chwili przytrzymać i zleciał również... Tak i tak mówiono, ale prawdy nikt nie doszedł. Nie miało szczęścia Królestwo Jerozolimskie. Nie miała go również nieboraczka Izabela. Gdy z czwartym mężem, Amalrykiem Luzynianem, królem cypryjskim, stawała na ślubnym kobiercu, nie miała jeszcze dwudziestu sześciu lat! Była wciąż piękna. Amalryk doczekał swego. Opanowany, przytajony ambicjusz został wreszcie podwójnym królem. Niuńka, milczek, a wypadki płynęły mu same za ręką. Umiał czekać.

Nie spotkał go też żaden dziwaczny wypadek. Nie przygniotła go skała, nie zasztyletował chrześniak ani wyleciał z karłem przez okno z wieży. Umarł w swym czasie śmiercią przyrodzoną. Zostawił syna, który panował na Cyprze*.

Ale na tron jerozolimski baroni nie chcieli już więcej Luzynianów i za dziedziczkę uznali Marię, którą Izabela poczęła w czasie swego dwutygodniowego pożycia z Konradem. Tę właśnie, którą na życzenie króla Filipa Augusta Jan de Brienne poślubić miał obecnie w roku 1210.

— Nie! — powtarzał sobie przyszły oblubieniec już w drodze do Rzymu. — Nie! Nie!

Chodzi teraz po głównej izbie gospody „Pod Dobrą Opieką”, powtarzając swoje uparte a bezcelowe „Nie!” Czuł zresztą śmieszna jałowość tego protestu. Jakkolwiek zwlekał, jakkolwiek się ociągał, jest to ostatni postój; jutro nieuchronnie stanie w Rzymie. Tam już czekają. Próżno liczyć, by dziś w nocy stał się jakiś cud, który by go od tego królowania wyzwolił.

...Zwierzyć się Ojcu świętemu? Prosić o pomoc? Też złudzenie! Ojciec święty, posłyszawszy, co rycerza w kraju trzyma, będzie się starał wyprawić go co rychlej do Jerozolimy, by zerwać grzeszny związek ciała...

* Dynastia Luzynianów rządziła Cyprzem przez 300 lat bez mała.

...Nie chcę! Nie pojedę! Jestem i byłem człowiekiem wolnym! Wolnym! — zapewniał sam siebie.

Więcej jeszcze niż z powodu swej miłości cierpiał nad tym, że został przymuszony, że idzie wbrew swojej woli, związany jak baran, ku niewiadomym i niepożądanym kolejom.

...Na moce piekła i nieba! Nie pojedę!

Biegał z kąta w kąt rozdrażniony, tupiąc mocno stopami w polepę. Natknął się na ławę, kopnął ją z całej siły, aż się przewróciła. Zaprzagnął coś zbić, rozwalić komuś łeb, wyrzeszczyć swą pasję, dać folgę przepelniającej go złości. Ale w izbie ani wokół nie było nikogo.

Chwilami zatrzymywał się przy oknie. Choć noc była zimna, kazał je zostawić otwarte, bo w izbie panował przykry zapach, wynikły z połączonych woni cebuli, czosnku, skwaśniałego wina i łożu. Gdy klnąc cały świat rycerz przystawał przy chłodnym i ciemnomodrym otworze okiennym, widział po lewej stronie dziedzińca rozkulbaczone konie swojego orszaku, śpiących obok pachółków. Na prawo tliło się i dymiło ognisko z chrustu, przy którym siedziało kręgiem kilkunastu ludzi. Wyglądali na oberwańców. Nie spali. Gadali głośno. Gwar niefrasobliwych głosów dolatywał aż do stojącego w oknie.

Zgniewał się rycerz. Jego pasja roznosi, a te chamy sobie rozprawiają! Wychylił głowę, by krzyknąć groźnie: Milczeć! Co za hałasy? Ale się w ostatniej chwili powściągnął. Zdaje się, że to są mnichy. Nie warto wszczynać żadnego sporu z mnichami tuż pod bokiem Ojca świętego, którego wyrozumiałość może być potrzebna. Niech się swym śmiechem udławia!

Z góry nienawistnie patrzył na siedzących przy ogniu. Ciekawe, z czego to bydło może się śmiać, o czym rozmawiać? Co oni wiedzą? Co oni czują? Nie więcej z pewnością niż muł. Nazarli się, ogień ich grzeje, więc są zadowoleni. Czegóż im więcej potrzeba? Co mogą wiedzieć o uczuciach szalejących w duszy urodzonego rycerza?

Splunął ze złością i wzgardą.

— Bydło! Ciemne niewolniki!

Nieświadomi gniewu wielmoży, prostacy pogadywali spokojnie o tym i owym. Wypędzeni przez ludzi pana de Brienne z gospody Matteo Pesaro i Pietro Cani przyłączyli się do nich. Mateusz drzemał. Pietro narzekał i wydziwiał na panów, co wlezie.

— Każdy, kto przyjdzie do gospody i płaci, jest taki sam dobry jak drugi — dowodził.

— Tylko u Pana naszego, nie u ludzi — poprawiał jeden z braci zwany Sylwestrem, starszy człowiek o poważnej twarzy.

— Że on rycerz, to może przewalać się sam w izbie, a my musimy marznąć na dworze?!

— Na dworze przecie lepiej niż w izbie. Gwiazdy widać...

— Jużci, że lepiej — potwierdził żywo brat Franciszek, przywódca gromady. — Drzewa słuchają, co mówim, a brat ogień pięknie grzeje... Powietrze pachnie, gdy w izbie jest duszno. Ot, spójrzcie: widać stąd tego rycerza. Jak chodzi po mieszkaniu niespokojnie, jak głową i rękami rzuca! Męczy się widno... Żal patrzeć, jak się burzy i zмага. Niech Bóg go obdarzy pokojem!

— Ja mu tam wcale dobrze nie życzę — zachnął się Pietro. — Ziąb taki, że można skostnieć!

— Przysuńcie się bliżej ognia, panie bracie... Nie żal i zziębnać, gdy na siostrzyczki gwiazdy patrzeć można...

Pietro spojrział mimo woli za wzrokiem mówiącego w bezdenną, kryształową, ciemną i świetlistą zarazem kopułę nieba usianą migotliwymi głowami gwiazd.

— U was to wszystko siostra albo brat, nawet ogień i gwiazdy? — zapytał z prześmiewką w głosie.

— Wszystko — potwierdził pogodnie Franciszek — boć to z jednej ręki wyszło...

— Nie wiem, czy biskupy nie poczytają wam takiego gadania za pogaństwo...

— Chyba nie... Właśnie idziemy do Ojca świętego po aprobatę...

— A jeśli jej nie udzieli?

— Uczynimy, co rozkaże.

— Ho, jacy posłuszni!

— Cóż, bracie, posłuszeństwo to wielka rzecz, zadokumentowanie wolności swojej...

— Chyba zaprzeczenie?

— O, nie. Jeśli możesz posłuchać albo nie posłuchać, znaczy, że jesteś wolny uczynić, jak chcesz. A największe rzeczy na świecie stały się z dobrowolnego posłuszeństwa...

— Gadanie! Rad bym usłyszeć choć jedną!

— Narodzenie Pana naszego — odparł spokojnie Franciszek.

— Co wy? Co? Nie rozumiem!

— Gdyby Panienska nie przystała, nie rzekła posłusznie: „Otom ja służebnica Pańska”, zali postąpiłby Pan wbrew Jej woli?... Dlatego tak nam trzeba miłować tę Najświętszą Matkę naszą, bo co by się bez Niej z ludzkością stało?

— Podejrzenie mi te wasze maksymy wyglądają — zapewnił Pietro. — Herezja wycieka z nich jak woda z dziurawego worka... Niemiło was przyjmą w Rzymie...

— Tak przyjmą, jak Pan nasz uzna za należne...

— Posłuszeństwo żeby miało być wolnością — rozważał Pietro — nigdy w życiu! Właśnie kto wolny, nie potrzebuje słuchać nikogo... Ale taką wolność mają tylko możni. Nie dla nas ona, biedaków!

— Ej, bracie! Moźni i wolność! Toć oni najwięcej są związani swoimi dostatkami, urzędami, zaszczytami... Wolny jest tylko ten człowiek, co nic nie posiada i o nic prócz Boga nie stoi.

Pietro ziewnął rozgłośnie.

— Każdy biedak tak się pociesza, ale naprawdę tylko pieniądz daje wolność. Zgodziłbym się chętnie na tę niewolę, którą cierpią bogacze. Gdy masz pieniądze, wszędzie ci się nisko kłaniają...

— Bracie, zali miło, gdy się kłaniają, a w duszy nienawidzą? Bo kto się kłania człowiekowi, musi go nienawidzić za to, że się kłania.

— A niech nienawidzą! Co to wadzi? Wiele sobie czynią wielmoże z tego, że każdy by ich w łyżce wody utopił? Ot, choćby ten tam rycerz. Wypędził z gospody, bo mu się tak podobało, mnie i uczonego Mateusza, któren tu chrapie...

— Nie śpię i słucham — zaprzeczył Pesaro. — Dziwne macie myśli, bracie Franciszku. Nie wiem ja, czy heretyckie, ale dziwne... Rad bym kiedy o tych sprawach dłużej z wami pogadał... I nie żałuję już, że pan de Brienne wyrzucił nas na dziedziniec...

— Więc ten rycerz to pan de Brienne? — wykrzyknął Franciszek. — Zapewne brat pana Waltera, wielkiego bohatera, co z Niemcami o Italię wojował... Pomnę, zaciągałem się kiedyś do jego rycerstwa...

— Wy? — parsknął Pietro, urągliwie spoglądając na prostacką odzież mówiącego.

— Ano tak, ja... Szalony byłem... młody...

— Przyjęli was do czyszczenia kopyt końskich?

— Kiedy nie dojechałem, bom w drodze zaniemógł.

— Mnie też byliby wybrali po śmierci ostatniego Ojca świętego papieżem, tylko że na czas obioru nie zdążyłem — zapewnił Pietro.

Siedzący obok Franciszka smukły, młody brat podniósł się bez słowa i jął krążyć w koło niby dla rozgrzewki, niespokojnie i szybko jak ćma.

— Bracie Aniele — rzekł Franciszek przyciszonym czujnym głosem. — Bracie Aniele...

Człowiek-ćma nie odparł nic, tylko ruszył w las wprost przed siebie spiesźnie, jak gdyby uciekał.

Franciszek patrzył za nim z troskliwą, matczyną czułością. Większość braci drzemała. Pesaro podparł się na łokciu i dalej rozważał:

— Jeśli dobrze zrozumiałem, dostatki, waszym zdaniem, utrudniają człowiekowi życie i zbawienie?

— Nie ja, lichy sługa, lecz Chrystus Pan to powiedział...

— No tak, ale Ewangelii nie można przecież brać dosłownie...

Franciszek zwrócił ku niemu twarz zdumioną i oburzoną.

— Dlaczego?! Kazał przecież Pan nasz, byśmy byli jako dzieci, to znaczy brali jego słowa prosto i dosłownie... Co powiedział, to jawnie, nie pod figurą, jak było w Starym Zakonie...

— To są rzeczy dla natury ludzkiej niemożliwe — zawyrokował Pesaro i rad, że weszli na grunt dialektyki, w której celował, rozstawił palce u dłoni, by obliczać na nich kolejno punkta swego dowodzenia. Lecz Franciszek patrzył w stronę lasu, skąd brat Anioł powracał, pogodny już i uspokojony.

— O, bracie Franciszku — zawołał — niedaleko, kilkanaście kroków stąd, jest kapliczka Najświętszej Panny!

— Przenieśmy się tam! — zawołał radośnie Franciszek. — Będzie nam lepiej koło naszej Matki...

— Co? I ogień chcecie przenosić? — obruszył się Pietro.

— Ogień zostawimy, do świtu niedaleko, można się bez niego obejść.

— Już ja wolę przy nim zostać.

Bracia podnieśli się zwawo i ruszyli za Franciszkiem i bratem Aniołem. Znikli w mroku. Pietro Cani rozciągnął się wygodnie blisko żaru.

— Widzieliście takich cudaków? — pytał Mateusza. — A toż to czyste półgłówki!

— Nie widziałem — przyznał Pesaro.

Rozdział czwarty

Jako pielgrzymi i obcy wędrowcy...

Ptaki poczynają już ćwierkać w zaroślach i brat Franciszek przetarł oczy zaczerwienione od snu i porannej rosy. Perłowy brzask wypełniał świat jasnym chłodem. W chłodzie tym była rzeźwość właściwa budzeniu się dnia i Franciszek uśmiechnął się do drzew powitalnie. Głowa jego spoczywała, niby na wezglowiu, na stopach kamiennego posągu Matki Boskiej Dobrej Opieki. Modlił się do Niej z wieczora tak długo, aż modląc się zasnął. Objął teraz pełnym czci i miłosnej dworności ruchem niezdarnie rzeźbiony kształt stóp, zdmuchnął z nich starannie pył i otarł rękawem mech, po czym z uśmiechem rycerza usługującego ukochanej pani spojrzął w górę ku twarzy. Acz wiele lat minęło od czasu cudu, przez który skazaniec został ułaskawiony, odbłask zdarzenia zdawał się trwać na licu posągu, nadając mu nieznaną kamieniowi miękkość i czujną troskliwość. Franciszek nie znał legendy, lecz bardziej niż ktokolwiek inny zdolen był wyczuć w twardym kamieniu ślady nadziemskiego życia i w porywie gorącego uczucia objął ponownie stopy dłońmi.

— Równie tu dobrze — szepnął — jak w Portiunculi, gdzie anioły śpiewają nocami... — Dobrze jest — powtórzył i rozejrzał się wkoło. Towarzysze jego spali jeszcze, spowici w bure opończe, zbici ciasno przed chłodem jak stado owiec. Nie budził ich. Jeszcze bardzo rano. Niech śpią, póki słońce nie wyjdzie, by rozgrzać świat. Tak późno zasnęli wczoraj! Z czułością wodził wzrokiem po ich uspiionych głowach. Jego bracia. Jego dzieci... On był za nich odpowiedzialny przed Panem. Rzucili wszystko na jego wezwanie. Uważali go za swego przewodnika, ojca, zaufali, że ścieżka, którą on im wskazał, najpewniej doprowadzi ich do zbawienia wiecznego i Bogu będzie najmiłszą. Każdy przyszedł skądinąd, z innego stanu, z innego domostwa. Nie masz wśród nich dwóch ludzi podobnych, jedynie miłość Boga w ich sercu jednaka. Oto ukochany brat Idzi, jeden z najpierwszych, najwierniejszych towarzyszy. Syn wieśniaka, rolnik dobry, silny, cierpliwy, łagodny jak wół, pełen równowagi i statku. Franciszek lubi słuchać jego zdania, które jest zawsze rzetelne i proste jak ziemia. Brat Idzi ma duszę niezmiernie wrażliwą na tony. Sam wprawdzie nie umie grać: ciężkie jego palce nie nadają się do skubania strun harfy lub wioli. Lecz wkoło siebie wciąż słyszy muzykę. Las mu gra, woda, powietrze. Dziwi się czasem, że inni tych tonów nie słyszą. Czasem też chwyta suche patyki i oparłszy jeden o brodę niby skrzypce, drugim wodzi w powietrzu jak smykem po nie istniejących strunach i gra sobie tylko wiadomą

melodię. Może tak grać godzinami. Franciszek sądzi, że aniołowie słyszą niedostępną dla ludzkiego ucha muzykę brata Idziego.

Tuż przy nim, wsparty głową o ramię rolnika, śpi drugi z najbliższych i najpierwszych towarzyszy, brat Bernard de Quintavalle. Niegdyś uczony, bogaty prawnik. Rozdał cały majątek ubogim i poszedł za Franciszkiem. Kocha nad wszystko samotność i doskonale szczęśliwym byłby, mogąc zostać pustelnikiem w jakiejś niedostępnej górskiej grocie. Podobny jest w tym do brata Rufina Scifi. Ten również nie lubi zgiełku, czuje się obco wśród ludzi. W obu tkwi nieświadome, dostojne odosobnienie pragnące ciszy pustelni. Lecz Franciszek, choć w gruncie rzeczy tęskni za tym samym, nie pozwala braciom uciekać od bliźnich. — Bóg kazał nam myśleć nie tylko o własnym zbawieniu — mawia — ale i o zbawieniu drugich. Jakżeż tego dokonamy trzymając w pogardzie świat?

Franciszek miłuje brata Rufina. Spogląda nań zawsze z dziwnym uczuciem. Ten młody arystokrata, syn panów Asyża, których kasztel góruje dumnie nad miastem, podobny jest z twarzy do swej krewniaczki Klary Scifi, najpiękniejszej i najpobożniejszej dziewicy Asyża. I patrząc na niego Franciszek mimo woli myśli o niej. Uwielbia ją bowiem i podziwia, i modli się najszczerzej, by Bóg zachował ten cudowny kwiat ludzki, to najdoskonalsze dzieło swoich rąk, czystym i jasnym jak imię dziewczyny. Niech nie schodzi w marność zwyczajnych ziemskich kolei! Niech wybierze najtrudniejszą drogę, lecz najpiękniejszą, jedynie jej godną!

Obok brata Rufina, niby jego przeciwieństwo, spoczywa rumiany, rubaszny, nieoceniony brat Maseo. Trudy wędrownego życia nie zdołały zatrzeć żywej barwy jego lic, gromkiego śmiechu, obfitej wymowy. Ma dar zjednywania sobie najbardziej nawet skąpych mieszczek i za robotę swoją otrzymuje zwykle lepszy, obfitszy poczęstunek. Toteż bracia dopraszają się, by brat Maseo, nie kto inny, szedł zbierać jedzenie.

Dalej brat Anioł i brat Leon, wielcy przyjaciele. Brata Leona Franciszek nazywa Barankiem, taki jest pełen słodyczy, pokory. Jedyne niepokój, jaki nim targa czasami, to czy dobry ojciec Franciszek kocha go nadal jednak... Czy on, Leon, nie obraził go nieposłuszeństwem lub niezrozumieniem? Choć w gronie braci jest kilku bieglejszych w piśmie, Franciszek uczynił go swoim sekretarzem. Brat Leon nosi pergamin i pióro, a także cenną regułę stowarzyszenia, którą Ojciec święty zatwierdzi lub nie. Jest z tego niezmiernie dumny. Franciszek wie, że takie dusze jak brata Leona potrzebują czuć, że są użyteczne.

Brat Anioł jest rycerzem dostojnego rodu. Nazywa się di Tancredi. Kiedyś, obdarty i bosy, Franciszek przechodził doliną Rieti i spotkał poczet rycerski jadący na turniej. Śliczny jak dziewczyna młodzianek mijając spojrział na Franciszka ciekawie, a ten krzyknął: — Dość długo

już nosiłeś pas i miecz ziemskiego pana! Czas zamienić pas na sznur, miecz na krzyż, ostrogi na pył gościńca! Pójdź ze mną! Ja cię pasuję rycerzem Pana naszego!

Inni wybuchnęli śmiechem na taką przemowę, ale oto rycerzyk zsiadł z konia, oddał giermkowi wodze, miecz i zbroję i poszedł za Franciszkiem. To jest właśnie brat Anioł, Angello di Tancredi. Franciszek kocha szczególnie to smukłe księżątko, szlachetne w każdym odruchu, i nazywa go swoim rycerzem Okrągłego Stołu.

Brat Eliasz Bombarone natomiast nie jest ulubieńcem. Franciszek robi sobie z tego powodu wyrzuty, dręczy się, lecz cóż pocznie? W bracie Eliaszu czuje jakąś obcość. Brat Eliasz jest mądry, opanowany, ambitny, ma chłodny, przenikliwy wzrok. Nie wyjawia nigdy dna swej myśli. Lecz pobożności jego i prawości nie można nic zarzucić.

Brat Sylwester, najstarszy wiekiem z gromadki, jedyny przy tym ksiądz wśród tych laików, jest z tego powodu otaczany powszechnym szacunkiem. Zresztą zasługuje na to. Dawniej był proboszczem w Asyżu, wcale mocno przywiązany do dóbr tego świata. Ale pod wpływem Franciszka dusza się w nim odmieniła.

Brat Jan Parenti, uczony profesor uniwersytetu bolońskiego, sędzia, niedawno należy do braci. Kto wie, czy spotkałby się z nimi w ogóle, gdyby raz na przechadzce nie usłyszał, jak wieśniak zapędzający trzodę wołał:

— Nuże! Włóżcie mi zaraz do chlewa jak sędziowie do piekła!

— Czegóż to właśnie sędziowie mają iść do piekła? — zapytał z uśmiechem profesor.

— O, Wasza Wielmożność, przecież wiadomo: dobry prawnik to zły chrześcijanin. Nigdy jeszcze żaden sędzia nie otrzymał zbawienia. Tak, tak, z całą pewnością. Mają w piekle przeznaczone osobne miejsce i wszyscy tam siedzą...

Roześmiał się mądry profesor z wywodów prostaka, ale wieczorem jał myśleć o nich i zastanawiać się: czy też on sam osiągnie zbawienie? Im dłużej myślał, tym bardziej wątpił i nazajutrz, zdjawszy togę uczonego, poszedł szukać Franciszka.

Drugi brat Jan jest jeszcze świeższym człowiekiem zgromadzenia i trudno o nim cośkolwiek pewnego powiedzieć. Ulega łatwo udarowi słonecznemu i dlatego prosił o pozwolenie zachowania kapelusza. Reszta braci chodzi z gołą głową, w razie deszczu lub zimna naciągając kaptur. Od tego kapelusza bracia przewali nowego kolegę a Capello, Jan z Kapeluszem, Kapelusznik.

Nareszcie ostatni, serdecznie miły, ukochany brat Jałowiec. Zwinięty w ciemny kłębuszek, wygląda z dala naprawdę jak krzaczek jałowca. Jest prosty, radosny, nie troszczący się o nic

więcej jak o chwałę Bożą. Żyje śpiewając Bogu jak ptak. Przepęlnia go szczęśliwa radość z tego, że jest, że żyje, że może Boga miłować i chwalić. Nie lęka się grzechu ni czarta, bo Bóg go przed nimi osłoni. Nie boi się w ogóle niczego. Przecież Bóg nad nim czuwa.

— Gdybym miał cały las takich jałowców! — wzdycha Franciszek.

Znów obiega wszystkie uśpione głowy kochającymi oczyma. Poleca je opiece Matki Bożej o współczującym licu. Niech Ona doda im siły, odgoni ziemskie pokusy!

Najtrudniejszą do zwalczenia jest dotrzymanie tego doskonałego ubóstwa, na którym Franciszkowi tak zależy. Bo to przecież warunek konieczny. Chrystus kazał rzucić wszystko i iść za sobą. Oni tak właśnie uczynili. Nie posiadają nic, dosłownie nic. Są niezależni i wolni jak ptacy. Nic ich z tą lub ową dziedziną nie wiąże. Niby pielgrzymi i obcy wędrowcy patrzą życzliwie na wszystko, co ich otacza, ale należą do innej dalekiej ojczyzny. Są gotowi na każde skinienie Pana. Wolni!

...Wolni!

O, cudowne, boskie słowo! Dotychczas zdawało się, że na wydanej niewolnictwu ziemi nie ma miejsca dla wolności, która jest wyłącznym atrybutem Boga. A oto okazuje się, że przysługuje ona także tym, co się dla Boga wszystkiego wyrzekli...

Chłód tężał, przypadał do ziemi, stawał się przenikliwszy, jak zwykle na chwilę przed wschodem. Jakoż wnet zza góry wyszczknęły złote promienie, a za nimi wytoczyło się słońce. Ledwie wyjrzawszy, jęło grzać łaskawie. Promienie dotykały zziębniętych twarzy śpiących niby ciepłe palce. Bracia podnosili głowy, przecierali oczy. Siedzący u stóp posągu Matki Bożej Franciszek uśmiechał się do nich, grzejąc zgrabiałe dłonie na słońcu.

— Teraz się rozejdziemy — postanowił, gdy odmówili poranne pacierze. — Część z was wróci do gospody wykonać robotę, za którą dano nam wczoraj wieszak...

— Mam nadzieję, że dodadzą do niej dzisiejsze śniadanie — zauważył brat Masseo, który nie lubił zadowalać się samym wspomnieniem jadała.

— Ich wola. Baczcie jeno, byście nie brali więcej, niż się będzie należało.

— Więcej? Bracie Franciszku! Przyjrzałem się wczoraj: na dziedzińcu i w stajni brudy, że groza! Gnojówka ciecze pod dom... Jeżeli to wyporządkimy (choć nie wiem, czy się uda w jeden dzień wszystko zrobić), powinni nas karmić przynajmniej przez tydzień!

— Drogi z ciebie robotnik, bracie Masseo. Zresztą dziś idziemy dalej... Otóż więc połowa was pójdzie zamiatać dziedzińiec, a pozostali ruszą szukać dzieci, o których gospodyni mówiła wczoraj, że odeszły. Tym dzieciom na razie nic nie grozi, dlatego nie poszliśmy na poszukiwanie

zaraz wczoraj nocą, chodzi jednak o to, że jakiś nieznajomy człowiek odciąga je od domu... Żle czyni. Dzieci powinny być przy rodzicach. Dlatego ważniejszym jeszcze niż znalezienie dzieci, które może już same wróciły, byłoby spotkanie tego kusiciela dzieci. Może on nie wie, że źle czyni. Zakłębilibyśmy go w imię Pana naszego, by więcej tak nie postępował. Wykonawszy swoją robotę zejdziemy się znowu tutaj i ruszymy już prosto do Rzymu...

— Ależ dzisiaj nie dojdziemy! — wykrzyknął Jan Kapelusznik.

— Z pewnością nie. Przenocujemy przy drodze jak tym razem.

— A co będziemy jedli jutro?

— Co nam Bóg ześle.

— Bo jeśli znowu trzeba będzie tracić więcej niż pół dnia, żeby zarobić na strawę, to nigdy nie dojdziemy...

— A jakże byś chciał inaczej?

— Myślałem... myślałem, żeby brat Masseo poprosił o więcej, żeby starczyło na dwa dni...

Franciszek potrząsnął gniewnie głową.

— Żadnych zapasów — uciał. — Jeśli na dwa dni, to czemu nie na tydzień, a jeśli na tydzień, to czemu nie na miesiąc, a może nawet na rok? Jeszcze byłoby wygodniej!... Nie mówmy o tym więcej, tylko ruszajmy weseląc się w Panu...

— Z czego mamy się weselić? — bąknął Jan Kapelusznik urażony.

— Choćby z tego, że żyjemy, że słońce świeci, niebo jest błękitne, a murawa zielona!

— Gdybyż słońce zawsze świeciło, gdyby zawsze było lato, ano, owszem... Ale przecież w tej naszej budzie w Rivo Torto, jak deszcz pada, wszędzie się na głowę leje!

— To dlatego, byśmy potem lepiej oceniali naszego drogiego brata słońce! — roześmiał się Franciszek, ale znać było, że słowa Jana zrobiły mu przykrość.

Choć przedtem sam nawoływał do odejścia, teraz usiadł znowu na ziemi przyglądając się uważnie niezadowolonemu. Jan zagryzł chmurnie wargi. Nie po raz pierwszy nawiedzało go poczucie, że przystąpił do zgromadzenia w chwili niepojętego oblędu. Po co to zrobił? Przecież miał swój własny dom, swój własny warsztat, zapewniony byt, poważanie ludzkie! Nie miał twardego serca, czynił dobrze ludziom... Czemuż porzucił to wszystko, by w odzieniu żebraka wędrować o głódzie?! Pociągnęła go wieść, że Franciszek robi cuda. Od dziecka marzył o cudach. I dla tych cudów poszedł. A cudów żadnych nie było. Było zmęczenie, praca i psie życie. Nic więcej. No i modlitwa, ale modlić się można i w domu. A ludzie tyle opowiadali! Bajki wysrane z

palca! Zresztą kto wie? Może Franciszek mógłby robić cuda, tylko się z nimi kryje? Wygląda wprawdzie tak zwyczajnie — drobny, chudy, pospolity, zawsze uśmiechnięty — ale kto wie? W takim razie nie żał byłoby pocierpieć...

Podniósł oczy i zachęcony dobrym, troskliwym spojrzeniem Franciszka, zapytał nieśmiało, czy uczynił kiedy cud.

— To się wybrał! — mruknął brat Leon, a brat Jan zaczerwienił się jak burak, bo Franciszek wybuchnął głośnym, serdecznym śmiechem.

— Ja i cud! — wyjąkał przez śmiech, ocierając załzawione oczy. — Ja i cud! O, bracie Janie! Cuda czynili święci, a nie tak nędzny, wszawy, gnoju jedynie wart stwór ludzki jak ja! Cuda!

Śmiał się znowu. Brat Maseo pokiwał wielką głową.

— Ta, ta, ta, gadaj zdrów, bracie Franciszku, a jednak choć my wszyscy nie najgorsi chrześcijanie, o tobie jednym świat mówi, za tobą ludzie lecą i my wszyscy do ciebie przyszliśmy, nie ty do nas... dlaczego?! Coś w tym jest!

Franciszek porwał się z miejsca, wzburzony.

— Ach, ty nie wiesz dlaczego?! Ty nie wiesz dlaczego! Ty nie rozumiesz tego, co takie proste? Co dziecko by zrozumiało? Więc ja ci wytłumaczę, i bratu Janowi wytłumaczę, i wszystkim wam, i brat Leon niech to zapisze, bo to ważne, i wszyscy o tym musicie pamiętać! Musicie wiedzieć, że na całym świecie Bóg nie znalazł stworzenia bardziej plugawego, nędznego i ograniczonego ode mnie! I dla tego właśnie mnie wybrał! Mnie najgorszego, by przeze mnie sprawić swoje wielkie dzieła! A to, by zawstydzić szlachectwo i mądrość, i piękność, i rozum, i uczoność, i bystrość, i pokazać, że wszelka siła i cnota pochodzą tylko od Niego i że za jego sprawą nawet taki strzęp jak ja, taka padlina śmierdząca, taki grzesznik utyłany, taki gnój, taka zaraza, mogą stać się narzędziem wielkich, świętych rzeczy! I zostawił mnie w mych grzechach, choć sam raczy czasem przemawiać przeze mnie! A to, by cały świat wiedział, że Jemu jednemu należy się wszelka chwała! I to wiem od Niego samego!

Usiadł oddychając ciężko. Towarzysze spoglądali na niego z szacunkiem. Gdy mówił w uniesieniu, przeobrażał się. Zazwyczaj pogodny i słodki, stawał się podobny do Jana Chrzciciela lub innego groźnego proroka. Włosy jeżyły mu się na głowie i w skąpej, kusej brodzie. Oczy płonęły. Teraz z trudem opanowywał wzburzenie. Cisza trwała taka, że słychać było skrzyp pióra, którym brat Leon wodził pracowicie po papierze.

— Ruszajmy — rzekł Franciszek po chwili. — Skończyłeś już, bracie Leonie?

— Nie! Nie! Jeszcze nie! — wyjąkał z rozpaczą mało wprawny w pisaniu sekretarz.

Franciszek uśmiechnął się do Baranka zwyczajnym już swym uśmiechem.

— Poczekamy zatem jeszcze chwilę. Nie śpiesz się nadto, bo się pomylisz.

Zapadło milczenie. Franciszek gładził dłonią trawę.

— Ciekawe, jak też nas przyjmą w Rzymie — zastanawiał się brat Sylwester.

— Jutro tam będziemy — dorzucił brat Jan Parenti.

Radzi teraz wszyscy mówili, by zetrzeć dreszcz, jaki ich przejął w czasie przemowy Franciszka.

— Zajdziemy do naszego biskupa Gwidona?

— Oczywiście! Przecież nas do tego upoważnił i obiecał pomoc...

— To nawet lepiej, że nie przybędziemy wieczorem... Gdzieżby po nocy do niego kołatać?

— Zwłaszcza że z pewnością nim do biskupa, zajdziemy do grobu Apostoła...

— I tam by nas nie puścili nocą...

— Jak nas przyjmie Ojciec święty? Ja się trwożę...

— Co zrobimy, jeśli na naszą regułę nie zwoli?

— Ja bym radził — (to mówił brat Eliasza) — skorzystać z tego, że brat Leon jeszcze pisze, i odczytać sobie głośno regułę. Może dałoby się w niej coś zmienić, złagodzić, by łatwiejszą była do przyjęcia...

— Nie można w niej zmieniać ani jednego słowa! — zawołał żywo Franciszek. — Ale przeczytajmy, owszem. Daj naszą regułę, Baranku.

Brat Leon wyciągnął spiesznie z zanadza złożony we czworo pergamin.

Brat Eliasza wziął go, rozłożył i czytał:

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Reguła Braci Mniejszych zaczerpnięta z Ewangelii Pana naszego Jezusa Chrystusa:

...I rzekł Pan do nich: Nie bierzcie w drogę ani laski, ani taistry, ani chleba, ani pieniędzy, ani po dwu sukien miejcie.

...Do któregokolwiek domu wejdziecie, naprzód mówcie: Pokój temu domowi! A jeśli tam był syn pokoju, pokój wasz spocznie na nim. A jeśli nie, pokój wasz wróci do was.

...A w tymże domu jedzcie i pijcie, co wam dadzą, gdyż godzien jest robotnik zapłaty swojej...

...A idąc mówcie, iż się przybliżyło Królestwo Niebieskie. Do pokuty wzywajcie, niemoce uzdrawiajcie, trędowatych oczyszczajcie, czarty wyganiajcie. A nagrody za to żadnej nie bierzcie. Darmoście wzięli, darmo dawajcie.

...A do któregokolwiek miasta przyjdziecie i przyjmą was, jedzcie, co przed wami położą.

Brat Eliasz przerwał czytanie.

— Ten ustęp należałoby zmienić lub całkiem opuścić — rzekł swym chłodnym, pewnym głosem. — Wywoła on słuszny gniew Ojca świętego. Przecież — posty! „Jedźcie, co przed wami położą”! Więc jeśliby w suchedni kładli kapłona czy świnię — jeść?!

— To są słowa Pana naszego, bracie Eliaszu! Pan nasz uczniom swoim postów nie nakazywał. Posty są dla bardzo sytych, bardzo możnych, nie dla chudziaków jak my...

— Co i tak zawsze pościmy — mruknął brat Maseo.

— Czyńcie, jak chcecie, przecie uprzedzam, że będą z tym wielkie kłopoty.

— Jaki kłopot mogą sprawić słowa własne Pana naszego?

— Ja wiem, że własne. Ja wiem, że z Ewangelii. Ale tym ust nikomu nie zatulisz. Lepiej wpierw dobrze się zastanowić, co odpowiedzieć, jak uzasadnić... Tam będą ludzie uczeni. Znajdą sto tłumaczeń. Że to zalecenie było dane uczniom Pańskim, nie nam, że były inne czasy...

— Słowa Pana naszego obowiązują na wszystkie czasy! A zastanawiać się próżno. Marnym naszym rozumem nic nie wymyślimy. Przy tym w Ewangelii powiedziane jest: „A gdy was będą wodzić do urzędów i zwierzchności, nie frasujcie się, jako albo co odpowiadać macie. Bo Duch Święty nauczy was onej godziny, co wam potrzeba mówić”.

Brat Eliasz wzruszył niedostrzegalnie ramieniem i podjął dalej czytanie:

...A najważniejszym przykazaniem braci, aby się społecznie miłowali. Po tym poznają, żeście prawi uczniowie Pana, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu.

...A kiedy człowiek, który przyjdzie ku braciom, przyjaciel czy wróg, choćby był złodziej lub łotr, ma być przyjęty od nich serdecznie jak swój...

Brat Eliasz znów odłożył pergamin.

— I na to Ojciec święty się nie zgodzi — zauważył. — Czyste szaleństwo! Więc gdyby przyszedł znany mężobójca, zbrodniarz, też go mamy przyjąć i może jeszcze ugościć?

— Tak — stwierdził stanowczo Franciszek. — Bo któż wie, czy nie uda się nakłonić go do pokuty?

— On tymczasem ograbi braci i...

— Z czego ograbi? Cóż nam uczyni? Śmierci żaden z nas się nie lęka. Siostra to nasza. Ograbić można tylko takiego, któren coś posiada. My nic nie mamy. Ani nam na duszy nie zaszkodzi, bo tak tuszę, że łacniej brat namówi zbója do miłości Chrystusowej niżli zbój brata do

zbójckiego rzemiosła. A cóż za pożytek z nas będzie, jeśli z samymi dobrymi przestawac będziemy?

— Skończyłem pisać — obwieścił z ulgą brat Leon.

— Chodźmy zatem! Dokończymy czytania regułki na wieczornym postoj.

Powstali żwawo. Jedni poszli za bratem Masseo ku opuszczonej wczoraj gospodzie, drudzy w las na poszukiwanie człowieka, którego Franciszek nazwał kusicielem dzieci. Rozdzielili się po dwóch. Brat Leon spojrział łzawo, że Franciszek bierze ze sobą brata Anioła. Sam poszedł tedy z bratem Janem Parenti. Szedł i wzdychał.

— Co was dręczy, bracie Leonie? — pytał profesor.

— Jestem do niczego — wyznawał zapytany z żalem. — Nie rozumiem, że ojciec Franciszek pozwala mi być swoim sekretarzem. Przecież ja jestem taki nieuk! Taka niezdara! Jestem pewien, że wy napisalibyście to samo o wiele prędzej... Poza tym mam na sumieniu wielki grzech...

Brat Jan uśmiechnął się mimo woli.

— Jakież to grzech, Baranku?

— Nie lubię brata Eliasza.

W tym czasie Franciszek mówił do brata Anioła:

— Widziałem twój niepokój, braciszku, wczoraj, gdy wędrowiec z gospody wyśmiewał rycerstwo, a raczej mnie jako rycerza. Nie było czym się przejmować. A ty sadziłeś jak koń dźgnięty ostrogą. Także cię jeszcze te sprawy mocno trzymają?

— Trzymają — wyznał di Tancredi rumieniąc się jak dziewczyna. I spiesznie zaczął mówić:

— Ja przecie wiem, że teraz lepszym, mężniejszym rycerzem niż dawniej. Przecie... Szczególnie, gdy zobaczę...

— Żal zbiera? — spytał cicho, serdecznie Franciszek.

Brat Anioł nie odpowiedział. Łzy stanęły mu w oczach.

— Czy chciałbyś wrócić do świata, braciszku?

Zapytany skoczył, tym razem rzeczywiście niby koń tknięty ostrogą.

— Nie! — krzyknął szczerze. — Nie! Za nic!

Franciszek odetchnął.

— Tak — rzekł powoli. — Bywa ciężko, a przecie żaden z nas już by nie wrócił. Lub wróciwszy i doby nie wytrzymałby w dawnym życiu. Takie by się ono zdało puste i jałowe... Bogu miłosiernemu dziękujmy, że na nas zawołał, a potykajmy się mężnie z owymi żałami...

Urwał, bo niedaleko nich na drodze rozległy się głosy. Chrust trzeszczał pod stopami. Franciszek rozjaśnił się.

— Poszczęściło się nam, bracie. Ani chybi, dzieci idą!

— Może inne.

— Dowiemy się.

Poszli na przełaj w kierunku głosów i niebawem ujrzeli gromadkę niedorostków. Trzech chłopców i dwie dziewczynki. Na widok braci przystanęli nieufnie.

Franciszek uśmiechnął się do nich.

— Pokój niech będzie z wami. Tina i Beppo z gospody „Pod Dobrą Opieką” sąż tutaj?

Ładna, chuda dziewczynka, najwyżej jedenastoletnia, i starszy nieco od niej wyrostek wysunęli się naprzód.

— To my. Czego chcecie?

— Matka niepokoi się o was. Jakże tak można odchodzić, matce się nie opowiedziawszy?

Wzruszyli obojętnie ramionami.

— Pan nasz nie pozwolił zasmucać rodziców — ciągnął Franciszek.

— Pan nasz kazał wszystko rzucić, by iść za Nim! — krzyknęła Tina.

— Dorosłym, maleńka moja siostrzyczko, dorosłym! Człowiek dojrzały wie, dokąd go Bóg woła. Dziecko musi zaufać rodzicom...

Szli, rozmawiając, gościńcem. O parę kroków w przód wyszli z lasu brat Kapelusznik z bratem Sylwestrem. Radzi, że już szukać nikogo nie trzeba, przyłączyli się do gromadki.

— Rodzice o Panu naszym nie myślą — mówił chmurnie Beppo. — Żyją, jakby spali. Nic ich nie obchodzi. Grób Pański w ręku pogan, a im to za jedno. Tylko o sobie myślą... Więc my ich musimy zastąpić...

— Raczej powinniście ich obudzić i do służby Bożej zapalić... Prosić, by się odmienili dla miłości Boga i waszej, a nie odbiegać, słuszny gniew budząc.

— Szkoda trudu. Starych nic nie odmieni.

— Kto wam to mówił?

— Mikołaj — zakrzyknęła prędko Tina i zaczerwieniła się pod karcącym spojrzeniem swego brata.

— Któż to jest Mikołaj?

Beppo spochmurniał jeszcze więcej.

— Człowiek Boży — rzekł, ważąc słowa jakby w obawie, że powie za dużo. — Wrócił niedawno z Ziemi Świętej. Opowiada nam o pohańbieniu Grobu Świętego. Płaczymy z nim razem, a potem modlimy się o miłosierdzie nad Jerozolimą...

— Dlaczego nie przyjdzie powiedzieć o tym we wsi, gdzie by rodzice się mogli także zejść i posłuchać?

— On nie chce. Powiada, że starsi mają twarde i zastygłe serca i że nie warto do nich przemawiać. Przecież dopuścili do utraty Grobu...

— Źle mówi Mikołaj. Żaden człowiek żywy nie ma zastygłego serca.

— Pytał nas także, czyśmy słyszeli głosy. Dawniej nie słyszało ich żadne z nas, ale teraz słyszymy je wyraźnie w lesie po jego opowiadaniu. Głosy mówią: Wyzwólcie Grób Święty z niewoli! — mówiła spiesznie z przejęciem Tina.

— Skądkolwiek pochodzi ten głos, nie zapominajcie o nim, gdy dorośniecie i przyjdzie wasza kolej walczyć o Grób Święty!

— My nie możemy czekać, aż dorośniemy. My chcemy teraz.

— Teraz!? Dzieciątka moje! Cóż teraz zdiełacie? Jak się do Ziemi Świętej dostaniecie? Jak będziecie walczyć?

— Mikołaj powiedział, że staną się wielkie cuda, byleśmy się licznie zebrali.

— Cuda?! — wykrzyknął z ciekawością milczący dotychczas brat Jan a Capello. — Jakie cuda?!

Tina spojrzała na niego oczami rozszerzonymi z zachwytem.

— Och, wielkie! — zapewniła. — Słońce wypije morze i przejdziemy suchą nogą... Mury saraceńskich twierdz same się rozlecają. To Mikołaj wie na pewno.

— Grzech oczekiwać takich cudów od Pana naszego — odparł gorąco Franciszek. — Gdzie mieszka Mikołaj? Rad bym go spotkał i zobaczył.

Dzieci spojrzały na siebie uśmiechając się filuternie.

— O, nie zobaczycie go. I nikt nie zobaczy, chyba że on sam zechce... Bo on może się stać niewidzialny albo ulecieć do nieba....

— Tina! — rzekł surowo Beppo. — Mikołaj zabronił o tym mówić, a ty paplesz...

Franciszek patrzył na nich ze wzrastającą troską.

— I wy widzieliście, jak się unosi w górę albo staje niewidzialny?

— Nie, ale wiemy. On sam nam o tym powiedział. I pożegnał się, bo przyjdzie znowu dopiero za miesiąc. Dlatego byliśmy dłużej...

Dochodzili do gospody. Reszta dzieci już wcześniej odłączyła się i pobiegła do wsi. Sabina dojrzała idących i wypadła na drogę. Z krzykiem przeplatany łzami i śmiechem ścisnęła dzieci, poszturchiwała je, łajęła, groziła surową karą, to znów chwyciła w objęcia. Poddawały się tym wybuchom matczynym obojętne, niby obce. Gdy się nieco uspokoiła, Franciszek odciągnął ją na bok.

— Sostro — powiedział poważnie. — Ten człowiek, do którego dzieci biegają, jest gorszy, niżesmy sądzili oboje... To kusiciel...

— Zaraz wiedziałam! — zawołała. — Ale dam mu radę! Skrzyknę całą wieś i pójdziemy go szukać z pałkami.

— To nic nie pomoże. Choćbyście go zabili, to nie pomoże... Straciecie dzieci na zawsze. One w niego wierzą.

— Więc co mam robić?! — jęknęła zasłaniając twarz fartuchem.

— Nawrócić się gorąco do Pana naszego. Żeby Jego krzywdy obchodziły was równie mocno, jak obchodzą dzieci... One się żalą, że rodzice nie dbają o Grób Święty. Tę waszą obojętność wyzyskuje zły człowiek...

— Więc co? Mam jechać do Ziemi Świętej? Dość tam ludzi poginęło!

— Nie potrzeba jechać do Ziemi Świętej, ale miłować Pana naszego, jak Go wasze dzieci zamiłowały...

Słuchała z rosnącym zniecierpliwieniem.

— Albo to ja poganka? Albo ja w Boga nie wierzę?

— Wierzcie, ale Go dostatecznie nie miłujecie. Trzeba Go żywo, czujnie ukochać... Jak dzieci... Trzeba o Nim przede wszystkim myśleć. Wtedy Tina i Beppo do was wrócą i będziecie jeszcze razem błogosławić tego kusiciela...

— A niech go powietrze! — wrzasnęła już rozgniewana. — I was też! Widzieliście bakalarza? Dziad, włóczęga, koszuli na grzbiecie nie ma i będzie mi rady dawał! Sostro! Ja wam nie siostra! Nie potrzeba mi waszych nauk!

Odeszła mamrocząc gniewnie. Czterej bracia zawrócili ku kapliczce.

— Cóż za dziwna historia — mówił brat Anioł. — Co myślicie o tym, bracie Franciszku?

— Ależ to nadzwyczajne! — wykrzyknął Jan a Capello. — Te cuda! Te cuda!

— Ostrożnie, bracie Janie. Wszystko wokoło nas jest wielkim cudem, ale nie wierzę w cuda, którymi chełpi się człowiek. Podobnie chwalił się kiedyś Szymon Magus, że wzleci w powietrze. Obawiam się, by ów Mikołaj nie był z gatunku Szymona Maga...

Przy kapliczce wszyscy już byli zebrani. Brat Maseo rozłożył na płaskim kamieniu wcale pokązaną ilość otrzymanego od Sabiny chleba, garść oliwek i trochę sera.

— Co za uczta! — zawołał Franciszek już wesoło. — Dobrze nas żywi nasza pani Bieda. Jedźmy żwawo, mili bracia, po czym zaraz ruszajmy do Rzymu, do Rzymu.

Rozdział piąty

Hop! Hop!

Zazdrośni twierdzili, że Wilhelm Divini nie śpiewa już tak pięknie jak niegdyś, on jednak zdawał się tego nie spostrzegać. Zadowolenie z samego siebie krasilo niezmienną pogodą jego nieco pomarszczone lico, przyciężką postać podstarzałego trubadura. Na głowie nosił czarną aksamitną czapkę, a na niej złoty wieniec laurowy, którym przed laty Rzym wieńczył go uroczystie na Kapitolu jako „króla pieśniarzy”. Młodzieńcze pukle starannie trefionych i barwionych włosów spływały na ramiona, lecz wierzch czaszki skryty pod czapką był łysy. Pomimo tego jednak gloria zdobywcy serc niewieścich nie przestawała otaczać Wilhelma. Nieskończony sznur jego kolejnych miłośnic obejmował całą ówczesną kobiecość, od urodziwych, prostych dziewcząt z ludu do najdostojniejszych dam i rzeczywistych królowych. Aż większość kobiet uwierzyła, iż żyć w tym samym wieku co Divini, a nie zostać przezeń wyróżnioną, równałoby się hańbie.

Przy dzisiejszej uczcie jednak, wydanej przez szlachetnego rycerza Gracjana Frangipani na cześć rycerza Jana de Brienne, król pieśniarzy nie zajmował się szczególnie żadną białogłową. Pani domu, szlachetna Jakuba Settesoli, małżonka Gracjana, była tak nieznośnie, tak nudnie uczciwa! A może po prostu głupia? Młoda, przystojna, a nie rozumiejąca zgoła delikatnej gry miłosnej, będącej zaszczytem i przywilejem trubadurów. Udział szlachetnej pani w tej grze nie uchybia jednak bynajmniej czci męża. Owszem, małżonek jest rad, gdy głośny w całym świecie

śpiewak poświęci wdzięczne strofy jego żonie i chełpi się jej barwą przypiętą do wioli. A Jakuba nic nie rozumiała! Mimo swego wysokiego pochodzenia zachowywała się jak prostytutka. Jej przezroczyście orzechowe oczy patrzyły na świat nie po kobiecemu. Po męsku raczej — śmiało, otwarcie, nieco nawet szorstko. W swych sztywnych, uroczystych szatach robiła wrażenie młodego chłopca przebranego za niewiastę. Mowa jej była równie powściągliwa jak zachowanie. Nie znosiła w swej sypialni obecności karłów ni tureckich niewolników, jak to było u pań ówczesnych we zwyczaju, a już obowiązek zapisania się w księdze kochanek boskiego Wilhelma zdawał się dalekim od świadomości pani Jakuby.

Że zaś w obecności pani domu uchybieniem byłoby nadskakiwanie innej niewieście, uwaga pieśniarza nie miała gdzie spocząć. Bohater dzisiejszej biesiady Jan de Brienne milczał, nie zachęcając do rozmowy. Siedział na ozdobnym poręczowym krześle, mając po lewej stronie pana domu, po prawej biskupa Akry, Waltera z Florencji, który przyjechał po niego w poselstwie i od roku z górami cierpliwie na swego elekta czekał. Naprzeciw pana de Brienne drugi poseł, pan Aymar de Layron z Cezarei, wesoły roztropny rycerz, opowiadał o łatwości i ponętach życia w Syrii.

— Nie będę nużył Waszej Dostojności — prawił — opisywaniem owych cudownych świątyń i pałaców, jakim tu równych nie spotkasz, owych ścian wykładanych mozaiką, dziedzińców, gdzie pluszczą fontanny, w największy skwar chłód przyjemny sprawiając... Nie będę również gadał o męstwie tamecznych rycerzy, których czyny dość się już stały w całym świecie głośne. Ani urody białogłów... Ani bogactwa, które się przez grody przelewa... Połowa handlu świata idzie przez nasze porty...

Jan de Brienne przerwał mówiącemu niecierpliwym gestem ręki.

— Zdumiewam się, panie, słuchając! Myślałby kto, że królestwo po dawnemu w mocy szczególnej trwa... Że jest, jak było za Baldwina albo Fulka... A przecie wiem dobrze, jak się dziś owe świątyni przedstawiają: skrawek wybrzeża z łaski sułtana w waszym posiadaniu pozostający, król zależny od wszystkich panów europejskich, kornie czekający, zali mu zechcą dać pomoc lub nie!

De Layron zaczerwienił się gwałtownie.

— Zbyt gorzkie to słowa, Wasza Dostojność, zbyt gorzkie! Stan tak czarno przedstawiony może się każdej chwili odmienić... Dawno już przed Królestwem Jerozolimskim nie stały równie pomyślne jak dziś horoskopy! Potęga Saladyna nie istnieje. Islam w rozproszeniu. Gdyby sześć lat temu rycerstwo, zamiast uderzyć na Bizancjum, ruszyło, jak było winne uczynić, na Jerozolimę, klnę się na moją tarczę, że Grób Święty byłby już znów w naszym ręku! Wysokie

doświadczenie wojenne Waszej Dostojności, jego zapal, przy poparciu Ojca świętego, spowodują niechybnie nową, tym razem właściwie pokierowaną wyprawę...

De Brienne pokiwał niedowierzająco głową.

— Wątpię, zali uda się zebrać siły równie liczne jak sześć lat temu. Ludzie ostygli w zapale i nieradzi iść wojować.

— O, Wasza Dostojność — jęknął żałośnie biskup z Akry. — Czyż możliwe, by chrześcijanie zobojętnieli do tyła na krzywdę Grobu Świętego?

Jan de Brienne nic nie odpowiedział. Dopił kielicha i postawił go z hałasem na stole. Zmilczał, bo gdyby był szczerym, musiałby odrzec: Czy możliwe? A ja?! Spójrzcie na mnie! Wszakże zamiast radować się, że Bóg dał mu możliwość walki o Grób Święty, on, rycerz, zwlekał i opierał się, i myślał, zamiast o Jerozolimie, o ukochanej niewieście. Tamto zdawało się dalekie. Blanka bliską. Niezbędną. Miłość i żądza, wzmożone gorzką wytrawnością lat przejrziałych, trzymały go mocno w swoim posiadaniu. Pod ich czarem nie przestawał buntować się przeciw musowi czyniącemu go królem. Ze złością prawie spojrział na biskupa z Akry. Spokojny staruszek odczuł niezadowolenie swego przyszłego pana, a nie wiedząc, czym by na nie zasłużył, jął wychwalać zalety królowy Marii, opisywać niepokój, z jakim oczekuje wieści o przybyciu oblubieńca. De Brienne wychylił nowy kielich. A niech szcześnie, nim do niej dopłynę! — pomyślał w przystępie nagłego gniewu.

Acz myśl nie wybiła się słowem, zdradziły ją lica narzeczonego.

Biskup umilkł zakłopotany. Zapanowała na chwilę cisza, rzecz niedobra wśród biesiady. Gracjan Frangipani spojrział prosząco na króla trubadurów. Czy nie raczy uświetnić zebrania swoim boskim śpiewem?... Divini, wytrawny dworak, zrozumiał i nie dał się prosić. Wstał, wypiął wspaniałą pierś opiętą w czerwony jedwab, skinął łaskawie głową. Pokłonił się w stronę Jakuby. Grajkowie, siedzący na chórze w głębi komnaty, chwycili wiole, by wtórować. Mistrz zwrócił się ku Janowi:

— Na waszą cześć, Dostojny, a niedługo Miłościwy Panie, zaśpiewam piosenkę po waszemu.

I w dźwięcznej mowie prowansalskiej, zwanej słusznie mową poetów, jął śpiewać znaną powszechnie kanconę:

...Gdy jesień nadchodzi, wzmaga się w sercu żal za przeminioną wiosną. Gdy słodkie grona obciążą winnice, serce najsilniej odczuwa żary miłosne. Nigdy ramiona lubej nie są tak nęcące a uścisk ich równie mocny... Nigdy biesiada miłosna tak drogą... Piękny amorze, daj mi jeszcze użyć beztroskich świtów radości...

Choć znawcy twierdzili, że głos boskiego Wilhelma dalekim jest od dawnej doskonałości, pozostawał on jeszcze niezrównanie pięknym. Wysoki kunszt pieśniarza rzeźbił każdą strofę, przepajał uczuciem każde słowo, każdy ton. A już nie rzeczą kunsztu było, że niezależnie od słów, w głosie niemłodego śpiewaka drżała tęsknota za życiem, które upływa i mija... Ach, jakąż młodość jest piękna, jak szybko uchodzi! Świat odwraca się od starych, darmo za nim nadążają... Uśmiechy kobiet, ich spojrzenia i uściski są już dla innych, dla innych...

De Brienne opuścił głowę, czując się wypełnionym po brzegi tą samą tęsknotą, tym samym gryzącym żalem. Czy przejrzał go ten śpiewak!?

Nie gaś mi zorzy, dniu umiłowany.
Zmierzchu, nie bądź zbyt pośpieszny!
Gdy nieowładna chęć miłości dzierży,
Któż by cię oglądać pragnął...

...Nieowładna chęć! Och, tak! Korzystać swobodnie z ostatnich dni spóźnionej, przez pobyt w obmierzłym klasztorze skróconej młodości! Nie zmarnować jej ani krzty, ani godziny, minuty... Nieowładna chęć... Iście, ona nim władała, nie on nią... Nie będzie się przeciw niej bronił.

Divini skończył. Z hałasem porwawszy się z miejsc biesiadnicy krzyczeli, klaskali. Król pieśniarzy uśmiechnął się ocierając pot z czoła. Jan de Brienne nachylił się ku niemu:

— Nie składają się słowa, gdy dusza zbyt pełna. Waszego śpiewu nie zapomnę póki życia. Raczcie to przyjąć ode mnie.

Wsunął na palec trubadura pierścień, który mu przed wyjazdem z Francji ofiarował do końca uprzejmy król Filip. Piękny, królewski pierścień; Divini, który kochał się w klejnotach jak każdy Italczyk, pokraśniał z zadowolenia.

A że był biegłym znawcą spraw miłosnych, pomyślał od razu:

...Szyję dam, że ten siwek płonie jeszcze do jakiejś białogłowy...

Po ciszy, w jakiej słuchano pieśni, salę wypełnił z ulgą przez gospodarza powitany gwar. Zresztą uczta miała się już ku końcowi i wszyscy spiesznie mówili, jakby w obawie, że nie zdążą powiedzieć nie wyrażonych jeszcze zdań. Grajkowie na chórze brzdąkali cicho na wiołach. Psy warczały, wrywając sobie kości pod stołem. Jan de Brienne milcząco wychylał kielichy.

...Nierozmowny nasz król — myślał z urazą pan Cezarei. — Mówiono, że przedni rycerz, a to sęp, sowa! Dobrze przynajmniej, że hojny. Taki pierścień ofiarował za piosenkę!

Zerkając z upodobaniem na tenże pierścień, Wilhelm Divini usiłował zająć rozmową Jakubę.

— Zdązałem właśnie tutaj, wdzięczny za pamięć i zaszczyt — mówił — gdy drogę zagroził mi tłum. Zwarty tłum jak przy straceniu. Ani się koniem precisnąć... Radzili pachołcy objechać, ale myślałem, że czarownicę kat piecze, i ciekaw byłem obaczyć... Docisnąłem się na plac...

— Cóż tam było?

— W tym właśnie dziw, że właśnie nic nie było. Biedaczyna jakiś oberwany, chuderlawy stał i gadał do ludzi... Oni zasie słuchali... Szlachetna pani! Raczyliście przed chwilą darzyć uwagę moją skromną piosenkę, ale, na święte dziewice, niczym to w porównaniu z zasluchaniem owego tłumy! Nie zdarzyło mi się spotkać czegoś podobnego! Słów, niestety, nie dosłyszałem. Może byłbym mógł posłyszeć, ale ściśniony ludek zanadto cuchnął, żeby można tam wytrzymać. Łój i czosnek. I nigdy nie myte kołtuny.

— Szkoda. Przecież to ciekawe, o czym im mówił — rzekła Jakuba otwierając szeroko swoje orzechowe oczy.

— Potrzęsnałem za kark stojącego najbliżej i pytam: o czym gada? Spojrzał nieprzytomnie: „O miłości Boga!” — i słuchał dalej...

— Na pewno jakiś nowy odszczepieniec — rzekł Gracjan Frangipani. — Prawdziwy dopust Boży z heretykami. Wszędzie ich pełno. Ledwo jednych stracą, już są nowi... I ten wasz mówca pewno nie o miłości Bożej gadał, jeno o zabranii majątków kościelnych i rozdaniu ich słuchaczom. Tylko tego ludzie równie pilnie słuchają.

Divini uśmiechnął się.

— Wyznam otwarcie, że mniej mnie obchodziło, o czym ów człowiek mówił, niż sposób, w jaki mówił. To artysta. Wielki artysta! Gestykulował tak namiętnie, a zarazem tak szczerze, że przekonywał samym widokiem o słuszności swoich słów. Chwilami przeżył się w górę, jakby miał za chwilę ulecieć ku niebu... Doprawdy! I to zasluchanie ogólne... Zdawało mi się, że cały świat nadstawia ucha z uwagą... Wiatr nie szeleścił. Jaskółki usiadły rzędem na brzegach dachów i żadna nie ćwierknęła nawet.

Frangipani wybuchnął śmiechem.

— Posłuchajcie pieśniarza, Wasze Dostojności. Jaskółki słuchały... Kury i świnię, których wszędy pełno się wałęsa, też?

Jakuba zamyśliła się.

— Jakże chciałabym wiedzieć, co mówił ten człowiek, skąd przyszedł!

Siedzący na końcu stołu majordomus Frangipanich podniósł głowę:

— Ja sędzę, Wasza Wielmożność, że to jeden z tych półobłąkanych żebraków, których biskup Gwido z Asyżu gości u siebie od tygodnia blisko. Jest ich cała gromada. Sprawiają różne grube roboty w kuchni biskupiej, a w wolnych chwilach włóczą się po mieście i mają kazania do ludzi...

— Zatem nie heretycy! Może posłać pachółka, by sprowadził tego mówcę, któregoście, panie, słyszeli, i niechby nam powtórzył, co mówił ludowi?

Divini potrząsnął głową.

— Obawiam się, szlachetna pani, że wrażenie pryśnie. Ten nieborak będzie przecież stropiony, przerażony, oszołomiony! Zapomni języka w gębie. Najlepiej byłoby posłyszeć go tam, na placu...

— Z jaskółkami, czekającymi cicho, aż skończy? Och, tak... Ale to znów zbierze się tłum, z którym istotnie niemiło stykać się z bliska...

Słońce grzało. Pył drzał w powietrzu. W wąskich, dusznych uliczkach rzymskich i na zalanych światłem placach pełno było ludzi. Długoletni spokój (od czterdziestu paru lat nie widziano w murach Wiecznego Miasta najeźdźcy!) odbił się na wyglądzie i zamożności grodu. Choć nie wszystkie pogorzele były już zabudowane, deszcze starły ślady spalenizny ze szczątków murów, nadając im wygląd pogodny. Nowe lepianki i budy mieszkalne, które unicestwiał każdy pożar, znosiła każda inwazja, obrosły znów, gęsto jak grzyby, stoki wielkich pogańskich budowli. Życie roilo się gwarne, próżniacze. Obladowany warzywami osioł piął się z wolna spadziłą uliczką. Stara kobieta podobna do wiedźmy wypadła z domu za uciekającym kotem, próżno usiłując dosięgnąć go pogrzebaczem. Półnagie urwisy wykrzywiały się do niej, krzycząc: „Co wam porwał, donno Sylwio? Co wam porwał?!” — „Nie wiesz? — wołali inni. — Tego szczura, co go miała zjeść jutro na pieczyste!” Kot siedział bezpieczny na dachu, a chłopcy uciekali z kolei przed gniewem staruchy. Pośrodku placyku leżał wielki zwalony pień drzewa. Kilkoro dzieci przyciągnęło skądś długą deskę i położywszy ją w poprzek pnia huštało się, aż śmigały w powietrzu opalone pięty. Psy myszkowały w śmietniku. Kozy przechadzały się z powagą pośród ludzi. Franciszek i towarzysz jego, brat Jałowiec, siedzieli pod płótem, by wytchnąć, nim pójdą dalej. Tam ich znalazł pachółek wysłany z pałacu szlachetnych Frangipanich.

— Hej, wy! — zawołał. — Gadaliście tu, na tym placu dzisiaj przed południem?

— Ja mówiłem — rzekł Franciszek.

— Masz szczęście, dziadu. Pan Wilhelm Divini, król pieśniarzy, zauważył cię i całe szlachetne towarzystwo wali tutaj. I nie odchodź stąd nigdzie, boby mnie skłęli, że cię nie znalazłem...

— Nie chciałbym, by cię skłęto, bracie, i nigdzie nie odejdę — zapewnił Franciszek.

Uspokojony pacholek zajął się sprawnie oczyszczaniem placu.

— Fora stąd, hołoto! — wrzeszczał. — Szlachetni, urodzeni, wielmożni jada! Nie potrzebują wachać waszego smrodu! Żeby mi tu nikogo nie było! Jazda!

Rozprawiał się energicznie, nie szczędząc razów krótkiego batoga. Gawiedź pierzchła. Dzieci wdrapały się na parkan, by widzieć, co nastąpi. Porzucona przez nie deska bujała się jeszcze z rozpędu. Na placu nie było już nikogo prócz Franciszka i brata Jałowca.

— Nie odchodźcie, bo oni już jada — krzyknął jeszcze pacholek i znikł. Jakoż w górze słychać było tupot kilku koni. Brat Jałowiec patrzył wyczekująco na brata Franciszka. Franciszek uśmiechnął się do niego po swojemu.

— Bracie — rzekł nagle — od dzieciństwa nie siedziałem na takiej bujaczce...

— Ja też — przyznał brat Jałowiec.

— Gdybyśmy się pohuścili? Nie ma w tym chyba nic, co by urażało Pana naszego?

— Z pewnością nie! — wykrzyknął brat Jałowiec ochoczo, podskakując jak dziecko z uciechy. Zajęli miejsca na obu końcach deski.

— Hop! — Franciszek odbił się mocno piętami o ziemię. Deska uniosła się w górę. — Teraz ty, bracie! Mocniej, boś cięższy ode mnie... Hop!

Brat Jałowiec śmiał się w głos z zachwytu. Franciszek przysiadł teraz do ziemi, skulony, mały jak wróbel. Jałowiec macha z radości nogami. Hop! Teraz Franciszek w górę.

Na placyk wjeżdża już dostojny orszak. Jan de Brienne i pani Jakuba, i Wilhelm Divini, strojny swym złotym laurem na czapce, i szlachetny rycerz Gracjan Frangipani.

— To ten, Wasza Wielmożność! To ten! — pacholek ukazuje ręką bujającego się Franciszka.

Rycerz Frangipani ściąga wodze konia.

— Co?! — powtarza ze zdumieniem. — Ten błazen na huścawce?! My go mamy słuchać?!

— Istotnie, zdaje się, że to ten sam — przyznaje ze wstydem Divini.

— Mam lepszych trefnisiów na dworze. Potrafią was godniej rozweselić... A to kaznodzieja!... Zawracajmy, Wasza Dostojność...

Przystają wszyscy bez słowa. Nie można przecież poświęcać uwagi przygląpkowi kołyszącemu się na desce. Odjeżdżają. Divini jest markotny. Pani Jakuba zawiedziona. Jan de Brienne obojętny. Co go to obchodzi?!

Franciszek schodzi z huśtawki, choć brat Jałowiec chętnie by się jeszcze pobujał. Rozegnani poprzednio ludzie powracają. Kot wygrzebieca się na dachu.

Obaj bracia wracają do pałacu biskupa Asyżu. Franciszek wzdycha frasobliwie.

— Źle postąpiłem — wyznaje. — Zgorszyłem tych pięknych państwa, a oni może naprawdę pragnęli usłyszeć słowo Pana naszego?

— O, nie — odpowiada z przekonaniem brat Jałowiec. — Przyglądałem się im uważnie. To byli sami bogacze.

— Cóż stąd, braciszku? Czyż bogacz musi być gorszy od ubogiego? Źle będzie, jeśli się zaczniemy ponad nich wynosić... Bo trzeba nienawidzić bogactwa, ale miłować jednakowo wszystkich ludzi, choćby obciążonych bogactwem... Każdy z nich może pozbyć się majątku oddając go ubogim i stać się Chrystusowi Panu najmiłszym, cenniejszym wiele od nas... Tak, bracie. Bardzo zgrzeszyłem...

— Ja jestem pewien — upierał się Jałowiec — że oni przyszli z samej ciekawości.

— Iluż przychodzi z ciekawości, a odchodzi zapalonych w duchu?! Pycha, pycha... Braciszku, ciężko zgrzeszyłem... Rozkazuję ci opowiedzieć o tym wszystkim braciom i wszystkim ludziom, z którymi mówić będą i którzy byliby o mnie lepszego zdania, niż na to zasługuję... Powiesz im: „Franciszek uważa się za mądrego przewodnika, a w rzeczywistości jest głupim pyszałkiem”...

— Nie wiem, czy powiem tak, ojcze Franciszku — wyznaje Jałowiec z zakłopotaniem.

Franciszek obraca się ku niemu oburzony.

— Ale ja ci rozkazuję w imię posłuszeństwa zakonnego! Musisz powiedzieć to, co ci każę! Rozumiesz?

— No więc powiem.

— Pamiętaj. A teraz chodźmy spieszniej. Pilno mi wypowiadać się przed bratem Sylwestrem i prosić go o rozgrzeszenie...

Ale brata Sylwestra nie było i nikt nie wiedział, gdzie poszedł. Za to czekał na Franciszka przelotny znajomy z gospody „Pod Dobrą Opieką”, uczonego bakałarz Mateusz Pesaro.

— Spotkałem na mieście jednego z waszych — mówił. — On mi powiedział, że was tu zastanę... Chciałbym, żebyście się zaznajomili z pewnym człowiekiem, świeżo przeze mnie poznanym, który wiele myśli o zbawieniu swojej duszy...

— To chwała Bogu. Gdzież ten człowiek?

— Nie ma go tu... — Mateusz nachylił się do ucha Franciszka i szepnął tajemniczo: — Ukrywa się... To katar... Może nie zechce pójść wiedząc o tym?

— Dlaczego? Lekarz nie zdrowym potrzebny, jeno chorym... Tylko że co ze mnie za lekarz!? Panie miłosierny, przebac! Najgorszym grzesznik... Gdybyście wiedzieli, co przed chwilą popełniłem.

— Chodźmy żywo — rzekł Pesaro.

Rozdział szósty

Dilemma

Franciszek nie zastał brata Sylwestra, gdyż biskup Gwido wezwał tegoż na poufną rozmowę. Biskup znał go z czasów, gdy obecny towarzysz „szaleńca” Franciszka był osiadłym, zażywnym proboszczem, wcale chciwym, łupiącym bez ceregieli skórę ze swych parafian... Przemiana była zaprawdę dziwna i biskup z nieukrywaną ciekawością przyglądał się swemu dawnemu podwładnemu. Były proboszcz schudł, lecz pomimo to, pomimo grubej opończy z najpospolitszego sukna uszytej, istnego worka z kapturem, wyglądał młodziej niż dawniej. Twarz była jasna, pogodna.

— Siadaj, bracie — rzekł biskup. — Za chwilę przyjdzie tu Jego Wysokość kardynał Jan Colonna. Chcemy pomówić z tobą o sprawie zatwierdzenia waszej reguły. Ojciec święty w najbliższych dniach przyjmie Franciszka i wypowie swoje zdanie. Wiesz, że jestem waszym przyjacielem i pragnąłbym Franciszkowi pomóc...

— Więc pomocy trzeba? — zagadnął Sylwester z niepokojem.

Biskup uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Czy trzeba? Powiem otwarcie, że jeżeli nie zmienicie reguły, Ojciec święty nigdy na nią nie zezwoli! To pewne. Znając drażliwość Franciszka na pewnych punktach, chcemy wprzód pogadać o nich z tobą. Jesteś księdzem. Łatwiej zrozumiesz nasze zastrzeżenia niż Franciszek,

którego kocham, podziwiam, ale zawsze podejrzewam, że nie jest całkowicie przy zdrowych zmysłach...

— Przeciwnie! — wykrzyknął gorąco Sylwester. — Wasza Dostojność! On...

Nim zdążył jednak powiedzieć coś więcej, nadszedł Jan Colonna, kardynał Ostii i Velletrii, najwyższy dostojnik kościelny po Ojcu świętym, mający sam zostać papieżem w przyszłości. Postać miał wytworną, twarz piękną, rozumną. Spojrzał bystro na zmieszanego jego obecnością Sylwestra, usiadł w głębokim krześle i rzekł krótko:

— Więc to jeden z tych półgłówków? Ilu was jest?

— Na razie tylko dwunastu — odparł spieszenie Sylwester.

— Dawno trzymacie się spolem?

— To zależy... Niektórzy przybyli świeżo, ale my, starsi, już od trzech lat...

— Czy są między wami piśmienni, z najprostszym bodaj wykształceniem?

— Są, Wasza Wysokość... Brat Parenti, profesor boloński... Brat Bernard de Quintavalle, prawnik... Brat Rufin Scifi...

— Obecny tu zaś brat Sylwester był proboszczem w mojej diecezji — dorzucił objaśniająco biskup Gwido.

Kardynał nie ukrywał zdziwienia.

— Sądziłem, że pomysł podobnej reguły mógł powstać tylko w głowie zupełnych nieuków... Żyjecie według niej istotnie?

— O, tak, Wasza Wysokość. Usiłujemy nie odbiegać od wskazań Ewangelii świętej...

— I żaden nie porzucił, nie żałował?

— Gdyby żałował, mógłby każdej chwili odejść. Jesteśmy wolni.

— Tak się mówi, a przecież człowiekowi nieraz wstyd odchodzić, choć widzi, że się podjął zadania nad siły... Nie ma wśród was niezadowolonych?

Sylwester zawahał się. Znał myśli takiego na przykład Jana a Capello i wiedział, że były chwile, gdy, co tu gadać, dzielili je inni.

Colonna patrzył na niego przenikliwie.

— Więc są? To aż nadto zrozumiałe... Domyślam się, co musi najwięcej urażać: owo bytowanie włóczęgowskie, to życie z jałmużny, niebezpieczne jutro, przeciwne naturze człowieka...

— Tak — wyznał z żalem Sylwester. — Czasem ogarnia żal za stałym domem... Za jakąkolwiek wygodą. Szczególnie, gdy dymy...

— Co za dymy?

— Wieczorem — bąknął Sylwester zmieszany.

Nie był poetą, przeto nie umiał wyrazić swej myśli. Oto najdotkliwsza tęsknota spadła na nich, gdy wędrowali o zmierzchu wzgórzami, a spojrzawszy w dolinę ujrzeli wznoszące się z dachów dymy. Były wąskimi, prostymi słupami. I wtedy robiło im się nieraz mdło na sercu. Każdy dym uosabiał ognisko rodzinne i można było patrząc z dala roić, że jest ono szczęśliwe, bogobojne i bezpieczne... W odległych domach ludzie grzali się siedząc wygodnie przy ogniu. Ich zaś czekał nocleg w zimnie, na twardych kamieniach jako jedynej pościeli... Wtedy bywało ciężko.

— Wiem też — ciągnął — że brata Anioła, którego pasowanym rycerzem był, szarpie czyzyca, gdy o przewagach rycerskich posłyszysz... Ale to krótkie chwile pokus, w każdym zakonie nieodzownych, po których tym krzepiej odczuwamy Łaskę Pana naszego. I nie masz chyba wśród nas, który by nie był szczęśliwy.

— Nie posiadacie istotnie niczego na własność?

— Nie posiadamy. Ta oto opończa, sznur zamiast pasa, portki... Ani laski, ani sakwy, bo tak jest powiedziane w Ewangelii... A i z tego odzienia, gdyby biedny co zażądał, trzeba mu oddać.

— I co wtedy? Nago chodzić, zgorszenie siejąc?

— Zdarzało się już nieraz, że bracia oddawali kaptur, potem sznur, potem opończę... bo bywa biedak, co się nawet na takie odzienie zlakomi... Kiedyś dwaj nasi bracia w samych porciętach zostali i tak chodzili przez parę dni... Bali się, że i tego od nich zażądata, więc wysmarowali nogawice gnojem, żeby nikt o nie nie prosił...

— Obrzydliwe! — wzdrygnął się ze wstrętem kardynał.

— Pamiętam to zdarzenie — zauważył biskup. — Ja potem sprawiłem owym braciom nowe opończe, a w diecezji ogłosiłem, że wierni nie powinni zabierać wam odzienia.

— Tak jest, Wasza Dostojność.

— Nie trapi was chęć posiadania czegoś, tak właściwa człowiekowi? — badał dalej kardynał.

— Owszem. Ale ją zwalczamy.

— To jest właśnie punkt reguły, który przenigdy zgody Stolicy Apostolskiej nie otrzyma! Bezwzględne ubóstwo! Szaleństwo, w głowie szalonego zrodzone! Sprzeczne z życiem,

sprzeczne z ładem społecznym, zgubne! Można je z trudem a bez wielkiej szkody utrzymać, póki was jest kilkunastu, ale cóż by się stało, gdyby stanęło paruset, tysięcy? Wprawdzie nie sędzę, by liczba wasza wzrosła, ale Ojciec święty, zatwierdzając zakon, musi się liczyć z jego rozszerzeniem. Jak niebezpieczną stałaby się wówczas hałastra ludzi, najlepszych może intencji, ale żyjących z niczego, stanowiąca ciężar nieznośny dla okolicy, wywołująca zgorzenie bezmyślnym miłosierdziem i próżniactwem!

— Próżniactwem! Wasza Wysokość! Franciszek powiada zawsze, że kto nie pracuje, niewart żyć i jeść. Nie pozwala leniuchować żadnemu z nas... Nie wolno nam przyjąć jadła nie zarobiwszy wprzód na nie...

— To słusznie, niemniej bezwzględne ubóstwo jest mrzonką. Niewykonalną, niepożądaną. Odejmijcie ludziom instynkt posiadania, a w proch się obróca sztuka, cywilizacja... wszystko... Musicie waszego kierownika nakłonić do ustępstw, wprzód nim przedstawię regułę Ojcu świętemu.

— Franciszek nie ustąpi — zapewnił Sylwester zgnębiony. — Bo ubóstwo jest dla niego najważniejsze, o nie najbardziej mu chodzi. Przed kilku miesiącami zdarzyło się, że zatrzymaliśmy się w pustej i mało zaludnionej okolicy. Przejeżdżali jacyś kupcy. Dali nam jedzenia więcej, niż było potrzeba na jeden dzień. Nie chcieliśmy brać, ale oni z dobroci porzucili spyżę i odjechali. Franciszek był bardzo zmartwiony. „Co z tym robić? Co z tym robić?” — powtarzał. Bo ludzi, którym by można oddać, nigdzie w pobliżu nie było. Chciał wrzucić zapasy do strumienia, ale powiedziałem mu, że to grzech niszczyć bez pożytku dary Boże. Brat Idzi poradził, by je rozłożyć na noc na kamieniach. „Może przyjdzie lis albo puchacz i pożywi się — mówił. — My zastawimy z kolei stół dla leśnych braciszków naszych.” To go uspokoiło. Ale okolica taka była pusta, że żadne zwierzę, nawet mrówki nie przyszły i rano zastaliśmy zapasy nietknięte. Inni bracia, szczególnie brat Maseo, który jest żarty, cieszyli się, zaś Franciszek szerniał ze zgrzyoty. „Otośmy już bogaczami — mówił — oto już mamy spizarnię i zapasy!”

— Niesłychane!

— Kiedyś znów indziej jednemu z braci strasznie się chciało zatrzymać swój psalterz. Tak prosił, tak prosił, aż nam go wszystkim żal było. Wstawialiśmy się. Niechże sobie chłopaczyna ma tę księgę... Ale z Franciszkiem nielatwa sprawa... Rozgniewał się, jak to on tylko potrafi. Aż zapłonął cały. Aż się trząsał. Braciszek struchlał, a on krzyczał: „Nie dostaniesz psalterza! Nie dostaniesz psalterza! Gdybyś go miał, zaraz by ci się zachciało brewiarza, a po brewiarzu jeszcze innej księgi! I siadłbyś w stallach niby jaki wielki prałat i powiedziałbyś do braci: „Podajcie no mi mój psalterz!” A potem złapał garść popiołu z ogniska i wyszorował nim bratu głowę mocno i

powtarzał: „Oto twój psalterz!” Brat pół nocy płakał, już nie o księgę, lecz że tak ojca Franciszka rozgniewał...

— Niesłychane! — powtórzył kardynał. — Ja sam nie jestem chciwcem, nie przepadam za pieniędzmi, kruszczem białym lub żółtym, zawdzięczającym swe znaczenie obłudowi ludzi, ani nie widzę nic zdrożnego w posiadaniu domu, sprzętów... Chrystus Pan wyróżnił wprawdzie Marię, lecz nie potępił Marty trudzącej się koło domu... Błogosławił uciechę weselnej w Kanie...

— Franciszek chce żyć jak Apostołowie. Powiada: „Gdybym jakikolwiek majątek posiadał, musiałbym też mieć oręż, by tego majątku bronić. Gdybym miał dom, musiałbym naokoło wznieść mur i odgrodzić się od bliźnich, bo może który z tych bliźnich pragnąłby zabrać mój dom. I stróża albo psa, którego bym lichem karmił i drażnił, ażeby się jego uczciwe, psie serce zmieniło na złe i kąsałby ludzi i warczał. A powoli może uzbierałbym pieniędzy i stał się bogatym człowiekiem? Kto ma pieniądze, myśli, że posiadał prawo do wszystkiego, a tak myśląc bardzo grzeszy, bo świat cały należy tylko do Pana... I miałbym spory i sprawy sądowe, i złorzeczyłbym bratu swojemu, i usiłował może zamknąć go w więzieniu? Skalani tyłu grzechami, jakże śmiałybym stanąć w obliczu Pana naszego? A przyczyną tego wszystkiego byłoby tylko bogactwo, nic więcej”. Tak mówi zawsze Franciszek...

Zapadła chwila milczenia. Biskup Gwido zamyślił się. Przypomniawszy mu się długoletni proces o pewien szmat pola, o którym sąsiadujący z Asyżem benedyktyni twierdzili, że należy do opactwa, on zaś, że należy do biskupstwa. Utrapiiony proces! Ileż czasu i zdrowia kosztował... Ach, tak! Nie mieć ciężaru majątku, nie być obowiązany strzec niczyjego dobra!

Ale kardynał nie chciał uznać przytoczonych przez Sylwestra racji.

— Majątku można także używać na dobre — rzekł. — Zresztą mniejszym złem jest dozór nad posiadaniem dobytkiem niż awanturnicze, włóczęgowskie życie, niczym nie zabezpieczone! Tamto z pewnością mniej daje okazji do grzechu niż to... Ubóstwo, o które wam chodzi, można zachować, ale żyjąc w zamkniętym eremie, jak to czynili święci pustelnicy... Pomysł mieszkania wszędzie i nigdzie, niby ptacy na gałęzi, jest barbarzyński i niedorzeczny!

— Osiedłszy na miejscu, nie moglibyśmy katechizować ludzi, co jest głównym naszym celem...

Kardynał potrząsnął głową nieprzejeźdźnie.

— Uprzedźcie waszego inspiratora — rzekł sucho — żeby nie marzył o aprobachie Ojca świętego, jeśli nie wprowadzi przedtem do swojej reguły zmian... Rozsądnych zmian... Przede wszystkim ten śmieszny zakaz posiadania czegokolwiek... Poszczególne człowiek niech nic nie

posiada, owszem. Wszakże to podstawa reguły wszystkich zakonów. Ale zakon jako całość zbiorowa musi się na czymś opierać... Musi z czegoś żyć! Inaczej przedzierzgnie się szybko w bandę darmozjadów, jeśli nie rabusiów! A druga rzecz ważna: posty! Można się dorozumiewać, że nie obserwujecie ich wcale! „Jedźcie, co przed wami położą” — tak brzmi odnośny ustęp, o ile sobie przypominam! Jakże to można pogodzić z nauką Kościoła!? W ogóle nie widzę potrzeby stwarzania nowej reguły. Istniejące już zakony wypróbowały wszystkie sposoby osiągnięcia dostępnej dla człowieka doskonałości i wystarczy wziąć gotowy wzór od któregokolwiek z nich... Jeśli chcecie surowej reguły, to kamedułów...

Sylwester był bliski płaczu.

— Kameduli milczą i myślą tylko o swoim własnym zbawieniu! Franciszek nie chce odosabniać się od ludzi... Chce mówić wszystkim, jak trzeba Pana naszego miłować i dzięki Mu składać, i chwalić... Chce trafić do tych, do których słowo Boże nigdy nie trafia: do łazęgów leśnych, rzezimieszków i takich nędzarzy, o których, zda się, że nawet Bóg zapomniał.

— Dużo wskóra apostołując rzezimieszkom!

— O, już nieraz wskórał, Wasza Wysokość! Spotkaliśmy kiedyś w górach zbójników bardzo srogich, krwią niewinną niejednokrotnie splamionych, co się tam kryli przed sprawiedliwością Bożą i ludzką. I na rozkaz Franciszka oddawaliśmy im przez trzy dni wszystką żywność, jaką uzbieraliśmy dla siebie... Aż się to niektórym braciom zdało dziwne i szemrali... A trzeciego dnia Franciszek, poniośszy zbójom jedzenie, jął z nimi mówić o dobroci Pana naszego i Jego miłości... I onym srogim mężom jęły łzy płynąć i wielka ich skrucha ogarnęła, i wyświadczyli się przede mną, i przysięgli nam uroczyście, że się już więcej zbójectwem trudnić nie będą.

— Raz się udało... — mruknął Jan Colonna.

— To prawda, Wasza Wysokość — przyznał pogodnie Sylwester. — Bo innym znów razem inne zbójce złapały naszych dwóch braci, gdy ci chcieli do nich przemówić, obili mocno i cisnęli z wysoka do potoku. Dziw, że niebożąt nie uśmiercili... Widno jeszcze czas pokuty dla nich nie przyszedł... Nie zawsze się uda trafić do serca człowieka, ale usiłować należy... Dlatego Franciszek nie chce żadnej już istniejącej reguły. On pragnie apostołować według Ewangelii. Każdy nakaz oprzeć na słowach Pana naszego...

— Powiedziałem już, że to niemożliwe. Próżno o tym gadać dłużej — oświadczył stanowczo kardynał unosząc się z krzesła na znak, że rozmowa skończona. Lecz Sylwester, choć przerażony własną śmiałością, jeszcze nie ustąpił.

— Wasza Wysokość! — szepnął błagalnie. — Czy odrzucając pokorne prośby nasze, nas, którzy nic nie pragniemy, jeno żyć według Ewangelii świętej, Ojciec święty nie da do zrozumienia, że nakazy Pana naszego są niewykonalne?

Cisza zapadła po tych słowach i trwała coraz dłuższa, coraz bardziej męcząca.

— Ojciec święty uczyni, co będzie uważał za zgodne z dobrem Kościoła — rzekł w końcu kardynał i wyszedł szeleszcząc płaszczem.

— Spodziewałem się nieco więcej rozsądku po was, bracie Sylwestrze — westchnął biskup. — Wasza sprawa jest przegrana.

W tymże czasie Franciszek, Mateusz Pesaro i nowy znajomy tegoż, członek sekty katarów, czyli czystych, czyli albigensów, najgroźniejszych chwilowo wrogów Kościoła, przeciw którym pan Szymon de Montfort prowadził okrutną i zaciekłą krucjatę, siedzieli w kącie ustronnej winiarni. Franciszek pytał Mateusza, co się dzieje z dawnym jego towarzyszem Pietrem Cani.

Bakałarz wykonał nieokreślony ruch ręką.

— Nie wiem dokładnie, ale to pewne, że nic dobrego. Choć sam mnie zawsze napominał, by strzec się dwu rzeczy: człowieka ryżego, gospody, gdzie mąż stary, a żona młoda, trzebaż trafu, że zamieszkaliśmy w gospodzie, gdzie właściciel był rudy i znacznie starszy od żony! Ładnie się złożyło, co? No i nie wiem, czy dlatego, czy z innych powodów nie poszczęściło się chłopcu. Któregoś dnia przyszli po niego pachołcy ratuszni i ze sobą zabrali. Pewno w loszku przywrzony, bo nie wrócił...

— Cóż takiego uczynił nieborak?! — wykrzyknął Franciszek ze współczuciem.

— I tego też nie wiem, bom był podczas na grodzie, a dopytywać się nadto nie chciałem, by w podejrzenie nie popaść. W dzisiejszych czasach ostrożność nie zawadzi, szczególnie w Rzymie...

— Trzeba by dowiedzieć się, co z nim i jak by mu pomóc!

— Et, wypłacze się sam chyba... Nie dziecko przecież... Zresztą ani to mój przyjaciel, ani krewny, żebym się musiał kłopotać...

Wypowiadając ten rozsądny pogląd Mateusz rozsiadł się wygodniej na ławie. Na swych towarzyszy spoglądał z wysoka, obaj bowiem siedzieli na ziemi. Franciszek zajął to miejsce odruchowo, ponieważ odwykł od sprzętów, przy tym na ziemi siedząc czuł się bardziej sobą, małym Bożym stworzeniem, niż gdyby sterczał na stołku. Widząc jego ruch, katarą uczynił

spiesznie to samo. Nie chciał bowiem, by ktokolwiek prześcignął go w okazywaniu pokory. Zbyt ciężki i gruby, by ich naśladować, Mateusz przyglądał się im ciekawie. Prawdę rzekłszy, nie troska o zbawienie duszy heretyka skłoniła go, że sprowadził tu Franciszka. Nad wszystko kochał dysputy dogmatyczne i obiecywał sobie nie byle uciechę ze sporu tych oto ludzi. Cóż miłszego niż być świadkiem kłótni przedstawicieli dwóch różnych poglądów na istotę Boga? Który też wysunie bardziej przekonujące argumenty? Milczeli na razie, przeto aby ich rozgrzać, kazał podać wina. Albigen odtrącił je pogardliwie, Franciszek z uśmiechem ujął w rękę szklanice.

— Dawno cię nie widziałem, bracie wino — rzekł wesoło — a przecież kiedyś znaliśmy się dobrze...

Patrzył na słońce załamujące się w złocistym płynie. Z wolna twarz jego spoważniała, zastygła. Postawił z szacunkiem nietknięte wino na brzegu stołu. Albigen przyglądał mu się ciekawie.

— Cóż ciekawego w tym kuflu, bracie... Nie wiem jeszcze, jak was zwać...

— Bratem Franciszkiem lub Bratem Mniejszym — odparł zapytany.

— Więc cóż tam widzicie w tym szkle?

— Co widzę? — Franciszek zwrócił na heretyka swe ufne, pogodne spojrzenie. — Ja również nie wiem, jak was, bracie, zwać należy...

— O, zwyczajnie. Brat Doskonały. Takie jest nasze miano.

— Przypomniało mi się, Bracie Doskonały, jak Pan nasz wyróżnił wino spośród wszystkich rzeczy świata... Wino i mąkę białą... Winorośl i pszenicę... One jedne podlegają przeistoczeniu w czasie Ofiary... Taki cud... I z tym winem w szklanicy mogłoby się stać to samo, gdyby je kapłan, nie ja grzesznik, wziął do ręki i do Mszy świętej użył...

— Brat w to wierzysz? — skrzywił się wzgardliwie Doskonały.

Franciszek nic nie odpowiedział. Patrzył dalej na wino z takim wyrazem, jakby złocistość cieczy prześwietlona słońcem zmieniała się w jego oczach w rubinową czerwień krwi.

— Miłujesz ubóstwo — ciągnął katara — przeto myślałem, że należysz do nas... Doskonałych...

Franciszek oderwał oczy od wina. Słońce zasunęło się za oplatający drewnianą kratę winograd i — płyn zgasł.

— Nie sędzę, by ktokolwiek śmiertelny mógł być doskonałym, a cóż dopiero ja? — zauważył z uśmiechem.

— Och, to się rozumie tylko w zestawieniu z resztą ludzkości, szczególnie z mnichami i księżmi hołdującymi mamonie.

Franciszek zmarszczył wyraziste brwi.

— Mnisi, księża? — powtórzył. — Jakież mamy prawo ich sądzić? Jeżeli popełniają grzechy, choć nic mi o tym nie wiadomo, co nam do tego? Baczmy własnego sumienia. Oni są dla nas pośrednikami, z woli Pana naszego pomiędzy Nim a nami postawionymi, i musimy ich poważać i szanować.

Doskonały roześmiał się z niezadowoleniem.

— Więc rzeczywiście nie należysz do nas. My walczyliśmy z klechami na śmierć i życie! My ich nauczymy, jak rozumieć wiarę prawdziwą! A z których jesteś? Popelikanin? Humiliata?

— Jestem najpokorniejszy sługa Kościoła Chrystusowego.

— Którego?

— Jeden jest przecież. Rzymski. Podległy Ojcu świętemu.

— Nie usiłuj zamydlić mi oczu. Bracie Mniejszy! Mnie chyba nie potrzebujesz się obawiać. Gdyby papieskie ogary zwiedziały się o mnie... ho, ho! Więc mów szczerze. Bo dość spojrzeć na ciebie, by poznać, że nie masz nic wspólnego z tymi oto...

Ukazał ręką widną przez drewnianą kratę ulicę, którą na białej mulicy, otoczony pachółkami w barwie i klerykami w komżach, przejeżdżał właśnie jakiś wysoki dostojnik Kościoła.

— Jakże bym mógł mieć coś wspólnego z tak wysokim i szlachetnym panem? Ale rozkazowi ich poddam się zawsze bez wahania. Oni niech radzą i rządzą. Moja rzecz jest słuchać, wierzyć i miłować.

Doskonały wzruszył pogardliwie ramionami.

— Jesteś więc papieżnikiem... Szkoda! Wytłumacz mi zatem, skąd według ciebie wzięło się na ziemi zło; w jaki sposób Bóg, który jest Dobrocią, dopuszcza do jego istnienia i nie obezwładni szatana?

— Nareszcie! — Mateusz poruszył się z zadowoleniem. — Zaczyna się dysputa. Istota zła. Kamień węgielny herezji katarów... Zobaczymy, jak Biedaczyna będzie się bronił.

Ale Biedaczyna nie myślał się bronić.

— Dlaczego mnie pytasz, bracie? — zapytał z uśmiechem. — Wejdz do kościoła i posłuchaj, co mówi ksiądz.

— Ja chcę się dowiedzieć od ciebie.

— Nic ci innego nie powiem. Tajemnice wiary świętej przyjmuję tak, jak je Pan nasz za pośrednictwem Kościoła swojego podał...

— Kiedyż Kościół tę naukę sfalszował, pomylił...

— Jaka pewność, że wyście jej nie pomylili?

— O, nie! Naszą jest prawda. My odrzuciliśmy oszukańczą księgę Genezy, odnajdując jej właściwe znaczenie i sens przez Mojżesza wypaczone... My wiemy, że szatan, bóg zła, jest panem na ziemi równie wszechwładnym jak Bóg na niebie... Wykonawcami woli Bożej są Eony, duchy czyste tworzące Plerom, krąg doskonałości. Chrystus Pan był jednym z najstarszych Eonów, Piotr z Bruys drugim... Dzięki Eonom ludzkość może się wymknąć szatanowi i osiągnąć zbawienie... Pismo święte potwierdza naszą naukę. Gdy Izajasz mówi o tym, co się ponad Boga wzniesie, ma Lucyfera na myśli. Podobnie jego wspomina Chrystus w przypowieści o niesumiennym włodarzu...

Franciszek słuchał z roztargnieniem, Pesaro z ciekawością.

— A stworzenie człowieka, według was, czym było dziełem? — zapytał.

— Nie Boga oczywiście, nie Boga! Gdyby Bóg stworzył człowieka, byłby go uczynił doskonałym. Błuznierstwem jest twierdzenie, że z rąk Bożych może wyjść coś niedoskonałego, skażonego... Tak więc było: Szatan panował na ziemi samowładnie, nie mieszając się do spraw Bożych, ni Bóg nie wiedział o nim. Ale szatan nie mógł stworzyć istoty z duszą nieśmiertelną i tego zazdrościł Bogu. I przez trzydzieści dwa lata czyhał u wrót niebios na chwilę, w której mógłby nawiązać rozmowę z zaludniającymi je czystymi, nieśmiertelnymi duchami... A gdy to się stało, obiecał im nieznaną rozkosz i władzę, i świadomość złego i dobrego, i duchy poczęły się wymykać do obiecanego władztwa. Wyciekały szczeliną uchylonych drzwi jak rój spadających gwiazd. Aż Bóg dojrzał świetlistość gwiazdnego tumanu i zapytał, co się dzieje. A zapłonawszy wielkim gniewem kazał zamknąć wrota, by więcej nikt z nieba nie uszedł na ziemię... I tak szatan posiadał dusze nieśmiertelne... A Bóg w swym gniewie przeklął go wraz z całym dziedzictwem, czyli ziemią ze wszystkimi jej płodami... I to przekleństwo trwa. Dlatego człowiek czysty, czyli Doskonały, ma ziemię w pogardzie i nienawiści...

— Straszne jest, co mówisz, bracie... Ziemia przeklęta?! Najcudowniejsze dzieło rąk Bożych?

— Kiedyż nie Bożych, lecz szatańskich. Każdy z nas dąży do wyzwolenia ducha przez zagładę ciała, a najszlachetniejsi przyśpieszają dobrowolnie swój zgon...

— Samobójstwo? — zapytał Mateusz ciekawie.

— Tak, wielu z naszych je popełnia, zazwyczaj śmiercią głodową... Nam, kierownikom, czynić tego nie wolno, bo któż by przechował prawdziwą naukę i kierował walką z papieżnikami, ale zachęcamy młodszych... Wyzwolenie przez śmierć zowiemy *e n d u r ą*. Wielki zaszczyt przejść *endurę* i imię takiego brata czy siostry jest czczone... Ciężka to próba, bo niektórzy po parę niedziel się męczą, nim wyzwolenie osiągną...

— W ciągu tej próby nie przychodzi im nigdy ochota zrezygnować z przedwczesnych wyzwolin przyjmując jedzenie? — zapytał podejrzliwie Pesaro.

— Nnnie... Zresztą kto *endurę* postanowi, nie może już się cofnąć. Takowa słabość byłaby zgorzeniem dla całej społeczności.

— Aha — domyślił się Mateusz — więc choćby krzyczał o jedzenie, nie dadzą mu?

I wzdrygnął się mimo woli na ponury obraz tych mąk głodowych, nie zawsze może dobrowolnych.

Franciszek nie uważał, o czym mówili. Poprzednie powiedzenie *albigensa*, że natura jest przeklęta, pochłonęło go całkowicie.

— Nienawidzić przyrodzenia — mówił ściszym z przejęcia głosem — nienawidzić roślin, zwierząt, wszystkiego, co tak pieczołowicie i cudownie stworzył Pan?... Bracie, ależ to okropne! Nienawidzić wody, która jest taka chłodna, kojąca i czysta! Która obmywa ciało jak sakrament pokuty duszę i służy do chrztu świętego?! Albo drzewa! Krzepkie, mocne, rozłożyste, dobroczynne... Któż by ich nie błogosławił? Z drzewa wszak zrobiono Krzyż Pana naszego... Albo ogień, jarzący, gorący, strzelisty?! Miłuję wodę i ogień. Ilekroć ognisko dogasa, serce mi się ściska, jakby ktoś miły odchodził. Wolałbym nigdy nie gasić lampy ani świecy, bo mi ich płomyka żal... A kwiaty, te najśliczniejsze braciszki nasze i siostry! Róża, kwiat kwiatów, symbol męczeństwa i Bożej miłości. Z jedną lilią się porówna, lilią, którą nawet Pan nasz za urodę chwalił... A choćby one najmniejsze, najpokorniejsze słuźki, zioła polne: Szałwia słodka w zapachu, ważna w mocy, pożyteczna w użyciu... Rzepik dobry na rany... Dynia, co choć z polnego ziarna wyrosła, roztacza cień szeroki, wysoko na drzewo się wspina... Mięta, rozchodnik, macierzanka... Tyle ich, a każde inne i każde ma działanie swoje przeznaczone... Nienawidzić pszczoły, pracowitej słuźki Bożej, psa lub sarny albo wołu czy osiołka, co pierwsze do obecności Pana były dopuszczone! A ptaszęta leśne! Oneż wyobrażają najlepiej dobrego chrześcijanina. Wzlatują ku niebu od zgiełku, nie troszcząc się zbytnio o jutro. Modlą się śpiewem. I któż by śmiał twierdzić, że wyszły z ręki szatana?

Twarz mu pociemniała na podobne bluźnierstwa. Mateusz uśmiechał się z politowaniem. Oczekiwał, pragnął uczonej dysputy, ciekaw był, czy też Franciszek zna i potrafi odeprzeć teorię Eonów, a ten tymczasem plótł o kwiatkach. Katara również nie ukrywał zniecierpliwienia.

— Idźcie pieśniarzom bając takie bzdury — przerwał szorstko. — Nas nie oszuka, nie zmami materia.

— Jednakże zwierząt podobno nie zabijacie? Prawda to? — zagadnął Pesaro.

— Nie zabijamy, gdyż w ciała zwierząt przechodzą po śmierci dusze ludzkie na czyściec skazane. Tylko ryby i płazy wolno nam zabijać i pożywać. Krew mają zimną, przeto nie mogą być schronieniem dla duszy ludzkiej, która do gorącej posoki przywykła.

Powstał prostując z ulgą kości zmęczone siedzeniem na twardej polepie.

— Czas mi już iść, i tak za długo siedziałem. Nie powinienem pokazywać się w dzień ani tak otwarcie mówić...

— Możliwość wyzwolenia z ciała nie musi was chyba przerażać? — zauważył nie bez złośliwości Mateusz.

— Do wyzwolenia tęsknię — zapewnił pysznie Doskonały — ale mam tu pewne ważne sprawy do załatwienia. Muszę więc jeszcze ochraniać mą nędzną powłokę.

— Jakież to sprawy? — pytał ciekawie bakałarz.

Doskonały nie kwapił się z odpowiedzią. Natomiast zaczął narzekać na Rzym.

— Obrzydły gród Antychrysta! Kiedyż nareszcie zwalimy te wszystkie świątynie i krzyże?!

— Krzyże zniszczyć? — zapytał Franciszek jakby z wysiłkiem.

Doskonałemu oczy zabłysły czerwono.

— My nie znosimy widoku krzyża — rzekł schryplym szeptem. — To haniebna pamiątka ponizienia i śmierci Chrystusa! Nie boskości Jego, ale natury cielesnej, którą oddał szatanowi za nas na ofiarę... Nasz Bóg siedzi na obłokach, w glorii! Nasz Bóg nie może być upokorzony!

Franciszek zakrył twarz dłońmi.

— Boże! Boże! Najświętszy dowód Twej miłości!

Albigens zmierzył go wzgardliwym okiem,

— Skoro was tak uraziłem, wydajcie mnie! Nuże! Ale ostrzegam, że moi mnie pomszczą...

Franciszek podniósł na niego oczy pełne łez.

— Wydać cię, bracie nieszczęśliwy? — wyjąkał ze zdumieniem. — Wydać? Życia bym swego nie szczędził, żebyś jak najdłużej żył i miał czas jeszcze tu na ziemi nawrócić się z błędów...

Uśmiechał się przez łzy do posępnego herezjarchy tak promiennie, że ten mimo woli opuścił wzrok.

— I nie lękacie się — spytał po chwili — że zamiast czynić „pokutę”, jak to zwiecie, użyłbym tego długiego żywota, by obalić wszystkie kościoły i krzyże?

— Nie lękam się! — zawołał Franciszek i roześmiał się wesoło. — Nie! Krzyża nikt nie obali!

Spojrzał na ziemię. U jego stóp dwie gałązeczki strącone z krzaka spadły jedna w poprzek drugiej, tworząc jakby krzyż. Podniósł je ostrożnie, ujmując w środku, by kształtu świętego nie zatraciły, i ucałował gorąco, ze czcią.

Rozdział siódmy

Sen — mara...

Paź Renzo przypinał swemu panu, Janowi de Brienne, długie srebrzyste ostrogi. Równocześnie giermek Wilfryd układał na ramionach rycerza lśniący, złotolity płaszcz, obciągając go w równe fałdy. Pan de Brienne udawał się za chwilę na posłuchanie do Ojca świętego. Zwierciadło, przed którym stał, odbijało jego twarz chmurną, niespokojną, zwieńczoną białą czupryną. Przesunął po niej niechętnie dłonią, myśląc z żalem, że gdyby mógł zgolić włosy, jak golił wąsy, wyglądałby znacznie młodziej. Twarz ma przecież jeszcze czerstwą, mało pomarszczoną. Tylko ta przeklęta siwizna! Ale obciąć jej nie można. Nie przystoi rycerzowi chodzić z gołym łbem niby niewolnikowi.

Drzwi skrzypnęły. Pacholek oznajmił przybycie szlachetnego Wilhelma Divini, pieśniarza. De Brienne skinął przyzwalająco głową. Niech wejdzie. Od czasu uczyty u Frangipanich spotykał nieraz „boskiego” Wilhelma. Polubił go nawet. Ze swej strony śpiewak płonął gorącym uczuciem do przyszłego króla jerozolimskiego i jawnie okazywał, że chętnie przystałby do jego dworu.

Na te zabiegi Jan de Brienne nie dawał stanowczej odpowiedzi. Rad by wprowadzić przy sobie znakomitego śpiewaka, w razie potrzeby powiernika, ale obawiał się kosztów. Wilhelm

Divini przywykł do sutego żołdu, a kiesa Jana de Brienne pozostawała chudą mimo zasiłku otrzymanego od Filipa i Ojca świętego. To go napełniało goryczą.

...Człowiek jest niewolnikiem — myślał — ustawicznie skrępowanym. W niczym nie może postąpić według swej woli... Wszystko mu staje na przekór. Nigdy nie czuje się swobodnym i wolnym. I cóż mi z tego, że mam zostać królem? Jestem bardziej związany, niżli byłem kiedykolwiek...

Divini wszedł strojny i ważny jak zwykle. Z uśmiechem nieco zakłopotanym wiódł za sobą młodziutką, cudnej urody dziewczynę. Miała gęste czarne loki, wielkie wilgotne oczy, czerwoną obcisłą szatkę i czerwiejsze od niej usta. Szła zmieszana, nieśmiała, a zarazem chytrze zalotna. Wyglądała na dziecko, lecz zdawała sobie sprawę, po co ją tu wiodą.

— Italska wiosna składa hołd Miłościwemu Panu — rzekł pompatycznie Divini wysuwając dziewczynę w przód. — Zowie się Julia. Zabrałem ją od wiedźmy macochy.

— Gładka, ale co mi po niej? — bąknął niechętnie de Brienne. Spojrzał na młodkę. Patrzyła wdzięcznie na giermka Wilfryda. — Co mi po niej? — powtórzył. — Wiosna to rzeczywista, a cóż wiosnie do jesieni?

— Kto śmie mówić o jesieni? — zaprzeczył dwornie Divini.

— Uważacie, panie, że lepiej mówić o zimie?

— Broń Boże! — wykrzyknął pieśniarz. — Nasz wiek dojrzały (darujcie, Miłościwy Panie, że równam się z wami) to lato, to pełnia lata!

— Ech! — obruszył się de Brienne. — Nie okłamujmy się sami...

Sposepniał znowu.

...Gdybyż można się okłamać! Zapomnieć o latach, uwierzyć, że się jest młodym...

...Czy każdy stary, a raczej starzejący się, czuje to samo? Czy każdego dręczy podobnie bezsilność wobec przemijającego czasu?

Spojrzał pytająco na Wilhelma, lecz trubadur nie zauważył jego wzroku. Był wpatrzony w prześliczną dziewczynę z wyrazem tak smętnym, że de Brienne roześmiał się.

— Wiosna kusi was pono więcej niż mnie?

— Młodość jest piękna — westchnął sentencjonalnie Divini.

Umilkli obaj. Dziewczyna, bynajmniej nie zakłopotana, zerkała filuternie to na pazia, to na giermka. Wszyscy troje uśmiechali się do siebie, spoglądali porozumiewawczo, zdawali się zupełnie zapominać o obecności dwóch królów: króla jerozolimskiego i króla pieśni.

— Czy życzycie sobie, Miłościwy Panie, zatrzymać ją? — pytał trubadur.

— Obawiam się, że byłoby to z waszą krzywdą.

— Bynajmniej! — zaprzeczył Divini gorąco. — Zdarzyło się wprawdzie, że trubadur de Miraval opiewał wdzięki Adelajdy de Boissaison tak wymownie, iż król Piotr aragoński zakochał się w niej na niewidziane i odbił ukochaną trubadurowi. Nazwano potem Miravala świecznikiem oświetlającym kochanków... Mnie jednak ta nazwa nie spotka, sam bowiem przywiodłem to cudo do was, Miłościwy Panie...

De Brienne nic nie odpowiedział. Wzmianka o Piotrze aragońskim i Adelajdzie przypomniała mu Filipa i Blankę. To wystarczyło, by zamilkł. Prędko też pożegnał pieśniarza.

— Czas jechać do Lateranu. Opóźniłem się bardzo — zauważył. — Ojciec święty będzie się niecierpliwił...

— Więc czy mam ją zostawić? — nalegał Divini.

— Zróbcie, jak chcecie — odkrzyknął de Brienne. Już podprowadzono wierzchowca. Skoczył na siodło niby młodzik i ruszył ostro z miejsca. Czterech giermków i tyłuż pacholków za nim.

Divini stał przed wejściem zawiedziony.

— Jak chcecie! Bądź tu mądrym... Więc co ostatecznie mam zrobić?

Jan de Brienne nie spóźnił się na posłuchanie, przeciwnie, czekał jeszcze dobrą godzinę. Innocenty III czuł się chory tego dnia, wstał później niż zwykle. W nocy długo leżał bezsennie, a gdy nareszcie zasnął, dręczyły go uporczywe i złe sny. Śniło się Ojcu świętemu, że stoi przed kościołem laterańskim, najczcigodniejszą świątynią, zwaną matką i sercem kościołów, i widzi z przerażeniem, że na ścianie szczytowej tworzy się głęboka rysa. Mur pęka. Innocenty unosi ręce do góry ze zgrozą, bo widzi, że obok pierwszej otwierają się nowe rysy, pęknięcia i szpary. Podłużne, poprzeczne, czernieją wzdłuż ścian, pokrywają je jak siatką. Już mury poczynają trzeszczeć i wyginać się...

— Ratunku! Ratunku! — woła papież, ale głos nie wychodzi z oniemiałych warg. Daremnie usiłuje krzyczeć; odrętwiałe usta milczą... Więc porywa się, by biec, podeprzeć, ratować — i czuje, że nogi przyrosły do gruntu, nie może ruszyć się z miejsca... Próżno sili się, szamoce — nie postąpi kroku... Bezsilny, niemy, może tylko patrzeć.

A szpary pogłębiają się z każdą sekundą. Cały gmach już zrysowany, spękany od fundamentów. Już się chwieje, już się wali.

Pot sływa po licu Ojca świętego. Zęby kołaczą jak w zimnicy, śmiertelna bladość na twarzy, rozpacz w duszy, groza w sercu... Lateran, matka kościołów, upada...

Odgłos kroków uderza udęczone ucho. Ktoś się zbliża, ktoś nadbiega. Dudnią bose stopy. Oto jest. Człowiek niewielkiego wzrostu, nędznie odziany, chuderlawy. Bura, pospolita opończa żebracza, sznur zamiast pasa, kaptur, goła głowa.

Idzie szybko ku spękanej ścianie, rozkłada ramiona, jakby pragnął kościół objąć i podtrzymać. I w zdumionych oczach Innocentego poczyna rosnać, rosnać, już nie jest mały ani chuderlawy... Jest wielki jak drzewo, jak góra, dosięga głową kalenicę dachu... Już ramionami sięgnął od węgła do węgła. Mocnym pchnięciem pleców naprostowuje chyłący się mur. Dłonią przesuwając po rysach i gdzie ręką przejdzie, tam zasklepiają się szpary, tam mur się zrasta na nowo. Wielka, czcigodna budowla stoi mocna, prosta i krzepka jak pierwej...

Oniemiałymi ustami papież modli się dziękczynnie. Z oczu płyną łzy radości. A olbrzym kurczy się znowu, maleje, już jest tak jak przedtem mały, niepozorny... Odwraca się od muru i papież po raz pierwszy widzi jego twarz. Przygląda mu się chciwie, błogosławi go oczami. Pospolite rysy, skąpy zarost, cienka szyja, pogodny, jasny wzrok. Charakterystyczny ruch przechylenia głowy w tył, podania brody ku górze, jakby zaglądał w niebo.

Uśmiecha się do Innocentego i odchodzi podskakując wesoło. Nie ma w nim żadnej powagi. A Lateran stoi wyniosły, niespożyty, nienaruszony...

Słoneczny dzień rozpędza mroki komnaty. Papież budzi się. Oddycha z ulgą, wspominając nocną zmore. Dziwny niedobry sen! Kardynałowie: Pelagiusz, Colonna, Ugolino przychodzą niespokojni dowiedzieć się o zdrowie Ojca świętego. Opowiada im, co śnił.

— Obawiam się — kończy — że oznacza to nowe niebezpieczeństwa dla Kościoła.

— Niebezpieczeństwa już są — wzdycha Jan Colonna. — Te ciągłe herezje! Zaiste, szatan je sieje...

— Herezje są stare jak Kościół sam — prostuje papież. — Już święty Paweł Apostoł powiada: „Haereses oportet esse”. Herezja pochodzi nieraz z gorącości wiary, z nadto żarliwego wybiegania w przód... Nieszczęściem i niebezpieczeństwem Kościoła jest to, że herezja znajduje zwolenników, współwyznawców...

— Dlatego właśnie nazywam herezję posiewem szatańskim — upiera się kardynał Colonna. — Nie tyle gorącość wiary jest jej powodem, ile pycha. Pycha! Przeprowadzić swoje

wytłumaczenie tajemnic... Okazać się lepszym, mędrszym od Kościoła! Oto przyczyna najczęstsza herezji. Oto powód, dla którego kacerze się mnożą!

— Najwალniejszym powodem — odpiera surowo papież — jesteemy my, my! Gdyby nie źli księży, żaden chrześcijanin nie przystałby do heretyków! Niewierni stróże, chciwcy, symoniacy sprzedający Prawdę, rozgrzeszający bogacza, potępiający biedaka! Oni są winni herezjom!

Kardynał Pelagiusz uważa ten sąd za nadto surowy.

— Heretyków jest dużo — stwierdza — a księży chybiających powołaniu mało. Nie mogą być przeto winni zbrodniczym skłonnościom podawania nauki Kościoła w wątpliwość...

— Niestety! Jeden niegodny urzędnik Chrystusa może spowodować odstępstwo dziesiątków dusz!

— Ja — mówi kardynał Colonna — obstaję przy tym, że zasadniczą przyczyną herezji jest pycha. Heretycy głoszą ubóstwo, nawrót do życia według Ewangelii tylko po to, by wytknąć naszemu duchowieństwu jego wady i wywyższyć się w oczach tłumu ponad nie...

Innocenty uśmiecha się gorzko.

— Wychodzi zatem na moje. Duchowieństwo posiada wady, które łatwo wytknąć.

— Zdaje mi się — zauważa Ugolino, kardynał sekretarz — że Wasza Świątobliwość ma przyjąć dziś właśnie jednego z takich proroków głoszących pokorę i doskonale ubóstwo.

— Tak jest. Dzisiaj po nieszporach.

— Jakiś nowy Arnold z Brescji zapewne? — sarka Pelagiusz. — Dlaczego Wasza Świątobliwość przyjmuje go zamiast od razu przepędzić albo, co najlepiej, zamknąć?

Kardynał Pelagiusz jest wysoki, rosły. Twarz ma władcą, ruchy ostre, popędliwe. Purpurę, którą jego koledzy kardynałowie wdziewają tylko w dni uroczyste, nosi na co dzień i o każdej porze. Stąd gawiedź uliczna nazywa go czerwonym kardynałem. Charakter ma twardy i mało przyjaciół.

— Zamknąć nie można — tłumaczy Colonna — gdyż biskup Asyżu szczególnie mu sprzyja. Chodziłem już nawet do niego w tej sprawie. Samego reformatora nie widziałem, ale rozmawiałem z jednym z jego wyznawców, którego biskup Gwido uważa za najrozsądniejszego.

— Cóż to za człowiek?

— Szalony, chociaż ma wygląd spokojny. Utrzymanie doskonałego ubóstwa wydaje mu się najważniejszą rzeczą. Ich zdaniem nie wolno nic posiadać na własność, nawet modlitewnika,

nawet odzienia... Nie wolno robić zapasów, choćby na jeden dzień naprzód. Do każdego człowieka, nawet do zbója, trzeba się zwracać jak do brata...

— Niebezpieczne zasady, o, bardzo niebezpieczne... To zupełnie Arnold z Brescji!

— Darujcie, Wasza Dostojność, jest między nimi różnica. Gdy Arnold i jemu podobni ogłaszali samowolnie swą naukę, ten przyszedł do Rzymu upraszać aprobaty u Stolicy Apostolskiej.

— Nie otrzyma jej, mam nadzieję. Wyrzec się wszelkiej własności! Co za urojenie! — (kardynał Pelagiusz jest właścicielem ogromnych dóbr) — Chrystus Pan nie potępiał godziwego posiadania...

— Ale uczniom swoim kazał wyrzec się wszystkiego — szepce Innocenty. — Nigdzie przy tym nie spotykamy wzmianki, by sam cośkolwiek posiadał...

— Ładnie by Kościół wyglądał, gdyby szedł tą drogą! Na świecie tylko siła ma znaczenie, a na to, by posiadać siłę, trzeba być bogatym...

— Jest przecież siła duchowa niezależna od bogactwa...

— Wasza Dostojność zdajesz się podzielać poglądy tego nowego sekciarza?

— Nie dzielam ich bynajmniej. Powiedziałem jego wyznawcy otwarcie, że zezwolenia z pewnością nie otrzymają. Ale on mi wtedy rzekł słowa, które zapamiętałem... słowa ciężkie...

— Powiadajcie!

— Rzekł mi: „Jeżeli Ojciec święty zabroni nam żyć według Ewangelii świętej, nie będzie to dowodem, że Ewangelia jest niewykonalna?”

— A czy ona jest wykonalna? — wzdycha Ugolino. Papież Innocenty spogląda na swego sekretarza z przerażeniem.

Zapada głuche milczenie.

— Czy wykonalna? Błędnie! Chrystus Pan znał nasze siły. Nie rzuciłby przerastającego je zadania. To tylko my... my... Ujmuje dłońmi udręczoną myślami, troskami głowę.

— My sprzeniewierzamy się co chwila Jego woli... My... Czuję to... I poradzić nie mogę. Bezsilny jestem. Teraz ten sen... Ten straszny sen... Jest w nim jakieś ostrzeżenie, którego nie pojmuję... Darmo myślę. Panie, zlituj się nade mną!

— Nie każdy sen bywa wróżebny — pociesza kardynał Colonna.

— O tak, nie każdy! A l e t e n sen miał znaczenie... Jak sny, które Józef wykładał w Egipcie, jak sen Józefa, męża Maryi... To nie zwykły majak nocny, obłuda, co się z dniem

rozwieje... Pamiętam go, jakoby działał się na jawie. Człowieka, który podparł kościół ramionami, poznałbym na końcu świata...

— Nie był to który z nas, członków Świętego Kolegium? — bada Pelagiusz.

— O, nie! To nie był żaden dostojnik duchowny...

— Może zakonnik?

— I to nie. Miał wygląd zwykłego żebraka.

— Nigdy nie uwierzę, by żebrak mógł ratować Kościół — zapewnia Pelagiusz. — Są sny od Boga, ale są też i od czarta. Czart mógł omamem dręczyć Waszą Świętobliwość, by spokój odebrać i zdrowie nadwątlone do reszty podkopać.

— Nie — przeczy stanowczo papież — ten sen nie był z czarta!

— Tyle dziwnych rzeczy dzieje się teraz na świecie — dodaje pojednawczo Ugolino — że wszystko staje się możliwym! Świat idzie na opak. Donoszą nam biskupi, że we Francji, w Niemczech i u nas w Italii zbierają się gromadami nieletnie dzieci, płaczą nad pohańbieniem Grobu Świętego i ślubują iść walczyć o jego wyzwolenie... Czy kiedykolwiek działo się coś podobnego?!

— Boże im błogosław! — mówi żarliwie Innocenty.

Kardynał sekretarz nie podziela tego zapału.

— Czy Wasza Świętobliwość nie sądzi — zapytuje — że poryw to, choć piękny, przecie niebezpieczny? Takowa wyprawa nieletnich, *expeditio nugatoria*, *expeditio derisoria*, musi się skończyć żalosną porażką, która ośmieszy chrześcijan w oczach pogan.

Papież Innocenty spogląda na mówiącego ze zdziwieniem.

— Wyprawa? Porażka? Żartujesz, mój synu! Dzieci zbierają się, ale nigdzie nie wyruszą. Któż by je powiódł? Któż by je przez morze przewiózł lub statków udzielił? Kto by je wypuścił z portu? Nie, nie, próżne to obawy. Święty ich zapał może sprawić jedno: obudzić starszych, zawstydzić leniwe sumienia dojrzałych. Bo zważcie, drodzy, że ilekroć dzieci podejmują się zadania nad siły, znaczy to, że świat jest chory i obowiązków swoich zapomina... Nowe pokolenie, które winno działać jutro, głosi się do pracy dziś, wiedząc, że starsi zadrzemali i nikt się dzieła nie ima... Groźny to znak. Biada światu, jeżeli się w porę na głos dzieciątek nie ocknie!

— Czy biskupi nie donoszą — pyta rzeczowo kardynał Colonna — pod którym wpływem gromadzą się dzieci, kto je zbiera, kto zapala i w jakim celu to czyni?

— Nie piszą nic o tym. Może dzieci same?

— Niemożliwe! Żadna zbiorowość nie powstanie bez wezwania i dlatego rad bym...

Urywa, bo wchodzi kapelan Ojca świętego. Nieśmiałym głosem zapytuje, czy Jego Świątobliwość raczy przyjąć rycerza Jana de Brienne, któren już od dawna czeka...

— Na sieć Rybaka! — woła Innocenty szczerze stropiony. — Zapomniałem! To sen winien... Szlachetny rycerz musi być bardzo gniewny... Proście go zaraz do sali...

Jan de Brienne burzył się istotnie i już zamierzał odjechać, gdy mu oznajmiono, że Jego Świątobliwość czeka. Po paru chwilach rozmowy gniew jego opadł. Innocenty, choć znacznie młodszy latami od Jana, czynił wrażenie człowieka zmęczonego i chorego. Uginał się niby pod ciężarem całego świata. Przedwcześnie osiwiały, sterany, spoglądał tak życzliwie i rozumnie, że de Brienne, acz krewki z natury, uwierzył od razu, iż w opóźnieniu nie było chęci urazy. Rozmawiali spokojnie, przyjacielsko.

Papież radował się, że królestwo jerozolimskie otrzyma znów rycerskiego króla, który, da Bóg, potrafi odebrać Grób Święty, naprawić najstraszliwsze zło, jakie się w tych wiekach stało...

— Będzie to moim usilnym dążeniem — zapewnił de Brienne.

Innocenty nie zwrócił uwagi na grzecznie zdawkowy ton głosu rycerza. Gdy począł mówić o utracie Jerozolimy, nie był już w stanie myśleć o czym innym.

— Zaprzepaszczenie Grobu! — powtarzał potrząsając głową. — Zaprzepaszczenie źródła chrześcijaństwa! Wciąż za mało się o tym myśli, za mało o tym się mówi! Ludzie przywykają, oswajają się z tym stanem i to jest właśnie tak ciężkie! Gdzie chrześcijanie? Czyż wszyscy zasnęli?! Gdzie są wierni gotowi przelać krew dla chwały Chrystusa Pana?! Mówiono mi co ino, że w Niemczech, Francji, a nawet i u nas zbierają się gromady dzieci pragnące iść ratować Grób Święty... Jakaż sroga nauka dla świata! Jaki wstyd dla ospalców, za swoją jeno korzyścią patrzących! Zali to ich nie ocuci?! Dzieciątka nieletnie cierpią nad pohańbieniem Chrystusa i obojętnością starszych! Ale wy, panie, rozbudziecie tych drzemiących... Wy ich zagrzejecie przykładem... Sława wasza, szlachetna gotowość, z jaką przyjęliście niełatwą zaprawdę godność, dają rękojmię, że się wam powiedzie. Ostatnia moja nadzieja w was... Zbierzcie nową, potężną krucjatę, która dzieło wyzwolenia doprowadzi do końca, nie zawróci się z drogi, jak to uczyniono wprzód...

— Obawiam się, że Wasza Świątobliwość przecenia moje skromne możliwości. Kto posłucha mego głosu?

— Ja zwołam, a wy będziecie prowadzić.

Słuchający dotąd w milczeniu kardynał Pelagiusz poruszył się niecierpliwie.

— Czy Wasza Świątobliwość nie sądzi, że prowadzić krucjatę powinien duchowny? Pod przewodnictwem świeckim żadna się nie uda. Mieliśmy na to chyba dość dowodów. Pierwsza wyprawa była jedyną, która osiągnęła powodzenie, gdyż kierował nią biskup z Puy, Ademar...

— Biskup z Puy umarł w połowie wyprawy — przerwał de Brienne.

— To prawda — przyznał niechętnie zaborczy kardynał — umarł pod Antiochią, lecz zastąpił go Arnold de Rohes...

— Arnold de Rohes zwany Malecorne?! — wykrzyknął Jan z oburzeniem. — On był kierownikiem? Kto to powiedział? Kto to pisał?

— W uznaniu zasług został przecie wybrany patriarchą — odparł wymijająco kardynał.

— Według relacji kronikarzy sam się nim kreował, a Stolica Apostolska usunęła go rychło z tej godności!

— To do rzeczy nie należy. Moim zdaniem on przyczynił się do zdobycia Jerozolimy. Bez niego świeccy wodzowie myśleliby tylko o swojej korzyści, nie o sprawie...

De Brienne pociemniał pod obelgą swego stanu.

— Wasza Dostojność obrażasz całe dobre rycerstwo! — warknął.

— Stwierdzam tylko to, co jest prawdą.

Zmierzyli się gniewnym wzrokiem, czując rosnącą wzajemną niechęć. Innocenty, niezadowolony z obrotu rozmowy, usiłował złagodzić wrażenie słów Pelagiusza.

— Kardynał nie chciał urazić stanu rycerskiego, mój synu, jeno zaznaczył, że wśród świeckich panów częste są kłótnie o prymat, podczas gdy nasi ludzie winni mieć tylko jeden cel na uwadze...

— Widywałem biskupów kłócących się między sobą, aż wióry leciały — odparł chmurnie Jan. Przez szacunek dla Ojca świętego nie dodał, że widziano niedawno i dwóch walczących ze sobą papieży. Mimo usiłowań Innocentego rozmowa się już nie kleiła.

De Brienne wstał, by się pożegnać. Papież jął jeszcze nalegać, by nie zwlekał z wyjazdem do Ziemi Świętej. Najwyższy czas, by skołatane państwo otrzymało króla.

— Przez miłość Pana, jedźcie jak najprędzej!

Patrzył na rycerza tak błagalnie, że Jan poczuł się wzruszony. Wyliczył pośpiesznie wszystkie ważne i rozsądne powody, które go rzekomo dotychczas trzymały w kraju, i zapewnił, że postara się wyjazd przyspieszyć. Za dwie, trzy niedziele najdalej odpłynie na pewno...

— Byle nie później, nie później, mój synu — prosił Innocenty żegnając gościa.

De Brienne opuścił pałac z ulgą. Wobec tego zapału, tej pewności czuł się mały i niedostosowany. A cóż mógł na to poradzić? Że był jednak uczciwym człowiekiem, postanowił obiecanego terminu wyjazdu dotrzymać.

O, tak. Jan de Brienne był prawym człowiekiem, bezwzględnie. Brzydził się herezją i pogaństwem, a miłował Boga. Jeno że ta miłość nie stanowiła dlań najważniejszego uczucia. Bóg jawił się odległy, nie biorący w życiu bezpośredniego udziału. Jako mężnemu rycerzowi niewątpliwie łatwiej by mu przyszło zginąć dla sprawy Bożej, niż dla tej samej sprawy skłonić się do niemiłego wyjazdu.

Słońce paliło nieznośnie. Pędzone drogą bydło wzniecało nogami kłęby kurzu. Rycerz jadąc rozglądał się po dziwnym mieście, gdzie domy wyrastały na gruzach domów i gdzie mimo wszystko cień cesarów górował nad rybakiem Piotrem. Gdy zapatrzył się w stare, zrujnowane, przecie wciąż piękne i niezniszczalne budowle, minęło go szybkim krokiem dwóch ludzi. Pierwszy drobny, obdarty, żebrak z pozorów. Drugi zażywny, starannie odziany, kapelan biskupa Gwidona. Sapał i ocierał pot z czoła. Przechodząc spojrzął na rycerza żałośnie, jakby chciał rzec: „Nie z własnej woli idę za tym szaleńcem”. Pierwszy uśmiechał się sam do siebie, nie zwracając uwagi na nikogo. Twarz jego wydała się Janowi znajomą. Ach tak, to ów kaznodzieja uliczny, ów błazen z huśtawki, którego za namową pieśniarza Wilhelma jeździli kiedyś oglądać z Frangipaniami. Gracjan dotąd tego zdarzenia nie może zapomnieć...

...Wilhelm... Śmieszny człowiek. Wzruszył się kaznodzieją, a dziś rano przyprowadził Janowi dziewczynę... Wilhelm chce się dostać na dwór jerozolimski i dlatego zapewne zasługuje się, jak może. Stręczy dziewczynę, a sam patrzy na nią jak kot na szperkę... Rajfur! Przerachował się. De Brienne nie chce tej dziewczyny. Gdybyż to była Blanka! Móc zobaczyć Blanę, bodaj posłyszeć, co czyni, co myśli... Tego mu Divini nie powie...

Uderzył się ręką w czoło. A gdyby?! Że też mu wcześniej nie przyszło do głowy! Ścisnął konia lędźwiami i pomknął w skok ku domowi, jednego z giermków posyłając po trubadura.

Divini przyszedł niebawem, trochę urażony, trochę markotny po rannym zawodzie. Lecz de Brienne powitał go serdecznie, usadził i kazał dać wina...

...Kaze mi sprowadzić Julię — pomyślał trubadur.

Ale de Brienne nie myślał o Julii. Chodził niespokojnie po komnacie, nie wiedząc, jak zacząć. Mierziło go zwierzać się z najgłębszych uczuć przed obcym człowiekiem, podstarzałym, próżnym i łakomym, ale innego sposobu nie było. Dalej więc!

— Jesteście piewą kochania — zaczął nie przestając chodzić — nie tajno wam zatem, że bywają uczucia wielce nierozsądne?

— Tylko wtedy miłość jest prawdziwą, gdy zgębi rozsądek — odparł Divini i nadstawił uszu zdziwiony.

— Nikomum nigdy nie zawierzał tego, co wam powiem. Słuchajcie. Miłuję szlachetną niewiastę...

— Zameżną? — domyślił się trubadur.

— Zameżną, tak. Ma synów, córki. Muszę dbać o jej cześć. A żyć mi bez niej trudno...

— Miłość nikomu nie przynosi ujmy, ani nie narusza czci.

De Brienne wzruszył ramionami.

— Wasza śpiewacka, trubadur owa miłość — tak! Wystawanie pod oknami miłej, śpiewanie, składanie rymów, przysięg... Mnie taka miłość nie wystarcza. Jam mężczyzna, nie poeta... Byłem jej kochankiem... nie tylko w śpiewie... Rozumiecie? Dzieliłem jej łożo. Weszła mi w krew. Całe moje ciało jej pożąda. Usycham z głodu za nią. Żadna inna mi jej nie zastąpi, chociażby najurodziwsza. Starym już. Nie mogę czekać, aż jej mąż umrze. Zżera mnie ta żądza. Ostatnia, śmiertelna żądza. Niemiłe mi królowanie gwałtem wsadzone na barki, niemiły wyjazd, niemiła nawet możliwa sława. Hańba przyznawać się do tego rycerzowi, ale wam mogę chyba zawierzyć i zaufać? Niech raz wypowiem! Bo dusi, męczy to, co nie wypowiedziane...

— Człowiek, który siły miłości nie zaznał, nie jest całkowitym człowiekiem — stwierdził oderwanie Divini.

— Ja jej doznałem. Może dlatego, że późno żyć zaczął. Młodość spędziłem po niewoli w klasztorze na posługach. Krótki mi został czas na kochanie i dlatego może tak mocno... Czasem zda mi się, że miłość Tristana i Izoldy byłaby niczym przy mojej...

— Miłość bez cierpienia i przeszkód nie jest nic warta. Mądry kochanek, jeśli mu los przeszkód oszczędzi, sam je sobie stwarza, by właściwego smaku rozkoszy nie stracić... Podziwiam was i czczę, Miłościwy Panie... Czy możecie mi zaufać?! Na cześć świętych dziewic! Któż się obawia zwierzyć spowiednikowi? A czymże jest trubadur, jeśli nie kapłanem miłości, powiernikiem zakochanych?... Mówcie dalej!... Czy mógłbym wam być w czymś pomocnym?

Może ułożyć pieśń dla szlachetnej pani? Szczególnie pięknie wychodzą sześciogłoskowe z rymem mieszanym...

— Nie potrzebuję pieśni. Sam układałem niegorsze, które dotąd w Szampanii śpiewają, jeno nie wiedzą, czyje... Wiadomości od niej chcę...

— Więc list napisać?

— Nie, nie! List posyłać niebezpiecznie. Pacholek może się zmylić, komu innemu oddać, albo też schwytać go, zabiorą...

— Można przecież napisać tak, by nikt się prawdziwej treści nie dorozumiał...

— Pod figurą? To i niewiasta nie zrozumie. Pisać źle. Myślę nad tym ustawicznie. Jedyne wyjście to posłać zaufanego człowieka, przyjaciela, któremu można zawierzyć, że głupstwa nie zrobi i nałęczycie jej samej powtórzy...

— Słusznie. Więc?

— Wiem, co chcecie powiedzieć. Jednego z moich towarzyszy rycerzy lub giermków. Ale to też niemożliwe. Bo przyjazd obcego rycerza musi wzbudzić zadziwienie, zwrócić uwagę. Pytać się będą: dlaczego przyjechał? Po co? Cóż powie? Posłem musi być człowiek, przed którym każdy dwór stoi otworem... człowiek jak...

Zatrzymał się nagle przed trubadurem i wyrzucił z wysiłkiem:

— Jak wy!

— Jak ja? — powtórzył przeciągle Divini.

— Nie odmawiajcie! Nie urażajcie się, że was posłem czynię! Jesteście sławnym pieśniarzem, wszędy z radością witany... Pieśniarze zwykle jeżdżą po świecie. Nikogo nie zdziwi, że z Rzymu przyjechaliście do Szampanii. Bo panią Szampanii jest moja miła... A siostrą króla Nawarry...

— O — rzekł z uznaniem trubadur i w duszy postanowił jechać.

— Błyszczysz rodem moja pani — powtórzył nie bez dumy de Brienne — ale choć tak wysoko urodzona, góruje innymi zaletami nad swym pochodzeniem... Piękna, dostojna, mężna... Nie ma drugiej takiej...

Urwał. Przypomniała mu się chuda, do łasiczki podobna narzeczona i z trudem wstrzymał przekleństwa. Tamtą zamienić na tę!...

— Zresztą obaczycie sami — ciągnął nieco schrypłym głosem. — Powiecie jej, że żyć z dala od niej nie mogę... Męczę się rok blisko, a z każdym dniem mi gorzej... Powiadają, że człek

zapomina, odwyka, a ja coraz silniej jej pożądam... Niby urok... Może i urok? Jest tam na dworze wiedźma Margocha z kosym okiem, może ona mi co zadała? Kto wie? Mniejsza z tym zresztą. Z uroku czy z upartej mojej natury, dość że nie mogę zapomnieć. Nie przemogę tego kochania. Więc trudno. Niech rzuci męża i przyjeżdża do mnie. Niech rzuci wszystko. Zrobię ją królową. Nie! Nie! Co ja gadam?! Jakbym się blekotu napił... Onaż tego nie uczyni... Na kochanicę nie przyjedzie... A królową będzie owa Maria, z którą mnie zaręczyli... Niezadługo moja ślubna żona... Niewolni my oboje: i Blanka nieboga, i ja. Ale co innego niech czyni: z pielgrzymką do Jerozolimy przybędzie! Tego jej nikt nie zabroni. Ani w podejrzenie nie padnie... Ileż szlachetnych pań pielgrzymowało, ślub uczyniwszy! Tak i ona... Syna Tybalda może z sobą wziąć...

— Jerozolima jest w ręku pogan — zauważył rzeczowo Divini.

— Prawda! Plotę od rzeczy! Ale to nic... Niech jeno przyjedzie do Akry...

— Trudno pielgrzymkę upozorować, skoro Grób Święty w ręku pogan...

— O, nie, pogany puszczają pielgrzymów, choć z trudem i za wielką opłatą. Zresztą ja wszystko ułatwię. Układ z sułtanem zawrę, wszystko uczynię, by jej wstrętów nie czyniono... Byle ją obaczyć... Byle wiedzieć, że przyjedzie... Wy ją przekonacie. Wy ją namówicie. Do śmierci będę wam wdzięczny... Odplacę się... Choć biedak jestem, potrafię was wynagrodzić... W walkach z poganami rycerze bogacą się szybko... Wszystkie łupy w pierwszej mojej potrzebie zdobyte będą wasze, a potem jeszcze dołożę... Nie pożałujecie.

— Nie dla nagrody, o którą nie dbam, ale dla uradowania was, Miłościwy Panie, gotowym jechać choćby na koniec świata — postanowił Divini.

— Dzięki wam, dzięki! Jedźcie jak najprędzej!

Niezmiernie dumny z powierzonego zadania król trubadurów pożegnał się i odszedł. Jan de Brienne, pozostawszy sam, odetchnął, zamyślił się. Bez zdziwienia stwierdził, do jakich szaleństw pcha miłość. Oto on, niemłody, surowy, zamknięty w sobie, przyszły król, zwierzał się z najtajniejszych rzeczy człowiekowi, którego sam przed paru godzinami określił jako rajfura! Rozmawiał z nim niby z przyjacielem, oddawał swój los w jego ręce, błagał, by raczył się zgodzić i udzielić swej cennej pomocy... O śmieszności, straszliwa śmieszności! Gdyby dowiedzieli się o tym posłowie, biskup Akry lub pan Cezarei? Król... król... Zakochany jak durny paź... Trubadura posyła! Więc może pchnąć pachołka, by zawrócił Wilhelma, powiedzieć mu, że to były tylko żarty, gadki dla śmiechu, że nie ma żadnej Blanki?

...Nie, nie, nie! Niech ludzie myślą, co chcą. Niech się świat gorszy, lecz Wilhelm niech jedzie...

Mateusz Pesaro zapomniał o przygodnym swoim towarzysz. Piotrze Cani, uwięzionym bez przyczyny, nie zapomniał o nim jednak Franciszek i bezpośrednio po rozmowie z katarą pobiegł do więzienia dowiedzieć się o los znajomego.

Prawo, acz srogie, pozwalało na odwiedzanie więźniów. Jeno że zwykle nikt się do tego nie kwapił. Przyznawać się do znajomości z podejrzanym o herezję (a takich było najwięcej) znaczyło podawać się samemu w podejrzenie. Toteż człowiek uwięziony był pozbawiony możliwości obrony. Sprawa sądowa, o ile miała miejsce, kończyła się nieodmiennie torturami (innego wszak sposobu śledztwa nie znano) i śmiercią.

Właściwe wiezienie rzymskie było przepełnione. Pospołu zmieszani ci, co inaczej pojmowali bóstwo Chrystusa, niż Kościół zalecał, zbóje pustoszący dotychczas Kampanię, wszyscy, którzy wspomagali poprzednio antypapieża, których podejrzewano o udzielanie pomocy Niemcom dobywającym Sycylii, którzy sprzyjali niegdyś Francuzom Waltera de Brienne — tłoczyli się w ciasnych celach, tkwili w dybach, szczękali przykuwającymi ich do ścian łańcuchami, przeklinali świat, życie, Boga i siebie. Było ich tak wielu, że mimo usilnych starań strażników nie dało się już pomieścić nikogo więcej. Przybywających nowych więźniów upychano więc, gdzie się dało: w starych termach, w pogańskich świątyniach, w lochach położonych niżej poziomu ziemi bądź na skutek pierwotnego planu, bądź z powodu obsunięcia się gruntu... W tej plątanie niełatwo było odszukać kogoś, co nie był znanym powszechnie człowiekiem, i Franciszek przez dwa dni przebiegał niestrudzenie a daremnie wszystkie więzienia. Dusza mdlała w nim od tej wędrówki. Wilgotne ciemnice, bytujące w nich niejednokrotnie od długich lat wybladłe widma, zdały się czymś straszliwym jak piekło.

Pośród skazańców jedni byli zbuntowani, silni, kipiący wewnętrzną niewygasłą pasją. Nie przestawali myśleć o odwecie, o chwili, w której uda się dozorcę zniemacka napaść, zadusić, obalić... Niby zbawienia oczekiwali najazdu obcych na Rzym albo innej straszliwej grozy w mieście, moru lub trzęsienia ziemi, jednej z tych chwil, w której więzienia stają otworem, a strażnicy uciekają. Wtedy wyrwać się na wolność, zbiec z oczu ludzkich, nabrać sił, po czym powrócić, aby się pomścić. Pomścić! Myśl o możliwej pomście trzymała ich przy życiu, stanowiła jedyną podniechęć. Śnili codziennie, obrazy coraz straszliwsze, coraz okrutniejsze, sycili się nimi, podniecali. Inni, mniej zawzięci lub słabsi, lub zbyt długo więzieni, nie marzyli już o

zemście, nie śnili w ogóle o niczym. Zetlałe cienie pozbawione myśli, pamięci i uczucia. Nie miłowali ani nie nienawidzili już nikogo. Nie pamiętali, za co ich zamknięto, ani jak dawno to było. Nie trafiało do nich współczujące słowo pociechy, zarówno jak nie przerażały groźby, i Franciszek patrząc na nich płakał gorzko. Gdybyż można ich wywieść na jasny dzień, na słońce i wiatr i krzyknąć: „Bracia, wolnościście!” Może by wtedy ożyli? Ale nie był zdolny tego uczynić. Sam papież nie mógł tego uczynić. Państwo papieskie, jak każde inne państwo, musiało posiadać surowe prawa i więzienia, by karać i zamykać ludzi, którzy mu się sprzeciwiali.

Ogarnięty przerażeniem Franciszek wychodził z lochów chwiejąc się na nogach jak pijany. O, gdybyż można zniszczyć i zburzyć wszystkie więzienia, zniszczyć wszystkie na świecie narzędzia męki i kary! Kara! Co za straszne słowo... Bóg tylko ma prawo go używać. Człowiek nie powinien swego brata karać inaczej niż mówiąc: „Bracie, idź i nie grzesz więcej!”

Gdyby wszyscy ludzie miłowali się po chrześcijańsku, podobna kara byłaby wystarczająca; gdyby ludzie się miłowali, nie istnieliby przestępcy. I znowu całe zagadnienie sprowadzało się do rzeczy jedynej i tak prostej na pozór: rozbudzić w ludziach uczucie chrześcijańskie...

Na koniec odnalazł Piotra. Nie był przykuty do ściany, zgnilość więzienia nie zdołała jeszcze osłabić jego mięśni, wysssać rumianości lic. Ale przygnębiony był niezmiernie i pogrążony w rozpacz. Tłukł się o mury jak złowiony ptak. Na widok Franciszka roześmiał się z cierpką uciechą.

— I wy tutaj? Spotkaliśmy się, co? Zaraz wam mówiłem, że „brat ogień”, „siostra woda” to czysta herezja...

— Nie dziwiłbym się, gdyby mnie zamknęli, bom na to więcej zasłużył niż wszyscy, którzy tu są — odparł Franciszek pogodnie. — Na razie jednak to nie nastąpiło. Przyszedłem tu z własnej woli, aby się o was dowiedzieć...

— O mnie! — wykrzyknął Pietro ze zdumieniem. — O mnie?! Przecieżeśmy się wcale nie znali. Ino com chwilę siedział przy waszym ognisku.

— A czyż to mało, mój bracie?

— Z Mateuszem parę niedziel przechodziliśmy razem... Żeby się, jucha, kiedy zapytał, zatroszczył... — Pietro odwrócił głowę do ściany i rozplakał się.

— Nie narzekajcie na Mateusza — przedkładał Franciszek — bo od niego się dowiedziałem, że was zamknęli.

— Drugiemu powiedział, sam nie przyszedł, bał się!

— Skoro wiedział, że przyjdę, to nie miał potrzeby iść.

— Darmo go bronicie. Przekonałem się już, co on wart... Wszystkie te marchy uczone jednakie...

Franciszek przysiadł na ziemi po swojemu.

— Dlaczego was tu zamknięto?

— Żebym ja wiedział! Żebym wiedział! — krzyknął Pietro uderzając w rozdrażnieniu pięścią o mur. — Myślę i myślę, komu się naraził, i wymyślić nie mogę... Zwady z nikim nie miałem, do dziewczek cudzych się nie zalecałem... Uścisnąłem raz gospodynię, ale gospodzki tego nie widział. Zresztą to stary dziad. Winien znać, że właściciel austerii ma żonę dla gości...

— Powiadajcie od początku: jak to było?

— Opowiem. Przyszliśmy z Mateuszem do tej gospody i, choć stary był ryży jak cap, zostaliśmy, bo wino było tanie i dobre. No i ta baba niczego... Tego dnia, co mnie wzięli, siedzę sobie rano w kątku, gdzie chłód był, i ciągnę wino, a na babę zerkam, żeby do mnie szła... Umyślniem tak siadł, żeby mnie widać nie było... Aż tu wchodzi czterech ludzi: dwóch zasobnie odzianych, na kupców weneckich patrzących, jeden jakiś półmnic, a trzeci wasz brat, ten w kapeluszu...

— Jan a Capello? — zdziwił się Franciszek.

— Nie wiem, jak go tam zwiecie. Kręcił się po izbie, zobaczył mnie, widno poznał, zacukał się czegoś i zaraz pożegnał tamtych i poszedł... Oni wina kazali sobie dać i gadają... Ja słucham, nic lepszego nie mając do roboty, bo jużci baba nie przyjdzie, aż oni odejdą...

Jeden z tych Wenecjanów powiada:

— Za długo to trwa, za długo! Nie możemy dłużej czekać!

Ten, co na mnicha wyglądał, kuli się i skomli:

— Cierpliwości, panie, cierpliwości! Taki niewód można zarzucić tylko raz... Do razu sztuka... Więc im dłużej się się zaciąga, tym lepszy połów... A połów będzie dobry... Rybki słuchają mnie... słuchają...

— Za długo — powtarza Wenecjanin. — Nie możecie podołać sami, weźcie pomocników...

— Mam już jednego, tego, co wyszedł przed chwilą...

— Dobierzcie jeszcze...

— Wierzajcie, panie, że sam lepiej zrobię...

— Dzielić się zarobkiem nie chcesz z nikim, łajdaku! Więc na kiedy obiecujesz?

— Na wiosnę, panie, na pewno.

— Statki będziemy mieli gotowe, ale biada ci, Mikołaju, jeżeli zawiedziesz!

Ów Mikołaj kuli się jeszcze bardziej i przysięga, że nie zawiedzie, a mnie ciekawość zdjęła, o czym rozmawiają... Nie takim głupi, żeby wierzyć, że o prawdziwych rybach, ale durnia udaję, wyłażę z kąta, kłaniam się grzecznie i pytam:

— Słyszę, że o połowie ryb mowa, a ryby szczególnie lubię... Może by się dla mnie przy tym zajęcie znalazło... Do każdej roboty zdatnym. — Poczzerwienieli, ujrzawszy mnie z nagła, ale nic po sobie nie pokazują, po ramieniu mnie klepią. „Takich nam, owszem, zuchów potrzeba, co do wszystkiego zdadni — powiadają. Dziś nie mamy czasu powiadać, co i jak, ale bądź tu jutro o tej samej porze, to cię z sobą weźmiemy...” I zaraz odeszli... „Oho, spłoszyłem ptaszków — myślę. Żebym był mądry, tobym zaraz z tej gospody czmychnął gdzie na cztery wiatry. Ale jak na złość przyszła gospodyni. Dalejże czulić się a pytać, co to byli za jedni, że jacyś obcy, że nigdy tutaj nie byli, znaczni pewnie panowie... Ja prawię swoje, że to rzezimieszki, i tak się spieramy, aż tu nagle pacholcy grodzcy wpadają... Prosto do mnie. Łap za kołnierz! — Jesteś, bratku! — powiadają. — Jesteś, ty psie heretycki! — Krzyczę, że to omyłka, że ja spokojny człowiek, dobry chrześcijanin, a oni mnie pięścią w brzuch, kolaniem w zad i ciągną!... Czego chcecie?! — wołam. — Ani wy mnie, ani ja was nigdy nie widziałem!

...Starszy w pysk mi dał, aż mnie zamroczyło, i powiada: — Ty nas nie znasz, ale my cię znamy. Tylko co trzech uczciwych chrześcijan powiedziało nam, gdzie jesteś, ty kaczerzu plugawy, ty zarazo, antychryście!

— Ja nie kacierz! Puśćcie mi ręce, a przeżegnam się... Do księdza mnie wiedźcie!...

— Jeszcze czego! Nie mówiłeś tym uczciwym panom, że tylko ryby jadasz? Co? Aha! Przypominasz sobie?

— Mówiłem, że lubię ryby łowić, a nie jadać! Dajcie mi świniny, baraniny, kurę, cielę, obaczycie, jak będę żarł! Ja kacierz? Boże wielki!

...Nie słuchali już wcale, tylko powlekli i tutaj wrzucili... Tydzień już siedzę... Proszę, płacę, zaklinam, niech mnie wysłuchają, niech się dadzą wypowiadać, ale próżny trud. Łatwiej byś się z pniem dogadał... Trzymają mnie tu i trzymać będą aż do zabitej śmierci, może i na stos powiodą... O Jezu, Panie nasz! O Najświętsza Panno!

Rzucił się z płaczem na barłóg i szlochał bezsilny.

Franciszek powstał z ziemi.

— Zaraz pójde do biskupa. Na pewno pomoże.

— Bóg wam zapłać. Bóg wam zapłać. Obcy człowiek, a zatroskał się, dowiedział... Mateusz ani pomyślał. Ot, towarzysz... A myślicie, że takich jak ja nie ma więcej? Gadałem już tu z niejednym... Zamknęli ich jako kacerzy, choć ani im się śniło herezją paruć... Na jednego krewni naskarzyli, bo na grunt mieli chrapkę, na drugiego taki, co mu żonę zbałamucił... A oni są dobre chrześcijany... Co z tego? Nikt się ich przecie nie spyta. Siedź, aż zgnijesz, a nie krzycz nadto, bo sobie przypomną, że siedzisz, i spalą... Oj, dolo, dolo!

Nie słuchając już dalej, Franciszek pobiegł do biskupa błagać go o posłanie do więzienia kapelana, który by sprawdził stan duchowy więźnia i przekonawszy się o jego prawowierności spowodował wypuszczenie niesłusznie oskarżonego. Biskup zgodził się łatwo, gorzej poszło z kapelanem. Nie czuł on najmniejszej chęci zadawać się z heretykiem. „Nie ma dymu bez ognia — twierdził. — Za darmo go nie wsadzili. Byle bluźnierca staje się świętobliwym, gdy sprawiedliwość poczuje.”

Długo się opierał, nareszcie jednak ustąpił i wraz z Franciszkiem poszedł do więzienia. Wtedy to spotkał ich Jan de Brienne jadący na audiencję do Ojca świętego.

Pietro Cani oczekiwał powrotu Franciszka ze drżeniem i niedowierzaniem, szarpany kolejno rozpaczą i nadzieją. Przypadłszy do nóg kapelana, spowiadał się z przejęciem jak nigdy w życiu, przysiągł, że wierzy we wszystko, co Kościół święty do wierzenia podał, że czci kornie Ojca świętego i całe Święte Kolegium, i wszystkich biskupów, i prałatów, i księży, i zakonników. — Na dowód mojej szczerości — zakończył — gotówem reszty życia dokonać w zakonie!

Ujęty tym zapewnieniem kapelan zgodził się poręczyć za prawowierność Pietra Cani. Tegoż dnia przed wieczorem wypuszczono na wolność wesołka. Szalał z radości, nie dowierzał, zali nie śni, z wybuchami nieprzytomnej wdzięczności rzucał się na Franciszka, który kroczył obok niego wyjątkowo milczący i zadumany.

— Wolnym! Wolnym! — powtarzał Pietro podskakując. — Wolnym! I to dzięki wam! Ale zdacie mi się czegoś zasumowani?

— Myślę o tych, co tam zostali — wyznał Franciszek. — A także... Jesteście pewni, że człowiek, co był z tamtymi w gospodzie, to nasz towarzysz?

— Jakże! Toć mówię, że zaraz poznałem. Zapamiętałem go, bo wy wszyscy gołogłowi, a on w kapeluszu...

— I ów Mikołaj mówił, że to jego pomocnik?

— Mówił.

— Panie miłosierny, Panie! Biedny nasz brat! Mikołaj... słyszałem niedawno to imię...

— Mikołajów jest dużo.

— Coś mi gada, że to ten sam.

Stanęli przed pałacem biskupa, gdzie na podwórzu (nie chcieli w izbie) koczowali bracia, i Franciszek przystanął, by się z Pietrem pożegnać.

— Myślicie, że odejdę? — obruszył się tenże. — Powiedziałem przecież, że w zakonie ostanę. Jeno za furtę do spaśnych mnichów nie pójdę, o, nie! Z wami chcę ostać do śmierci.

Twarz Franciszka pojaśniała.

— Witajże nam, witaj, braciszku miły, kochany! Niech Pan cię obdarzy pokojem!

Objął go serdecznie wpół i prowadzili ku braciom. Zebrani kołem w kącie biskupiego podwórca, radzili nad czymś gorąco.

— Jesteś nareszcie! — zwrócił się do Franciszka brat Eliasz z wyrzutem. — Lada chwila zawezwą cię, byś szedł do Ojca świętego.

— Na koniec! Bogu dzięki!

— Nie wiadomo, czy będzie za co dziękować — mruknął żałośnie Sylwester.

— Wielką wam radość zwiastuję — ciągnął Franciszek nie zwracając na niego uwagi. — Przybył nam nowy, kochany, dobry brat. Martwiłem się, bo jeden z naszych odszedł... A oto Bóg zesłał na jego miejsce nowego.

Wysunął przed siebie Pietra Cani, który utyłany jeszcze w więziennym prochu, ze zmierzwioną czupryną, uśmiechał się do zebranych serdecznie, ale głupkowato.

— Witaj nam, bracie! — zawołali chórem.

Usiadł obok Franciszka i słuchał w milczeniu dalszych narad. Z rozkoszą wciągał dech wiatru, z rozkoszą spoglądał w niebo płonące nad głową, zamiast lochu.

— Bracie Franciszku — podjął znowu Eliasz — biskup mówił, że za chwilę pójdziesz na posłuchanie do Ojca świętego. Co tam będziesz mówił? Musisz sobie przygotować przemowę...

— Przemowę? — powtórzył Franciszek z niepokojem.

— A cóż myślisz? Że do Ojca świętego można tak iść i gadać, co ślina na język przyniesie?

— Nie myślałem o tym, wyznaję...

— Bracie Eliaszu! — zawołał brat Idzi. — Cokolwiek powie Franciszek, zawsze będzie doskonale. Zaliś nie widział, jak go ludzie mówiącego słuchają?

— Co innego pospółstwo, co innego Ojciec święty — upierał się Eliasz. — Czy nie mam słuszności, bracie Sylwestrze?

Były proboszcz wykonał nieokreślony ruch ręką.

— Owszem, owszem — bąknął. — Mnie się też zdaje, że do Ojca świętego wypada zwracać się jakoś ozdobniej...

— Ha, skoro tak obaj mówicie, musi być prawdą. Kto ułoży przemowę?

— Nikt inny, jeno ty, bracie Franciszku.

— Ja?! Najgłupszy z was wszystkich? Gdzież ja bym potrafił!

— Przecież ty ją masz wygłosić.

— To nic. Nie potrafię. Przemowa winna być uczona, a gdzie mnie do uczoności?! Ty ułóż, bracie Bernardzie!

Bernard spojrział na Franciszka z bezmierną miłością.

— Powiedz, bracie, po prostu to, czym cię Bóg natchnie.

— Tamci bracia, widzisz, mówią, że to nie wystarczy... Więc może ty, bracie Eliaszu?

— Nie, nie, żaden z nas.

— W takim razie trudno, będę myślał... Może tak zacząć: Najdostojniejszy nasz święty Ojcze! Żyła na pustyni pewna kobieta bardzo uboga, ale urodziwa. Ujrzał ją możny król, poślubił i miał z nią piękne dzieci. Gdy dorosły, rzekła im matka: „Nie wstydzcie się waszej biedy. Idźcie śmiało na dwór króla i proście o wszystko, czego wam trzeba, a on wam nie odmówi, bo jesteście jego synami”. Dzieci ucieszyły się bardzo i nie tylko nie wstydziły się swojego ubóstwa, lecz uważały je za wielkie bogactwo. I mówiły: „Jesteśmy dziećmi potężnego króla”. A gdy nadszedł czas, poszły na dwór królewski i ojciec poznał je i uściskał, i rzekł do dworzan: „Wszystko, co mam, do nich należy, bo to są dzieci moje ulubione”. I powiem wtedy: „Najdostojniejszy, najlepszy święty Ojcze: jam jest tą ubogą kobietą, którą Bóg wyróżnił, a ci bracia moi Jego dziećmi...”

— Cudownie! — zakrzyknął brat Anioł z zapalem.

Brat Eliasz nie podzielał tego zdania.

— Do wszystkiego musisz mieszać, Franciszku, swoje świeckie bajki... To nie uchodzi. Nie jesteśmy żonglerami ani trubadurami...

— Przeciwnie! — wykrzyknął Franciszek. — Przecież to najpiękniejsza rzecz na świecie! Jesteśmy, owszem, żonglerami i trubadurami, ale Bożymi, Bożymi...

Powiódł po braciach rozjaśnionym wzrokiem, uśmiechając się do nich radośnie. Od tego spojrzenia dusze w nich topniały. Nieraz sobie myśleli, że bez Franciszka, bez tego jego uśmiechu

nie podołaliby ciężkiemu zadaniu. Gdy go nie było, każdego z nich opadały z wątplenia i niedobre myśli. Brat Bernard drżał, czy mu starczy wytrwania. Brat Sylwester obawiał się, czy skuszony przezornością nie zatrzymał się na obranej drodze. Nawet brat Idzi odczuwał nieraz pokusy i ponęty ziemskie. Ale wszystkie te słabości pierzchały, gdy Franciszek uśmiechał się z tą radosną ufnością co teraz.

Młody kleryk zbiegał ku nim ze schodów.

— Prędko, prędko — wołał — do papieża! Do papieża!

Porwali się wszyscy z miejsc i przeżegnali.

— Idę — rzekł Franciszek poważnie. — Bracie Idzi i bracie Bernardzie, odprowadźcie mnie.

Ruszyli we trzech pośpiesznie.

— Nie chciałem martwić Franciszka — rzekł Eliasz do pozostałych — ale spotka go przykry zawód. Ojciec święty stanowczo nie zatwierdzi naszej reguły w jej obecnym brzmieniu. Trzeba będzie od doskonałego ubóstwa odstąpić.

W głosie jego, gdy to mówił, nie czuło się żalu.

— Bracie — szeptał Idzi, z trudem nadążając za idącym szybko Franciszkiem — to o Janie myślałeś mówiąc, że jeden z naszych odszedł? On już od kilku dni wcale nie przychodzi...

— O nim, bracie. Módlmy się za niego, och, módlmy! Boję się bardzo, że popadł w złe ręce...

— Gdy go ostatnim razem widziałem, opowiadał z zachwytem, że ktoś obiecał mu pokazać cuda...

— Zawiedzie się na nich srodze... Wszak tylko Bóg może zapowiadać cuda. Bóg albo... diabeł...

— Może przekona się o tym i wróci?

— Może... Dałby to Bóg! Pierwszy nasz odstępca, Jan...

— Sądziłem, bracie Franciszku, że będziesz więcej bolał... Przybycie Pietra pocieszyło cię od razu...

Coś niby wyrzut zadrgało w oczach Bernarda.

— Nie tylko to przyjdzie, bracie. Pomyślałem, że nasz zakon jest niby sieć, co wielkie mnóstwo zagarnia; mniejsza płoć wypada do morza z powrotem, większa pozostaje... Wśród tej rzeszy...

Idzi i Bernard nie mogli powstrzymać śmiechu słysząc te słowa.

— Mnóstwo?! Rzesze? Nieprzeliczone zaprawdę! Jest nas dwunastu, jak było!

Franciszek spojrział na nich niby przebudzony.

— To prawda, kochani. Dwunastu... A mnie się czegoś nagle wydało, że nas jest tysiąc i więcej niż tysiąc... I że ze wszystkich stron świata ludzie ku nam ciągną... Tak mi się czegoś wydało... To zabawne. Zaczynam marzyć o cudach jak nasz biedny Jan a Capello...

Roześmiał się sam ze siebie i dodał stanowczym głosem:

— Nie myślmy już o niczym więcej, jeno o tym, że za chwilę staniemy przed obliczem Ojca świętego.

Nie stanęli jednak tego wieczoru, gdyż Innocenty III poczuł się niedobrze i posłuchanie odłożył do następnego ranka. Prostaczek z Asyżu może poczekać. I tak nie posłyszysz nic innego jak kategoryczne veto! Wariacka reguła, mająca być podstawą nowego stowarzyszenia, została już przeczytana przez papieża i wszystkich kardynałów. Zaszedł jeden z rzadkich wypadków, że całe Święte Kolegium było jednomyślne. Kardynał Colonna nieco się wahał, doradzał zezwolić na roczny okres próby, prędko jednak odstąpił od tego zamiaru. Sprawę trzeba przeciąć jasno. Reguła Franciszka, syna Piotra Bernardone, sukiennika z Asyżu, jest niewykonalna, w życiu niemożliwa, w wykonaniu szkodliwa.

...Franciszek, syn Piotra Bernardone, i jego towarzysze, skoro chcą się poświęcić Bogu, niech wstąpią do jednego z istniejących już zakonów. To się im nakazuje pod obediencją winną Namiestnikowi Chrystusa... Tak mu powiem — postanowił Innocenty, powstając z krzesła, by udać się na spoczynek.

Kardynałowie z szacunkiem odprowadzili go do sypialnej komnaty.

— Spoczywajcie z Bogiem, mili — mówił żegnając ich na progu — i życcie mi spokojnego snu. Lękam się nocy. Trapią mnie dręczące zwidy i przerażające obrazy. Patrę, jak ginie świat, jak się zatracą w grzechu i obłędzie... Wilczyca, lew i pantera, chciwość, pycha i zmysły rządzą tam, gdzie powinny panować: pokora, umiłowanie krzyża, ludzkość... świat cały to magna meretrix, wielka nierządnicą... Świat cały to okrucieństwo i przemoc nad słabszym...

— Ustanie to, gdy wytepiemy herezje — zapewnił z przekonaniem kardynał Pelagiusz.

— Zali je wytepiemy postępując tak jak dotąd? — westchnął Innocenty.

— Jak to? Ostatnie wiadomości spod Albi...

— Ach, nie o tym myślałem, nie o tym...

Zniechęconym ruchem dłoni odprawił towarzyszy i wszedł do komnaty.

— Dziw, jak ten człowiek szybko postarzał — zauważył z politowaniem kardynał Pelagiusz ukazując głową drzwi.

Choć nieświadomy postanowień papieskich, Franciszek długo nie mógł zasnąć w nocy. Przewracał się z boku na bok, nareszcie trącił leżącego obok Bernarda.

— Daruj, braciszku, że cię budzę... Przyszło mi do głowy, że przypowieść o tej kobiecie z pustyni jest za długa... Nim skończę, Ojciec święty zniecierpliwi się i przerwie: „Co mi tu gadasz o jakichś miłostkach!” Może lepiej ja tak zacznę: „Najdostojniejszy Ojczy święty! Pan nasz objawił nam swoją wolę, byśmy żyli...” Nie, to źle... Ojciec święty pomyśli, że się chelpimy szczególną łaską Chrystusa Pana... Więc może tak: „Miłując najgoręcej Pana naszego...” Nie! to źle... Bo są na pewno inni, więcej od nas miłujący Pana naszego, a nie chwalcący się tym... Więc już nic nie wiem... Naprawdę jestem bardzo zmartwiony... Brat Eliasz i brat Sylwester każą mi przygotować mowę, a ja nie umiem. Wszystko mi się poplątało... Brat Jałowiec lepiej by powiedział ode mnie...

Brat Jałowiec chrapał nie opodal rozgłośnie i brat Bernard roześmiał się cicho na myśl, jaką by on powiedział przemowę.

— A może brat Maseo? — nalegał Franciszek. — On tak wspaniale i głośno przemawia... Może by on poszedł zamiast mnie?

— Franciszku — rzekł surowo Bernard — pleciesz, aż wstyd słuchać. Tyś nas wezwał, tyś naszą głowę, kierownikiem, ty masz iść do Ojca świętego. On ciebie czeka, nie nas. Nie będziesz go chyba oszukiwał?

— Ja?! — wykrzyknął z rozpaczą Franciszek. — Ja bym oszukiwał? Ale co pocznę, kiedy nie potrafię?

— Nie trap się o to. W trudniejszych chwilach Pan nasz wskazywał ci, co masz czynić. Dlaczego nie miałby wskazać i teraz?

— Masz słusność! — zawołał Franciszek. — Masz słusność! Tyś zawsze mądry, Bernardzie... Dlaczego ja się trapię? Przecież mi Pan nasz pomoże...

Wyciągnął w mroku ręce i uściskał towarzysza gorąco, po czym zasnął cicho i ufnie jak dziecko.

Gdy nazajutrz szedł przed tron papieski, mały, niepozorny, obtargany, spoglądający jakby ze zdziwieniem na własne odbicie w lśniącej posadzce pałacu, wydawał się szarym ptaszkiem zabłąkanym tu wypadkiem, trznadlem, pośmięciuską lub zwyczajnym wróblem. Przy drzwiach pozostali jego bracia spoglądając z niepokojem. Trwożyła ich przepaść, jaka zdawała się dzielić majestat Piotrowy od tego żebraka. Szedł długo, bo sala audiencjonalna była przestronna, coraz bardziej niezgrabny i onieśmielony. Mrużył oczy przed czerwienią stojących koło tronu kardynałów. Oni patrzyli na niego z ciekawością, z litością, z pogardliwym pobłażaniem. Czego tu chciał ten biedak? Jemu zaś myśli uciekły spod czaszki i nie mógł nawet się modlić. Był na wskroś przerażony i w swym pojęciu znikomy. Podszedł do tronu, ucałował kornie stopę Namiestnika, podniósł się, spojrział błagalnie w twarz Innocentego i... nie był w stanie nic powiedzieć. Bóg, na którego liczył, nie zesłał mu żadnego natchnienia.

— Co za prostak! Nawet supliki powiedzieć nie umie — mruknął któryś z kardynałów.

— Cicho... cicho... patrzcie na Ojca świętego.

I patrzyli ze zdumieniem, bo papież otworzył szeroko źrenice i wpił je w stojącego przed nim człowieczyńę niemal z przerażeniem. Gdzie go widział? Gdzie go widział?! Kiedy?! Przecież zna tego żebraka! To on! To on podpierał Lateran!

Zasłania sobie twarz z jękiem:

— Na rany Chrystusa Pana!

Ten ruch, ten jęk widzą i słyszą wszyscy. Nastaje cisza. Majestat Piotrowy i Biedaczyna w zgrzebnej opończy stoją nadal bez słowa naprzeciwko siebie.

Serce Innocentego zalewa fala radości tak wielkiej, że odejmuje mu głos, podobnie jak Franciszkowi odejmuje go onieśmielenie. Więc Bóg jest przy nim. Papiestwo zachowało łączność z Chrystusem? Mimo grzechów i błędów popełnionych przez swe sługi, Chrystus czuwa nad rzymskim Kościołem! Daje widomy, niepojęty znak... O, niewypowiedziana, niewysłowiona pociecho!

I w oczach wszystkich, odjąwszy dłonie od twarzy, papież wyciąga ręce do Franciszka. A gdy ten zmieszany, szczęśliwy wchodzi na stopnie tronu, Innocenty przyciska jego głowę oburącz do piersi.

— Synu mój, synu — szepcze prawie nieprzytomnie — błogosławię cię i wszystko, co czynisz...

Franciszek szlocha z radości, bracia u drzwi padają na kolana, kardynałowie spoglądają ze zgorzonym osłupieniem. Nie rozumieją nic z tego, co się dzieje.

— Przynieście mi ów papier, inkaust i pióro — mówi Innocenty.

Wszyscy wiedzą, że chodzi o regułę. Miał ją przedrzeć i zwrócić Franciszkowi Bernardone.

Nie odrywając oczu od Biedaczyny, niby we śnie, papież sięga po pióro, u dołu pergaminu pisze drżącą dłonią: *Błogosławimy i zatwierdzamy. Innocenty III, sługa sług Bożych...*

Podaje dokument kardynałowi Ugolino, kanclerzowi. Ten wie, co ma czynić. Nie tając zdumienia, ale bez oporu dodaje: *Dan w Rzymie pod pieczęcią Rybaka...*

Franciszek słania się u stóp papieskich. We drzwiach brat Eliasz szturcha gwałtownie towarzyszy.

— Zatwierdził?! Naprawdę zatwierdził?! Jak to? Co się stało? Dlaczego zatwierdził? Przecież mówili wszyscy, że...

— Pan nasz musiał mu powiedzieć — domyśla się Jałowiec.

Brat Eliasz wzrusza gniewnie ramionami.

Rozdział ósmy

Kusiciel

— Spóźniliście się, szlachetny panie — rzekł biskup Gwido.

Trudno było orzec, co w jego głosie przeważało: żal czy zadowolenie. Ten, do którego mówił, milczał gniewnie, zasepiony. Był to wysoki starszy rycerz o suchej twarzy, orlim nosie i dumnym wejrzeniu.

Bo też rycerz Scifi, pan na Asyżu i Sasso Rosso, pochodził z dumnego rodu. Przodkowie jego nie kłaniali się nigdy nikomu, im się natomiast kłaniano. Nie lękali się nikogo, lecz wzbudzali postrach sami. Wszelkie sprawy godzili lub przecinali orężem. Toteż bezradność, jaką w danej chwili odczuł gość biskupa Gwidona, była dlań rzeczą nową niezrozumiałą i nieznośną.

— Spóźniłem się? — powtórzył przeciągle. — Czyżby ten prostak już dotarł do Ojca świętego?

— Dotarł, owszem, i aprobatę otrzymał.

— Aprobatę otrzymał? Wasza Dostojność żartujesz?! Udzielono jej bez rozwagi, bez zastanowienia, bez wysłuchania innych?

— Ojciec święty nic bez zastanowienia nie czyni. Przedwczoraj przyjął Franciszka, syna Bernardone, regułę zatwierdził, a wczoraj Bracia Mniejsi, bo tak ich teraz zwać mamy, odeszli całą gromadą.

— Miąłem się z nimi widno pod grodem... Oni wyszli jedną bramą, ja wjechałem drugą... Szkoda! Nie wytrzymałbym, by ich krzywą nie poturbować i ochotę do spieszego powrotu odebrać...

— Reguła ich została zatwierdzona — przypomniał z naciskiem biskup — przeto kto ich obraża, obraża Kościół...

Rycerz Scifi wzruszył ramionami.

— Wiem, wiem. Ale między sobą możemy chyba mówić otwarcie? Choćby mnie miano wykląć, nie pochwalę nigdy, syna Bernardone nie nazwę inaczej niżli przeklętym nierobem! To przygłupek, którego należałoby ochłostać i zamknąć, a tymczasem Ojciec święty...

— Przebieracie miarę, szlachetny panie — przerwał ostro biskup. — Ja Franciszka kocham jak syna i cieszę się, że Ojciec święty podzielił to uczucie. Niby położna przyjąłem go niegdyś nagiego, gdy się schronił pod mój płaszcz przed gniewem ojca.

— Znam tę historię, znam. Wszelako słabość, jaką Wasza Dostojność żywisz do tego wariata, nie powinna zasłaniać oczu na szkodliwość jego nauki... Nigdy bym nie przypuścił, że Ojciec święty nakłoni ucha bredniom przez niego głoszonym! Chyba że się przytaił? Udawał? A może Ojciec święty przypuszcza, że podobne głupstwa nikogo nie znącą i cała ta sprawa skończy się na niczym?... Otóż nie! Nie! Śpieszyłem tu właśnie, by ostrzec Ojca świętego, że w Asyżu już czekają na powrót Franciszka nowi adepti... Ha! ha!... Ucieszna historia!... Nie wierzysz, Wasza Dostojność? Ależ tak jest naprawdę. Ze trzydziestu ludzi wygląda tego gnojarka... Tymczasem obozują przed kościołem, modlą się w głos... A drugie tyle zwariowanych bab czeka niecierpliwie, zali je Franciszek zechce przyjąć. Dopieroż się zacznie zabawa!... Wasza Dostojność! Śmieli się wszyscy, gdy ten przygłupek nago odstąpił od ojca...

— Ja się nie śmiałem — zauważył sucho biskup.

— ...lub gdy rozważny, mądry Bernard de Quintavalle rozdał na placu wielki majątek ubogim. Ostatecznie, jeśli trzech, czterech półgłówków chce udawać świętych, mniejsza o to. Rodziny ich słusznie krzyczą, że zostały pokrzywdzone, ale parę rodzin nie stanowi jeszcze całego miasta. Gorzej, jeżeli ich liczba rośnie. Na kości świętego Rufina, dobrego patrona!... To są rzeczy bardzo groźne... Toć oni odciągają ludzi od zajęć, wnoszą zamęt i niepokój, ba, wzbraniają nawet rodowej zemsty... Tak! tak! Sam słyszałem o takich, co pod wpływem

Franciszka nikczemnie zapominali przelanej krwi i pojednali się z rodem zabójców! Do czego to prowadzi? Wiadomo Waszej Dostojności równie dobrze jak mnie, że podstawą sprawiedliwości jest pomsta rodowa. Nie tylko napełnia zbawiennym strachem mordercę, ale i jego rodzinę, która we własnym interesie nie dopuszcza do zbrodni... Jeśli więc pomstę zniesiem, co nastąpi? Mężobójstwa będą się sypać jak z rękawa!

— Ci, co pod wpływem Franciszka poniechali pomsty, na pewno nie staną się mężobójcami.

— Więc może i temu Wasza Dostojność zaprzeczy, że ten szaleniec odwraca ludzi od właściwego środowiska, od obowiązków? Otumanionych rzuca w świat bez grosza, bez domu, nakazawszy wprzód roztrwonić dziedzictwo! Majętność rozdać biednym, a potem samemu żyć z jałmużny jako ciężar nieznośny dla gminy! Cóż z tego wyniknie! Jak może wyglądać społeczność, w której przeważaliby podobni opętańcy? Co się stanie z nami wszystkimi? Z całym światem?!

— Spokojnie, szlachetny rycerzu, spokojnie... — powściągał wzburzonego biskup. Szukał słowa, by odeprzeć zarzuty, i nie znajdował. Powtórzył przeto drugi raz: — Spokojnie... — i zamilkł. Znał te argumenty pozornie tak słuszne, ludzkie, arcyłudzkie... Znał je i poniekąd... dzielił... — Ojciec święty zatwierdził ich regułę, czyli uznał ją za dobrą — rzekł w końcu, zasłaniając się autorytetem tych słów.

— Darujcie, Wasza Dostojność, ale z tym zatwierdzeniem musiało zajść jakieś oszustwo... Nigdy nie uwierzę, by Ojciec święty, który jest mądrym człowiekiem...

— Nie było oszustwa, jeno zaszedł widomy znak woli Bożej...

— Ejże, ejże? Czyżby przyglupek cuda jakie stroił? O tyle sprytu nie posądzałem go nigdy.

— Nie przerywajcie mi, panie, i słuchajcie do końca... Opowiem szczerze, jak było, choć Ojciec święty nierad, by nadto o tym rozpowiadano. Otóż całe Święte Kolegium było Franciszkowi przeciwne. Powtarzano to samo mniej więcej, co wy. I Ojciec święty podzielał w zupełności zdanie Świętego Kolegium. Ale miał sen. Sen bardzo dziwny. Że kościół laterański wali się, a jakiś nie znany mu człowieczyna podtrzymuje go... Ojciec święty wielce był przejęty tym snem. A gdy Franciszek przyszedł, poznał w nim człowieka ze snu i uściskawszy go regułę zatwierdził... Oto jak wygląda prawda...

Tak mocną była wiara w sny, że rycerz Scifi przyjął za zrozumiały postępek papieża. Wyraził jednak przypuszczenie, że ów sen był zwykłym czartowskim omamem.

— Szlachetny panie — oburzył się biskup — możecie nazywać Franciszka szaleńcem, ale dziecko nie uwierzy, by był z diabłem w zмовie!

— Nie chciałem tego powiedzieć — wycofał się Scifi.

Umilkli obaj. Biskup Gwido zapatrzył się w kwadrat błękitu wycięty ramą okienną. Z których dłoni spłynął sen wróżebny, sen, który sprawił, że Innocenty pobłogosławił Franciszka, zamiast zgromić go surowo wedle racji świata? Racja świata! Przemozna, natrętna, pozornie nieodparta, jedynie rozsądna, dla wszystkich zrozumiała i przyjemna. Iluż ludzi sądzi podobnie jak pan na Sasso Rosso?! Iluż ich potępi słabość i rzekomą krótkowzroczność Ojca świętego!? Iluż uzna Franciszka za szkodliwego maniaka? Ach, nie pytać, ilu, przecież cały świat!

Nie wiedzieć skąd przyszło mu do głowy, że przed tysiącem dwustu laty działo się może podobnie... Gdy Chrystus Pan, straszliwy, nieubłagany burzyciel, przyszedł odwołać rybaków od sieci, czy otaczający jezioro zamożni siedlacy nie gorszyli się równie, jak dzisiaj gorszy się Scifi? A gdy Paweł stanął na areopagu, gdy Piotr przyszedł do Rzymu? Osiadłemu, mądrymu, bogatemu, doskonale urządzonemu światu rzucali w twarz nie słyszane dotąd hasła, wywracając życie społeczne od podstaw. I któż by się dziwił cesarom, że prześladowali obłąkanych nowatorów? Każdy rząd na ich miejscu czyniłby to samo. I cóż za szaleństwo ogarnęło owych uprzywilejowanych, sytych, wielmożnych ludzi, że niechając dotychczasowego szczęśliwego bytowania szli za zdumiewającym wołaniem, szli na poniewierkę, nędzę i śmierć męczeńską?

...Było tak, było.

...Było, zatarło się, ustało jak zmacona od dna woda. Kościół rzymski wzmógł się, spotężniał, stworzył władzę ziemską, władzę doczesną, cesarowej równą. Z cesarowej obalonej brał przykład i wzory. Z wolna zapomniał o swym szalonym burzycielskim początku. Biedak z Asyżu stawał, by o tym przypomnieć...

Biskup drgnął nagle i ocknął się z dumań, bo rycerz Scifi podjął zgryźliwie:

— Pożałuje Ojciec święty swego postanowienia. O, pożałuje! Nowinki nęca, swoboda nęci i wprędce ujrzymy chmary wyznawców tego bosego proroka. Szczególnie niewiasty, które łatwo idą na lep pięknych słów. Mówiłem już Waszej Dostojności, że spora gromada ich czeka powrotu Franciszka. Gdy je przyjmie do swego zgromadzenia, co nastąpi? Jakie stąd zgorszenie wyniknie? Mamyż na to patrzeć spokojnie?!

— Na pewno ich pospołu z braćmi nie przyjmie — zapewnił biskup. — Znam Franciszka. Nie przyczyni zgorszenia nikomu. Zresztą w regule nie ma ani słowa o niewiastach. Jeżeli zechcą należeć, Ojciec święty da dla nich osobne przepisy. Sądzę, że trwożycie się przedwcześnie, szlachetny panie. Jaka białogłowa zechciałaby dzielić to ciężkie, surowe życie, trudniejsze niżli w klasztorze?

— Te czarty każdą namówią! — wykrzyknął Scifi tak nienawistnie, że Gwido spojrział na niego uważnie.

— Można by mniemać, iż czujecie do Braci Mniejszych osobistą jakąś urazę...

— Pewnie, że żywię — odrzucił hardo rycerz. — Krewniaka mi namówili. Rzucił kasztel i wałęsa się z nimi na hańbę dla rodu.

— Ejże z tą hańbą! Różnie można by gadać... A zdawało mi się, że z rodzicami Rufina (bo o Rufina wszak chodzi) byliście z dawna w niezgodzie...

— Różnimy się, to prawda, ale krew jedna... Moim obowiązkiem o nią dbać... Zresztą nie tylko Rufin, nie tylko...

Ścisnął głowę dłońmi i zamilkł, jakby za dużo powiedział.

— Czy jeszcze kto z waszego rodu sprzyja Franciszkowi? — badał ostrożnie biskup.

Scifi kiwnął twierdząco głową.

— Kto, nie spostrzegam...

— Nie wiecie? Nie domyślacie się? Powiedzieć trudno... Ona...

— Klara?

— Klara... Klara... Moja najukochańsza Klara!

Zapadło znowu milczenie. Przed oczyma obu mężów stanęła jak żywa dziewczęca postać. „Najpiękniejsza dziewczka Italii” — zwali ją trubadurzy. Wyniosła, o smukłej postawie, czystej twarzy, poważnym spojrzeniu. Wyróżniona przez ojca spośród innych córek. Podziwiana i miłowana przez wszystkich, którzy ją znali... Klara!

— Ta dziewczynka zdawała mi się być od dziecka Bogu przeznaczona — rzekł biskup w kształcie pociechy.

— Iście nieraz mi żona mówiła, że Klarę nie dla świata chowamy... Jużem się z tym nawet pogodził... I choć rad bym ją w świecie zatrzymał, nie wzbronię iść do benedyktynek czy norbertanek... czy do innego zakonu, gdzie i zachowanie jest należne, i zaopatrzenie właściwe... Niechby tam sobie była ksienią, skoro Boga nad świat umiłowała. Ale żeby moje dziecko szło do tych żebraków, wagabundów, na nędzę, na poniewierkę! Wolej ją widzieć na marach!

Trząśł się cały z uniesienia, z serdecznego żalu.

— Czy mówiła wam już o swoim postanowieniu? — pytał biskup szczerze stropiony. (Jeżeli dziewczyna popełni jakieś szaleństwo, nowy zakon zyska nieprzejednanego wroga. Scifi poruszy całe rycerstwo przeciw niemu. Stolica Apostolska może stąd mieć przykrości...)

— Nie! Nie ośmieliłaby się! Ale mam oczy, widzę! Dziewczyna jest niby odmieniona... Straszno powiedzieć... Ona... Na miły Bóg, wam jednym zwierzam to, Wasza Dostojność, ona... durzy się w tym przygłupku... Ona, co tyłu zacnych rycerzy ze swatami jadących odesłała... Ona! Moja córka! W tym pachółku, synu sukiennika!... Klara!... Jak to pojąć?! Jak to znieść?! To się w głowie nie mieści! To czary! Opętał ją, jak opętał Ojca świętego... Bo zważcie, Wasza Dostojność, że gdyby go zalubiła dawniej, byłoby to grzeszne, haniebne, ale zrozumiałe... Krew nie woda, a do ludzi był podobny ów Franciszek... Pomnicie, jak naśmiewano się ze starej Piki Bernardone, że się na szlachcica zapatrzyła?... Na rycerskiego syna wyglądał... I do bitki, i do wypitki... Niczego sobie... Ona zaś dawniej nawet nie spojrzała... Dopiero teraz?! Tfu! Oberwaniec bez koszuli, na ziemi sypia, trawę jak bydłę jada, pośmiewisko ze siebie czyni... I moja córka... Moja córka... Mieni się na licu, ino o nim wspomnieć... By największe cudactwa wyprawiał, przytwierdza, tak, przytwierdza, że on dobrze czyni, że Chrystus Pan tak rozkazał... Za bohatera, za świętego go uważa!...

Umilkł, bo go złość zdławiła. Cierpiał okrutnie w swej dumie i miłości ojcowskiej. Biskup daremnie próbował go pocieszyć.

— Przecie bez waszego zezwolenia nic nie przedsięwzię, a skoro nie zezwolicie, to popłacze i zapomni... Jak to białogłowa...

— Jużci, że nie zwolę! Krokiem samej z zamku nie puszcę, skoro tylko posłyszę, że już wrócił...

— A on... czy miłuje ją również? Nie wiecie? — zagadnął biskup Gwido z niepokojem.

Stary rycerz spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Czy on ją miłuje? Też pytanie! Takiemu gnojarszowi, chłystkowi, urodziwa dziewczka idzie w ręce i on by jej nie miłował!?

— Sądzicie, że się zmawiali? — biskup był przerażony na dobre.

— Nie wiem... Nie rozmawiali nigdy ze sobą samodwa... Z Klarą jest zawsze duegna...

— Ech — zachnął się biskup uspokojony — strachy czynicie... Przywidzenia ojcowskie, nic więcej. Nigdy ze sobą nie rozmawiali, więc o co chodzi? Franciszek zawsze powiada, że ma jedną panią, święte Ubóstwo, i innej w życiu nie zazna...

— Obaczycie... obaczycie... Mam oczy... Stary jestem...

Umilkł i po chwili dodał:

— Widzieliśmy kiedyś z zamku, jak ten oberwaniec szedł, a urwisy miotały za nim końskim nawozem i błotem... Spaćkały go całego... On zasie, zamiast ich rozpędzić, wołał: „Dobrze,

dobrze robicie, bo większego hultaja ode mnie ziemia nie nosiła”. I szedł taki uwalany, a chłopaki za nim jak wróble za wroną... Więcem Klarę prędko zawołał i powiadam: „Patrz!” Patrzy, patrzy, zbladła, a łzy jej po licu lecą... Myślicie, Wasza Dostojność, że z obrzydzenia, ze wstydu? Gdzie tam, z zachwytu... z zachwytu... Na turniejowego zwycięzcę milej by nie spoglądała... Jak ja to przetrzymam... Boże!

Nie mogąc powściągnąć pasji zerwał się i wybiegł z komnaty.

Nieświadomy tych żalów dostojnego pana, Franciszek kroczył wesoło z towarzyszami. Czuł się nieopisanie, doskonale szczęśliwy i wolny. Ranek był wczesny, powietrze przezrocyste i wonne, krzaki jak kłęby rosiste. Ptaki śpiewały w gąszczu. Wtórował im. Słowa nie powiązane, melodie urwane, nuty bełkotliwe ni to ludzkie, ni to ptasie, zachłystywania się szczerym zachwytem, wykrzyki radości i uwielbienia nad pięknem świata i mądrością Stwórcy, hymn niepisany o urodzie ziemi, która jest zwierciadłem Boga, płynęły z jego ust na poły bezwiednie. Pragnął, by wszystko cieszyło się razem z nim, nawet cień, wierny towarzysz doczesnych kroków człowieka. Wyciągał ręce ku niemu i śmiał się jak dziecko, że brat cień mu odpowiada. Nie obciążone niczym ramiona wznosił wysoko jak skrzydła.

— Hej, bracie bażancie — wołał — porzuć no na chwilę paszę! Śpiewaj z nami na chwałę Pana!

A bażant kręcił metaliczną szyją, błyskał wspaniałą barwą i szedł kęs drogi za dziwnym człowiekiem, który śpiewał dalej, nogi stawiał tanecznie, kroczył w nieustannym pląsie tak lekko, jakby miał zaraz unieść się ku niebu.

Idący za nim bracia śledzili to zachowanie: jedni z zachwytem, inni z nietajonym niezadowoleniem.

Brat Eliasz i brat Sylwester należeli do tych ostatnich. Kierowani jedną myślą, zrównali się ze śpiewakiem. Roześmiał się do nich radośnie.

— Czemu milczycie wszyscy? — zagadnął. — Ja sam się wydzieram. Śpiewajmy społem...

— Jakaś poważną pieśń można by zaśpiewać — przystał Sylwester. — Trudno jednak, byśmy naśladowali twoje bezładne gdakanie...

— Gdkanie... Słusznie! Cóż, kiedy tak najmilej. Muszę wyśpiewać to, co mnie rozsadza... Czekać. Postaram się spisać słowa i będziemy śpiewać razem... Naszą własną pieśń... Pochwałę Pana we wszystkich stworzeniach... A zacniemy od brata słońca, co nas grzeje i oświeca...

— O wiele lepiej zaśpiewać jakąś pieśń kościelną. Stąpajże spokojnie... Co by Ojciec święty powiedział widząc cię w tej chwili? Skaczesz jak kukła na nitce!

— A po słońcu pochwałę brata księżycy i siostrzyczek gwiazd... Takie są cenne i jasne... Mrugają na wysokościach litościwie... Już nie skaczę. Coście mówili? Że Ojciec święty...

— Byłby niezawodnie zgorszony twoim zachowaniem!

— Cóż znowu? Ja myślę, że cieszyłby się razem z nami. Taki cudny dzień! Czy można się nie radować? Bracia kochani! Mamy jego zezwolenie. Ruszamy na podbój świata.

— Daj Boże — westchnął Sylwester — byśmy świat podbili. Wszakże nie stanie się to, jeśli nie zmienisz swoich obyczajów.

Franciszek opuścił ramiona zakłopotany i przeszedł z płąsu w zwykły krok.

— Cóż mam czynić waszym zdaniem? — zapytał niepewnie.

— Jesteś naszym wodzem i kierownikiem, musisz więc zachowywać się odpowiednio. Nie możesz pozwalać, by prostacy jak brat Piotr, ten nowy, albo brat Jałowiec odzywali się do ciebie poufale, a nieraz nawet karcili, gdy im się coś nie podoba...

— Przecież wy karcicie mnie również w tej chwili?

Były proboszcz Asyżu i Eliasz Bombarone spojrzeli na siebie zgorszeni.

— Daruj, Franciszku, ale sam chyba spostrzegasz różnicę między naszym umysłem i doświadczeniem a umysłem tamtych... Szczególnie brata Jałowca, który jest taki rubaszny... Poza tym oni swoje zdanie mówią wręcz przy wszystkich, gdy my zwracamy ci uwagę poufnie, samotrzc...

— Jaż wołę przy wszystkich! Więc wy dlatego... Zaraz zwołam tamtych... A co do brata Jałowca, jest on na pewno miłszy Panu ode mnie, przeto...

— Nie wołaj nikogo i słuchaj. Nie ujmujemy zasługi bratu Jałowcowi, jeno powiadamy, że wódz musi mieć powagę. Franciszku, rozumiesz? P o w a g ę !

— Jeśli powaga oznacza wywyższanie się nad innych, to nigdy nie będę wodzem, bo samo poczucie wyższości uważam za grzech.

— Braciszku! Kościół opiera się na hierarchii, która jest wyższością jednych nad drugimi...

— A wcale nie! Wcale! Kościół opiera się na posłuszeństwie. To zupełnie co innego. Hierarchia jest tylko wyrazem wyższej odpowiedzialności... Bracie Leonie! Jak się podpisał Ojciec święty na naszej regule?

— Innocenty III, sługa sług bożych! — odkrzyknął brat Leon z daleka.

Brat Sylwester umilkł pokonany, choć nie przekonany. Cofnął się ku pozostałym. Zmącona na chwilę radość Franciszka wracała. Począł znów śpiewać i stąpać rytmicznie.

— Bądź pochwalon, Panie, za brata naszego wiatr i za chmury, i za niebo, i za piękną pogodę, równie jak za słońce... I za śnieg w zimie, i za trawę w lecie... Za gorąco i za chłód...

Idąc brzegiem drogi brat Eliasz przyglądał mu się z ukosa. Uczucia, jakie żywił do Franciszka, niełatwo byłoby określić. Miłował go, to pewna. Podziwiał, ale miał pełno zastrzeżeń. Sam lubił nad wszystko rządność, ład, organizację. Nie był nic a nic poetą, przeto wielkość Stwórcy objawiała mu się raczej w logice niż w pięknie. Co prawda nie mógł zaprzeczyć, że Franciszek w każdym swym odruchu był jak najściślej logiczny, nie była to jednak logika, którą by Eliasz rozumiał. „Niepoprawny marzyciel” — tak określał przyjaciela. Uważał go za dziecko potrzebujące opieki i kierunku. W przeciwieństwie do niego sam posiadał cechy wodza. Wiedział o tym. Sądził, że na podstawie tych cech ma nie tylko możliwość, ale obowiązek kierowania gromadą ludzką niby sprawnym narzędziem, przez które dochodzi się do wielkich rzeczy. Gdyby Franciszek chciał go słuchać! Gdyby go uznał za swego zastępcę! Czego by wówczas razem nie dokonali! Franciszek ze swym cudownym darem zjednywania ludzi, z tym nieporównanym bijącym zeń wdziękiem, na który najchłodniejsi ludzie byli wrażliwi — i on, Bombarone, świetny organizator, umysł przenikliwy, przewidujący, ambitny... Na jakież wyżyny zaprowadziliby zakon! Zakasowaliby szybko benedyktyków, cystersów!

...Ale darmo o tym myśleć, darmo Franciszkowi te plany podsuwać. Nie rozumie ich zupełnie. Mimo swoich wielkich zalet, wrodzonej bystrości, jest zbyt ograniczony. Ot, choćby przed chwilą: „Brat Jałowiec nie powinien cię karcić... A wy mnie przecież karćcie”... Trafne porównanie! Piękne! Dla Franciszka Jałowiec i Eliasz albo Sylwester to jedno...

Spojrzał z urazą na śpiewającego. Zapragnął nagle dokuczyć mu, zaniepokoić. Męczący jest z tą ciągłą bezmyślną radością!

Sięgnął w myśli. Znalazł grot tak pewny, że aż się uśmiechnął.

— Przypuszczam — rzekł głośno — że cieszysz się nie tylko z dzisiejszej pogody i zezwolenia papieskiego, ale i z powrotu w nasze strony...

— O, tak! — wykrzyknął Franciszek — strasznie się cieszę! Zobaczę znowu naszą Portiunculę i naszą pocziwą budę w Rivo Torto, i kościółek Świętego Damiana, i całą naszą dolinę... Myślę, że Bóg stworzył tęsknotę za rodzinnymi stronami po to, żeby ludzie wiedzieli, jak mają tęsknić do Niego... Nie myślisz, bracie Eliaszu?

— Zapewne... zapewne... O, ja też z radością zobaczę naszą okolicę... Wymieniłeś tylko budynki... A na zobaczenie ludzi nie cieszysz się? Chcesz, powiem ci, kogo oczekujesz najwięcej... Klary...

Wbrew oczekiwaniom Eliasza Franciszek nie zmieszał się, lecz rozpromienił.

— Masz słuszność, bracie! Naturalnie, że Klary... Klara... Najdoskonalsza ziemską istotą, jaką spotkałem.

— Miłujesz ją? — indagował Eliasz.

— Bardzo. Któż by nie miłował? Widziałeś kiedy wdzięczniejsze zjawisko? Taka piękna, taka czysta... Wonieje jak kwiat... Policzki ma gładkie i gdy padnie na nie cień rzęs — bo takie długie ma rzęsy — cień trzepocze się jak motyl!... Zawsze jest poważna, więc gdy się uśmiechnie, to niby dar niespodziewany... Jakby zaświeciło słońce... A jej oczy są przezroczyste, a zarazem ciemne... Zawsze patrzące daleko... Duszę ma taką piękną, że przez to ciało zrobiło się cudne... O, Klara jest jedyna... Można o niej śpiewać. Można przez nią chwalić Pana...

Eliasz nie spuszczał wzroku z mówiącego.

— Ha — rzekł na pozór niedbale — reguła nasza jest taka dziwaczna, że o czystości i celibacie nie ma w niej ni słowa... Możesz z tego skorzystać i ożenić się...

— Co? — zapytał Franciszek nie rozumiejąc...

— Ożenić się. Skoro tak miłujesz?...

Nie skończył, bo Franciszek ryknął niepowstrzymanym śmiechem. Zatoczył się, usiadł na przykopie i trzymając się za brzuch ze śmiechu wołał:

— Bracia! Wiecie, co mi Eliasz radzi?! Żebym żonę wziął!

— Przestań! — parsknął gniewnie Eliasz. — Nie krzycz i nie rób z siebie błazna. Mówię poważnie: kochasz się w Klarze, to siężeń...

— Ależ nie kocham się, tylko kocham ją! Och, bracie, dawno się tak nie uśmiełem... Och...

— Co tu zabawnego? Czy małżeństwo według ciebie jest grzechem?

— Nie, nie, przeciwnie... Jakżeby? Małżeństwo jest błogosławione... Ale to zestawienie... Taki bydlak grzeszny jak ja miałby dla siebie zagarnąć Klarę, którą Pan stworzył dla swojej chwały... Ona może należeć tylko do Najwyższego... Ona jest godna Boga jedynie... I ja miałbym na nią podnieść oczy jako na swoją własność, ja?!

— Jednak chętnie ją widzisz?!

— Czemu miałbym nie widywać? Jestem posłem, posłem Pana. Drzę, by jej nic nie skalało, nie odwiodło od ofiarowania się Panu... Piękny byłby ze mnie poseł, gdybym wtenczas o sobie myślał! Zapragnął narzeczonej Chrystusa... Ja! Może za dobre spełnienie poselstwa dane mi będzie w wieczności znajdować się niedaleko niej... Czegóż więcej mógłbym pragnąć? Zuchwałe to są marzenia, wiem, bo ona otrzyma w niebie bardzo przednie miejsce, gdy ja... Chyba że Pan w swoim miłosierdziu... Utkwił przed siebie oczy tak świetliste, że brat Eliasz poczuł niechęć do samego siebie. Nie wytrzymał jednak i pytał dalej:

— Pięknie, ale jesteś, Franciszku, z ułomnego ciała, jak my wszyscy. Przy tym poselstwie nie nawiedzają cię pokusy?

— Wtedy nie — odparł Franciszek szczerze. — W jej obecności nie śmiałyby powstać. A czy w ogóle? A no wierzga brat osioł, wierzga, jeno go trzymam na chudym obroku, więc bardzo brykać nie może. Z pomocą Bożą jakoś go w karbach wydzierzę... Sam bym rady nie dał... Ech, śmiech mówić... Z Bogiem wszystkiemu podołam... Sobie też...

Roześmiał się głośno i obrócił ku gromadzie.

— Cóż tak milczycie, gdy my o pociesznych rzeczach gadamy?! Chodźcie skorzej... O, las blisko... Będzie echo. Krzyknijmy razem a gromko: Pan nasz!

— Pan nasz! — odkrzyknęli chórem. Głos uderzył o ścianę lasu, odbił się, przypląnął ku nim i znów się powtórzył.

— Jak wraca! Wołajmy jeszcze!

— Paaan... naasz!

Na drodze skrzypiały koła. Obok osła ciągnącego naładowany wózek szedł stary wieśniak i przyglądał się braciom podejrzliwie.

— Popiła się hołota gdzieś w gospodzie i krzyka... Coście za jedni?

— Posłowie największego Pana! — odkrzyknął Franciszek. Ogarnął go nowy przypływ wesela. Nie mogąc się pohamować, chwycił brata Leona za rękę i pobiegli obaj z górki pędem jak dzieci.

— Jacyśmy szczęśliwi, bracie Leonie, jacy szczęśliwi!

— Powiadają, że niedobrze chwalić się szczęściem — zaniepokoił się Leon.

— Śmieję się z tego, bracie! Cóż może nas spotkać? Opieki Pana naszego nikt nam nie odbierze.

Rozdział dziewiąty

Gdzie Bóg?!

Jan a Capello spoglądał na idącego obok towarzysza z uznaniem. Nareszcie spotkał kierownika, który mu odpowiadał. Nie można go było porównać z poprzednim. Stał z godnością i powagą, nieomal z majestatem. Wprawdzie Pietro Cani opowiadał kiedyś Franciszkowi, że pod ostrym wzrokiem dwóch Wenecjan Mikołaj „kulił się i skomlał”, musiały to być jednak wyjątkowe okoliczności. Zwyczajne jego obejście pełne było dobrotliwej, choć namaszczonej powagi, która zachwycała Jana. Szpakowatą brodę gładził ruchem godnym patriarchy. W mowie lubił używać słów wzniosłych. Przyciskał przy tym obie dłonie do serca lub też wyrzucał je w górę i tak zostawał dłuższą chwilę cały podany ku niebu. Prawdziwy prorok! Nie bronił nazywać się mistrzem, owszem, sam tę nazwę Janowi podsunął. Nie podzielał też śmiesznych uprzedzeń Franciszka co do robienia zapasów, przyjmowania pieniędzy. Głodu więc obaj nie cierpieli, niewywczasów również. A cuda miały się rozpocząć lada dzień.

Wędrowali samodwa, zatrzymując się w pobliżu każdej osady i gromadząc dzieci. Mikołaj twierdził, iż je szczególnie miłuje. Uparcie powtarzał, że nawracanie starszych jest daremną stratą czasu. Gnuśnych ospalców nic nie poruszy. Tylko w niewinnych sercach dzieciątek można zbudzić miłość Bożą. Niechęć jego do starszych była tak wielka, iż zwoływał dzieci zawsze z dala od oczu rodziców i o ile możliwości bez ich wiedzy. Dzieci słuchały go chciwie, gdyż obiecywał cuda i podróże.

Teraz wracali w znajome już strony, w pobliże gospody „Pod Dobrą Opieką”. Na polanie leśnej zebrało się z pół kopy dzieci różnego wieku. Wyrostki na miano otroków już zasługujące i dzieci nie odrosłe od ziemi, za rękę przez starsze rodzeństwo trzymane. Ćwierkało to wszystko niby stado wróbli, trzęsło płowymi lub czarnymi czuprynami, skakało jak pliszki, kicało jak zające, dla skrócenia czasu wdrapywało się na drzewa jak wiewiórki.

Piski radosne wybuchły na widok nadchodzących. Rzucono się ławą ku nim.

— Mikołaj! Jest Mikołaj! Kiedy nareszcie idziemy!?

— Czy już zaraz?!

Nie odpowiadając Mikołaj podniósł oczy i ręce ku niebu, po czym pobłogosławił gromadę szerokim ruchem ramienia.

— Usiądźcie — rozkazał.

Przysiadły prędko, wlepiając w niego błyszczące z niecierpliwości oczy.

— A ten kto taki? — pytały ukazując Jana.

— To mój przyjaciel i pomocnik. Pójdzie tam, gdzie ja nie zdążę sam zejść, żeby się nas jak najprędzej zebrało z tysięcy...

— Już nas jest tak dużo! Kiedyż wyruszamy?!

— Powiedziałem, że gdy obejdziemy wszystkie wsie i zwołamy wszystkie dzieci...

— A jak długo to będzie trwało?

— Prawdopodobnie do wiosny.

Okrzyk zawodu i żalu. Do wiosny! Czekać do wiosny?!

— My nie chcemy czekać! My chcemy zaraz!

— Chcemy ratować Jezusa!

— Idźmy już!

— Dzieteczki miłe — tłumaczył Mikołaj — jest nas jeszcze wciąż za mało...

— Już nas trochę przybyło — zawołała Tina. — Przyprawiliśmy Laurentego, którego nie znasz...

Macierzyńskim ruchem wysunęła przed siebie drobnego chłopczynę wspartego na kuli. Lewa noga zwisała bezwładnie.

— To jest właśnie Laurenty — rzekła z powagą. — On pójdzie z nami.

— Nie — zaprzeczył mistrz z żywością. — Laurenty nie może iść.

Chłopiec spojrział na niego z przerażeniem.

— Dlaczego? — wyjąkał.

— Bo jesteś kaleką, mój mały.

— To nic nie szkodzi, ja także chcę bronić Jezusa.

— Jakże byś doszedł? Zbieramy tylko zdrowych.

— Przecież Jezus mnie uleczy?

— Jeżeli możesz zrobić cud, żeby morze wyschło — zauważyła Tina z urazą — to możesz także naprawić nogę Laurentego. On bardzo chce iść z nami.

Mikołaj powściągnął zniecierpliwienie i rzekł ze słodyczą:

— Dobry Jezus uzdrowi go na pewno, ale wszystkich chorych zabierzemy później. Gdy zdobędziemy Grób Święty, wrócimy po nich i zaprowadzimy do Grobu...

— Tak, tak! Wrócimy po nich! Nie będziemy teraz brali kalek! — rozległy się głosy starszych chłopców.

Laurenty szlochał i ocierał łzy kułakiem, rozmazując je po twarzy.

— Ja bym chciał także walczyć i zginąć, jeśli potrzeba. Ja doskonale chodzę, choć o kuli.

Tina patrzyła błagalnie na Mikołaja.

— On naprawdę dobrze chodzi.

— Poradzę się anioła Gabriela — oznajmił uroczyście Mikołaj. — Jeśli pozwoli go zabrać, zabierzemy.

— O, proś go, żeby pozwolił!

— To anioł Gabriel powiedział ci, że morze się przed nami rozstąpi?

— Tak, ten sam, który zwiastował Najświętszej Pannie.

— Opowiedz nam, jak wygląda!

— Zobaczycie niedługo same. Powiedział, że gdy będziemy niedaleko Grobu, stanie przed nami i rozpędzi Saracenów.

— Więc idźmy już! Idźmy prędej!

— Ja bym chciał dzisiaj!

— Dzieteczki, powiedziałem, że nas mało. Musimy się zebrać liczniej.

— Po co, kiedy i tak anioł rozpędzi Saracenów?

— Po to, żeby jak najwięcej was miało zasługę.

— A czy Dzieciątko zobaczymy?

— Z pewnością.

— Czy będę mogła je wziąć na ręce, Mikołaju? Ja tak strasznie lubię maleńkie dzieciątka! Tak bym już chciała mieć swoje dzieciątko!

— Będiesz mogła, jeżeli będziesz posłuszna i przestaniesz krzyżeć: „Ja chcę iść zaraz!”

— Już nie będę... A Balbina, co ma krzywe plecki, też weźmie Dzieciątko do ręki i na pewno stanie się prosta?

— Balbina pójdzie później, z chorymi. To będzie druga armia. Pierwsza zdrowych. Druga chorych.

Tina nie dawała za wygraną.

— Nie chcesz wziąć Laurentego ani Balbiny, a bierzesz takiego szkaradnego, niedobrego chłopaka jak Walter, który bije mniejsze dzieci i wcale, wcale nie kocha Jezusa...

— Co ty wiesz, głupia?! — wykrzyknął oskarżony pokazując jej język.

— Jakbyś kochał, tobyś się inaczej zachowywał — odparła z godnością. — Mikołaju! Niech on zostanie!

Mistrz spojrział uważnie na rosłego, zręcznego chłopca. ...O takich właśnie mi chodzi — pomyślał w duchu.

— Walter jest bardzo niedobry — rzekł głośno. — Sam słyszałem kiedyś, jak kłął. Ale wziąć go trzeba, żeby się poprawił.

— On nie chce się poprawić!

— Tino, nie sądz bliźniego!

— Możemy się go zapytać. Walter! Chcesz się poprawić? O, znów pokazuje język! Obrzydliwy!

— Nic się nie bój. Cud się stanie i on zechce. Zobaczycie... A nie wygadało się które o naszej wyprawie przed rodzicami?

— Nie, nic nie wiedzą...

— Myślą, że się tu tylko modlimy...

— Bardzo są na ciebie zagniewani, Mikołaju. Matka powiada nieraz, że zbierze ludzi z drągami, żeby cię zabić...

— A czy wie, że dziś jestem tutaj? — zapytał prorok rozglądając się z niepokojem.

— Chyba nie...

— Nieszczęśliwi rodzice! U Grobu Świętego będziemy modlić się za nich... Chcą nasłać ludzi z drągami! Panie nasz! Co za ślepotą... Cóż by było, gdyby dowiedzieli się o naszych zamiarach?

— My nie powiemy!

— Mikołaju — rzekł nieśmiało duży chłopiec, Robert — mam denara, wyciągnąłem go ojcu z garnka zakopanego pod progiem... Widziałem, że tam chowa pieniądze... Może go weźmiesz ode mnie? Może ci potrzeba?

Stojący dotychczas milcząco Jan drgnął niespokojnie i już chciał wyręczyć mistrza, zapewniając, że pieniądz trzeba odnieść co rychlej, skąd wzięty, lecz Mikołaj uśmiechnął się łagodnie i wyciągnął rękę.

— To przyspieszy naszą drogę — rzekł. — Będę mógł wynająć sobie muła i prędej wszystkich objechać.

— Postaram się ściągnąć jeszcze jednego denara na muła dla twego pomocnika! — krzyknął Robert.

Jan poruszył gwałtownie rękami.

— Nie chcę! Nie potrzeba!

— Nie trzeba — przytwierdził Mikołaj. — Cały nasz plan mógłby zbyt wcześnie wyjść na jaw. A teraz siedźcie cichuteńko, bo mam mało czasu, a chcę wam jeszcze opowiedzieć o Dzieciątku...

Dzieci zamilkły zasłuchane.

— Czy uważacie, mistrzu, za dobre, by dzieci brały kryjomo pieniądze rodziców? — pytał nieśmiało Jan, gdy w parę godzin później wędrowali znów gościńcem.

— W ogóle nie, ale tu chodzi o cel. O wielki, święty cel! On wszystko rozgrzesza... Dziecko naraża się na gniew ojca i chłostę, by przyspieszyć wyzwolenie Grobu... Taki czyn jest piękny...

— Franciszek mawiał zawsze, że Bóg nie potrzebuje dobra źle nabytego...

— Franciszek! Franciszek! Czemużeś go rzucił, skoro jego zdanie jest lepsze niż moje?! Droga otwarta. Wracaj.

— Nie przemawiajcie tak twardo, Mikołaju. Nie wrócę za nic. Takim szczęśliwy przy was. Powiedźcie jeszcze raz, prawda to, że dzieci przejdą przez morze?

— Przysięgam ci — głos Mikołaja zabrzmiał uroczyście — że ruszymy wielkim mnóstwem, jakie świat zadziwi, i przejdziemy morze. Nie wiem, zali Pan każe falom stanąć lub wzruszy twarde serca kupców weneckich, że nas przewiozą, ale obaczysz, że tak będzie!

— Wierzę wam, wierzę... O, doczekać tej chwili!

— Bawić się ze mną nigdy nie chcieli, bo jestem kulawy, teraz nie pozwalają iść do Jezusa, a przecież Jezus uzdrowiłby mnie na pewno — mówił z głębokim żalem mały Laurenty.

— Mają podobno po nas wrócić — próbowała pocieszyć jego i siebie Balbina.

— Na pewno nie wrócą. Zapomną. Co ich to obchodzi? Nie zobaczymy Grobu Świętego i nie będziemy uzdrowieni...

— Może byśmy poszli sami za nimi?

Zachwycona własnym pomysłem ciągnęła:

— Będziemy udawać, że wcale nie idziemy razem, tylko tak sobie... Zawsze z tyłu...

Laurenty podniósł głowę z zaciekawiony.

— A czy myślisz, że zdążymy przejść przez morze, nim się zamknie?

— Zdążymy na pewno! — zapewniła. — Będziemy biec.

— Walter nas zobaczy i zacznie rzucać kamieniami. Wiesz przecież jaki on jest...

— To prawda — przyznała garbuska — on może rzucać kamieniami...

Mimo kalectwa była pełna energii. Potrząsnęła rażno głową.

— Będziemy szli tylko nocą, tak że ani Walter, ani nikt nas nie zobaczy.

— Nie będziesz się bała? — powątpiewał.

— O, nie, nawet idąc przez las. Ja nieraz sypiam na dworze, bo mnie macocha wygania. I nie boję się.

— Co innego iść, co innego spać. Ja też sypiałem na dworze, ale wędrować samemu drogi, to bym się bał.

— Tchórz jesteś. Wolisz zostać?

— Nie jestem tchórzem i pójdę... Może Jezus poświęci nam jak Mojżeszowi? Tylko co będziemy jeść? W nocy nic nie dostaniemy...

— I na to mam sposób! — wykrzyknęła triumfująco. — Poprosimy Tyny, żeby co dzień zostawiała dla nas przy drodze trochę jedzenia... Oni go będą mieli dużo, dużo... Mikołaj przecież mówił, że nigdy nie zabraknie, bo aniołowie przyniosą.

— Tina nie wygada, że idziemy?

— O, nie! Tina jest dobra... Za morzeni podobno są góry... Z tych gór widać już Grób Święty. Wejdziemy na nie i wtedy wyprostują się moje plecki i twoja nóżka... I zbiegniemy pędem do tamtych i... dopiero się zadziwią!

W kurnej, niskiej chacie, uczeplonej zbocza góry, stara Bertrada prządka opowiada jak zwykle bajkę o smoku i wrózkach. Słuchają jej sami starsi. Żądne zazwyczaj bajek dzieci, łowiące chciwie u jej kolan każde słowo, siedzą w przeciwnym końcu izby szepcząc między sobą i nie ciekawią się wcale opowiadaniem.

Stara Bertrada nie daje poznać po sobie, że czuje się urażona. Spod oka śledzi obojętną, zasłuchaną we własne powieści, gromadkę. Cienki głosik Gertrudy wybija się ponad inne.

— Archanioł Gabriel stanie przed nami i Saraceny uciekną... W całym świecie dzwony same zaczną bić...

— O czym mówicie? — przerywa Bertrada, stara prządka. Gromadka milknie i nie odpowiada.

Pani Aniela, małżonka rycerza de Trevi, rozczesuje włoski swojej małej Beatrycze. W ciasne, cienkie warkoczyki wplata długie, złociste wstążeczki. Czesząc gładzi z miłością główkę jedynaczki.

Beatrycze spuszcza oczy i krzywi żałośnie usteczka. ...Co powie mamusia, gdy ona odejdzie? I jakie to straszne, że trzeba odejść! Zostać nie można. Jezus chce, żeby wszystkie dzieci poszły Go bronić. Gniewałby się na te, co zostały w domu. Biedna mamusia!

Mała Beatrycze wzdycha tak ciężko, że pani Aniela przerażona pochyla się nad nią:

— Czy cię szarpnęłam, kwiatuszku?

Bakalarz Paschalis drzemie. Muchy łążą po jego łysinie. Czasem pacnie je przez sen. Gdy uderzy mocniej, budzi się i jednym okiem spoziera wokoło. Przede wszystkim podejrzliwie na piszących żaków. Nie oni to udają muchy?

Lecz chłopcy tak są zajęci rozmową, że nie zwracają uwagi na swego bakalarza. Świecąca łysina przestała być dla nich pokusą.

— Nic z tego nie będzie, zatrzymają nas, zawrócą — powątpiewa Jakub Toldi. Ma miedziane włosy, białą cerę — byłby piękny, gdyby nie piegi.

— Kupa nas, nie damy się zawrócić!

— Ja tam co prawda nie wierzę, żeby morze się rozstało, albo żeby po nim można chodzić jak po lodzie...

— A przed Mojżeszem nie rozstało się?!

— To było dawno. Dawniej działały się takie rzeczy, teraz nie. Ja myślę, że raczej zbudujemy na brzegu wielką tratwę...

— A może nas przewiozą statkami?

— Galerami? Oszalałeś? Nie wiesz, ile za przewóz trzeba płacić Genuńczykom? Wenecjanom? Nie każdego wielmożnego stać, a cóż dopiero nas...

— Braciszku mili! Tak czy siak pójdziem. Krzyże przypniemy do ramion jak prawy krzyżowcy...

...Terazże nas za morze
Wiedź Jezu, Panie Boże...

— Cichaj, nie śpiewaj, bo się Paschalis obudzi.

— Nie obudzi ci się, nie. Chrapie jak zabity.

...Terazże nas za morze...

— Zbudził się jucha, cichajcie!...

Bakałarz otworzył istotnie oczy i z przyzwyczajenia chwycił krótką dyscyplinę zwaną placentą, by sięgnąć nią najbliższej głowy.

— Tak się uczycie, gałgany!

— O pobożnych rzeczach rozprawiamy. Wasza uczoność niesłusznie się gniewa...

Paschalis lubił, gdy go nazywano uczonością. Odłożył placentę na bok.

— No, no, o czym?

— O krzyżowcach gadamy...

— Też wybrali! Krzyżowcy... Co wam do nich? Były one wyprawy, były...

— Będą jeszcze — podsunął przekonywająco Jakub.

Paschalis podrapał się w ucho z zastanowieniem.

— Nie wiem, czy będą — odrzekł. — Dawniej, gdy gadał taki Piotr Eremita czy Bernard, opat z Clairvaux, ludzie tłoczyli się na śmierć, byle słyszeć... Opowiadał mi mój dziadek, co z Bernardem chodził... Głos miał opat jak dzwon. Kiedy stanął na górce, a ludu wkoło jak mrowia, a każdy wzdycha i płacze, było na co patrzeć... Krzyżowe czasy... Dziś już by tak nie ciągnęli... Szli, szli i co z tego wyszło? Zmarnowanie narodu... A Grób Święty jak był w pogańskich rękach, tak i jest... Widno taka wola Boża. Z pewnością nie poszedłby nikt...

— Z was starszych na pewno nie — mruczą pod nosem chłopcy.

Bettina boi się krabów. Czy odpłyną z wodą, kiedy fale się rozstąpią? Bo gdyby trzeba między nimi chodzić... Ogląda się trwożnie, jakby już widziała zewsząd wyciągnięte szczypce.

Brat jej, Paweł, zastanawia się poważnie. Naprawdę nie wie. Muszle zostaną z pewnością na dnie, ale kraby?

Wzmianka o muszlach pociesza Bettinę. Będzie je można zbierać, będzie je można zanieść Jezuskowi... Takie śliczne muszelki.

— Ja zabiorę ze sobą mojego kotka, Mruczusia — postanawia Marita.

— A ja wezmę dla Jezuska kwiatków... Może nie zwiędną, będziemy się śpieszyć.

Dziesięcioletnia Ignacja, której nikt nie kocha, której nikt iść nie zabroni, o którą nikt się nie troszczy, modli się wieczorem przy swoim barłogu: „Jezusku dobry, kiedy do Jerozolimy dojdziemy, pozwól, żebym nie musiała wracać, żebym została przy Tobie!”

Mały Matteo klaska w ręce uszczęśliwiony. Śmieje się radosnym śmiechem. Zawsze się tak cieszy, ilekroć pomyśli o czekającej go cudownej wyprawie. Dziadek (rodzice Mattea nie żyją i wychowuje go dziadek) patrzy na wnuka z uśmiechem nie mniej promiennym. Co za wyobraźnię posiada ten malec! Opowiada na przykład, że pójdzie za morze walczyć o Grób Święty. Skąd się takie myśli w głowinie biorą?

— Ale ja naprawdę pójdę, dziadziusiu, naprawdę!

— Oczywiście! Idź. Idź! Kiedy ruszasz? Jutro rano czy dziś po obiedzie? A co jegomościowi przygotować do podróży?

— Na wiosnę pójdę — objaśnia Matteo wskakując dziadkowi na kolana.

— Mam nadzieję, że mnie ze sobą zabierzesz?

Matteo poważnieje nagle.

— Nie mogę, dziadziusiu — tłumaczy. — Tam wolno iść tylko dzieciom...

— Więc ja się przebiorę za dziecko... Co?

Dziaduś przebrany za dziecko?! Ze swymi siwymi wąsami jak wiechcie i czerwonym, krościastym nosem? Na samą myśl Matteo wybucha znów śmiechem. Dziadek mu wtóruje.

Sabina, gospodyni spod „Dobrej Opieki”, dygocze cała ze złości. Dzieci wróciły przed chwilą ze zwykłej swojej wyprawy do lasu. Stoją przed nią niby obce. Może je szturchać lub całować, złorzeczyć lub błagać. Pozostają obojętne. Patrzą poza nią daleko. Jakby widziały rzeczy, których ona nie dojrzy.

— Czego od was chce ten przeklętnik?! — pyta.

Nie odpowiadają.

— Po co was woła?! —

Milczą.

— Pójdę z wami następnym razem posłuchać... (O Sabino, czemu nie uczyniłaś tego wcześniej?)

Wzruszają ramionami.

— Wierzycie durnemu przybłędzie, a nie ufacie mnie, matce?!

Tina spuszcza głowę. Bąka z wysiłkiem:

— Mikołajowi wierzymy.

— A mnie? A mnie?! Ja pierwsza! Ja matka! Może jemu więcej wierzycie niż mnie?!

Kuli się Tina, załamuje w sobie. Szepcze jeszcze ciszej:

— Jemu więcej...

— Dlaczego?! — pyta z osłupieniem Sabina. — Dlaczego? Siada na przyzbie i siedzi długo, powtarzając tępo: — Dlaczego?

Odpowiedzi nie otrzyma. Tina i Beppo, choćby chcieli, nie potrafią wyjaśnić. Zaufali obcemu, bo im mówił górnice o rzeczach wielkich, gdy matka miewała tylko słowa powszednie na ustach i przyziemne kłopoty w sercu...

Pytanie Sabiny powtarzają o tej przedwiosennej porze 1211 roku wszyscy nieomal rodzice Kampanii i Umbrii, Toskanii, Lombardii, w wąwozach alpejskich, dolinach francuskich i aż hen, w krainach nadreńskich. Dzieją się rzeczy nigdy nie słyszane. Dzieci buntują się przeciw rodzicom! Powiadają: „Nie wierzymy wam”. Po raz pierwszy od stworzenia świata rodzice czują się niby przed sądem swoich własnych dzieci! Dzieci mówią: „Rodzice kłamią. Sobki są nieużyte i nieszczerze. W kościele modlą się i biją w piersi, a żebraka głodnego precz gonią. O byle kęs tłuką się zażarcie. Nie ma w nich miłosierdzia. Są chciwi, bezlitośni, zachłanni. Wymagają dla siebie czci i posłuszeństwa. Lecz Jezus zwolnił nas, dzieci, z czci i posłuszeństwa, byśmy poszli Jego bronić”...

Biada rodzicom italskim, francuskim, niemieckim! Dziwna, straszna sprawa, której nici trzymają w rękę Wenecjanie, podsłuchani kiedyś przez Pietra Cani w gospodzie, rozrasta się coraz to szerzej, biegnie jak zaraza. Posiada na swe usługi gromady mniej lub więcej zręcznych Mikołajów. Jedni z nich działają świadomie, inni, najcenniejsi, nieświadomie. Wszyscy przebiegają kraj wykonując wiernie polecenie: rozbudzić zapał jak największej ilości dzieci, skupić je w gromady i w określonym czasie pchnąć te rzesze na Wenecję, Genuę, Marsylię...

Umiejętnie podsycany zapał bucha jak ogień. Rodzice dawno otepeli na szczytne wołania i słusznie bakałarz Paschalis prawił, że choćby powstał nowy Piotr Eremita lub opat Bernard, nikt by za nim nie poszedł. Ale dzieciątka mają czyste serca pożądające wielkości. Umysły łaknące przygód. Przeto zbiegają się zewsząd. Dzieci bogatych i biednych. Małe, bezdomne włóczęgi, łażące po drzewach i parkanach jak koty, o zbyt wiedzającym spojrzeniu i zwinnych ruchach szkodników, i anielskie, płowowłose dzieciцы, w których źrenicach leży błękit nieba. Z białego ciasta ulepione ocięzale dziewczynki, leniwe do kądzieli i noszenia wiader, o krwi ubogiej, krążącej powoli, równie jak rezolutne, bystre chłopaki, pierwsze do wszystkiego w dobrym czy złym. Opiekuńcze, macierzyńskie kobietki i małe, puste wietrznice. Żaki chude, wiecznie głodne, i syte dzieci bogatych rajców miejskich. Wszystkie niby urzeczzone idą za ludźmi, którzy obiecują Wielkość, Piękno i Swobodę.

Zależnie od usposobienia rodzice bronią je przed urokiem pocałunkami lub biciem. Krzyczą i zamykają w piwnicy albo pieścżą i obdarowują. Należnej jednak drogi nikt nie znajduje. Stroskani ojcowie nie zdobywają się również na żadne wspólne rozsądne przeciwdziałanie. Jakoś wstyd im o tym głośno mówić. Przecież jak świat światem nie było jeszcze nigdy kłopotów z dziećmi! Tyle ważnych trosk, tyle trudnych spraw każdy człowiek dorosły dźwiga na głowie, że nie może jeszcze myśleć o dzieciach. Wystarczy, że im zostawi dziedzictwo. Z dawna weszło w nawyk u ojców uważać sprawy swych dzieci za błahe i nieznaczące.

Tajemnicze, dziwne pająki korzystają z tego, rozciągając swoje sieci bez przeszkody. I nikt z ludzi rządzących, nikt z książąt czy biskupów, opatów, burmistrzów, kapitanów, profesorów, księży, bakałarzy nie spostrzega grozy i zasięgu sprawy rozwijającej się przed ich oczami.

Rozdział dziesiąty

Miłośnica

Król trubadurów, Wilhelm Divini, jadąc na życzenie Jana de Brienne do Szampanii, spotykał co krok te rzesze dziecinne rajcujące po drogach. Jedno baczne spojrzenie wystarczyłoby do poznania, że jakaś niezwykła przyczyna wprawia je w podniecenie. Nie goniły się ani bawiły w chowanego. Nie dzieliły na dwa obozy, by zdobywać szańce z gałęzi, toczyć walkę, obrzucać przeciwników szyszkami lub kulami z piasku. Przejęte, zagadane, nie odwracały głowy, by spojrzeć na bogaty orszak pieśniarza, strojną w złoty laur głowę i muły okryte kapami. Nie wyciągały ręki z prośbą o datek. Mówiły o czymś gorączkowo, to nagle milkły i nieruchome patrzyły przed siebie daleko. Kurz przesłaniał je, zacierał, lecz w następnej wsi pośrodku drogi radziła nowa podobna gromada.

Divini nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Nikomu a nikomu, więc i jemu też, nie przychodziło do głowy przywiązywać wagi do poczynań najmłodszej społeczności pętającej się pod nogami dorosłych. Król trubadurów myślał o swoim poselstwie, o tym, czy zostanie uwieńczone powodzeniem. Gdyby udało się popłynąć do Ziemi Świętej z orszakiem grabini Szampanii, nie poniósłby żadnych kosztów... Kto wie, może do niej w służbę pójść zamiast do Jana?

Jechał do Genui, postanowiwszy odbyć część podróży morzem. Obawiał się dla swego głosu nagłych zmian górskiej pogody na szczytach alpejskich. W Genui wskazano mu kantor znanych armatorów weneckich Hugona Ferreusa i Wilhelma Porcusa, posiadających jakoby najlepsze statki i utrzymujących stałą łączność między wybrzeżami Italii, Francji, Afryki i Azji Mniejszej. Choć potężna ta spółka znana była w całym świecie, kantor jej, stojący tuż nad wybrzeżem portowym, był brudny i obdrapany. Gdy Divini, błyszczący swym złotym wawrzynem, zaszedł tam domagać się osobnego miejsca na pokładzie, miejsca, które by było osłonięte od wiatru, a przecie nieduszne, w przeciwnym końcu mrocznej, zakurzonej, przesiąkłej zapachami korzeni izby kilku mężczyzn kłóciło się zawzięcie, nie zwracając najmniejszej uwagi na szlachetnego przybysza.

— Słyszę, że pędzą więcej niż połowę dziewcząt! — krzyczał jeden z nich.

— Przecież mówiłem, że mają być tylko chłopcy! Co ja z nimi zrobię?

— Cicho, sza, sza — uspokajał drugi. — Nikt was nie zmusza do brania dziewcząt...

Umieścimy je dobrze sami. Towar zawsze pokupny...

— Muszę mieć miejsce osłonięte od wiatru, ale broń Boże pod pokładem, dusznoty nie znoszę — zastrzegął się Divini.

— Wasza Dostojność będzie zadowolony, nasze statki nie mają równych sobie — zaręczał zastępca Hugona Ferreusa.

Galera odpływała za dwa dni i Divini miał czas wałęsać się po mieście. Zastanawiał się niewczesnie, zali dobrze uczynił obierając drogę wodną... A nuż wichry morskie okażą się dla jego cennego gardła niebezpieczniejsze od górskich? Na wszelki wypadek należy zaopatrzyć się w driakiew, cudowny lek, w którego tajemniczy skład wchodzi jad węża rajskiego.

Być może, iż onej driakwi, z trudem uzyskanej, słono opłaconej, zawdzięczał król trubadurów spokojną i szybką przeprawę. W Marsylii opuścił galerę pełen uznania dla Spółki Ferreus & Porcus i dalszą drogę odbywał już bądź na mule, bądź wygodnie niesiony w najętej lektyce. Rozglądał się wkoło z przykrością. Ślady krwawej wojny między katarami a katolikami uderzały na każdym kroku, szpecąc i osmęcając radosne z natury oblicze ziemi prowansalskiej. Wszędzie czerniały zgliszcza, sterczały szubienice, białały nie pogrzebane, rozwleczone kości. Z wielu osad pozostało jeno wspomnienie i gruzy. Sama zawziętość religijna nie uczyniłaby takiego spustoszenia, lecz pod jej pokrywką działały inne czynniki. Stare wzajemne animozje Normanów i Prowansalczyków potęgowały drapieżność najeźdźców, wzmagaly odpór miejscowych. Owe to plemienne nienawiści doprowadziły najpiękniejszą ziemię Francji, kolebkę starej kultury, do stanu ruiny, w której literatura jej i język zginęły na zawsze. Normanowie zwyciężyli Południe.

Po nielicznych ocalałych gospodach zbiedzeni ludzie opowiadali o przebytych trwogach. Przeklinali głośno katarów, sprawców nieszczęścia, i w pustoszącej kraj kłesce dopatrywali się kary Bożej za to, że nie wygnali heretyków od razu. Ze zgrozą opowiadali, jak to pan Roger de Foix, wnuk wielkiego krzyżowca, zniszczył i złupił cudami słynące opactwo Pamiers. Żołdacy jego potłukli święte posągi i szyli z łuku „do figury Chrystusa krzycząc: „Wykup się!”

...Boże, bądź miłościw nam grzesznym!

Bili się w piersi ze skrucą, lecz w chwilę później, rozejrzawszy się ostrożnie wkoło, prawili kryjomo i zawzięcie o stokroć straszliwszych zbrodniach czynionych na rozkaz pana Szymona de Montfort, dowódcy krucjaty przeciw katarom, czyli albigenom. Sam Antychryst by mu nie dorównał. Bezbożny pan de Foix kaleczył wprawdzie posągi, a mnichów ograbił i nago wygnał z klasztoru, lecz pan de Montfort setki mężczyzn, kobiet i dzieci kazał wbijać na pal, rozdzierać końmi lub na wolnym ogniu palić. Pan de Montfort nie miał czasu rozróżniać winnych od niewinnych. Zostawiał ten trud Bogu, wszystkich bez różnicy wysyłając przed Jego trybunał.

...Boże, bądź miłościw nam grzesznym!

— A wszystko dlatego, że się temu Lucyperowi chciało zawładnąć Tulużą — mawiali starzy kiwając głowami.

W ostatnich czasach w nieszczęsnym kraju zjawili się licznie biało-czarni mnisi z nowo założonego zakonu dominikańskiego. W przeciwieństwie do istniejących dotychczas klasztorów byli ubodzy i do apostołowania zawzięci. Oni to nakłonili legatów papieskich, by wyzbyli się bogatych orszaków i bogactwem swoim nie kluli wzroku nędzy. — Pan nasz — wołał założyciel zakonu, Dominik — kazał Piotrowi paść owce swoje. Ale nie wspominał nic o tym, żeby Piotr je strzygł. Bądźcie ubodzy i cisi, jako pokornym był Chrystus!

Papież Innocenty III wiele dobrego obiecywał sobie po dominikanach. Oburzony zbrodniami panów świeckich, pod pozorem pobożności załatwiających własne porachunki, przekazał biało-czarnym braciom tępienie herezji. Surowi dla siebie i dla drugich, ćwiczeni w dowodzeniach teologicznych, przebiegali cały kraj, zaglądali w każde obejście. Ludność patrzyła na nich z szacunkiem i niepokojem. Wiadomo czego można się spodziewać po obcym baronie lub własnym opacie. Nowa milicja papieska była jeszcze kartą nie znaną.

Król trubadurów obojętnie bez śladu zrozumienia przysłuchiwał się na postojach rozmowom, przyglądał ludziom. Toczące się wypadki nie zajmowały go wcale. Wojna mierzyła go i nudziła jak każdego artystę, który czuje się wtedy pomniejszony i niepotrzebny. Byle żołdak cenniejszym się staje w bitwie od najślawniejszego pieśniarza. W ogniu walki któż by dawał posłuch muzom?

Poganiał swych ludzi, by najprędzej opuścić niewesoły kraj. Gdy wjechał wreszcie w granice Szampanii, mniemał, że z piekła przybył do raju. Ta prowincja od dawna nie widziała wojny, a słynęła w całej Francji z zamożności i dostatku. Nie tylko wielmożni byli w niej możni. Lud również nie cierpiał biedy. Nigdzie nie spotkałeś równie starannie zabudowanych wsi, schludnych miasteczek. Dwór grabiego Tybalda z Troyes wyróżniał się świetnością i poziomem umysłowym. Inni baroni mówili o nim z zawiścią, nazywając Szampańczyków kupcami. Niezależnie bowiem od sławnych winnic i przyrodzonej urodzajności gleby wielkie doroczne targi w Troyes i Provins ściągające handlarzy z całej Europy, ba — i spoza Europy, stanowiły niewyczerpane źródło dochodu. Takich targów nie posiadał królewski Paryż ani żaden inny gród. Bogactwo napływające nie drogą wojennych gwałtów, lecz spokojnym gościńcem handlowym, dorocznym i zwyczajnym jak żniwa, rozkładało się równomiernie na wszystkich mieszkańców, wytwarzało atmosferę sprzyjającą rozwojowi nauki i sztuki. Zwłaszcza że panująca dynastia grabiów Szampanii miała za sobą przeszło dwieście lat nie przerwanych niczym rządów.

Z nie ukrywanym zachwytem i zazdrością pieśniarz Divini podziwiał ów gruntowny dobrobyt, owo osiadłe bezpieczeństwo i spokojny wykwint. Ej, dwory książęce, ej, zamki italskie! Zdeptane nieustannymi walkami, najezdami to swoich, to obcych, podobniejsze są do zniszczonej Prowansji niż do szczęśliwej dziedziny grabiego Tybalda.

Na wieży zamku w Troyes, w obserwatorium astronomicznym, dziesiąty z kolei astrolog trawił noce badając tajemnice nieba. W poszukiwaniach swych korzystał z pozostawionych przez poprzedników zapisków, skryptów leżących w największym porządku, nie splądrowanych nigdy przez obcego żołdaka lub domowego grabieżcę. W piwnicy porastały mchem beczki z najprzedniejszym winem, a w pięknej sali bibliotecznej gromadziły się z wolna książki. Biła z nich woń starej kultury i myśli ludzkiej nie tylko ku doczesności podanej.

Owa sala biblioteczna stanowiła ulubione miejsce pobytu pana Tybalda V, grabiego Szampanii. Nie był on jeszcze stary, ale zużyty i nieruchawy. Trapiła go choroba zwana chorobą krzyżową, gdyż przywozili ją ze Wschodu krzyżowcy, szczególnie ci, co pozostając w Ziemi Świętej ślubów czystości nie dotrzymali. Toteż turnieje i łowy nie pociągały już grabiego, który wolał uczestniczyć w nich tylko jako widz, a zajmować się księgami.

Najmłodszy i jedyny żyjący syn Tybalda V był to niedolatek o przyjemnej, lecz jak gdyby spelzłej twarzy. Lepiej wyglądał w komnacie przy wioli niż na koniu przy orężu. Przepadał za muzyką i śpiewem; sam układał pieśni i był z tego bardzo dumny. Janowi de Brienne udało się kiedyś podsunąć mu parę swoich pieśni na cześć Blanki ułożonych i wmówić w niezdarę, że są jego dziełem. Cały dwór je potem śpiewał ku wielkiej ucieście obojga kochanków.

Zresztą był to dobry chłopiec, nie zawadzający nikomu. Rodzice z niepokojem myśleli o jego przyszłych rządach, on sobie jednak głowy tym nie mroczył. Jeżeli czasami opadały go wątpliwości co do uzdolnień potrzebnych dla wypełnienia roli Tybalda VI, zachodził na wieżę do astrologa, imć Jakuba Pochard, pokrzepić się zapewnieniem szczęśliwego horoskopu.

Uczony Jakub Pochard, zajmujący obserwatorium na wieży jako nadworny astrolog, był mężem wiedzy istotnie gruntownej. Zasługiwał raczej na miano astronoma, ale pracodawcy jego nie cenili tej różnicy. Jakkolwiek Tybald V górował umysłem nad ogólnym poziomem książąt i baronów, nie przychodziło mu na myśl żądać od astrologa czegoś więcej niż trafnej wróżby mających nadejść wypadków, określenia dni szczęśliwych i feralnych, dni dobrych do puszczenia krwi albo stanowienia klaczy, wyciągania horoskopów i ostrzegania przed groźną chorobą.

Jakub Pochard wykonywał to wszystko, o ile mógł najlepiej, przednio też przewidywał pogodę i tłumaczył sny nawet najbardziej zawile. Prawdziwą jednak rozkosz stanowiło dlań

zagłębienie się w niedawno dopiero przyswojonych tablicach toledańskich określających położenie planet, studiowanie Almagesty, czyli Wielkiej Syntaksy Ptolemeusza przez Arabów udostępnionej, a przez krzyżowców przywiezionej. Nad wszystko zaś wielbił umysł znakomitego matematyka Jordanusa Nemorariusza, twórcy całkiem nowej, nie znanej dotąd nauki, kroczącej śmiało w przestwór, niewiadome cyfry zastępując znakami i literami.

Nemorarius również opierał swoje odkrycia na księgach arabskich, uczonemu astrologowi przychodziło tedy do głowy, że powszechnie utrzymujący się sąd o poganach jako ciemnych i głupich synach Beliala nie był usprawiedliwiony. Toteż ci poganie górowali nauką o całe światy nad latyńskim Zachodem! Ale głośno uwag tych nie wypowiadał, bojąc się zgorszenia.

Grabini Blanka stanowiła żywe przeciwieństwo syna i męża. Ze starej rasy Merowingów, urodzona i wychowana pod gorącym niebem baskijskim, była ciemna i smagła jak orzech. Lata oraz liczne macierzyństwa (trzy córki już były zamężne, dwóch synów poległo wojując kędyś po świecie bez potrzeby, dla zwykłej rycerskiej ochoty) przeszły bez znaku nad jej cerą i postawą. Szczęśliwsza od kochanka, mogła siwiejące włosy okryć szczelnie czepcem. Pod gładką skórą krew zdawała się toczyć wartko. Kształty miała pełne i zwarte, czoło niskie i szerokie, silne łuki czarnych brwi zrosniętych jak u mężczyzny, orli cienki nos, zuchwałe oczy. Pod zewnętrzną pokrywą surowości i dostojnej powagi kryła młodzieńczą żywość. Liczny swój dwór trzymała krzepką dłońią, wzbudzając szacunek i postrach. Dla dworek była hojna, lecz nieubłagana, gdy chodziło o obyczaje. Wieniła wspaniale wychodzące za mąż, lecz wypędzała sromotnie, skazawszy wpierw na chłostę, nieszczęsne, którym zdarzyło się zgrzeszyć. Niezmiernie dbała o pozory i, choć bliżsi przebąkiwali swego czasu o jej zażyłości z rycerzem de Brienne, uchodziła powszechnie za wzór małżonki i matki.

Wilhelm Divini przybywszy na dwór korzył się przed nią ze czcią, ona zaś spoglądała na niego z wysoka, z tą wzgardliwą pobłażliwością, jaką kobiety wysokiego rodu darzą artystów. „Boski” Wilhelm czekał spokojnie, aż ten stosunek się zmieni, nie wyjaśniając na razie rzeczywistej przyczyny swojego przybycia.

— Słyszałem tak wiele o dworze szampańskim, że podróżując po Francji nie mogłem odmówić sobie zaszczytu osobistego sprawdzenia, o ile rzeczywistość przewyższa powieści — oznajmił po przyjeździe.

To wyjaśnienie zadowoliło najzupełniej Tybaldów, ojca i syna. Szczególnie młody uradowany był przybyciem pieśniarza. Trzymał go przy sobie całe dnie, zmuszał do słuchania swoich pieśni i pytał o zdanie. Wilhelm chwalił głośno, ziewał skrycie i rozmyślał, w jaki sposób zbliżyć się do Blanki.

Okazywało się to trudniejszym, niż sądził. Grabini była wyniosła. Całe dnie zamyślona o sobie tylko wiadomych (jak sądziła) sprawach, tkwiła przy krosnach haftując ornat kościelny złotem i perłami. Dwórki siedziały przy niej, spuszczać skromnie oczy, gdy któryś z mężczyzn nadchodził.

Wieczory spędzali wszyscy razem w wielkiej sali łowieckiej oświetlonej płonącym na kominie ogniem. Ojciec Tomasz, kapelan, opowiadał znane wszystkim powieści o Elidorze, który pół życia spędził pod ziemią z karłami, lub o Godfrydzie i Tankredzie, krzyżowcach. Obecni znali naprzód każde słowo, lecz słuchali chętnie, bo powieści były piękne. Czasem astrolog Jakub Pochard schodził ze swej wieży i wtrącał się do rozmowy. Bezbarwnym głosem powiadał szlachetnych słuchaczy, że paryscy uczeni wróżą rychłe zaćmienie słońca...

— Nie może być?! Więc nowa jakaś klęska nadejdzie?

— I znów trzeba będzie kryć się w piwnicach, by nie spojrzeć w niebo?!

— Uczeni paryscy — objaśniał astrolog — twierdzą, iż na zaćmienie słońca patrzeć można bez obawy porażenia, byle przesłonić oczy czarną cienką materią albo zakopconym szkłem...

Kapelan uderzył się dłonią w kolano.

— Otóż to! — zawołał. — Więc i panowie uczeni, skłonni do herezji, przyznają, że zaćmienie słońca jest dziełem szatana?!

— Ale bynajmniej — zaperzył się Pochard — bynajmniej...

— Jak to? Nie rzekłeś waść co ino, że przez zasłonę czarną można na owo maleficium spoglądać bez obawy? Gdzie czarność wchodzi w grę, obecność diabła jest widoczna. On tylko lubuje się w ciemni, gdy dziedziną Boską jest światło...

— Ależ to chodzi o ochronę wzroku! O osłabienie działania promieni! — wykrzykiwał astrolog skrzypiącym z przejęcia głosem.

— Tak też i ja to rozumiem. Pokonać czarta jego własną bronią. Jeno czy używanie tej zbroi przystoi chrześcijaninowi?

— Niech tedy Wasza Wielbność nie chroni się nigdy w cień przed słońcem, by w komitywę z szatanem nie popaść — odpowiadał rozeźlony astrolog i odchodził bez pożegnania. Na schodach mrucał głośno, że choćby jeszcze dziesięć lat na wieży siedział, nie zejdzie nigdy, woląc samotność niż słuchanie bredni. Kapelan kiwał głową z oburzeniem:

— Nieradzi oni, nieradzi uznawać Prawdy Przedwiecznej... Och, ta nauka!

Spoglądał z ukosa na grabiego wzrokiem naładowanym wyrzutem. Tybald V udawał, że tego nie spostrzega.

— Nie można ostać bez astrologa — odezwała się nagle Blanka. Lubiała każdą rzecz stawiać jasno i po prostu.

— Jaz tego nie powiadam — bąkał spłoszony kapelan — jeno że można znaleźć pobożniejszego...

— Mądrzejszego nie dostaniam. I król nam zazdrości Pocharda. Czy się kiedy omylił? Żle przepowiedział? Sama nieraz się dziwię, że tak utrafi...

— A sny jak tłumaczy! — wtrącił Tybald syn. — Pamiętam, na parę dni przed waszym przyjazdem — zwrócił się do Wilhelma — śniło mi się, że pies po mnie skakał, a potem pasł się na trawie jak koń... Prosiłem imć Pocharda, by mi znaczenie snu wyłożył... Nie pomnę już, jako rzekł, bo bardzo uczenie, ale wiem, że pokazywało całkiem na wasz przyjazd... całkiem...

— Szlachetny rycerz, Jan de Brienne, obecny król jerozolimski, raczył mi kiedyś opowiadać swe wielce dziwne i prorocze sny — rzekł od niechcienia Divini — jeno ja ich wyłożyć nie umiałem.

Rzucił nazwisko Jana po raz pierwszy, ot tak, dla sprawdzenia. Skrycie, lecz uważnie śledził przy tym Blankę. Oświetlona z jednej strony ogniem płonącym na kominku, z drugiej zatkniętym w żelazny stojak łuczywem, pochylała się jak zwykle nad robotą. Och, jak drgnęła, jak krew jej nabiegła ciemnym rumieńcem na twarz!

— Ukłamał się — zauważyła.

Czerwona kropla zawisała na palcu, omal nie splamiła śnieżystej bieli ornatu.

Przyłożyła palec do ust i wróciła do roboty. Stary grabia ożywił się.

— Znacie de Brienne'a?! Widzieliście go? Cieszymy się wszyscy z jego wyróżnienia, ale nam dobrego towarzysza brak... Dwór jak nie ten sam, odkąd go nie ma... Bo więcej czasu u nas przebywał niż u siebie... Wszyscyśmy go nawidzili, nawet grabini nie stawała mu kozłem jak innym...

Roześmiał się pogodnie. Filozof czy ślepy? Jedwab gęsto kłuty igłą skrzypiał.

— Ciekawym, jak mu też smakuje korona — ciągnął grabia. — Kwapić się do niej zbyt nie kwapił...

— Bardzo zakochany? — pytał Tybald syn śmiejąc się głupekowato.

— W kim? — zapytał Divini, jakby nie rozumiejąc. Igła, wykonawszy parę kolistych ruchów, znieruchomiła.

— No przecież w narzeczonej! W królownie!...

— Ach, ta młódka... — Divini nie spuszczał oczu z dłoni, które spoczęły na hafcie beczynnie. — Widziałem jej wizerunek... Jest na nim...

Leżące bezwładnie dłonie drżały. Trubadurovi zdawało się, że wołają: „Kończ! Kończ! Mów!”

— Jest na nim mało urodziwa... Ale wizerunek może nie być wierny...

— Kto kiedy widział portret wierny? Więc on nie bardzo zakochany, co?

Divini namyślał się chwilę.

— Wręcz przeciwnie — rzekł stanowczo. — Kocha się jak szaleniec, jak trubadur, jak Tristan. Wiem, bom z nim często przebywał...

— Ho, ho! — dziwił się grabia.

— Nic dziwnego, taki los nie co dzień się zdarza! — stwierdził pogodnie kapelan.

Jedwab skrzyptał znowu. Igła migąła błyskawicznie, gorączkowo, do rzeczy, od rzeczy, po wzorze, poza wzorem.

— Pomimo tej miłości — podjął grabia — niespieszne mu było odjeżdżać. Pół roku bez mała siedział pono w Rzymie?

— Nie ze swej winy. Gdyby mógł, byłby ptakiem leciał do ukochanej. Niezwalczone przeszkody...

— Pora już na spoczynek — przerwała twardo grabini powstając.

— O pani matko! — wykrzyknął Tybald syn z żalem. — Jeszcze nie jest późno! Miałem zaśpiewać dziś nową kanconę, którą mi nasz gość poprawił.

— Kancona prześliczna — zapewnił uprzejmie Divini.

— Zaśpiewaj ją zatem — przystała Blanka osuwając się z powrotem w krzesło.

Nogą odsunęła krosienka i patrzyła tępo w ogień. Tybald śpiewał cienkim, piskliwym głosem. Był niezmiernie zadowolony z siebie. Spoglądał na dwórki szukając w ich oczach podziwu. Nareszcie skończył i usiadł. Divini wstał.

— Jeżeli Wasze Dostojności pozwolą — rzekł — zaśpiewam i ja kanconę, tę samą, którą ostatni raz śpiewałem dla szlachetnego rycerza de Brienne.

Czarne oczy spod czarnych zrosniętych brwi spojrzały na niego bez zwykłej zuchwałości. Divini wziął z rąk Tybalda wiołę.

...Gdy jesień nadchodzi, wzmaga się w sercu żal za przeminioną wiosną...
...Gdy słodkie grona obciążą winnice, serce najsilniej odczuwa żary miłosne...
...Piękny Amorze, daj mi jeszcze użyć beztroskich świtów radości...

Nie gaś mi zorzy, dniu umiłowany,
Zmierzchu, nie bądź zbyt pośpieszny!
Gdy nieodwładna chęć miłości dzierży.
Któż by cię oglądać pragnął?

Głos jego dźwięczał jak dzwon, to znów ściszał się do szeptu. Cały swój wysoki kunszt, całą siłę wyrazu i uczucia śpiewak włożył w słowa pieśni. Gdy skończył, dłuższą chwilę trwała cisza.

— To jest śpiew, a nie twoje miauczenie — zwrócił się grabia do syna.

Tybald zaczerwienił się jak rak. Łzy stanęły mu w oczach.

— Szlachetny młody pan, gdy dojdzie moich lat, będzie jeszcze lepiej śpiewał — zapewnił Divini.

Chłopiec spojrzał na niego z wdzięcznością i zachwytem.

— Nie, nie! — zaprzeczył. — Ja nigdy tak nie potrafię! Nigdy...

Rozplakał się i wybiegł z komnaty. Bez słowa, bez spojrzenia w stronę pieśniarza. Blanka podniosła się i wyszła za nim. Dwórki poderwały się, sprzątnęły krosna, motki z jedwabiem i spieszenie pobiegły w ślady pani.

— Hej, to jest śpiew — mruzczał stary grabia z uznaniem. — Nie dziwię się, że wam laur dano... Sam bym go dał. To jest piękne...

— Żaden laur nie sprawiłby mi tyle radości, co podobne słowa, dostojny panie.

Kapelan wzdychał z zakłopotaniem.

— Bardzo piękne — przyznał — ale strasznie świeckie. Wolałbym pieśni pobożne, budujące...

— W tej kanconie nie ma przecież nic zdrożnego — bronił się Divini. — Słuchać jej raczył kiedyś kardynał Colonna...

— Ja wiem, ja wiem, że nic zdrożnego. Ale bardzo świeckie...

Ojciec Tomasz kręcił się niespokojnie, nie umiejąc wyrazić, o co mu chodziło. Że nie za szczęśliwością niebieską owa namiętna tęsknota...

— Bardzo świeckie — powtórzył raz jeszcze, drepcząc frasobliwie do swojej izdebki.

Ryba bierze haczyk — pomyślał z zadowoleniem Wilhelm trubadur, gdy grabini z dwiema dwórkami weszła na krużganek, gdzie gość, jak codziennie, wysłuchiwał prób poetyckich młodego Tybalda.

— O czym rozmawiacie? — zagadnęła dość uprzejmie.

— Pytam się, zali poezje moje są coś warte — westchnął syn.

— Szlachetny młody rycerz ma niepoślednie, niezwykle zdolności — zaopiniował Divini. — Niektóre z jego pieśni są bardzo udatne. Na przykład:

...Gdy moja miła stanie przy krzewie różanym...

Była to jedna z pieśni układanych niegdyś przez Jana, podsuniętych Tybaldowi. Wilhelm wiedział o tym.

Blanka przez chwilę stała nieruchomo.

— Tybaldzie, mój synu — rzekła, jakby sobie nagle przypomniawszy — zajdź na wieżę do imé astrologa, zapytaj czy dzień jutrzejszy nadaje się do sadzenia kwok.

Zadowolony z poprzedniej pochwały, a wielce niezadowolony z polecenia, młodzieniec odszedł. Blanka podeszła do kamiennej poręczy krużganku i spojrzała przed siebie w rozległą dolinę.

— Możecie iść do swojej roboty — rzuciła dwórkom przez ramię.

Odeszły. Blanka i Wilhelm zostali sami. Grabini obracała w ręku niespokojnie jałmużniczkę. Wysokie, białe upięcie na głowie drżało. Divini nie myślał ułatwiać jej zaczęcia rozmowy. Dwornie pochylony, czekał.

— Więc de Brienne taki zakochany? — podjęła obcesowo. — Skąd wiecie?

— Z własnych ust szlachetnego rycerza, a raczej Miłościwego Pana.

— Zwierzał się wam? — wycedziła ze wzgardliwym niedowierzaniem.

— Tak jest. Zwierzał mi się.

— Dziwi mnie to.

— Niestusznie, Dostojna Pani. Komuż można bezpieczniej zwierzyć się z kochania, jeśli nie trubadurowi? Dla rycerza człowiek o tyle przedstawia wartość, o ile sprawnie czyni mieczem. Dla księdza — o ile modli się, pokutuje i wierzy. Dla trubadura zaś, o ile kocha. Miłość to nasza dziedzina. Znamy jej dziwne wybiegi, jej ukryte drogi, maski, które rada wdziewa... Nieobce nam żadne kochanie. Nie jesteśmy lekarzami miłości, o nie, lecz spowiednikami...

— Piękni spowiednicy — syknęła — rozgłaszający otrzymane zwierzenia!

— Mylicie się, Dostojna Pani. Powtarzając, com rzekł, spełniłem tylko wolę mego przyjaciela i pana.

Cofnęła się oburzona.

— De Brienne chciał, żebyście gadali o jego uczuciach na prawo i lewo!?

— Chciał, abyście wy o nich usłyszeli.

Szarpnęła się gwałtownie, upuściła jałmużniczkę. Schylił się spiesznie, by podnieść. Podając woreczek, przeraził się wyrazu jej pobladłej twarzy.

— Mnie — zapytała bez tchu — mnie... kazał mówić o tym, że kocha tę... tę...?!

— Czyż ja to powiedziałem? (W przeciwieństwie do jej wzburzenia Wilhelm był doskonale opanowany.) Miłościwy pan nienawidzi swojej narzeczonej. Czuje do niej wstręt. Dlatego tyle czasu pozostawał w Rzymie mimo nalegania posłów.

Przybliżyła się do niego tuż. Oczy jej płonęły. Tchnęła mu prosto w twarz. Była wspaniała i groźna. Warknęła:

— Więc kogóż kocha?

— Tylko was, pani.

Powiedział śmiało, lecz na wszelki wypadek uchylił uwawrzynioną głowę. Uderzy, nie uderzy? Gra była niebezpieczna. Grabini mogła się obrazić, zelżyć zuchwalca, kazać go wtrącić do lochu.

Lecz uczucie jej było silniejsze od dumy. Ugięła się w sobie, załamała, wsparła bezsilnie o poręcz.

— Mnie... — powtórzyła półgłosem.

— Z jego polecenia przybyłem — podjął Divini patetycznie, niby deklamując wiersz. — Zaprawdę, Izolda jasnowłosa nie była czulej kochaną niż wy! Niczym dla niego korona i panowanie. Jego myśli płoną jak pożar. Gdy mówi o was, głos ma chrapliwy jak bek jelenia na

rykowisku... Gdy mówi o was, męskie jego dłonie drżą... Gdy mówi o was, oczy mu się żarzą. Gdy mówi o was, serce targa nim tak mocno, że wygina zbroję...

Z deklamacji trubadur przeszedł w śpiew. Tybald, który właśnie wrócił, przysłuchiwał się z zachwytem.

— Czyje to? Czyje to? — pytał, gdy Divini skończył.

— Moje, do usług. Ot, taka skromna lauda...

— Chciałbym choć raz w życiu podobną ułożyć! A Pochard powiada, że ani jutrzejszy dzień, ani cały ten tydzień nie nadają się.

— Nie nadają? — powtórzyła Blanka, z trudem usiłując przypomnieć sobie, do czego odnosiły się te słowa.

— Tak, bo miesiąca jeszcze wciąż ubywa... Dopiero w przyszłym tygodniu...

— Prawda, że miesiąca ubywa. Nie należy nic zaczynać...

Spojrzała na Wilhelma jakby z wyrzutem, że w złej kwadrze powiedział jej o wiernej miłości Jana.

— Co myślicie, dostojny panie mężu, o Tybaldzie? — zagadnęła w jakiś czas później Blanka. Jak zwykle siedziała nad robotą, lecz wzoru niewiele przybywało w ostatnich dniach.

— Co myślę o Tybaldzie? — powtórzył grabia. — A cóż mam myśleć? Wiadomo, że dureń.

— Tak nie należy mówić — oburzyła się. — Tybald nie jest wcale głupi. Zawróciły mu tylko w głowie muzyka, śpiew. Ten trubadur dużo zawinił. Nieustannie z Tybaldem przebywa i słucha jego piosenek.

— Szkoda, że nie odwrotnie. Sądzę, że trubadur niedługo odjedzie?

— To już nic nie pomoże. Znam chłopca. Jedyne to wyrwać go stąd, pokazać mu czyny orężne, miejsca sławne... Cóż on tu widzi? Gdzie ma nabrać ochoty do wojowania?

— Dawno to chciałem uczynić, ty zasie broniłaś, że ostatni, że cherlak, że tamci zginęli.

— I dziś samego nie puszczę. A że widzę potrzebę, gotowa jestem pojechać z nim razem.

Tybald V zdumiał się tak, że aż wstał z krzesła.

— Dokąd?!

— Z dawna uczyniłam ślub pielgrzymki do Grobu Świętego, o czym wam, dostojny panie mężu, nie mówiłam, bo sposobności nie było... Pojechalibyśmy z Tybaldem razem. Ja modlić się będę, o zbawieniu duszy myśląc, chłopiec podczas napatrzy się wojów...

Mąż spoglądał na nią jak na szaloną.

— Przecież Grób Święty w ręku pogan!

— Pozwalają go nawiedzać podobno.

— Prosić będziesz muzułmanów o zezwolenie?! Ty?! Z domu Nawarry?! Nie było pośród twoich jednego, co by z pogany nie walczył, i teraz będziesz ich prosić? Wejście opłacać? Blanko!

Spuściła nisko głowę, zmieszana, lecz nieustępliwa.

— Nie wiem, jak jest z owym zezwoleniem, ale trubadur mówił, że pielgrzymować wolno. Każ go przywołać, niech powie.

Przywołany Wilhelm potwierdził słowa grabini. Szlachetny rycerz de Brienne, to jest Miłościwy Pan, zamierzał podpisać układ (przez antecesorów jego pono przygotowany) dający sułtanowi znaczne ustępstwa w zamian za swobodny dostęp pielgrzymów do Grobu.

Stary pan rozgniewał się na dobre, co mu się rzadko zdarzało.

— Od ustępstw de Brienne zaczyna swoje panowanie?! Nie spodziewałem się tego! Samże wam o tym gadał?

— O, nie — odparł ostrożnie Divini. — Miłościwy Król mówił to na posłuchaniu u Ojca świętego. Wszyscy w Rzymie powtarzali jego słowa z niemałą uciechą. Wielu szlachetnych pątników, rycerzy i niewiast, zamierza z możliwości pielgrzymki korzystać.

— Wola wasza, panie mężu, jest dla mnie rozkazem — zapewniła Blanka. — Uczynię, jak postanowicie.

Tybald V uśmiechnął się krzywo.

— Bóg zapłać — rzekł do Wilhelma — za przywiezienie tych cennych wiadomości. Jeżeli grabini chce dopełnić ślubu, który, jak słyszę, uczyniła — nie ja jej będę przeszkadzał.

Nie przeszkadzał istotnie. Sam ogłosił dworowi, że w połowie lata grabini pojedzie do Ziemi Świętej dopełnić dawnego ślubu. Zaraz też zaczęto przygotowania. Odjeżdżającej miał towarzyszyć orszak bogaty, odpowiedni do stanowiska panów Szampanii i królów Nawarry. Pięciu rycerzy, tyluż giermków, dwudziestu halabardników, dziesięć dworek. Divini postanowił w

najbliższym czasie odjechać do Rzymu, a w oznaczonej porze spotkać się z grabiną w Brindisi, by razem z nią płynąć dalej. To ostatnie było jedyną pociechą młodego Tybalda, którego nagły zamiar matki bardzo niepokoił. Łagodny młodzian nie znosił rzeczy nieznanych, a o przygodach lubił tylko śpiewać. Gdybyż go zostawiono w domu w spokoju! Usiłował ostrożnie przedstawić matce, że wolej by jechała sama, lecz jedno groźne spojrzenie jej czarnych oczu unicestwiło go w proch. Nie próbował już oporu.

Ojciec jego Tybald V, astrolog Pochard, kapelan i Wilhelm Divini rozprawiali wieczorami o zamierzonej podróży, Blanka, milcząca i zamknięta, jak zwykle siedziała nad swoim haftem. Nic się na pozór nie zmieniło w łowieckiej sali zamkowej. Kto by jednak spojrział na panią uważnie, dojrzałby snadnie miotający ją niepokój. Nizała perły na igłę i zsuwała je z powrotem do stojącej na kolanach szkatuleczki. Supłała nić kilkakrotnie, potem zrywała ją niecierpliwie i nawlekała igłę na nowo drżącymi palcami. Zmuszała się do rozpoczęcia roboty i odsuwała ją natychmiast, przecierając oczy z wyrazem osłupienia. Bo z gąszczu liści tworzących ornament, z zawilego wzoru haftu wychylała się uparcie pewna znenawidzona, choć nieznaną twarz niewieścia. Blanka kłuła w nią z wściekłością igłą — nic nie pomagało. Twarzyczka wąska, chuda, na podstawie portretu opisana przez Diviniego, na poły dziecinna twarzyczka królowej jerozolimskiej. Janowej ślubnej żony.

Dziwna rzecz, jeszcze niedawno myśl o niej nie była do tyła dręcząca. Rok mijał, jak Jan wyjechał zmuszony przez króla Filipa do przyjęcia ręki dziedziczki jerozolimskiej. Miłość ich dwojga skończyła się, urwała. Darmo o niej marzyć dłużej. Co było, nigdy nie wróci. Blanka nie należała do kobiet trawiących siły na bezużyteczne żale. Wsparła ją duma. Zagłuszyła miłość wolą. Tęsknotę syci nadzieja. Gdy brak nadziei, serce łatwiej się zabliznia. Lecz poseł Jana przyjechał i wszystko zmarłe ożyło na nowo. Jan wzywał ją do siebie. Buntował się przeciw losowi, nie przystawał na rozłąkę, nie chciał uznać ich miłości za skończoną. Jan kochał ją po dawnemu. I wobec tego orędzia zrezygnowane, zagłuszone uczucie Blanki buchnęło zestokrotnione. Ogarnęło ją jak pożar, przesłoniło cały świat. Pożegnany na zawsze kochanek zmartwychwstał. Żył i przywoływał ją! A w ślad za tym zjawiała się nieunikniona towarzysząca wskrzeszonej miłości, piękąca, dokuczliwa zazdrość. Zazdrość o kobietę, przy której Jan był zmuszony żyć. Do przyjazdu trubadura ilekroć myślała o Janie, pocieszała się, że musiał się rozstać z nią, aby zostać królem. Obecnie ta sprawa zmieniała oblicze. Korona schodziła na dalszy plan, a Jan odjechał, by zostać mężem innej kobiety... I blada trójkątna twarzyczka ukazywała się znów w zwojach nici. Była nieodstępna we śnie i na jawie, jak zmora. Biedna, chorowita dziewczynka — stawka w ręku polityków, nie mogąca marzyć ni o miłości, ni o

wolnym wyborze, która Jana ani znała, ani szukała — stawała się przedmiotem duszącej, dławiącej, pętającej nienawiści, od której w mózgu błyskały ognie czerwone.

...Nie podam się na osławę — myślała Blanka niszając i zsuwając perły — nie będę się z Janem widywać ukradkiem, ale usunę ją i zajmę jej miejsce. Tak uczynię, na kości świętych Męczenników! Mój on jest. Cóż stąd, że mi przeszło czterdzieści pięć lat? Młodam jeszcze. W miłowaniu gorąca. Nie będzie Jan niczyj, tylko mój. Nie porzucę domu jak poćpiega, ale odejdę męża, by zostać królową. Ojciec święty przystanie na rozwód, jeśli Jan za to obieca, że Grobu Świętego dobędzie... Byle ją usunąć... Ją!

Urywała zasupłaną nic ruchem krewkim i bezwzględny. Usunąć Marię jerozolimską, usunąć! Niechaj nie stoi na drodze!

Wrodzony rozsądek szeptał Blance chwilami, że Jan jest królem tylko jako mąż królowny, lecz odpychała szybko te uwagi. Niech no baronowie syryjscy ocenią Janową wojenną biegłość, Janowy rozum, Janowy miecz, a nie pozbędą się takiego króla, dlatego że zmienił żonę...

I twarz jej pochylona nad białym ornatem przybierała mimowolnie wyraz tak okrutny, że śledzący ją spod oka mąż wzdrygał się niespokojnie. Diabła ma za skórą ta kobieta...

...Usunąć, ale jak? W bezsenne noce, gdy przebudzona, wygłodzona żądza nie daje zasnąć, pod czaszką suną drapieżne obrazy godne wyobraźni dwóch wilczyc królewskich tej samej co ona krwi — Fredegondy, Brunehildy... Sumienie, prawość usiłują oburzyć się na te widziadła, odepchnąć je i zagłuszyć. Daremnie! Wracają natrętne, przekonywające, nieodparte. Pędzą krew do lic, odbierają sen.

...Nie ja winna — usiłuje uspokoić sama siebie. — Byłam już pogodzona, gotowa na zimę starości. On mnie zawołał. Obudził. Skoro pojedę, nie wrócę. Ona musi mi ustąpić, musi...

Podobne myśli pani sprawiają, że w zamku wszystko idzie na opak, a dwórki zbierają codziennie splątane motki i dziwią się, że roboty nie przybyło. Dawniej z grabini skorsza była pracownica.

Podobne myśli sprawiają na koniec, że pewnego późnego wieczoru, gdy cały zamek już śpi, Blanka z Nawarry, pani Szampanii, otulona w ciemny płaszcz wychodzi samotnie z zamku. Ogląda się wkoło niespokojnie, jakby nie panią była, ale jedną z tych sług, którym chłosta grozi za nocne pogwarki. Idzie, jakby się skradała. Idzie do chaty więdzmy Margochy.

Noc jest ciemna, bezmiesięczna, ciężarna burzą i grzmotem. Gorący, parny wiatr z południa tchnie niby oddech z chlebowego pieca. Porywa się gwałtownymi podmuchami, to cichnie nagle jakby przyczajony. Liście na drzewach dźwięczą metalicznie. Topole szemrzą niby płynące strugi

wody. Gdy wiatr przypadnie, szelesty drzew milkną. Gdy wiatr się zrywa, szmer się budzi, rośnie, wzmacnia nad głową, wróży nawałnicę. Zła noc. Nad światem nisko przelatują ciemne moce. Czy wysyła je wraz z promieniami daleka planeta, jak twierdzi astrolog Pochard? Czy piekło rozzuchwalone grzechami ludzkimi przybliży się, jak mówi kapelan? Nie wiadomo, ale zła to noc. Która niewiasta w tę noc pocznie, nie da życia szczęśliwemu człowiekowi. Która w tę noc porodzi, umęczy się i martwy płód wyda. Zła noc. Cień jej nie rzeźwi, cisza nie daje spokoju. Mrok nie zda się odpoczynkiem dnia, lecz współnikiem zbrodni. Zioła trujące pęcznieją jadem w dwójnasób. Czyste, słoneczne zwierzęta, rośliny i ptaki męczą się, wyglądając świtu jak zmiłowania. Ruszają się za to swobodnie sowa, nietoperz, puszczyk i ropucha. W taką noc pokusa jest silniejsza, a odpór sumienia słabszy. W taką noc można by mniemać, że Bóg odwrócił lice ku innym kręgom wszechświata i ziemię przestała oświetlać pełnia Jego przytomności. W tę noc daleko, na wzburzonym, wzdętym morzu dzieją się rzeczy straszliwe...

Lecz Blanka o nich nie wie i wiedzieć nie może. Zresztą nie chce wiedzieć o niczym, co nie jest zamierzoną podróżą i Janem.

Psy poznały panią, ocierając się o kolana biegną przed nią, nie podskakując wesoło jak zwykle. Dręczy je naładowana oczekiwaniem parnota, niepokój trwający w powietrzu. Strażnika nie ma. Blanka wie, że odszedł teraz ku przeciwnej stronie zamku. Słyszc go, jak buczy na swej wielkiej trąbie z kory. Można śmiało otworzyć małą, tajną furtkę wyjętym z kieszeni kluczem, mocować się chwilę z zardzewiałymi ryglami i wymknąć się za mur.

Psy pozostawione na dziedzińcu piszczą i drapią furtkę łapami. Trzeba się wrócić i wypuścić je, niech idą z nią razem. Chata Margochy stoi tuż na stoku wzgórza. Widać w ciemni jej zarysy. Garbaty dach wrosły w ziemię podobny jest z dala do przyczajonej olbrzymiej ropuchy. Szczelnie zawita w ciemny płaszcz Blanka podchodzi do drzwi i stuka. Psy stają obok, spoglądają na nią jakby ze zdziwieniem.

Obleśna, brudna baba mieszkająca w chacie, uchodząca szeroko za mocną wiedźmę, nie dziwi się stukaniu. Klientela jej przeważnie przychodzi w nocy. Narzuca kieckę i uchyla skrzypiących drzwi. Z wnętrza bije zaduch jak z chlewa.

— Wejdźcie — zaprasza, sprawdziwszy oczami, że gość jest sam jeden.

— Możemy tutaj — odpowiada Blanka.

— Na dworze nie gadam — obrusza się hardo Margocha głowiąc się w duchu, czyj to głos, czyja postawa... — Nie, to nie — dodaje i chce przytknąć drzwi. Dumna grabini Blanka przytrzymuje je i wchodzi do środka.

Ciemno tu i smrodliwie. Choć gość spiesznie powtarza, że nie potrzebuje światła, Margocha dmucha na żar przykryty popiołem, by zapalić odeń łuczywo.

— Potrzebuję mocnego ziela — rzuca Blanka głosem stłumionym przez płaszcz.

— Na miłość?

— Nie.

— Na śmierć?

Gość milczy potakująco, więc Margocha rozjaśnia się szpetnym uśmiechem. To żądanie łatwiejsze do zaspokojenia! Ma różne ziela — mocne, słabsze, droższe, tańsze... Za najpewniejsze trzeba dobrze zapłacić. Dukat pada na stół, baba porywa go chciwie, kręci się po izbie. Tam uszczknie ziela z pęku wiszącego pod pułapem, ówdzie uskubnie innego spod ławy. Miesza je, kruszy, sepleniąc niezrozumiałe wyrazy. Poucza szeptem, jak odwar przyrządzać, jak go do jedzenia dodawać. Ile, by spowodować nagły zgon, a ile, by długie, uparte chorzenie...

— Dla chłopca to? — pyta nagle.

Blanka wstrząsa przecząco głową.

— Dla starej? Młodej?

Za dużo tych pytań! Blanka rzuca jeszcze jednego dukata i odchodzi. Psy za nią. Margocha patrzy, patrzy... No, no, kto by się spodziewał?...

Blanka stąpa mocno, gniewnie. Nie rozumie sama, co się z nią dzieje. Wraca ku furcie nie wątpiąc, że czarownica, ją śledzi. I zdumiewa się. Onaż to, dumna dziedziczka? Ona powraca chyłkiem w obejście, niczym dziewczka? Onaż trzyma w zaciśniętej garści szmatkę ze złym zieleń? Boże, Boże, ratuj! I dłoń to się rozwiewa, by cisnąć przeklęty nabytek, to zamyka się kurczowo i kryje w zanadrze. ...Przecie jej truc nie myślę — uspokaja sama siebie. — Ziele dobrze mieć w drodze przy sobie... Na wszelki wypadek...

Wicher zrywa jej z dłoni połę płaszcza, unosi w górę wysoko jak żagiel. Z trudem Blanka ściga ją, otula się ciasno. Burza nadciąga. W czarnym niebie słychać hurkot, śmieją się gdzieś w oddali białe błyskawice. Jest jeszcze duszniej niż przedtem. Zła noc, zła. Kędyś na morzu dzieją się dziś straszne rzeczy, kędyś za morzem w syryjsko-łacińskim pałacu królowa Maria jerozolimka przewraca się niespokojnie na swym wielkim złotym łożu. Boi się burzy i samotności, a jest zawsze taka opuszczona! Zawsze, zawsze! Użała się nad samą sobą, biedną niewiastką, o którą nikt nie dba. Gdyby nie tron, któż by się o nią zatroszczył? Mogłaby umrzeć albo zamknąć się w klasztorze, nikt by o nią nie zapytał. W poczuciu tej prawdy płacze samotna jerozolimka królowa. Łkanie wstrząsa jej chudym dziewczęcym ciałem.

Rozdział jedenasty

Dzieci! Dzieci! Dzieci!

Na krótko przed Wielkanocą ruszyły zewsząd. Rozdeptują drobnymi stopkami wiosenne błoto gościńców. Wybiegają zewsząd, roją się jak pszczoły. Idą ruchliwą, nisko ścielącą się falą. Drobnym ludem tłoczy się z krzykiem i śpiewem. Matki, ojcowie biegną za nimi, kto z płaczem, kto z groźbą. Chwytają, zatrzymują, karzą. Nic nie poradzą. Jakieś szaleństwo ogarnęło tłum dziecinny. Wyłamują zamknięte drzwi, wywalają płoty, łączą się z towarzyszami, wpadają w nurt. Nieznani ludzie kierujący owym nurtem krzyczą groźnie:

— Nie wolno przeszkadzać! Grzeszy ciężko przeciw Panu, kto się ośmiela przeszkadzać! To cud, to widomy cud!

— To cud! — powtarzają ludzie osłupiali. Na każdym rozstaju nowe rzesze przyłączają się do gromady. Z każdej wioski syją się dzieci. Każde ma na ramieniu krzyż ze szmatki barwnej albo po prostu z liści zielonych nawleczonych na patyczek. Gdy zwiędną, mali pielgrzymi oskubują ze śmiechem krzaki przydrożne. Już są nowe znaki. Krzyżowcyśmy! Krzyżowcy!

Mali krzyżowcy! Świat trzęsie się ze zdumienia. Pierwszy raz stanął wobec podobnego zjawiska. Cała Italia i południowe Niemcy, skrawek Francji objęte są dziwnym ruchem. W kościołach biją dzwony, procesje wychodzą na spotkanie rzesz dziecinnych!. Przy drodze czekają ludzie z mlekiem, mięsem, plackami. Karmią idących płacząc z rozczulenia. Błogosławią im. Gdy zdarzy się, że ofiarodawców zabraknie, kierownicy dziecinnej krucjaty kupują żywność targując się srodze. Najmują także powózki dla przewozu najmłodszych. Tłum matek zrozpaczonych, udęczonych podąża w pyle za nimi.

Po klasztorach zakonnicy wertują spiesznie stare przepowiednie szukając prorocत्व odnośnych do tak dziwnego zdarzenia. Astrologowie badają gwiazdy. Gwiazdy milczą lub źle wróżą. Biskupi ślą na rozstawnych koniach gońców do Ojca świętego zapytując, co uczynić. Popierać ten ruch? Położyć mu kres? Oto niewiniątka ruszyły na podbój Jerozolimy. Nieletni podjęli dzieło zaniedbane przez ojców...

Innocenty III modli się całą noc. Uprasza Pana o radę. Wstaje rano z ogniem w oczach. Boży to znak, jeżeli się do niego cała społeczność przyłączy. Dzieci zawstydzają was! Dzieci porwały się w obronie Boga! Hańba, kto pozwoli niebożątkom iść samym, nie pójdzie za ich przykładem! Jak niegdyś niech śpieszy każdy, kto zdolen udźwignąć oręż! Do broni! Do broni! Ratować Grób Święty!

A kto iść nie może, kto słaby, niemocny, niech się zastąpi ofiarą! W kościołach kłody ustawić na składki. Kto da ofiarę, otrzyma odpust, ten sam, co przysługuje pielgrzymom! Odpust zupełny! Świecie chrześcijański! Powstań! Jak niegdyś oderwij się od swych korzeni! Za dziećmi! Za dziećmi! Na ratunek Grobu!

Z uniesieniem, drżącą dłonią papież podpisuje niezliczone listy. Trzech sekretarzy nie może przy nim nadażyć. Listy do biskupów, do klasztorów i wprost do wiernych. Chodząc w uniesieniu po komnacie Innocenty patrzy nieprzytomnie w dal, jakby tam widział dzieci kroczące przez błonia.

Wzdycha:

— Czemuż nie mogę pójść z nimi razem, stanąć na ich czele? Czułbym się dobrze wśród nich. Ich wiara dziecinna odrodziłaby moją zbyt gorzką i twardą wiarę. Kroczyłbym niby zbawiony, słysząc wkoło ich głosy i śmiechy... Zaprawdę, muszą ich wieść aniołowie... Nie masz nic niemożliwego dla niewinności... Błogosławiona falo dzieciństwa, co się rozlewasz po polach, zali zbudzisz dusze starszych, znikczemniałe, drętwe, śpiące? Falo dzieciństwa, runo jagnięce, posiewie anielski, kwiecie ludzki nie znający jeszcze zła, jakaż moc ciebie prowadzi? Zali istotnie dokonasz, czego starzy nie dokonali? Zali istotnie spełnisz niespełnione, uradujesz moją starość, zatwierdzisz wobec pogan wielkość Boga, który gdy zechce, potrafi za przyczyną dzieciątek dzieło swoje sprawić?

I nie zważając na zdumienie sekretarzy staje pośrodku komnaty, błogosławi dłonią idącym kędyś niedolatkom. Wzdycha z najszczerzym żalem, że iść z nimi nie zdoła.

Kardynałowie karcą podobne myśli. Ojciec święty nie powinien myśleć nawet i wyjeździe. Jego zadaniem trwać tu, na miejscu. Gdyby odjechał, strach pomyśleć, co mogłoby się stać z Państwem Kościelnym...

Do patriarchy weneckiego armatorzy Ferreus & Porcus przychodzą oznajmić, że wzruszeni zapalem niewinnych i świętością sprawy, zgadzają się przewieźć niewiniątka za darmo do Ziemi Świętej. Patriarcha z uznaniem przyjmuje ofiarę. Wiadomość rozchodzi się szybko i już teraz nikt nie wątpi o cudownym pochodzeniu krucjaty. Wiadomo, jak twarde, chytne serca mają Wenecjanie! Nigdy jeszcze nie zrobili nic bez zysku! A teraz sami z siebie zgłaszają przewóz! Zaprawdę, niezwykajna to rzecz!

Zachęceni przykładem, inni również śpieszą z ochotną pomocą. Udzielają darmo podwód, żywności, szatek. Jeno ruszyć razem z dziećmi za nakazem papieża nikt się nie kwapi. Wędrować znowu za morze? Na niepewne losy? Nie! Takich nie ma. Dziadkowie i ojcowie dość nachodzili

się do Ziemi Świętej. Wnuki ochłonęły z zapału. Wolej ofiarę z miłego grosza do kłody kościelnej złożyć i odpust otrzymać, niż samemu głowy nakładać. I wbrew nadziejom papieża, tłumy zbiegają się wprawdzie zewsząd, stają płotem przy drodze patrzeć na idące dzieci, krzyczą z uniesieniem: „Baranki Boże! Gołąbki! Kwiatuszki!” Ale nic więcej. Dać się porwać, przypiąć do ramienia krzyż, odbieżeć domu, dobytku, jak niegdyś, niegdyś na głos Eremity. Nie! To już nie ten wiek.

Tymczasem dzieci idą, jadą, śpieszą. Ich zapał nie wygasł. One są spragnione cudu i wzniosłości. Nic nie wiedząc o tym, przeżywają te same uczucia, te same radości lub trwogi, jakie przeżywali dziadowie ich idący za morze przed laty w pierwszej potężnej krucjacie. Choć karta dziejów odwróciła się, podobny złoci ją promień. Ich drobne dziecinne troski przed odejściem, ich myśli stanowią wierny odbłask tamtych przeżyć. Wprawdzie wówczas szły setki tysięcy, dzieci zaś nie ma nawet pięć tysięcy, ale liczba istoty rzeczy nie zmienia. Jedyna to krucjata równie jak pierwsza wielka, z bezinteresownego zapału podjęta, z przekonania, że Bóg tak chce! Nie dla odwetu, nie dla zysku, nie dla chwały.

Wiele spośród dzieci nie może nocami zasnąć. Patrzą w ciemność, słyszą stamtąd głosy zwołujące. Anielskie pewno? Inne śpią i mają cudne sny, które, gdy świt nadejdzie i ptaki poczną śpiewać w zaroślach, opowiadają rozbudzonym towarzyszom. Nie wiedzą, co te sny oznaczają, ale radują się nimi. Mikołaj może by treść snów wytłumaczył, ale Mikołaja rzadko teraz można widzieć. Jest bardzo zajęty. Wygląda nawet, jakby unikał swoich dawnych małych przyjaciół, swoich wielbicieli. Może się gniewa o co? Ależ nie ma o co się gniewać! Poszły, tak jak chciał. Trochę może wcześniej, niż kazał, bo porwało je zdarzenie z wilkiem i małą Ignacją. Mała Ignacja zbierała w lesie chrust, gdy wypadł na nią wielki, wyszczerzony wilk. Zbladła ze strachu i wyjąkała:

— Nie zjadaj mnie, dobry wilku, bo idę bronić Grobu Świętego. — I wilk na te słowa machnął przyjaźnie ogonem jak pies i odszedł nic jej nie czyniąc. Ignacja bez tchu przybiegła i opowiedziała, jak było. I postanowili wszyscy nie czekać dłużej, lecz tej samej nocy iść...

— Mikołaj nie lubi twojego psa, Robercie — mówią z wyrzutem dziewczynki — i dlatego nie przychodzi...

Mikołaj istotnie nie lubi psa Roberta, a raczej pies nie lubi Mikołaja. Ulubiony kotek małej Marity nie poszedł z nią. Chciała go wziąć na ręce, wyrwał się, podrapał ją i usiadł na progu, skąd patrzył na odchodzącą żółtymi jak dukat oczami. Ale brytan Lippo poszedł za Robertem sam, nie wołany, i nie odstępował go na krok. Z początku dzieci bały się wielkiego psa, teraz już nie.

Przeciwnie, śpią spokojnie, gdy Lippo w pobliżu czuwa. I tylko dziwna, zastanawiająca rzecz: pies nienawidzi Mikołaja. Nie znosi go. Gdyby mu pozwolono, rzuciłby się i rozszarpał.

— Szatana ma w sobie, szatana — wzdycha Mikołaj. — Nie mogę pozwolić, by z nami szedł...

— Na okręt go nie wezmę. Tymczasem jednak pozwól, bo co z nim zrobię? — prosi Robert tuląc brytana do piersi.

— Rób, jak chcesz, ale ten pies jest opętany przez diabła.

Mikołaj odchodzi, przeprowadzany głuchym, groźnym warczeniem, a Robert myśli z żalem o tym, jak zostawi psa w porcie. Biedny, kochany Lippo! Może zaopiekuje się nim dziadek Mattea? Dziadek idzie za gromadą wraz z matkami, co dzień wieczorem przychodzi uściskać wnuka. Trzeba go będzie poprosić...

Ojciec święty pyta sekretarzy gorączkowo, ile już zgłoszeń wpłynęło, ilu ludzi zapisuje się na krucjatę, i z przerażeniem dowiadyuje się, że jeszcze nikt, prawie nikt... Zebrała się wprawdzie spora kupa łazęgów i obieżyświatów, łasych przejechać się za morze, ale gdy panowie armatorzy twardo powiedzieli, że tylko dzieciom dają przejazd darmo, a każdy dorosły musi płacić jak zwykle i z góry, cofnęli się wszyscy.

W pierwszych dniach podróży Tina wymykała się wieczorem z obozu i biegła z powrotem kawał drogi, by spotkać Laurentego i Balbinę zdążających za gromadą. Trafił się jakiś poczciwiec jadący w tę samą stronę, który zabrał ich na wózek. Byli oboje bardzo rozżaleni.

— Jutro już stary Peppo nie pojedzie dalej — skarżyli się Tinie. — Będziemy musieli biec za wami piechotą... A przecież macie wozy i mniejsze dzieci jadą na nich... Dlaczego nie chcecie nas wziąć?!

— Ja nie wiem... Mikołaj ciągle powtarza, że później... Że po was powróci... A na wozach nie ma miejsca... Naprawdę nie ma miejsca. Dzieciaków pełno, a jeszcze starsze chłopaki się pchają...

— Widzisz! Widzisz! Oni się pchają, a my co jutro poczniemy?

Tina siedziała zafrasowana.

— Ja myślę — rzekła po chwili — że możecie czekać spokojnie, aż Mikołaj wróci, jak obiecał. Wszystko się dzieje tak, jak mówi. Ludzie wychodzą naprzeciw nas ze śpiewem i dają nam jedzenie. A Wenecjanie mają nas darmo przewieźć przez morze...

— Więc morze nie wyschnie?!

— Nie... Przewiozą nas na okrętach... Bettina się cieszy, że jej nie poszczypią kraby. Macie tu placki i bywajcie zdrowi.

Chwycili ją błagalnie za sukienkę.

— Tino! Peppo jutro naprawdę nie jedzie! Co my poczniemy?! Nie chcemy czekać! Chcemy popłynąć z wami na okręcie, Tino!

— Spróbuję namówić Mikołaja — obiecała i pobiegła do obozu z powrotem. Bała się, bo było już zupełnie ciemno. Cały obóz śpi, świeci się tylko w namiocie Mikołaja. Może on teraz właśnie z archaniołem Gabrielem rozmawia? Kto wie? Nie mogąc powstrzymać ciekawości Tina przesuwa się cichutko do szpary w płótnie, spogląda. Serce jej bije, jakby dopuszczała się grzechu. Boi się bardzo. Ale w namiocie nie ma archaniola. Oprócz Mikołaja znajduje się w nim gruby, stary Żyd. Naprawdę Żyd, z wielką brodą, w żółtej przepisowej opończy. Dlaczego Mikołaj z nim rozmawia? Dlaczego jest taki czerwony i wymyślają sobie wzajemnie? Ach, to jasne! Mikołaj chce go pewnie nawrócić. Przecież Żydzi to poganie...

Mikołaj w namiocie zwraca twarz ku szparze, jakby nasłuchiwał, i Tina spłoszona ucieka. Zresztą czas już spocząć. Raniutko pójdą dalej. Tina wślizguje się na swoje posłanie. Beppo sypia teraz osobno między starszymi chłopcami, ona wśród młodszej dzieciarni, którą opiekuje się chętnie, troskliwa i macierzyńska.

Mała Beatrycze nie śpi jeszcze, podnosi głowę.

— Tino — prosi — rozczesziesz mi włoski? Takie splątane! Nie mogę sobie dać rady... Mamusia mi je zawsze czesała...

— Rozczeszę ci jutro rano, a teraz śpij...

Lecz mała nie może zasnąć.

...Co robi moja mamusia? Tak mi strasznie żal, że ci ludzie jej tutaj nie puszcza... Ona idzie tam za nami... Pewnie płacze... Moja biedna kochana mamusia.

Gdy Beatrycze zaśnie, Tina myśli o swojej matce. Kiedy oboje z bratem odchodzili, a raczej uciekali w nocy po kryjomu, zdawało im się, że nie bardzo o nią stoją. Matka... Taka była

krzykliwa, nieużyta, wymyślała na Mikołaja... A teraz za nią tęskno... Za ojcem też trochę, ale przede wszystkim za matką...

Kręcąc się na szeleszczącej słomie posłania Tina rozmyśla nad ich dziwną wyprawą, nad tym, co będzie dalej... Kiedy zobaczą archanioła? Kiedy odzyskają Grób? W jaki sposób? Ach, gdybyż można porozmawiać o tym z Mikołajem wyczerpująco, jak dawniej! I gdybyż można się modlić! Rzadko mówią pacierz w obozie. Zbiorowo nigdy. Mikołaj dawniej nawoływał do pacierza, teraz wcale. Może według niego pochód wystarcza za modlitwę? Mikołaj chyba się myli. Niektóre dzieci są bardzo niegrzeczne pomimo pochodu...

Kury pieją we wsi. Najwyższy czas spać. Troskliwym okiem małej mateczki Tina ogarnia najmłodsze główiny śpiące wkoło niej.

— Nikt nie jedzie? Więc nikt nie jedzie?! — dopytuje się z przerażeniem papież. — Żaden z baronów z rycerskim poczem, żaden z książąt? Nie zagrzał ich przykład, nie poruszyło wezwanie? W takim razie nie pozwalam, by dzieciny same jechały! Nie wolno puszczać ich na zatracenie! Piszcie natychmiast, niech zatrzymają je w porcie. Niech nie siadają na statki... Posyłać dzieciątka w paszczę poganina... Zgroza!

— Ludzie prawią, że to cud i że one dzieci łatwiej zwyciężą, skoro pójda same — tłumaczy nieśmiało sekretarz papieski.

— Bydłęce lenistwo tak prawi, nie ludzie! Hańba światu, który rozumuje w ten sposób! Nie dozwolę, by dzieciny płynęły na zgubę... Zatrzymać!

— W tej chwili przygotuję listy i wyślę gońca — zapewnia spieszenie sekretarz.

Ale gdy goniec papieski przybędzie do Wenecji oznajmiając patriarsze i panom armatorom wolę papieża, tejże samej nocy imć Porcusowi jawi się z nieba zesłane widzenie. (Co za niebywale czasy! Taki twardy człowiek, nieużyty zda się handlarz, i miewa widzenia!) Niby na jawie stają przed nim papież Urban II i opat Bernard z Clairvaux. Grożą gniewem Bożym, jeśli dzieci zaraz nie odpłyną. „My to staniemy na ich czele — mówią święci mężowie — my powiedziemy tę anielską trzodę. Nie traćcie ani godziny, odpływajcie!”

Któż by się śmiał sprzeciwić takiemu rozkazowi? Kiedy imć Porcus publicznie na placu ogłosi łaskę, jaką go zaszczylił Pan, cały tłum huczy: „Odpływać! Odpływać!”

Same dzieci aż drżą z niecierpliwości. Galery już stoją w porcie. Wprawdzie podobno z Niemiec ciągną jeszcze zapóźnione gromady młodzianków, lecz nie będzie się na nie czekać, równie jak nie będzie się zważać na listy Ojca świętego. Odpływać! Odpływać!

Miasto Wenecja jest hojne. Dało tysiąc i więcej białych lnianych szatek małym krzyżowcom. Za przykładem grodu poszli inni, i wszystkie dzieci odziane są biało. W ręku niosą różgi kwietne. Na głowach wianuszki. Śmieją się, płaczą, śpiewają na przemian. Pokrywają całe wybrzeże. W tym tłumie matki zawodzą. Matki szlochają. Pchają się ku galerom przemocą, rozpacznie, daremnie. Ludzie armatorów odsuwają je nieubłaganie. Nie wolno przeszkadzać, by cud się dopełnił!

— Dziękujcie raczej Bogu, że zaszczycił wasze dzieciny wyborem! Dziękujcie Bogu!

Białe gromady już siadają na okręty. Niemało przy tym pisku, śmiechu, krzyków. Wszystko je bawi, wszystko je zachwyca. Tylko archanioła Gabriela jeszcze nie ma. Pewno czeka na tamtym brzegu?... A tu masz! Jaki wysoki! A to żagle! A to łodzie ratunkowe...

Galery (pięć ich przygotowano) są również pięknie postrojone. Z pokładów zwieszają się długie dębowe wieńce, końcami kąpią się w wodzie. Na masztach flagi. Z bliska co prawda wrażenie odświętności zaciera panujący na pokładach brud. Rozlane smary, nadpróchniałe deski. Lecz dzieciom wszystko się podoba. Machają radośnie dłońmi ku stojącym na wybrzeżu. Powiewają kwitnącymi gałęziami.

Tylko Robert zaciska wargi mocno, by się nie rozpląkać. Strasznie mu żal pozostawiać psa. Biedny Lippo! Biega oszalały wzdłuż brzegu. Wyje wniebogłosy. Dziadek Mattea obiecał go trzymać, ale sam jest na poły przytomny z rozpacz. Pies wyrwał mu się od razu. Ach, czemuż nie pozwolono go wziąć?

...To wszystko przez Mikołaja... Lippo go nie znosił... Ale prawda. Gdzież jest Mikołaj?!

— Gdzie Mikołaj? — woła Robert wychylając się przez burtę.

— Gdzie Mikołaj? — podchwyting setne głosiki. Jakże to? W takiej chwili nie ma Mikołaja? Szukają go gorączkowo.

Szukają i znajdują w kącie portowego składu; wygląda, jakby się tam krył. Opiera się, wrywa. Na próżno. Młodociana ciżba wiedzie go w tryumfie, popycha ku galerom.

— Przecież nie odjedziemy bez ciebie, Mikołaju! Musisz być z nami! Tobie archanioł Gabriel powiedział, którędy iść!

— Puście mnie, puście — błagał Mikołaj. — Już teraz poprowadzą was inni. Traficie... Ja muszę wracać po tamtych.

— Po których?!

— No tych, co zostawiliśmy... Balbinę... Laurentego i inne kaleki...

Stojąca nie opodal Tina wybucha wesołym śmiechem.

— Laurenty i Balbina są już z nami, Mikołaju! Przyjechali na wozie schowani pod płachtą... Już ich wprowadziłam na galerę... Siedzą na pokładzie i strasznie się cieszą...

— Ja nie mogę jechać... Nie mogę — błaga rozpaczliwie Mikołaj, daremnie usiłując wyzwolić się z trzymających go rąk. Trzęsie się cały jak w febrze, jest blady, głos mu się łamie.

— Bez ciebie nie pojedziemy za nic! Tak, naprawdę, za nic!

Przyglądający się dotąd bez słowa ludzie armatora uważają za stosowne wystąpić. Jeden z nich odpycha dzieci, szorstko ujmując Mikołaja za ramię.

— Co za jasełka?! — pyta groźnie. — Wsiadasz na statek, czy czekasz aż cię tam kijem zagonię?

Mikołaj wybucha płaczem i już bez oporu idzie. Dzieci zdumione, zaniepokojone czepiają się jego rąk.

— Co się stało? Dlaczego nie chciałeś jechać? Dlaczego ten człowiek tak niegrzecznie mówi do ciebie?

Pies wyje. Tłum huczy. Dzwony biją. Do portu schodzi sam patriarcha z uroczystą procesją. Błogosławi białą świegotliwą rzeszę. Jest zatroskany. Ojciec święty wyraźnie rozkazał nie dopuścić do odjazdu dzieci, dopóki nie poczyni zaciągów. Ochotników nie ma, trzeba się uciec do wojsk zaciężnych. Ale skarb papieski pusty, przeto zaciągi zbyt rychło nie nastąpią. Tymczasem dzieci musiałyby czekać w Wenecji na utrzymaniu miasta. Tego nikt sobie nie życzył. Co innego dać lniane gieźleczko, a co innego żywić przez pół roku, może dłużej, pięć tysięcy drobnej, ruchliwej szarańczy. Więc doża i świetna Rada skwapliwie poparli zdanie Urbana II i Bernarda opata, wyrażone w cudownym widzeniu zesłanym armatorowi. Niech mali krzyżowcy odpływają jak najprędzej!

Armator Wilhelm Porcus nie ukrywał, że i on, i jego wspólnik odmówią udzielonych szlachetnie statków, jeżeli patriarcha będzie usiłował wyjazd odroczyć. To ostatnie przeważało. Jakież koszta spadłyby wtedy na Rzeczpospolitą! Ogromne koszta. Wymagano by pewnie, żeby je poniósł winien opóźnienia, czyli on, patriarcha...

I bezradny, bezsilny, lękający się z jednej strony papieża, z drugiej Rady, wielki dostojnik duchowny schodzi błogosławić odjazd. To jedyne, co może uczynić. To umycie rąk Piłata.

Już wszystkie dzieci są załadowane. Podnosić kotwy! Skrzypią zardzewiałe łańcuchy. Szum ster. Ciężkie kolebiące się statki czynią pół obrotu. Między brzegiem, między gromadą zrozpaczonych, powstrzymywanych przez strażników portowych, matek a bokiem statku otwiera się ciemnozielony chłodny rów coraz to szerszy i szerszy... Matteo i Beatrycze wybuchają nagłym, przenikliwym płaczem. Nie zdawali sobie dotąd sprawy i teraz nie chcą odjeżdżać! Nie chcą!

— Mamusiu! Mamusiu! Dziadziu! Zawracać! Proszę zawracać! Ten krzyk działa na innych niby otrzeźwienie. Nagle nikt nie chce odjeżdżać.

— Mamo! Mamusiu! Wracajmy!

Lecz darmo płaczą i krzyczą, wyciągają ręce. Na brzegu już ich nie słychać. Wiatr wzdyma żagle. Fale kołaczą o brzegi. Nieprzytomne z żalu, nie rozumiejące, jak mogły zezwolić, dopuścić, kobiety kładą się na zdeptanym piasku wybrzeża, całują odbicia stopek. Z boków galer odzepiają się dębowe wieńce. Roztrącona woda przynosi je do brzegu matkom pod usta, jak na pożegnanie.

— Patrz, patrz, mewy! Jak ich dużo! Jakie śliczne!

— Brzegu już wcale nie widać...

— Phi... Jaki stary ten statek... Samo próchno... Burta ledwo się trzyma...

— Którędy się schodzi pod pokład? Tą dziurą?

— Chodźmy obejrzyć, jak cały okręt wygląda...

— Jaka szkoda, że nie możemy płynąć blisko, blisko, tak żeby z pokładu na pokład rozmawiać... Tamci już nas wyminęli...

— Te głupie bachory płaczą... Chodźmy lepiej pod pokład...

Chłopcy Walter i Robert zbliżają się do otwartej luki, lecz w tejże chwili barczysty marynarz zastawia im drogę.

— Siedzieć tam spokojnie, nie kręcić się! — rzuca rozkazująco.

— My chcemy tylko zobaczyć...

— Tam siedzieć, jazda!

Słowom towarzyszy ruch tak wyrazisty, że chłopcy cofają się bez sprzeciwu. Siadają na pokładzie nadąsani. Cała załoga jest tak dziwnie mrukliwa, niemiła... Ani się do nich odezwąć.

Na brzegu sam patriarcha przyszedł błogosławić małych krzyżowców, a tu byle majtek pozwala sobie im grozić...

Laurenty i Balbina siedząc na zwoju lin nie dbają o to, czy załoga jest uprzejma lub nie. Są szczęśliwi, tak szczęśliwi, że mówić nie mogą. Nareszcie wypoczywają. Nareszcie płyną razem z innymi. O, teraz już są pewni, że ich nie minie uzdrowienie. Pan nasz musi wiedzieć, On, co wszystko wie i widzi, wiele wycierpieli przez długie dni drogi skuleni w kącie wozu, przykryci przez Tinę płachtami. To szczęście, że nikt ich tam nie dojrzał, nie doniósł Mikołajowi ani jego ludziom. Potem udało im się w tłumie prześliznąć na statek. Już ich teraz nie zawrócą.

— Gdybyśmy mieli jeszcze białe sukienki jak wszyscy — wzdycha mała Balbina garbuska.

— Może nam jacy dobrzy ludzie dadzą w Ziemi Świętej? Spójrz, jakie morze niebieskie... Jak droga do nieba...

— O, Laurenty! Patrz! Patrz! Co za dziwny człowiek wychodzi na pokład!

...D z i w n y c z ł o w i e k ... Wszystkie dzieci oglądają się zdumione. Zrywają się ciekawie na nogi, cisną bliżej, by popatrzeć... Kto to jest? Kto to jest?

Ubrany w luźną długą, białą szatę. Długa czarna broda, zakrzywiony nos, małe, bystre oczy. Na głowie wielki, biały zawój muzułmański...

Wychodzi z luki, za nim trzech ludzi. Jeden to szlachetny Wilhelm Porcus, zaszczycony widzeniem papieża Urbana II.

Człowiek w turbanie przygląda się dzieciom uważnie. Armator Porcus klaska w dłoń:

— Rozdzielić się! Żywo! Dziewczyny na prawo, chłopaki na lewo!

Wykonują chętnie rozkaz. Może już ich będą ustawiać w szeregi?

Człowiek w turbanie przechodzi między dwoma rzędami. Gada głośno w niezrozumiałym dla dzieci języku. Jest podniecony. Wygląda, jakby się o coś gniewał. Armator wzrusza ramionami. Odpowiada w tej samej obcej mowie.

— A wy czego siedzicie? Wstać! — zwraca się nagle ze złością do dwojga małych kalek siedzących na zwoju lin.

Zaskoczeni, zdziwieni, powstają. Laurenty ze swą wykręconą suchą nogą, Balbina garbuska. Więc oni także mają stanąć w szeregu? Och, jak to dobrze, jak dobrze!

Lecz człowiek w turbanie wybucha drwiącym śmiechem. Gestykułuje gwałtownie. Armator sinieje ze złości.

— Kto wam tu pozwolił wsiąść? Kto was przyprowadził? Tu tylko zdrowi!

— Jezus nas uzdrowi — zapewnia Balbina z oczami pełnymi łez, drżąc ze strachu.

— Woda was zaraz uzdrowi! Kto pozwolił? Czy więcej jest takich?! Gadajcie!

— Nie... Tylko my...

Tina podbiega przerażona.

— To ja... To ja schowałam ich na wozie... Bo oni chcą też bronić Grobu...

— Więc ty się nimi opiekuj nadal, bo ja czegoś takiego karmić nie będę... Kaleki!

— Piękny towar — zauważa po arabsku muzułmanin z przekąsem.

— To tylko tych dwoje! Oni się nie liczą! To ponad liczbę! Nic o nich nie wiedziałem!

Reszta — patrzcie sami! — Doskakuje do dziewczynek. Nim się mała Beatrycze, stojąca z brzegu, spostrzegła, zdziera z niej lnianą szatkę, obraca naga, klepie po łopatkach, podnosi brodę, uderza w kolana.

— Mamusiu! Mamusiu! — krzyczy mała przeraźliwie.

— Milcz! Stój spokojnie! To jest towar, co? Wszystkie takie... Chodź no, ty!

Wyciąga rękę ku Tinie, która stoi nieporuszona, oniemiała, przyciskając oburącz sukienkę do piersi. A Beatrycze tak straszliwie szlocha!

— Pójdź tu, słyszysz?! — W dłoni miga krótki rzemienny bat. Muzułmanin mówi coś uspokajająco. Porcus opuszcza rękę. Przechodzi do chłopców. Każe im zdzierać koszule. Ogląda piersi, plecy, oczy, zęby, nogi. Obklepuje, ustawia jak konie. Zachwala, cmoka. Muzułmanin szydzi. Sam ujmuje szczupłe, dziecinne ramionka, stuka w piersi, odchyła powieki. Dzieci stoją oniemiałe z przerażenia. Co to znaczy?! Co to znaczy! Beatrycze, skulona na ziemi, nie przestaje szlochać.

— Mamusiu! Mamusiu! Mamusiu!

— Ej, cicho tam!

Bat znów wyziera z kieszeni. Nareszcie obaj straszni ludzie odchodzą w przeciwny koniec pokładu. Tam zaczynają się kłócić. Wrzeszczą, skaczą sobie do oczu. Rachują coś i znów krzyczą. Posyłają trzeciego, milczącego dotychczas towarzysza pod pokład, aby kogoś przyprowadził. Wraca po chwili z Mikołajem.

Porywają się dzieci na nogi:

— Mikołaju! Mikołaju! Co się dzieje?! Gdzie archanioł Gabriel? Co to za ludzie? Oni chcą bić! Oni krzyczą! Mikołaju!

Skulony we dwoje, obejmujący głowę rękami Mikołaj nie słyszy, nie odpowiada, nie patrzy w ich stronę. Zdaża ku rozmawiającym. Więc Robert, Tina i Beppo puszczają się za nim.

— Mikołaju! Czy nie słyszysz? Dlaczego nic nie mówisz?! Co to znaczy?

— Precz! Precz!

Ze świstem krótki rzemienny bat spada na ich szyje, barki.

— Precz! — krzyczy armator. — Stać na miejscu, dopóki nie pozwolę się ruszać! Kto nie usłucha, długo popamięta...

— O Boże, Boże! Mamusiu! Mamusiu!

...Jakie to straszne być małym i nic nie rozumieć! Czego od nich chcą? Co to znaczy?

...Lniane szatki, różgi kwietne... Wianki... błogosławieństwa... dary tłumu... moc Boża, co miała czuwać nad nimi... płaczące matki... patriarcha... procesja... gloria sławy... archanioł Gabriel... Gdzież się to wszystko podziało?!

— Co to znaczy?! Tino! Tino!

— Ja nie wiem... Ja nie wiem — szepce Tina blada jak płótno. — Ale nie płaczcie, bo znów będą bili...

— A ja wiem! — krzyczy Robert. — Ja wiem! Oni nas... sprzedali!

— Jak to sprzedali?! Komu?! Na co?!

Lecz chłopak nie mówi nic więcej. Pograża się w zaciętym milczeniu. Coś waży w myślach. Reszta patrzy na niego z przerażeniem. Sprzedali?! Poganie podobno kupują dzieci... Ten człowiek w turbanie to pewnie poganin.

— Mamusiu! Mamusiu! Mamusiu!

O, jak straszno być małym i bezbronnym, i bezradnym! Takim małym i słabym jak pisklę! Jeszcze niedawno dzieci były szczęśliwe, bezpieczne, wsparte o Najwyższą Moc, nic im nie mogło grozić, wszystko śpieszyło się na ich usługi, a teraz... Ci wszyscy ludzie, co się cisnęli na wybrzeżu, by żegnać małych krzyżowców, czemu nie popłynęli razem z nimi! Czemu opuszczono ich samych na statku, na którym ukryci siedzieli człowiek w turbanie i człowiek z batem w kieszeni? Dlaczego tu nie ma nikogo, co by dzieci ochronił? Dlaczego nie słyszy ich i nie widzi Mikołaj?

...Sprzedani ...sprzedani. W pełni dzieciństwa, w beztrosce młodości poznają niby w przeraźliwym skrócie całą niegodziwość ludzką, wszystką podłość i fałsz, do jakich świat jest

zdolny. Uginają się pod tym ciężarem do ziemi. Nie chcą żyć, nie chcą już niczego znać. Płaczą wielkimi, gorzkimi łzami. Darmo przyzywają matek...

...Matki... Stoją może dotąd w porcie zrozpaczone, patrząc na wodę, po której odeszło ich ukochanie. Ich nadzieja i miłość, ich radość największa, pod sercem wyhodowana, w żywocie noszona, piersią pojoną, w ramionach wykołyszana... Klęczą dotąd może na piasku, całując ślady małych stóp i wyciągając ręce ku oddali... Może im się zdaje, że postrzegają jeszcze bielejące zagłę... I nie domyślają się nic... nic...

— Mamusiu Mamusiu! Mamusiu!

Bezwiednie powtarzając to jedyne słowo, dzieci same nie wiedzą, czy przyzywają pomocy Matki Najświętszej, czy jednej z matek pozostawionych na brzegu. Skulone i przerażone, nie rozumiejąc nic, nic, szukają jakiejś opieki, pomocy... Dłoni, co by je wyratowała... Nie śmia się ruszyć, bo człowiek z batem może znowu nadejść. I tylko to jedno słowo:

— Mamusiu! Mamusiu! Mamusiu!

Dwaj marynarze o twarzach zbójeckich przynoszą w cebrzykach strawę. Jest obrzydliwa, ale niektóre dzieci jedzą, bo są głodne. Tina kiwa bohatercko głową na Laurentego i Balbinę.

— O, nie — odpowiada garbuska z płaczem — on przecież powiedział, że nam nie wolno jeść...

— Jedzcie za mnie... Nie jestem głodna. — I Tina odwraca pobladłą, postarzałą twarzyczkę, by nie widziano, że płacze.

— Matka miała słuszość — rozważa Beppo z pełnymi ustami. — Szkoda, że nie połamala kości Mikołajowi, jak zapowiadała. Oszukał nas. Teraz się kryje jak gad... A tamten drugi, co z nim chodził, Jan, ciekawym, czy także jest tutaj...

— Nie, on siadł na drugi statek...

...Prawda... Wszak płynie pięć galer... Może na tamtych nie ukryli się poganie? Może tamte statki płyną szczęśliwie jak pierwej pod kierownictwem archanioła Gabriela? Może nic nie wiedzą o nieszczęściu, jakie spotkało ich towarzyszy? Może by im dać jakiś znak?

— Ale jaki? I czy to możliwe. Tino?

Tina zagryza usta.

— Myślę — mówi z wysiłkiem — że tam też...

(Bo poznała, iż człowiek z batem jest tym samym, któremu patriarcha dziękował uroczyście na placu za wspaniałomyślne przewiezienie dzieci...)

Mrok nadchodzi, noc zapada. Nikt się o dzieci nie troszczy, nikt ich nie układa do snu, nie daje pościeli. Śpią jak zwierzątka, gdzie które przysiadło. Wzdychają ciężko przez sen. Gdy noc minie, mętne światło dnia obielei zwiędłe kwiaty, zbrukane przez zetknięcie z deskami pokładu szatki, zestrachane twarzyczki i splakane oczy. To już nie radosna rzesza ofiarników, nie wojsko małych krzyżowców, bohaterskich dzieci Bożych, lecz niewolnicy, na nędzę, na poniewierkę zaprzędani niewolnicy.

Jeszcze słońce nie wzbiło się wyżej, nie utraciło czerwieni (zbyt krwawo wstało dziś słońce, złowroźnie krwawo), gdy na okręcie wybucha gwar. Załoga biega tam i sam jak kołowata. Łódź ratunkowa zginęła! Ktoś odczepił ją w nocy, spuścił na wodę i odpłynął...

Porcus się wścieka. Wymachuje znowu batem.

— Ile was jest?! — ryczy na dzieci. — Porachować się! Porachować! — Popycha je, potrąca, ustawia znów w szereg. Malcy zaspani trą oczy piąstkami i znów zaczynają płakać.

— Ilu was jest? Czy wszyscy?!

Liczy gorączkowo. Do pioruna! Dwóch brakuje! Brakuje z cyfry ustalonej wczoraj z Mohamedem Ali po długich, mozolnych targach! Okradziono go!

— Których nie ma?! Których?! Mówcie natychmiast, bo skórę z was zedrę!

— Zdaje mi się... Zdaje mi się — bełkocze przerażona Tina — że Waltera i Roberta. Tych dużych...

Porcus obraca się ku swoim ludziom.

— Nuże, bydlaki! Śpiochy! Gapy! Łodzie na wodę i gonić! A wy pod pokład! Pod pokład!

Pędzi dzieci przed sobą ku luce, klnąc dalej i licząc głośno. Tymczasem na pokładzie nowy krzyk. Pozostałe łodzie są przedziurawione. Zbiegowie zabezpieczyli się chytrze przed pogonią.

— Trzeba przyznać, że nie mieli trudnego zadania — cedzi drwiąco Mohamed Ali, który właśnie wyszedł na pokład i stuka laską w zmurszałe deski szalup.

— Przeklęte smarkacze... Martwię się zresztą tylko z uwagi na was, Mohamedzie, bo towar stanowi już waszą własność odebraną wczoraj.

— Jak nieużyteczną jest ta mowa! Sami wiecie, że towar będzie moim dopiero, gdy go odstawicie do portu. Na razie straty nic mnie nie obchodzą...

— Ani mnie też! — wrzeszczy Porcus. — Ale naprawiajcie żywo łodzie! Jeszcze ich dogonim!

Milczący dotychczas kapitan galery o chmurnej, zamkniętej twarzy zabiera głos:

— Łodzie wnet naprawimy, Porcusie, ale nie poślę ich nigdzie. Chłopcy zginą i tak. Łodzie będą potrzebne nam.

Ruchem ręki wskazuje poszarzałe niebo. Porcus spogląda za nim i spluwa do morza z rozmachem.

— Burza idzie, co?

— I jaka jeszcze! Niech nas wszyscy święci bronią!

— Zdażymy przed nią uciec?

— Tak, jeśli zawrócimy natychmiast na północ...

— Do kroćset! Sam wiesz, że to niemożliwe. Na północ?! Z powrotem? W ręce papieża?! Oszalałeś, Benito! Musimy trzymać ten sam kierunek, co dotąd...

— Do tego trzeba innych galer. Wziąłeś te gruchoty, by więcej zarobić. Próchno, którego nie żal zatopić pozorując nieszczęście, za które obiecano ci zapłacić...

— Łżesz! Statki są jeszcze dobre, a w ogóle nie wiadomo, czy burza będzie.

— Proś swego kumotra, diabła, żeby jej nie było... Może się jeszcze nie stęsknił za tobą.

Na dole, w ciasnej, bezokiennej przestrzeni jest ciemno, duszno, gorąco. Cuchną jakieś zepsute zapasy. I pełno szcurów. Wielkie, chybkie, przebiegają po nogach, nie boją się wcale. Za to dzieci krzyczą ze strachu i wstrętu. Tłoczą się przerażone. Łkają z sierocej rozpacz.

Nie wiedzą już, wiele godzin siedzą tutaj. Straciły rachubę czasu. Są znowu ogromnie głodne, a nikt im jadła nie przynosi. Na zewnątrz musi się dziać coś strasznego, co sprawia, że zapomniano o nich, bo cały okręt przewala się z boku na bok, trzeszczy, wspina się do góry, to zapada kędyś w głąb. Słysząc nieustanny huk. Dzieci, szcury pospołu rzucają się niby piłki. Zda im się chwilami, że leżą na podłodze, to znów podłoga staje się pułapem. Obijają się boleśnie o ściany. Padają w ciemności z głuchym stukotem martwych przedmiotów. Umęczone główki kołaczą bezwładnie. Zbielałe usteczka szepczą swą ewangelię dzieciństwa:

— Mamusiu! Mamusiu! Mamusiu!

— A gdzie jest Jezus? — pyta nagle w ciemności czyjś głosik, jakby zdumiony.

— Gdzie jest Jezus? — podchwytną inne. — Gdzie jest Jezus? — Ludzie mogli zdradzić, okłamać biedne dzieci, ale Jezus tego nie zrobił na pewno. On musi przyjść! On musi je wyratować!

— Prośmy Jezusa! — woła Tina. — Prośmy!

I wśród ryku fal, trzasku wałących się na pokładzie masztów, krzyczą rozpaczliwym chórem:

— Jezu! Dobry Jezu! Zabierz nas od tych złych ludzi!

— Daj nam wrócić do mamusi!

— Nie pozwól, żeby nas bili!

— Aj, aj, woda się tu leje, woda!

— Ja już mam jej po kolana!

— Uciekajmy! Uciekajmy!

Z siłą rozpacz wywierają drzwi. Na schodkach już pełno wody. Woda leje się z góry, podchodzi z dołu. I huk taki, że nawet krzycząc nie słyszą się wzajemnie. I na dworze prawie czarno, i morze, morze wzdęte, straszne, jest wysoko nad głowami! Rzeczywiście nad głowami! Patrząc w górę, widzą czuby ugrzywione pianą...

Czepiając się poręczy, szamocąc z wichrem i wodą, silniejsi wychodzą, a raczej czołgają się na pokład. Mniejsi już zostali w dole, woda ich zalewa... Tylko te starsze... Nikt na nie nie zwraca uwagi. Nikt już o nie nie dba. Niech ginie towar, skoro kupujący i sprzedawca idą na dno wraz z okrętem! Wilhelm Porcus, człowiek z batem, trzyma się kurczowo resztek zrąbanego masztu. Twarz wykrzywia mu trwoga tak straszna, że dzieciom otucha wstępuje do serc. Źli ludzie się boją — Jezus snadź gniewa się na nich!

Tina wyciąga rękę przed siebie.

— Patrzcie, patrzcie na ten obłok! — woła usiłując przekrzyczeć fale. — To Jezus idzie ukarać złych ludzi!

I na wpół żywe z umęczenia, grozy, patrzą z rosnącą nadzieją na granatowosiny słup w kształcie olbrzymiego leja, sięgający od wody do chmur, zbliżający się coraz to szybciej ku tonącemu statkowi...

Robert i Walter robili dzielnie wiosłami całą noc aż do świtania. Wiatr im sprzyjał. Dał z południa i pędził ku ojczystym brzegom. Lecz rano ich siły się wyczerpały. Gdy burza chwyciła łódź w swoje obroty, byli wprawdzie blisko brzegu, lecz niezdolni utrzymać wiosła w obolałej

dłoni. Orkan, który zatopił cztery galery wiozące małych krzyżowców, nie bawił się długo z lichą łupiną i dwoma nie znającymi morza chłopcami. Walter poszedł od razu na dno. Robert, doskonały pływak, walczył długo o swe życie. Dawał się nieść bezwładnie falom, aż silne uderzenie pozbawiło go przytomności. Gdy po wielu godzinach otworzył oczy, leżał na brzegu. Morze już było spokojne. Słońce świeciło jasno, rażąc boleśnie zaczerwienione od morskiej wody powieki. Ciepły, mokry jęzor zlizywał sól z twarzy, czarny nos węszył i trącał pieczołowicie. Lippo! Dobry Lippo! Widząc, że pan jego się porusza, ujadął z radości. Robert leżał długo. Nareszcie wstał i z psem u boku, chwiejąc się na nogach i zataczając, ruszył szukać ludzi. Był niesłychanie głodny i znużony. Jeść! Jeść! Lecz wraz ze świadomością wróciła pamięć zdarzenia, a z nią zaciekły gniew i żal. Zapragnął co szybciej spotkać żywego człowieka, nie tylko, by otrzymać pożywienie, lecz udzielić wiadomości o podstępie armatorów. Niech wszyscy wiedzą, w czyje ręce oddano dzieci! Niech pośpieszą na pomoc!

Wlókł się wybrzeżem, sam nie wiedząc, dokąd idzie i czy w należyтым kierunku. Zrywał po drodze zielone jeszcze, mdłe figi, garnął ku sobie kłosa nie dojrzałego zboża usiłując oszukać nimi targający głód. Opierał się ręką na grzbiecie psa. Nagle stanęli obaj. Naprzeciw, równie chwiejnie i niepewnie, szła kobieta. Ubiór zdradzał jej szlachetne pochodzenie, choć był zniszczony i zbrukany. Głowę miała spuszczoną. Wysokie upięcie, właściwe żonom nobilów, kiwało się na wszystkie strony, a spływający zeń długi biały kwef był wymięty i stargany, jak gdyby niewiasta całą poprzednią noc burzy spędziła na dworze. Czterech zbrojnych postępowało o kilkanaście kroków za nią z minami zrezygnowanymi.

Robert poznał idącą. Tyle razy ludzie Mikołaja lub armatorów usuwali z szacunkiem, lecz nieustępliwie panią Anielę de Trevi, matkę małej Beatrycze, z dziecińskiego obozu, że zapamiętał ją dobrze. To ona była, ta przygarbiona kobieta o nieprzytomnym spojrzeniu! Błąkała się od chwili odjazdu dzieci po brzegu, głucha na wszelkie prośby i przedkładania, myśląc tylko o swej dziecinie wydanej złemu morzu.

— Pani! Pani! — zawołał Robert padając jej do stóp. Nie poznała go, nie zrozumiała. Cofnęła się przerażona.

— Pani! Ja byłem także na okręcie... Uciekłem... Beatrycze i my wszyscy... sprzedani!

— Gdzie Beatrycze?! — zakrzyknęła dziko, chwytając go kurczowo za ramię.

— Sprzedani... wszyscy... Na statku poganie... Chcieli nas bić... Z Beatrycze zdarli szatkę... Wenecjanie oszukali i...

Nie skończył, bo z przeraźliwym krzykiem upadła na ziemię zemdlona. Pośpiesznie, jakby z ulgą, giermkowie podeszli i dźwignęli ją.

— Ty chodź z nami do patriarchy — rzekli do Roberta. — Zdasz tam sprawę z tego, coś tu gadał...

— Dajcie mi wprzód coś zjeść — błagał chłopiec.

— Skąd weźmiemy? My sami od wczoraj na czczo... Pani ze wszystkim oszalała... No, dalej!

Ponieśli zemdloną. Robert z psem włókł się za nimi. Na szczęście zatrzymali pierwszego napotkanego woźnicę, każąc wieźć całe grono do pałacu Jego Dostojności patriarchy Sanuti. Gdy domagał się zapłaty z góry, podsunęli mu pod nos pięść w żelaznej rękawicy. Był to argument trudny do odparcia. A tak patriarcha był pierwszym, który dowiedział się o popełnionej przez armatorów Porcus & Ferreus zbrodni.

Ogłuszony wiadomością, siedział jak zmartwiały, czując pałacy rumieniec wstydu, który mu z wolna pokrywał zapadłe policzki. Z tymi płonącymi jagodami słuchał bezładnego opowiadania chłopca. Chwilami przecierał oczy.

— Nie, to niemożliwe! To chyba sen?! Dziecko moje, czy się nie mylisz?

— Na niewinną mękę Pana naszego — zapewniał Robert — nie myślę się! Człowiek w turbanie wyszedł spod pokładu. Bili nas i ustawili rzędem. Zdarli ubranie. Obmacywali, oglądali jak bydło... Klócili się i targowali...

— Boże, Boże miłosierny!

Patriarcha zasłaniał oczy, a rad by zatkał też uszy. Kto winien? Kto winien? On!

...Ojciec święty snadź przeczuwał... Rozkazał zatrzymać dzieci...

Siedział bez ruchu, znękany.

— Ślijcie żywo do Miłościwego Doży! — zawołał do sekretarza. — Niech raczy tu przyjść! Chłopca nakarmić, przyodziać i strzec, by na miasto nie wyszedł i przedwczesnego rumoru nie czynił...

Sekretarz Lorenz pobiegł, a patriarcha siedział nadal, obejmując oburącz skołataną głowę. Boże, Boże miłosierny! Miasto i tak drży o los dzieci z powodu nieoczekiwanej straszliwej burzy, jaka przeszła nocą; matki, które nie rozeszły się jeszcze do domów, tkwią w porcie, pytając nieustannie powracających żeglarzy. I zawodzą, że nikt nic nie wie. Co będzie, gdy posłyszają o prawdzie gorszej od burzy? Co się stanie? Tłum rozwścieczony może wywołać rozruchy...

Piotr Zano, miłościwie z Bożej łaski panujący doża Wenecji, Dalmacji, Kroacji, połowy Konstantynopola i ziem zdobytych przez Latyńców na cesarstwie, był człowiekiem dosyć miernym. Stary Henryk Dandolo, chciwy starzec, zdobywca Bizancjum, już nie żył, pochowany na miejscu swego zwycięstwa w Bazylice Świętej Zofii. Następca jego nie dorównywał mu ni rozumem, ni odwagą. Posłyszana wiadomość przeraziła go i oszołomiła. Zwalił się ciężko na krzesło naprzeciw patriarchy.

— Co mamy... co mamy uczynić? — wybąkał.

Patriarcha już się zdążył opanować.

— Pościg wysłać — rzekł. — A do czasu nikomu wieści nie rozgłaszać. Kto wie, czy niebożątka i tak nie potonęły, więc po co próżnej goryczy rodzicom dodawać? Jeżeli dognamy, ukarzymy winnych. Niech Bóg nas sędzi!

— Nie rozgłaszać, nie rozgłaszać! — przywodził Piotr Zano. — Cóż by mówiono po świecie? Przez dwóch łotrów hańba spadłaby na cały naród!

— Co to za gwar? — przerywa patriarcha.

Podchodzą do okna. O nieba! Wiadomość, którą pragnęli ukryć, już się widno przedostała, bo tłum olbrzymi wali tutaj. Ludzie biegną chodnikami, płyną kanałami. Woda pluszcze, wiosła trzeszczą, boki łodzi ocierają się o siebie, plac już nabity głowami jak brukiem.

Huk głosów.

— Co się stało z dziećmi?! Gdzie dzieci? Sprzedaliście je poganom?!...

— Gdzie dzieci?!

— Hej! Odpowiadać tam! Który z was, łotry, je sprzedał?

— Wzięliście pieniądze za nasze dzieci?!

Tłum huczy, mrowi się, roi, patriarcha i doża spoglądają na siebie zagryzając usta.

— Chodźmy przemówić do nich.

Wychodzą obaj na rzeźbiony ganek zwieszony nad placem jak jaskółcze gniazdo. Na ich widok wrzawa rośnie.

— Ohe! Ohe! Herody! Oddajcie nam nasze dzieci!

— Dzieci! Dzieci!...

— Ucisze się, chrześcijanie — woła donośnie patriarcha. Głos ma mocny, twarz kamienną, choć w duszy czuje się głęboko winien. — Przestańcie rozpaczać i miotać bezmyślne obelgi! Wiadomość o nieszczęściu nie jest pewna. Półprzytomny ze strachu chłopczyzna, cudem z burzy

ocalony, przyplłynął i opowiada rzeczy niestworzone. Nie wiemy, zali mu wierzyć. Nie strachajcie się na próżno! Wprawdzie o złego człowieka nietrudno, szatan sieje kłókol wszędzie, ale podobna zbrodnia przechodzi ludzkie pojęcie... Jego Wysokość Miłościwy Doża wysyła pogoń za dziećmi. Jeżeli Opatrzność Boża zachowała młodzianków od burzy, dogoni ich i zatrzyma zdrajców. Łotry będą przykładowie ukarane, dzieci ocalone...

— Ocalić dzieci! — ryczy tłum. Szloch matek wynoszą się ponad inne głosy.

Pietro Zano wysuwa się przed patriarchę.

— Rozkazy już wydane! — potwierdza donośnie. — Cztery co najściślejsze galery ruszają. Obsada wioślarzy zwiększona. Będą pracować bez przerwy wszystkimi wiosłami. Dognają niechybnie. Idźcie do portu przypilnować rychłego ich odjazdu...

Przekonana połowa tłumy odpływa w stronę wybrzeża. Reszta wsiąka w kościoły. Plac zalega z wolna cisza.

Obaj dostojnicy wracają z ulgą do komnat.

— Kto rozgadał? Mówiłem, żeby chłopca nie wypuszczać! — rzuca się gniewnie patriarcha.

— Chłopca nie wypuściłim — zapewnia sekretarz. — Najadł się i śpi jak zabity. To pewnie pani de Trevi...

— Trzeba było i ją zatrzymać!

— Nie było rozkazu, sami nie śmielim!

— Przekłete draby — mruczy doża. — Jużci myślę o Porcusie i jego kompanie... Wiedziałem z dawna, że szubienicy warcą, ale nie sądziłem, że do tego stopnia... Co prawda gorliwość ich wydała mi się zrazu podejrzana...

— Czemuż Wasza Wysokość nie ostrzegł? — pyta patriarcha Sanuti z wyrzutem.

Doża krzywi się wzgardliwie.

— A czemuż Wasza Dostojność przystał na odjazd dzieci mimo zakazu Jego Świątobliwości?!

Patriarcha milknie. Istotnie, jeden nie ma prawa nic wyrzucać drugiemu. Są obaj winni. Stali się współnikami zbrodniarzy. Boże, bądź miłościw!

— Czy jest nadzieja, że ich dognają? — podejmuje nieśmiało.

Pietro Zano wzrusza ramionami. Złoty łańcuch podzwania cicho na piersiach.

— Nie ma najmniejszej nadziei — wyznaje. — Przede wszystkim jestem pewien, że okręty zatoneły. Toż takiej nawałnicy nie widziano od dziesięciu lat! Mało który statek zdoła

przetrzymać podobną wichurę! A Porcus wziął pono najstarsze swoje galery. Gałgan przeliczył się. Sądził, że pogoda dotrzyma do końca kwadry, jak to zwykle bywa... Przypuśćmy zaś, że nie zatonał, to też ich nie dogonimy. Wiemy to, dokąd popłynęli? Może już są w Tunisie?

— Boże, Boże, więc pościg jest właściwie bezcelowy?

— Zupełnie bezcelowy, jeno konieczny dla uspokojenia hołoty... Inaczej mogliby roznieść ten pałac... Ej, Wasza Dostojność! Baty nam dać, żeśmy tak pokpili sprawę...

— Święty Marku! Baty to mało... Czuję, że zostanę potępiony... potępiony na wieczność.

— Wasza Dostojność znów o tamtym? Ja myślę teraz o tej babie, której pozwoliliśmy iść na gród i krzyczeć wszem wobec... Należało ją i chłopca zamknąć, wywieźć i nikomu o całej tej sprawie ani mru... mru...

— Jak to?! — zakrzyknął patriarcha szczerze oburzony. — Wasza Wysokość chciałbyś puścić podobną zbrodnię płazem?!

— Kiedyż powtarzam, że i tak nic nie poradzimy. Dzieci zginęły na pewno. A hańba do nas przylgnie... I za sto lat będą to wypominać Wenecjanom... Rozejdzie się ta wiadomość po całym świecie jak zaraza...

Rozdział dwunasty

Brat Pacyfik

Rozeszła się istotnie. Z chyżością właściwą złym nowinom gadka o sprzedaniu dzieci niewinnych w niewolę obiega sioła, miasteczka, grody, kasztele. Wszędzie wywołuje zgrozę. Ludzie, co tak niedawno żegnali procesjonalnie odchodzące dzieci, stoją osłupiali, potem rozwścieczeni. Wspominają owe baranki Boże z takim radosnym uśmiechem idące, z taką ufnością, i na myśl, że znaleźli się łotrzy, co nadużyli ich wiary, oddali w ręce pogan, najspokojniejsi zgrzytają zębami. Biada, biada! Chyba świat ginie, skoro podobne rzeczy są możliwe? Chyba doszedł kresu złego, chyba nie ma większej różnicy między nim a piekłem niż między podkową żrebca a podkową klaczy?! Chyba Bóg wyrzekł się ziemi, oddał ją diabłu w arendę?!

Cała Italia, południowe Niemcy, kawałek Francji tknięte są żałobą. Nie masz osady, gdzie by nie oplakiwano dzieci, gdzie by nie szlochały matki. Matki. One przeczuwały, one broniły do ostatka, one nie chciały! Teraz zawodzą i wyrzucają mężom małoduszność, lenistwo,

tchórzostwo. Wytykają im zgubę dzieci, plują w oczy, pędzą z łoża, żądają by szli ratować. Wprawdzie morze wyrzuciło kilkaset martwych ciałek na wyspę Świętego Piotra, wyrzuciło szczątki statków, ale któż z tych desek, tych drzazg zgadnie, z ilu galer pochodzą? Statków było pięć, może zatонуły dwa, trzy!... Może reszta dzieci żyje i czeka ratunku? Więc do Ziemi Świętej wszyscy! Na pogan! Na pogan!

I czego nie dokonały poprzednie wezwania papieża, spełnia się teraz nagle, żywiłowo. Ludzie się zbroją, zbierają. Jednych popycha żałość, drugich wstyd. Że tu, w sercu społeczności chrześcijańskiej, pogany przekłete wyciągnęły rękę po dzieci, jest ciosem dostatecznym, by obudzić najospalszych. Nie zginęłyby dzieciątka, gdyby zgodnie z wołaniem papieża poszli z nimi starsi! Padły ofiarą lenistwa dorosłych! I pośpiesznie zbroją się poczty, sypią ofiary, ściągają zewsząd ludzie. Kobiety ich zagrzewają. Na miłosierdzie Boskie, prędzej! Prędzej! Niech Ojciec święty naznaczy im wodza! Niech rusza piąta, potężna krucjata!

Spółeczność ludzka jest niby kula tocząca się po pochyłej równi. Aby ją pchnąć, aby z miejsca ruszyć, nadać kierunek — już się toczy, już się sama zagrzewa, już rośnie jak lawina, pociąga wszystko po drodze. Jeszcze dwa miesiące temu patrzono niby na szaleńca na każdego, co by chciał iść do Ziemi Świętej. Obecnie odwracają się wzgardliwie jak od tchórze od takiego, co nie idzie. Zgłaszają gotowość pochodu do Ziemi Świętej baroni francuscy, włoscy, nawet angielscy. De Sussex, Arundel, Wilhelm de St. Omer, Savary de Mauleon, Enguerrand de Boves, Szymon de Joinville, Walter de Nemours, Albert de Castel Gualteria... Każdy z silnym wojskiem. Pomścić hańbę! Pokazać poganom, że wara sięgać po chrześcijańskie nasienie!

Wilhelm Divini powracał z Szampanii i nie mógł się połapać w tej zmianie. Jak wszystkich, doszła go na dworze w Troyes wiadomość o krucjacie dzieci i przeokropnym jej końcu. Przejął się nią szczerze i zamierzał ułożyć odpowiednią pieśń. Byłaby w miarę poważna i czuła, zdolna poruszyć każdego. Melodię miał już w głowie gotową, ze słowami wstrzymywał się do chwili powrotu. Niewątpliwie rodacy udzielią mu wielu cennych, nie znanych szczegółów, które treść urozmaicą.

Nie mógłby więc nikt zarzucić, że król trubadurów nie przejął się należycie zgubą pięciu tysięcy niewiniątek. Ale co innego układać pieśń, a co innego porywać za miecz. Divini patrzył z niekłamanym przerażeniem na to, co się działo. Ludzi, o których wiedział, że z dawna oddali szyszaki na gniazda dla kwok, spotykał teraz na gościńcu w pełnym uzbrojeniu, srożących się jak król Ryszard. Liczba ich wciąż się zwiększała. W Rzymie na Lateranie zasiadał specjalnie zwołany sobór i mówiono, że Ojciec święty chce sam osobiście stanąć na czele krucjaty! Niesłychane! Ten nagły zapal wojenny zaczynał poetę drażnić.

— Wygadywałeś na tych, co się pchają do Ziemi Świętej, a teraz sam idziesz? — zagadnął z przekąsem napotkanego znajomka, pana de San Marino.

Rycerz zamyślił się, nim odpowiedział.

— Wygadywałem, zgoda. Ale te dzieci! O tym nie można zapomnieć...

— Przecie nie z twojej winy poszły i przepadły!

— Mniejsza czy z mojej, czy z cudzej. Takie potworne łajdactwo musi się zatrzeć czymś wielkim... Inaczej nie chciałoby się żyć, nie chciałoby się nosić nazwy chrześcijanina... Boć i tamte łotry były chrzczone... Rozumiesz?

— Rozumiem — przyznał z większą uprzejmością niż przekonaniem Divini. — Rozumiem i za parę niedziel sam także ruszam.

Nie dodał, że w zgola innych zamiarach i że grożąca wojna zmniejsza znacznie jego ochotę wyjazdu.

Wlókł się ospale od popasu do popasu, trochę kwaśny, że złoty laur na czapce nie robił tego wrażenia, co dawniej. Krzyż na ramieniu, oto było hasło dnia. Na honor! Czyżby wróciły czasy Godfrydowe?! Wędrowni żonglerzy śpiewali nowe pieśni, których nie słyszał przed wyjazdem. Przeważnie miały za temat dziecinną krucjatę. Dziady przydrożne wyciągały na postojach powieść o Ojcu świętym i morzu.

...Kazał się Ojciec święty nieść w majestacie Piotrowym na brzeg i groził morzu, i prosił, aby mu wróciło dzieci... I wołał: O, morze niewierne! Zali przestałoś już być chrześcijańskie!?

A morze leżało martwe jak uśpione, gładkie jak zastygła lawa. Więc Ojciec święty modlił się długo i znowu wołał ku falom: Nie chcesz odpowiedzieć, morze! Zali się czujesz niewinne? Iście ocaliłoś dzieciątka od hańby... Przekazałoś je lekko w objęcia anielskie. Powinienem ci może dziękować, przebaczyć? Zaprawdę, masz słusność. Nie gniewam się już na ciebie. Przebaczam tobie, nie przebaczam ludziom. I Bóg nie może im przebaczyć. Nie chcę, aby im przebaczył. Nie otrzymają nigdy przebaczenia. Ale ty, morze darowane, rozgrzeszone, posłuchaj mnie, oddaj mi ciała dzieciątek!...

I na te słowa morze zaszumiało, jakby powiał nagły wiatr, spieniło się, przypadło pod stopy następcy Rybaka, a teźże samej nocy wyrzuciło kilkaset potopionych ciał na wysepkę Piotrową, u cypla zwanego Skałą Samotnika, gdzie ninie budują świątynię Młodzianków...

Tak prawiły dziady. Divini zbierał skrzętnie te powieści. Przydadzą się do zamierzonej pieśni. Nie poprawiło to jednak jego nastroju. Nie opodał Rovigo napotkał obłąkaną panią de Trevi. Niezdolna usiedzieć na miejscu, jeździła na mule po całym kraju pod opieką dodanych przez zrozpaczonego męża ludzi i duegny. Każdemu spotkanemu opowiadała o Beatrycze i

błagała, aby szedł dzieci ratować. Divini, który poprzedniego roku widywał ją jako młodą, piękną kobietę, patrzył z przykrością na jej chudą, zmienioną twarz, drgające spazmatycznie usta i błędne oczy, ona zaś szeptała przejmująco:

— Gieźleczko z niej zdarli i chcieli bić... Moją córuchnę... Macali jak bydłę pokupne... moją Beatrycze... Oddałam ją archaniołowi Gabrielowi w opiekę, a to nie był archanioł, tylko diabeł... Nie słyszeliście o tym? o tym? Diabeł wyłudził od nas dzieci. Idźcie z nim walczyć! Idźcie ratować dzieci i nas, i siebie!

— Uczynię to niewątpliwie, szlachetna pani — zapewnił dwornie i odjechał. Mimo wysiłków nie mógł zapomnieć widoku jej biednej twarzy i żalosnego brzmienia głosu. „Idźcie walczyć z diabłem!” Co prawda nigdy się dotąd nad potrzebą tej walki nie zastanawiał.

W niewesołym usposobieniu śpiewak zatrzymał się na noc w gospodzie. Jak w ulubionej jego kanconie, słodkie grona obciążały przydrożne winnice. Powietrze zdawało się aż lepkie od silnych, dostałych zapachów. Owoce i zioła, i samo kończące się lato grały woniami. W izbie natomiast było duszno, cuchnął ser owczy. Divini otworzył okno na oścież i wychylony, wsparty kolanami o ławę, trwał nieporuszony aż do zupełnego zmroku. Posiadał umysł wrażliwy na piękno, a wieczór był tak piękny! Niby na powitanie nocy, z ogrodów wznosiły się coraz silniejsze, coraz bardziej odurzające smugi zielonych i kwiatnych oddechów. Nietoperze przelatywały szybko, szybko, cicho, cicho... W gąszczu nawoływały się jakieś nocne ptaki. Nisko w trawie pod drzewami odzywały się stłumione, przecie w ciszy wyraźne, młode głosy ludzkie i śmiechy. To pacholek trubadura, Sylwio, oczywiście z dziewczyną! W taką noc... Nic dziwnego. Divini uśmiechał się pobłaźliwie, choć z melancholią. Nagle posłyszał, że o nim mówią, i nadstawił uszu.

— Co to nosi na czapce twój pan? — pytała dziewczyna.

— Wawrzyn — objaśnił Sylwio nie bez dumy. — Sam Ojciec święty mu to dał, że niby jest królem...

— Hi, hi... Królem od czego?

— Od śpiewania.

— Stary dziad i jeszcze śpiewa! Pewnie siwy pod tą czapką?

— A nie.

— Ciemny? — pytała z niedowierzaniem.

— Też nie.

— Więc jakież?

— Był jeden człowiek — zaczął sentencjonalnie Sylwio — którego miał dwie kochanki, starą i młodą. Młoda wyskubywała mu wszystkie siwe włosy, żeby wyglądał młodziej. Stara znów wrywała mu wszystkie ciemne włosy, żeby był do niej podobny. Na koniec tak go oporządziły...

— Że był łysy — zawołała ze śmiechem. — Już wiem!

— Ciszej gadaj! Stary jest mój pan i łysy, ale pięknie śpiewa.

— I... i śpiewanie starego nie grzeje.

— Nie poszłabyś za nim?

— Jużci, co nie poszłabym. Pewnie grobem śmierdzi...

— Gdzie zaś! Pachnidłami smaruje się co dnia.

— Może właśnie dlatego, że śmierdzi... Nie mógłbyś mi trochę tych pachnidłał przynieść? Mój miły, mój czarnooki...

— Przyniosę jutro, jeżeli...

Stojący w oknie cofnął się cicho w głąb izby. Nie był ciekaw słuchać dalej. „Stary, stary, grobem śmierdzi...” Jeszcze niedawno roześmiałby się z takiego gadania. Dziś śmiać się nie mógł. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że może istotnie jest stary? Odepchnął tę myśl ze złością. Przecież się czuje młodym, dziarskim, pełnym chęci życia!... Nie zważać, co plecie ta głupia smarkata... Takiej kozie każdy, co skończył dwadzieścia lat, wydaje się stary.

...Co prawda — myślał Divini — skończyłem je bardzo dawno... Mam już... Ech, lepiej nie liczyć. Niemniej nie jestem jeszcze stary, nie jestem!

Rzucił się na szerokie, trzeszczące łoże nie zrzucając odzienia. Pod sztywnym radnem słoma szeleściła głośno. Otwór okienny widziany stąd zdawał się taflą ciemnoszafirową, tchnącą świeżością w głąb zatechłej izby. Król trubadurów zapatrzył się w tę tafelę żałośnie. Już czuł, że dzisiejszej nocy nie zaśnie. — „Grobem śmierdzi.” Też wyrażenie! Nigdy nie wiadomo, kto z brzegu... Ta koza może umrzeć wcześniej niż on i rychlej zacuchnie trupem...

...Lecz i ciebie to nie minie — zabrzmiało mu w uchu. Otrząsnął się niechętnie, aż znów zatrzeszczała słoma... Nie minie... nie minie... Nie ominęło nikogo.

...Nikogo. Jakie to dziwne, że ludzie o tym prawie nigdy nie myślą... On, Divini, nie przypominał sobie, by ta świadomość stanęła przed nim kiedykolwiek. Dopiero dziś z powodu gadania dziewczyny. A może nie wskutek gadania? Może zdarza się każdemu, że w taką noc jak ta, leżąc bezsennie, wyobraża sobie niby na przekór płodnym zapachom bijącym z ziemi, że odchodzi, że umiera? I czuje, jak Divini w tej chwili, własną śmierć, własne stygnące członki, lęk

przedzgonny, i zimny pot występuje na czoło? I słyszy nieuchronne pytanie: I co? I co dalej? Co dalej?!

— Co dalej? — powtórzył prawie głośno, siadając na łożu. — Co? Odpowiedzialność surowa, sąd logiczny, groza wieczna. Głos, który rzeknie: Mane, Tekel, Fares. Miara, liczba, wyrok. Zmierzyłem cię, zważyłem cię, odrzucam, gdyż jesteś próżny...

...Każda godzina minionego życia nabiera zaraz znaczenia. Każda jest wywołana z niepamięci po kolei. Żadna nie zginęła, nie ukryła się. Trwały gdzieś żywe w niebycie, na głos Sędziego powstają i okrzykują swe dzieje. Bezbronna, naga, drżąca z lęku dusza słucha zeznań godzin własnego swego żywota.

Divini przetaił rozpaczliwie oczy. Cóż to się z nim dzieje? Chyba chory? Nigdy, przenigdy nie nawiedzały go podobne myśli... Zapragnął się modlić. Dawno tego nie czynił. Trubaduwowie nie odznaczali się szczególną pobożnością. Wędrowni rybalki jawnie wplatali w antyfony pogańskie imiona Wenery, Jowisza, a przede wszystkim Bachusa. Divini był wprawdzie zbyt wielkim panem i artystą, by podobne żakostwa naśladować, ale znał owe bluźniercze, pijackie oratoria. I teraz plątały mu się one w głowie, podsuwały swoje bezmyślne małpiarstwo w miejsce właściwych słów pacierza. Chciał rzec: in saecula saeculorum, a powtarzał: in pocula, poculorum, laudabunt te... Doluc vobiscum et cum gemitu tuo... Jakby podpowiadał je złośliwy szatanek. I Wilhelm Divini, w gronie przyjaciół często drwiący z wiary w diabła, oglądał się trwożnie wokoło i żegnał niespokojnie, i znów plątał Ojca Niebieskiego z Bachusem, a Pannę Czystą z Wenerą. Gdy nareszcie krótko przed świtem zasnął udręczony, śnił mu się diabeł to w postaci chłopca z cielęcym ogonem, to smoka, Murzyna, węża, rozpalonego żelaza, na koniec błyszczącego oka osadzonego na ciemnej, martwej powierzchni. Owo szydyczko spozierające oko towarzyszyło trubaduwowi aż do przebudzenia, prześladowało swym wspomnieniem cały dzień. Musiał niejedną kubek wina wychylić, by je nareszcie odegnać.

Ale poprzedniej beztroski całkowicie nie odzyskał. Dusza zmacona pytaniem: co dalej? nie mogła wrócić do poprzedniej równowagi. Gdzieś w kącie umysłu tkwiła jak drzazga świadomość, że prędzej czy później zażądają, by zdał rachunek z sensu swego życia. Sens życia? Divini go nie znał. Nigdy dotychczas nie szukał. Żył jak większość ludzi, nikogo świadomie nie krzywdził, śpiewał, lubił kobiety, klejnoty, zaszczyty, dobre wino, dobre jado; nie lubił złej muzyki, smrodu i współzawodników... Cóż więcej? Czy to dosyć? Czy to mało?

Te wątpliwości czyniły go w podróży roztargnionym. Z roztargnieniem patrzył na to, co się w kraju działo. Na jedno tylko pozostawał po dawnemu wrażliwy: na objawy szacunku okazywane jego, króla trubadurów, osobie. Na tym polu cierpiał. Objawy te bowiem nie były jego

zdaniem dostateczne. Przywykł do większej czołobitności ogółu. Chwilami po prostu odczuwał przykre wrażenie, że ludzie zapomnieli o jego istnieniu. Krucjata, śmierć niewiniątek zaprzętały wszystkie umysły. Ani król trubadurów, ani jego złoty laur nie zwracał niczyjej uwagi. Z żadnego grodu radni nie wyszli witać go oracją. Odjeżdżającego nie odprowadzał orszak urodzonych paniąt. A przecież dawniej tak bywało! „Poszaleli z tą krucjata! — sarknął Divini. — W Rzymie to się zmieni. Tam mnie znają.” I popędził swą mulicę.

Ale w Rzymie pod tym względem było jeszcze gorzej. Zastał miasto wypełnione ludźmi gotującymi się ruszać do Ziemi Świętej. O Divinim nikt nie myślał, zaledwie go poznawano. Na Lateranie zasiadł sobór. Ze wszystkich stron świata zjechali się biskupi, arcybiskupi i kardynałowie. Początki ich zalegały place. Choć zasobne, nie uderzały tym przepychem co dawniej, i ludzie powiadali, że wśród duchownych wiele się w ostatnim roku zmieniło. Stali się jakoby lepsi, korniejsi, mniej chciwi. Rzadziej słyszano o gorszących wypadkach symoniactwa lub nierządu. Jedni przypisywali tę zmianę nieustającym surowym napominaniom papieża, inni krucjacie dziecinnej, inni jeszcze dobroczynnemu wpływowi człowieka zwanego powszechnie szaleńcem z Asyżu, który przed rokiem był tu w Rzymie i wzbudzał ogólny śmiech. Dziś już się z niego nie śmiano. Liczba jego braci sięgała podobno pół tysiąca. Przebiegali ustawicznie Italię nawołując do życia według Ewangelii, a ostatnio do krucjaty. Podobno sam ów szaleniec Franciszek był od niedawna znów w Rzymie i czekał na odjazd Ojca świętego, by płynąć za nim do Ziemi Świętej, gdyż Innocenty III zamierzał sam poprowadzić wyprawę.

— Nie powiem: idźcie, ale p ó j d ź c i e ! — mówił do soboru. — Słaby na ciele, piastujący godność, której nie przystoi chwycić za oręż, nie będę walczył żelazem. Ale uczynię jak Mojżesz, który, gdy Izrael zmagił się z Amalekitami, wznosił na górze modły do Boga. Tak i ja klęknię na wzgórzu albo na przodzie okrętu i wołać będę do Pana o zwycięstwo dla was... Pójdę. Czemużem tego nie uczynił wcześniej? Nie byłyby zginęły marnie dzieciątka...

Głos mu się łamał i papież płakał, nie był zdolny bowiem mówić spokojnie o okrutnym końcu dziecinnej krucjaty. „Expeditio derisoria, expeditio nugatoria...” przypominali pierwotną swoją opinię kardynałowie. On jednak potrzasał głową.

— To ofiara, ofiara, która powinna potrzęsnać światem. Zaprawdę, powiadam wam, biada ludziom, jeśli się teraz nie ockną!

Potrzasał wychudłą dłonią, schorowany, do widma podobny, i ludzie patrząc nań wątpili, czy starczy Ojcu świętemu sił do zniesienia długiej podróży i życia w obozie. Lecz inni zapewniali z wiarą, że Duch Święty go podtrzyma. Duch Święty, Paraklet, którego rychłe nadejście zwiastował

opat Joachim di Fiore, czczony powszechnie wśród ludu jak święty. Oby tak się stało! Wiele sobie wszyscy obiecywali po przewodnictwie papieża.

Nie zauważony, nie uhonorowany przez nikogo, Divini błąkał się po rodzinnym mieście, znajomym mu niby własny dom, z przykrym uczuciem, że coś zaszło: albo on stał się obcy miastu, albo miasto jemu. Drażniło go wszystko. Zarządca Giano, któremu ufał, ogołocił w czasie jego nieobecności piwnicę z najlepszych win. Konie były chude. Pachołcy skradli widocznie pieniądze przeznaczone na owies. Wierzycciele, których mimo majątku miał sporo, zasłyszawszy o zamierzonym, wyjeździe trubadura obiegli go jak kruki. Natarczywsi od wierzycciele okazali się przyjaciele, którzy z Diviniego żyli. Znając z dawna jego próżność, zręcznym pochlebstwem umieli rozwiązywać mu jego mieszki. Dawniej boski Wilhelm czuł się znakomicie pośród wesołej gromady owych młodszych synów baronów, niedoszłych poetów, goliardów, rybaltów, a nawet zwykłych wydrwigroszy i pieczeniaryzy. Dzisiaj nudziła go ta kompania. Słuchał nasepiony żartów i krzyków wodząc palcami po twarzy. Od niedawna przyzwyczał się do tego ruchu obmacywania własnych kości policzkowych, lękliwie, jakby ukradkiem. Myślano, że szuka na licu zmarszczek; rzeczywista przyczyna jednak była inna i takiej natury, że wstrząsnęłaby zdumieniem wesołych przyjaciół. Bo nie o zmarszczki chodziło trubadurovi. Chorobliwie, niespokojnie domacywał się pod skórą oczodołów czaszki, wyobrażając sobie własną, ale trupa głowę. Przyszło to na niego kiedyś u balwierza. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że twardy brzeg, który można wyczuć tuż pod okiem, to pusta jama, którą spoziera śmierć rysowana przez cierpliwych benedyktynów na kartach psalterzy. Trupia głowa. I nosi się ją ze sobą, i ona jedna przetrwa, gdy ciało zgnije, rozpręże się, rozwiąże, rozsypie... Obrzydły, ślepy, wyszczerzony kształt będzie jedynym, co zostanie z pięknego Wilhelma. Z czasem i ta kość rozsypie się w proch... Wtedy nie pozostanie nic... A co będzie z duszą?

...Musiał mnie ktoś urzeknąć — myślał trubadur z niepokojem. — Na pewno jestem urzeczone. De Brienne mówił kiedyś o czarownicy w Troyes. Powiadał nawet jej imię... Margocha czy jak? Musiałem się z nią spotkać, nie wiedząc, kto ona, i zazionęła mnie. Dlaczego to uczyniła? Przecież jej nic nie zrobiłem.

To znów przychodziło mu na myśl, że czepiła go się zmora nudnego smutku zwanego acedią, trapiąca mnichów w klasztorach, sprawiająca, że ogarniętego nią nic nie raduje, a dusza przykrzy się sama sobie. Zążywał więc alkiermes, lek ogólnie znany, w którego skład wchodzi poczwarki jedwabnika, sok jabłka rajskiego, cynamon, ambra tłuczona, kamień lazuruowy, perły mielone i złoto bite. Wierzono, iż sam jego zapach wesołym czyni, czego zresztą niejedyn dowodnie na sobie doświadczył. Wilhelmowi jednak alkiermes nie pomógł. Trubadur nie poweselał. Czeczycy,

która go trapiła, sięgnęła snadź głęboko, a on jej przyczyny nie znał. Czyżby w tym tkwiła, że kiedyś przypadkowo, po raz pierwszy w życiu, zastanowił się nad znikomością świata i samego siebie? Nie dziecko chyba, musiał znać od dawna, że umrze jak każdy, że co godzina, to o krok bliższy mogiły, nie dalszy.

W tym usposobieniu trwając ujrzał bez zapału wkraczającą któregoś ranka do jego komnaty za cichym współnictwem Sylwia Julię, śliczną dziewczynę, którą sam niegdyś raił Janowi de Brienne.

Przez ostatni rok młódka rozwinęła się z dziecka w kobietę i jeszcze wypiękniała. Zalotność jej wzmogła się w tym samym stopniu co uroda. Czuła swą wartość i odnosiła się z wyższością do mężczyzn.

— Czego chcesz? — zapytał Divini.

— Ano, powiedzieli mi, że wielmożny pan wrócił, więc przyszedłem się spytać, co ze mną...

— Jak to, co z tobą? Ja ciebie nie potrzebuję.

Rzuciła nań zdziwione, z lekka drwiące spojrzenie.

— Myślałam, że się nadam... albo do obsługi, albo tak... Bo to wielmożny pan zawołał mnie w zeszłym roku...

— Cóż z tego? Nie obiecywałem ci, że to będzie na stałe. Dostałaś dukata...

— Macocha go zabrała... Macocha mnie wygania, żebym znowu dukata przyniosła. To wszystko przez wielmożnego pana! Co ja teraz pocznę?

Zasłoniła twarz dłońmi płacząc głośno, nieszczerze. Divini przyglądał się jej bez rozrzewnienia. „Ej, dziewczyno — myślał — płakałabyś lepiej nad tym, że umrzesz, że twoja uroda zgnije. Robaki cię zeżrą. Słyszałaś o tym? Robaki...”

— Nie becz — rzekł głośno. — Naści tu jeszcze dukata.

Przestała płakać, chwyciła w lot pieniądź, rozjaśniła się uśmiechem, lecz nie odchodziła.

— Czy nie mogłabym tu zostać na stałe?

— Nie wiem — odparł Divini — zobaczę... Pomyślę. Tymczasem możesz już iść.

Wyszła niechętnie, on zaś kazał sobie podać konia i wyjechał powalęsać się trochę po mieście. Było pełne i gwarne. Przelewało się przez brzegi ulic jak wezbrana woda. Przygotowania do wielkiej krucjaty pochłaniały wszystkich. Przy kramach odbywały się zacięte targi. Jak zwykle w takich razach, ceny na jedne przedmioty spadły na łeb, podczas gdy na inne, szczególnie na konie i wszelkiego rodzaju broń, wzrosły w dziesięciokrotnie. Czasem oburzeni wymaganiami kupców

klienci chwyтали za kije lub miecz, wszczynala się bójka i wzdłuż całej ulicy zatraskiwano z pośpiechem kramy. Oddział strażników papieskich nadbiegał robić porządek, lecz już w innym zaułku wybuchała nowa wrzawa.

Divini jadąc stępą spoglądał na to zamieszanie z roztargnieniem. Zebrany na placu tłum, bardziej milczący i zwarty niż wszędzie, zwrócił jego uwagę. Skierował w tę stronę konia. Ach, kaznodzieja uliczny! Stoi na kłodzie lub kamieniu, gdyż głowa jego i barki widoczne są nad rzeszą słuchaczy. I ręce, które co moment wyciąga ku górze takim ruchem, jakby wrywał się w niebo. Ten ruch polotny i żarliwy nasunął trubadurowi niejasne przypomnienie. Czy to nie ów sławny od niedawna szaleniec z Asyżu, którego niegdyś chciał pokazać Frangipanim i zastał bujającego się na desce? On na pewno. Jak przed rokiem, otaczający go ludzie milczeli słuchając niby urzeczeni. I pociągnięty siłą ogólnej naprężonej uwagi Divini zeszedł z konia rzucając wodze chłopcu, wmieszał się w tłum. Przepychał się nie bacząc na zaduch, aż stanął tuż blisko. Mówca wołał:

— Posłuchajcie szaleńca i głupca, który waży się mówić o Panu... Mam śmiałe zamiary, zuchwalstwo poniosło mnie... Bo Pan jest ze mną, i ja, grzesznik gorszy od każdego z was, ja, nędzne, liche stworzenie, będę mówił o Tym, co czyste, Najświętsze i Nieśmiertelne... Porywam się na rzecz srogą: z pogan ochrzczonych, jakimi jesteście, chcę zrobić prawdziwych chrześcijan, miłośników Pana. On mnie do tego zagrzewa. „Któż jesteś, żebyś się nad nas wynosił i pouczał?” — zapytacie. Kiedyż nie ja, lecz Pan. Ja się nie wynoszę nad nikogo. Od przyrodzonej nędzy mojej obawiam się wszystkiego, ale od Łaski Pana oczekuję wszystkiego i tego, że mnie posłuchać zechcecie. Weźmiecie tę samą łaskę, poczujecie się do miłości Bożej i do zmiany życia... Wielu spomiędzy was ślubowało iść do Ziemi Świętej, a jakże pójdziecie nie uczyniwszy wprzód krucjaty w sercu swoim? Stamtąd trzeba pierwej wyżenać pogana, by się Pan nasz nie wstydził za swoich obrońców! Nie pomogą miecz i krzyż, gdy w duszy Saracen siedzi i więcej o łupie myśli niż o Grobie Świętym! I bez oręża poszedłszy zwyciężysz, jeśli tylko z miłości Bożej pójdziesz! Rycerzem krzyżowym być — to największa rzecz. Ale i najtrudniejsza. Rycerz nie śmie być skalany. Zbroję czyścisz przed wyprawą, a duszy byś nie oczyścił? Najpierw zwalczyć w sobie chciwość, to walne zadanie. Chciwość to kochanka szatana, jak święta pani Ubóstwo jest miłośnicą Bożą. Najwięcej zła dzieje się przez chciwość. Niedawno popełniono przeraźliwą zbrodnię. Żli ludzie oszukali i zgubili dzieci, które umiłował Pan. Już też nic straszniejszego stać się nie mogło i żadne z braci naszych zwierząt, nawet tych, którym Pan nadał dzikie przyrodzenie, nie splamiłoby się podobnym występkiem. Zdrajcy okłamali niewinne dzieciąteczka! Na zgubę je wydali! A swoje własne dusze stracili, z szatanem pakt podpisali. Co

ich do tego skłoniło? Jużci, nic innego, jak chciwość. Dla pieniędzy to zrobili. Dla pieniędzy! Cóż są pieniądze, że ludzie dla nich nie boją się zbrodni? Zbrodni, której sam szatan się wstydzi. I mówić o niej spokojnie nie można, bo każdego za grdykę płacz chwyta... Pieniądze! Nie masz na świecie nic bardziej plugawego i dla człowieka niebezpieczniejszego. Wszystko zło przez nie się dzieje. Spójrzcie dokoła: najgorsze krzywdy i niesprawiedliwości, i nierówności, i okrucieństwa z chciwości wyrosły, z pragnienia pieniędzy! Kto miłuje pieniądze, nie może miłować ani Boga, ani bliźnich. Pieniądz to niewolnictwo jednych, to przemoc drugich. Przy miłości pieniądza nikt nie może być wolny ani szczęśliwy. Ten, bo go pożąda; ów, bo go już zdobył i lęka się, że mu go inni odbiorą. Miłować pieniądz, najsprawniejsze narzędzie diabelskie, zamiast ukochać Boga?! Przenosić pieniądz nad zbawienie duszy?! Wszakże jeśli miłować, to To, co najlepsze; jeśli służyć, to Temu, który jest niezmienny, który nie zdradzi, nie rzuci; jeśli słuchać, to słów wiecznych. Pan nasz to wolność, a któż by nie chciał być wolnym? Nie masz na świecie cenniejszej rzeczy niż wolność...

I któż by nie chciał wyjść z podłego strachu, w którym ustawicznie żyjemy, i rozprężyć się, i roześmiać radośnie, i czuć się w możej opiece? Boimy się ustawicznie, żyjąc w świecie. I starości, i zarazy, i słabości, i złodzieja... Boimy się diabła, czarownic, czarów i uroków... A przecież jesteśmy chrześcijanie i nie potrzebujemy lękać się niczego! Diabeł przy Panu jest jak nietoperz przy orle, miesiąc przy słońcu, zmija wobec lwa. Cóż on nam uczynić może? Boga tylko nam się bać, bo nie masz nieprzyjaciela, przed którym On nie zasłoni. Tam są uroki, tam czary, gdzie Pana nie ma, bo wrota przed Nim zamknięte. Tam lęk, tam groza, tam niebezpieczeństwo. Bracia moi kochani! Odkąd Panu służę, takim szczęśliwy, że wypowiedzieć nie umiem. Bo posiadam to właśnie, coć mówię: wolność i że się niczego nie boję. I z samego diabła wolno mi drwić albo się nad nim litować. A to Bożym zaszczytem, jużcić nie własną zasługą, której nie mam ani mieć będę, bom zwyczajny ludzki gnój. Jedno mam, żem się na Panu oparł i położył. I że miłuję Go z całego serca. Miłuję, wiele potrafię. I rad bym więcej, bylem jeno zdołał. Tyle mojego. Miłujcie Go razem ze mną! Bądźcie jako ja szczęśliwi, swobodni i wolni! Wiem, jak się żyje w świecie. Jedno utrapienie, obawa, zawody... Bo świat jest zmienny z przyrodzenia swego, a dusza pragnie stałości. Świat! Dziś cię chwala, jutro gania. Dziś sławnyś, jutro ponizony. Dziś kłaniają, jutro kopia. Dziś urodziwyś, jutro grobem cuchniesz... I cóż ci z tej wszystkiej udreki? I cóż ci z twego bogactwa? Nie zabierzesz go ze sobą. Nie stanie przy tobie w dzień sądu. Nie obronią cię przed Panem ani doczesne honory, ani umiejętność żadna. Nauka? Dobra ona, ale tylko wtedy, gdy poucza, po co człowiek żyje na świecie, co ma tutaj do spełnienia i jak skutecznie może być bliźnim pomocny. Jeżeli tego nie czyni, pozostaje plewą...

Proste, nieuczone słowa padały gorączkowo, bezładnie. Mówca nie był oratorem. Nie prowadził słuchaczy po logicznie rozwijającej się myśli, nie podawał wniosków. Ale w niewymyślnych tych wezwaniach brzmiało głębokie przekonanie i zapał, i troska o słuchaczy, i szczerą miłość ku nim, sprawiające, że padały na dusze jak gorąca lava. Trafiały prosto do serc. I Wilhelm Divini, wybredny artysta, przywykły słuchać najwykwintniejszych mistrzów słowa i dialektyki, wytykając im chętnie błędy logiczne lub oratorskie, patrzył w mówiącego Franciszka bez tchu. Tłum napierał, naciskał go zewsząd — on nie zważał na to. Czapka zsunęła mu się z głowy, spadła na ziemię, znikła zdeptana stopami — nie zauważył również. Patrzył i słuchał. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że mówca zwraca się osobliwie do niego, myśli o nim, odpowiada na jego skryte rozważania i udręki, że wie o nim wszystko i wyciąga dłoń.

— A te słowa moje — kończył Franciszek — słowa niepotrzebnego, niegodnego sługi, kieruję do was wszystkich, wszystkich razem i z osobna... Do księży i zakonników, i zakonnic, i dzieciątek, i panienek, i młodzianków, i ubogich, i królów, i książąt, i uczonych, i śpiewaków, i muzykantów, i rzemieślników, i robotników, i rolników, i panów, i sług, i w czystości żyjących, i w małżeństwie, i w niewinności, i w stanie grzechu ciężkiego, i starych, i zdrowych, i małych, i dużych, należących do wszystkich narodów i mówiących wszelką mową — jednym słowem do wszystkich, bracia moi, co żyjecie i żyć będziecie w przyszłości. I tak was proszę, i tak was zaklinam i błagam, abyście zamiłowali Pana naszego ponad wszystko inne, bo inaczej ani tu na ziemi nie można być szczęśliwym, ani na wieczność zbawionym! Wszyscy i wszędzie, o każdej porze i na każdym miejscu Jego wołajmy, Jego chwalmy, na Niego się oglądajmy, za nim idźmy. Panem jedynym i wszechmocnym, Stworzycielem i Odkupicielem, nieskończonym, nieogarnionym, niezmiennym, niewypowiedzianym Panem, co jest światłością wieczną i zbawieniem, i błogosławieństwem, i wielkością, i mocą, i prawdą, i pokojem, i ciszą, Panem najwyższym, najlepszym, najmiłosierniejszym, jedynym, który jest godzien miłości, uznania, pokłonu i chwały. Teraz i zawsze, i na wieki wieków... Amen.

Tchu mu zabrakło. Zeskoczył z kamienia służącego za mównicę. I tak się stało, że wpadł nieomal prosto w ramiona zasłuchanego Wilhelma Divini.

— Bracie — rzekł ten takim głosem, jakby ktoś inny, nieznajomy za niego przemawiał — bracie, zabierz mnie ze świata i obdarz pokojem!

Franciszek nie zdał się wcale zdziwiony. Objął trubadura za szyję i uściskał uśmiechając się jak do dawno nie widzianego przyjaciela.

— Pokój Pański z tobą, bracie. Zostań z nami. Jak się zwiesz?

— Wilhelm Divini...

— To nie jest dobre miano dla śmiertelnego człowieka. Damy ci inne. Chcesz pokoju, przeto wołać na ciebie będziemy Pacyfik.

— Pacyfik — przystał bezspornie trubadur.

Chciał mówić dalej, trzymać Franciszka za rękę, lecz zewsząd tłoczyła się ciżba. Zасыpywano mówcę pytaniami. Jedni szlochali, inni zapewniali, że pojedną się z nieprzyjaciółmi swymi lub zwrócą nieprawnie zabrane pieniądze. Jakiś mnich dopytywał natarczywie, czy Franciszek dobrze robi, czy jest pewien, że dobrze robi osłabiając w ludziach lęk przed diabłem... Czy to nie doprowadzi do lekceważenia złego? Przecież wiadomo... Strojny młodzieniec odsuwał na bok mnicha wraz z jego wątpliwościami.

— Bracie Franciszku! — zakrzyknął gromko. — Przychodzę, aby do grona twych braci należeć!

— To szczerze twoje pragnienie? — zapytał Franciszek z niedowierzaniem.

— O, tak! Po to przyszedłem. Pochodzę z Lukki. Ród mój należy do najświetniejszych w grodzie. Ale ja nie dbam o nędzne zaszczyty. Nie dbam też o miłość ziemską. Powiedziałem donnie Lucii, która uczuciem moim wzgardziła, że...

— Ech, bracie! — roześmiał się Franciszek — wracaj na razie do swej donny Lucii.

— Jak to? Nie chcecie mnie przyjąć? Mnie, com przyszedł aż z Lukki? Mój ród...

— Nie chcę przyjąć! — zakrzyknął Franciszek z gniewem. Gniewał się rzadko, ale gdy się uniósł, ręce mu drżały, oczy płonęły. — Nie chcę przyjąć! Przyszedłeś tutaj na złość swojej miłej, nie z chęci służenia Panu! Widzę cię na wskroś! Nie oszukuj Boga i mnie, Jego niegodnego sługi!

Młodzieniec uszedł jak zmyty. Franciszek ochłonął i zwrócił się do stojącego nieruchomo trubadura. Nim zdążył jednak przemówić, pociągnięto go z tyłu nieśmiało za rękaw.

— Jakuba di Settesoli, małżonka Gracjana Frangipani — stwierdził Wilhelm ze zdziwieniem.

Była zakłopotana i zmieszana. Nie zwróciła najmniejszej uwagi na obecność Wilhelma. Bodaj że nie poznała go wcale. Patrzyła błagalnie na Franciszka.

— Bracie — wyjąkała — jakże bym pragnęła porozmawiać z tobą o zbawieniu duszy mego męża i mojej! Czy zechciałbyś przyjść do nas!?

Składała ręce pewna odmowy, słyszała bowiem przed chwilą, jak potraktował surowo młodzieńca. Lecz Franciszek spojrzał życzliwie w jej szczerze, poważne oczy.

— Przyjdę chętnie, siostrze, pierwszego wolnego dnia. A gdzie mam was szukać?

— Casa Frangipani! — wykrzyknęło kilku wyrostków z tłumu. — Casa Frangipani!

— Tak — uśmiechnęła się Jakuba. — Nas wszyscy znają. Wskażą drogę.

Uradowana, wdzięczna, odeszła.

— Pójdźmy teraz i my, bracie — rzekł Franciszek do Wilhelma. — Musisz poznać nas wszystkich. Jest nas bardzo wielu, ale tu w Rzymie bawi obecnie tylko kilkunastu. Przeważnie najdawniejsi, najmilsi moi towarzysze... A czym trudniłeś się dotychczas, z czego żyłeś?

— Jestem śpiewakiem, trubadurem.

Franciszek aż klasnął w ręce.

— Och, jak to dobrze! Od dawna pragnąłem mieć pośród nas trubadura. Będziesz nam śpiewał chwałę Pana. Dotychczas ja jeden się wydzieram, ale mój głos... Boże odpuść! Pan nasz cierpliwy jest, więc go znosi. Teraz, bracie Pacyfiku, nauczysz nas pięknie śpiewać.

Przycisnął serdecznie ramię idącego obok.

— Braciszku — rzekł uśmiechając się anielsko — braciszku, a czy wiesz, zapewne wiesz, że chcąc do nas należeć musisz wszystko oddać i przyodziać się tak jak my i nic w rozumieniu ludzi nie posiadać?

— Wiem o tym — odparł mężnie były król trubadurów. — Zostaję przy was. Nie powrócę już wcale do mojego domu.

Franciszek potrząsnął głową.

— To nie wystarczy, braciszku. Nie dosyć poniechać. Trzeba rozdać. Tak rozdać, by ulżyć biedzie...

— Komu mam rozdać? — zapytał z niepokojem Divini-Pacyfik. W oczach stanęli mu wierzyciele, przyjaciele, Giano, zarządca, który wysuszył piwnicę, pacholcy, którzy zagłodzili konie...

Franciszek nie spuszczał z niego wzroku. Każda myśl nowego brata zdawała się dlań jawną i widoczną.

— Przede wszystkim, bracie, musisz spłacić wszelkie, jakie masz, zobowiązania. A resztę oddasz ubogim...

— Skąd ich wezmę?

— Gdybyż kiedy nędzy nie stało! Czy nie wiesz, ile jej mieści się w Rzymie? Wiele ludzi z głodu puchnie, korzenie gryzie, chleba latami nie widzi? Ej, bracie!

— Sam nie wiem, jak to zrobić — kręcił się niespokojnie Wilhelm.

— Tak, to się wydaje zrazu trudne — przyznał Franciszek poważnie. — Pamiętam dobrze ów dzień, gdy po raz pierwszy przybyłem przed laty do Rzymu. Byłem szalony i próżny. Ale Pan nasz miłosierny już wejrzał na mnie i poczyniło mi we łbie świtać. I wchodząc kiedyś do kościoła pomyślałem, że przecież biedacy, co na stopniach siedzą i w imię Pana naszego proszą o jałmużnę, szczęśliwsi są i bardziej zaszczytzeni niż ci, co jałmużnę dają. Bo gdyby Pan nasz widomie stanął pośród nas, toby usiadł między tymi ubogimi. I wyciągnąłby razem z nimi dłoń ku bogatym, pysznym przechodniom, tak jak ją od wieków wyciąga ku ludziom. I tak mnie to zagnęła opadło, że zamieniłem się z jednym starym dziadem na ubranie. Oddałem mu moje, wziąłem jego łachy... I siedziałem na jego miejscu cały dzień. I tom jadł, co uzebrałem. Zrazu nie szło łatwo prosić...

— Ja się nie waham — zapewnił Wilhelm, kroczył jednak coraz wolniej.

— Potem w Asyżu, kiedym swoją małość już nieco poznał, chodziłem po mieście zebrząc o cegły na naprawę kościółka Świętego Damiana... Na rogu ulicy natknąłem się kiedyś niespodzianie na moich dawnych przyjaciół i towarzyszy, którym do niedawna przewodziłem, pierwszy będąc do zwady, do kielicha, do swawoli... Obaczyli mnie... żebraka... Z wyciągniętą dłonią. Spuścili oczy, poczerwienieli. Wstyd ich zdjął za mnie. A ja, ja, Boże miłosierny! zamiast być dumnym, zem rycerz świętego Ubóstwa, myślałem, iż się pod ziemię zapadnę. Przemówić nie mogłem i stałem w ognjach, a pot ściekał mi po czole... Że oni tacy szumni, ustrojeni, a ja dziad utyłany... Nędzarz... I że głupio postąpiłem, iście jak szaleniec. Alem zarazem czuł, że jeśli nie zdzierzę i zbiegnę, tom przepadł, bo łaskę Bożą zmarnowawszy już się do lepszego żywota nie dźwignę... I zmołem się z Pańską pomocą. I poszedłem prosto ku nim. „Przez miłość Pana naszego — powiadam — wspomóżcie mnie, czym łaska...”

Ledwom to rzekł, zaraz mi zelżało. I do śmiechu mi było z ich rozdziawionych gąb, nie do wstydu... Ale przedtem było ciężko. Trzyma nas świat, trzyma mocno. Czy chcesz, bracie Pacyfiku, bym poszedł z tobą lub posłał którego z braci?

— Nie — postanowił trubadur. — Gotowi pomyśleć, zem namówiony, że nie ze szczerzej, wolnej woli postępuję... Sam wszystkiego dokonam i rychło do was wrócę.

— Idźże, bracie. Pokój Pana naszego z tobą.

Rozstali się. Sylwio, który z rosnącym zdziwieniem śledził długą rozmowę swego pana z obdartym żebrakiem, podprowadził spieszenie konia. W rękę trzymał uwawrzynioną czapkę, którą podjął z ziemi i z pyłu starannie otrzepał. Trubadur machinalnie włożył ją na głowę. Pacholek podawał strzemień. Gdy ruszyli, Wilhelm ocknął się i czapkę zdjął.

— Masz to na pamiątkę ode mnie — rzekł wręczając ją chłopcu. — Te liście są szczerozłote. Każdy wart dukata. Będziesz bogaty...

— Wasza Miłość nie będzie jej nosić?! — wykrzyknął Sylwio ze zdumieniem.

— Nie będę.

— Że aksamit zdeptany, nie szkodzi, bo listki można by na nowo przenieść...

— Nie będę już jej nosił. Twoja jest. Te oba konie i rzędy też, boś dobry pacholek.

— A co Wasza Miłość?!

— Mnie już ich nie potrzeba.

Sylwio otworzył usta ze zdumienia i zapomniał się nawet ucieszyć. Zaniemówił. Cofnął się o krok, trzymając czapkę nabożnie w ręku i przyglądając się swemu panu podejrzliwie. Co mu się stało? Oszalał? Popelnił jakieś przestępstwo i chce uciekać? Może jest heretykiem? W tych czasach nic nie wiadomo.

Jechali dalej w milczeniu. Trubadur odczuwał boleśnie brak czapki na łysej, przyzwyczajonej do nakrycia głowy. Poprzedni błogi nastrój, w którym zdawało mu się, że ktoś inny za niego mówi i działa, że czyjaś wola wiedzie go za rękę — prysł bez śladu. Wilhelm Divini, człowiek na wskroś mimo aryzmu przeciętny, pozostał ze sobą samym. Wilhelmem Divini, z uprzykrzonym ludzkim rozsądkiem i z tym niepojętym, dziwacznym postanowieniem powziętym przed chwilą.

Rozdać cały swój majątek! Ulubione klejnoty, stroje, książki, cenne szkła, piękne sprzęty... Rozdać — dlaczego, po co? Kto się na nich pozna?! Zaprawdę, ci, co Franciszka z Asyżu zowią szaleńcem, mają słuszność, po stokroć słuszność!

Jutro całe miasto, a przede wszystkim obdarowani śmiać się będą z niego, Wilhelma, do rozpuku. Będą się śmiać... Myśl o niewątpliwej śmieszności, jaką się okryje, spętała go i obezwładniła. Co świat powie? Świat jest mocny. Franciszek sam stwierdził, że jest mocny. Jedna tylko śmierć nie dba o zdanie świata i zrywa z nim więzy, gdy się jej podoba. Ale żywy człowiek? Człowiek, który w tym świecie wzrósł, który się w nim urodził, który liczy się z nim więcej niż z Bogiem, który się go więcej boi niż Boga?... Nie tylko dlatego, że Bóg jest niewidzialny, a świat straszliwie widomy i natrętny. Nie tylko! B ó g n i g d y n i e s z y d z i i n i k o g o n i e p o n i ż a , a ś w i a t z a w s z e . Bóg zawstydzą, lecz nie upokarzą. Człowiek zaś jest stworzeniem, które więcej od śmierci boi się szyderstwa i wynikającego stąd upokorzenia. Dlatego znając to szatan zrobił swój ulubiony oręż z szyderstwa odrzuconego przez Boga. A za szatanem — świat.

I walcząc z tymi myślami Wilhelm Divini czuł, czuł i wiedział, że sam Bóg zawołał na niego słowami Franciszka, a równocześnie cierpł wewnątrz i powtarzał sobie: „Nie zrobię tego wariactwa, nie zrobię!” „Słusznie — przytwierdzał rozsądek — nie bądźże szaleńcem! Daj jałmużnę sutą, niech wiedzą, żeś miłosierny, ale nie wyzbywaj się wszystkiego! Nie pal za sobą mostów... Ogołocisz się, a jeśli potem nie wytrzymasz między żebrakami, jeżeli zapragniesz wrócić, to co uczynisz? Zostaw sobie cośkolwiek, na przykład klejnoty. Twoje wspaniałe klejnoty, których ci zazdrościły królowe... Schowaj je, zakop w ziemi, w sobie tylko wiadomym miejscu, a resztę rozdaj, jeśli chcesz koniecznie..”

— Nie, nie, tak nie wolno! — bronił się Wilhelm sam przed sobą. Męka, jaką przechodził, wybiła się na jego twarzy i Sylwio poczuł litość. Więzienie widocznie panu nie grozi, gdyż jechaliby spieszniej, o cóż się więc martwi? Pewnie o to, że swoją ukochaną czapkę oddał bez zastanowienia...

— Wasza Miłość — rzekł podjeżdżając — ja te listki chętnie oddam. Wiem, że to od Ojca świętego... Złotnik naprostuje...

— Czego chcesz? — zapytał Wilhelm nie rozumiejąc.

— Wasza Miłość sumuje się pewno o czapkę. Ale ja ją...

— Nie sumuję się i nie odbieram! — krzyknął trubadur tak gwałtownie, że Sylwio cofnął się przerażony. Dojeżdżali już przed dom. Pod kolumnadą pstrą, jaskrawą plamą barwiła się suknia niewieścia. Julia! Czekąca na Wilhelma w nadziei, że wyłudzi nowego dukata. W bocznych drzwiach tkwiła nieruchomo stara szafarka Marta. Divini nie wątpił, że czekała nań, by ostrzec przed Julią, opowiedzieć o dziewczynie najgorsze (być może prawdziwe) rzeczy i zaprotestować przeciw jej obecności w domu. Ze schodów zstępował Giano z miną ważną. Z pewnością miał nowe zatargi z wierzycielami, z którymi zresztą, zdaniem Marty, był w porozumieniu. Z sali biesiadnej dochodził wesoły gwar i dźwięki wioli. To przyjaciele zabawiali się czekając na powrót pana domu. I Wilhelm pomyślał, że wśród tych wszystkich ludzi nie masz ani jednego, co by mu był bliski, czekał ze szczerą przyjaźnią. Jeżeli pozostanie wśród nich, będzie nadal jak dotąd sam, przeraźliwie sam, z widmem śmierci coraz natrętniejszym.

I krzepiąc się tym stwierdzeniem, zsiadł z konia.

Rozdział trzynasty

Próba

Najdawniejsi i najmiłsi towarzysze są tu, przy mnie — mówił Franciszek do Wilhelma. Istotnie tak było. Z nowo przybyłych znajdowali się w Rzymie tylko trzej: brat Cezary ze Spiry, brat Tomasz Celano i brat Iluminat. Ten ostatni był prostaczkiem, dwaj pierwsi posiadali znaczne wykształcenie. W ogóle w ostatnich czasach przybyło uczonych ludzi w zakonie i Franciszek poczynił się tym niepokoić. Wbrew wieściom, jakie o nim szerzyli niechętni, nie był przeciwny wiedzy, pragnął tylko, by służyła ona lepszemu poznaniu praw Bożych i nie dawała powodu do wywyższania się. Cóż za zasługa uczoność? Cóż za cnota wiedza? Ubożuchny duchem prostaczek może być bliższym Bogu niżli uczony profesor. Nie naukę też karmił, lecz właściwe wielu ludziom nauki poczucie wyższości, mowę zawiłą, zrozumiałą jedynie dla wtajemniczonych, upodobanie w przestawianiu tylko z równymi sobie wykształceniem.

— He — mawiał nieraz — niedługo przyjdzie czas, że nasi mądrzy bracia nie zechcą słuchać nieuków jak brat Jałowiec lub ja i powiedzą, że im nie przystoi mieć prostaka za przywódcę... Cóż wtedy pocznę? Przyjdzie mi chyba na starość iść do akademii?

Wybuchął śmiechem na samą tę myśl. Inni mu wtórowali. Nikt tych utyskiwań nie brał poważnie. Niewątpliwie jednak, w miarę jak zakon rósł z bezprzykładną szybkością, jak się rozszerzał i wzmacniał, coraz wyraźniej zarysowywały się w nim dwa takie warunki: pierwotny i nowy, przez Franciszka uparcie zwalczany. Zwolennicy nowego kierunku, bracia Elias, Sylwester, Jan Parenti, pragnęli między innymi założenia szkół franciszkańskich, w których każdy nowy brat uczyłby się zasadniczych podstaw teologii, pozwalających mu następnie rozumnie przemawiać.

— Bracia nie potrzebują uczenie przemawiać! — oburzał się Franciszek. — Potrzebują miłować Pana naszego i bliźnich i żyć według Ewangelii! To wystarcza. Przykładem się nawraca, nie słowem!

— Przyznaj, Franciszku — tłumaczył brat Elias — że warto, by bracia w razie spotkania heretyka umieli bronić swej wiary przed urojonymi błędami...

— Bronić wiary?! A po co? Wiara sama się obroni. Byle wyznawcy byli jej godni. A braciom wara wdawać się w dysputy!

„Mądrzy” bracia milkli nie przekonani. Prosił Franciszka, by przynajmniej zgodził się powściągnąć rażącą ludzi wesołość towarzyszy. Ludzie cenią powagę, nie lubią pustoty.

— Przyzwyczajłeś braci do ciągłego śmiechu i śpiewania...

— Chwała Bogu — odpowiedział niewzruszenie Franciszek. — Niech się śmieją i śpiewają. Nie masz gorszej rzeczy nad smutek. To babilońska choroba!

— Dlaczego babilońska? — pytał Eliasz mrużąc oczy.

— Bo jest owocem zepsucia. Niewinność to radość, grzech to smutek. Niech ci opuszczają głowy, co nie należą do Pana!

Odchodził od „mądrych”, mimo pozornej pogody zmartwiony tymi ustawicznie powtarzającymi się nagabywaniami. Szukał odpoczynku wśród swoich najdroższych przyjaciół: Anioła, Leona, Rufina. Jakby na przekór „mądrym” prosił brata Pacyfika, by zechciał zaśpiewać. Były król trubadurów nie dawał się prosić i wyciągał, jak mógł najpiękniej:

...O, święta czystości,
Jak niewymowna dobroć w tobie gości...
Prawdę rzeki, kto cię drogocenną mieni,
I taką twoja woń słodyczą poi,
Że kto cię zna, ciebie nie oceni...
Głupcy nie znająli wartości twojej...

Franciszek słuchał z zachwytem, wtórował. Gdy śpiewak milkł, poczynął rozważać głośno poprzednią rozmowę.

— Brat Eliasz i brat Cezary woleliby nas widzieć poważnymi. Sądzę, że nie mają słuszności. Błądzimy wprawdzie, nie jesteśmy często godni nazwy dobrego Brata Mniejszego, lecz to nie z winy śpiewu. O, gdybyśmy mogli dojść do doskonałości braterskiej! A tak sobie wyobrażam doskonałego Brata Mniejszego: wierny ubóstwu jak brat Bernard, czysty i prosty jak brat Leon, szlachetny jak brat Anioł, ujmujący i uprzejmy dla wszystkich jak brat Maseo, pobożny i prawy jak brat Idzi, strzelisty w modlitwie jak brat Rufin, oderwany od świata jak brat Lucydus, co po miesiącu woła: „Przenieście mnie stąd gdzie indziej, bo czuję, że się zaczynam przywiązywać!” Wesoły i mocny jak brat Jałowiec...

— A z ciebie? Co powinien mieć z ciebie? — dopytywał brat Leon patrząc w twarz mistrza z tym samym co zwykle uwielbieniem.

— Ze mnie? O, ze mnie nie ma co brać. To jedno chyba, że was miłuję wszystkich jednako jak kokosz pisklęta!

Wspomniane powyżej spory nabierały szczególniejszego znaczenia teraz, gdy Franciszek odjeżdżał do Ziemi Świętej. Towarzyszyć mu miało tylko dwóch braci: Iluminat i Cezary. W czasie nieobecności krzyżowca zakonem będzie rządził wybrany przez niego zastępca. Osoba jego nie była jeszcze ustalona.

Franciszek doradzał dokonać wyboru sposobem pewnym, który go nigdy nie zawiódł: po gorącej wspólnej modlitwie otworzyć księgę Ewangelii i z pierwszego wersetu, na jaki oczy padną, wyciągnąć wskazówkę postępowania.

— Zawsze tak czyniłem — zaręczał — i doskonale wypadało, i wiedziałem, że mój grzeszny rozum nie przeciwstawia się Panu.

Brat Sylwester uśmiechał się pobłażliwie.

— W ten sposób można rozstrzygać tylko sprawy ogólne, dotyczące duchowych stron życia, ale nie wybór zastępcy. Imion braci nie znajdziesz przecie w Ewangelii.

— To prawda — przyznawał z westchnieniem Franciszek.

Brat Eliasz naradzał się gorączkowo z braćmi Cezarym, Tomaszem i Janem.

— Nie dopuście, by naznaczył Leona lub Piotra Cani! Ładnie byśmy wyglądali pod takimi rządami. A może brata Jałowca, jego ulubieńca? Ten przygłupek ośmieszyłby zakon!

— Franciszek też robi, co może, by zakon ośmieszyć, a jednak to nikogo nie zraża — przyznawał uczciwie były sędzia, Jan.

— O, Franciszek! On jest jeden, jedyny! Ludzie zawsze za nim pójdą, choćby kazał im stawać na głowie! Bo to on... Ja sam nie wiem, w czym to tkwi... ta jego władza... Ale my musimy myśleć o całości. O przyszłości... Franciszek niech sobie baje, śpiewa, do ptaszków gada. My musimy budować! Budować! Bóg mi świadkiem, że nie pragnę swojego wywyższenia, jeno chwały Bożej, której więcej przysporzymy będąc silnym zakonem niż słabym.

— Słusznie, słusznie mówicie — przytakiwał gorąco brat Jan. — Jeśli o mnie chodzi, uczynię wszystko, co mogę, by Franciszek was naznaczył zastępcą.

— Skoro uważacie, że to będzie z korzyścią dla zakonu — zgodził się skromnie brat Eliasz — przyjmę tę służbę... Sami widzicie, jak wielkie stoją obecnie przed nami możliwości. Rok temu ani się o nich śniło. Nasz zakon jest głośny. Bracia rozrywani. Grzech byłby z powodzenia od Boga udzielonego nie skorzystać. Ale Franciszek! Zrób tu coś z Franciszkiem! Parę dni temu kardynał Colonna chciał wziąć jednego z naszych na spowiednika... Pomyślcie tylko! Inne zakony dobijają się o podobny zaszczyt... Bo to i znaczenie, i wpływ... A Franciszek odmówił! Po prostu odmówił!

— To niesłychane! Dlaczego?

— Że Bracia Mniejsi mogą być doradcami maluczkich, ale nie wielkich... Poza tym...

Urwał, bo na dziedziniec dworu biskupa Gwidona, gdzie koczowali jak zwykle, gdy przyszli do Rzymu, wkroczył z powagą nie znany im człowiek. Niemłody, niski, odziany w fałdzistą ciemną opończę uczonego i czworokątny biret profesorski. Rozglądał się wkoło, jakby wypatrując.

— Ohe! W imię Pana naszego, czego życzyście sobie, panie? — huknął ku niemu basem brat Masseo.

Przybyły zwrócił się skwapliwie w jego stronę.

— Jestem astrolog Pochard z paryskiej uczelni Sorbony. Poszukuję szlachetnego Wilhelma Divini, trubadura i poety. Powiedziano mi w mieście, że go tu zastanę...

— Nie słyszeliśmy nigdy o takim — zapewnił brat Masseo.

— Ja też od razu myślałem, że to pomyłka — odparł z ulgą astrolog. — Cóż by on tu robił?

Cofał się ku wyjściu, zbierając fałdy długiej szaty. Franciszek, który posłyszał rozmowę, zatrzymał go.

— Brat Masseo nie wie, że Wilhelm Divini to dawne świeckie miano brata Pacyfika, Wilhelma Divini nie znajdziecie ani tu, ani gdzie indziej; brat Pacyfik jest... Oto on... A, nie masz go? Przecież przed chwilą był? Pewno zaraz wróci...

— Nie będę czekał, nie będę czekał — zawołał astrolog z pośpiechem. Był poruszony i zmieszany. — Proszę mu tylko powtórzyć, że byłem. Moje nazwisko (głos mu nabrzmiął uroczyście) magister nauk wyzwolonych, a w szczególności przesławnych astronomii i astrologii, Jakub Pochard. Przysłała mnie Jej Dostojność pani Blanka z Nawarry, grabini Szampanii, do której dworu należę... Szlachetny Divini miał z nami jechać do Ziemi Świętej. Przyjechałem właśnie po niego. Grabini zatrzyma się jeszcze tydzień, bo statek jest uszkodzony. To mu powtórzcie. Wątpię, zali pojedzie z nami wobec tego, że... jak słyszę...

Zatoczył ręką krąg z wyrazem zakłopotanego politowania, wzruszył z lekka ramionami i wyszedł, poprawiając na głowie sztywny, uroczysty biret. Czerwony i zawstydzony Pacyfik wyszedł z za studni, przy której się ukrył.

Franciszek roześmiał się głośno.

— Ej, bracie! Tuś się schował? Coś nieśpieszno ci było do tego astrologa, jak mu tam?

— Pochard... Nie, nieśpieszno mi. Siedziałem na dworze jego państwa pół roku, ale mi niemiło wspominać...

— Cóż tam robił?

— Namawiałem jedną niewiastę, by rzuciła męża i cudzołożyła z drugim — wyznał jednym tchem Pacyfik i aż zamilkł uderzony szczerością swego wyznania. Ano tak! Ano tak! To robił przecież, nie co innego. Inaczej to się wprawdzie nazywało, odziane było w piękne słowa, ale treść była ta sama. Słowa, słowa, ile słów! Prawo życia i miłości... Trubadur-kapłan i powiernik zakochanych... Rozgrzeszenie przez miłość. Niezwalczone uczucie dwojga szlachetnych, a rozdzielonych kochanków. Miłość nie dająca się okiełznać... Słowa, próżne słowa. Prawda rzeczywista, naga prawda była ta tylko: namawiał kobietę, by rzuciła męża i cudzołożyła z innym, równie jak ona wiarołomnym...

Inaczej mu się to wtedy przedstawiało.

Zarazem przyszło mu na myśl, że środowisko, w jakim obecnie przebywał, było jedynym chyba na świecie, gdzie nie trzeba było wcale kłamać. Ot, powiedział tak straszną rzecz jawnie, otwarcie... Kłamstwa nie ma tam, gdzie jest Franciszek. Odkąd Divini tu przybył, nie potrzebował ani razu skłamać, a wszak w świecie najuczciwsi ciągle kłamią...

— Niepiękne to były cele, zaiste — westchnął Franciszek kręcąc głową. — Czy tą niewiastą była wspomniana przez astrologa grabini?

— Tak jest.

— I cóż teraz będzie?

— Ano nic. Pojedzie do Ziemi Świętej beze mnie...

— Nie uważasz, bracie, że powinienes iść do niej prosić, by nie czyniła grzechu, do któregoś ją namawiał?

— Na dary Ducha Świętego! Nie wymagacie chyba tego ode mnie?

— Nie wymagam ani rozkazuję, ale sądzę, że sam to, bracie, uczynisz.

Blanka z Nawarry, grabini Szampanii, krążyła niecierpliwie po brzegu. Przystań była prawie pusta. Rybackie sieci rozpięte na palach, wywrócone dnem do góry łodzie. Ani jednej galery prócz uszkodzonej, na której przybyła, a którą naprawiali cieśle. W przyszłości staraniem papieży miał w tym miejscu powstać port Civita-Vecchia, zdolny zastąpić zamuloną, odepchniętą przez morze w głąb lądu Ostię, na razie jednak przystań była rzadko uczęszczana i tylko konieczność

szybkiej naprawy statku zmusiła kapitana galery, by tutaj zawiązał. Przedłużający się postój doprowadzał grabinię do rozpaczy. Przypuszczając, że jej niecierpliwa obecność przyspieszy moment odjazdu, nie oddalała się nigdzie z przystani. Nie chciała nawet pojechać do Rzymu. Co jej Rzym (znany zresztą z dawnych lat), skoro Jana w nim nie ma. Niech cieśle pracują dzień i noc, niech kończą nareszcie, by można było odpłynąć!

Rozdrażnienie jej zwiększały powtarzane przez wszystkich wiadomości o mającym w najbliższym czasie nastąpić odjeździe wojsk krzyżowych. Zdawała sobie sprawę, że gdy Ojciec święty wraz z całym rycerstwem zjedzie do Akry, obowiązki króla i wodza pochłoną Jana do tyła, że dla kochanki już czasu nie starczy. Choćby nie wiedzieć jak pragnął, nie zdoła być przy niej. Więc jechać trzeba co prędzej, aby ich uprzedzić! I dygocąca z niepokoju Blanka biega gorączkowo po wybrzeżu, nagli gniewnie cieślów, wymyśla na kapitana, prosi Boga, by opóźnił odjazd rycerstwa, jej zaś dał wiatry pomyślne i szybką przeprawę.

Z niecierpliwości schudła, pociemniała, stała się prędką, gwałtowną. Młody Tybald, który zawsze czuł lęk przed matką, obecnie kryje się, gdzie może, byle z nią nie zostać sam na sam. Przy każdej sposobności ostre wymówki lecą na głowę chłopaka. Blanka byłaby rada widzieć go krzyżowcem. Toż wstyd, że wszystko, co żyje, śpieszy brać krzyż z rąk papieża, tylko młody dziedzic Szampanii jedzie jako zwykły pątnik.

Tybald junior nie czuł najmniejszej chęci do walki i udawał, że nalegań matki nie rozumie. Niemałą przykrość sprawiała mu też nieobecność Wilhelma Divini. Tak oczekiwał przyjazdu trubadura, tak się na niego cieszył! Tyle nowych pieśni przygotował! A trubadura nie było! Astrolog Pochard przywiózł z Rzymu wiadomości niepojęte: Divini wstąpił jakoby do żebraczego zakonu, stał się wędrownym mnichem! Zdawało się to równie pocieszne jak nieprawdopodobne. Divini mnichem! Wszystkiego raczej należałoby się spodziewać niż takiej przemiany. Tybald nie mógł się uspokoić z żalu i zdumienia. Co do Blanki — była tak pochłonięta swoimi sprawami, że ta nowina zaledwie dotarła do jej świadomości. Ograniczyła się do stwierdzenia, że to ciekawe zdarzenie i że wobec tego astrolog zajmie miejsce przeznaczone dla trubadura. Gdyż inaczej cyfra uczestników wyprawy byłaby nieparzystą, a zatem złowróżbną.

Uczony Jakub Pochard wpadł we własne sidła. On to bowiem zaznaczał konieczność liczby parzystej. Dzięki temu Tybald senior polecił mu odprowadzić panią do Italii, skąd miał wrócić po dołączeniu się trubadura. Krótki, lecz swobodny pobyt w Rzymie, zwiedzenie tamtejszych bibliotek uśmiechały się wielce uczonemu. Gładko to sobie wszystko obmyślił. Aż tu na skutek niepojętego szaleństwa Wilhelma spadała nań konieczność odbycia całej podróży! Czuł do tego jeszcze mniej zapału niż Tybald junior (jeśli to możliwe) i jeszcze mniej odwagi do przedłożenia

grabini, że cyfrę parzystą dałoby się równie dobrze osiągnąć donajmując pierwszego lepszego pacholka. Krewka niewiasta wzbudzała w nim prawdziwą obawę. Mamrotał nieśmiało, że może by to, może by tamto... Że ma w domu pilne roboty zaczęte na życzenie Jego Dostojności pana grabiego... Blanka nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Nie rozumiała nawet, czego chce astrolog. Ją obchodziło jedno tylko: dalsze losy jej i Jana. Jak się na nich odbije zapowiedziana krucjata? Czy Jan odzyska Jerozolimę, a dzięki temu osiągnie takie znaczenie i sławę, że Ojciec święty nie odmówi podwójnego rozwodu i ślubu? A może i ona weźmie krzyż, jak to już nieraz czyniły niewiasty, i będzie walczyć z nim razem? Kto wie?

Godzinami chodziła po wybrzeżu, rozmyślając o tych sprawach, stąpając mocno, z pasją. Wiatr szarpał jej kwef. Gdy językiem przesunęła po wargach, czuła na nich słony smak morza. Towarzyszący jej giermkowie i dwórki oczekiwali cierpliwie końca wędrówek pani, siedząc w cieniu skały. Stuk siekier na galerze rozchodził się w ciszy donośnie. Paru włóczęgów spłowiących od słońca siedziało tuż na brzegu, przyglądając się statkowi. Mnich wędrowny, a może żebrak, nadszedł i stanął opodal. Patrzył to na morze, to na niebo, to na przechadzającą się niewiastę. Co pewien czas, gdy doszła do skały, zawracała i mijała go nie widząc, szeleszcząc szatami. Stał długo, nie śmiejąc podejść. Posuwał się o krok naprzód i cofał. Ocierał pot z czoła szorstkim rękawem oponczy. Serce biło mu jak młotem. To była próba, to była próba, wobec której wszelkie poprzednie zdały się igraszką! Jak ma przemówić? Od czego zacząć? Co odpowie, jeśli grabini zapyta go, czy czuje się teraz szczęśliwy i czy nie żałuje tego, co uczynił? Czy potrafi z należyтым akcentem prawdy powiedzieć, że tak? Bo rzeczywiście sam jeszcze tego nie wiedział. Jeszcze się ze swoją nową osobowością nie oswoił, jeszcze mu się nieraz zdawało, że śni... Stał, stał... Nareszcie przezegnął się. Dawnym przyzwyczajeniem obciągnął na brzuchu luźną jak worek burą szatę przepasaną konopnym sznurem i stanął na drodze grabini.

Nie patrząc na niego wyjęła z jałmużniczki grosz i rzuciła w stronę natręta. Nie schylił się. Szedł za nią. Odwróciła się niechętnie.

— Jeśli wam czego potrzeba, zwróćcie się do służby...

— Ja do Waszej Dostojności. Ja...

Głos wydał się jej znajomy. Spojrzała uważnie. Zmrużyła oczy niepewnie.

— To ja. Wasza Dostojność. Wilhelm...

— Divini! — wykrzyknęła ze zdziwienia.

— Dawniej mnie tak zwano. Teraz jestem bratem Pacyfikiem...

— Więc to prawda?! Gdzie Tybald? On was tak czekał. Dziewki, wołajcie panicza!

— Wasza Dostojność! Nie wołajcie nikogo! Z wami, tylko z wami chcę pomówić! Błagam!
Zatrzymała ruchem ręki już odbiegające.

— Mówcie zatem. No, no, nigdy bym was nie poznała. Mówił nam wprawdzie Pochard, ale nie daliśmy wiary... Powiadajcie, co się stało! O herezję was posądzono? Prześladował was kto, żeście się aż pod ten strój schronili?

— Bez przymusu go przyjąłem. Wasza Dostojność, z własnej szczerzej woli.

— W to nikt nie uwierzy — uśmiechnęła się. — Skoro jednak nie chcecie wyjawić, nie będziemy pytać. Pięknie to, żeście przyszli przynajmniej pożegnać się z nami...

— Przyszedłem po co innego, Wasza Dostojność — szepnął zachrypłym ze wzruszenia głosem.

— Słucham ciekawie.

Usiadła na płaskim kamieniu, spoglądając na niego wyczekująco. Milczał jeszcze dłuższą chwilę, pasując się sam ze sobą, po czym wybuchnął:

— Wasza Dostojność! Nie jedźcie do Ziemi Świętej! Wracajcie do Troyes!

Zerwała się na równe nogi niby podsadzona.

— Dlaczego? Dlaczego?

Poraziła ją myśl, że Divini otrzymał jakieś wiadomości, że Jan przestał ją miłować i nie chce już jej przyjazdu.

— Dlaczego?! Pisał do was?! Co się stało?!

— Nie pisał nikt. Nic się nie stało. Tylko że to... grzech...

— Grzech? — wybuchnęła śmiechem, usiadła z powrotem. — Boże! Tak kogoś przestraszyć! Grzech... Znalazł się kaznodzieja! Moralizator! Bracie... Pacyfiku. Czy tak?... Wyznam szczerze, że z kanconą miłosną było wam bardziej do twarzy niż z kazaniem. Co prawda wiola i dawny strój również pasowały lepiej.

Ogarnęła drwiąco wzdurliwym spojrzeniem znękaną postać eks-króla pieśniarzy.

— Wiem, że wyglądam śmiesznie — przyznał z pokorą — niemniej racz mnie słuchać, Wasza Dostojność! Żłem czynił przywożąc do Troyes posłanie szlachetnego rycerza de Brienne. Żłe! Teraz, gdy to widzę, muszę was ostrzec, błagać, prosić, byście tego nie czynili.

Roześmiała się znowu głośno, młodzieńczo. Pokiwała głową z głębokim politowaniem.

— Przedni dowcip! — stwierdziła. — Ja miałabym wrócić? Za nic!

— Pomyślcie o mężu, o przysiędze małżeńskiej, o synu...

— Gdzież oni byli, mąż i syn, gdyście mnie w Troyes do wyjazdu namawiali?

— Zgrzeszyłem, nie rozumiałem. Kajam się... winien jestem. Bądźcie uczciwszą i lepszą ode mnie.

— Nie mam dla kogo poświęcać się — odparła chmurniejac. — Mąż wie i skrycie zezwala. Nie jestem mu żoną od dawna. Nie zniosłby, żebym poszła za byle kim, ale Jan jest krewniak i król... Tybald odetchnie, gdy spod mojej ręki umknie... A ja chcę jeszcze żyć! Mam prawo!

— Kiedyż właśnie tego prawa nie mamy. Wasza Dostojność... Uzurpowaliśmy je sobie, ale go nie ma. Prawo jest jedno tylko. Boże prawo. Rycerz Jan de Brienne jest związany z inną...

— Ona mi ustąpi!

— Choćby chciała, baronowie syryjscy nie pozwolą! Nie zgodzą się nigdy na rozwód!

— Ona mi ustąpi! — powtórzyła groźnie, dotykając mimo woli sukni na piersiach.

Pacyfik nie wiedział czemu, lecz w błysku jej oczu było coś, co go przejęło grozą.

— Wasza Dostojność — podjął. — Ja jestem wszystkiemu winien. Możecie mnie ukarać, sponiewierać, nawet obić. Ale zaniechajcie myśli o podróży!

Wzruszyła ramionami wzgardliwie.

— Ja miałabym zapomnieć o tym, co jest moim życiem, moją jedyną, ostatnią radością?! Zapomnieć? Wyrzec się? A jużci! Niech mnie Bóg karze, jeśli chce! Niech mnie potępia! Wolę do piekła iść, lecz teraz Jana posiadać!

— Wieczność jest długa, życie krótkie — szepnął.

— Nie dbam o to. Za jedną chwilę z Janem oddam wieczność!

— To bluźnierstwo!

— Dzisiaj bluźnierstwo, a niedawno samiście podobnie śpiewali!

— Byłem głupi. Nie rozumiałem...

— Jesteście głupcem dopiero teraz. Śmieszny błazen! Przejrzyjcie się w zwierciadle, jak wyglądacie!

Spuścił głowę czerwony, zmiażdżony. Jego dawna próżność męska krwawiła. Pragnął uciec jak najdalej od jej wzroku, od jej śmiechu, jednakże nie ustępował.

— Pani, wróćcie. Wszystko, com dawniej mówił, to kłamstwo...

Porwała się znów, wściekła jak kocica.

— Jak to?! Kłamałeś, że Jan... że...

— Nie, to była prawda.

— Chwała Bogu — siadła ciężko z powrotem.

— Kłamstwem było wszystko, com śpiewał. Wszystko, co powiadają kancony i romanse... Życie jest inne. Rzeczywistość jest inna, twardsza...

— Przestańcie! Wtedy mówiliście jak człowiek żywy, a teraz jak trup.

— Przeciwnie. Wtedy czułem trupa w sobie, dziś żyję! Zaklinam was raz jeszcze, ustąpcie! Nic z tego nie wyjdzie, jeno grzech i nieszczęście!

— Milczeć! — tupnęła gniewnie nogą. — Dość tego gładzenia! Rozum się wam pomieszał. Jan jest mój, a tamta musi ustąpić, musi...

— Wasza Dostojność, przecież nie ośmielicie się...

— Na wszystko się ośmielę! Nawet na najgorsze!

W uniesieniu dotknęła znów sukni na piersiach. On zatoczył się jak pchnięty. Ogarnęła go rozpacz nad tym, co sam uczynił. Nieodpowiedzialność, z jaką rozpętał uczucie tej strasznej kobiety, przejęła go zgrozą. Ujrzał ją taką, jaką zastał po przybyciu na dwór w Troyes: chmurną, lecz spokojną, nie myślącą o zmianie losu. On ją rozbudził przez to, że podjął się poselstwa Jana de Brienne. Uważał to wówczas za zaszczyt, za obowiązek pomocy zakochanym... Piękny obowiązek, zaprawdę! Teraz też nikt inny, tylko on odpowiada za wszystko zło, jakie stąd wyniknie...

I w najszczerzym przerażeniu upadł na kolana.

— Pani! Na Mękę Pana naszego! Zaklinam was, wracajcie!

Odepchnęła go gwałtownie, że się zatoczył i usiadł na ziemi trzymając oburącz głowę w dłoniach. Czuł się bezsilny i zgnębiony. Ona stała dysząca gniewem; wznosząc się nad nim wysoko, górowała jak uosobienie zbuntowanej przeciw Bogu wolnej ludzkiej woli.

— Boże, bądź miłosiw! — jęknął.

— Ależ o co wam chodzi w końcu? — krzyknęła zniecierpliwiona do ostateczności.

Giermcy i dwórki przyglądają się z daleka i Bóg wie, co myślą. A może, a może Divini nie jest szaleńcem? Może przekupili go księza czy Maria jerozolimka, może to tylko świetnie zagrana komedia mająca na celu odsuniecie jej od Jana?

— Wstawaj! Mów! Mów albo każę ochłostać! Kto cię przysłał?! Kto ci kazał?

— Kto mnie przysłał?! — powtórzył nie rozumiejąc i dźwigając się z trudem na nogi.

— No tak! Kto?! Z czyjego polecenia to robisz?!

— Na zbawienie duszy przysięgam, że tylko moje sumienie...

— Sumienie!

Szczerłość, drgająca w jego głosie, przekonała ją. Uspokoila się, parsknęła obraźliwym śmiechem.

— Sumienie! Pięknego posła Jan sobie wybrał! Stary niedołęga! Sumienie!

Odeszła szybkim krokiem. Nie próbował iść za nią. Po co? Żadne słowo nie przerwie jej cielesnego zapamiętania, nie skłoni do zastanowienia. Nieszczęsna kobieta! Oby jej Bóg dał pokój!

...Pokój! Wraz z tym słowem wyszydzone, sponiewierane, zgnębiony brat Pacyfik, ekstradur, poczuł niewypowiedzianą ulgę. Ogarnęło go wrażenie niemal fizyczne odprężenia i swobody. Trudno. Nie chciała. On zgrzeszył, ale uczynił teraz wszystko, co było w jego mocy, by zło uczynione naprawić. Wyznał swą winę. Bóg mu ją przebaczy. Za Jana i Blankę będzie się codziennie modlił... A co za szczęście, że nie należą już do tego samego świata co oni!

I po raz pierwszy od wstąpienia do zakonu, po raz pierwszy w ogóle od długiego czasu poczuł się doskonale pogodny i szczęśliwy. Ogarnęła go chęć śpiewu. Trzeba ułożyć dla braci jakąś nową, piękną pieśń... Nie oglądając się za siebie ruszył brzegiem drogi, nucąc półgłosem, dobierając słowa i melodie. Wiązały mu się łatwo i dźwięcznie, więc był rad i ani się spostrzegł, jak mijała droga.

Rozdział czternasty

Vae vobis, si opus dei deseretis!

Gracjan Frangipani był niezadowolony, że żona sprowadziła do sali jadalnej tego oberwańca. Wprawdzie ludzie dużo o nim gadają, sam Ojciec święty podobno bardzo poważa, niemniej cudak to i tyle. Błazen, ale niezabawny. A już śmieszne, co niektórzy bają, że święty! Ładny święty! Wystarczy na niego spojrzeć teraz, jak zajada... Święci byli wstrzemięźliwi.

Franciszek zajadał istotnie ze smakiem. Odmówił miejsca przy stole, tłumacząc się, że odwykł od siedzenia na ławie, i usiadł z talerzem w rękę na ziemi przy kominie. Natychmiast otoczyły go psy, znane brytany Frangipanic, zawzięte i podejrzliwe, a on pieścił z przyjemnością ich wystrzępione w walkach uszy i groźne mordy. Rade z pieszczoty rozkładały się wokół,

przewracały na grzbiet, ukazując cętkowane brzuchy, w nagłym porywie zaufania i przyjaźni. Jakuba od stołu spoglądała na to ze zdziwieniem.

— Od razu was polubiły! Zwykle nieżyczliwe są obcym...

— Brata we mnie czują, nie obcego.

— Myślałam, że zapomnieliście o obietnicy i nie odwiedzicie nas przed wyjazdem. Wojska już podobno ruszają z Ankony?

— Tak, a my także odpłyniemy lada dzień. Myśleć o tym spokojnie nie zdołam. Grzeszne moje stopy deptać będą tę samą ziemię, po której stąpał Pan nasz... Obaczę te same miejsca, gdzie nauczał i błogosławił, i cierpiał... Doczekać się odjazdu nie mogę i w ciągłym niepokoju żywię, że coś go opóźni... Ale o przyjsciu do was pamiętałem... Nie sądziłem co prawda, że trafię na taką biesiadę...

— Czy to was gniewa? — zapytała z niepokojem.

Oczy zaokrągliły mu się ze zdziwienia.

— Gniewa? Dlaczego? To takie doskonałe, co jemy. Nigdy czegoś podobnego nie jadłem. Jak się to robi?

— Cieszę się, że wam smakuje. To jest pianka z białek, orzechy tłuczone i miód, prażone razem...

— Bardzo, bardzo dobre... Pan nasz w swoim miłosierdziu dał nam tyle zmysłów dla odczuwania radości! Oczy... Przecież patrzeć na góry albo drzewa, albo niebo, to nieustająca uciecha... Słuch... zwłaszcza gdy się przydarzy słyszeć muzykę albo wodę pluskającą. Powonienie... woń kwiatów. No i smak. Jeść taką rzecz... To przecie cudowne.

Biesiadnicy uśmiechali się patrząc na ten naiwny zachwyt. Jakuba dołożyła gościowi przysmaku.

— Jedzcie zatem, skoro dobre.

Podziękował jej wesoło. Rozejrzał się, a sądząc, że nikt nań nie patrzy, sięgnął ręką za siebie do zimnego popieliska, wziął garść popiołu i dosypał do potrawy, wymieszał starannie i jadł dalej, chwając głośno i cmokając.

— I taki żarłok, łakomczuch, ma zachowanie u Ojca świętego! — mruczał pan domu niechętnie.

Lecz Jakuba zauważyła poprzedni ruch gościa.

— Dlaczego dosypaliście popiołu do pianki, bracie Franciszku? — zapytała wlepiając weń swoje szczere oczy.

Zmieszał się, przeraził, zawstydził, zaczerwienił. Nie wiedział, co odrzec. Wyjąkał:

— Brat popiół jest czysty...

— Cha, cha! — roześmiał się głośno Frangipani. — Cha, cha! To ci dopiero przyprawa!

Obiad był skończony, przeto wstał ciężko od stołu, za nim inni. Jakuba przysunęła sobie niskie krzesło do komina i usiadła naprzeciw Franciszka.

— Czy wszyscy bracia wyjeżdżają z wami? — zapytała.

— O, nie. Tylko dwóch mi towarzyszy. Wielka to z mojej strony nieładność, boć każdy chciałby jechać i właściwie powinienem zostać, ich wysyłając. Ale Ojciec święty mnie upoważnił, bym jechał. Tych dwóch ciągnęli losami. Reszta będzie tu pracować za nas. Roboty jest dużo. Pogan niewiele mniej niż za morzem, a ścieżki pokuty puste...

— Kto będzie rządził zakonem w waszej nieobecności?

Wydawało jej się, że twarz mu ściemniała.

— Brat Elias Bombarone. Większość braci życzyła go sobie. Musiałem usłuchać...

— Musieliście usłuchać? Więc waszym zdaniem nie będzie dobrym zastępcą?

— O, cóż znowu! Będzie na pewno najlepszym. Na pewno. Cóż, to nie jest wcale trudna rzecz być moim zastępcą. Trzeba się tylko trzymać we wszystkim Ewangelii świętej i każde jej słowo brać prosto. Ludzie chętnie przeinaczają. Mówią: to trzeba tak a tak rozumieć. To było dla innych czasów pisane... dla innych ludzi... Grzeszne gadanie! Ludzie są zawsze jednakowi, a słowa Pana naszego są wieczne, i muszą być brane prosto. Te przeinaczenia to zwykłe wybiegi ludzi uczonych.

Nie mogła się wstrzymać od uśmiechu.

— Jednakże brat Elias jest pono uczony?

— Skąd wiecie? — zdumiał się.

— Biskup Gwido opowiadał mi o was wszystkich po kolei...

— Domyślam się, że Jego Dostojność ksiądz biskup przedstawił nas o wiele lepiej, niż na to zasługujemy! To przyjaciel nasz najlepszy i opiekun... Owszem, brat Elias jest uczony. Ale obiecał mi, że nie będzie się kierował rozumem, jeno Ewangelią i sercem... Bo jeszcze druga rzecz ważna u kierownika braci — to, żeby miał ku nim serce... I zawsze przebaczył... Chociażby najgorsze... A gdyby który z braci zgrzeszywszy nie prosił o przebaczenie, kierownik powinien

sam przyjść ku niemu i objąć za szyję i zapytać: „Bracie drogi, czy naprawdę nie chcesz, żebym ci przebaczył?” ...I to czynić zawsze, zawsze, choćby kto zgrzeszył sto razy... Bo przecież Pan nasz tak właśnie postępuje z nami... Darujcie, żem się tak rozgadał...

— Słuchałabym jak najdłużej.

— Mielicie się mnie o coś zapytać, nieprawdaż? Co będę mógł, to poradzę. A gadam tyle, bo mi u was dobrze. Jakbym nie z niewiastą mówił, ale z bratem. Jeśli się nie pogniewacie, będę was zwał bratem Jakuba?

— Zwijcie. Zaraz wam wyłożę moje troski, ale wprzód opowiedzcie mi jeszcze... Tak chciałabym coś wiedzieć o was... i o siostrze Klarze...

— To i o siostrze Klarze Jego Dostojność wam mówił? Jak to dobrze! Cieszę się, gdy mogę z kimś o niej rozmawiać! Klara już jest od paru miesięcy w klasztorze. W samą Palmową Niedzielę odbyły się jej zaślubiny z Panem. Już nic jej nie grozi. Nikt jej nie umniejszy, nie zniszczy...

— Ojcowie jej byli temu podobno przeciwni?

— Bardzo. Woleliby ją wydać za śmiertelnego, a przez nią nie kochanego człeka niż za Boga. To dziwne, prawda? Klara wymknęła się nocą ukradkiem z zamku. Inne czynią podobnie dla złych, szpetnych rzeczy, ona zaś dla Chrystusa... Czekaliśmy na nią w kapliczce. Strach, jak mi serce biło! Co zwierz w lesie zaszeleścił, myślałem: ona jest! A potem nie ma nikogo... Więc znów myślę sobie, że widno jej nie puścili, nie przyjdzie. Aż późną już nocą słyszemy kroki: idą! Ona z duegną. Zapalajcie światła na zaślubiny — mówię do braci. Sam wyszedłem naprzeciw... Stała na ścieżce taka cudna, promieniejąca... Suknię miała złościstą, odświętną... Suknia lśniła w mroku jak struga wody... I wziąłem się za rękę i wprowadziłem ją do kaplicy, a tam już bracia zapalili świece. Jasno było jak w dzień. Ptaszki zbudziły się w krzakach i poczęły ćwierkać... Wdziała czarny habit, a ja postrzygłem jej włosy. Nie możecie sobie wyobrazić, jakie były długie, miękkie, złote... Bez żalu je Panu oddała. Potem owiązała głowę czarną chustką i odprowadziłem ją z pochodniami, jak przystało oblubienicy, do klasztoru panien benedyktynek w Isola Romanesca...

Jakuba słuchała uważnie, otwierając szeroko, po swojemu, oczy.

— I co dalej? — zapytała.

— Cóż mogło być dalej? Tam ostała. Ale niedługo, za zezwoleniem Ojca Świętego, ona i parę nowych sióstr przeniosą się do klasztoru świętego Damiana na swoją własną regułę...

— Będziecie ją czasem widywać?

— Skądże! Regułę wezmą bardzo surową. Tak postanowili z Klarą. Nie zobaczą jej już nigdy... na tym świecie...

— Nie sądźcie, że będzie czasem potrzebować opieki, wskazówki?

— Ojciec Święty wyznaczy jej dobrego spowiednika.

— Wolałaby pewnie poradzić się was niż kogoś obcego?

— Ona nie potrzebuje mojej rady. Ona wszystko wie lepiej ode mnie. To wybrana dusza Boża...

— Jeśli was miłuje, będzie tęsknić. Może chciałaby czasami was widzieć, dotknąć waszej ręki...

Roześmiał się kręcąc głową.

— Klara miłuje tylko Pana naszego. Zresztą nie wyobrażam sobie, by komukolwiek mogło zrobić przyjemność dotknięcie takiego o, łapska... — podniósł w górę swoją dłoń. Choć spracowana i zgrubiała, zachowała cienkie palce i wąski, rasowy kształt.

— Jednakże człowiek bywa miły człowiekowi?

— Jak któremu. Gdybym mógł przypuścić, że tak jest, jak mówicie, straciłbym cały swój podziw dla Klary.

— Dlaczego? — oburzyła się.

— Bo ona może miłować tylko to, co najczystsze, najdoskonalsze, wieczne! Klara kochająca śmiertelnego plugawca jak ja... Och, to byłoby okropne!

Uśmiechnęła się smutnie i zgodnie.

— Przekonaliście mnie. Już nie będę się spierać.

— Spodziewam się! — zawołał z tryumfem. — Klara... Naprawdę, nie możecie sobie wyobrazić, jaka ona jest. Jak kwiat i diament zarazem... A jeszcze...

Nagły gwar przerwał ich rozmowę. Ktoś wbiegł na dziedziniec. Ktoś coś wołał głośno. Psy poderwały się warcząc. Gracjan Frangipani stanął we drzewiach.

— Ojciec święty zasłabł nagle!

Ojciec święty umiera! — niosło się już przez dziedziniec.

— Boże miłosierny! — zakrzyknął Franciszek osłupiały.

— Po was przysyła... — dokończył Frangipani jakby ze zdziwieniem.

Franciszek wybiegł bez słowa, dudniąc bosymi piętami po schodach. Frangipani już na dziedzińcu krzyczał, by prędeż podawano konie jemu i pani. Giermcy pomagali gorączkowo pachołkom kielznać i kulbaczyć wierzchowce. Tłumy ludzi płynęły ku Lateranowi, snadź wieść o niemocy Ojca świętego rozeszła się już po mieście. Zwykle, gdy papież umierał, najważniejszą, pochłaniającą wszystkich sprawą był obiór jego następcy. Dziś wszyscy zgadzali się, że prawdopodobnie na Stolicy Apostolskiej zasiądzie sędziwy kardynał Cencio Savelli, który miał rządzić Rzymem w czasie nieobecności Innocentego III, a spierali się i niepokoiли o to, kto stanie na czele krucjaty. Tyle wojska zebranego, tyle sił miałożby znowu pójść na marne z braku wodza?

— Kardynał Pelagiusz pono się zgłosił, że on poprowadzi...

— Nie daj Boże! Twardy to człek.

— Na wojnie trzeba twardego.

— Ale nie pyszałka...

Dzwony biły. Mrok zapadał. Przejrzysty, fiołkowy. Innocenty III był przytomny, zupełnie przytomny. Śmierć przyszła doń nagle. Z trudem usiłował z jej nadejściem się pogodzić. Jeszcze wczoraj łudził się, że mu sił starczy, że Bóg chce, aby on powiódł wyprawę, a dzisiaj umierał. Serce sterane, schorowane, zbyt strudzone gorzką rolą bezsilnego sumienia chrześcijaństwa, wypowiedziało swą służbę i żadne usiłowania medyków nie mogły go wzmóc.

Przyjąwszy sakramenta święte, Innocenty kazał się wynieść wraz z łożem na ganek górujący ponad placem. Chciał spojrzeć na miasto, na rzesze, na wojsko, które do Ziemi Świętej powiedzie kto inny... Ujrzawszy nieprzeliczone mrowie rozświetlone pochodniami, stojące w głuchym milczeniu, zapłakał i rozkazawszy unieść się na łożu podniósł rękę, jakby chciał przemówić do zebranych i całego chrześcijańskiego świata.

Ganek oświetlony był dziesiątkiem świec i z dołu dojrzano dźwignięcie się Ojca świętego. Padli wszyscy na kolana. Papież zawołał:

— Biada wam, biada wam, jeśli dzieła Bożego zaniechacie!

Głos jego brzmiał zaledwie dosłyszalnie, lecz okrzyk podchwycili otaczający, rzucili w dół jako ostatnie zlecenie umierającego. I ludzie zalegający plac i okoliczne wzgórza wróciwszy późno w noc do domów mówili długo o tym białym widmie sumienia chrześcijańskiego, o dłoni podniesionej i słowach:

— Vae vobis, vae vobis, si opus Dei deseretis!

Tom drugi

Rozdział pierwszy

Król

Rycerz Aymar de Layron, pan Cezarei, powrócił znowu do Rzymu, tym razem jako poseł Jana de Brienne, i co dwie niedziele za pośrednictwem galery pizańskiej przysyłał wiadomości o zbierających się w Italii wojskach krzyżowych. Kapitan galery kazał sobie słono płacić za to, że nie zatrzymywał się nigdzie po drodze, lecz listy przychodziły szybko do Akry budząc wśród tamecznego rycerstwa radość i nadzieję. Zaprawdę, nikt nie przypuszczał, by po zdobyciu Bizancjum udało się jeszcze dźwignąć Europę do ponownego, piątego z kolei pochodu! Wiedzano, że przypisywać to należy tragicznie zakończonej krucjacie dziecięcej, o tej ostatniej jednak wiadomości posiadane na Wschodzie były raczej mętne. Według relacji przybywających, niezliczone rzesze dzieci wiedzione widomie przez wojska anielskie siadły na okręty w Wenecji, Genui, Marsylii i ruszyły w drogę. Na pełnym morzu schwyciła je burza. Burza wzniecona była przez szatana i jego kohorty broniące przeprawy aniołom. Po raz drugi w dziejach świata archanioł Michał starł się w ręcznym boju z Lucyferem i strącił go w wodę. Dzieci, niewinnych świadków tej straszliwej walki, Bóg zabrał do nieba, by nie opowiadały o rzeczach, których śmiertelnym oglądać nie wolno. Ciałka ich morze odniosło i ułożyło rzędem w miejscu wskazanym falom przez Ojca Świętego... A starsi chwycili oręż wypuszczony z rąk dziecięcych.

Tak opowiadano, i Jan de Brienne, stary żołnierz, słuchając kręcił głową z niedowierzaniem. Nie próbował jednak dociec prawdy, tym bardziej że pozbawiona była dla niego znaczenia. Mniejsza o to, jakie cuda czy zdarzenia rozbudziły wygasły zapał baronów francuskich i włoskich. Wystarcza, że zapał ten jest, że w Ankonie, Brindisi i Bari zbierają się ogromne siły trzydziestu tysięcy sięgające, które lada dzień pod przewodnictwem samego Ojca Świętego wyruszą do Ziemi Świętej. Pan de Layron przysyłał dokładne sprawozdania, wyliczał szczegółowo ilość ludzi i rodzaje broni. Wiedzano zatem w Akrze, że w pogotowiu wojennym stoją czekając hasła odjazdu: mężny książę de Nemours. Jan d'Arcy, panowie Wilhelm de St. Omer, Robert de Hainaux, Erard de Chacenay, Albert de Castel Gualteria, Szymon de Joinville, rycerze angielscy de Sussex i Arundel oraz wielu, wielu innych. Byle tym razem zużytkować

umiejętnie te siły, nie pozwolić, by wyprawa szczyła na niczym jak poprzednia trzecia krucjata i czwarta!

— Nie stanie się to, jeśli wy, Miłościwy Panie, obejmiecie dowództwo nad wojskami — mówił do Jana stary Ibelin z Bejrutu, regent królestwa w czasie małoletności królowej. — Ojciec święty będzie wodzem duchowym, ale nie sprawi szyków ani powiedzie do bitwy... To musi wam przyspaść, dla dobra Grobu Świętego.

— Gdym żegnał Ojca świętego, rzekł mi: „Ja zwołam, wy poprowadzicie!” — przyznawał Jan. — Tuszę, iż o tym pamięta... Obmyśliłem już plan wyprawy i przesłałem go na ręce pana Aymara, by Ojcu świętemu przedstawił... Moim zdaniem bowiem wojska nie powinny płynąć ku nam, ale prosto na południe...

— Jak to, Miłościwy Panie? Nie do Ziemi Świętej?

— Nie. Zaraz wam wyłożę, dlaczego...

Nim zdążył jednak to zrobić, świeżo mianowany biskup Akry, Jakub de Vitry, przybyły przed miesiącem z Rzymu, rozżalony zabrał głos:

— Nie kierunek zadecyduje o powodzeniu wyprawy, ale duch, jaki będzie panował w rycerstwie... Szlachetni panowie, Miłościwy Panie! Dużo słyszym w Europie o panującym w Królestwie Jerozolimskim zepsuciu i radzi bierzemy to za gadki potwarców, a oto przyjechawszy widzę z osłupieniem, że gorsza jest rzeczywistość niż najgorsze plotki! Sądзим w Europie, że mimo utracenia Jeruzalem istnieje w szczątku królestwa duch Boży i tęsknota za odzyskaniem straconych świętości... Niestety, nie masz jej. Ludność się arabizuje. W Tripoli musiałem kazać przez tłumacza, który słowa moje na arabski przekładał chrześcijańskiemu ludowi! W portach Wenecjanie, Genuńczycy i Pizanie walczą ze sobą o prymat, a wcale nie pragną zwycięstwa krzyżowców. Powiadają wręcz, że korzystniej dla nich mieć porty w swym ręku, a kraj w posiadaniu Saracenów, bo obroty przez to lepsze i dowóz towaru łatwiejszy! Otwarcie to powiadają! Groza zdejmuję słuchając!

— Królestwo Jerozolimskie to zebrane tutaj szlachetne rycerstwo, a nie kupcy weneccy, pizańscy i genuńscy, bez woli naszej przybyli — prostował Jan z niezadowoleniem.

— Nie chciałbym czci ująć szlachetnym rycerzom, ale gdybyż moje słowa tyczyły się tylko kupców! To panujące powszechnie zepsucie! Już też i u poganów nic gorszego być nie może... W nierządzie żyją wszyscy. Święte prawo małżeństwa poszło w zapomnienie. Na zbrodnię trafisz co krok. Fraszka to mężowi struć żonę, żonie struć męża, by poślubić kochankę czy kochanka...

— Przesada, Wasza Dostojność — roześmiał się Jan. — Dzieje się dużo zła, bo spokojni, osiadli ludzie nie garną się ku nam z racji ustawicznej wojny, natomiast przychodzą podejrzone włóczęgi, zbóje ścigane przez prawo i złodzieje... Wzdłuż całego Morza Śródziemnego kto zadarł z mistrzem katowskim, ucieka do nas. Wie, że wobec braku ludzi każdego przyjmujemy...

— Nie lza przyjmować! — krzyknął biskup. — Skalanymi dłońmi nic nie wskóracie! A com rzekł, nie cofam. Zbrodnia wszędy... Wszystko, co mówię, to jeszcze mało. Na każdej prawie ulicy znajdziesz kramy, w których czarownice jawnie handlują trutkami. Stręczycielki nie dają przejść spokojnie nawet duchownym... Nie ma już w tym nieszczęśliwym królestwie uczciwych małżeństw, uczciwych mężów ani uczciwych żon!

— Ależ nie! — wykrzyknęła z dziecinnym oburzeniem królowa. Siedziała tak niewidoczna w swym wielkim poręczowym krześle, odzywała się tak rzadko, że nikt nie pamiętał o jej obecności, i teraz na ten wykrzyk spojrzeli na nią wszyscy ze zdumieniem. Poczuli się tym zmieszana i zawstydzona. Miała prawo brać udział w Radzie, bo tron należał do niej, nie do męża, lecz nie korzystała zwykle z tego przywileju. Sprawy państwowe nie zajmowały jej, czuła się w nich jak zgubiona. Dziś przyszła tylko dlatego, by przy tej okazji zobaczyć Jana. Tak mało go widywała! Odkąd była w ciąży, zupełnie przestał ją odwiedzać, tłumacząc się względem na jej zdrowie.

Zdrowia nie miała mocnego istotnie, przyszłe macierzyństwo zносиła z trudem, ależ właśnie obecność męża dodałaby jej sił i otuchy. Nie śmiała tego jednak powiedzieć. Podziwiała Jana i pokochała go łatwo pomimo różnicy wieku. Taki był mądry, waleczny. Baronowie cenili go i szanowali. I słuchali, co się rzadko zdarzało!

Jakub de Vitry skinął głową.

— Słuszne oburzenie Miłościwej Pani wskazuje dowodnie, jak czysta jej dusza daleka jest i obca dziedzinie grzechu. Tak być powinno. To obowiązkiem Pomazańca. Oboje królestwo górują nad ułomnościami ludzkimi jak gwiazdy nad ziemią. Gdybyż ich chciano w cnotcie naśladować!

Królowa Maria zmieszała się jeszcze bardziej pochwałą i spojrzała na męża. Ale Jan nie patrzył w tę stronę. Tylko stary pan Ibelin z Bejrutu uśmiechnął się do niej ojcowsko. On wychowywał sierotkę, nie tylko sprawując w czasie jej małoletności rządu, lecz zastępując dziecku ojca i matkę. I przywiązał się do niej jak do własnej córki, tym bardziej że wnuków nie miał. Pragnął jej szczęścia więcej niż czego innego na świecie.

Z wyboru króla był zadowolony. Starszy, poważny człowiek, rycerz całą gębą. Mało pochopni do posłuchu baronowie szanowali go istotnie. Nawet wielcy mistrzowie trzech

rycerskich zakonów — templariuszów, szpitalników i teutońskiego Najświętszej Maryi Panny Jerozolimskiej — nie buntowali się zbyt. Z początku całe rycerstwo syryjskie miało za złe nowemu królowi, że lekceważy sobie wyrządzony przez nie zaszczyt i nie śpieszy się z objęciem tronu, dąsy te jednak minęły, a obojętność Jana podniosła jego znaczenie. Każdy z poprzedników zabiegał o tron sam lub zabiegały dla niego kobiety. De Brienne naznaczony został wbrew swojej woli przez króla francuskiego i Ojca świętego. Nie zawdzięczał panowania nikomu z obecnych, nie miał w stosunku do nikogo z tutejszych ludzi zobowiązań. A bojowym doświadczeniem i umiejętnością rządzenia równał się najlepszym. Nie raziła nawet jego niezamożność. Umiał obchodzić się z pieniędzmi ze wzdorliwą wyższością, wskazującą, jak mało o nie dbał. Skromny ubiór, skromny orszak mogły być równie dobrze wynikiem ubóstwa jak zamięłowania w twardym trybie życia. W chwilach uroczystych występował w całym blasku klejnotów i strojów koronnych (wywiezionych niegdyś z Jerozolimy przez królową Sybillę dzięki wspaniałomyślności Saladyna) i — do licha! — każdy musiał przyznać, że umiał je nosić! Na co dzień zachował swój kubrak skórzany, spłowiąły od długiej służby. Nie przyjmował nic od żony ni od Rady. Był gotów każdej chwili odejść, tak jak przyszedł: wolny, dumny, niezależny. To stanowiło jego siłę.

Poza tym darzyło mu się w tych pierwszych latach panowania. Z sułtanem Malik al-Adil zawarł rozejm na sześć lat na prawach równego z równym. Ten najmłodszy brat Saladyna, swatany kiedyś z królową angielską, acz niepodobny do brata, zachował część jego życzliwości ku Latyńcom. Trudno określić, z czego ta życzliwość wypływała, bo Malik al-Adil nie był mędrce i nie zagłębiał się w rozważania religijne. Powszechnie mówiono, że wpoił ją wszystkim Ajubitom wychowawca ich emir al-Bara, który był synem branki chrześcijańskiej. Jeśli tak było istotnie, wpływ tej dawno zmarłej kobiety okazał się trwałym. Ajubici nigdy nie rozpoczynali pierwszych wojny z Frankami. Gdy ją wypowiadali, to jakby z niechęcią, zmuszeni do tego wiarołomstwem lub napastliwością baronów, a zgadzali się zawsze skwapliwie na pokój.

Młodsze pokolenie — al-Muzaam panujący w Damaszku, Malik al-Kamil rządzący Egiptem — nie rozumiało już tej powściągliwości. Owszem, za jedyny cel uważali wytopienie Franków, a hańbą ich zdaniem było pozostawienie w posiadaniu Latyńców wąskiego skrawka wybrzeża i paru portów szumnie zwanych Królestwem Jerozolimskim. W porównaniu z ogromem władztwa muzułmańskiego, obejmującego całą Azję Mniejszą i północną Afrykę, obszar ten zdawał się muchą przy słoniu, i czy nie śmiesznym było zawieranie przez słonia układów z tym brzęczącym, natrętnym stworzeniem?

Lecz stary Malik al-Adil znał z opowieści dzieje zdobycia Jerozolimy, a z własnej żywej pamięci niewytłumaczoną klęskę zadaną Saladynowi przez trędowatego chłopca pod Montgisard i

upierał się przy swoim, że siły Franków nie należy mierzyć liczbą. Z niekłamanym też zadowoleniem przyjął wiadomość, że na tronie jerozolimskim w miejsce poprzednich młodych zapaleńców zasiadł siwy, doświadczony rycerz, skłonniejszy do pokoju niż do walki.

Owoce tego zadowolenia był ów sześciolatek rozejm, stanowiący dla maleńkiego państewka cenną chwilę odpoczynku.

— Nierad bym tego pokoju przerywać za wcześnie — mówił Jan, gdy biskup Jakub de Vitry, wyliczywszy wszystkie zdrożności syryjskiego świata, umilkł znużony. — Mówiłem przed chwilą, że posłałem Ojcu świętemu plan nowej krucjaty, odmienny od dotychczasowych. Według niego nie zrywamy od razu z Adilem. Uderzenie na Palestynę ani dla nas nie jest dogodne, ani dla Saracenów niebezpieczne. Natarcie należy zacząć od Egiptu...

— Od Egiptu?! — wykrzyknęli wszyscy ze zdziwieniem.

— Tak. Musimy wykorzystać, że Ojciec święty zebrał silną flotę. Uderzyć na Aleksandrię albo Damietę... Przyłożyć topór do pnia, nie do gałęzi. Podstawa potęgi muzułmańskiej to nie Palestyna ani Damaszek, tylko Egipt. Stamtąd bogactwo sułtanów! Stamtąd siła! Woleliby wszystko raczej utracić niż egipskie porty! Gdyby udało się zdobyć Damietę, obaczycie, że oddaliby Ziemię Świętą bez sprzeciwu!

— Śmiałe zamysły — bąknął bez przekonania wielki mistrz templariuszów Wilhelm de Chartres.

Ale stary Ibelin poparł gorąco króla.

— Nienowa to myśl! — zawołał. — Wedle kroniki arcybiskupa z Tyru król Amalryk podobny plan żywił. Przymierze z basileusem Manuelem zawarł, by sobie pomoc jego floty zapewnić.

— Jeno czy panowie zachodni przystaną? — powątpiewał Raul z Tybieriady. — Pomyślą, że ich chcemy odwieść od Ziemi Świętej, jak Dandolo odwiódł tamtych...

— Jeśli Ojciec święty powierzy mi dowództwo, sądzę, że potrafię ich przekonać!

— Nikomu innemu nie powierzy — rzekł z przekonaniem Ibelin — bo godniejszego nie znajdzie. Nie tylko zasługą i znajomością kraju, ale stanowiskiem. Jest ci wprawdzie wśród krzyżowców królewski krewniak de Nemours, ale ukoronowanego żadnego nie ma...

— Czy książę polski nie przybędzie? — zapytał z kąta milczący dotąd rycerz Dzierżek.

Był stary prawie jak Ibelin z Bejrutu. Przyjechał z Polski z trzecią wyprawą krzyżową, dostał się do niewoli, zbiegł z niej szczęśliwie do Akry, zachorzał, leczyl się długo; gdy wyzdrowiał, nie chciało mu się jakoś powracać do kraju. Przywykł do tutejszej ziemi i jak te ptaki, co wiecznie

zbierają się do odlotu, nigdy nie odlatując, mówił zawsze o wyjeździe, ale nie odjeżdżał. Ceniono go, był bowiem prawy i mężny. Miano rodowe, zbyt trudne do wymówienia, zastępowano nazwą narodowości: Rycerz z Polski, sire de Pologne.

Rycerz Dzierżek nie czuł się zbyt osamotniony, bo co pewien czas zjawiali się w Ziemi Świętej jeśli nie rodacy, to wieści o nich. Nie dalej jak roku zeszłego, czasu nieudanej wyprawy węgierskiej, przyjechał książę Każko szczeciński, syn Bogusława, z kilkunastoma wojami. Gdy młody książę zginął rycersko przy oblężeniu góry Tabor i jego towarzysze pozbawieni wodza odjeżdżali z powrotem do kraju, Dzierżek zarzekł się, że pojedzie z nimi, w ostatniej chwili jednak rozmyślił się, został. Czuł tęsknotę za ojczyzną, ale dwadzieścia kilka lat spędzonych w Syrii zrobiło swoje. Szczeciniacy wydawali mu się gburni, nieuczni, poza tym bał się niedostatku. Swe dobra dziedziczne, Busk, zapisał przed wyjazdem klasztorowi premonstratensów na wypadek niepowrotu i nieskładnie byłoby teraz mnichów usuwać z włości, na których od ćwierć wieku gospodarzą. Już chyba tutaj do śmierci zostanie, zwłaszcza że sam Ojciec święty i biskupi nawołują, by dobre rycerstwo nie opuszczało ostatnich posiadanych w Palestynie placówek.

— Książę polski nie przyjedzie — objaśniał Dzierżka biskup Akry. — Była o tym wiadomość jeszcze przed moim wyjazdem z Rzymu. Bo na sobór przybyło sześciu polskich biskupów. Tłumaczyli przed Ojcem świętym swego księcia, że mimo ślubowania na krucjatę nie przybędzie...

— A o którym księciu mówili? O którym? Bo jest ich kilku...

— Lesko, jeśli się nie mylę... Dux Cracoviae...

— Leszko krakowski i sandomierski! Wiem! Wiem! Co go zatrzymało?

— Powiadali biskupi, że z racji wielkiej otyłości książę w daleką drogę udać się nie może. Powiadali też, że przywykł pić miód i piwo, tu zaś obu tych napitków nie ma, jeno wino i woda, których jego natura nie znosi... Przeto uprasza Stolicę Apostolską, by w zamian za ślubowanie przyjęła walkę z poganami Prusami, których ochoczo w miarę sił nawracać będzie.

— Nie przyjedzie zatem — westchnął z żalem Dzierżko.

— Co za pogany? — zapytał de Brienne. — Nigdy o nich nie słyszałem.

— Najdziksze, najbardziej Panu Chrystusowi przeciwne plemię na świecie — uprzedził odpowiedź Dzierżka wielki mistrz zakonu teutońskiego Herman von Salza.

Pan Dzierżek ze zdziwienia wsadził sobie koniec węża do ust i tak pozostał. A cóż ci mogą wiedzieć o Prusach? Co ich Prusaki obchodzą?

Jakub de Vitry nie podzielał zdania wielkiego mistrza.

— Arcybiskup gnieźnieński, Kietlicz, powiadał mi — rzekł — że to plemię całkiem dzikie, twierdz ni dobrego oręza nie posiadając, z ciemnoty nie z przyrodzonej złości trwające w pogaństwie.

— Słusznie powiadał — poparł Dzierżek.

Zastępca wielkiego mistrza Herman von Balke spojrział na niego z niechęcią. Był tęgi, nalany, bladawy, o twarzy okrutnej i przebiegłej. Herman von Salza cenił go za rozum i we wszystkim swemu zastępcy ulegał.

— Tak jest, jak mówim — warknął von Balke. — Nie prostaki to, ale wrogci zaciekle. Walczyć z nimi — ta sama zasługa, co walczyć z muzułmanami. Bodaj większa nawet, bo dla Kościoła groźniejsi. Z Kairu czy Damaszku daleko do Rzymu, a z Prus blisko... Nie może być bezpieczne chrześcijaństwo, póki te pogany na północnej rubieży siedzą... Najstarsze, najczcigodniejsze biskupstwa niemieckie są od nich ustawicznie zagrożone!

Dzierżek otwierał coraz szerzej oczy i z policzkiem wypchanym wąsem patrzył ze zdumieniem na mówiącego. Pozostali wszyscy słuchali ciekawie, dziwiąc się, że o takim srogim wrogu nie słyszeli,

Garin de Montaigu, wielki mistrz szpitalników, uśmiechnął się złośliwie.

— Powiadano już, ale nie wierzyłem, że Wasza Wielbność myśli o przeniesieniu zakonu do Europy... Może dla walki z owymi Prusami, co choć nadzy i bez mieczów, niebezpieczniejsi są od Saracenów?

Von Balke poczerwieniał z gniewu.

— Na razie jesteśmy tutaj, wierni ślubowi walki o Grób Święty. Na szyderstwo nie zezwolę. Lew z gołą paszczą idzie do boju, a najmężniejsi przed nim truchleją. Prusowie zbroi nie znają, lecz ich mnogość, ich przez szatana podsycane męstwo sprawiają, że są groźniejsi od innych pogan. Zapytuję rycerza z Polski, czy chrześcijańscy książęta sarmaccy nie ujarzmiłoby dawno tych północnych demonów i do wiary świętej nie zmusili, gdyby starczyło im siły, aby to plemię pokonać?

Rycerz Dzierżek znalazł się w kłopotliwym położeniu i przestał gryźć własny wąż. Nie cierpiał Hermana von Balke, a zaprzeczając jego słowom mógł podać w podejrzenie męstwo polskiego rycerstwa. Los zwolnił go z odpowiedzi. Jan de Brienne podniósł głowę.

— Dzwony biją — rzekł, ruchem ręki nakazując milczenie.

Przycichli wszyscy. Ktoś pchnął okiennicę.

— W katedrze dzwonią!

— U Świętego Jana także!

— I u Świętej Trójcy także!

— Nieprzyjaciół podchodzi pod gród, czy ogień?!

— To nie są dzwony na trwogę!

Raul z Tyberiady poskoczył ku drzwiom, by lecieć po wiadomości. W drzwiach zderzył się z wchodzącym giermkim Janowym, Wilfydem. Za giermkim postępował jakiś obcy rycerz.

— Jestem Gerard d'Avesnes — powiedział. — Przybyłem przed chwilą francuską galera. Złą wiadomość przywiozłem: Ojciec święty nie żyje!

— A Słowo stało się ciałem! — jęknął de Vitry.

— Wieczny spój jego duszy — rzekli równocześnie trzej wielcy mistrzowie.

— Ojciec święty nie żyje... — powtórzył de Brienne. — A co z krucjata? — wykrzyknął.

— Rycerze się nie rozchodzą. Czekają na nowego przywódcę.

— Trzeba wam, panie, co rychlej jechać samemu do Rzymu — mruknął Ibelin, a de Brienne skinął głową potakująco.

— Zaiste, złą wiadomość przywieźliście nam, rycerzu — rzekł głośno. — Złą i ważną.

— Wiedziałem o tym i śpieszyłem. Pielgrzymem jestem. Skorzystałem z uprzejmości grabini Szampanii płynącej tu i przybyłem jej galera...

Urwał zdumiony wrażeniem, jakie te słowa zrobiły na Janie.

— Grabini Szampanii? — zakrzyknął tenże. — Z domu Nawarry?!

— Tak jest. Przybyła z synem, by wykonać ślub pielgrzymki...

— To krewniaczka moja! Gdzie się zatrzymała?

— W hospicjum dla szlachetnych pielgrzymów.

— Zaraz rano poślę, prosząc, by się przeniosła na zamek... Tak, tak, Bóg zapłać za tę wiadomość... Więc Ojciec Święty nie żyje?... Co za strata dla całego chrześcijańskiego świata! Miło was witam, rycerzu... Pozostańcie naszym gościem... Szlachetni panowie, wobec żałobnej wieści przerywamy Radę...

— Miłościwy Panie! — zauważył Ibelin zdziwiony. — Sądzę, że właśnie wobec tej wieści musimy natychmiast postanowić, co robić dalej. Wy musicie dowodzić krucjata. Znacnie panów

zachodnich! Ilu chętnych a niepowołanych skorzysta ze zgonu Ojca świętego, by wyciągnąć dłoń po naczelne dowództwo!

— Nie mogę sam się napraszać — odrzucił de Brienne — zresztą naradzimy się jutro... Albo pojutrze — dodał z roztargnieniem. — Co za wiadomość! Boże, co za wiadomość!

— Bardzo ciężka wiadomość — westchnął stary pan.

— Ciężka?! Cudowna! Cudowna! Ach, tak... Wy o tamtym... Tak... To bardzo smutne. I takie nieoczekiwane. Żegnajcie...

Wyszedł rażnym krokiem, ani spojrzawszy na żonę, która podniosła się z krzesła i patrzyła za nim dziecinnymi zafrasowanymi oczami. Zwykle żegnał ją ceremonialnie i oddawał w ręce ochmistrzyni, małżonki pana Aymara z Cezarei. Stropiona, niezręcznym ruchem pożegnała obecnych i ruszyła sama ku wyjściu. Były regent, stary pan Ibelin, miłujący ją jak ojciec, podszedł i powiódł ją ze czcią. Z nagłą wdzięcznością oparła się na jego mocnym ramieniu.

Wszedłszy do komnaty de Brienne odprawił Wilfryda, odprawił podobnie obu pokojowców nadbiegających, by rozebrać pana. Chciał być sam, sam. Sam ze swą nagłą radością. Zrzucił kaftan, rozpiął pod szyją koszulę i chodził po izbie rozgorączkowany. Blanka przyjechała, przyjechała, przyjechała! Przestał się już tego spodziewać, przestał jej oczekiwać, a ona przyjechała! Jest w Akrze, jest tuż blisko! Prawie trzy lata jej nie widział. Trzy lata. Wydało mu się nagle niepojętym, że mógł wytrzymać tak długo. Przyjechała... Wilhelm Divini, trubadur, wypełnił otrzymane zlecenie. O, niech zażąda nagrody, jakiej chce. Wszystko otrzyma. Wszystko, co w Janowej mocy... Sprowadził Blankę. Blanka jest blisko, jest blisko... Ogarnęła go nieprzemierzona chęć wyjść z dworca i biec do hospicjum. Poczul się młodym, szalonym jak niegdyś. Wytrzymał trzy lata bez niej, lecz ani godziny dłużej! Ani chwili! — ...Uspokój się, jesteś królem — hamował sam siebie. — Jutro ona tu będzie. Sam ją przywiesz. Jutro, jutro... Byle do rana doczekać...

Przeszedł na palcach do sąsiedniej komnaty. Stąpił ostrożnie, by nie obudzić śpiącego w przedsiionku giermka. Niewczesny gorliwiec przyleciałby zaraz pytać, co potrzeba Miłościwemu... On nic nie potrzebował, tylko okna tej komnaty wychodziły w kierunku portu i hospicjum. Otworzył rzeźbioną i złoconą okiennicę. Wionęła ku niemu noc ostra, chłodna, marcowa. Kamienne dachy połyskiwały białawo. Jan wychylił się, by przytrzymać skrzydło okienne, w obawie, że stuknie o mur, i z nieprzyjemnym dreszczem poczul niską, zbyt niską futrynę podcinającą mu kolana. Cofnął się mimo woli i wspomniał swego poprzednika, Henryka z

Szampanii, który w tym samym zamku, jeno z tamtej wieży, wyleciał nocą przez okno. Właściwej przyczyny nieszczęścia nie dowiedziano się nigdy. Wielu twierdziło, że Henryk nie przyzwyczajony do tutejszych niskich okien stracił równowagę i zleciał.

...Bajki dla dzieci — pomyślał Jan. — Mężczyzna nie rzuca się własnowolnie w przepaść na skręcenie karku. Bajki dla dzieci... Zresztą, po co ja myślę o Henryku, gdy tam Blanka... Blanka. Dlaczego tak ciągle dzwonią? Prawda, papież umarł. To jest hospicjum. To ten dach na pewno... Między kościołem Trójcy, a wagą grodzką. Pod tym dachem Blanka śpi... Śpi?! Gdzie zaś! Nie zasnęła pewnikiem tej nocy. Taka bliska snu jak ja. Czuwa... Może stoi przy oknie i patrzy w tę stronę? Musiano jej już pokazać zamek królewski. Może zapalić światło i dać znak? Śmieszny jestem, śmieszny jak rybałt... Oddano jej z pewnością paradną komnatę na dole, a nie izby na poddaszu. Tylko z poddasza można by dojrzeć dawane stąd znaki. Co najwyżej obaczyliby je strażnicy i pobudzili wszystkich wołając, że Izmaelity zakradły się do pałacu... Więc nie zapalę ci światła, miła, ale goreję tak, że chyba spłonę do rana... Mojaś jest... Do jutra... do jutra... do jutra.

Rozdział drugi

Kochanek

Zanim jednak Jan wyszedł rano z pałacu, zgłosił się do niego młody Tybald z astrologiem, Jakubem Pochard. De Brienne zdążył się przez noc opanować i przyjął krewniaka serdecznie, lecz ceremonialnie. Obojętnym pozornie głosem zapytywał, czy cna pani Blanka miała pomyslną przeprawę.

— Pani matka jest zdrowa, choć bardzo rozdrażniona — rzekł Tybald przeciągając bezwiednie dłonią po karku. — Podróż była przykra. Mieliśmy przyjechać temu trzy miesiące.

— Dla Boga! Skąd takie opóźnienie?!

— Galera nam się popsuła, a inne z powodu złej pory nie odpływały. Potem zamieszanie wywołane śmiercią Ojca świętego... Myślałem, że już nigdy nie dojedziemy...

— Cna pani Blanka, dostojna moja krewniaczka, pragnie podobno odbyć pielgrzymkę do Grobu Świętego?

— Ano tak. Powiada, że uczyniła ślub...

— Słyszałem z dawna o tym ślubowaniu. Szczęśliwy jestem, że będę mógł pielgrzymkę jej ułatwić. Z sułtanem Malik al-Adil trwa pokój i pańnicy opatrzeni moim listem polecającym mogą

udawać się do Jerozolimy bez niebezpieczeństwa. Tylko że wydanie takiego listu, porozumienie się z sułtanem, zabiera dużo czasu. Musicie uzbroić się w cierpliwość... Zaraz pójde sam prosić panią Blanę, by przeniosła się z wami do zamku, gdzie lepiej i wygodniej będzie niż w hospicjum... Wilhelm Divini przybył także?

— Miał przybyć, owszem, ale wyobraźcie sobie, wuju, został mnichem...

Jakkolwiek de Brienne pochłonięty był myślą o Blance, nie mógł wstrzymać się od śmiechu na to oświadczenie.

— Divini mnichem? Co też mi powiadasz?!

— Powiadam prawdę. Został mnichem żebraczego wędrownego zakonu. Matka go widziała. Pocieszenie pono wyglądał... Pani matka powiada, że musiał oszaleć, bo gadał całkiem od rzeczy.

— Ja przyjechałem na miejsce trubadura Wilhelma — zauważył z westchnieniem astrolog wysuwając się naprzód.

— Witajcie, mistrzu Jakubie! Brakuje nam właśnie astrologa na dworze, przeto radzi was przyjmujemy... Każe zrobić obserwatorium na wieży. Ty, chłopcze, wzięłeś już krzyż? Co?

— Nie — bąknął niechętnie Tybald.

— No, to go weźmiesz, gdy tylko wojska nadjadą... Zrobimy z ciebie rycerza, obaczysz! Chodźmy teraz żywo, chodźmy!

Blanka stała na progu pielgrzymiej komnaty, pozornie nieruchoma, z pochyłą sztywno głową.

— Witajcie w zdrowiu, pani krewniaczko! Niech Bóg wspomaga Grób Święty!

Skinęła bez słowa. Wargi jej szeptały niedosłyszalne wyrazy. Domyślił się, że powtarzała: — Janie... Janie... Janie...

Dwórki kłoniły się nisko, stojąc za nią. Bez słowa weszli do izby. Nie wiedzieli, co rzec, co z sobą począć. Tybald gadał o czymś. Nie rozumieli, o czym. Byli oboje strwożeni własnym żarem, niemożnością opanowania drżenia rąk, nadania zwykłego brzmienia głosom. I ci wszyscy ludzie naokoło! Blanka otrząsnęła się pierwsza.

— Mam dla was, krewniaku, poufne zlecenie od grabiego Tybalda, mojego pana małżonka.

Wyprostowana, wyszła do sąsiedniej izby. Jan za nią. Z dziką pasją pochwycili się w objęcia.

— Jesteś!

— Jesteś — odpowiedziała jak echo.

Umilkli, ciasno spleceni, chwiejąc się na nogach.

— Zabiorę cię zaraz na zamek — bełkotał Jan — będziemy się tam mogli widywać swobodnie...

Oderwała twarz od jego twarzy o tyle, by móc spojrzeć na niego.

— Twoja żona jest tam?

— Jest, oczywiście, ale ja się z nią wcale teraz nie widuję — dorzucił z pośpiechem. — Tyle, co przy ludziach. Jest w ciąży, więc...

Zmarszczyła posępnie brwi.

— Ale ja musiałabym się z nią widzieć?

— Nie więcej niż konieczne... Przyjmie cię serdecznie. To poczciwe, dobre stworzenie...

— Ja jej nie chcę widzieć na oczy! — syknęła. — Ja jej nienawidzę! Ja nie wytrzymam, żeby jej tego nie okazać! Ja nie chcę być przez nią serdecznie przyjęta! Nie pójdę do twojego zamku za nic. Chyba... że jej tam nie będzie...

Opuścił ręce bezradnie.

— Cóż pocznem, bo już zapowiedziałem twoje przybycie i kazałem przygotować komnaty?

— Powiedz, że zrobiłam ślub, iż dopóki nie odprawię pielgrzymki, chcę pozostawać tutaj niby zwykła uboga pątniczka. Tybalda zabierz do zamku, astrologa też, wszystkich zabierz. Będziemy się tym łatwiej spotykać... Pod jednym dachem z twoją żoną nie będę.

— Nie możesz tu zostać sama! — krzyknął.

— Zatrzymam giermka la Salle i Genowefę, której jestem pewna. Janie... Janie... Myślałam, że cię już nigdy nie zobaczę.

— Nie ma rzeczy, co by nas teraz rozdzieliła — szepnął głucho. — Chodź do zamku... Ona nie będzie cię drażnić, to dziecko...

— Ja już powiedziałam, że nie pójdę! — zawołała.

Wpatrzył się w nią z zachwytem. Taką właśnie ukochał. Dumną i dziką, namiętną. O, nie! Nic ich nie rozdzieli. I nic ponad ich miłość nie może się zdarzyć większego. I nie masz rzeczy, której by nie warto dla tej miłości poświęcić...

Młody Tybald wzbudził w Marii jerozolimskiej życzliwość i zaufanie. Oboje pasowali do siebie. Młodzieniec nie posiadał się z radości, że królowa raczy chętnie słuchać jego pieśni. Maria martwiła się szczerze, że matka chłopca uczyniła taki dziwaczny ślub, zabraniający jej zamieszkania w zamku. Co za szkoda! Maria wyobrażała sobie grabinę Szampanii jako uprzejmą starszą białogłową, łagodną jak syn, z którą można by się zaprzyjaźnić, której można by się zwierzyć z wielu trosk i myśli. Można by się wypytać o upodobania i charakter Jana. Maria tak mało zna męża, a tak by pragnęła wiedzieć, czemu rad, a co go drażni, czym żona może mu się przypodobać, a czym urazić... Jan bardzo kocha rodzinę. Powiadają, że od przyjazdu krewnych poweselał. Jeżeli przedtem bywał chmurny i milczący, to dlatego widocznie, że tęsknił za krajem... Ona, Maria, powinna zatem mówić z nim zawsze o kraju.

Astrolog Jakub Pochard urządza się bez zapału w nowym obserwatorium na wieży zamkowej. Gwiazdy są tu inne, nieznanne, nie umie się w nich rozeznaczyć. Czuje się zagubiony w obcym widnokregu, on, który po niebie francuskim błędził wzrokiem tak swobodnie jak po znajomym gościńcu. Podobnie jak gwiazdy splątały się życiowe drogi uczonego. Toteż po raz setny przeklina własną chytrą zalecającą parzystą ilość uczestników wyprawy, chytrą, co miała mu zapewnić miłą, korzystną przejażdżkę do Rzymu, a zapędziła do Ziemi Świętej. Na jak długo — Bóg jeden wie. Nikt nie mówi o powrocie. Na domiar, z jednej strony grozi zawierucha wojenna, zawsze szkodliwa dla nauki — (gdzieżeś, spokojna Szampanio?!) — z drugiej tuż pod bokiem astrologa dzieją się rzeczy, o których nie może myśleć bez niechęci. Zamyka oczy, stara się nie widzieć, ale podłazą same. Przypominają wszystko dobre otrzymane od starego grabiego Tybalda, przyjaciela wiedzy i książek, przypominają dane przez niego zlecenie opiekowania się żoną... Opiekowania! Pusty śmiech! W jaki sposób przezacny magister wysokich nauk gwiazdziarskich mógłby opiekować się groźnym elementem kobiecości, ucieleśnionymi zmysłami składającymi się na naturę grabini? Równie dobrze można by opiekować się piorunem, burzą, zawieruchą. To żywioł, przed którym należy się chronić, schodząc mu przezornie z drogi. Ale mistrz Pochard zejść nie może. Wolno mu co najwyżej (i tego sobie nie odmawia) przeklinać samego siebie, przeklinać także Wilhelma trubadura, który spowodował podróż, a pośrednio przyczynił się do tego, że astrolog z Troyes znajduje się dzisiaj w Akrze.

Spojrząwszy z urazą w obce niebo Jakub Pochard postanawia z nudów zestawić horoskop młodej królowej i jej przyszłego potomka.

Stary pan Ibelin z Bejrutu idzie pomału na komnaty królowej. Nim każe oznajmić swoje przybycie, po trzykroć staje, namyśla się, waha. Iść czy nie iść? Czy może lepiej zawrócić? Jednakże wchodzi.

Maria przyjmuje go tak radośnie, że w starym rycerzu serce topnieje. Droga, biedna, mała królewna! Dlaczego biedna? A prawda! Przyzwyczał się myśleć o niej jako o sierotce i teraz strofuje sam siebie. Wcale już biedną nie jest. Ma dzielnego męża i porodzi niedługo tęgiego królewicza, który, da Bóg, nie w Akrze będzie panował, ale w Jerozolimie...

Tak myśląc przygląda się uważnie swojej wychowance. Nadto czegoś mizerna... Jej blada, szczupła, nie pozbawiona wdzięku twarzyczka wydaje się jeszcze mniejsza niż zwykle. Czy miłościwa Pani na pewno dobrze się czuje? Czy medyki opiekują się nią należycie? Czy nie ma jakich kłopotów?

Maria uśmiecha się z przymusem, ale zaprzecza gorąco. Czuje się doskonale. Pani Aymarowa z Cezarei, ochmistrzyni, uprzedza wszystkie jej życzenia. I troszczy się, i napędza do jedzenia, i znosi przysmaki... Niech opiekun będzie zupełnie spokojny. Wszystko idzie jak najlepiej.

— To chwała Bogu — stwierdza z zadowoleniem Ibelin i przystępuje od razu do właściwego celu przybycia.

— Dlaczego Miłościwy Pan nie czyni nic, by zapewnić sobie naczelne dowództwo krucjaty? W Rzymie toczą się zawzięte spory o władzę. Nowy papież, Honoriusz, nie ma natury bojowej, i choć zaklina panów chrześcijańskich, by szli do Ziemi Świętej, sam nie wybiera się z nimi. Ma naznaczyć im wodza. Pan z Cezarei śle list za listem, błagając, by Miłościwy Pan osobiście przyjechał lub upoważnił go jako posła do zażądania dla niego dowództwa. Miłościwy Pan nic mu dotąd nie odpisał. A to jest nagłe! I ważniejsze ponad wszystko! Że wojska zebrały się i gotowe są tu iść, to cud. Cud zesłany przez miłosiernego Boga. Nie można pozwolić, aby się zmarnował! Zmarnuje się zaś, jeżeli wodzem zostanie któryś z zachodnich panów, którzy nie znają ani tutejszych warunków, ani muzułmańskich sposobów wojowania, ani usposobienia ludności, ani nie posiadają najcenniejszej rzeczy: doświadczenia. Ryszard angielski, Filip francuski, Leopold austriacki, Andrzej węgierski nic nie uzyskali, choć nie zbywało im męstwa, bo doświadczenia nie mieli. Oni Wschodu nie znają. Nie zdają sobie sprawy z najprostszych rzeczy. Nie chcą uznać, że posiadamy najważniejszą rzecz: gruntowną znajomość muzułmanów. Można głową ręczyć, że jeśli Miłościwy Pan stanie na czele wyprawy, ona się powiedzie. Jeżeli któryś z tamecznych baronów czy kardynałów — spełźnie na niczym jak zwykle. Żałość ogarnia, gdy wspomnieć, czego mógł być dokonać Ryszard angielski, gdyby słuchał rozważnych rad nas, miejscowych! Obyśmy nie dożyli znów tego samego!

— Myślałam, że nie ulega wątpliwości, iż król będzie dowodził wyprawą — przerywa Maria zaskoczona tą długą przemową.

— Nie ulegało wątpliwości, dopóki żył Ojciec święty Innocenty III, który powierzyłby mu z pewnością właściwe dowództwo. Ale obecnie? Ojciec święty zmarł prawie nagle, nikogo nie nazywając. Rycerz de Layron donosi, że już się tam kardynały i barony dobijają o naczelnictwo. Czas mija. Trzy niedziele, jak rycerz d'Avesnes przywiózł wiadomość o zgonie papieża, a Miłościwy Pan nic jeszcze nie uczynił! Wczoraj przybył trzeci goniec. Pan de Layron pisze, że obawia się, iż Miłościwy Pan list wysłał, ale go niechętni przejęli. I że nie wie, co ma powiadać, i czy Miłościwy Pan zgłasza się o przodowanie, czy nie... Pan de Layron sądzi, że jeszcze nie jest za późno... Ale lada chwila może być. Gdy z naszej strony nie ma żadnej zachęty, żadnego nacisku, nie dziwota, że obiorą innego.

Maria słuchała z napięciem.

— Rozmawialiście o tym, opiekunie, z królem?

— Usiłowałem kilkakrotnie, ale źle trafiłem. Miłościwy Pan był zajęty czym innym. Zbyt mnie, prawie nie słuchając. „Jutro to załatwię” — powiedział. A to jutro trwa od trzech tygodni!

Przerywa na chwilę i podejmuje miękkim głosem.

— Dlatego przyszedłem do was, Miłościwa Pani. Wiem, że wam sprawy państwowe niełube, ale tu o ważne rzeczy chodzi, o odzyskanie Grobu Świętego i królestwa. Wy musicie męża namówić...

— Ja?

— Komuż snadniej to uczynić niż żonie?

Maria spuszcza oczy. Wzdychając powtarza:

— Rzeczywiście. Komu snadniej?

I milknie zamyślona. Patrzy na końce swych złotych ciżemek. Nie podnosi oczu. Nie może podnieść. Są zalane łzami. A równocześnie porywa ją gorzki śmiech. Ona ma namówić?! Wszakże każdemu łatwiej zobaczyć Jana niż jej, właśnie jej, żonie! Nie widziała go od ostatniego posiedzenia Rady, gdy przyjechał pan d'Avesnes. Nie wyobraża sobie, gdzie i kiedy mogłaby go zobaczyć znowu... Ale tego nie powie nikomu. Nie przyzna się nawet staremu opiekunowi i spuszcza nisko, coraz niżej głowę.

Lecz Ibelin spostrzega łzę spadającą na jedwab sukni i czuje się okrutnikiem.

— Darujcie, Miłościwa Pani — prosi z przejęciem. — Ja rozumiem, że nielekką młodą żonę, szczególnie gdy się spodziewa dzieciątka, nakłaniać męża, by ją opuszczał i na wyprawę wojenną szedł... Rozumiem. Ale musicie to w sobie przemóc, sercu nie folgując...

— Przemogę się — obiecała cicho Maria.

Znów się w niej tłucze niezdrowy, dziwaczny śmiech, dławi w gardle. Ibelin wstaje z powagą, całuje z szacunkiem jej palce, kłoni się nisko. Chętnie wyciągnąłby rękę, pogładziłby drobną głowinę wychowawcy, ale ceremoniał nie pozwala. Chyba żeby ona sama przygarnęła się ku swemu opiekunowi jak dawniej, gdy była mała. Stary pan trochę się tego spodziewa i stoi wyczekująco. Lecz Maria nie rusza się z miejsca. Och, jakżeby ona też pragnęła przytulić się do szerokiej piersi tego jedyne go człowieka, który ją kocha naprawdę, i wypłakać się przed nim, i opowiedzieć mu wszystko! Lecz to niemożliwe. To brzmiałoby jak oskarżenie Jana. To by Janowi odjęło serce Ibelina. I powstrzymując łzy, cisnące się gwałtownie do oczu, królewskim skinieniem głowy żegna rycerza.

Rycerz schodzi ciężko ze stopni, gdy ktoś go ostrożnie ujmie za ramię. Stara piastunka królowej, Eudoksja. Prosta baba, ale uczciwa i oddana. Gdy Maria była jeszcze małym, chorowitym i wątłym dzieckiem, czuwali nad nią nieraz wspólnie, pan z Bejrutu i ta góralka z Libanu. Teraz szepce mu w ucho:

— Wasza Miłość... Z królem niedobrze się dzieje.

— Co chcesz? — przystanął zdumiony.

Eudoksja rozglądała się wkoło z obawą.

— Powiadają, że od paru niedziel nie nocuje w pałacu...

Na dole sły chać czyjeś kroki i piastunka znika jak widmo. Ibelin schodzi zły. Dla jego prawej, rycerskiej natury podobne szepty na schodach są obmierzłe. Spluwa ze złością. Oszalała stara! Z wiekiem straciła pojecie, co jest możliwe, a co niemożliwe... Przychodzi do niego z głupimi babskimi plotkami. Król nie nocuje w pałacu. Też pomysł! Król nie potrzebuje wykradać się nocą do nikogo. Gdyby mu się zachciało nałożnicy, przywiodą mu usłużnie każdą, którą zechce. Zresztą to kłamstwo. Jan panuje od półtora roku. Był czas go poznać. Surowy, poważny człowiek, nie młokos...

Oszalała!

Maria siedzi nieruchomo, tylko dziecko porusza się niespokojnie w jej łonie. Równie niespokojne myśli kołaczą pod czaszką królowej. Dlaczego Jan nie stara się o dowództwo? Dlaczego zaniedbuje tak ważną sprawę? Przecież powinien odzyskać Jerozolimę! Ślubował przy koronacji, że dołoży do tego wszelkich starań!

...Ibelin twierdzi, że obowiązkiem jej, żony, przypomnieć mu o tym... Jak to wykonać? Pójść samej na mężowskie komnaty? Posłać po niego? Prosić, aby przyszedł? Żonie wolno chyba chcieć zobaczyć męża... Przeprosi go za wezwanie... Powie: „Wybaczcie, panie mężu, że was trudzę, i posłuchajcie: Nie może kto inny dowodzić świętą wyprawą, jeno wy... Rozmawiałam o tym właśnie z Ibelinem”...

...Ej nie, lepiej Ibelina nie wspominać i mówić od siebie... I zapytać po prostu, niby nic nie wiedząc: „Czy już naznaczono was naczelnym wodzem? Bo się trwożę, by tego stanowiska nie zajął kto inny, mniej godny”.

...O tak, tak będzie dobrze... Zaraz pośle giermka albo Eudoksję... Kto wie? Może powinna była dawno czynić w ten sposób? Może on czekał zachęty z jej strony? Wszakże nigdy najłżejszym słowem czy ruchem nie okazała, że pragnie go widzieć... Wstydziała się. Myślała, że się sam domyśli. Widno mężczyźni nie są domyślni...

Wstała żywo, by zawołać piastunkę, ale Eudoksji nie ma. Trzeba poczekać, aż wróci. Bo jednak giermka nie pośle, nie... Cóż by zrobiła, gdyby — o Boże — Jan mimo jej wezwania nie przyszedł? Sama myśl o tym przygważdża ją do miejsca. Maria jest dumna. Gdyby Jan odmówił przyjścia, wstyd opuszczenia, piętno nielubej mężowi żony, stanowiące dotychczas jej wyłączną tajemnicę (tak sądzi), stałoby się wiadomym powszechnie. Eudoksja nikomu nie powtórzy, lecz lepiej nie dzielić upokorzenia nawet z Eudoksją. Upokorzenia nie można dzielić z nikim. Pójść trzeba samej.

Wzrok pada na małe, zaciągnięte jedwabną oponą drzwiczki znajdujące się tuż przy łożu. To tajemne, w grubości muru wyrobione przejście z sypialni do sypialni, wprost od królowej do króla. Starannie zamknięte, mało komu znane. Z mimowolnym westchnieniem Maria myśli, że pewno nigdy, za żadnej królowej drzwi te nie były tak rzadko otwierane jak teraz. Poprzednie królowe! Zna dobrze z opowiadania i kronik te piękne, szalone ciotki, babki, samowolne miłośnice, którym starzy przypisują winę utraty królestwa. Owe Sybille, Melisandy, Aliksy, przeklinane, kochane, opiewane... Pochodziła z ich krwi, a tak mało miała z nimi wspólnego! Los jej tak mało podobny był do ich losu! Dlaczego? Czy matka jej, piękna Izabela, czterokrotnie za mąż wydawana, poczuła się znużona tym przechodzeniem z rąk do rąk i nie pragnęła dać córce czaru kobiecości, uważając go raczej za przekleństwo niż za szczęście? Czy ojciec, urodziwy

Konrad de Montferrat, co zginął skrytobójczo, miał przecucie rychłego zgonu i płodząc dziecko więcej myślał o przyszłym życiu niż obecnym? Któż to odgadnie?

...A jednak pomimo że się jest brzydką i niekochaną, nie posiadając wdzięku ni urody, trzeba iść pomówić z mężem. Iść zaraz, bo tu chodzi o dobro królestwa...

Unikając spojrzeń w stojące naprzeciw zwierciadło (to spojrzenie mogłoby jej odebrać odwagę), Maria otwiera ostrożnie małe, tajne drzwi. W wąskim, długim korytarzyku jest ciemno, duszno, niepokojąco. W ciasnej przestrzeni bez przewiewu zda się, że trwają nie ulotnione gorące oddechy tych, co przechodzili tędy śpiesząc się. Marii pot występuje na skronie. Na koniec dłoń trafia w ciemności na drzwi. Odchylają się bez szelestu. Jeszcze chrzęszcząca jedwabna zasłona i oświetlona komnata, i wielkie królewskie łoże z baldachimem.

Pośrodku komnaty stoi Jan. Jest sam. Rozdziewa się widno, ma na sobie bowiem tylko koszulę i obcisłe ciemne spodnie, niepodobne do tych, jakie noszą zazwyczaj rycerze.

Na szelest kotary odwraca się i patrzy zdumiony na żonę. Wygląda, jakby jej nie poznawał. Zjawiała się tak niespodzianie! Co się stało? Czy już wie? Czy go tropi?

— Co was przywiodło tutaj, pani żono? — pyta.

Maria porusza niezgrabnie dłońmi. Nie jest w stanie przemówić słowa. Spodziewa się, że on podejdzie do niej, wyprowadzi zza łoża, którego bliskość ją miesza, że posadzi w krześle, usiądzie obok i porozmawiają. Wtedy powie mu wszystko, co chciała... Ale Jan nie rusza się z miejsca.

— Co was przywiodło? — powtarza głosem, w którym wyczuwa się zniecierpliwienie.

— Chciałam... — bąka nieśmiało — darujcie, że się odważyłam przyjść... Chciałam zapytać...

— O co? — pyta Jan z szorstkością ukrywającą niepokój.

Lecz Maria zapomniała zdań poprzednio tak starannie ułożonych. Miesza się coraz bardziej. A jego niecierpliwość rośnie. Tam Blanka czeka!

— Chciałam — powtarza Maria rozglądając się bezradnie — chciałam zapytać, czy jesteście już mianowani wodzem naczelnym krucjaty...

...Ach, o to chodziło! — Jan nieznacznie wzrusza ramionami. Po to przeszkadzać mu w chwili, gdy on się śpieszy do Blanki!

— Przecież to już dawno postanowione — powiada. — Czekam tylko przybycia floty, by stanąć na czele.

— Mówiliście, że wyprawę należy skierować nie tu, lecz na Egipt.

...Prawda! Zapomniał, że była wtedy obecna. Co za nuda!

— Toteż spotkam się z nimi w odpowiednim czasie na Cyprze — zapewnia.

— Jako naczelny dowódca? — dopytuje Maria.

— No tak. Już mówiłem, że to z dawna postanowione.

— Było postanowione przez Ojca świętego Innocentego. Nie wiadomo, czy teraz nie zmienią...

...Czego chciała? Co jej się stało? Kto z nią mówił?

— Nie mogę sam się napraszać — odpowiada sztywno. — Jeżeli znajdą kogoś godniejszego ode mnie, to trudno.

Maria załamuje ręce.

— Ależ tu chodzi o Grób Święty! O królestwo! Nikt nie poprowadzi tej wyprawy lepiej niż wy!

Raczył uśmiechnąć się do niej półgębkiem.

— Wdzięcznym wam za dobre mniemanie. Zresztą bądźcie spokojni. Wszystko, co trzeba, by sobie dowództwo zapewnić, zrobię.

— Czy na pewno? — napierała.

Z trudem pohamował zniecierpliwienie. Blanka się tam niepokoi!

— Na pewno — zaręczył. — A teraz wracajcie do siebie. Za chwilę przyjdą do mnie rycerze na ścisłą radę. Ibelin z Bejrutu. Raul z Tyberiady...

— Ibelin! — powtórzyła przeciągle.

— Tak, tak, Ibelin. Raul i inni... Nie przystoi, by was tu zastali. Żegnajcie.

Podniosła na niego oczy. Chciała powiedzieć: Kłamstwo! Ibelin był u mnie przed godziną. Sam mnie tu przysłał... Ale słowa uwięzły jej w gardle. Odwróciła się w milczeniu i odchyliła zasłonę.

— Nie lękajcie się! — zawołał uspokajająco, gdy znikła w przejściu. — Troska o Grób Święty jest najpierwszą moją troską!

Nie odrzekła nic. Zasłona zasunęła się, znieruchomiała. Drzwi cichuteńko skrzypnęły. Jan stał chwilę nieruchomo, jakby czekając. Nie, już nie wróci. Odeszła.

...Prędko! Prędko! Jak dawno już Blanka czeka! Te drzwiczki trzeba zaryglować... Co za nieostrożność, że były otwarte. Jan z pośpiechem kończy się odziewać w strój swojego giermka. Klaszcze w dłonie. Wilfryd staje we drzwiach.

— Już jestem gotów. Idź.

Wilfryd zbiega po schodach. Wychodzi na dziedziniec. Po tej stronie pałacu stróżuje stary Jakub, jego dobry znajomy.

— Ojcie Jakubie — zapytuje chłopiec — chcielibyście znowu zarobić denara?

— Hm... czemu nie?

— No, to uchylcie jak co dzień tę małą furtkę i udawajcie, że nie widzicie, kiedy się nią wymknę...

— Teraz? Zaraz?

— Nie. Muszę jeszcze wrócić do pałacu, czekać, aż Miłościwy Pan zaśnie. Bardzo trudny do zaśnięcia...

— Doigrasz się, hultaju, doigrasz... Co będzie, jak Miłościwy obudzi się kiedy?

— Ma pokojowców.

— Może właśnie potrzebować ciebie. Co wtedy?

— Będę wisiał — wyznaje z westchnieniem chłopiec. — Ale sobie tymczasem użyję! Żebyście wiedzieli, ojcie Jakubie, co to za dziewczyna!

— Nic mi już do dziewczyn. Gdzie ten denar?

— A przed rankiem znów uchylcie, żebym mógł powrócić...

— Wracaj, byłem ja nie widział.

— Jak zagwizdam, otworzycie furtkę i schowacie się w ten załom, gdzie zwykle drzemiecie...

— Nigdy nie drzemię. Patrzajcie go! Denar nie z ołowiem aby?

— Spróbujcie zębem. Od samego Miłościwego Pana go dostałem...

— Dostaniesz ty niedługo, ale nie denara. Opamiętaj się, chłopcze, póki czas.

— Opamiętam się, jeno sobie jeszcze trochę denarów uciulacie...

Chłopiec zawrócił. Stary z lubością chował otrzymany pieniądz do nieźle już wypchanego trzosa. Wilfryd biegł rażno po schodach, czając się, jakby w obawie, że go kto zobaczy. Był zadowolony. Dwórka grabini Szampanii, Genowefa, do której rzekomo wykradał się nocą, miała

za współnictwo otrzymać suty posag. Wilfryd nagrody nie chciał. Obraziłby się, gdyby mu ją ofiarowano. Nie dla zapłaty to czynił, ale z przywiązania do swego pana. Czuł się dumny, że darzy go takim zaufaniem. Przy tym, cóż to za świetna zabawa! Stary Jakub przepowiada mu szubienicę, w hospicjum patrzą z niechęcią na Genowefę. Głośno, aby winowajczyni słyszała, gospodyni ubolewa nad zaślepieniem pani, takiej dostojnej, takiej pobożnej, wyniosłej! Odgraża się, że nie wytrzyma i zdradzi wszystko. Ciekawym, co wtedy będzie — myśli Wilfryd, ale tymczasem, podobnie jak Jakuba, stróża hospicjum, przekupuje gospodynię dobrymi królewskimi denarami.

Denar to potęga. Każdy przymknie chętnie oczy, gdy wie, że otrzyma go w zamian.

Gdy Wilfryd i Genowefa stróżują, jedno w komnacie królewskiej, drugie w alkierzu pani, kochankowie przyobleczeni w ich szaty zażywają swobody. Od morza płyną wiosenne podmuchy, przeto przykrzy im się w dusznej izbie. Hospicjum równie jak zamek nie jest objęte murami, przeto wychodzą nocą na wybrzeże, błądzą po skałach, siadają nad wodą. Noce są jeszcze zimne, a perłowa świeżość bije z fal. Daleko stąd pustynna, kamienista Judea szarzeje jak zwykle, niedbała o porę roku, lecz tu, w Galilei, drzewa strzelają pąkami, trawa wzbiera świeżą, soczystą zielenią. Jan i Blanka przechadzają się po błoniach, póki błękitna noc nie zbieleje, biel nie zróżowi się świtem. Nie dbają, czy ich kto spotka. To nie król ani grabini, lecz zwyczajna para ludzi. Kto ich ujrzy splecionych, niech myśli, że swawolna dziewczka portowa i zamkowy sługa. Zresztą niech myśli, co chce. Takiej swobody nigdy jeszcze nie użyli. W Troyes trzeba było bardzo uważać na siebie. Czasem na łowach udawało im się odbić od gromady i pod pozorem zabłądzenia w dalekie ostępy za uciekającym jeleniem spędzić kilka godzin sam na sam. Ale zdarzało się to rzadko, przy tym koniuszy, pan Montbart, oglądał potem podejrzliwie wierzchowce i mruczał. Dziwił się, że wbrew opowiadaniu nie są zmęczone ani zmydlone, owszem — wypoczęte, jakby cały ten czas stały spokojnie uwiązane przy jakimś wykrocie. Niełatwo, niełatwo przychodziło uzyskać bodaj chwilową wolność. Dopiero teraz... Toteż oboje nie mogą nacieszyć się rozkoszą przepędzanych wspólnie nocy i nie wyobrażają sobie, by mogło się to skończyć kiedykolwiek.

— Sądzę — mówi Blanka stojąc tuż nad brzegiem morza (drobne fale rozbijają się z pluskiem o kamienie) — że jestem za stara, by zająć w ciążę, ale gdyby to się stało, rozpacz nie będę...

— Co uczynisz? — pyta Jan z niepokojem.

— Urodzę i wychowam twojego syna. Naszego syna...

— Będzie bękartem...

— Nie będzie! Jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Prędzej czy później zostanę twoją żoną. Czy go wtedy nie uznasz?

— Czy nie uznam?! Naszego dziecka?! O, miła... Ale kiedyż to nastąpi?

— Ona długo nie pożyje... — stwierdza Blanka patrząc na fale.

— Skąd wiesz? Dlaczego?

— Astrolog mi mówił... Ustawia jej horoskop, wiesz?

— I powiada, że... — spytał wstrząśnięty do głębi.

— Powiada, że można by tego uniknąć, ale z trudem. Gwiazdy są dla niej bardzo niepomysłne. Ja sądzę... — roześmiała się złym śmiechem.

Spojrzał na nią prawie z lękiem. Nie pragnął wcale śmierci Marii. Niechby żyła, nic nie wiedząc, jak teraz. Marzył o połączeniu się z Blanką, ale dzięki uzyskaniu rozwodu. Nie czuł do żony nienawiści. Za co miałby jej nienawidzić? Przypomniał ją sobie stojącą dziś wieczorem za wielkim łóżem, nieporadną, zniekształconą ciężą, zjawioną nieoczekiwanie na tle zasłony. W pierwszej chwili przestraszył się jej po prostu jak zjawy. Pytała, czy będzie dowodził krucjatą... Ciekawe, skąd jej to przyszło do głowy. Naturalnie, że będzie dowodził. Musi dowodzić. Trochę, co prawda, zaniedbał tę sprawę. Sam ani się spostrzegł, kiedy czas zleciał; musi się teraz ostro zabrać. Bo gotowi go wystrychnąć na dudka. Nie dopuszczę do tego — pocieszał się. — Nie znajdą nikogo lepszego. Kogóż tam mają? No, kogóż? Same młokosy lub zwykłe kielbie... Jednakże trzeba o tym pomyśleć. De Layron pisał parę razy... Odpiszę mu dziś jeszcze...

— O czym myślisz? — Blanka zaniepokojona milczeniem dotknęła jego dłoni.

— O tym, że niedługo nasza szczęśliwość się skończy... Muszę zająć się krucjatą.

Westchnęła ciężko.

— Nie śpiesz się nadto. Bodaj jeszcze trochę. Bodaj...

...O tak! Bodaj jeszcze parę dni! Gdy pójdzie na wyprawę, takie noce jak ta już się nie powtórzą...

Morze pluska wciąż u stóp. Jeszcze jest od mroku czarne, lecz w zgięciach fal przebłyskuje zieleń. Ponad głowami stojących wznosi się niby dziób olbrzymiego okrętu święta góra Karmel. Ostrogą skalną wrzyna się głęboko w morze. Kędyś wysoko, niewidoczna w cieniu, patrzy ku morzu pieczara proroka Eliasza. Ludzie boją się do niej wchodzić, jak gdyby głos proroka wzywającego Boga huczał w niej dotąd. Na samym krańcu kamiennej ostrogi, roztopiony w

przedbrzasku, stoi jakiś człowiek. Nie patrzy na znajdujących się poniżej kochanków ani na morze. Patrzy w głąb kraju. Jak gdyby oczami przenikając mrok widział górę Tabor i dachy Nazaretu, i odległe Kafarnaum, i całą Ziemię Świętą, co pozostaje we władaniu muzułmanów. Ten skrawek brzegu niby na uragowisko należy do chrześcijan. Pieczara Eliasza, by mogli z niej wzywać Pana. Tyle tylko.

— To rycerz d'Avesnes — szepcze ze zdziwieniem Jan przyjrząwszy się stojącemu. — Chodźmy stąd żywo.

Odchodzą. Zresztą jest późno. Zasiedzieli się nad brzegiem, zapomnieli, że do miasta kawał drogi. Muszą teraz iść szybko. Dzień spieszenie ogarnia świat. Maluczko, a słońce wychynie zza gór. Już wysuwają się jego zwiastuny, złote palce, niby promienie, co wieńczyły groźne oblicze Mojżesza. Blanka i Jan przyśpieszają kroku. W kościołach już biją dzwony. Kobiety idą po wodę. Przytrzymując ręką na głowie wielkie, gliniane amfory spoglądają wzgardliwie na dziewczkę, co włóczyła się kędyś nocą z mężczyzną. Biały szczyt Hermonu już poczyna płonąć i palić się zorzą. Po drodze miękko stąpają wielbłądy. Nędzarze śpiący na dworze wylażą spod zwojów przykrywających ich szmat, przeciągają się, rzucają za spóźnioną parą soczyste uwagi. W pałacu królewskim Wilfryd przeciera zaspane oczy. Czy możliwe, żeby Miłościwy jeszcze nie powrócił? Czy mu się nie stało co złego? W hospicjum Genowefa zamknięta w komorze Blanki rozmyśla niewesoło, patrząc na wschodzące słońce. Co za korzyść z obiecanego wiana, gdy z winy pani osława przylgnie do jej imienia? Nie o pani źle gadają, ale o Genowefie. Już ją wytykają palcami... Łacno może fałszywa plotka dojść do kraju, a wtedy męża na pewno nie znajdzie...

Zapóźnieni biegną prawie. Koło hospicjum rozstają się bez słowa. Jan jest nasepiony. Sam nie wie, czemu. Coś mu doskwiera. Jedno, drugie, trzecie. Myśl, że Blanka mogłaby mieć dziecko. Przepowiednia astrologa... Pytania Marii dotyczące krucjaty... A przede wszystkim to, że uciekał przed Gerardem d'Avesnes...

Stary de Brienne, ojciec Jana, nie naraziłby się na to na pewno. Ibelin z Bejrutu również. Obaj należeli do ludzi dawnego pokroju, dla których przebieranie się w szaty sługi, wymykanie nocą ukradkiem z własnego zamku przedstawiałyby się jako rzeczy niemożliwe do pojęcia. Rozbić krępujące więzy mocną pięścią, przerąbać się przez zawilość mieczem — to zgoda. Odepchnąć niekochaną żonę, nie dbając o klątwę przygarnąć inną — zdarzało się również. Przeprowadzano to jednak inaczej. W ostatnich czasach świat się zmienił i odmienił. Trubadurzy zrobili swoje i pieśń miłosna, i gadka, że miłość jest największą panią, ważniejszą niż wszystko inne na świecie, i że poniżenie, zniesione w imię miłości, nie jest poniżeniem, byle ukochana

białogłowa była szlchetnego rodu. Jan w to wierzy. Sam przecie układał kancony. Jednakże powraca chmurny, ani mrugnięciem nie odpowiadając na gorliwe spojrzenie Wilfryda.

W komnacie rzuca się na łożo, by nieco wypocząć, lecz sen nie przychodzi. Po raz pierwszy od przyjazdu Blanki rozmyśla nad ich przyszłością. Nie mówili o niej dotąd. Jan nie wie nawet, czy Blanka zastanawiała się nad tymi sprawami. Chyba nie. Raduje się jego obecnością i nienawidzi Marii. Czeka jej śmierci. Śmierci Marii... Mistrz Pochard oszalał chyba mówiąc takie rzeczy? I to komu? Właśnie Blance?! Jan widzi znowu żonę stojącą o tu, w tym miejscu. Tuż koło łoża. Widzi jej bladą trójkątną twarzyczkę, ociążałą postać. Takie biedne dziecko. Nie, niech nie umiera... Zresztą jej zgon to koniec królowania Jana... Powrót do kraju — i co wtedy? Czy starczy jemu i Blance siły, by stawić czoło opinii całej Szampanii, opinii, co zawsze wyrozumiała jest dla królów niż dla tych, którzy królować przestali?... Nie, do kraju nie powróci. Weźmie krzyż jak prosty rycerz i pójdzie na wyprawę. A Blanka? Pójdzie z nim razem? Jako co? Jako obozowa nałożnica?

...Ach, ileż trosk! A do tego pozostawione bez odpowiedzi listy pana Aymara de Layron z Cezarei... Może Maria miała słuszość? Trzeba to zaraz załatwić.

Wilfryda, wysłanego przez króla z jakimś poleceniem na strażnicę, koledzy otaczają kołem ze śmiechem.

— Ej, ptaszku, przyznaj się! O której wróciłeś dziś rano?

— Powiadają, że już było po rannym udoju!

— Jakże, widziałem go z okna, jak się przemykał z powrotem... A biegł! W pomgle taki wydawał się wielki, że go zrazu nie poznałem...

— Dostaniesz za swoje, jak się Miłościwy spostrzeże...

— Nim się spostrzeże, pójdziemy na wyprawę, a wtedy i tak kwita z kochania — odpowiada Wilfryd śmiejąc się.

— Nim na wyprawę pociągniem, skapiejesz ze szczętem... Chudziaku! Kiedy ty sypiasz? W dzień na służbie, w nocy na służbie...

— E, toć śpię w nocy, tyle że nie sam i nie w zamku.

Zbierał się do odejścia, gdy starszy, mizernie odziany człeczyna, stojący od dłuższej chwili przed bramą, podszedł i skłonił się nisko.

— Szlchetny panie, chciałbym się dostać na służbę do zamku...

— Nikogo obcego nie przyjmujemy — nadał się Wilfryd. — Raz już Izmaelity króla ubili, zbójców nasyłając jako swoich.

— Ja przyjechałem z kraju. Bakalarz jestem, magister... Zowię się Mateusz Pesaro.

— Niejeden powiada, że z kraju przybył, ale go na żadnej galerze nie widziano.

— Mnie po prawdzie też nie widziano, bom za darmochę przyjechał, kryjąc się między pakami. Ale zem z kraju przybył, dowiodę. Znam was, szlachetny młody panie. Nocowaliście kiedyś w tej samej gospodzie...

— Phi! Każdy może powiedzieć to samo.

— Ale ja wam przypomnę, kiedy i gdzie. Było to dwa i pół lata temu... W gospodzie w pobliżu Rzymu. Gospodę zowią „Pod Dobrą Opieką”... Szlachetny rycerz Jan de Brienne, dzisiaj Miłościwy Pan, jechał do Rzymu spotkać się z posłami... Wyście byli z nim... Wyrzuciliście z izby dwóch podróżnych...

Wilfryd szukał w pamięci marszcząc czoło.

— Pamiętam — przyznał. — Na dziedzińcu była kupa jakiegoś żebractwa. A w izbie dwóch hultajów, których wyrzucili. Jeden nawet pyskował...

— Ja byłem jednym z tych hultajów, ale pyskował ten drugi. Pietro Cani...

— Jak mogę wiedzieć, czy to prawda, kiedy waszej gęby nie pamiętam?

— Skądże bym znał te szczegóły, sam tam nie będąc?

— To prawda — przyznał Wilfryd. — Ano, zaprowadzę was do pana ochmistrza. Może przyjmie. Nie wiem tylko, na co mu się zdacie. Nasz dwór oszczędny. Darmozjadów na nim nie ma...

— Mógłbym się przydać astrologowi. Biegle piszę...

— Obaczym. Ale, ale... Powiadacie, żeście ukradkiem na galerze przyjechali... Znaczy: kat nad głową stał. Gadajcie żywo, coście nabroili!

— Kacierz jeden, katarą, z którym niepotrzebnie w znajomość wszedłem, oskarżył mnie o herezję, żeby od siebie podejrzenia odwrócić. Ledwo że zdążyłem zbiec...

Głos Mateusza Pesaro, uczonego wędrowca, brzmiał obojętnie i szczerze. Wilfryd przyglądał mu się spod oka.

— Może oskarżył, a może powiedział prawdę?

— Prawdę?! Chyba głupiec może uwierzyć w tłumaczenie Genezy według katarów! Oni... Zresztą prowadźcie mnie do biskupa. Tam wyłożę moje credo. Obaczy, zem dobry chrześcijanin.

— I... i... my nie patrzymy za tym tyle, co na Zachodzie... Kto w Boga wierzy, ten dobry...
Pójdźcie do ochmistrza.

Szli przez dziedziniec. Naraz Wilfryd przystanął.

— Dawno byliście w Rzymie?

— Trzy niedziele temu.

— Co z wyprawą? Kiedy ruszy?

— Ano, wojska stoją... Drożyzna przez to wielka i ludzie narzekają. A kiedy ruszą, nie wiadomo jeszcze, bo nie ma dowódcy. Kłóć się...

— Przecież nasz Miłościwy Pan ma dowodzić!

— Z początku słyszałem, że o nim mówili, teraz ucichło. Pewnikiem Ojciec święty naznaczy któregoś z kardynałów. Tak powiadają...

— Nie może być, nie może być! Chodźmy do ochmistrza... Potem polecę do Miłościwego Pana. Może was zechce zobaczyć.

Rozdział trzeci

Przywódca

Kardynał Pelagiusz nie miał miru wśród ludności wskutek swej pychy i twardego charakteru. Zwano go czerwonym kardynałem, gdyż szczególnie lubił ten kolor. Nie tylko szaty jego, ale lektyka, uprzęż mułów i koni, wszystko było purpurowe. Wyglądał zawsze niby skąpany w czerwieni. Odblask purpury padał na jego smagłą, zamkniętą twarz. Nie był to człowiek zły. Nie posiadał zmysłu intryg ni kręactwa, był jednak nad wyraz pyszny i żywił nieprzejednaną niechęć do wszelkich wielmożów. W stosunku do biedoty był wyniosły, ale miłosierny, jałmużnę uważając za jeden ze swych obowiązków kapłańskich. Baronów natomiast, rycerzy i książąt nie znosił. Był głęboko przekonany, że każdy z nich kieruje się w swych poczynaniach zawsze i wyłącznie prywatą, myśląc jedynie o swojej korzyści. Przeciwstawiał im w duchu siebie, myślącego tylko o wywyższeniu Kościoła. Że dobro Kościoła bywało zazwyczaj jednoznaczne z jego dobrem — nie przyznawał. Zresztą we wszystkim, co czynił, był szczery.

Zmarły przed dwoma miesiącami papież Innocenty do tego samego dążył i kardynał Pelagiusz zwykł był powoływać się na jego wysoki autorytet. Ale dla Innocentego władza

świecka była narzędziem dzieła powszechnego pokoju, miała służyć ukochanej idei Stanów Chrześcijańskich Europy, gdzie wszystkie narody żyłyby w wolności wspólnej, poszanowaniu i zgodzie. Umysł Pelagiusza nie obejmował równie szerokich i dalekich horyzontów. Ustalenie potęgi świeckiej Kościoła było dlań celem samo przez się.

Z tych poglądów wypływało jasno, że zdaniem kardynała przygotowaną krucjatę mógł prowadzić tylko duchowny. Ani Jan de Brienne, ani Walter de Nemours, ani Szymon de Joinville, tylko duchowny. Innocenty III umarł. Obecny Ojciec święty nie czuje w sobie zdolności na wodza, obowiązek ten spada zatem na któregoś z kardynałów. To jasne. Stolica Apostolska posiada co do panów świeckich obfite i gorzkie doświadczenia. Za każdym razem Rzym, nie kto inny, głosił krucjatę, zachęcał ludzi, dawał pieniądze, odpusty, zwalniał z ciężarów, dźwigał na nogi potężne armie i... oddawał je w ręce wielmożów, którzy albo kierowali wyprawą niedołącznie, albo przeinaczali jej cel, jak w 1204 roku, gdy zamiast na muzułmanów uderzono na Bizancjum. Ale dość! To się już więcej nie powtórzy. Ojciec święty musi naznaczyć wodza spośród członków Świętego Kolegium. Między tymi ostatnimi któż odpowiedniejszy nad Pelagiusza, urodzonego żołnierza? W swym przekonaniu kardynał był znakomitym dowódcą. Czyż nie jest odważny aż do szaleństwa, surowy dla siebie i dla ludzi?

Ojciec święty Honoriusz nie był tego równie pewien. Wolałby króla jerozolimskiego. Innocenty nieraz przy nim mawiał, że sam będzie wodzem duchowym, a de Brienne właściwym. Na stole papieskim znajdował się plan przyszłej wyprawy opracowany przez Jana, przysłany do Rzymu wkrótce po śmierci Innocentego. Plan ten, rozpoczynający natarcie od Egiptu, uderzał jasnością myśli, dokładnością opracowania, szerokością poglądów. Papież uważał, że plan ten powinien wykonać jego twórca. Ale Jan de Brienne nie dawał znaku życia. Albo zachorzał, albo miał wewnętrzne kłopoty w kraju nie pozwalające mu oddalać się z Akry. Poseł jego de Layron skarżył się, że nie otrzymuje nawet odpowiedzi na listy. Ważne to musiały być przyczyny, które nie pozwalały królowi ubiegać się o dowództwo nad wyprawą!

Tymczasem wojska stoją, ludzie się nudzą, drożyzna, o której wspomniał Mateusz Pesaro, rośnie z każdym dniem. Ceny chleba, mięsa, oliwy dochodzą niebywałych wysokości. Jak niegdyś po najeździe niemieckim. I jak wówczas, Genuńczycy, Pizanie, Wenecjanie — ruchliwi kupcy, którzy zawsze na wszystkim zarobią, na zwycięstwie i na klęsce, na swoich, na obcych, na wojnie, co się toczy, i na wojnie, co się jeszcze nie zaczęła — dostarczają żywności, zbijają pieniądze. Są zadowoleni. Ich zapał nie gaśnie. Tylko ich. Bo inni... To ludzka wszakże rzecz, że uniesienie opada. Ogień nie podsycany obraca się w popielisko. Osłabł już poryw, który podniósł ludzi, i zbladło zeszlóroczne święte oburzenie. Idzie wiosna, z nią prace w polu. Te prace

zaczynają się zdawać krzyżowcom ważniejszymi od wyprawy. Zatarły się we wspomnieniu postaci dzieciątek. Na wyspie, zwanej teraz wyspą Młodzianków, gdzie morze wyrzuciło na brzeg setki zwłok, rośnie wielka bazylika. W miarę jej wzrostu wiotczeje wspomnienie. Jakby bazylika była wystarczającym zadośćuczynieniem. I tylko obłąkana pani de Trevi, matka zaginionej małej Beatrycze, jeździ jak przedtem po kraju, nieprzytomnym głosem wołając, by wszyscy krzyż wzięli, i tylko matki płaczą i mężom zawrócić nie pozwalają. Matki przypominają, że nie wiadomo, czy wszystkie galery zginęły, i że może część dzieciątek żywie i jęczy w niewoli pogańskiej. Tylko te matki...

Zresztą nie dziw, że ludzie obojętnieją, bo każdemu dokucza próżne, pół roku już blisko trwające czekanie. Jak iść — to iść, jak wracać do domu — to wracać. Na co czekać? Ziemia Święta blisko. Dawnymi czasy dziadowie szli do niej piechotą, obchodząc wkoło morze. Wędrowali kilka lat przez pustynie bezwodne i góry pełne przepaści. Dziś już się słucha o tym jak o bajce. Ludzie zmądrzeli, poznali, że najbezpieczniejszą i najszybszą drogą jest morze. Szeroki, równy gościniec. Zdarzają się wprawdzie burze, toną nieraz okręty, ale i na lądzie giniesz, człowiecze, gdy chwila, co ci pisana, nadejdzie. A przy pomyślnej pogodzie w parę niedziel jesteś już w Ziemi Świętej bez wysiłku i kłopotu. Wszak kupcy jeżdżą nieustannie tam i z powrotem niby z odpustu na targ i z powrotem z targu na odpust. Byłe dowódcę nareszcie mianowano.

Tak wiele głów, a wodza brak. Dziwnie się dzieje na świecie. Ludzi mrowie, lecz człowieka nie ma. Jednego człowieka, na którego by inni przystali. Zdałoby się, że nic łatwiejszego niż wybierać, bo i ten dobry, i ten, a tamten jeszcze lepszy. Tymczasem, rozpatrzywszy się, ujrzyysz, że nie ma nikogo. Narzekają na to, schodząc się na wspólne narady: Walter, księżę de Nemours, przyjaciel jego Jan d'Arcy, obaj okryci wielką chwałą pod Bouvines, Robert de Hainaux, Wilhelm de St. Omer, Szymon de Joinville, Erard de Chacenay, Milon de Nanteuil, biskup z Beauvais, i Andrzej de Nanteuil, jego brat. Każdy z nich w duszy uważa, że sam byłby najlepszym wodzem, ale nie staje mu odwagi, by głośno to powiedzieć. Żaden nie posiada siły dostatecznej, by swój wybór pozostałym narzucić. Przywiedli po kilkudziesięciu, czasem kilkuset rycerzy, do tysiąca piechoty, to już najwyżej. Za mało, by szczęściem miecza poprzeć swoje słowa. Więc milczą, lękając się śmieszności, gorszej dla rycerza od śmierci. Zdarza się nawet, że jeden mówi uprzejmie drugiemu: „Wyście powinni dowodzić” — w skrytej nadziei, że tamten odpowie: „Wyście godniejsi”, a inni te słowa podchwycą.

Na Jana de Brienne przystaliby bez sprzeciwu prawie wszyscy. Na innego pomazańca też. Nie byłoby między nimi zazdrości, a zawsze co król, to król. Ale pomazańce się nie śpieszą. De Brienne nie daje znaku życia. Młody, lecz chytry jak stary, Fryderyk II, choć ślubował papieżowi

Innocentemu, że krzyż weźmie, nie myśli o dopełnieniu przysięgi. Powiada, że nie pójdzie wcześniej, aż pokona Filipa szwabskiego i Ottona z Brunszwiku. Filip francuski już był w Ziemi Świętej, ma dość na całe życie, Andrzej węgierski podobnie. Księżę polski lęka się braku miodu i piwa, czeski zajęty rozterkami wewnątrz kraju... Nie masz żadnego.

— Zawsze sądziłem, że de Brienne będzie prowadził — powiada de Joinville. — Nie lenił się do oręża. Widziałem go nieraz w potrzebie...

— W Akrze zła febra podobno panuje i ludzi zżera... Może się go uczepliła?

— Wszyscy powiadają, że w Jerozolimie było zdrowo, bo sucho, a wokoło Akry bagna...

— Podobno Ojciec święty chce posyłać do króla Filipa, prosząc, by naznaczył wodza, jak pierwiej naznaczył króla?...

— Król pewnikiem doradzi tych, co walczyli pod Bouvines — mówi uprzejmie biskup Milon. Jego brat ciemnieje z gniewu, bo w bitwie nie brał udziału.

— Nie wiadomo, nie wiadomo — odrzuca na pozór niedbale de Nemours.

Poważny Szymon de Joinville zaprzecza pogłosce.

— Nie może to być, bo panowie italscy i angielscy nie przystaliby na wybór przez króla Filipa dokonany. Szczególnie angielscy! Tylko Ojciec święty może wodza naznaczyć. Obaczycie, że wybierze którego z kardynałów.

— Kardynał zostanie wodzem tylko z imienia, a wždy będzie za niego kierował kto inny...

— Ej, nie brak w Świętym Kolegium takich, co sami miecz schwycają, a władzy z rąk nie popuszczają...

— Kto ma być, niech będzie, byle prędko, bo tylko patrzeć, jak ludzie zaczną się rozchodzić...

— To dziw, że się jeszcze nie rozeszli. I jacyś spokojni w tym roku. Nie pamiętam ani jednego tumultu, ani jednej ważniejszej zwady czy grabieży, skarg mało.

— Bo głodu nie ma.

— Gadanie! Ludzie częściej broją z sytości niż z głodu. Z bezczynności. Wiadomo, co się działo w inne lata. Im lepsze zaopatrzenie, tym gorsze niesnaski...

— Sam się już temu dziwiłem — przytwierdza biskup z Beauvais — i dociekałem, w czym rzecz. Według setników to i zasługa mnichów zebrzących, owych Braci Mniejszych, na których tutejsze rycerstwo takie jest zawzięte...

— Za co?

— Że założyciel zakonu, Franciszek, którego jedni uważają za przygłupka, drudzy za świętego, namówił do swego zakonu córkę Scifich na Asyżu i Sasso Rosso... Scifi, możny ród, podburzyli przeciw niemu innych wielmożów. Ale za żebrakami stoi Ojciec święty, przy tym do zamków oni się nie pchają, z samą największą biedotą przestając, więc im niewiele owe gniewy szkodzą.

— Widziałem nieraz, że jakiś obdartus przemawia, a żołnierze słuchają, usta jak gawrony rozdziawiając. To pewnie który z nich... Więc Wasza Dostojność sądzi, że oni mogą wywierać taki wpływ?

— Ja powtarzam tylko, co mówią setnicy. Niedawno powiadał mi jeden: nie utrzymalibyśmy nikogo w obozie, nie uchowałby się ani jeden dom nie ograbiony, żeby nie Bracia Mniejsi...

— Dziw, dziw...

Franciszek i jego towarzysze nie próżnowali istotnie. Szczególnie Franciszek był niestrudzony. Spotykało się go wszędzie. Z nabożnym lękiem brat Leon, zwany Barankiem, zwierzał się bratu Janowi Parenti, że chyba Pan użyzył Franciszkowi daru znajdowania się w kilku miejscach jednocześnie... Bo inaczej nie da się zrozumieć, że słyszano go i tu, i tu, i tu... Franciszek, gdy o tym posłyszał, chwycił się za brzuch ze śmiechu i kpił z brata Leona, ale to przekonania Baranka nie zmieniało...

Lecz i Franciszka męczył i niepokoił przedłużający się postój wojsk. Miano wyruszyć zeszłego roku... Na co czekać?! Aż wszyscy zapomną celu, dla którego mieli iść?!

— Nie ma na razie odpowiedniego dowódcy — wyjaśniał mu Ojciec święty, Honoriusz. Wraz z papieską godnością przejął zaufanie, jakie Innocenty żywił dla dziwacznego szaleńca z Asyżu.

— Wodzem powinien być Pan nasz i nikt inny!

— Jak to zrobić? — uśmiecha się pobłaźliwie papież.

— O, Wasza Świątobliwość! Przecież to proste: byle Go każdy miłował i słuchał, i przed każdym postanowieniem myślał, jak by Pan nasz rozkazał postąpić, a wszystko będzie najlepiej! I nie może być żadnej rozbieżności ani zamieszania, bo słowa Pana naszego jedne są dla wszystkich...

Papież nie przestaje uśmiechać się jak do rojeń dziecka.

— Chrystus Pan nie pozwolił walczyć mieczem... Więc jakże by te wojska poszły? Bez oręża?

Franciszek się rozpromienia.

— O tak! Tak właśnie! Bez oręża! W imię miłości Pana naszego...

— Czymże rozgromiłyby poganów?

— Nie potrzebowałyby gromić! One by ich nawróciły!...

I aż powstaje, radośnie zdumiony tą myślą nieoczekiwanie wyblęsnął, po raz pierwszy wyrażoną. Dotychczas wołano tylko, by pogan wytępić. Otóż nie. Po co wytępić? Nawrócić! Nawrócić!

— Nie nawróci się grzesznik zatwardziały bez miecza nad głową...

— Pod mieczem nie nawrócenie. Wasza Świątobliwość. To strach. A Pan nasz nie chce przymuszonych i zastraszonych...

Z tymi słowy odchodzi, pogodny jak zwykle. Ojciec święty przeprowadza go wzrokiem z zazdrością. Jakże się czuje daleki od Franciszkowej pogody! Krucjata, dla której ma obrać wodza, która stoi beczynnio, pochłaniając olbrzymie sumy, napełnia go rozpaczą. Dziś znów przychodził kardynał z Albano, Pelagiusz, nalegając, by Ojciec święty powierzył mu dowództwo. On potrafi poprowadzić. Bierze na siebie pełną odpowiedzialność. Niech go Bóg sędzi i ludzie, jeśli nie zwycięży. Nie będzie miał innej myśli, innej troski niż dobro krucjaty. Nie spocznie, aż zgłębi półksiężyc i Drzewo Krzyża Świętego odzyszcze, i w jerozolimskiej świątyni wywyższy. Tak mu dopomóż Bóg!

Mówił z zapalem, z najgorętszym przekonaniem. Honoriusz obiecał za dwa dni dać mu stanowczą odpowiedź. Ach, gdybyż tymczasem przybył Jan de Brienne, a bodaj pismo od niego!

Kardynał Cencius Savelli, obecny papież Honoriusz, jest bardzo stary. Nie mieszał się nigdy do rządów ni do polityki, był długoletnim skarbnikiem Stolicy Apostolskiej. Przywykł do rachunków i cyfr. Na cyfrach się zna. Na ludziach się nie zna. Wie o tym. Wie, że nie potrafi należycie uszeregować wartości, których nie wyraża liczba. Dlatego, o ile może, stara się kierować zdaniem zmarłego poprzednika, którego uwielbiał. Stąd zaufanie do Jana de Brienne. Stąd zaufanie do Franciszka, choć każde słowo tegoż wydaje się nierzeczywiste i śmieszne uczonemu rachmistrzowi.

A jakie było zdanie Innocentego o kardynale Pelagiuszu? Nie wiadomo. Pelagiusz twierdzi wprawdzie, że bardzo pochlebne, ale inni milczą. Innocenty nie był wielomówny. Rzadko się

wypowiadał. Przestrzegał przy tym surowo równości wśród członków Świętego Kolegium i nigdy jednych wobec drugich nie chwalił ani nie ganił.

Więc co począć? Duchu Święty, miłosierny Boże, oświeć! Pelagiusz jest twardy, zawzięty, nielubiany, ale co tu mówił, mówił szczerze. Ma odwagę, nie boi się odpowiedzialności. To cenne zalety. Więc może powierzyć mu plan wyprawy przesłany niegdyś przez Jana de Brienne, naznaczyć wodzem i niech ruszają nareszcie?

Niech odpływają wojska, niech spadnie na karki pogan przed pół rokiem wzniesione ramię... Niech Bóg wspomaga Grób Święty!

Rozdział czwarty

Potępienie

Rycerz d'Avesnes ani się domyślał, że wyszedłszy na skalną ostrogę Karmelu spłoszył parę kochanków. Miejsce to było mu ulubione, często je odwiedzał. Naturalna strażnica, górująca nad morzem, zatoką i całą doliną, przyciągała go dla pewnych, jemu tylko wiadomych, a głęboko bolesnych powodów.

Do Palestyny przybył z zamiarem odprawienia pielgrzymki do Grobu Świętego. Dlatego przyłączył się do orszaku grabini Szampanii. Sądził, że zaraz po przybyciu do Akry wyruszą w daleką drogę. W czasie podróży tak zapowiadano. Widocznie po przyjeździe wyłoniły się nieoczekiwane trudności, gdyż na razie przestano o pielgrzymce mówić. Grabini wraz z synem i orszakiem siedziała od kilku niedziel w Akrze, czekając, ale na co? Może wobec wiadomości o rychłym rozpoczęciu krucjaty wolała wejść rycersko do Jerozolimy znów odzyskanej, niż teraz płacić sułtanowi haracz za pozwolenie wjazdu? Podobny powód trafiał rycerzowi do przekonania.

Wyglądając niecierpliwie przybycia wojsk i rozpoczęcia walki, pragnął uprzednio dokonać ważnego ślubu.

Rycerz d'Avesnes był niezamożnym, lecz w szkatule miał sumę, którą nie pogardziłby największy magnat. Tysiąc złotych ciężkich bizantynów. Złoto to stanowić ma okup za grzech umiłowanej żony Małgorzaty, co zneconą przez kochanka rzuciła męża — z kolei od kochanka opuszczona, skoczyła w morze ze skały podobnej do tej skały...

Sama przecięła swe dni, popełniła straszliwą zbrodnię, grzech przeciw Duchowi Świętemu, oddała się piekłu we władzę. Nie masz już dla niej ratunku ani zbawienia. Nawet modlitwa na nic się nie przyda!

Rycerz d'Avesnes miłował nieszczęsną, swego czasu był gotów jej przebaczyć, przyjął zhańbioną do domu z powrotem, nie dbając o zdanie ludzi, i teraz nie przestawał myśleć o niej nadal. Dręczy się w piekle nieboga. Ogień żre jej subtelne członki, wiotkie, długie ręce. Ciało, zawsze chciwe pieszczot, kurczy się, czernieje od żaru i spłonąć nie może. Darmo zebrze kropli wody, nikt jej przenigdy ochłody nie poda i męka ta trwać będzie bez końca, bez końca...

Przeminą państwa, króle i narody, a grzesznica nieustannie cierpieć musi za swój błąd. Nie odpokutuje go nigdy. Cokolwiek dzieć się będzie we wszechświecie, ona płonie wciąż jednak. Nie zazna snu, wytchnienia ani spokoju. Po wiek wieków, w nieskończoność. Chwilami, gdy rycerz d'Avesnes uprzytomnił sobie tę grozę, ogarniała go rozpacz tak wielka, że gotów był bluźnić i Bożej sprawiedliwości uragać. Wyskakiwał nocą z łoża i biegał po polach niby oszalały. Czując się bliskim obłędu sprzedał ojcowiznę, sprzedał wszystko, co posiadał, uzyskał tysiąc bezanów i ruszył do Ziemi Świętej. Postanowił ufundować tu jakąś rzecz, Bogu i Jego Najświętszej Matce szczególnie miłą, która by skłoniła Ich do miłosierdzia. Wprawdzie z piekła nie ma odwrotu ani wychodu, lecz Matka Boska wszelkie przeszkody przełamie, gdy grzesznik do Niej się zwróci. Większe jest Jej miłosierdzie niż bramy piekielne, głębszą dobroć niżli otchłań potępienia. Czyż nie obroniła niegodnego mnicha, po którego trzykroć wyprawiał się diabeł w postaci byka, psa, a na koniec lwa? Czy własną Boską piersią nie nakarmiła skazanego na śmierć głodową zbrodniarza? Czyż nie jest wiecznie gotowa śpieszyć na ratunek? Toż ludzie, zamierzający sprzedać duszę diabłu, gotowi są w grzesznym obłędzie wyrzec się Boga w Trójcy Jedynej, lecz nigdy żaden nie wyprze się Matki Bożej. Bo wie, że wtedy już go nic nie wyzwoli...

Z tą wiarą Gerard d'Avesnes pojechał do Ziemi Świętej, z tą wiarą rozmyślał, czym by mógł Matkę Bożą uradować, a przez to przychylność Jej zyskać. Dawniej zamierzał przystroić cudnie swym złotem Grób Święty. Ale Jerozolima nie była jeszcze zdobyta, on zaś mógł w czasie wyprawy zginąć nie dopełniwszy zamiaru. Lepiej było działać zaraz. Akra stanowiła ostatnią placówkę chrześcijańską w Palestynie. Placówka ta nie była należycie warowną ani strzeżoną. Przyczynić się do zwiększenia jej obronności — czy nie byłoby dziełem Bogu nad inne miłszym? Utwierdzał się w tej myśli, stojąc na skale nadmorskiej. Gdyby tu, w tym miejscu wybudować kasztel?! Osłaniałby cały port. Prawdziwie niezdojta strażnica. Akra pod jej osłoną byłaby bezpieczna. Jeno czy uda się wznieść budowlę na tych skałach? Czy posiadana suma wystarczy?

Godzinami dumał, coraz bardziej podobając sobie w tym zamiarze. Zdało mu się, że widzi już mury wyrastające na skale, przesłaniające wciąż przed oczami przytomną postać kobiety. Jej ramionom, rozpacznie uniesionym w górę, odpowiedzą dwie strzeliste wieże. Gdzie głowa wyrasta z bark, siądzie nad murami baszta. Wzniesie się zamek ku osłonie chrześcijaństwa jako okup za duszę biednej grzeszniczki Małgorzaty. Nazwie go Zamkiem Pielgrzyma...

Postanowiwszy d'Avesnes pragnął jak najprędzej zabrać się do dzieła. Żałował, że nie ma przy sobie Roberta de Hainaux, serdecznego druha, z którym jeszcze w młodzieńczych latach braterstwo miecza zawarli. De Hainaux byłby Gerardowi znacznie pracę ułatwił, był bowiem obrotny, rzutki, nie stronił od ludzi i nie rozmyślał o piekle. Posiadał wprawdzie zmartwienia podobnej natury, nie tak jednak ważne i głębokie. Gdy d'Avesnes zamartwiał się z powodu samobójstwa niewiernej żony, de Hainaux cierpiał nad tym, że miał babkę, która samobójstwa... nie popełniła. Babka ta brała udział w pierwszej wielkiej krucjacie. Saraceni pojмали ją do niewoli. Podobno żyła długie lata w haremie i miała tam dzieci. Tego Robert nie mógł matce swego ojca darować. Jego zdaniem, ściągała hańbę na cały ród.

— Ojciec mój tych czasów nie pamiętał — mawiał nieraz do Gerarda — bo go niemowłeciem matka zostawiła, by za dziadem do Ziemi Świętej jechać... Wielce się podobno miłowali. Dziad po jej stracie był jak nieprzytomny i do śmierci nikt uśmiechu na jego twarzy nie widział. Na syna, a mego ojca, patrzeć nie mógł, bo mu nadto utraconą przypominał. Jak sierota chował się ojciec u obcych... Z początku sądzili wszyscy, że ona poległa, i chwalili, że zaszczytną, nie białogłowską śmiercią zesła, aż kiedyś po śmierci dziada, za króla Trędownatego, gruchnęła gadka, że nie, że żyła w haremie i dobrze się miała... Na krew świętych Męczenników! Z Montferrandów, grabini de Hainaux! Inne nie dają się żywcem brać w niewolę...

— Ejże, lepiej, że sobie żywota nie odjęła, duszy nie gubiła — wzdychał d'Avesnes, i rozpoczynał się między przyjaciółmi długi, niezliczone razy podejmowany spór o to, czy samobójstwo jest tak straszliwą zbrodnią, jak to mówią księża, czy nie. Według prawideł rycerskich lepiej było zadać sobie śmierć niż przeżyć hańbę i takiego postępkę nikt nie ganił.

— Ludzie nie ganią, ale Pan samobójstwa zawsze zabrania — twierdził d'Avesnes i przymykał oczy jakby przed blaskiem żaru trawiącego samobójców. Jakież duchy zaludniały rozstaje i uroczyska? Skąd się brały upiory i strzygi, jeśli nie z tych, których nie wolno chować w poświęconej ziemi?

— Brednie — zapewniał przyjaciel. — Kościół sam chwali dziewice, które odjęły sobie życie, żeby ująć sromoty. Mojej babce Bóg by na pewno przebaczył, owszem, za zasługę poczytał, że zacny ród ustrzegła od wstydu. A tak co? Serce ciągnie na świętą wojnę, ochota

ciągnie, a strach zbiera, że pośród pogan na krewniaka trafię... Bodaj ją piekło schłonęło, nim w pogańską łożnicę poszła.

— Cichajcie, na miły Bóg! — prosił d'Avesnes. Niewiele go obchodziła Robertowa babka, ale raziło boleśnie przekleństwo. Gdyby ludzie zastanowili się choć raz w życiu, czym jest piekło, nie rzucaliby tak lekce słów.

Na razie jednak przyjaciele byli rozdzieleni. De Hainaux wraz z całą armią krzyżowców nudził się w Ankonie, więc d'Avesnes sam zabrał się do roboty. Łatwo otrzymał zezwolenie od króla, od biskupa Jakuba de Vitry błogosławieństwo, a od obu zapewnienie, że gdyby zabrakło grosza na budowę, dołożą ze swego. Na budowniczych nie zbywało również, i to przednich, lepszych niż w kraju. W mieście wiadomość, że obcy rycerz wznosi kasztel dla obrony grodu od strony morza, wzbudziła podziw i zadowolenie. Rycerze zakonów: templariuszów, szpitalników i Najświętszej Maryi Panny Jerozolimskiej krążyli już wokół wspaniałomyślnego fundatora, nadstawiając mu się jako przyszła załoga strażnicy. Lecz d'Avesnes nie zwracał uwagi na ich zalecanki, w milczeniu dozorując rozpoczętych robót.

Roboty te szły łatwiej, niż oczekiwano. Ku ogólnemu zdumieniu skała nie okazała się litą, samorodną skałą, lecz szczątkiem jakiejś pradawnej potężnej budowli. Pod cienkim nalotem naniesionej wiatrem ziemi, pod wątlym kożuchem trawy pierwsze uderzenia oskardów odsłoniły stare, krzepkie mury z polewanej cegły o pięknych, dotąd nie spłowiałych barwach. W obrębie murów tak mocnych, że można było śmiało użyć ich za fundamenty, robotnicy znajdowali drobne dziwaczne przedmioty ze złota, srebra, kryształu lub kości. Były tam szpile do włosów, naramienniki, zapy, posążki nieznanymi bóstw o twarzach szpetnych i wielkich brzuchach. Ludzie bali się brać je do ręki ze względu na mogące w nich przebywać czary, lecz widok złota kusił, i niejedni spluwając po trzykroć i żegnając się, chował w zanadrze spinkę niezwyklego kształtu. Prócz tych drobnych klejnotów wykopywano wiele naczyń glinianych, rozsypujących się pod uderzeniem łopaty, i twardych jak kamień tabliczek prostokątnych, pokrytych niby makiem drobnymi rysami. To nie mogło przydać się nikomu na nic i zwalone na stos leżało na boku. Gdy wypadnie uprzętać plac, zrzuci się niepotrzebne rupiecie w morze.

Mateusz Pesaro, pozostający od niedawna na królewskim dworze jako pomocnik pisarza, posłyszał o dziwnym odkryciu i przybiegł pewnego dnia, aby wykopaliska obejrzeć. Źle trafił, bo właśnie nadciągała burza. Morze stalowe, zgrzywione, pluło aż na skałę wodą, sięgało zaczętej budowy. Robotnicy zabierali pośpiesznie narzędzia i nie radzili nikomu zostawać. Bywało już nieraz, że fale zmywały wszystko ze skały... Pewnikiem i dziś tak będzie, bo bardzo się chmurzy.

— Ale wtedy splucze się wszystko! — krzyknął Mateusz zatroskany. Zdjął płaszcz i włożył weń jak w płachtę gliniane tabliczki, potrzaskane naczynia. Zebrał tego tyle, że nie mógł podźwignąć, i prosił, by mu je zadano na plecy. Gruby Jonasz, mularz, uczynił to chętnie, nie szcędząc przycinków i kpin z ludzi uczonych. Na co bakałarzowi te skorupy?! Na co?

— Będzie je na proszek tarł i medykom do leków sprzedawał — domyślił się cieśla Euzebiusz. — Nie taki on głupi, nie!

„Niegłupi” Mateusz włókł się z trudnością do zamku, smagany rosnącym w sile wichrem, oślepiiony pyłem, wpół zgięty pod ciężarem. Nareszcie złożył ostrożnie cenne brzemie na posadzce izby zajmowanej przez mistrza Jakuba Pochard, z którym zdążyli się już poznać i zaprzyjaźnić.

— Coście tu przynieśli? — zapytał kwaśno astronom. Był zły, bo królowa mogła każdej chwili zażądać horoskopu, a ten horoskop... Bodaj go był nigdy nie zaczynał!

Mateusz w krótkich słowach objaśnił, skąd wraca. Usiedli obaj na ziemi, rozpatrując uważnie przyniesione skorupy.

— To jest pismo — stwierdził astronom głosem zniżonym z przejęcia. — Nieznane pismo... Nie wzór, nie przypadkowe odbicie, ale litery... Spójrzcie, jak równo biegną rządki... Niektóre znaki powtarzają się... O, gdyby móc je odgadnąć!

— Tak, to są księgi albo dokumenty ludów, które niegdyś istniały na ziemi... Kiedy? Za czasów Abrahama? Może wcześniej? Jak sądzicie, mistrzu? Może przed potopem? Może człowiek, który je kreślił, oglądał arkę Noego?

— Musieli ryc to pismo, gdy glina tabliczki była jeszcze miękka... Spójrzcie, jak tu się ciągnęła za rylcem...

Rozgorączkowani, podawali sobie wzajemnie płytki, przykładali je do oczu, wodzili palcem po okrytych znakami płaszczyznach, jakby w nadziei wydarcia im tajemnicy. Ogarnął ich nagły gorzki żal nad własną niewiedzą. Ziemia taka stara, tyle tajemnic kryje, tyle ludów się przez nią przewaliło, a oni nic z tego nie mają. Umiejętność, z której byli dotąd dumni, nie przyda się na nic, gdy chodzi o poznanie przeszłości.

— Nie były to byle prostaki — ciągnął astronom, oglądając skorupy naczyń. — Popatrzcie na te wzory! Dziś garncarz nie potrafi tak cudnie wyrobić!

— Kto wie, czy na tych tabliczkach nie jest zawarta tajemnica transmutacji materii, którą podobno znali starożytni... Albo uzasadnienie Pliniuszowego twierdzenia o kulistości ziemi, której to teorii świat przyjąć nie chce, upierając się, że ziemia spoczywa na wodzie... Kto wie?

— Nieraz przychodzi mi na myśl, że nasz podział natury na tworzącą, lecz nie stworzoną, tworzącą i stworzoną, stworzoną i nie tworzącą, nie tworzącą, nie stworzoną — nie jest zupełnie dokładny i ścisły... Może właściwy znajduje się tutaj. Mamy go w ręku, a przeczytać nie zdołamy...

Stuknięcie drzwiami przerwało ich żale. Pacholek z dworu królowej wszedł i zdziwił się na widok obu uczonych mężów siedzących na podłodze.

— Pani ochmistrzyni, szlachetna małżonka szlachetnego rycerza z Cezarei, idzie! — zawołał i wybiegł parszkając śmiechem.

— Święty patronie. Apostole! — jęknął gniewnie astronom, z trudem wstając z ziemi. — Na pewno przychodzi po horoskop!

— Powiedzcie, że nie skończony.

— Wstyd. Pomyślą, że niedojda. A on już dawno skończony, tylko że...

Urwał, bo pani de Layron wkroczyła do izby. Była zażywna i godna. Twarz jej zdradzała wyraźnie, że nie przyszła tu dla przyjemności, ale skłoniona nakazem. Bez zaufania usiadła na brzegu podsuniętego sobie stołka i obejrzała się, czy dwórka Sabina stoi za nią. Badawczym wzrokiem obiegła izbę.

— Cóż to? — spytała ukazując ręką znaleziska.

— Z ziemi wykopane, starożytne a nie znane nam pisanie...

— O czym?

— Nie wiemy, nie mogąc zrozumieć liter...

— Może pogańskie? — zaniepokoiła się.

— Na pewno — przyznał astronom.

— No to wyrzucić! — zawołała. — W domu nie trzymać! Licho w tym siedzi pewnikiem. Kto wie, może jakie zaklęcie diabelskie?

— Wyniesiemy je natychmiast. Bądźcie, szlachetna pani, spokojna. Racście teraz powiedzieć, czemu możemy przypisać zaszczyt waszych odwiedzin?

Lecz niewiasta nie ukończyła jeszcze oględzin.

— U innych astrologów — stwierdziła — są podobno gadziny wypchane, sowy, gacki i butle z proszkami?

— To u alchemików, szlachetna pani, nie u astrologów. Astrolog tylko w gwiazdy spoziera, do czego wystarczają te oto przyrządy...

— Dla mnie — wyznała wyniośle — astrologi, alchemiki, medyki i szczurołapy to jedno... Dużo wiatru, mało zysku. Byle znachorka więcej umie od nich. Przyszłam tutaj, bo Miłościwa Pani chce dziś odwiedzić krewniaczkę Miłościwego Pana, grabinę Szampanii, a żeście z jej dworu, przysłała mnie spytać łaskawie, czy o tej porze w pacierzach nie przeszkodzi.

Mistrz Pochard otworzył oczy tak szeroko, że stały się całkiem okrągłe jak sówie.

— Miłościwa Pani? W odwiedzin? W tę pogodę?

Ochmistrzyni wzruszyła ramionami.

— To samo powiadałam. W taką zawieruchę! Pierwszy raz! Bo Miłościwa Pani grabinie Szampanii dotąd nie zna... Więc przedkładałam... Ale się uparła. Jak to bywa w jej stanie, gdy przyjdzie zachcenie... Powiada, że chce prosić grabinę, by wpłynęła jako krewniaczka na Miłościwa Pani grabinie Szampanii dotąd nie zna... Więc przedkładałam...

Astronom nie przestawał wytrzeszczać oczu. Ochmistrzyni z natury gadatliwa, ciągnęła dalej:

— Ja się Miłościwemu Panu nie dziwię, że woli doczekać wiązania. Za dwie, trzy niedziele przychodzi czas Miłościwej Pani. Lepiej, żeby mąż był podczas w domu... Ale Miłościwa Pani się upiera... Słyszała, że Miłościwy Pan bardzo swoją krewniaczkę poważa. A grabinie zrobiła podobno ślub, że nie przyjdzie na zamek, aż pielgrzymkę odprawi. Więc Miłościwa Pani chce sama do niej iść...

Astronom już zdążył ochłonać.

— Nie może iść — zawyrokował stanowczo. — Właśnie kończę horoskop Miłościwej Pani, Jasno z niego wynika, że Miłościwa Pani nie powinna w tym czasie opuszczać pałacu ani nowych znajomości zawierać...

— Dlaczego? — zachłysnęła się niepokojem ochmistrzyni.

— Saturn w połączeniu z Merkurem stwarzają aspekta niepomysłne dla podróży. Także każą się wystrzegać nieznanym lic, choćby tak czcigodnych jak krewniaczka Miłościwego Pana, szlachetna grabinie Szampanii.

— Bóg zapłać za ostrzeżenie. Zaraz uprzedzę Miłościwą Panią. Zrazu mówiłam, że lepiej się nie ruszać w taką nawalnicę... A to paskudztwo wyrzucie.

Wskazała nogą wykopaliska i wyszła, szeleszcząc szatą. Astronom westchnął głęboko.

— Chyba królowa nie pójdzie. Jak myślicie. Mateuszu?

Nie ukrywał przed bakałarzem tego, co dla przybyłych z Troyes dawno przestawało być tajnym. Nieraz w wolne chwile rozważali te białogłowskie sprawy. Wymieniali przy tym szereg uwag nacechowanych niechęcią do niewiast z zupełną, ludziom nauki właściwą, nieznaną nieznajomością przedmiotu.

Mateusz poskrobał się w głowę.

— Bo ja wiem? Jeśli się uprze, to gotowa pójść.

— Na taką wichurę? Tylko patrzeć, jak lunie. Ha, trudno. Pójdę na wszelki wypadek ostrzec grabinię...

Wicher dał wprost od morza. Na zachodzie przewalały się chmury czarne, kłębiaste, migocące błyskawicami. Grzmotów nie było słychać, bo szum morza głużył wszystko. Drogą pędziły tumany ostrego pyłu. Nie zważając na nadbiegającą burzę, król Jan przyjechał do hospicjum odwiedzić krewniaczkę. Czynił to jawnie raz na tydzień. Tłumaczył się przed szlachetną pątniczką z opóźnienia, jakiemu uległa jej podróż. Dawno już wysłał gońca do sułtana po zezwolenie, lecz goniec dotąd nie wrócił... Co go wstrzymało, nie wiadomo.

Blanka w pięknej sztywnej sukni, z wysokim upięciem na głowie, siedziała w krześle o rzeźbionych poręczach. Jan w takim samym naprzeciwno niej. Gospodarz hospicjum stał w pełnej szacunku postawie u progu. Wilfryd za krzesłem pana, Genowefa za krzesłem pani. Zdania padały odważne, ceremonialne. Na dworze wicher grzmiał, jakby pędził oddział jazdy.

— Miłościwy Pan raczy mi zezwolić odejść? — zapytał po chwili gospodarz. — Okna trzeba na górze dobrze zawrzeć, bo je wiatr powyrywa.

Miłościwy Pan zezwolił. Wnet Wilfryd z Genowefą znikli również. Pod drzwiami przykrzyło im się stać. Weszli przeto do bokówki. Spoglądali na siebie ciekawie. Mało się znali, a cały świat uważał ich za kochanków. Oni to wykradali się z domu nocą, oni wałęsali się po polach, wracali nad ranem. Genowefa była jawno grzesznicą, Wilfryd uwodzicielem. W kraju dawno by go wypędzono, dziewczkę stawiono pod pręgierz, ale tu nikt na podobne rzeczy nie zwracał uwagi.

— Na szczęście — zauważył Wilfryd, ziewając.

Genowefa gniewnie potrząsnęła głową.

— Nie gorszą się, bo to półpogany, ale gadają, co wlezie. Plotka leci z wiatrem jak złe nasienie. Dojdzie do kraju, a wtedy ojciec mnie chyba zabije! Oj, dolo!

— E, zaraz by zabijał — powątpiewał Wilfryd.

— Zabije — zapewniała. — Co sobie myślicie? Ojciec jest szlachcic, urodzony...

Spojrzał na nią uważnie. Istotnie wyglądała na szlachciankę. Urodziwa, wysoka, czarnooka...

— Mój jest także urodzony, a przecie się nie kłopotę...

— Czym mielibyście się kłopotać?! — wykrzyknęła z gniewem. — Dziewczynie hańba i wstyd, nie chłopu!

Wyciągnął rękę pojednawczo.

— Nie sądźcie, że skoro i tak gadają, lepiej niech mają sprawiedliwy powód?

Genowefa nic nie odpowiedziała.

Jan i Blanka, zostawszy sami, siedzieli jeszcze chwilę w swych wielkich poręczowych krzesłach. Wrychle jednak przenieśli się do alkierza. Był ciasny, wypełniony łóżem. Od komnaty oddzielała go miękka, ciężka zasłona. Jan wyciągnął się na łożu. Blanka zdjęła wysokie rusztowanie z głowy. Na włosach miała obcisły czepeczek z koronki. Wyglądała w nim wdzięcznie i młodo.

— Jutro wyślę pismo do Ojca świętego — rzekł Jan, gdy przyszła spocząć koło niego.

— Jutro... Czyli, że niebawem...

— Nasza szczęśliwość się skończy...

— Pojadę za tobą na wojnę.

Roześmiał się, gładząc jej ramiona.

— To niemożliwe. Wiesz dobrze.

— Przecież bywały niewiasty krzyżowcami?

— Wtedy boje toczyły się o Jerozolimę... Honor był wejść do Świętego Miasta... Teraz wojna będzie inna, daleka, w Egipcie...

— Walczyć będziecie o to samo.

— Niby o to samo, a inaczej. Tamte wyprawy to coś jak zbrojne pielgrzymki, a tu rozważne wojackie działanie...

— Cóż mam ze sobą uczynić? — szepnęła zniechęconym głosem.

— Czekać. Jeśli Bóg da, że Jeruzalem odbierzem, Ojciec święty nie odmówi mi rozvodu.

— Wojna może potrwać parę lat!

Nie zaprzeczył. Ona mówiła z rosnącym wzburzeniem:

— Parę lat, gdy ja każdy dzień z trudem znoszę! Dławi mnie, mierzi... Nie mogę dłużej żyć w ten sposób! Skończ z tym! Musisz wybierać. Ja albo ona...

— Wybrałem już dawno — tłumaczył łagodnie, — Nie widuję jej wcale. I doprawdy nie wiem, czym ci ona zawadza...

— Tym, że tu siedzę jak sługa, na łasce własnej dwórki! Że się jak dziewczka wymykam, że cię widuję ukradkiem...

— W Troyes było jeszcze gorzej.

— W Troyes mogłam to znieść, a dziś nie znoję.

— Cichaj. Zdaje się, że tam ktoś wszedł...

— Przewidzenie. To wiatr stuka. Genowefa sama, nie wołana, nie przyjdzie ani obcego nie puści. Więc nie znoję... To mnie zadławi... Patrz, co tu noszę w zanadru... Nie rozstaję się z tym... To nie szkaplerz. To zioła od Margochy. Pamiętasz jędzę Margochę? Zaszłam do niej nocą przed wyjazdem... Dała mi, mogę usunąć, kogo chcę, rozumiesz?!

— Milcz! — szepnął przerażony. — Boga się bój.

— Boga — powtórzyła namiętnie. — Cóż znaczy jeden grzech więcej lub mniej? Nie dbam o potępienie, byle nareszcie być sobą. Bodaj przez dzień!

Zbliżyła tuż ku niemu swą twarz, zawsze jeszcze piękną, rozgrzaną. On milczał dalej. Na dworze burza tętniała, a jemu zdawało się ciągle, że to ktoś chodzi, stoi wyczekująco, podsłuchuje ich rozmowę. Przy tym słowa Blanki przeraziły go. Chodziła do Margochy? Po trutkę! Jak musiała go miłować, by się na taką rzecz ważyć! Przelotne zadowolenie męskiej miłości własnej mignęło szybko, ustępując miejsca grozie. Odsunął się.

— Nie. Wszystko raczej niż to! Nie mów nigdy podobnych rzeczy. Anim ja zbrodniarz, ani ty trucicielka... Boże zachowaj! Cisnąłbym dziś to królowanie i to małżeństwo i wziął cię i przeciw całemu światu za swoją ogłosił, gdyby nie wyprawa wojenna, co się gotuje. Jeżeli teraz odejdę, mogą powiedzieć, że tchórz, że się od walki uchylam... Wszystko dla ciebie poświęcę, ale czci rycerskiej nie. Sama byś nie chciała, by o mnie tak mówiono. Skończy się wojna, odejdziemy razem...

— Nie mogę czekać, aż się wojna skończy, wojna, co się jeszcze nie zaczęła!

— Ktoś ruszył drzwiami! — zaniepokoił się znowu.

— Przesłyszało ci się. Od wiatru wszystkie drzwi kołaczą. Zresztą zobacz.

Jan zsunął się z łóżka i odchylił zasłonę.

— Nie ma nikogo — stwierdził z ulgą.

Blanka podłożyła obie ręce pod głowę.

— Dlatego właśnie nie mogę czekać! — zawołała. — Nie mogę wytrzymać! Drzeć, że ktoś wejdzie... Zrywać się, bo drzwi skrzypnęły... Kryć się jak zając przed ogarami... Dopuszczać do spółnictwa sługi...

Milczał. Ach, jemu też dokuczyło. Ale co począć? Jaka na to rada?

Leżeli dłuższy czas w milczeniu.

— Trzeba mi wracać — rzekł wreszcie, spuszczać nogi na ziemię.

— Nie odchodź. Nikt się nie dziwi, że czekasz, aż burza przeminie. Słyszysz, jaka ulewa?

— Deszcz rychło nie przejdzie. Będzie padał do rana.

— Przecież musimy coś postanowić?! — krzyknęła z nagłą rozpaczą.

— Co postanowimy? Wyjścia nie ma.

Stanowczym ruchem wstał i wyszedł z alkierza. Blanka podniosła się z westchnieniem i jęła upinać na głowie rusztowanie podtrzymujące kwef. W sieni słyhać było głosy. Jan otworzył drzwi, by zawołać Wilfryda. Zobaczył skulonego ociekającego wodą astronoma, Jakuba Pochard, i zdziwił się jego obecności.

— Co was sprowadziło w tę ulewę, mistrzu Jakubie?

— Ulewa spotkała mnie w drodze, Miłościwy Panie. Chciałem uprzedzić Jej Dostojność, że Miłościwa Pani wybiera się do niej, ale żem się spóźnił, więc tylko obeschnę i wracam...

— Miłościwa Pani wybiera się tu? — powtórzył Jan zaskoczony.

Z kolei astronom się zdziwił.

— Wszakże była przed chwilą. Spotkałem co ino jej lektykę już wracającą...

— Tutaj nikogo nie było! — krzyknął Jan z mimowolnym drżeniem w głosie. — Wilfryd! Przyjeżdżał kto?!

Czerwony, zmieszany giermek wysunął się z cienia.

— Nnnie... nie wiem... — wybąkał.

— Stałeś tu cały czas?

— Nie — wyznał chłopiec na wpół z płaczem.

Jan chciał wybuchnąć, ale się powstrzymał. Zwrócił się do astrologa:

— Po co Miłościwa Pani chciała tu przyjechać?

— Prosić Jej Dostojność, by namówiła was, Miłościwy Panie, do skorszego objęcia dowództwa krucjaty. Tak powiadała ochmistrzyni...

— I była... tu?

— Widziałem jej lektykę... Zresztą można się spytać gospodarza...

— Nie! — krzyknął Jan. — Nie pytajcie nikogo!

Chodził po izbie wstrząśnięty do głębi. Maria tu była! Czy weszła do izby? Czy słyszała ich rozmowę?... Nie mogła słyszeć w tym łośkocie wichru!... Była tu... Słuch go nie mylił. Wsunęła się po swojemu, cicho jak mysz, jak niegdyś do jego komnaty... Nieporadna i nieśmiała, umiała robić takie rzeczy, na które by się inna nie ważyła. Była tu... I odeszła bez słowa. Dlaczego? Co usłyszała?

Otulona w swój wysoki biały kwef, Blanka śledziła go wzrokiem, Na ustach miała zły uśmiech. Nie zdawała się zmieszana. Wilfryd nieszczęśliwy, skulony jak obity pies, stał przy drzwiach. W sieni astronom wykręcał dół płaszcz. Wielkie krople brudnej wody kapały na ziemię. Na dworze burza zdawała się ścichać. Jan chodził nieprzerwanie. Powinien wracać, a nie miał odwagi.

Naraz pod okapem zadudniało. Goniec z pałacu.

— Gdzie Miłościwy Pan?!

— Tutaj!

— Pani ochmistrzyni pilno proszą! Miłościwa Pani zległa!

— Rany boskie! — krzyknął Jan. Wilfryd już nadbiegał z koniem. Król skoczył na siodło jak młodzik i pognął w noc. Koń rozbryzgiwał stojące na drodze kałuże. Wilfryd chwycił pozostawiony przez Jana płaszcz i popędził za panem. Gospodarz hospicjum zszedł po schodach i stał jak otumaniony... Zległa?! Zdaje się za wcześnie? Boże, bądź miłościw! A jeszcze godziny nie ma, jak tu była...

Astronom wygładzał dłońmi wyżętą połę płaszcz. Blanka z podniesioną wyzywająco głową nasłuchiwała oddalającego się tętentu.

— Co gwiazdy mówią o niej? — rzuciła nagle rozkazująco.

— Obecne aspekty gwiazdne są niepomysłne dla niewiast w ogóle — odparł uczoney.

Obrzuciła go pogardliwym wejrzeniem.

Dziecko, maleńka dziewczyneczka Jolanta, było tak słabe, że ochrzczono je natychmiast, nie sądząc, by przeżyło parę godzin. Wbrew oczekiwaniom jednak przy piersi tęgiej mamki zdawało się wzmacniać. Kto wie, może uda się je zachować przy życiu? Za to królowa zegnała się ze światem. Trawiła ją zła gorączka, co niszczy położnice, na które ktoś urok rzuci. Na próżno biskup de Vitry przynosił własnoręcznie relikwie i kładł na łonie królowej; we wszystkich kościołach trwały nieustanne nabożeństwa, a gromada medyków otaczała łożo.

Upředzenia, jakie Latyńcy żywili niegdyś do lekarzy greckich czy ormiańskich, dawno minęły, i Jan wezwał wszystkich, jakich znano w kraju. Sam nie odstępował żony, czuwając na równi ze starym Ibelinem z Bejrutu, ochmistrzynią i starą niańką, Eudoksją. Zgryzota jego była szczera. Czuł się straszliwie, haniebnie winien. Do tego dręcząca niepewność, czy żona była wówczas w izbie i jak długo tam pozostawała... Nie mógł nikogo pytać, zdradziłby się bowiem, że leżał w alkierzu z Blanką, że go nie było w komnacie. Z natężeniem wpatrywał się w woskowe lica chorej, której zaostrome rysy zdradzały bliski zgon, daremnie starając się dociec. Zdawała się przytomną, nie patrzyła jednak na nikogo. Twarzyczka jej była bardziej niż kiedykolwiek podobną do żalosego pyszczka łasiczki, do białego gronostaja. Tylko że gronostaj kąsa śmiertelnie, a Maria nigdy kąsać nie umiała. Odchodziła cicho, jak żyła, nie oskarżając nikogo, nie dzieląc się myślami z nikim.

Szczerze strapiony Tybald pytał codziennie w imieniu matki o zdrowie królowej i Jan, słysząc, jak zduszonym łzami szeptem pani de Layron powiada, że gorzej niż wczoraj, myślał z mimowolnym dreszczem o radości, z jaką Blanka przyjmie tę wiadomość. Od siebie nie przesłał do hospicjum żadnego słowa, żadnego zlecenia. Nie był w stanie. Zaklinał medyków, by wysilili swą wiedzę, obiecując im cały majątek w zamian za uratowanie małżonki. Ale medycy rozkładali ręce bezradnie. Twierdzili, że nie mogą nic pomóc, bo Miłościwa Pani odmawia przyjmowania zarówno leków, jak pokarmów. Istotnie tak było. Maria z odrazą czy obawą spoglądała na wszystko, co jej podawano, i zaciskała usta w milczącej, stanowczej odmowie. Na próżno Jan, pochylając się nad nią, prosił ze spóźnioną tkliwością, by wypła parę kropel wzmacniającego kordiału. Zamykała oczy i usta, odmawiając ledwo dostrzegalnym ruchem głowy. Aż lekarze zawyrokowali, że macica podeszła pod żołądek, który z kolei podszedł pod gardło i płuca, uniemożliwiając przełykanie. Próbowali jeszcze nacierania hyzopem, którego cudowne właściwości są znane, a pani de Layron wsunęła pod wezglowie zdobyty kędyś z trudem kamień a c h a t , talizman, którym orzeł zabezpiecza gniazdo od węży. Leczą i to nie pomagało.

Z trudem powstrzymując łkanie, stara niańka Eudoksja podeszła do łoża z kubkiem ziół w ręku.

— Aby tego, aby tego napij się, moja gołąbko... Spróbuj... Ptaszyno najdroższa... To ziele zawsze pomaga... Myślisz, że gorące? Nie gorące, nie...

Jakby dla upewnienia chorej, nadpiła odwaru z kubka, podając go znów błagalnie. Maria przyglądała się jej uważnie. I nagle otworzyła z wysiłkiem zaschłe, spieczone wargi, przełknęła kilka łyków prawie że z chciwością. Jan, który patrzył na to, doznał pchnięcia w serce: wypła ziółka może dlatego, że niańka skosztowała ich uprzednio? Czyżby odmawiała pokarmu i leków z obawy, że zostanie otruta? Otruta?! Zatem nie tylko była w komnacie, ale całą ich rozmowę słyszała?! I bała się... Przypomniała sobie zapewne słowa biskupa, że dla tutejszych ludzi fraszka struć żonę, by się połączyć z kochanką. I bała się!... To biedne, konające dziecko lękało się trucizny z ręki męża... z jego ręki... Pod tą straszną świadomością zatoczył się jak uderzony. Nie zważając na obecnych upadł na kolana.

— Mario! — zawołał. — Przysięgam na zbawienie duszy, zem nigdy nie chciałem dla ciebie nic złego!

...Usłyszała? Zrozumiała? Uwierzyła... Nie dowiedział się ani teraz, ani później. Nie otworzyła już bowiem oczu, nie przemówiła słowa — a teży nocy umarła.

Bezpośrednio po wspnianym, kilka dni trwającym pogrzebie królowej jerozolimskiej Jan de Brienne wezwał Radę i uroczyście złożył na jej ręce koronę. Prosił tylko, by pozwolono mu brać udział w gotującej się wyprawie. Lecz Rada abdykacji nie przyjęła. Z wyjątkową jednogłośnieścią baroni i wielcy mistrzowie nalegali, by król został jako regent sprawujący rządy w zastępstwie maleńkiej królowej Jolanty.

— Ufamy wam. Miłościwy Panie — mówił stary Ibelin z Bejrutu, zwany zwierciadłem prawości. — Nie pragniemy innego pana. Bóg zabrał naszą panią głos mu się załamał, nie mógł bowiem przeboleć śmierci wychowanki — święta Jego wola. Ale wy zostańcie przy rządach. Któż ma sprawować regencję, jeśli nie ojciec? Gdybyście chcieli wejść w nowe związki, sprzeciwić się też nie będziemy, byle małżeństwo zawarte było z naszą zgodą i bez uszczuplenia praw królowej Jolanty...

Tak mówił Ibelin, a poparli go gorąco biskup de Vitry, Raul z Tyberiady, Dzierżek z Polski, Milon de Plancy i reszta. Po krótkim wahaniu Jan przystał. Opuścił jedynie królewską sypialną komnatę, twierdząc, że nie ma prawa sypiać w niej, będąc regentem. Dziwiono się tym przesadnym skrupułom, on jednak wiedział, że w dawnej komnacie nie zaznałby snu. Nieustannie widziałby żonę rozchylającą kotarę. Oto wchodzi lekliwie, staje przy łożu, tak jak ją widział

ostatni raz przed jej chorobą. Stoi z tym swoim żalonym wyrazem i pyta: „Dlaczegoś mi tak uczynił?”

Jan został. Złożył przysięgę jako regent w zastępstwie pisklęcia mniejszego niż rękawica rycerska, miauczącego bezsilnie w powijkach, a zwanego uroczyście królowną Jolantą.

— Takuteńka była jej matka, gdy regencję obejmował — mawiał stary Ibelin z westchnieniem. — Takuteńka... A przecie się wychowała...

Po czym Jan rzucił się gorączkowo do zaniedbanej w ostatnich miesiącach pracy. Nim odpowiedź z Rzymu nadejdzie, wszystko musi być gotowe do wyprawy. Słał posłów do młodego księcia Tripoli, Rajmunda, i targował się z Genuńczykami o wynajem statków. Chytrzy kupcy stawiali niebywałe żądania. Nawet Grecy bywali uczciwsi! Ale greckich galer już nie ma. Aż dziwno pomyśleć, że nie ma już basileusa i jego wspaniałego dworu, i floty, i zawilego ceremoniału, i urzędników o dziwnych greckich nazwach. Obecny cesarz łatyńskiego Bizancjum, swojak, nawet krewniak, choćby chciał, niewiele pomoże. Nie ma żadnej siły. Parobek wenecki. Wenecjanie wszystko trzymają w garści. A ludność grecka nienawidzi Łatyńców tak, że nawet w biały dzień nie można pokazać się bez broni w Grodzie Strzeżonym przez Boga.

Więc stamtąd nie ma co oczekiwać pomocy i trzeba się zgodzić na bezwstydną żądania genueńskie.

Te sprawy pochłaniały całkowicie Jana, gdy pewnego dnia Tybald przyszedł doń w imieniu matki. Młodzian był tak nijaki i bezużyteczny, że łatwo zapominało się o jego istnieniu, i Jan zdziwił się prawie, ujrawszy krewniaka.

— Pani matka prosi was, wuju, byście do niej przyszli.

...Blanka! O niej nie zapomniał ani na chwilę, choć nie widzieli się od czasu pogrzebu, a nie rozmawiali od owego pamiętnego wieczoru. Ale zdawało mu się, że odwiedzać ją teraz byłoby urąganiem zmarłej, nową krzywdą wyrządzoną Marii, nie mniejszą od poprzedniej. Na wezwanie jednak poszedł.

Przyszedłszy, przeraził się zmienionej twarzy Blanki. Przybyło jej chyba dziesięć lat.

— Myślałam, że już cię nie zobaczę — szepnęła, gdy wszedł.

Tymi samymi słowy przywitała go trzy miesiące temu. Wspomniał ową chwilę i ówczesną radość. Uściskali się długo, gorąco.

— Myślałam, żeś mnie przestał miłować; myślałam, że ci kazali przysiąc, iż więcej do mnie nie przyjdiesz.

— Nie złożyłbym takiej przysięgi — odparł. — Zresztą nie żądano jej... Nikt nie wie. Maria nie powiedziała nikomu... Mógłbym się żenić, gdy żałoba przejdzie i gdybyś ty była wolna...

— Bogu dzięki — odetchnęła z ulgą.

Lecz Jan nie poweselał.

— Oni nic nie wiedzą, ale we mnie jest przeszkoda, Blanko. Nie przestałem cię miłować i nie przestanę, przecie na razie nie mogę o niczym myśleć, nawet o tobie... Muszę dopiero zapomnieć... Ona myślała, że ją chcę struć... Wiesz?

— Daj za nią na Mszę.

Roześmiał się gorzko.

— Za siebie chyba? Więcej mnie tego potrzeba niż jej. Ona nie zgrzeszyła niczym...

— Ty również! Nie chciałeś... Pamiętam...

— Pozwalałem, byś o tym mówiła... Nie przypominaj... Na Boga, nie przypominaj! I nie miej żalu, że nie będę cię teraz odwiedzał... Jakiś czas...

Urwał nie wiedząc, jak wytłumaczyć zbyt złożone uczucia, których sam nie rozumiał. Blanka patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

— Nie możesz mnie przecie porzucić! — jęknęła. — Pamiętaj, żeś ty mnie przywołał! Przyjechałam na wezwanie!

Prawda. Ugodziła w sedno. W zwykłej ludzkiej dążności do usprawiedliwienia samego siebie Jan zapomniał o tym, podświadomie Blankę uważając za winowajczynię i kusicielkę. Otóż tak nie było. On ją wezwał. On posłał po nią Wilhelma... On, on...

Uczyliło mu się jeszcze ciężiej na sercu.

— Nie rzucę cię, Blanko, i nie przestanę miłować, ale zostaw mnie jakiś czas w spokoju. Żebym zdołał zapomnieć...

— Czyń, jak chcesz — przystała zniechęconym głosem. — Dowiedz się, czy nie mogłabym naprawdę pojechać do Jerozolimy... Odbylabym pielgrzymkę...

— Uczynię wszystko, co możliwe, żeby ci to ułatwić! — zawołał z ożywieniem. — Pojedziesz. Ja tymczasem ochłonę... Gdy wrócisz, nie będzie już rzekomego ślubu, zamieszkaż w pałacu. Pozostaniesz tam, gdy ja pójdę na wyprawę... Może się jeszcze wszystko ułoży...

— Daj Boże — szepnęła głucho.

Rozstali się niebawem. Lecz pielgrzymka i teraz nie miała dojść do skutku. W pałacu czekali na Jana starsi baronowie: przywieziono listy z Rzymu.

Niecierpliwie, nie zdejmując płaszcza, król rozłamał pieczęcie, rozwinął pergamin. Dwa były pisma. Pierwsze od Ojca świętego. Jan przebiegł je szybko oczami. Krew mu uderzyła do głowy. Bez słowa podał list Ibelinowi.

— Niech Bóg wspomaga Grób Święty! — zakrzyknął tenże przeczytawszy i powtórzył głośno treść: — Ojciec święty Honoriusz zawiadamia miłego swego syna Jana de Brienne, że kierownikiem i dowódcą piątej powszechnej wyprawy krzyżowej mianowany został za sprawą Ducha Świętego i po długich modłach przed grobem Apostoła kardynał Pelagiusz z Albano...

Drugi list pochodził od tegoż kardynała Pelagiusza. Jako naczelnny wódz wzywał króla jerozolimskiego, by stawił się natychmiast z wojskiem pod jego rozkazy. Za trzy niedziele flota krzyżowców znajdzie się na Cyprze. Rycerstwo jerozolimskie ma tam oczekiwać. W razie nieposłuszeństwa obłożone będzie klątwą.

Milczenie zaległo komnatę.

— Nie zastraszy nas! — krzyknął gniewnie wielki mistrz teutoński, Herman von Salza. — Niech obkładają klątwą! Obłożą, a potem sami ją zdejmą... Co taki kardynał wie o sztuce wojennej? Czy poprowadzi wyprawę?!

— Jak na zakonnika, nie zdradzacie, panie, zbytnej pokory wobec Stolicy Apostolskiej...

— Jesteśmy pokorni słudzy Pana Naszego Jezusa Chrystusa, lecz nie pójdziemy pod rozkazy klechy!

— Ja byłbym za pozornym posłuszeństwem — oznajmił wielki mistrz szpitalników, Garin de Montaigu. — Kardynalska władza będzie mdła. Łacno ją przyjdzie zagarnąć i wszystkim kierować...

Jan potrząsnął przecząco głową. Spotkał kiedyś Pelagiusza u papieża Innocentego i teraz przypomniał sobie jego wysoką postać opłyniętą purpurą, twarde, ptasie oczy, porywacze, obraźliwe słowa. Władza sprawowana przez tego człowieka może być opaczna i nieudolna, ale nie będzie mdła. Nie wypuści jej z rąk łatwo.

— Kto przywiózł listy? — zapytał bezdźwięcznym głosem.

— Pan de Layron z Cezarei. Wnet tu przyjdzie, poszedł się jeno ochędożyć po drodze.

Jakoż de Layron nadchodził. Pokłonił się nisko królowi i nie pytany jął rozwodzić zale:

— Za późno przyszło wasze pismo. Miłościwy Panie!... Trzy miesiące z okładem czekano... Ojciec święty nikogo nie chciał mianować, jeno was... Co parę dni przysyłał sekretarza pytać, czy są wiadomości z Akry... Na koniec, że to ludzie grozili, iż się rozejdą, kardynała z Albano naznaczył i pobłogosławił. Dopieroż...

Urwał, bo Jan wstał bez słowa i wyszedł z komnaty. De Layron spoglądał za nim zmieszany.

— Uraziłem go czy co?

— Chyba nie... Sam się zgryzł, słowa prawdy posłyszawszy. Bośmy mu ciągle to samo mówili, przypominali... I królowa nieboszczka nalegała. A on nic... Taki kunktator! Dobry rycerz, ale kunktator.

— Bodaj że nie samo kunktatorstwo było przyczyną — z domyślnym uśmiechem podsuwał von Salza. Lecz nikt na jego poduszczenia nie zwracał uwagi.

Rozdział piąty

Pod Damietą

Pan Dzierżek siedział nad brzegiem Nilu łudząc się, że znajdzie chłód w gąszczu papirusów. Ocierał rękawem pot z czoła, odganiał krążące rojem muchy, sapał i narzekał.

— Szatański, przeklęty kraj!

— Nie masz takiego — prostował Franciszek z Asyżu siedzący obok. — Wszystkie kraje są jednakowo w ręku Pana...

— Ręczę wam, że ten został przez Zbawiciela oddany diabłu w dzierżawę. W Ziemi Świętej także bywa nie lada spiekota, przecie nie taka jak tu... Wiatr dmucha niby z pieca. Muchy żyć nie dają... Do tego... Tfu! Przepadnij, padalcze! — zakrzyknął, bo niewielki kajman wyłaził z wody wprost ku nim. Rycerz miotnął oszczepem i jaszczur skrył się co prędzej pod brzeg.

— Nic wam przecie nie zawinił — zauważył Franciszek z żalem.

— Mierzi mnie patrzeć na te gady. Tenci wprawdzie był mały, ale sam widziałem bestie większe niż krowa, którym zełknąć człowieka to jak szczupakowi płotkę. A powiadał mi Scholasticus, sekretarz legata, że parę dni drogi na południe jest ich jeszcze więcej. Pono nieraz, grzbiet podsadziwszy, łodzie wywracają, żeby ludzi zeżreć. Takie chytre! Tylko gdy się trafi, że dziewicę zjedzą, to płaczą z żalu i wychodząc na piasek stękają. Wtedy można je ubić... Tak powiada Scholasticus...

— Nie może być! — zdumiał się Franciszek. — A skąd Scholasticus wie?

— Może z ksiąg, a może gadały mu Kopty... W tymże Nilu żywie pono zwierz, którego zowią koniem rzeczonym albo koniem nilowym, większy od słonia, cały napuchły, z paszczą ogromną jak wrota...

— Dziw, wiele różności Pan nasz stworzył! Co kraj, to w nim odmienna natura...

Franciszek powiódł zadziwionymi oczyma wkoło. Kępa wielkich palm rosła nie opodal. Z zachodu dął gwałtowny, porywisty wiatr, niosący pył pustyni, szarpał i gwałcił pióropusze liści, szeleścił wśród papirusów. Kopała nieba była spłowiała od żaru i mętna. Na widnokregu leżał rudy tuman. Jastrzębie wisiały czarnymi punktami w powietrzu, jak gdyby wzbity się poza zasięg wiatru, tkwiąc w nieruchomej, doskonałej ciszy. Za plecami siedzących leżało sinym wałem morze; na południe, het, daleko, białały niby żagle maleńkie trójkąciki piramid. Nikt z Latyńców nie widział ich jeszcze z bliska i dziwili się owym górcom niepodobnym do żadnych innych.

Nie opodal siedzących chłop egipski, fellach, obracał wielkie drewniane koło z czerpakiem. Toczyło się ciężko, skrzypiąc. Umieszczone na nim czerpaki zanurzały się w rzece, wznosiły do góry, rozpryskiwały połowę wody nieużytecznie, by pozostałość nareszcie wlać do położonego wyżej niż rzeka kanału. Pracował tak od świtu, nie bacząc na upał. Nie on jeden. Co kilkaset kroków wznosiło się ciężkie koło i obracał je szary, umęczony człowiek. Cierpliwi ci pracownicy zdawali się obojętni na upał, na wszystko w świecie, do swego istnienia włącznie. Czy nad Nilem trwała wojna, czy kwitł błogi pokój, sprawiali swoją odwieczną, Mojżeszowych czasów sięgającą robotę równie niezmiennie, jak niezmiennie cyka świerszcz albo świergoli jaskółka. Przewaliło się nad nimi wielotysiącletnie panowanie faraonów, potem Rzymian, potem Greków, potem muzułmanów, a żadne nie zmieniło w niczym nędznego ich bytu. Byt ten nie mógł stać się gorszym, doszedłszy do granic nędzy, nie mógł też być pracowitszym. Nikomu zaś nie zależało, aby stał się lepszym. Nie zależało na tym zapewne nawet im samym. Wielkie, nie widziane nigdy dotąd nad Nilem, wojska przybyły z północy, obce okręty zapęłniły ujście Delty, lecz fellach jednako obracał koło czerpiące wodę, żony jego jednako prały szmaty u rzeki, drepząc miarowo jeden krok naprzód, jeden wstecz. Ginęli pod stopą wojny jak trawa, tam gdzie się znaleźli na jej drodze. Spętani batem, kopali rowy, sypali szańce, wznosili zasieki, nie pytając, kto przeciw komu będzie się w nich bronił. I jak niegdyś, jak przed tysiącami lat, obracali ciężkie koła.

Franciszek patrzył na nie z życzliwością i współczuciem. W swej burej opończy, drobny i wychudły, z głową owiazaną chustą, podobniejszy był do nich lub do którego z derwiszów niż do orężnych i butnych krzyżowców. Toteż nie posiadał zbytniego miru pośród swoich. Że pan Dzierżek zaczął z nim rozmowę, dowodziło tylko ostatecznego znudzenia rycerza, chęci zamienienia paru słów z kimkolwiek bądź. Na równi bowiem z całym obozem uważał Franciszka

za skończonego półgłówka, w niewytłumaczony sposób posiadającego zaufanie Stolicy Apostolskiej, zaufanie niczym nie uzasadnione.

— Diabelski kraj — upierał się przy swoim poprzednim twierdzeniu. — Piasku wokoło nie widać, a w nosie i gardle go pełno. Oddychać trudno. Albo ta powódź zeszłego miesiąca! Ani chmurki, ani deszczu, a woda w rzece przybiera, przybiera... Całą dolinę zalała... Potem, nie wiedzieć z czego, jak przybrała, tak i opadła... Nie czaryż to? Nie sztuczka diabelska? Bodaj to wrócić do siebie.

— Do Ziemi Świętej? I ja o tym jeno marzę...

— W Ziemi Świętej pewnikiem żywota grzesznego dokonam, bom się na to Panu naszemu ofiarowałam, ale myślałam teraz o moim rodzonym kraju, daleko stąd... Pół kopy lat, jakem stamtąd wyszedł...

— Jak się zowie wasz kraj?

— Polska.

— Nigdy jeszcze tej nazwy nie słyszał.

— Nie może być! Wiedzą po świecie o Polsce. Wielki kraj, bogaty, ludny. Lasy, pola i łągi... Nie ma gór straszliwych jak gdzie indziej ani zbytnej spiekoty. Łagodnie jest. Rzeki płyną po równinie... Nad rzekami ptactwo. Ludzie na roli siedzą, pracują... Żeby na zbój chodzili, na zabór, jak inni robią, to nie. Naród uczciwy...

— I w Pana naszego wierzy?

— Jakże?! Chrześcijananie my z dawna, z wieka. Dobrzy chrześcijanie. Na kościoły, klasztory nikt grosza nie szczędzi... Spokojny kraj. Rycerstwo, przyszedłszy doma z wyprawy, samo sieje, orze, gospodarstwa dogląda jak kmiecie... Nie leni się. W wodach pełno ryb... Zasię na drzewach barcie stoją. Pszczoły w wielkim są zachowaniu, jakby duszę miały człowieczą. Każda żywina zresztą, człowiekowi pożyteczna, w poszanowaniu jest trzymana...

— Podoba mi się wasz kraj! Gdzie on leży? Którędy doń dojść?

— Z Italii droga wypada przez Niemcy, a stąd chyba przez Węgry...

— Moi braciszki niechętnie chodzą do Niemiec, bo ich tam parę razy poturbowano. Więc im rzeknę teraz na pociechę, że ujednawszy Niemców, mogą iść dalej, do Polski...

— Niech przyjdą. U nas nie poturkuje ich nikt na pewno.

Umilkł, liściem palmowym oganiając się od much.

— Co prawda — zauważył — pół kopy lat krajum nie widział. Przecie nie sędzę, by się coś zmieniło. U nas zmiany łacno nie zachodzą. Starym ładem wszystko idzie. Rad bym tam jeszcze powrócił...

— Siostra śmierć może nas wszędzie napotkać, ale juźci, że milej umierać wśród swoich...

— Nie wiadomo, czy nie spotka nas ona wszystkich tutaj. Trzy miesiące, jak stoim, nie posuwając się ani o piędź! Jeszcze szczęście, że kardynał niemocny, aby chorzał jak najdłużej!

Franciszek podskoczył oburzony.

— Grzesznie powiadacie, panie! Choroby życzye?!

— Niech zgrzeszę, ale mu życzę nie tylko choroby, lecz i korony niebieskiej. W całym obozie nikt chyba inaczej nie myśli. A toć póty nadziei zwycięstwa, póki on słaby. Nie pamiętacie, jak było z początku? Ciągłe roztargnięcia, niesnaski, obrazy... Teraz dopiero, że Miłościwy Pan wszystkim kieruje, poczyna się dziać dorzeczniej...

— Nie lza nikogo sądzić, a tym bardziej choroby życzyć stwierdził stanowczo Franciszek. Rozejrzał się, rad przerwać rozmowę, i zatrzymał wzrok na człowieku obracającym koło. — Trzeba mu pomóc! — zawołał i ruszył wprost ku pracującemu. Na migi objaśnił, że pragnie go zastąpić. Człowiek wytrzeszczał ze zdziwieniem czarne, ptasie oczy o lęklwym wyrazie. Czego chce ten obcy derwisz? Nie ma przy sobie oręża ni kija, więc uciekać nie potrzeba. Bogaczem nie jest, skoro suknia na nim tak spłowiała i uboga. Chce pracować? Niech pracuje. Ocierając przedramieniem pot z czoła usunął się nieco. Franciszek stanął przy nim i jęli ciągnąć kołowrót we dwóch.

Pan Dzierżek śledził te zabiegi z pełnym politowania zgorszeniem. Wzruszył ramionami i poszedł ku koniom. Pachołek trzymał je opodal w skąpym cieniu palm. Rycerz dosiadł swego gniadosza i ruszył stępa wzdłuż rzeki. Choć południe dawno minęło, zar nie ustępował. Wiatr wzmagął się, rósł, potęgował panującą dusznotę. Po licach pana i pachołka pot spływał kroplami. Konie opuściły głowy i szły niechętnie, chrapiąc i stękając.

— Burza idzie czy co? — zauważył rycerz.

— Pewnikiem burza — przytwierdził chłopiec.

Zdążali ku obozowi, skąd dolatywał stuk siekier. To budowano na rzece piątą już z kolei m a r e m ę , czyli wodną beluardę przeznaczoną do zdobycia wieży broniącej Nilu i dostępu do Damiaty. Wieża wznosiła się na wysepce, którą Arabowie zwali Bur-al-silsila. Niegdyś stała tu świątynia egipska, poświęcona bogini Basta o kociej głowie. Pozostały z niej jeszcze dwa charakterystyczne pylony, a przy drzwiach stróżowały posągi z głowami kota i szakala. Na

szczątkach Arabowie wzniesli warowną wieżę z potężnymi przyczółkami. Od przyczółków na oba przeciwległe brzegi poprzez ramiona rozdzielonej rzeki szły zamczone łańcuchy żelazne, zagradzające drogę statkom. Zerwać łańcuchy, wpłynąć pod mury miasta, było rzeczą niemożliwą bez zdobycia wieży. Toteż muzułmanie strzegli jej jak oka w głowie.

Od trzech miesięcy ponawiane wysiłki krzyżowców, by opanować Bur-al-silsilę, pozostawały bezskuteczne. Darmo, szepiając po kilka galer ze sobą, wnoszono wielkie drewniane wieże z pomostem, owe właśnie maremmy, darmo podpływano nimi pod wyspę. Muzułmanie zdołali zawsze w porę podpalić rusztowanie wież, zmuszając napastników do cofnięcia się. Za bezpieczną zaporą łańcuchów stała flota sułtańska, a nieco dalej na wschodnim brzegu Nilu, na przedmieściu al-Adilija, rozłożył się z wojskiem sam sułtan Malik al-Kamil. Miał przy sobie wielkie siły, w tym najprzedniejsze pułki mameluków, zwane dżamdarytami i baharytami, co znaczy Synowie Męstwa i Synowie Lwów. Dowództwo nad nimi sprawował Turek Bibars, mający w przyszłości zaważyć groźnie na dziejach islamu.

Nie zważając na upał i wicher król jerozolimski, Jan de Brienne, w białej chuście osłaniającej kark pod hełmem, bez zbroi, w rozpiętym kubraku dozorował osobiście budowy wielkiej maremmy. Przewyższała rozmiarami poprzednie, istny gród pływający, liczący pięćset łokci obwodu. Wieża całkowicie obita blachą i skórami dla ochrony przed ogniem, otoczona częstokołem, opatrzona daszkiem chroniącym załogę, stała na pomoście, który z kolei spoczywał na czterech największych galerach. Cztery maszty, już zaopatrzone w żagle, wznosiły się w czterech rogach. Z samego przodu sterczała ciężka żelazna ostroga mająca ugodzić i wyłamać wrota twierdzy. W samej wieży i za częstokołem można było pomieścić do trzystu ludzi.

Jan wychudł i szerniał, lecz czuł się lepiej niż ostatnio w Akrze. Wnet po przybyciu wojsk do Egiptu kardynał zachorzał i siłą rzeczy naczelne dowództwo przypadło jerozolimskiemu królowi. Sprawował je rozumnie bez niczyjego sprzeciwu. Odżył w walce. Nie miał czasu ani chęci rozmyślać, co będzie dalej, jak się ułożą stosunki, gdy legat ozdrowieje, i co myśli wyczekująca go daremnie na swojej galerze Blanka.

Bo grabini Szampanii przybyła też do Egiptu, podając jako przyczynę chęć nierozstawiania się z synem. Na próżno Jan namawiał ją, by pozostała w Akrze, gdzie w nieobecności króla sprawował rządy Ibelin, i tam czekała spokojnie. Nie chciała o tym słyszeć. Znienawidziła Akrę i hospicjum. Im bardziej odległe stawały się wspomnienia poprzedniej czarownej wiosny, tym większą czuła niechęć do miejsc, w których była zbyt krótko szczęśliwa. Zostać w nich samej, bez Jana, za nic! Wracać do domu — tym bardziej. Przybyła więc tutaj, od czterech miesięcy nie opuszczając pokładu galery, nie odzywając się prawie do nikogo, obojętna na wszystko, co nie

było Janem. Jan zaś nie pokazywał się wcale. Wojna, zdobycie Damiety pochłaniały go bez reszty.

...Czyż tylko wojna? Czy jedynie zapal walki sprawiał, że stali się sobie jak obcy, że jej nie potrzebował, nie szukał? O, nie, Blanka nie łudziła się. To cień zmarłej stanął pomiędzy nimi i stoi. Choć ziele Margochy nie zużyte tkwi nadal w woreczku na piersi, Maria się mści.

— Zabiliśmy sierotę — powiedział Jan kiedyś jeszcze w Akrze. — To była biedna sierotka, a myśmy ją zabili — Blanka odpierała wtedy stanowczo ten zarzut. Dla niej po dawnemu Maria była kobietą posiadającą prawa do Jana, do jej Jana. Ta kobieta usunęła się z życia bez ich winy. Tym ci lepiej.

Lecz Jan nie dawał się przekonać, aż niezrozumiałe jego skrupuły budziły w Blance politowanie i gniew. Może dlatego przestał ją odwiedzać. Wymówkę ma dobrą, godziwą: gdy wojna trwa, nie pora na miłość.

I Blanka czeka beczynnie, zamiera w oczekiwaniu. Wygląda niecierpliwie Tybalda, który po dawnemu niczego się nie domyślając udziela codziennie matce wieści o kochanku.

Tuż przed galerą grabini Szampanii stoi wielka, wspaniała galera legata. Papieska bandera powiewa z dziobu obitego ulubioną kardynałowi purpurą. Na pokładzie, w cieniu żagli, wychudzony, do widma podobny leży na bogatym łożu naczelny przywódca krucjaty. Febra, częsty gość wśród bagnistych nizin Delt, zmogła jego mocny organizm. Zaostrzona twarz odbija przykrą bladeścią od czerwonej kapy rzuconej na łożo. Tylko czarne, blisko nosa osadzone oczy są żywe i bystre po dawnemu. Biegają wkoło niespokojnie, w ciągłym głodzie wiadomości. Choć schorowany i bezsilny, kardynał pragnie wszystko wiedzieć, o wszystkim słyszeć. Czuje się nadal odpowiedzialnym wodzem. Nie wątpi, że jego choroba stanowi największe nieszczęście, jakim Bóg mógł dotknąć wyprawę.

...Gdyby był zdrów. Bur-al-silsila byłaby dawno zdobyta. Damieta otoczona i bliska poddania... Gdyby był zdrów!

— Roboty przy wielkiej maremmie rażno postępują — próbował pocieszyć go kapelan, brat Filip.

— Milczałbyś lepiej, bracie, miasto mówić o rzeczach, na których się nie znasz. Rażno! Cztery tygodnie gnoją się przy niej i ty to nazywasz rażno!

— To strasznie wielka machina — bąknął zakonnik.

— Choćby była jeszcze większa, gdybym tam był, byłaby gotowa od dwu niedziel co najmniej... Od dwu niedziel... Rozumiesz, bracie? O, ja wiem, jak ta robota wygląda, ja sobie wyobrażam! Znam panów! Połowę czasu gadają, a połowę się kłóca. Nieraz widziałem...

— Wasza Dostojność, doprawdy, że wcale teraz o żadnych sporach nie słyhać. Aż dziwno. Każdy przykłada się, jak może, słuchając chętnie króla jerozolimskiego...

Legat przymknął oczy, dając tym znak przerwania rozmowy, nie znosił bowiem, by w jego obecności chwalono Jana de Brienne. Kapelan cofnął się na bok. Lecz chory po chwili zapytał znowu:

— Czy pismo do Ojca świętego, którem onegdaj dyktował, już wysłane?

— Nie wiem, Wasza Dostojność. To mistrz Scholasticus...

— Zawołaj mi go. Gdzie on jest?

— Nie wiem, Wasza Dostojność. Poszedł jeszcze przed południem z astrologiem mistrzem Pochard i bakalarzem Pesaro oglądać jakieś stare kamienie...

— Oszaleli z tymi kamieniami! Co im po tych pogańskich reliktach?

— To samo ja powiadam. Wasza Dostojność. Co im przyjdzie z pogańskiego paskudztwa, które tu wszędy się wala?

— Scholasticus niech przyjdzie do mnie, gdy tylko powróci. A ty pójdz do obozu i dowiedz się, kiedy maremma nareszcie będzie ukończona. Ludzi się pytaj, cieśli, nie rycerzy... Rozumiesz? Och, jaki dziś wiatr sposobny. Pędziłby żagle... Na taki wiatr mozem później parę niedziel czekać. Przecież wiosłami nie zdołają pchnąć takiej maszyny pod wodę.

— Ja też sądzę, że nie zdołają, Wasza Dostojność.

— Zmarnowali taki wiatr! Nie ukończyli na czas... Wszystko dlatego, że mnie tam nie ma. O Panie, daj zdrowie! Nie dla mnie, dla chwały Twojej... Idź żywo, bracie Filipie.

Porywisty pustynny wicher, przechodzący chwilami w huragan, był istotnie wyjątkowo sprzyjający dla krzyżowców, i wbrew przypuszczeniom kardynała Pelagiusza Jan de Brienne zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Stojąc na brzegu spoglądał to na maremmę, to na rzekę, wzdętą krótkimi, przeciw prądowi biegnącymi falami. Woda kołatała spiesznie o dno, zdawała się nawoływać. A maremma była co prawda prawie ukończona, brakło tylko schodów na wieżę... Ależ te łatwo zastąpić sznurem lub drabiną!

I w nagłym postanowieniu zakrzyknął do stojącego przy nim pana de Layron:

— Trąbić do natarcia! Wszyscy na miejsce! W imię Boże, uderzamy!

De Layron pobiegł co sił. Za chwilę trąby zagrały. Rycerze, giermcy porywają się na nogi, przecierają oczy bolesne od pyłu. Jak to, teraz, pod wieczór, nacierać? W tę oćmę? W srożącą się nawałnicę?! Lecz trąby rwały przeciągle i nie pytając dalej każdy co tchu wdziewał rozgrzaną upałem zbroję na przepocony kaftan, zmęczone gorącym ciałem, śpieszył do szeregu. Już drapią się na wieżę jak koty, spieszenie, by ich nikt nie ubiegł, panowie Walter de Nemours, Jan d'Arcy, Gerard d'Avesnes, Robert de Hainaux. Na brzegu ustawiają się w szyku oddziały panów de Joinville i de Nanteuil, gotowe w razie przerwania łańcucha skoczyć na wyspę po łodziach. Jakby podniecony tymi przygotowaniem huragan wzbiera na sile. Wyje, huczy, tętni, obala z nóg. Nie bacząc na wiatr, czterystu zbrojnych zajmuje miejsca w maremmie.

— Puszcząć łańcuchy! — woła Jan z pokładu. — Niech Bóg wspomaga Grób Święty!

Wiatr rozniósł głos, lecz zrozumiano ruch ręki. Łopoczące dotąd nieużyteczne żagle wypięły się, zesztyniały. Równocześnie wioślarze zacięli wodę piórami. Trzeszcząc i jęcząc wiązaniem olbrzymia tratwa odbiła od brzegu. Na szczycie, z grzbietem napiętym niby czające się do skoku lwy, panowie d'Arcy i de Nemours trzymają mostek w pogotowiu. Jeśli go zdołają zarzucić, wieża łańcuchowa Bur-al-silsila będzie przez Franków zdobyta.

Lecz w twierdzy już zauważono napastników i na kamiennych blankach zaroili się obrońcy. Jedni trzymają żagwie lub kwacze płonące, inni miotają kamienie. Z giętkich rur sika ogień grecki. Spływa po obitych blachą flankach maremmy, rozlewa się na wodzie, biegnie po niej gnany wiatrem.

— Nie podpałaj, juchy! Nie! — krzyczy pan de Layron w ucho Janowi. De Brienne kiwa głową z roztargnieniem. Cała jego uwaga skierowana jest na przód statku, a raczej promu, gdzie sterczy żelazna ostroga. Czy uda się skierować tratwę tak, aby ostroga uderzyła we wrota twierdzy? W rosnącym zmierzchu, w wichurze, trudno się porozumiewać, lecz trzymający żagle wiedzą, o co chodzi, i prom sunie wprost jak strzełił. Muzułmanie na twierdzy nastawiają już drągi, belki, żelazne osęki.

Próżne wysiłki! Rozpędzona machina uderza w kamienną twierdzę, w posągi bogini Basta, boga Anubisa z taką siłą, że pokład maremmy pęka na dwoje, rycerze spadają ze swych miejsc, lecz nastawione osęki pryskają jak drzazgi. Wieża drewniana jest tuż przy wieży kamiennej. Walka toczy się wręcz. Dudni po blachach grad kamieni, strzał, oszczepów. Padają kwacze płonące i gasną. Z obu stron lecą gęsto zabici i ranni. Staczają się z wieży w wodę. Już rojem uwijają się wokół nich krokodyle. Płomienie świecą czerwono, odbijają się na falach.

Po drugiej stronie rzeki, w grodzie, zgiełk i wrzawa. Mueziy z minaretów wzywają Allacha. Derwisze na murach sprawują zaklęcia. W obozie muzułmańskim pod al-Adilija sułtan nie traci głowy. Frankowie gotowi zdobyć wieżę. Trzeba co prędzej zbudować nową zaporę. Uzbrojone w korbacze janczary wywlekają mężczyzn z grodu. Wszystkich. Muzułmanów zarówno jak Koptów, Melekitów, Żydów. Pędzą ich na brzeg, gdzie stoi stara egipska mastaba, czyli grobowiec. Rozbierać ją! Głazy ładować duchem na stojące tuż przy brzegu sułtańskie galery. Z dudnieniem strwożeni ludzie toczą na pokład kamienie pokryte hieroglifami, wyobrażeniami ludzi, zwierząt i bogów. Dalej! Prędzej! Baty świszczą. Równocześnie z ładowaniem cieśle wnoszą na pokładach ni to wieże, ni to skrzynie. Jakież nadbudówki sterczące wysoko, prawie na równi z masztami.

Kardynał rzuca się niespokojnie po swym łożu, upada bez siły na wezglowie, jęczy, narzeka. Przedtem biadał, że pracują nieskoro, teraz rozpacza, że ruszyli lekkomyślnie bez jego wiedzy i zezwolenia. Na pewno nic nie działają, zmarnują maremme. Przecież nie dalej jak wczoraj mówiono, że roboty przy niej jeszcze na parę dni!

Zlany zimnym potem febry, ledwie żywy z wyczerpania, porywa się, nasłuchuje, posyła gońca jednego za drugim. Przewiduje najgorsze i z niedowierzaniem słucha radosnej wrzawy, co nagle rozlega się wkoło. Kapelan wpada zdyszany: Nasi wdarli się na wieżę! Zdobyli Bur-al-silsilę! Wrzask opętany brzmi z obu stron rzeki! Wprawdzie muzułmanom udało się nareszcie podpalić maremme, która płonie jak olbrzymia pochodnia oświecając jaskrawo wodę, krokodyle, szuwały i ukryte za murami miasto, lecz Frankowie już o to nie dbają. Cel osiągnięty. Nie czekając, aż podpłyną łodzie, stojący na brzegu żołnierze pchają się do twierdzy, czepiając się łańcucha jak małpy.

W wieży już pełno swoich. Muzułmanów wykluto albo strącono do rzeki... Kilkadziesiąt toporów równocześnie rąbie łańcuch, rozgina zaklepane ogniwa. Na koniec żelazo z pluskiem wpada w wodę. Oba ramiona rzeki są wolne. Droga dla Franków w głąb Egiptu otwarta.

Gdy świt zabłyśnie nad ojczyzną faraonów, stojące od trzech miesięcy beczynnie galery krzyżowców suną w górę Nilu wzdłuż murów Damiety. Na murach cisza. Słońce zaledwie wstało, ale już parzy żarłocznie. Zaczerwienionymi bezsennymi oczami patrząc przed siebie rycerstwo widzi czekającą naprzeciw eskadrę sułtańską. Szereg okrętów zamyka ciasno bieg rzeki poniżej al-Adilija.

Dziwacznie wygląda ta flota. Ludzi nie widać na niej, równie jak na murach. Nie widać przygotowań do walki. Natomiast sterczą jakieś spiętrzone niezdarnie, nieznajome rusztowania.

Gołe belki. Burty statków nurzą się ciężko, jakby przeciążone. Statki są połączone ze sobą pomostami. I widać stąd, jak kilku ludzi przebiega po nich uciekając na brzeg.

— Jeżeli myślą, że nas długo taką zasadzką zabawią — mruczy de Brienne — to im ich Prorok poskąpił rozumu. W parę pacierzy spalim tę zaporę.

I już na przedzie pierwszego okrętu ustawiają wylepione gliną skrzynki z ogniem greckim. Już okręcają strzały pakułami maczanymi w smole. Służba rozżarza węgle na blaszankach. Naciągać żagle! Prędziej! Woda rozstępuje się z pluskiem. Lecz cóż to?

Nagle w zupełnej ciszy, niby za zaklęciem, okręty sułtańskie kłonią się i poczynają tonąć. Karnie, posłusznie zagłębiają się pod wodę. Niektóre pochylają się przy tym w prawo, w lewo, w przód lub w tył, jak człowiek śmiertelnie raniony. Wokoło tworzy się wir. Woda bulgocze i wytryska falą. Fala uderza o dzioby galer latyńskich.

Wściekli Latyńcy opuszczają żagle. Wiosła biją wodę wstecz. Żadnemu statkowi niezdrowo zderzyć się z tonącym wrakiem. Statki sułtańskie nurzają się głębiej i głębiej. Zmacona woda uderza o brzeg, płosząc drzemiące tam ibisy i jaszczury. Już statki znikły i tylko wierzchy owych niezdarnych nadbudówek sterczą nad powierzchnią. W odpowiedniej chwili przedziurawione, obciążone kamieniami kadłuby spoczęły na dnie tworząc zaporę, tamę, której nikt nie zwali, którą może dopiero następna powódź rozniesie. Twardszy to łańcuch niż Bur-al-silsila. Ani zatopionych pod wodą wraków spalić, ani ich stamtąd wyciągnąć. Między koślawymi szkieletami przesunie się z trudem wąska dahabija, czółno rybackie, ale nie wpłynie galera. Nil znów zamknięty. Owoc wczorajszego zwycięstwa stracony.

— Wiedziałem, wiedziałem, że beze mnie nic nie zrobią — bełkocze z gniewem kardynał. — Nie zapytali mnie wcale i ot, co wynikło...

Rozdział szósty

Al-Azrak

— Miłościwy Panie — mówił Wilfryd — ten stary Kopt, Ben Elias, znów przyszedł i prosi o posłuchanie...

— Niech idzie do diabła! — mruknął Jan ze złością. — Nie mam czasu na koptyjskie gładzenia...

— On prawi, że chce powiedzieć coś bardzo ważnego...

— Domyślam się. Że słońce zajdzie wieczorem.

— Chyba nie, Miłościwy Panie. To stary, poważny człowiek. I tak prosi...

— Chce wyłudzić parę groszy... Masz, daj mu od razu denara i niech sobie idzie.

Wilfryd odszedł, a Jan pograżył się znowu w niewesołych rozmyślaniach. Jak poruszyć zaporę zatopionych statków? Oto było zagadnienie dręczące go dzień i noc. Przychodziły mu do głowy pomysły szalone i niewykonalne. Przeciągnąć galery brzegiem po naoliwionych klocach? Możliwe, gdyby chodziło o jedną, nie o sześćdziesiąt. Sułtan, spostrzegłszy, co się szykuje, skorzysta z zamieszania, by natrzeć na obóz i zdobyć lub spalić unieruchomione na lądzie okręty. Darmo o tym myśleć. Wie co począć? Co?! Potężne mury Damiety nie ulegną inaczej niż w prawidłowym oblężeniu. Wziąć je można tylko głodem. By zaś odciąć dowóz żywności, otoczyć mury, trzeba być panem rzeki w górze i dole miasta. Otóż Nil jest na długie lata zamknięty. Nie spłynie nim w dół, nie pożegluje w górę ni Arab, ni chrześcijanin...

— Miłościwy Panie — Wilfryd wracał frasobliwy (bezwiedne spoufalenie, jakie miało miejsce, gdy jeden przebierał się w szaty drugiego, skończyło się, i Wilfryd po dawnemu z trwożnym szacunkiem zbliżał się do pana). — Miłościwy Panie, ten stary cisnął denara do wody i powiada, że nie po to przyszedł. Że ma ważną wiadomość. I że tylko trzy słowa powie, nie więcej.

Jan wzruszył ramionami.

— Niech przyjdzie. Tylko żeby mi nie gadał długo. Znam Koptów. Gdy zaczną mówić, są gadatliwsi od Greków.

Wilfryd pobiegł zadowolony. Jan wydał gniewnie wargi. Z natury był ludzki, podobnie jednak jak wszyscy rycerze żywił nieprzejednaną niechęć do Greków, Koptów, Melekitów, Maronitów, Ormian i wszelkich ludów, co podawali się za chrześcijan, a jednak w pojęciu łatyńskim chrześcijanami prawdziwymi nie byli. Stanowili coś pośredniego, pośredniego, przejściowego. Każdy z krzyżowców, przyparty do muru, przyznawał, że woli stokroć poganina od tych współwyznawców, zwanych pogardliwie skopami.

Odrazę tę, dziwna rzecz, dzielili i muzułmanie. Stąd licznie rozsiadli w Egipcie Koptowie podlegali nieustannym i krwawym prześladowaniom. Wprawdzie jedna z żon Proroka była Koptyjką i Koran nakazywał oszczędzać lud „o ciemnej skórze i kręconych włosach”, niemniej co kilkanaście lat z regularnością pór roku powracały rzezie i pogromy okrutne a tak bezskuteczne, że historyk arabski pisał, iż Kopty są jak ogród: im więcej ich ciąć, tym więcej rodzą.

Ben Eliasz, który wsuwał się nieśmiało do namiotu króla jerozolimskiego, był starym człowiekiem, zgodnie jednak z przyjętym wśród Koptów zwyczajem farbował brodę na czarno. Ta sztuczna czerń nadawała jego licom niezasłużony wyraz fałszywej powagi. Odziany był również czarno, która to barwa obowiązywała starszyznę i duchowieństwo koptyjskie. Pokłonił się nisko, zasunął zasłonę namiotu starannie i rzekł:

— Obrońco chrześcijaństwa, lwie Judy, nadziejo wyznawców. Pozwolono mi rzec tylko trzy słowa. Oto one: Stare koryto, al-Azrak...

— Nie rozumiem, czego chcesz! — zmarszczył brwi de Brienne.

— Powtarzam trzy słowa, jak mi nakazano: Stare koryto al-Azrak...

— Co za koryto?

— Obrońco chrześcijaństwa, nadziejo wyznawców! Daruj zatem, że wyjaśnię dłużej i obszerniej. Wczoraj, siedząc na ulicy, widziałem komendanta Damiety, którego wołają Dżemal ed-Din, oraz wielkiego muftiego meczetów Damaszku, zwanego Ibn Giuzi. Ibn Giuzi mówił: „Oczy moje wyschły od łez. Ojciec Rzek zamknięty na wieki. Nie spłyną już nim ku morzu smukłe dahabije”. A Dżemal ed-Din odparł, i słyszałem to ja, twój, panie, niegodny sługa: „Powściągnij łzy, wielki mufti. Gdy Franki odejdą, Władca Wiernych puści wodę korytem al-Azrak i wydobędziemy statki”. Tom słyszał swoimi grzesznymi uszami, po czym zebrałem się do drogi i wyszedłem z miasta, powiadając strażom, że jadę do Kairu, i zmyliłem ich uwagę i otom jest tutaj...

— Jakież to może mieć dla nas znaczenie? — zapytał Jan, który, z początku roztargniony, jął teraz słuchać uważnie.

Ben Eliasz podniósł oczy w górę z takim wyrazem, jak gdyby tylko przyzwoitość wstrzymywała go od podniesienia również ramion.

— Obrońco chrześcijaństwa! Sądzę, że te słowa miały wielką wagę... Zali nie możesz uprzedzić sułtana i odwrócić wody Nilu?

— Rozumiem! Więc istnieje stare koryto, które...

— ...można z łatwością połączyć znów z Ojcem Rzek. Zowią je al-Azrak, to znaczy Kanał Niebieski. Tak je zowią, bo woda w nim stojąca, ustała, nie niesie mułu jak właściwa rzeka, przeto wydaje się modra. W górze wystarczy przekopać dwie tamy, by połączyć kanał z Nilem, w dole więcej jest roboty, bo dno zamulił piasek i zarosły trzciny...

— Chodźmy zaraz obaczyć, gdzie ten kanał.

— Obrońco chrześcijaństwa! Wskaże ci go każdy fellach. Pytaj tylko, gdzie al-Azrak. A nie zmuszaj mnie, bym się pokazywał z tobą poza namiotem. W Damiecie pozostawiłem rodzinę...

— Zostań zatem. Nie zapomnę tej przysługi, Ben Eliasze. Nie chciałem cię zrazu przyjąć, myliłem się. To, coś rzekł, jest bardzo ważne. Powiedz mi jeszcze, jeśli możesz, ile wojsk ma sułtan.

— Sułtan ma czterdzieści tysięcy najprzedniejszej jazdy i niezliczone krocie pieszych. Wśród pieszych połowa to dobre wojska, reszta zbieranina. Spędzono ich zewsząd batami. W Damiecie, Kairze i Aleksandrii czausze przebiegają ulice, kołacząc kołatkami i krzycząc: Rozkaz Władcy Wiernych: kto nie pójdzie walczyć z giaurami, będzie wisiał po zachodzie słońca! — Przed wieczorem wracają sprawdzić, czy kto się nie ukrył, przetrząsają domy i wieszają znalezionych. Więc ludzie idą ze strachu... Są też w wojsku sułtana Beduini, którzy myślą tylko o grabieży. Nie obchodzi ich ani Prorok, ani Chrystus Pan. Mogą każdej chwili uderzyć na swoich, równie jak na was...

— Sułtan sądzi, że wiele zdoła takim wojskiem? — zapytał Jan pogardliwie.

— Czyż mogę ja, biedny Kopt, wiedzieć, co sądzi sułtan? W mieście powiadają, że czeka na przybycie braci z wielkimi siłami. Podobno posyłał już trzech gońców. Spodziewano się przybycia sułtana al-Muzaam z Damaszku i sułtana al-Aszraf z Mezopotamii jeszcze poprzedniego miesiąca. Nie wiadomo, co ich zatrzymało. Przy studniach ludzie mówią, że stary sułtan Malik al-Adil jest bardzo słaby i synowie nie chcą się oddalać, by im kto inny dziedzictwa nie sprzątnął...

...Tym bardziej trzeba się śpieszyć, nim nadejdą — pomyślał Jan, a głośno dodał:

— Skoro wszystkich mężczyzn spędzili, to i wy, chrześcijanie, jesteście w wojsku sułtana?

— Nie, obrońco chrześcijaństwa. Nam nie dowierzają. Gdyście przyciągnęli pod Damiętę, Dżemal ed-Din kazał starszym gminy stanąć przed sobą. Ja, twój niegodny sługa, byłem tam również. Dżemal ed-Din mówił: „Musicie iść walczyć z giaurami”. Odpowiedzieliśmy: „Rzekłeś, panie. Pójdziemy”. On zaś dalej: „Żał mi was, gdyż zanim staniecie w obozie, już was wymordują, wiedząc, że sprzyjacie Frankom”. Nogi pod nami zdrząły, gdyż na święte drzewo, pod którym spoczywała Dziewica, mogło się tak zdarzyć istotnie. Przełożony nasz, abuna, rzekł spiesznie: „Mamy uzbieranych z naszej nędzy tysiąc denarów”. Dżemal ed-Din odparł: „Mówisz rozumnie, abuno. Lecz cóż to znaczy tysiąc denarów?! Dla mnie jesteście warci dwadzieścia cztery razy więcej. Słyszycie, psy chrześcijańskie? Szacuję was na dwadzieścia cztery tysiące denarów. Zapłaciwszy je, możecie nadal siedzieć w waszych norach”.

Padliśmy na twarz bełkocząc z przerażenia, gdyż jesteśmy biedni ludzie, on zaś dodał: „Jestem miłosierny, przeto zgadzam się na piętnaście tysięcy denarów, o ile je dacie zaraz”. I musieliśmy dać, obrońco chrześcijaństwa! Musieliśmy zaspokoić pogańskiego Belzebuba. My, biedni, ubodzy ludzie... A śmierci i tak oczekuje każdy z nas lada chwila... Błogosławiona niech będzie wola Pana! Grzesznik zrodzony jest po to, aby cierpiał i uginał się pod brzemieniem ludzkiej nienawiści i wzdardy...

— Jestem ci wdzięczny, Ben Eliaszu, za dostarczone nowiny i nagrodę, wiele mogę. Powiedz, czego żadasz.

— Nie przyszedłem dla nagrody, obrońco chrześcijaństwa. Przyszedłem, bo Latynicy są tymi, co pognębili Bizantyjczyków...

— Co tu mają Bizantyjczyki do sprawy?! — wykrzyknął Jan ze zdumieniem. — Sądziłem, że pomagacie nam albo dla nagrody, albo jako chrześcijanie chrześcijanom. Nie zależyż wam na zwycięstwie Krzyża?

— Jarzmo greckie było dla naszego ludu cięższe niż jakiegokolwiek inne — objaśnił Ben Eliasz. — Mniej prześladowali nas Rzymianie i Arabowie. Ceniliśmy dawnych Greków, Hellenów. Nienawidzimy Bizantyjczyków. Na wiadomość o upadku Bizancjum w kościołach odprawiliśmy nabożeństwa dziękczynne. Muzułmanie też się radowali i wesele było wspólne. Krzyż zwycięży wtedy tylko, gdy my zwyciężymy. My przyjęliśmy wiarę chrześcijańską jeszcze za życia Chrystusa Pana...

Jakkolwiek Janowi spieszno było zwołać rycerzy i naradzić się z nimi nad otrzymanymi wiadomościami, zatrzymał się ponownie zdumiony.

— Za życia Pana naszego? — powtórzył. — Jakim sposobem? Skąd?

Ben Eliasz podniósł uroczyście dłonie.

— Od Najświętszej Maryi Panny zostaliśmy pouczeni, gdy z Boskim Dzieciątkiem mieszkała w Egipcie...

— Doprawdy? — rzekł Jan. — Pragnąłbym posłuchać o tym innym razem. Dziś spieszno mi na Radę. Bóg zapłać za wiadomości.

Ben Eliasz pokłonił się znowu do ziemi i odszedł gładząc z powagą farbowaną brodę. Stojąc w progu namiotu. Wilfryd spoglądał za nim z drwiącą ciekawością.

— Powiada, że Matka Boska uczyła ich wiary świętej — zwrócił się do Franciszka, który wyszedł z kuchni królewskiej niosąc dzban wody z octem i kierował się ku pracującym nie

opodal fellachom. — Głupi w to uwierzy! Matka Boska gadałaby z takimi capami! Czarne to, brudne, a jak post, to się podobno nie myją!

Ale Franciszek z przejęcia aż postawił dzban na ziemi.

— Prawda — wykrzyknął — że Najświętsza Panienska tu przebywała! A ja niegodny o tym zapomniałem! A ja o Ziemi Świętej tylko myślę, kiedyż tu też Ziemia Święta! O, musi mi on opowiedzieć!

Pobiegł za Koptem i przychwycił go błagalnie za płaszcz. Ben Eliasz obejrzał się zaniepokojony i ogarnął poły lęklwym ruchem. Wygląd jednak Franciszka był tak mało groźny, że uspokoił się od razu, a w głosie jego zabrzmiało poczucie wyższości.

— Opowiedzcie mi — błagał Franciszek — o Maryi, o Matce naszej! Gdzie żyła będąc w Egipcie? Co o Niej wiecie?

Ben Eliasz byłby chętnie i obszernie opowiadał o swojej wierze jakim szlachetniejszym słuchaczom, lecz na Franciszka spojrzawszy zdawkowo i z góry.

— Chrześcijaninem się mieniąc, nie wiecie?

— Nie wiem! Nie jestem dobrym chrześcijaninem! Jestem nędznym stworem, najlichszym w obozie! Przecie miłuję Matkę naszą. Powiedzcie mi o Niej!

— Święta Dziewica mieszkała w Kairze przez trzy lata, sześć miesięcy i dwie niedziele — raczył objaśniać Ben Eliasz. — Za pomieszczenie służyła Jej grota, którą w wielkim poszanowaniu trzymamy.

— Spodziewam się! A co więcej?

— Podle Heliopolis rośnie sykomora, w której cieniu Święta Dziewica spoczywała, i źródło jest, z którego wodę piła... To źródło leczy słabości.

— O mój Boże! A co więcej?!

— Szczątki świątyni pogańskiej, gdzie bóstwa pogruchotane leżą, co same spadły z cokołów, gdy Święta Dziewica stanęła w pobliżu...

— Daleko do Heliopolis?

— Tuż za Kairem. Ale do Kairu sułtan nie puści nikogo.

— Gdybym sułtana zobaczył, póty bym go prosił, ażeby mi pozwolił pójść...

Ben Eliasz wzruszył ramionami wzgardliwie.

— Przed obliczem sułtana nie stanie żyw żaden niewierny, chyba poseł, a was posłem chyba nie uczynią?

— Jużci, że nie — przyznał Franciszek zmartwiony.

Zzółkły, zzarty febrą kardynał Pelagiusz przewraca się niespokojnie na łożu. Czy mu się zdaje w gorączce, czy też istotnie kołysze się statek? Z łoża widzi skrawek żagli. Są wydęte. Więc płyną? Dokąd?! Korzystając z jego słabości baronowie, przeklęty de Brienne zawracają! Zrazili się i porzucają Damietę!

Dźwiga się ostatkiem sił, klaszcze w ręce. Bełkocze: — Zabraniam! Zabraniam!

Kapelan podbiega strwożony.

— Czego żąda Wasza Dostojność?

— Zabraniam wracać! Pod klątwą!

— Myż nie wracamy, my płyniemy w górę rzeki.

— W górę? Boże, bądź miłościw! Jak to się stało? Zapora?!

— Król jerozolimski odkopał ujście starego koryta i puścił nim wodę... Tym korytem teraz płyniem. Za parę pacierzy będziem naprzeciw al-Adilija, naprzeciw sułtańskiego obozu! Nil już nasz, Wasza Dostojność!

— Boże, Boże — szepce chory. Pot mu wystąpił na czoło. Opadł bezsilny, szczęśliwy. — Czemuście mi o tym zaraz nie powiedzieli?

— Nie śmielim trudzić Wasze Dostojności.

— Trudzić?! Ozdrowiałbym od takiej nowiny!

— Wasza Dostojność rychło teraz ze wszystkim wyzdrowiejesz. Wszyscy prawią, że febra tylko w pobliżu morza ludzi męczy. Im dalej na południe, tym zdrowiej.

— Ozdrowieję, jeśli taka będzie wola Pana naszego. Jakby mi już było lżej... Naprzód, naprzód! Trzeba przyznać, że dobrą miał myśl król jerozolimski.

— Podobno Kopty powiedziały mu o tym kanale.

— Ach, tak? No pewnie, gdzieżby sam wpadł na taki pomysł? Dobrze jeszcze, że posłuchał. Mógł nie posłuchać... Wielmoża!

Nie wiadomo, czy radość z pokonania przeszkody, czy posunięcie się nieco wyżej, dalej od bagnistych ujść Deltę sprawiły, że legat istotnie poczuł się zdrowszy. Zbyt słaby jeszcze, by móc wstawać lub wydawać, rozkazy, pragnął już jednak po dawnemu wiedzieć wszystko, co się dzieje.

Drażniło go niewymownie, że Jan nie przychodzi pytać go o zdanie. De Brienne posłyszawszy o tych żalach zjawiał się nie wołany na pokładzie kardynalskiej galery.

— Wasza Dostojność! — rzekł krótko. — Nie skapieje wróg tam, gdzie dwóch wodzów rządzi. Wasza Dostojność powróci do sił, wtenczas oddam należną mu władzę, którą dotychczas bez ujmy dla imienia chrześcijańskiego sprawowałem. Póki Wasza Dostojność konia dosiąść, ba, na łożu podnieść się niezdolna, ja dowodzenie zatrzymam.

— Siły powrócą mi rychło — zapewnił kardynał. — Nie życzyliście mi zdrowia, ale Zbawiciel zrządził inaczej.

— Nigdy słowem ani myślą nie zgrzeszył przeciw Waszej Dostojności — odparł zimno Jan i wyszedł głęboko urażony. Pelagiusz, wsparty na poduszkach, przeprowadzał go wzrokiem niechętnym, po czym przyjął podestę genueńskiego. Bartłomieja Dorię, umyślnie (jak twierdzi) przybyłego z kraju, by się dowiedzieć o zdrowie legata.

Posępna twarz Pelagiusza rozjaśnił skąpy uśmiech. Przechodząca w uraz nieufność względem rycerstwa sprawiała, że chętnie witał przedstawicieli innych stanów.

— Jak sądzicie, panie? — zapytał podesty. Czy można z natarciem na obóz sułtana czekać na mój powrót do zdrowia. Wolałbym bowiem sam je poprowadzić niż powierzać innym.

Bartłomiej Doria przymknął z zamyśleniem jedno oko.

— Uderzyć trzeba, zanim sułtan otrzyma posiłki — oznajmił okręcając na palcu pierścieniem. Kiedy jednak one przyjdą. Bóg jeden wie. Może rychło, może wcale...

— Wcale?! — kardynał uniósł się na łokciu wpijając w gościa przenikliwe oczy.

— Stary sułtan Malik al-Adil jest śmiertelnie chory. Taką wiadomość przywieźli ostatnio nasi kupcy. Chory ze zmartwienia i lęku przed Mongołami...

— Mongoły? — dziwił się legat. — Oniż gdzieś na krańcu świata, o rok drogi, w państwie Goga i Magoga!

— Tam siedzieli do niedawna. Wielki Temuczyn, Dżingizhan, zwany przez nich Niezłomnym, zebrał te niesforne hordy i cisnął skroś świata. Już cała Azja do niego należy. Znam te sprawy, gdyż mamy stację handlową w jego stolicy Karakorum. To straszny lud. Nasi zwa ich Tartari, bo iście z piekła są rodem. Nikt ich nie powstrzyma, nikt ich dotąd nie zwyciężył. Idą przed siebie, podobni szarańczy...

— Sam ów Dżingizhan ich wie? — pytał legat zaciekawiony.

— Dżingizhan wysłał dwóch swoich wodzów, których zwał jego ramionami. Subutaj, Stary Lew, i Dżebe, Błyskawica, jak błyskawica i lew pędzą na południe. Zajęli już podobno Bucharę. Idą na Samarkandę. Grożą, że się nie oprą aż w Bagdadzie. Uczynią to, jeśli zechcą. Dlatego sułtan Malik al-Adil drży o swoje władztwo, a synowie jego nie kwapią się z pomocą sułtanowi Egiptu.

— Mongoły są zatem naszymi sprzymierzeńcami?

— Pośrednio tak. Islam wzięty jest jak w kleszcze...

— Sposobna zatem chwila do działania — westchnął legat. — Nigdy nie odzyskamy Ziemi Świętej, jeśli teraz nie zdołamy tego uczynić.

— Odzyskać Ziemię Świętą to nie dosyć, Wasza Dostojność! Musimy się umocnić w Damiecie, Aleksandrii... Egipt winien być nie tylko środkiem, ale i celem. Egipt to źródło potęgi islamu. Pozostawiając Egipt we władaniu sułtana nie będziemy nigdy bezpieczni w posiadaniu Ziemi Świętej.

— Ten kraj ciągnie się pono daleko w pustynię? — zauważył ostrożnie Pelagiusz.

— Toteż nie powinniśmy się kusić o zdobycie całego państwa. Wystarczą porty. Damieta i Aleksandria. Kto ma porty, jest panem położenia, panem kraju.

— Utrzymanie i obrona tych dwu portów nie byłyby łatwe.

— Podjęlibyśmy się tego ochoczo dla miłości Pana naszego! — zawołał z zapałem podesta. — Nasza flota strzegłaby wybrzeża, nie żądając za to osobnego wynagrodzenia. Co najwyżej zwrot położonych wydatków.

— Pomyślę nad tym — obiecał kardynał.

— Nie wątpię, że wzniosły i bystry umysł Waszej Dostojności przychylił się do moich wywodów. Rycerze nie podzielą tego zdania, to pewne. Nie są zdolni do rozważania sprawy dalszej niż najbliższa bitwa. Nie zważajcie jednak na ich słowa, Wasza Dostojność...

— Nigdy nie zważał na to, co mówią baroni — odrzucił legat zaciskając wąskie wargi. — Bracie Filipie! Zawołaj mistrza Scholastyka. Niech spíše natychmiast to, co szlachetny podesta mówił o Mongołach.

— Mistrza Scholastyka nie ma — wyznał z zakłopotaniem kapelan.

— Nie ma?! Znowu wałęsa się z astrologiem i bakałarzem szukając bożków pogańskich?! To się musi wreszcie skończyć! Niech no tylko wyzdrowieje!

Jan opuścił galeryę legata z cierniem uwierającym w sercu. Próżno się łudzić, kardynał powraca do zdrowia, a wraz ze zdrowiem do władzy. „Nie będę mu jej uchylał — zapewniał siebie de Brienne. — Usunę się i niech robi, co chce!”

Ale mówiąc tak zdawał sobie sprawę, że nie przyjdzie mu lekko odstąpić zaczętego dzieła, porzucić ludzi, którzy weń wierzyli, i zejść do roli zwykłego rycerza. A wszakże, gdyby nie jego własna opieszałość, on byłby wodzem, on jeden! Wybór Ojca świętego i powszechności przeznaczały go na to stanowisko. Sam, sam je utracił. Jak to się stać mogło? Co się z nim wtedy działo?

Mimo woli podniósł głowę do góry i spojrzął na stojącą tuż obok galeryę, której wysoki dziób rzucał głęboki cień na wodę. Na tym rzeźbionym dziobie stała wychylona postać kobieca. Jan drgnął. Przecież to galera Blanki. To Blanka patrzy na niego z wysoka. Blanka, której od dwu miesięcy nie widział.

Pierwszy tchórzowski odruch, by odpłynąć, przesławszy tylko pozdrowienie dłonią, ustąpił miejsca potrzebie zobaczenia jej, uzalenia się. Czyż nie była jedynym człowiekiem, z którym mógł mówić otwarcie?

Skinał na wioślarzy, by zamiast do brzegu przybili do statku. Wdrapał się zręcznie na pokład. Załoga kłoni się nisko przed królem. Na rufie, gdzie stoi Blanka, nie ma na szczęście nikogo prócz jedynej jej dwórki Genowefy.

Zmieniona jest biedna Blanka, postarzała i wychudła. Nie robi żadnych wyrzutów. Nie pyta, co się z nim działo. Jest tylko wdzięczna, bezgranicznie wdzięczna, że nareszcie przyszedł. Ta sama, tak dumna niegdyś Blanka.

Lecz Jan czuje potrzebę usprawiedliwienia się.

— Nie mogę odchodzić z obozu tłumaczy. — Sama rozumiesz. Wszystko na mojej głowie. Dlatego tak namawiałem, żebyś pozostała w Akrze. Ale nie trap się. Za parę dni legat ozdowieje i obejmie dowództwo. Wtedy będę znów wolniejszy.

Mówi na pozór swobodnie, lecz głos łamie mu się w gardle... (Będę miał dużo wolnego czasu... O Blanko. Blanko, cośmy uczynili!)

— To niemożliwe, żeby kto inny był wodzem niż ty — dowodzi gorąco Blanka. — Rycerstwo cię nie puści... Musisz zostać. Patrz, ja nie narzekam. Czekam tylko, czekam. Boże, jak czekam! Schnę na upale czekając jak dusza czyścowa. Ale wodzem zostaniesz...

— Mogłem nim być, ale nie będę — stwierdza głucho Jan.

— Przeze mnie? — pyta cicho Blanka.

— Przez ciebie? Nie. Cóżes ty winna? Z własnej mojej, mojej najwłaśniejszej winy...

Wstaje i krąży niespokojnie po pokładzie. Ona śledzi go wzrokiem z ukrytą rozpaczą. Ten najdroższy człowiek, dla którego porzuciła wszystko, jakże się zdaje daleki, obcy... Nie odwiedza jej wcale. Nie przyszedłby i dziś z pewnością, gdyby jej nie zobaczył na dziobie galery. Wszakże widziała, jak się zawahał. Przyszedłszy nawet jej nie dotknął, nie popieścił. Czy to możliwe, że rok jeszcze nie minął, jak się kochali tak szalenie, zachłannie? Jak byli tacy szczęśliwi?

Jan odwraca się w swojej wędrówce, spotyka jej wzrok i usiłuje uśmiechnąć się do niej. Od tego wymuszonego uśmiechu serce Blanki ściska się gorzej, niż gdyby ją uderzył.

— Muszę już iść — postanawia on. — Na razie jestem jeszcze wodzem i moje miejsce w obozie.

— Ledwoś przyszedł... — broni się ona nieśmiało.

— Muszę. Nie martw się, miła... Może Bóg da, że jeszcze...

Chce powiedzieć, że może wróca piękne, szczęśliwe dni, i utyka na kłamstwie, w które sam nie wierzy.

— Pozwól mi odejść. Widzisz, nie jestem chwilowo rozmowny ani zabawny. Wolałbym, byś mnie takim nie widywała. Tyle mam teraz kłopotów... Ten legat i ta wojna, i ten dziwaczny kraj, którego wcale nie znamy. Ciągłe mi się zda, że kryje dla nas jakąś zdradę... Nie wiem, czy nacierać, czy czekać sposobniejszej pory. Ale tymczasem mogą przyjść sułtanowi posiłki. Męczy mnie także brak wiadomości z Akry. Co tam słyhać? Jak się miewa dziecko? Ibelin dawno nie pisał...

...Dziecko... Blanka kuli się wewnątrz. Tak, przecież Jan ma dziecko, maleńką, jednoroczną dziewczynkę, córkę Marii... I wraz z tym słowem powraca zaraz cień zmarłej, żalony pyszczek śmiertelnie ranionego gronostaja.

Co to?! Jan nagle porywa się z miejsca, zamienia się cały w słuch. Biegnie ku burcie, spogląda na łódź. Tam Wilfryd też stoi nasłuchując. Więc to nie złudzenie. Trąby grają na larum w obozie. Bez pożegnania, bez jednego spojrzenia Jan zsuwa się po sznurowej drabinie jak młodzik.

Hipopotamy spłoszone uciekają w górę rzeki. Krokodyle w dół; mądre są te czczone niegdyś święte jaszczury. Mają tysiące lat obcowania z ludźmi za sobą. Znają dobrze ludzkie sprawy, oceniają je trafnie ze swego punktu widzenia. Im więcej zbrojnych mężów przeprawia się przez

Ojca Rzek, im groźniej potrząsają włóczniami, kołaczą w szczyty, im głośniejsze krzyczą, tym obfitszy gotuje się żer dla właściwych mieszkańców rzeki. Tym liczniejsze trupy spłyną w dół ku morzu. Można się wtedy nazwać na kilka tygodni.

Wystawiając nad powierzchnię jedynie guzy nadoczne, wielkie płazy pilnie śledzą poczynania ludzkie. Mogłyby stwierdzić, że od czasów najazdu pasterzy Hyksów, od czasów Antoniusza i Kleopatry nie było tu równie licznych rzesz. Kłapią zębami z uciechy. Każde stworzenie osiąga swój dzień. Jak corocznie Nil wylewa, tak co pewien czas ludzie wybijają się wzajem, by krokodylom zapewnić pożytek.

Nie dbając o myśli gadów ludzie prą naprzód z wściekłością. Chyba z całego Egiptu zebrano te czółna, te barki o pochylonym skośnie maszcie, zwane dahabije. Rzeka jest nimi pokryta jak mostem. Jak rój szarańczy lecą chmury strzał. Niesie się okrzyk bojowy *T a l i l !* oznaczający: nie ma mocy ni potęgi poza Bogiem! I okrzyk *T a k b i r*, który to skrót ma oznaczać: Bóg jest wielki, nie masz nikogo poza Nim! — Pierwszy brzmi jak skwir orłowy, drugi jak krakanie sępów.

Wilfryd drżącymi z pośpiechu rękoma dociąga zbroję Janową, zakłada podpinkę szyszaka. Już król gotów. Pędzi na wzgórze, skąd objąć można wzrokiem rzekę i dolinę. Wokoło rumor, pośpiech, zamieszanie. Trąby nie przestają grać. Tyle miesięcy już wojska stały nieomal bezczynnie, że przestano każdej chwili oczekiwać walki. Spadła na nich niespodziewanie w gorący, rozprażony dzień, gdy wszyscy rozdzielni pragnęli jedynie chłodu, gdy hełm porzucony tam, a nagolenniki tu. Zwijają się więc Franki jak w ukropie. Wstyd im, że starzy wojacy dali się zaskoczyć. Jan nieruchomy patrzy ze wzgórze bystrym wzrokiem na nieprzeliczone mrowie barek. Chyba sułtan rzucił do boju wszystkie swoje siły? W górze rzeki też coś się porusza, ciemnieje... Osłoniwszy dłońmi oczy od blasku, można dostrzec wyraźnie, że po moście ułożonym na łodziach przeprowia się konnica. Mienia się i błyszczą z dala płaszcze barwiste jak motyle skrzydło. Jan domyśla się, że konnica ma polecone obejść obóz i gdy cała uwaga Latyńców skierowana będzie na rzekę, uderzyć od tyłu. To jasne. Jasną jest również olbrzymia przewaga liczebna nieprzyjaciela. Mniejsza o nią. Nie ma czasu zastanawiać się dłużej.

— Wielki Mistrzu Szpitalników! — woła Jan do Odon de Montbéliard — powierzam wam obronę obozu. Jazda zachodzi od tyłu. Rycerstwo za mną! Niech Bóg wspomaga Grób Święty!

I na łeb na szyję pędzi w dół nad rzekę, gdzie poczynają już przybijać łodzie. Brzeg błotnisty, rozmiękły, grząski. Trzeba odesłać konie, samym skrzepnąć murem na brzegu, nogami zapierając się mocno w oślizłe błoto. Ramię przy ramieniu stanąć ciasnym szansem zbroi, błyszczącym koliskiem mieczy. Stają potrójnym, poczwórnym, dziesiątym szeregiem, którego nic nie poruszy.

Miejsce, w którym nieprzyjaciel może wylądować, jest stosunkowo wąskie. Parę stają w dół, parę stają w górę, brzeg staje się stromy, urwany, łatwy do obrony. Od zwartych zbroi, od tarczy odskakują strzały i dziryty. Mur nieruchomy stoi i czeka. Niełatwo przyjdzie poganom opuścić łodzie i wysiąść na ląd. Straszliwe miecze poczynają działać. Wznoszą się młyńcem, tną w prawo i w lewo. Płatają ciała z okrutnym rozmachem, sławionym tylekroć w pieśni.

Zmieniło się wiele na świecie i w duszy rycerstwa od czasów bojów Rolanda w gardzieli Ronsewalskiego wąwozu, od czasu pierwszej wyprawy krzyżowej, od walk pod Doryleą, Antiochią, Jerozolimą odzyskaną i zdobytą. Tak bardzo się zmieniło, że dzisiejsze wnuki nie dogadałyby się już z dziadami. W jednym tylko poczuliby wspólność krwi: w boju. Odmieniły się umysły, serca, dusze, to samo zostało niezmienione męstwo. Ta sama dzika uciecha ciskania w lica wrogowi własnego życia jak kamienia z procy, ten sam wrodzony, nieuczony instynkt walki podszeptujący dłoni nieomyłne pchnięcia. Ten sam okrzyk bojowy, zawołanie rycerskie polatujące ponad szeregami, świadczące o dusznej wojennej ochocie. Tłoczą się barki, dalsze szeregi ciżby popychają pierwsze, chcąc ich naporem przełamać mur zbroi. Próżne wysiłki! Za rosnącym szanćcem ciał zsiekaných, osuwających się w wodę, rycerze stoją, jak stali. Walka trwa pozornie beznadziejna, bo rycerstwa nie przybędzie, a sultańskich coraz więcej. Pchają się dopiero w barki, ómią słońce rojem upierzonych strzał, wypełniają powietrze wrzaskiem i ostrym zaduchem potu.

Z wolna coraz liczniejsze trupy muzułmanów i chrześcijan odpływają w dół, potwierdzając wieloletnie doświadczenie krokodyli. Mętnozszara woda Nilu barwi się czerwono. I w szczupłej garstce stojących na brzegu obrońców niejednemu może osłabłoby serce, zwisło zniechęcone ramię. Lecz w tym tkwi właśnie wartość rycerskiego zawodu, rycerskiej krwi, rycerskiego niczym nie zastąpionego dziedzictwa, że wbrew wszelkiej możliwości, urągając śmierci, chwyta się skrzydła nieśmiertelnej bogini zwycięstwa i nie pozwala odlecieć. Jeden przeciw stu — nie wadzi. Bywało i tak. A im liczniejszy nieprzyjaciel, tym piękniejszy zgon, tym trwalsza po zgonie sława.

Słońce pali, zbroje syczą, kiedy na nie pryśnie woda, hełmy ciężą głowom jak rozprażone sagany, lecz walczący tego nie czują. Pomimo upadku wiary, rozkruszających pieśni trubadurów, stara męska wielkość zjawia się wiernie w godziny bitwy przy Frankach. Usprawiedliwia legendy i dawne powieści o rycerzach, co samotrzeć wstrzymywali armie.

W obozie straszliwy zgiełk daje do poznania, że bój już się tam zawiązał z konnicą. Obóz jest okopany, otoczony kolczastym zasiękiem z cierni, przeto nieprzyjaciel nie upora się z nim łatwo. Odo de Montbéliard potrafi zatrzymać go dłuższy czas. Wspinając się na palce Jan patrzy

bystro ponad głowami walczących. Most na łodziach, po którym przeszła jazda, czerni się w oddali. Nie widać przy nim większych sił na straży. Na ten widok w głowie króla błyska myśl szalona, wodzowska, zapierająca dech w piersiach.

Ogląda się. Tuż za nim spokojnie, rozważnie, jakby ścinał dęby gdzieś nad Wartą czy Notecią, pan Dzierżek rąbie poganów. Zjeżony koniec wąsa sterczy przez kraty przyłbicy, drugi pewno przygryza, jak to ma w zwyczaju.

— Rycerz z Polski! — woła Jan, by przekrzyczyć wrzawę. — Sir de Pologne! Zbierzcie na tyłach nie mniej niż stu rycerzy. Walcie mi z nimi na most i na tamten obóz!

Rycerz Dzierżek z pośpiechem opuszcza pierwsze miejsce w szeregu i przeciska się ku tyłom. Stanowisko jego zajmuje pan d’Arcy, znaczny z dala pawimi piórami na hełmie. Właśnie większa od innych łódź przybija do brzegu. Na niej olbrzymiego wzrostu chorąży Szamila, trzymający w dłoni sztandar. Szybki jak myśl, zwinny jak ryś mimo ciężkiej zbroi, d’Arcy skacze z brzegu wprost na pokład barki. Jednym płatnięciem miecza przecina Szamila, porywa sztandar i ciska do wody. Wrzask oburzenia wśród muzułmanów, tryumfu pośród Latyńców. Sto zbrojnych rąk wyciąga się mściwie ku panu d’Arcy, lecz już w pomoc poskoczyli inni. Sieką załogę. Barka zdobyta tworzy teraz wysunięty szaniec brzegu, waleczną redutę, przyczółek obrońców.

Na tyłach zwołani przez Dzierżka rycerze już siedzą w siodłach, czekając, gdzie ich powiedzie! Jest ich przeszło stu i drugie tyle giermków. W zdumieniu widzą, że nie wraca do obozu na odsiecz, jak sądzili, templariuszom, joannitom, lecz wyciągniętym cwałem prowadzi wzdłuż rzeki, poprzez trzciny i sitowia. Z krzykiem wzbijają się w górę spłoszone czaple, ibisy. Miejscami grząsko. Konie lgną i z trudem wrywają nogi. W parę pacierzy już dosięgli mostu, już zwalili obuchami przewoźników i żołnierzy strzegących niedbale łodzi. Już deski uginają się pod kopytami źrebców, które boczą się i chrapią. Już są na przeciwnym brzegu i co koń wyskoczy, brzuchami bachmatów dotykając trawy, pędzą na obóz sułtański.

Wszystkiego raczej spodziewano by się w nim niżli takiego natarcia. Sułtan spokojny, że olbrzymią przewagą rzuconą do boju zgniecie chrześcijan bez ratunku, nie zatrzymał przy sobie silniejszych oddziałów. Gdy mu donoszą, że na moście widać jakiś oddział jazdy i błyszczą nieznaną zbroję, cieszy się, że wiodą jeńców. Jakże się mylisz, sułtanie! Rzekomi jeńcy już się znajdują w obozie. Szukają twego namiotu. Krzyczą gromko. Głos odbity o przyłbice niesie się jak dzwon: „Niech Bóg wspomaga Grób Święty!” I drugi okrzyk stary, niezawodny, bezwiednie na usta w takiej chwili wracający: „Bóg tak chce! Bóg tak chce!”

Bóg tak chce! Pędzą na karkach przerażonych ludzi. Bo zbrojnych w obozie jest dużo, tych jednak, których Ben Eliaz określał wzgardliwie jako zbieraninę. To ci, których spędzono batem, grożąc szubienicą. To dzicy Beduini pragnący tylko grabieży. Rzucając wszystko pierzchają w popłochu, ani im w głowie próbować oporu. Frankowie już są po tej stronie rzeki?! Allah odwrócił lice od wyznawców!

Przy sułtańskim barwistym namiocie stoi rota baharytów, czyli Synów Lwów. Ci nie pierzchną na pewno. Ale sułtan jest strwożony. Widzi pogrom obozu, uciekające gromady, przypuszcza, że wszystkie siły Franków przeszły na tę stronę. W jaki sposób — nie rozumie, lecz nie chce za nic dostać się w ich ręce. Otoczony baharytami, ucieka spiesznie w kierunku Kairu.

Ucieka, jak niegdyś uciekali emir Kilidż-Arslan spod Dorylei, emir Kerboga spod Antiochii i wielki Saladyn spod Montgisard. I podobnie jak oni, na poły przytomny z wściekłości rozważa, w czym leży tajemnica Franków. Dlaczego plemię zazwyczaj nikczemne, kłótlive, pyszne, wiarołomne, wiecznie ze sobą skłócone, zrywa się nagle do czynów nadludzkich? Darmo rozważa. Nie wyjaśni mu tej tajemnicy nikt, najmniej sami Frankowie.

Setka rycerzy zdobyła obóz sułtański, nie ponosząc przy tym prawie żadnych strat. Bez zwłoki Dzierżek podpala nagromadzone w obozie sterty siana, słomy. Niech dym i ogień powiadomią swoich, co się po tej stronie dzieje. Po czym zostawiwszy połowę ludzi na straży, z resztą wraca nad rzekę strzec mostu, gdyby konnica Bibarsa chciała nim przejść znowu.

Lecz za rzeką spostrzeżono już pożar, posłyszano wrzawę. Wrzawa pochodzi z Damiety. Tam tłumy ludzi wyległy na mury łamiąc ręce, krzycząc, jęcząc. I dowódca wojsk sułtańskich Bibars dostrzega gromadkę swoich pędzącą w skok na południe i trzepoczący się nad nimi zielony płatek chorągwi. To straż sułtańska, to sułtan ucieka!

Nie rozumiejąc, co zaszło, Bibars odstępuje. Jego miejsce przy sułtanie. Nie próbuje zdobywać własnego mostu zjeżonego na przeciwnym przyczółku włóczniami i cofa się lewym brzegiem na południe. Przeplynie Nil pod Kairem.

Po odejściu Bibarsa niezliczona rzesza piechoty na łodziach zostaje pozbawiona kierunku i wodza. Jan rzucił część rycerstwa przez most wesprzeć Dzierżka, i muzułmanie widzą, że są otoczeni. Wróg zajął obydwa brzegi. Nie ma już, nie ma odwrotu!

W dole rzeki stoi flota krzyżowców. W górze obstawiony most. Więc jedni próbują wyjść na prawy brzeg i przedostać się do Damiety, inni walczą do ostatka, inni spływają na oślep w dół ku okrętom. Tam już gotują się do walki. Podtrzymywany przez kapelana i sekretarza kardynał Pelagiusz stoi na przedzie swej purpurowej galery i kieruje działaniem: — Miotać na przeklętych

ukrop i płonące kwacze! Strzały i oszczepy! Wytoczyć z dna statków skrzynki z ogniem greckim! Nie dopuścić ich blisko pod dzioby! Niech zatoną! Niech przepadną!

Wyjące z trwogi gromady rzucają się rozpaczliwie i bezładnie to tu, to tam.

W ogólnym zamieszaniu i zgiełku, gdy od natłoku ludzi i łodzi rzeka występuje z brzegów i bryzga wodą, gdy wrzawa przeraźliwa niesie się daleko, wraca odbita o libijskie skały, nikt nie zauważa ani się gorszy zachowaniem drobnego, szarego człowieka, który wraz z dwoma towarzyszami biega gorączkowo po brzegu nie dbając na strzały, podaje rękę tonącym, osłania i odprowadza rannych, ratuje muzułmanów, zarówno jak swoich...

Słońce zaledwie zdążyło szcerwienieć, a pogrom wojsk sułtana al-Kamila jest już dokonany. Damieta otoczona. Kardynał Pelagiusz patrzy, jak jego ludzie uwijają się po rzece biorąc do niewoli niedobitki muzułmańskie. Inni, wychyleni przez burzę, odpychają długimi dragami trupy, z których wokół statków utworzył się istny zator. Niech płyną z prądem zatruwać powietrze gdzie indziej.

Kardynał Pelagiusz czuje się wzruszony. Zaprawdę, Bóg miłosierny dał piękne zwycięstwo! Po raz pierwszy myśli bez żywej niechęci o Janie de Brienne. Trzeba przyznać, że poprowadził dzisiaj bitwę wcale dobrze, nie gorzej, niż gdyby kierował nią on sam, kardynał Albano...

...Co za wrzawa coraz bliższa, coraz natarczywsza?! — Legat marszczy gęste brwi. Dobre uczucia pierzchają bez śladu. To rycerstwo obnosi na rękach Jana de Brienne krzycząc, aż tu słyszać wyraźnie:

— Niech żyje król jerozolimski! Niech żyje nasz wódz!

— Milczeć, każcie im zmilknąć! Ja nie pozwalam! On nie jest wodzem! Ja, ja... — syczy kardynał ze złością. Siły go zawodzą. Zwisa bezwładnie w ramionach strwożonego sekretarza, opada, sinieje, szczęka zębami w napadzie febry gwałtowniejszym niż poprzednie.

Rozdział siódmy

Odzyskali

Stary sułtan Malik al-Adil pisał ze swego pałacu w Damaszku:

Obudziła mnie w nocy gwiazda moja i zadrzałem. Rzekłem do mojego posła: Poganiaj chyżo wielbłąda i nie przystawaj po drodze. A pojąc zwierzę przy studni, nie zatrzymuj się dłużej, niż koniecznie potrzeba. Chcę bowiem, by słowa te doszły do rąk ulubieńca proroka, zanim spoglądać będę ku Mekce, siedząc nieruchomo w grobie.

Takie są moje słowa: Nie spodziewaj się od braci twych rychłej pomocy. Oby Allah sprawił, by sami jej nie potrzebowali. Stoją oni z mieczem w dłoni pośród wojowników, ale uciśnieni wielce. Gniew Proroka w postaci nędznego plemienia Mongołów przybliży się ku nam. Posłuchaj mojej rady, synu Turanzaha. Pozbądź się Franków z Egiptu. Oddaj im Palestynę, a będą zadowoleni i opuszczą brzegi Nilu błogosławiąc imię twoje. Bo nie dbają oni o ziemię, której mają pod dostatkiem, ale o Grób proroka Jezusa. Oddaj im także drzewo, na którym konał prorok Jezus. Znajduje się u mnie w Damaszku. Rozkażę, by je wydano na twoje zlecenie. Zawrzesz z nimi trwały pokój i zyskasz sprzymierzeńca w walce z Mongołami. Będziesz mógł pośpieszyć nam na odsiecz zamiast wzywać pomocy. Posłuchaj tych moich słów, synu Turanzaha. Niech Prorok strzeże twych dni.

Sułtan al-Kamil drapał się w brodę zamyślony. Miotełka do opędzania much zsunęła się z kolan. Niewolnik podniósł ją i klęcząc podawał na rozłożonych płasko dłoniach. Dwóch czarnych Nubijczyków stojąc za sułtanem trzymało wachlarze z piór strusich; poruszali nimi lekko i niedostrzegalnie. Sułtan patrzył na przeczytany przed chwilą list z nieokreśloną trwogą. Było to rzeczywiście posłanie pośmiertne, równo bowiem z pierwszym gońcem nadjechał drugi donosząc, że stary sułtan Malik al-Adil nie żyje. W ogóle dzień dzisiejszy był dniem Iblisa, dniem złych wiadomości. Dżemal ed-Din, dowódca Damiety, doniósł przed chwilą rzecz niesłychaną: obdarzony powszechnym zaufaniem stróż składów żywności na wypadek oblężenia, Bar Izaak, okazał się nikczemnym rabusiem i zdrajcą. Składy są puste. Zapasy mąki, oliwy, daktyli, mające wystarczyć załodze na dwa lata, nie istnieją. Kiedy zniknęły, nie wiadomo, gdyż Dżemal ed-Din, ufając Bar Izaakowi, zawartości budynków nie sprawdzał.

Oczywista, nie trzeba dodawać, że przewrotny Bar Izaak zbiegł, nim stratę dostrzeżono...

— Niech Allah pokarze Żydów! — parska sułtan blady z gniewu. — Niech wytraci ich pomiot! Oto Damieta, perła państwa, Damieta o niezwalczonych murach, bez żywności! Bodajem nigdy nie słyszał imienia Dżemal ed-Dina! Biada jego głowie, jeśli jej Franki nie zdejmą! Przeklęty jego ród i jego dom! Nie wyszedł z murów na pomoc, gdy Frankowie napadli mnie w obozie al-Adilija! Nie sprawdził składów żywności w odpowiednim czasie! Bodaj się lepiej nigdy nie narodził!

— Zawsze dziwiłem się, Władco Wiernych, zaufaniu, jakie pokładałeś w emirze Dżemal ed-Din — wtrąca poufale i zawistnie Bibars.

— Milcz, boś nie lepszy od niego! Poskąpił mi Allah wodzów! Wodzów! Gdybym miał chociaż jednego!

Twarz Bibarsa kurczy się jak u złego psa.

— O, Władco Wiernych, zalim mógł przypuszczać, że oddział konnych wystarczy, aby przerazić sułtana i obóz?

— Coś rzekł?! — porywa się al-Kamil z wściekłością. — Coś rzekł?!

— Rzekłem, że jeśli ci niemiły, Ulubieńcze Proroka, Władco Wiernych, nie mający sobie równego, mogę odejść, choćby dziś... z moimi ludźmi...

Al-Kamil milknie i zagryza wargi. Gniew nim miota, ale czuje się bezsilny. Żołnierze uwielbiają Bibarsa i na jego rozkaz gotowi nawet porzucić sułtana. Al-Kamil nie ma miru wśród wojska i zdaje sobie z tego sprawę. Przede wszystkim nie jest wojownikiem. Woli księgi i pieśni niż miecz. Poza tym jest zmienny, nierówny, słaby. Bibars zaś to urodzony żołnierz. I wódz genialny. Ostatnią bitwę przegrał wprawdzie sromotnie, nie poczuwa się jednak do winy. Zresztą któż wie, jakie myśli lęgną się pod niskim, szerokim czołem tego Turka? Czy istotnie zależy mu bardzo na powodzeniu sułtana?

Zły, o zły dzisiejszy dzień!

Abdullah, posłaniec Dżemal-ed-Dina, stoi u progu namiotu czekając na odpowiedź. Nagi, rosły, czarny. Świetnie nurkuje. Dzięki tej umiejętności może się przedostać z twierdzy strzeżonej tak, że ptak nie przeleci. Nocą spuszcza go tajemnie z murów. Sunie jak wąż przez trzciny, zanurza się w rzekę, po której ustawicznie patrolują liczne łodzie, i jednym tchem, nie wychylając się ani razu ponad wodę, przepływa na drugi brzeg. Tam znów pełźnie przez szuwary, póki nie ominie straży.

— Możesz wracać — rzuca sułtan w jego stronę.

Abdullah patrzy na niego błagalnie.

— Bez odpowiedzi, Władco Wiernych?

— Z tą odpowiedzią, Abdullu: Szczęśliwy los Dżemal ed-Dina, jeśli zginie z ręki Franków, nie mojej.

Nurek upadł na kolana.

— Władco Wiernych — wyjąkał — niech oczy twoje spiorunują mnie nędznego! Racz rzec: zali sułtan Damaszku z pomocą nadchodzi?

— Już jest w drodze — odparł obojętnie sułtan bawiąc się pośmiertnym listem stryja. — Już jest w drodze.

— O, dzięki ci, Władco Wiernych, Ulubieńcze Proroka! Dzięki ci. Wytrzymamy, dopóki nie nadejdzie... Wytrzymamy.

Wyszedł bijąc pokłony. Al-Kamil spojrział chmurnie na sędziwego imama o rozłożystej siwej brodzie, siedzącego naprzeciw na niskiej sofie. Był to Ibn Giuzi, wielki mufti meczetów Damaszku, przy tym znakomity historyk. Przed paru miesiącami przybył do Egiptu dla uzgodnienia niektórych szczegółów obrządku, które różniły się jeszcze pomimo zniesienia schizmy. Zmarły świeżo sułtan Malik al-Adil poważał go wielce i pytał nieraz o zdanie.

Spotkawszy wzrok sułtana, mufti poruszył się i chrząknął.

— Powinieneś, Władco Wiernych, posłuchać ostatniej rady stryja, syna Ajuba, z którym nie spotkasz się już aż w dzień zmartwychwstania w Dolinie Wielkiego Sądu.

— Nie mam wodzów! Nie mam wodzów! — narzekał al-Kamil ściskając głowę rękami. — Gdybym miał wodzów, ja bym pokazał giaurom!

— Czasem lepiej nie mieć wodzów — zauważył zagadkowo Ibn Giuzi. — Władco Wiernych, zawrzyj pokój z Frankami i strzeż się Bibarsa.

— Nie mogę odebrać mu dowództwa, bo wojsko nie przyjmie innego. Mógłbym go kazać zadusić albo oślepić, lecz lękam się, że wtedy wśród mameluków wybuchnie bunt.

— Dlatego też rzekłem, Władco Wiernych, że bywa lepiej nie mieć wodzów.

— Damieta, moja Damieta! Ozdoba Egiptu! — biadał dalej sułtan. — Damieta bez żywności! Szczenię szakala miałyby więcej rozumu i przezorności niż Dżemał ed-Din! Moja Damieta!

— Zawierając pokój z Frankami, uratujesz, Władco Wiernych, Damietę...

— Za jaką cenę? Cała Palestyna?

— Prowadząc dalej wojnę nie uratujesz Damiety również. Głód jest mocniejszy niż siły człowiecze...

— Poślę posłów — postanowił sułtan z westchnieniem.

Kardynał Pelagiusz nie mógł przyjść do siebie po nowym ataku choroby, więc sekretarz jego, uczonego Scholasticus, nadal używał swobody badacza. Nierozłączna trójca, on, astrolog Pochard, bakałarz Pesaro, żyli od kilku miesięcy w nieustannym podnieceniu, nie wiedząc nic, co się

wokół nich dzieje, obojętni i głusi na wszystko, co nie było tajemniczą przeszłością Egiptu wyzierającą z każdego kamienia. Pierwsi europejscy uczeni, jacy stanęli na tej ziemi. Wprawdzie ziemia italska i prowansalska pełne były również śladów starych wier i dziejów, astrolog zaś i bakałarz zetknęli się w Syrii z wykopaliskami fenickimi na górze Karmel. Wszystko to jednak nie mogło się równać z Egiptem. Ogrom i kamienna moc tutejszych zwalisk przechodziły wszelkie pojęcie. Niezliczone kolumny i pylony pokryte mrówkami napisów (domyślali się, że te maleńkie, z taką dokładnością cięte w granicie obrazki są pismem), posągi o głowach zwierzęcych, postacie ludzi przechodzące doskonałością wykonania wszystko, co mogli wymarzyć, obeliski strzelające w górę śmiałym rzutem, połyskujące szczątkami pozłoty spod warstwy ptasiego nawozu. O zachodzie w stronie Kairu trójkątne góry piramid gorzały granitową lśniąca powłoką.

W czasie nieustających wędrówek trzech towarzysze zachodzili do klasztorów koptyjskich, nędznych budowli z nawozu, słomy i gliny, podobnych z dala do gniazda os. W tych lepiankach smrodliwych i bezokiennych mieszkali mnisi, ubodzy, czarni i ciemni. Scholasticus porozumiewał się z nimi po grecku. Od nich badacze dowiadawali się nazw sfinksów, piramid, obelisków. Oni objaśniali trójce uczonych, że posągi w czepcu z doprawioną wąską brodą, węzem na czole i jastrzębiem otulającym skrzydłami głowę i kark — przedstawiają faraonów, władców nieśmiertelnych i niezwycięzonych. Tam są ich groby — ukazywali dłonią piramidy. — Można w nich jeszcze znaleźć wiele złota. Dawniej znajdowano złoto takie w tych, o, zwykłych grobach, mastabach, ale Beduini ograbili wszystko. Czego nie ograbili, zapadło się w ziemię. Nie ma już po co tam wchodzić.

Trzej przyjaciele wchodzili jednakże. Oświecali pochodniami grobowe izby o ścianach pokrytych malowidłami. Przechowane w mroku barwy były świeże i żywe, rysunek nieskazitelny. Przesuwając pochodnię wzdłuż fresków, poznawali codzienne życie ludzi, którzy ten grób budowali, w najdrobniejszych szczegółach pracy, zabawy, modlitwy, walki, narodzin i śmierci. Na posadzce niby uzupełnienie malowideł stały sprzęty domowe, broń, naczynia i drobne posążki. Dotykali ich rozgorączkowanymi dłońmi, niepewni, zali nie zostali zaczarowani i przeniesieni w inny, tajemniczy świat. Pośrodku głównej izby stał kamienny sarkofag, właściwe jądro grobowca. Kamienne wieko sarkofagu było odrzucone przez plądrujących tu niegdyś grabieżców i nachyliwszy się ze światłem nad czarnym wnętrzem granitowej skrzyni można było dojrzeć spoczywającą w niej trumnę o kształcie ludzkim z rzeźbioną i wymalowaną twarzą. Ta trumna przerażała ich i pociągała. Drżąc jak złodzieje odważyli się otworzyć ją. Zdawało im się, że wszystkie malowane postacie na ścianach poruszają się złowrogo. Już szczerzy zęby bóstwo z

głową wilka czy szakala. Jednak pasja badaczy przemogła. Podnieśli rzeźbione malowane wieko. Zobaczyli drugą trumnę taką samą. Jenó na pierwszej twarzy miała oczy zamknięte, a na wewnętrznej otwarte. Te oczy, wyłożone płytkami z emalii, o powiekach z miedzi i białkach z kryształu, spoglądały tak żywo i przenikliwie, że trzech śmiałkowie poczuli ogarniające ich przerażenie. Na uginających się nogach wyszli z grobu. Blask słoneczny oświetlił ich lica strupiałe. W górze jastrzębie tkwiły jak zwykle czarnymi punktami. Gdzieś daleko skrzypiały nieśmiertelne ciągnące wodę koła. Odpoczęli i wrócili znowu. Ciekawość, jedna z czterech najsilniejszych żądź ludzkich, pchnęła ich z powrotem. Podnieśli drugie wieko. Wewnątrz znajdował się zmarły spowity w żółtawą tkaninę. Tkanina nie była całunem, jak im się zrazu zdawało, lecz wąskim powijakiem obciskającym ciało od stóp do głów niezliczone razy. Zdobyli się na odwagę, by unieść ten kształt. Był dziwnie lekki, sztywny, twardy. Nie śmieli iść dalej w poszukiwaniach, zedrzeć owe powijaki z miękkiej, lekko brunatnej tkaniny o dziwnym zapachu. Pochodnie się dopalały, przeto złożyli umarłego z powrotem i wyszli czując, że znów tu powrócą i nie odejdą tym razem, póki nie zbadają do dna tajemnicy, zagadki w płócienne krajki spowitej. Rozwiną je do ostatka, oglądną własnymi oczami, chociażby grozić im miały wszystkie wyrażone na ścianach bóstwa i postacie.

Opuszczali mastabę nie czując nawet, jak bardzo są głodni, gdyż od wczesnego ranka nie mieli nic w ustach.

— Tam dojść! Tam! — Pochard wskazał ręką różowiejące w dali piramidy. — Tam, do tych grobów królewskich... Tam, gdzie leży podobno wielki Sfinks, nieodgadniona zagadka świata. Kto ją rozwiąże, będzie nieśmiertelny...

— Powiadają mnichy, że nikt nie wie, kiedy powstał, lecz że nie ludzkie zdziałały go ręce. Narodził się z ziemią samą.

Zmilkli i kroczyli dalej, niezdolni opanować samych siebie ni sprzecznych uczuć lęku, bezsilności i żarłocznej chęci p o z n a n i a . Spoglądali wokoło półprzytomnym wzrokiem, dziwiąc się prwie oddziałom wojska, namiotom, zwykłemu obozowemu gwarowi. Ledwo zaznany starożytny świat pochłonał ich całkowicie, ogarnęło nieuleczalne pragnienie: Zobaczyć! Zrozumieć! Wiedzieć!

Aymar de Layron, pan Cezarei, i Gerard d'Avesnes weszli do namiotu króla uroczyście. Twarze ich były pobladłe z wrazenia.

— Miłościwy Panie! Posłowie sultana przybyli i proszą o posłuchanie.

— Nie wiecie, z czym przychodzą? — spytał Jan zniżając głos.

— Wiemy, owszem. Powiedział nam tłumacz koptyjski. Za opuszczenie Egiptu oddają całą Ziemię Świętą i Drzewo Krzyża Świętego.

Jan spuścił głowę i milczał przez chwilę.

— Powiedźcie — rzekł nareszcie spokojnym na pozór głosem — że przyjmę ich dziś o zachodzie, gdy upał zelżeje. Tymczasem weźcie ich do namiotu i ugośćcie, jak przystało.

Rycerze wyszli. Jan odetchnął głęboko i przeżegnał się dwukrotnie. Wyciągnął przed siebie ramiona. Zwycięstwo! Zwycięstwo! Jerozolima odzyskana! Grób Święty znów w ręku chrześcijan! W jego głowie zrodzony pomysł uderzenia na Egipt okazał się cudownie skutecznym. Ciepła fala radości i dumy zalała mu serce. On, de Brienne, jak niegdyś cesarz Herakliusz, wniesie w święte mury odzyskane Drzewo Krzyża Zbawiciela. Zapomniał dotychczasowej udręki, kłopotów, zgryzoty. Błogosławieństwo Boże było nad nim. W niespełna rok bez zbytnich ofiar odzyskali dziedzictwo Godfrydowe. Jak miłosierny i dobry jest Pan!

Wiadomość o przybyciu posłów rozeszła się w mig po obozie i przed namiotem zrobiło się tłoczno. Cisnęli się milcząc baronowie syryjscy noszący tylko próżne nazwy swych dziedzicznych włości, panowie na Jerycho, Ramli, Napluzie, Betlejem, Tyberiadzie. Mieli teraz powrócić do miejsc wywalczonych przez swych dziadów. Mieli objąć znów straż w niezdobytym zamku Karak, zwanym Kamieniem Pustyni, napoić konie w Jordanie... I stali, patrząc na króla, w wymowniejszym niż słowa milczeniu.

Naraz jak gdyby prąd przeleciał ich ciała: wyciągnęli mostem ręce.

— Nie utracimy tej ziemi po raz drugi! Tak nam dopomóż Bóg!

— Co się stało?! Co się stało!? — dopytywał ciekawie podesta Genui, przez tłum się przepychając.

— Koniec wojny — rzekł Jan z mocą. — Sultán chce oddać Ziemię Świętą w zamian za odstąpienie spod Damiety.

— Przyjmujecie te warunki, Miłościwy Panie?...

— Szaleniec by ich nie przyjął. Nam chodzi o Grób Święty, nie o Damiętę.

Bartłomiej Doria poczerwieniał i poruszył się niespokojnie.

— Co za szkoda — zauważył — że legat nie może sam ucieszyć się tym poselstwem!

— Jegomość legat wciąż jeszcze chorzeje. Mniemam jednak, że na wiadomość, iż wieziemy go do Jerozolimy, siły mu powrócą. Twardy to człowiek, pyszny, ale Chrystusa Pana uczciwie miłuje.

— Tak, o tak — przytwierdził skwapliwie podesta. Zakręcił się i odszedł. Nikt nań nie zwracał uwagi, troczyli się inni. Służba i ciury. Łucznicy i tarczownicy. Brat Franciszek przepchał się pomiędzy nimi, schwycił rycerza Dzierzka za płaszc.

— Bracie rycerzu — szepnął gorąco — co zaszło?

— Jerozolima nasza i Drzewo Krzyża Świętego — odparł Polak i odwrócił się, bo oczy mu zwilgotniały.

— Nasze — powtórzył. — Sułtan je oddaje, byleśmy stąd odeszli.

— O, bracie!

Nim rycerz zdążył się spostrzec, Franciszek objął go za szyję i ucałował gorąco. Pan Dzierzek nie zgorszył się tym, chrząknął tylko niewyraźnie. Franciszek już pobiegł do Jana, objął go za nogi wlepiając w męską twarz króla promienne oczy.

— Miłościwy Panie, prawda to?!

— Prawda, braciszku — odparł Jan kładąc mu dłoń na ramieniu. Czuł się tak szczęśliwy, że nawet dziwaczny wesołek był mu miły.

Posłowie z siwobrodym muftim Ibn Giuzi na czele złożyli niskie ukłony dotykając kolejno piersi, czoła i ust na znak, że nie chowają zdrady w sercu, mowie ani myśli, po czym usiedli na wskazanych stołkach, zadowoleni, że król ich nie poniża. Kopt Ben Eliasznający łacinę i używany zwykle jako tłumacz stał za nimi. Ibn Giuzi mówił:

— Nie było ongi niezyczliwości między królami Jerozolimy a Ulubieńcami Proroka. Chwalebnej pamięci królowie Almaryk, Baldwin oraz ich poprzednicy żyli w sąsiedzkiej zgodzie z wielkim sułtanem Sal-ed-Dinem i ojcami jego. Tę przyjaźń, właściwą między rycerzami, chce przywrócić Władca Wiernych, al-Kamil, syn Turanszaha, któremu nie masz równego. To mi polecił powiedzieć: Niech lwom podobni Frankowie wracają do swoich siedzib, opuszczając nasze. Oddaję im za to w posiadanie Palestynę w granicach, jakie miał ten kraj za panowania chłopca o trędowatym ciele a duszy orła.

— I Drzewo Krzyża Świętego — upomniał się Jan.

— Tak jest, o królu. Drzewo Krzyża Proroka Jezusa. Posłowie mogą przyjechać zabrać je z Damaszku...

Ibn Giuzi umilkł i pogłodził brodę na znak, że już skończył. Jan otwierał usta, by odpowiedzieć, gdy ruch przy wejściu zwrócił jego uwagę. Przy odchylonej zasłonie namiotu błysnęło czerwienią. Wsparty na ramieniu kapelana zbliżał się legat papieski, kardynał Pelagiusz. Purpura opływa go od stóp do głów, zwisa luźno na wychudłym ciele. W ziemistej cerze płoną gniewem czarne hiszpańskie oczy. Wchodzi chwiejnie, groźnym wzrokiem mierząc posłów. Zawsze opanowany i przytomny Jan ustępuje mu miejsca w poręczowym krześle. Ibn Giuzi patrzy na to z nie ukrywaniem zdumieniem, pozostali z niepokojem. Nie zwracając uwagi na posłów kardynał zwraca się do Jana:

— Kto was upoważnił przyjmować posłów beze mnie, którym jest tu najstarszym i naznaczonym przez Ojca świętego wodzem?

— Miałem do tego prawo — odpowiada Jan — jako zastępujący Waszą Dostojność w czasie choroby.

— Już mi lepiej.

— Nie wiedziałem nic o tym. A nie dawaliśmy wcześniej znać, chcąc ucieszyć Waszą Dostojność już dokonaną dobrą nowiną.

Kardynał śmieje się szyderczo.

— Jakaż to nowina? Mówcie! Bo coś już o niej słyszałem i nie wydaje mi się wcale dobrą!

— Sułtan — streszcza krótko Jan — ofiaruje trwały pokój, oddaje Ziemię Świętą w granicach, jakie miała za Baldwina IV, oraz Drzewo Krzyża Świętego w zamian za ustąpienie z Egiptu.

— I wy, ślepi, chcecie na to przystać?

— Podjęliśmy tę wyprawę, aby odzyskać Grób Święty.

— Odzyskać t r w a l e ! Trwale, rycerzu de Brienne, królu jerozolimski! Upewnić się w niej na stałe, na wieki! Tego nie dokonasz bez Egiptu, skąd islam czerpie swe bogactwo i potęgę. Nie ruszymy się stąd, nie zawładnąwszy Aleksandrią i Damietą.

Jan blednie z osłupienia i gniewu.

— Czy Wasza Dostojność zdaje sobie sprawę, że podobne zamysły oznaczają długą i bardzo kosztowną wojnę? Czy zdaje sobie sprawę, że wynik każdej wojny może być dwojaki? Dla urojonej korzyści wyrzekamy się tego, co już zdobyte, co pewne, a co stanowi nasz cel...

— Prawdziwy rycerz widzi jeden wynik wojny: zwycięski! Cofać się spod grodu na pół zdobytego może tylko małoduszność! Gdzie tłumacz?

Ben Eliasz wysuwa się zalekniony.

— Powiedz im — powiada twardo kardynał — że ja jestem wodzem i że ja jeden mam prawo z nimi mówić. Warunków sultana nie przyjmuję. Damieta musi być nasza. To ostatnie moje słowo. Mogą się nie trudzić powtórnie, gdyż słowa tego nie zmienię.

Cisza zalega namiot, słychać tylko przyśpieszone oddechy. Jedyne stary mistrz templariuszów przytakuje głową z zadowoleniem. Jest wprawdzie, jak na templariusza, wyjątkowo spokojnym człowiekiem, zakon pod jego rządami utracił wiele dawnej zaborczości i wpływu, niemniej pozostaje wierny zasadzie: najgorsza wojna z poganami lepsza od pokoju.

Ben Eliasz pochyla głowę. Nim powtórzy okrutne słowa, leci myślą ku swojej rodzinie w Damiecie. Ta myśl sprawia, że porzuca bezosobowość tłumacza.

— Wasza Dostojność — bąka swą kiepską łaciną — wojna to straszna rzecz. Chrześcijanie nie powinni chcieć wojny.

— Nie od ciebie słuchać mi rad — odrzuca dumnie Pelagiusz. — Czyń, po co cię tu wezwano!

— Więc Ben Eliasz powtarza. Ibn Giuzi unosi się na krześle. Szuka zgorszonym wzrokiem Jana. Jan odwraca oczy. Bez słowa posłowie wstają, kłaniają się, odchodzą.

Kardynał Pelagiusz czuje się wyczerpany, osłabiony nadmiernym wysiłkiem, lecz zadowolony. Zdążył na czas. Bez niego baroni daliby się znęcić rzuconym sobie ochłapem, uważając go za łaskę. Piękna łaska! Zdobycie Damiety jest kwestią paru miesięcy i mieliby odstąpić!

— Baronowie chcieli przyjąć pokój i opuścić Egipt — objaśnia swego sekretarza Scholastyka.

Uczony staje jak wryty.

— Opuścić Egipt?! Teraz?! Ależ to straszne, Wasza Dostojność!

— Nieprawdaż? Taki księgowiec, nie wiedzący nic o życiu, jak ty, Scholastyku, rozumie, że to byłoby straszne, a baroni nie mogli zrozumieć! Et, co się zresztą dziwić? Oni nic nie rozumieją.

Rozdział ósmy

Przecignięta struna

Prawdę powiedział Ibn Giuzi, że głód jest mocniejszy niż siły człowiecze. Zmoże każdego, najsilniejszego powali.

Wychudły jak kościotrup Dżemal ed-Din, niedbały dowódca, co nie sprawdził w porę składów żywności, zawierzywszy chytremu Bar Izaakowi, kreśli ostatni list do sułtana.

Listu tego nie poniesie już wierny Abdullach, nurek, Frankowie wysłedzili go i złowili w sieci. Złowionego przywiązali do katapulty i krwawą miazgę posłali na mury. Zaciągnięte odtąd stale sieci spowodowały jeszcze inną bolesną stratę: W górze muzułmanie rzucali do rzeki pobite woły, wielbłądy, barany i opatrzywszy w nieznaczące pływaki puszczali niby padlinę z prądem. Puszczali tak, by przepływały koło twierdzy nocą, i tam z narożnej baszty udawało się nieraz wyciągnąć je bosakami. Teraz ta pomoc ustała. Jedynie, co płynie rzeką, to trupy wyrzucane z miasta. Po ich liczbie i stopniu wychudzenia oblegający widzą, jakie postępy głód czyni w grodzie. Z dnia na dzień oczekują poddania się twierdzy.

Ciała są wyrzucane, choć prawowiernemu muzułmaninowi ciężko wiedzieć, iż nie spocznie uczciwie w grobie, bo nie ma komu ich grzebać. Nawet za czterdzieści sztuk srebra nie znajdziesz człowieka zdolnego wykopać dół, bodaj najpłytszy. Podobnie można ofiarowywać dwukrotną wagę złota za garść ryżu, daktyli lub mąki. Nie ma, nie ma.

W braku nurka list zostanie przywiązany do strzały i puszczony daleko poza linie Franków. Może go ktoś z wiernych zobaczy, podejmie i poniesie do sułtana.

Dżemal ed-Din pisze:

...Początek dnia był przeciw nam i przeciwnym pozostał zachód.

Przemawiają do Ciebie, Władco Wiernych, Władco nie mający równego na ziemi, mieszkańcy grodu, co niegdyś szczęśliwy był i kwitnący, a dziś kona w opuszczeniu. W godzinie śmierci jednak nie przestaliśmy być ci wierni. Wierność nasza jest jak muszkat, co w małym czy dużym okruchu zachowuje tę samą woń.

Władco Wiernych, jeśli możesz, pośpiesz nam na pomoc lub daj znak, że zezwalasz poddać się wrogowi.

Bo dłoń nasza niezdolna już podźwignąć miecza i nie zostało nam dosyć sił, aby wydać jęk. Nie ma już komu bronić murów. To jest ostatni nasz głos.

List przywiązany do śmigłej strzały nie doszedł do rąk sułtana. Pochwycili go Frankowie.

Kazali szukać wszędzie Ben Eliasza, aby przetłumaczył treść. Ale Ben Eliasza nie było. Powiadano, że utopił się ze zgrzyoty ujrawszy płynące rzeką wyschłe z głodu trupy swych dzieci.

Nikt nie przeczytał ostatniego listu Dżemal ed-Dina.

We wrześniu 1219 roku panowie de Joinville, de Hainaux i d'Avesnes włążą pewnego dnia do narożnej wieży. Przyglądali się jej od dawna, stanowiska mając naprzeciwko, i zauważyli, że od dłuższego czasu nie pojawiał się nikt ani w strzelnicach, ani na krużgankach, nie palono również światła. Cisza w niej trwała jak w grobie. Poleciwszy się opiece Michała Archanioła rycerze powiązali drabiny sznurami, przystawiali do wieży i weszli. Najpierw tych trzech, potem za nimi dwudziestu. Na górnym piętrze wieży przy dawno wygasłym ognisku do dawania znaków świetlnych siedział kościej i patrzył na nich osowiałym wzrokiem. Jeszcze dychał, ale ruszać się już nie mógł. Ledwo go tknęli, już nie żył. Dwóch podobnych umarłaków leżało na dole. Zgasiwszy ich żywot, rycerze zamknęli się w wieży i czekali rana. Gdy świt zabłysnął, wywiesili na szczycie chorągiew Królestwa Jerozolimskiego i z krzykiem a gołym mieczem wypadali na ulicę.

Szukali wroga, spodziewali się go. Ale wroga nie było. Nic nie przerywało przeraźliwej ciszy, w której orężne ich kroki rozlegały się jak grzmot. Nie było wroga, tylko wszędzie, gdzie spojrzalesz, na ulicach, na dziedzińcach, w pięknych i bogatych domach leżały trupy i trupy. Były tak wyschłe, że nawet się nie rozkładały. Pałace słońce wyżarło z nich resztkę tkanek, których nie strawił głód. Leżały jedne na drugich w postaci szkieletów powleczonej brunatną skórą. Szeroko otwarte suche oczy zdawały się patrzeć i oczekiwać. I w całym mieście nie było żywego głosu. I w całym mieście nie było żywego stworzenia. Ani ptaka, ani kota, ani szczura, ani psa, ani jaszczurki. Nie było też roślin. Z drzew objedzono wprzód korę i liście, potem zżuto samą miazgę, wyrwano z ziemi korzenie.

Stropieni, przerażeni rycerze otworzyli bramy i wojsko poczęło wchodzić. Wchodząc milkło, zdjęte grozą. Nigdy nikt nic podobnego nie zaznał, nie widział. Inaczej zwykle wygląda zdobycie miasta! Więc naprzód natarcie za natarciem. Wieże oblężnicze skrzypią, tarany głucho walą, sypie się kurz i gruz, lecą pociski, ogień, ukrop, kamienie i strzały. Z obu stron rozpala się wściekłość zażarta. Nareszcie mury zdobyte. Zwycięzcy wpadają do grodu. Przebiegają ulice pijani zapachem krwi, kąpią się w niej, mordują z rozkoszą. Gdy szła mordowania minie, dzielą łupy,

potem wypoczywają, potem śpiewają dziękczynne „Te Deum”. Tak bywa zwykle, to jest zrozumiałe.

Lecz wchodzić do miasta trupów!... Zdobywać cmentarz!... Przykro i wstyd. I groza niewytłumaczona ściska serce i jakoś straszno zdobywcom Damiety. Pierwsze umocnienie się Latyńców w Egipcie jest zdarzeniem niezmiernej, olbrzymiej wagi. We Francji, Italii, Anglii, Niemczech będą na tę wieść bić dzwony, a tu nikt nie czuje upojenia. Jakoś trudno się cieszyć, być dumnym.

Tylko kardynał Pelagiusz jest rad. Że te wszystkie chudziaki wymarły, któż winien? Mogli się poddać. Dlaczego się nie poddali? Damieta zdobyta — to jest najważniejsze. Prawie już zupełnie zdrow, przejeżdża konno przez ulice jak posąg w czerwieni i wydaje rozkazy. Uprzątnąć i wywieźć trupy, sprowadzić do opuszczonych domów osadników. Może się zgłaszać, kto chce. Kopty, Ormiany, Żydzi, nawet muzułmanie. Bogactwo Damiety jest znane, więc chętnych nie brak. Przede wszystkim Genueńczycy. Jakby tylko na to czekali, napływają licznie z rodzinami, ze służbą, zakładają swoje stacje, wypraszają przywileje. Wenecjanie też radzi by osiąść, ale podesta w porę przypomina kardynałowi niecną udział weneckich armatorów w tragedii krucjaty dziecięcej. Po takiej zbrodni zabójcy niewiniątek mieliby korzystać z dobra zdobytego przez krzyżowców?

Krucjata dziecięca! Po raz pierwszy zostaje wspomniana i to w tym celu, by odsunąć współzawodnika. Niby tak niedawno miała miejsce, niecałe cztery lata temu, a nikt już jej nie pamięta. Zamknęły się kręgi życia, zatarło wspomnienie. Może tylko jeszcze poniektóre matki płaczą, może jeszcze półobląkana pani de Trevi jeździ po kraju, wołając żałośnie: — Ratujcie! Ratujcie dzieci!

Niemniej legat, uznając słuszne uwagi podesty, zabrania Wenecjanom osiedlenia się w Damiecie.

Sułtan al-Kamil przesiaduje całe dni nieruchomo w swym czarodziejskim pałacu w Kairze i ponuro myśli. Mniej o przeklętych Frankach niżli o Bibarsie. Nienawidzi tego Turka. W jego obecności przestaje czuć się panem, nie może opanować trwogi. Gdy Bibars doń mówi, sułtanowi wydaje się, że dowódca wojsk obmacuje go oczami, szukając na karku, na piersi miejsca dogodnego, by pchnąć sztyletem. Zdaje mu się też, że nie tylko żołnierze, ale dworzanie, niewolnicy, dygnitarze, służba, wszyscy liczą się więcej z Bibarsem niż z nim, Władcą Wiernych. Jak kornie, jak spiesznie gną się, kiedy wchodzi! Należałoby Bibarsa co prędzej zabić. Lecz to

niełatwo. Dlaczego tak lekko przychodzi posłać na śmierć choćby tysiąc ludzi, a tak trudno jednego Bibarsa? Otóż dlatego, że nie wiadomo, kto by zabójstwo wykonał. Chyba sam sułtan. Sam. Własnoręcznie. A sułtan się boi. Bibars roślejszy, mocniejszy od niego. Na pewno uprzedziłby ruch i zabił sułtana. Powierzyć zaś zadania innym niepodobna. Bo komuż można się zwierzyć? O kim wiadomo, że nie pójdzie do Bibarsa i nie uprzedzi o otrzymanym rozkazie? Sułtan nie ufa nikomu. Ibn Giuzi, jedyny, z którym mógł mówić otwarcie, wyjechał do Damaszku nalegać o pomoc. Wprawdzie Ibn Giuzi nie zabiłby Bibarsa, ale kto wie, może zgodziłby się zamówić u Starca z Gór fadaisów, którzy by sprzątnęli zuchwalca? Starzec z Gór jest niezawodny. Co za szkoda, że Ibn Giuzi wyjechał! Na Allacha! A jeśli Bibars już uprzedził myśl sułtana, już ją wykonał, jeśli nasłani Izmaelici znajdują się pośród niewolników? Na tę myśl pot spływa po czole Władcy Wiernych, nie mającego równego sobie.

Gdy te myśli zanadto osaczają go zewsząd, gdy al-Kamil czuje się antylopą otoczoną przez lwy i hieny, błyska mu w głowie: ucieczka! Porzucić wszystko, sięść na koń i uciec z Kairu. Lecz wnet przychodzi rozważa. Jest bratańcem Saladyna, Wielkiego Sułtana. Nie może okryć rodu Ajubitów hańbą. Więc co począć? Chyba... pokój!

Oto jest jedyne wyjście. Pokój za wszelką cenę. Gdy go zawrze, może pojechać choćby do Franków w odwiedziny, może ruszyć na pomoc braciom, może po prostu odjechać do któregoś ze swoich odleglejszych zamków. Pokój!...

I nie powiadamiając o swym postanowieniu nikogo wyprawia nowe poselstwo. Sprawuje je ochmistrz dworu, Ibn Dżalila. Warunki, które ma zawieźć Frankom, są niesłychane, oszałamiające. Ofiarować je może tylko człowiek żyjący w śmiertelnej trwodze, w rozterce myśli i ducha. Za cenę pokoju, natychmiastowego trwałego pokoju, sułtan oddaje Frankom Damiętę, Ziemię Świętą, Drzewo Krzyża i zobowiązuje się płacić czterdzieści tysięcy bezanów haraczu rocznie...

Nigdy jeszcze żaden sułtan nie zawierał podobnego pokoju, toteż kardynał Pelagiusz promienieje. Wrócił już całkiem do sił. Przyjmuje posłów w całym majestacie, okryty purpurą, siedząc na tronie w dawnym pałacu sułtańskim Damiety. Pułap wielkiej sali sklepiony jest w kopułę otoczoną wieńcem okien. Okna wypełnione są rżniętymi kryształami barwy szmaragdu i ametystu. Światło sieje się przez nie czarodziejskie i tajemnicze. Ściany wykładane kością słoniową migocą jak drogocenna szkatułka. Jan de Brienne siedzi podle legata na niższym krześle, reszta rycerzy stoi dookoła.

Legat wysłuchawszy posła zwraca się ku nim.

— Oto, co osiągnąłem, panowie baroni. Nie dopuściłem, byście popełnili błąd pół roku temu. Wiem, co wówczas o mnie mówiono, widziałem, jakieście na mnie spoglądali. Okazało się, kto miał słuszość. Małoduszni i tchórzliwi, czy ja.

Spogląda z góry, pojąc się swym tryumfem. Ten król jerozolimski, ci rycerze, których tak upokarza, których bezkarnie lży, jak muszą go nienawidzić! Nie dba o to. Muszą słuchać, bo jego racja była dobra. On zwyciężył.

Obraca się do tłumacza.

— Zaprawdę wdzięcznym sułtanowi za szczerą chęć pokoju. Warunków jego jednak przyjąć nie mogę.

Wśród ogólnego osłupienia ciągnie:

— Jeżeli sułtan odstąpi nam trwale całe wybrzeże zwane Delta, zawrę z nim pokój bez zwłoki.

— Przeciągana struna pryska... — mówi półgłosem Jan de Brienne.

— To samo mówiliście poprzednio. Ja nie ustąpię. Skoro sułtan oddaje Damiety, odda i resztę.

— Całe wybrzeże — powtarza stanowczo posłom. — Wracajcie z tym do sułtana.

Al-Kamil oczekuje niecierpliwie powrotu Dżalila. Każe go natychmiast wprowadzić.

— I cóż? — zapytuje drżąc z niecierpliwości.

Ibn Dżalil pada na twarz.

— Chcą całej Delty, Władco Wiernych! Chcą całej Delty!

— Giń, psie! — W porywie złości sułtan złotym buzdyganem rozwała czaszkę leżącego. Niech nie pozostanie przy życiu człowiek, który wie, jak bardzo sułtan się upokorzył.

Niewolnicy pośpiesznie wnoszą drgające ciało. Al-Kamil oddycha z ulgą. Ten upust gniewu dodał mu odwagi. Jeszcze ma siłę w ramieniu! Gdybyż roztrzaskać podobnie głowę Bibarsowi! Przekłete niewierne psy! Wzgardziły jego prośbą! Chcą całej Delty! Całej Delty! Równie dobrze mogłyby żądać jego, Kamilowej głowy... Czym byłby Egipt bez Delty?! Zaprawdę, szatan w nich siedzi. Szatan pychy i złości. Nigdy już więcej sułtan się do nich nie zwróci. Nigdy! Otrzeźwiał. Wszystko raczej niż pokój z Frankami! Nie zostawi im Damiety, będzie walczył, póki ich z Egiptu nie wygna. W porównaniu z nimi Bibars wydaje się mniej groźnym, nienawistnym. Bądź co bądź, to swój człowiek, prawowierny muzułmanin. Wyznawca Proroka. Nie pies nieczysty jak tamci. Wojna im, wojna, do ostatniego tchu, do upadłego.

I po raz pierwszy posyła po Bibarsa, głównego wodza. Mówi doń władczo. Nie zastanawia się, na co patrzy i co myśli tamten. Mniejsza o to! Najważniejsze: jak zgnieść Franków?

— To wstyd, że siedzą dotychczas, Ulubieńcze Proroka — przytwierdza Bibars. Jest zaskoczony zmianą widoczną w swym władcy. Czy otrzymał jakie nowiny? Czy al-Muzaam nadciąga? W takim razie trzeba ambitne plany odłożyć na później... — To wstyd, Ulubieńcze Proroka — powtarza. — Słyszałem, o Władco Wiernych, żeś raczył własną ręką zabić Ibn Dżalila. Zbyt wielki zaszczyt dla tego nędznego szakala.

— Zabiłem — odpowiada obojętnie sułtan — bo mi doradzał, by Frankom zostawić Damietę...

Kardynał Pelagiusz zgadza się udzielić posłuchania bratu Franciszkowi. Czuje się tak szczęśliwy i zadowolony, że w swej łaskawości poświęci chętnie parę chwil na rozmowę z prostaczkiem.

Franciszek wydaje się bardziej niż zwykle mały, szary, nędzny. Siada na ziemi u stóp kardynała.

— Dostojny panie legacie — zapytuje — prawda to, że posłowie sułtana ofiarowali znów pokój, a wyście go odrzucili?

— Odrzuciłem — przytwierdza kardynał. — Zwycięstwo chcę doprowadzić do końca.

Spogląda podejrzliwie na Franciszka i pyta ostro:

— Kto cię przysłał z tym pytaniem?

— Mnie? Nikt nie przysłał. Sam przyszedłem błagać was, dostojny panie kardynale, żebyście tak nie robili. Zwycięstwo już przecie osiągnięte. Sułtan oddaje Ziemię Świętą.

— I dodaje nawet do niej Damietę. A ja chcę całej Deltę. Wszystkich portów! Wtedy dopiero Ziemia Święta będzie bezpieczna, islam zdruzgotany, a Państwo Kościelne wielkie... Wiesz, co oznacza wielkość Państwa Kościelnego? Potęgę i moc Kościoła.

— Tyle ludzi, tyle ludzi wymarło w Damiecie!

— To byli poganie.

— Właśnie. Umarli nie dowiedziawszy się o Chrystusie Panu. Zgubiliśmy ich dusze. Umierali z głodu. Działki maleńkie wysychały jak liść w suszę. Matki patrzyły na ich mękę, nim same umarły... Konali wszyscy długo, bez pociechy i nadziei. I to z winy chrześcijan! Chrześcijan! A teraz mają ginać dalej?!

Och, dosyć tego skomlenia! Legat z trudem powstrzymuje się, by nie wyrzucić jęczącego przygłupka. Powściąga się przez wzgląd na Ojca Świętego, który go poważa. A zmarły papież Innocenty w godzinie śmierci chciał mieć przy sobie tego biedaczynę. Zresztą kardynał Pelagiusz nie jest złym człowiekiem. Co czyni, czyni w dobrej wierze. Stara się więc uspokoić i oświecić nieboraka.

— Ofiary — poucza cierpliwie — muszą być, gdy chodzi o wielki cel...

— Kiedyż cel już osiągnięty!

Legat marszczy gęste brwi.

— Słuchaj, gdy mówię, żebraku. Jużem powiedział, że na to, by Ziemia Święta mogła być wolna i bezpieczna, należy osłabić islam, a wzmocnić Państwo Kościelne. Te bogate porty tutejsze, ta ziemia, nie będą niczyje, tylko papieskie, rozumiesz? Dzięki temu Ojciec święty stanie się panem równym najpotężniejszym cesarzom. Będzie mógł narzucać swoją wolę, nie liczyć się z nikim prócz Boga, ugiąć pyszne karki wielmożów, ustanowić się najwyższym rozjemcą spraw ziemskich. Nagradzać lub karać. To zwłaszcza. Kto się już dziś boi klątwy? Lecz gdy Stolica Apostolska rozporządzać będzie potężną armią i flotą, gdy bogactwo Egiptu zasili jej skarbiec...

Franciszek ukrył twarz w dłoniach z rozpaczą.

— Chrystus Pan nic nie posiadał i nie kazał Piotrowi zabiegać o potęgę ziemską!

— Ale go ustanowił opoką, a cóż jest opoką na ziemi, jeśli nie siła? Kazał mu żyć i działać między ludźmi, nie między aniołami. Przeto myśleć i budować trzeba po ludzku, po ziemsku...

— Kazał nam być doskonałymi jak On sam, i we wszystkim Go naśladować! A Ewangelia...

— Śmieszny marzycielu, który sądzisz, że słowami Ewangelii opanujesz świat! Ukrzyżowano by Kościół, jak ukrzyżowano Pana... Któż się dziś liczy ze słabym? Słaby nie zwalczy zła...

— Można jest słaby i niczego nie zwalczy. Bo zawsze znajdzie się możniejszy odeń, który go pokona i obali. Ten zaś, co w znaczeniu ziemskim nic nie ma i cały zdał się na Pana, jest niezwyciężony, bo Bóg stoi za nim...

— Bóg wspomaga tych, co sami sobie radzą, nie niedołęgów. Jesteśmy Kościołem zwycięskim i wojującym. Idziemy w przód, nie licząc się z ofiarami, uważając to za swój obowiązek. Pokonać wszystko, co nie chce myśleć według nakazów Kościoła. Zniszczyć pogaństwo, wywyżżyć wiarę prawdziwą!

— Zniszczyć pogaństwo, lecz nie pogan! — woła Franciszek z łkaniem. — To bracia nasi! Cóż byli winni? Nie słyszeli nigdy o Chrystusie Panu... Znali tylko swojego Proroka. Wierzyli

weń, jak umieli... Byli wśród nich dobrzy i niewinni ludzie. Opowiadano mi o dobroczynnym szejku Hussanie, co zamożnym będąc oddawał wszystko ubogim, i rozdał do ostatka, i umarł z głodu jak wszyscy...

Lecz Pelagiusz ma już dość tego gładzenia. Szkoda słów. Zresztą kapelan oznajmił przed chwilą, że szlachetny Bartłomiej Doria, podesta Genui, przybył do pałacu. Legat odprawia dłonią zapłakanego Franciszka. Podesta wchodzi. Jest jakby mniej świetny, mniej pewny siebie niż zwykle.

— Dowiedziałem się o odrzuconym poselstwie — zaczyna bez wstępu. — Co za szkoda, że nie przybyłem wcześniej odradzić tego kroku Waszej Dostojności!

— Uczyniłem, jak uważałem za stosowne — mówi wyniośle kardynał — i nie postąpiłbym inaczej.

— Wasza Dostojność! Otrzymałem przez swoich ludzi wiadomości, o których jeszcze sułtan nie wie... Nikt nie wie... Wiadomości ważne...

— Jakież to? Mówcie.

— Mongoły, niechając Bagdadu, kierują się na Ruś. Buńczuk wojny przed namiotem Subutaja został zatknięty po zachodniej stronie...

— Mongoły idą na Ruś!...

Nie wiedzieć przez kogo ta wiadomość przesącza się między rycerstwo. Nie wszyscy rozumieją jej groźne znaczenie. Najwięcej poruszony jest pan Dzierżek.

— Biada! — mówi. — Trzeba było legata przymusić, choćby bunt podnieść, ale pokój zawrzeć, Ziemię Świętą odzyskać i co prędzej do siebie wracać...

— A bo co? — pytają inni. — Ruś przecie także gdzieś w Azji? Nigdy o niej nie słyszelem... To jedno złe, że sułtanowi sfolgują...

— Ruś nie w Azji! Z Rusi na Węgry nie więcej niż cztery dni drogi, a z Polską granica jedna. Rusaki nasze sąsiady. Biada! Biada!

I choć tyle lat minęło, odkąd kraj opuścił, stanęły mu w oczach niby żywe spokojne, ukwiecone niwy, o których opowiadał niedawno Franciszkowi, i serce ścisnęło mu dojmujące przeczucie.

Rozdział dziewiąty

On cię zna...

Franciszek pożegnał czule braci Iluminata i Cezarego, którzy z płaczem prosili go, by został lub pozwolił im iść z nim razem, i poszedł spiesznie, głuchy na ich prośby. Szedł tak śmiało i spokojnie, że strażnikom sułtańskim nie przyszło na myśl zapytać go, jakim prawem idzie. W swej szarej, nędznej opończy, w chuście zawiązanej na głowie wyglądał jak derwisz albo obłąkany, a obłąkany jest dla muzułmanów święty. To przekonanie wzmagало się, gdy podchodził do nich i z życzliwym dziecinnym uśmiechem pytał: — Kairo? Malik (król)? Soldan (sułtan)? — jedyne słowa, jakie znał po arabsku. Śmiejąc się pokazywali mu kierunek i szedł, parząc sobie stopy o rozpaloną ziemię.

Soldan? Soldan?...

Nieskoro odbywał drogę. Tu fellach ostatkiem sił ciągnie swój kołowrót i trzebaż mu pomóc. Tam bawią się dzieci, piękne arabskie dzieci, oszpecone plastrami much obsiadających im oczy. Franciszek odgania muchy i pieści czarne jak smoła główiny. Mijają go oddziały Beduinów wałęsających się pod miastem w nadziei łupu. Ich sępie śniade twarze wyzierają spod czarnych lub białych chust, błyskając dziko białkami oczu. Nie przepuściliby żywym żadnego obcego, lecz nie zaczepią derwisza. Gdy patrzy na nich, uśmiechają się po swojemu, przykładając dłonie do ust na znak pozdrowienia. Ich drobne, lecz niewypowiedzianej urody konie podnoszą pył kopytami. Gdy przelecą, z chmury pyłu wyłania się cierpliwy osiołek przewodnik, prowadzący długi sznur pokracznych kołyszących się wielbłądów. Czarno odziane kobiety o zakrytym licu wracają od studni niosąc na głowie wielkie gliniane amfory. Franciszek patrzy na to wszystko z ciekawością. Zajmuje go każda rzecz, uśmiecha się do wszystkiego. Nie czuje się obcym, wrogim. Otaczający świat nie jest wprawdzie chrześcijańskim, lecz jest niemniej Bożym światem. Bóg go stworzył, a on czeka na Dobrą Nowinę. I Franciszek czuje gorącą chęć pozostania tutaj, wyuczenia się języka i opowiadania tym ludziom o Panu.

Na razie jednak umie tylko swoje dwa słowa: „Malik?! Soldan?!”, które wykrzykuje, ilekroć lęka się pomylić drogę.

Przed pałac sultański wolno przyjść każdemu derwiszowi, trudniej dostać się do wnętrza. Straże nie puszczają Franciszka. Wcale tym nie skłopotany, siada pod murem, wyciągając z ulgą obolałe nogi.

Właśnie sułtan wraca z przejażdżki. Ubiór jego i turban skrzą się od klejnotów, klejnotami natrzęsiony jest rząd konia i okrywający go czaprak. Gromada żebraków, derwiszów biegnie za koniem krzycząc i wyciągając ręce.

— Soldan! Soldan! — woła donośnie Franciszek.

Obca wymowa zwraca uwagę sułtana.

— Co to za człowiek? — pyta kłoniącego się przed nim dowódcę straży.

— O, Władco Wiernych, nie mający sobie równego! Jakiś ubogi pielgrzym spragniony widoku twojego oblicza. Przyszedł z daleka, spójrz na jego nogi. Przyszedł może z samej Mekki. Allah związał jego mowę i nie umie powiedzieć nic innego, tylko twoje imię.

Al-Kamil jest Ajubita, bratńcem wielkiego Sal-ed-Dina, przeto jak wszyscy jego rodu zna wcale niezłe łacinę, uważaną za konieczne dopełnienie wykształcenia władcy. Mierzy byстрым wzrokiem obcego wędrowca.

— Nie przyszedłeś wypadkiem, derwiszu, z chrześcijańskiego obozu?!

— Tak, o tak! — wykrzyknął Franciszek uradowany. — Przyszedłem stamtąd do ciebie, dostojny sułtanie.

— Domyśliłem się od razu. Ha, głupcy! — zwrócił się po arabsku do straży. — To giaur.

— Giaur?

Dwóch czauszów przyskakuje z boków. Nagie jatagany w zębach, drapieźnie wyciągnięte ręce. Sułtan wstrzymuje ich gestem.

— Niechajcie na razie, zważając tylko na każdy jego ruch. Chcę się dowiedzieć przedtem, po co przyszedł.

Czarny niewolnik zgina się wpół aż do samej ziemi. Sułtan stawia nogę na jego grzbiecie i zsiada z konia. Gdy wchodzi do pałacu, Franciszek idzie za nim. Tuż za Franciszkiem dwaj czausze z nożami w zębach. Sułtan układa się wygodnie na niskiej sofie. Franciszek siada naprzeciw na ziemi.

— Przysłano cię, byś mnie zabił lub z czarował? — pyta wzgardliwie al-Kamil.

Franciszek potrząsa głową.

— Zabić cię, panie sułtanie? O, nie! I nikt mnie nie przysłał. Sam przyszedłem.

— Po co? — W głowie sułtana błyska przypuszczenie, że to szpieg. Zdradzi zamiary Franków za złoto. — Mów, co masz do powiedzenia! Jeśli to będzie rzecz ważna, nagrodzę cię hojnie.

— Rzecz jest nadzwyczajnie ważna i wielkiej nagrody oczekuję od ciebie, dostojny sułtanie! Chciałbym, by ustała wojna. Prosiłem wczoraj naszego dostojnego wodza, legata Ojca Świętego, by zawarł pokój i położył koniec walkom. Bo serce nie może znieść tyle srogości i cierpliwość Pana naszego w końcu się przebierze. Dostojny legat nie chciał mnie słuchać, przyszedłem zatem do ciebie.

Z uczuciem zawodu al-Kamil spogląda na śmieszna, skulona na ziemi postać. Więc ani morderca, ani szpieg, tylko szaleniec? A może chytrze takiego udaje? Warto pytać dalej.

— Cóż ja mogę poradzić na upór waszego wodza? Powinienem może odstąpić Frankom cały Egipt i odejść z moim ludem na pustynię, by tam zginąć z głodu?

— To nie byłoby sprawiedliwe — odpowiada Franciszek poważnie. — Egipt jest waszym krajem, panie sułtanie, i nie powinien go wam nikt zabierać. Musisz jednak uczynić inną rzecz bardzo zbawienną i korzystną, a która także położy kres wojnie...

— Jakaż to rzecz? — pyta al-Kamil zaciekawiony

— Przyjąć wiarę chrześcijańską — objaśnia Franciszek z prostotą.

Sułtan parska śmiechem. Nikt z obecnych nie rozumie, o czym się toczy rozmowa, przeto ze zdziwieniem spoglądają na ten wybuch wesołości. Dobrze, że nie rozumieją. Gdyby tu ktoś znał łacinę. al-Kamil musiałby kazać zabić zuchwałego przybłędę ośmielającego się rzucać podobne bluźnierstwa. Ponieważ takiego nie ma, może spokojnie pofolgować swej ciekawości człowieka nieskończenie więcej złożonego od otaczających go janczarów i mameluków.

— Przyjąć chrześcijaństwo? — pyta przeciągle. — Ja doradzę coś lepszego: wy przyjmijcie islam, złożcie pokłon Prorokowi, a wojna się skończy również.

Z kolei Franciszek wybucha serdecznym śmiechem.

— Jakże by to mogło być, panie sułtanie, skoro nasza wiara jest prawdziwa, a wasza nie? Któż by lepsze zamienił na gorsze?

Znów słowa, jakich nie wolno powiedzieć w obecności prawowiernego muzułmanina. Mimo woli al-Kamil obiega wzrokiem twarze świty. A nuż ktoś zrozumiał? Lecz twarze są obojętne.

Uspokojony kiwa głową.

— Więc twoja wiara ma być prawdziwa, moja nie. Jakże mi tego dowiedziesz? Nie mogę odstąpić wiary ojców na zapewnienie lada jakiego przybłądy, co samojeden wymknął się z obozu!

To prawda. Franciszek uznaje słuszność tej uwagi. Trudno, by sułtan wierzył mu na słowo.

— Iście, najlichszym, najnędniejszym sługą Pana naszego. Przecie moc Jego tak wielka, że nawet przez równie marne jak ja narzędzie wspaniałość swoją, jeśli zechce, okazać potrafi...

— Niechże okazuje. Czekam.

Sułtan wyciągnął się wygodnie na poduszkach. Czuł się szczerze rozweselony. Przednia zabawa z tym szarakiem!

— Cóż mi twój Pan okaże? — powtórzył.

— Nasz Pan może uczynić wszystko, co zechce. Może sprawić, że ziemia rozstąpi się pod naszymi nogami lub niebo upadnie na głowy. Możesz, sułtanie, kazać rozpalić tu wielki ogień i wrzucić mnie weń, a On, jeśli zechce, sprawi, że wyjdę bez szwanku...

— Na Allacha! — rzekł sułtan przymrużając oczy. — Przychodzi mi ochota to uczynić...

— Uczyń zatem.

— Nie boisz się?

— Nie boję się, bo Pan mój jest nade mną i nic mnie nie spotka, czego by mi nie przeznaczył i na co bym nie zasłużył, a co przeznaczy, dostosuje do mych sił... Nie boję się, lecz proszę, dostojny sułtanie, i tak będzie sprawiedliwie, niech ze mną wejdzie jeden z twoich ludzi. I niech ten spłonie, którego wiara jest błędna, a niech ten wyjdzie, którego wiara jest dobra!

Sułtan obrócił się do otoczenia.

— Ten derwisz mnie zaciekawia. Powiada, że gotów wejść w ogień razem z jednym z nas i potykać się w ten sposób, która wiara lepsza. To mogłoby być zabawne... Nuże! Kto z was podejmie wyzwanie?

Słuchali z rosnącym niepokojem. Czy sułtan żartuje? Czy mówi poważnie? Usuwali się nieznacznie jeden za plecy drugiego.

— Władco Wiernych! — zawołał szejk al-Atir. — Nie jesteśmy derwiszami!

— Wołajcie zatem jakiego derwisza!

Dwóch niewolników pobiegło pędem. Sułtan spojrział na Franciszka trzymającego beztrąsko w dłoniach swoje chude, zdarte pięty.

— Derwisze za chwilę przyjdą. Nie wolno ci się już cofnąć.

— Nie cofnę się. Będę szczęśliwy, jeżeli podobna próba przekona cię, panie sułtanie.

— Możesz spłonąć.

— Mogę. To będzie znaczyło, że Pan nasz chce cię oświecić w inny sposób, bez mojego mizernego pośrednictwa.

— Życia przez to nie odzyskasz.

— Pan nasz w swoim miłosierdziu da mi życie wieczne, bo dla Jego chwały zginę.

— Niemilo będzie przedtem skręcać się w płomieniach, co?

— Pan nasz gorzej za nas cierpiał. Pocierpię i ja dla Niego.

— Wasz Bóg cierpiał? — sułtan podniósł brwi wzgardliwie, zgorzony.

— O, cierpiał bardzo. Więcej niż wytrzymać można, i za to tak Go miłujem. Któż by inny to uczynił?! On, Bóg, Pan wszystkiego, życie swoje za nas dał, choroby na siebie wziął, bóle nasze On odnosił, zraniony był za złości nasze, starty na proch za nieprawości nasze, a sinością Jego zostaliśmy uzdrowieni... Dlatego musimy Go miłować więcej niż wszystko na świecie. Matka ku dzieciom takiej miłości nie ma jak On ku nam, grzesznym ludziom!

— Słuszna w takim razie, że Go miłujecie. Dlaczego jednak mam weń wierzyć ja, dla którego On nic nie uczynił?

Franciszek zaniemówił z wrażenia.

— To samo uczynił, co dla każdego z nas! — zawołał.

— Ale ja nic o Nim nie wiem.

— On za to wie o tobie, sułtanie. I miłuje cię.

— Mnie?!

— Jesteś Jego dziełem. Jego dzieckiem ukochanym... Bo nie ma w Jego oczach lepszych ni gorszych. Każdy jednako prochem... Ty go nie znasz, a On cię zna. Rozeznał cię, nimeś był w nasieniu ojca i w zawiązku matki twojej. Strzeże każdego kroku. Włos ci bez Jego woli nie spadnie z głowy. Patrzy na cię. Możesz się w każdej chwili uciec pod Jego opiekę...

Mówił z takim przekonaniem, że sułtan poczuł się zakłopotany i odwrócił oczy. Powiół pytającym spojrzeniem dookoła.

— Gdzie ci derwisze?

— Niewolnicy jeszcze nie wrócili. Widno szukają...

— Szukają? Derwiszów zawsze kupy leżą przed pałacem!

Ziewnął pozornie niedbale i wrócił do przerwanej rozmowy.

— Czegóż wymaga od was Bóg za swe dobrodziejstwa?

— Nic poza tym, byśmy Go miłowali i starali się stać do Niego podobni... Więc każe miłować każdego człowieka jak brata. I wszystkim się dzielić, i niczyjej krzywdy nie chcieć, i dziękować za wszystko, co z ręki Jego pochodzi...

— Powiadano mi nieraz — przerwał sułtan opierając się na łokciu — że nieśmiertelnej chwały synowie Ajuba mieli wychowawcę, którego matka była chrześcijanką. Ta niewiasta mówiła pono o waszej wierze i wyznawcach rzeczy podobne jak ty. Złudzeni tymi opowiadaniem, stary emir al-Bara (tak się zwał ten wychowawca) i chwalebni synowie Ajuba żywili przyjaźń dla chrześcijan. Szukali w nich cnót zapowiadanych przez ową branę jako cechy waszej wiary. Nie znaleźli ich nigdy. Chrześcijanie są wiarołomni, okrutni, a między sobą gryzą się jak psy. Są chciwi i nierzetelni. W pysze nikt im nie dorówna. I przekonali się emir i jego uczniowie, że opowiadania były obłudą zrodzoną z tęsknoty, gdyż owej niewieście cniło się za krajem. Teraz ty przychodzisz opowiadać mi podobne bajki...

— Niewiasta, o której mówisz, sułtanie — niech Bóg błogosławi jej duszę! — mówiła prawdę. Prawdziwe są też i moje słowa. Zdarzają się zli chrześcijanie, gdyż natura ludzka jest słaba i skłonna do grzechu. Ale mimo grzechów i błędów Pan raczy przez nich przejawiać swą wolę i sprawiać swoje zamiary czasem nawet wbrew ich woli. Bo potęga Jego nie ma granic, równie jak miłosierdzie. I za Jego sprawą człowiek najgorszy, wiarołomny i chciwy, i niczemny może się przedzierać w bohatera i świętego. I to nigdzie nie jest możliwe, tylko w chrześcijaństwie!

Urwał, bo zdyszany niewolnik wszedł do komnaty i padł, zgodnie ze zwyczajem, na twarz przed sułtanem.

— O Władco Wiernych, nie ma derwiszów — wyjąkał. — Nie chcieli przyjść, uciekli...

— Kazałem przyprowadzić nie pytając ich o zdanie! — syknął gniewnie sułtan. — Zasłużyłeś, by ciebie wrzucono do ognia! Gdzie tamten? Czy równie się sprawił?

Właśnie drugi niewolnik nadchodził. Był szczęśliwszy, gdyż włókł, a raczej pchał przed sobą opierającego się derwisza w dziwacznej słomianej czapie, wpółnagiętego i obrosłego kudłami.

— Oto jest, Władco Wiernych! — niewolnik miotnął nim jak ścierwem do stóp pana. Człowiek upadł na twarz i leżał nieruchomo, jęcząc.

— Wstań, psie! — warknął sułtan ze złością. — Ten niewierny chce potykać się próbą ognia o to, która wiara lepsza. Rozkazuję, byś mu stawiał czoło.

— Ubij mnie raczej, Władco Wiernych, ubij od razu, nie skazuj niewinnego na męki!

— Dlaczego on się nie boi?

— To czarodziej, Władco Wiernych! Zaczaruje płomień, który go nie dotknie, spali tylko twego sługę!

Sułtan spojrział podejrzliwie na Franciszka.

— Nie chce wejść z tobą w ogień, obawiając się, że jesteś czarodziejem...

— Nie jestem czarodziejem — odparł wesoło Franciszek. — Jeżeli zaś on nim jest, nie dbam o to. Bo Pan nasz jest mocniejszy nad wszystkie czary. Cóż może czar przeciw Niemu? Czy wasz Bóg nie jest silniejszy od czarnoksiężników?

Sułtan zaczerwienił się i kopnął nogą leżącego bezwładnie derwisza.

— Wstawaj i daj świadectwo wielkości Proroka!

Ale człowiek nie oderwał twarzy od ziemi, skomląc przy tym tak żałośnie, że zniecierpliwiony sułtan kazał go wyrzucić z komnaty. Wyzwolony uciekł chyżo, klaskając tylko sandałami o marmurową posadzkę dziedzińca.

Al-Kamil powiódł złym wzrokiem.

— Ten obcy — rzekł po arabsku — będzie urągał nam i Prorokowi. Podłe tchórze, czyż żaden z was się nie odważy?

— Władco Wiernych — westchnął blady jak trup szejk al-Atir — to czarodziej niewątpliwie. Lepiej uciąć mu głowę od razu. Jeżeli jego Bóg jest potężniejszy, niech ostrze topora odskoczy od jego szyi...

— Potrafię mu kazać łeb ściąć i bez twojej rady. To niczego nie dowiedzie. Chcę, żeby się przekonał, iż równie mocna jest nasza wiara jako jego...

— O Władco Wiernych, Ulubieńcze Proroka, każdy z nas jest dobrym wyznawcą! Zginieśmy z radością na świętej wojnie, jak Prorok przykazał. Nie lękaliśmy się też i płomieni. Obawiamy się jednak, że jeżeli na skutek czarów tego giaura wierny wyznawca spłonie, a niewierny wyjdzie cało, wiara prawdziwa będzie pohańbiona... Na czarach zaś się nie znamy. Jesteśmy wojownikami. Gdyby tu był świątobliwy Ibn Giuzi lub dobroczynny szejk Hassan, który zmarł w Damiecie...

...Ibn Giuzi, wielki mufti... Al-Kamil ujrzał przed sobą spokojną, siwobrodą postać... Nie, on by też nie poszedł w ogień — pomyślał — jest na to zbyt mądry, zbyt uczony...

— Czym się to dzieje, że moi się boją, a ty nie?! — krzyknął z gniewem do Franciszka.

— Zapewne dlatego, panie sułtanie, że ja w i e m , iż mam słuszość. Mocniej też widocznie ufał w miłosierdzie Pana.

— Nie chcę tej próby — rzekł sułtan nagle. — Możesz odejść.

— Nie odejdę, dostojny sułtanie, póki nie obiecasz, że spełnisz mą prośbę.

— Jaką?

— Że poznasz Pana naszego, a poznawszy przyjmiesz Go.

Al-Kamil roześmiał się chrapliwie.

— Biedny szaleńcze! Gdyby ktokolwiek z moich ludzi rozumiał, co mówisz, rozdarliby cię na strzępy, nimbym ich zatrzymał! Obiecać ci mogę jedno: jeżeli poznam więcej chrześcijan takich jak ty, jeżeli ich poznam stu, nie, dziesięciu, czy słyszysz, jeżeli poznam dziesięciu, zmienię swe zdanie o twoich współbraciach!

Franciszek się zafrasował.

— Dostojny panie sułtanie, to będzie trudno, bo naprawdę takich marnych i głupich stworzeń jak ja niełatwo znaleźć więcej w obozie!

— Domyślam się, że niełatwo. Możesz iść. Odchodzisz jak dziecko nieświadome, że trzymało głowę w paszczy lwa. Bo przysiągłem nienawiść Frankom i wydałem rozkazy, by żaden nie zbliżył się tu i nie odszedł żywy! Ciebie nie tylko puszczam wolno, ale chcę obdarzyć. Anim się spostrzegł, jak na rozmowie z tobą minęły dwie godziny. Czas mój zazwyczaj powoli się wlecze, przeto wdzięczny za rozrywkę dam ci złota, ile dżwigniesz.

Franciszek podniósł ręce z przest్రachem.

— Złota! Na cóż mi ono, sułtanie? Ja nie potrzebuję złota!

— Nie potrzebujesz?! Nie chcesz?! Pierwszy raz widzę takiego giaura!

Zwrócił się do swoich ludzi:

— Ten niewierny nie chce złota!

— Czarodziej. Sam je sobie robi — mruknął szejk.

Franciszek przyglądał się im z uśmiechem.

— Panie sułtanie! Nie chcę złota, ale daj mi, proszę, inny cenny dar: pozwól iść zwiedzić miejsca, w których przebywała Najświętsza Panienska Maryja z Dzieciątkiem!

Al-Kamil zamyślił się.

— Słyszałem istotnie, że Kopty czczą drzewo i źródło, przy których siedziała Miriam, matka Proroka Jezusa. Zgadzam się. Możesz tam iść. Możesz chodzić wszędzie, gdzie chcesz. Dam ci sznur z moją pieczęcią. Z tym znakiem wejdiesz bezpiecznie nawet do Jerozolimy.

Franciszek skoczył z radości na nogi.

— Bóg ci zapłać, panie sułtanie! Bóg ci zapłać! Jakże się cieszę! Zaraz tam pojedę! Al-Kamil przyglądał mu się spod oka z nieokreślonym wyrazem.

— Tu pod Kairem zasieką cię niewątpliwie, spostrzegłszy, żeś jest giaurem. Dam ci więc niewolnika dla ochrony. On ci wskaże również miejsca poważane przez Koptów. Potem odprowadzi cię do przednich straży Franków i wróci do mnie. Pamiętaj, że niewolnik jest moją własnością i musisz mi go odesłać.

— Oczywiście, panie sułtanie. Nie wiem jednak, na co potrzebny brat niewolnik... Nie zabito mnie dotychczas, nie zabiją mnie i nadal, jeśli Pan nasz chce mnie zachować przy życiu.

— Niewolnik pójdzie — rzekł sułtan — i wróci.

Zwrócił się do al-Atira:

— Każ zawołać którego z jeńców chrześcijańskich. Ciekawym, czy go odeśle...

Szejk wytrzeszczył oczy.

— Niewolnik zbiegnie do swoich, Władco Wiernych! Szkoda tracić robotnika!

— Czyń, jak kazałem.

Nie minęła chwila, a do komnaty wsunął się szaro odziany, wynędzniały człowiek. Franciszek spojrzał nań i osłupiał. Wyciągnął ręce przed siebie. Ten biedak wychudły, postarzały, brodaty, z głową przekrzywioną i szyją obdartą od zakładania upręży, toż to ów dawny brat, towarzysz, odstępcą, jak dziecko spragniony cudów, wrażliwy na słońce, toż to przecie Jan a Capello!

— Braciszku! — zawołał z wybuchem. — Braciszku!

Niewolnik nie odrzekł nic. Łzy leciały mu po twarzy, lecz stał nieruchomo, bojąc się najmniejszym ruchem wywołać niezadowolenie swych panów. Sułtan przyglądał się obu z szyderym uśmiechem.

— Widzę, że się znacie — rzekł. — Tym lepiej. To mój niewolnik, derwiszu. Będzie ci towarzyszył jako przewodnik, po czym odprowadzi do pierwszych straży Franków i powróci do mnie. Tu masz mój znak. Otworzy ci wszystkie wrota. Możecie już iść.

Rozdział dziesiąty

Tajemnica sfinksa

Ruiny starożytnego miasta Heliopolis, którego Kair, obecna stolica sułtana, był niegdyś nędznym przedmieściem, ciągnęły się szeroko i daleko bezładnym rumowiem. Ani jeden budynek nie uchował się cały, i tylko pozostały dwurząd obelisków, prostych, bodących niebo jak wzniesione palce Ziemi, ciągnął się w próżnię nie wiodąc do nikąd. W gruzach leżała wielka świątynia Amona, dla której ozdoby i świetności wzniesiono je przed wiekami; zapomniane były bogi Izyda, Ozyrys i Ra. Na końcu alei kamiennych olbrzymów sterczało samotne drzewo, węzłasta pokręcona sykomora. Była stara nieomal jak one, uboga w liście, otoczona kłębamii korzeni, które zdawały się wyrastać na wierzch, nie mogąc już zmieścić się w wypełnionej nimi glebie. W zagłębieniu tych garbów, plecami wsparty o chropawą korę drzewa, Franciszek siedział patrząc przed siebie w zadumie. Sieć gałęzi rozpiniała się nad jego głową jak ciemny pleciony namiot. Konary te zdawały się tak krzepkie w sędziwości swojej, że można było przypuszczać, iż nie zmieniły się wiele od czasów, gdy spoczywało tu Zbawienie świata. Była to bowiem ona święta sykomora zwana Drzewem Dziewicy. I spoglądając na nią z szacunkiem Franciszek uprzytamniał sobie, że nic obecnie nie stoi na przeszkodzie, by pojechał do Ziemi Świętej. Że niezadługo znajdzie się tam i swymi oczami zobaczy miejsca, gdzie Najświętsza Rodzina nie tylko jak tu przygodnie odpoczywała, lecz gdzie żyła, pracowała i cierpiała. Ileż tam Łaski nagromadzonej trwa! Jak się tam duszy oddycha! Z cudu Odkupienia nic wszak nie mogło zostać uronione, i skarb zasług niepojęty tkwi niewidzialny w przestrzeni. Można zeń czerpać i czerpać, a on się nie zmniejsza...

— Cudowne są dzieje świata — rzekł z przekonaniem.

Słowa były skierowane do siedzącego obok niewolnika sułtańskiego, zwanego niegdyś Janem a Capello. Ten wstrząsnął się i podniósł oczy.

— Okropne są, okropne i przekłete — odparł.

Franciszek pogładził jego zmierzwioną, wynędzniałą głowę.

— Zależy od tego, czy się na nie patrzy od strony naszej słabości i naszych uczynków, czy miłosierdzia Bożego. Ulżyj twej goryczy, bracie. Opowiedz mi wszystko, co się działo z tobą, od czasu gdyśmy się ostatni raz widzieli...

— Wolałbym nie opowiadać — mruknął Jan niechętnie. — Cóż, rzuciłem was. Dałem się namówić diabłu. Bo to był na pewno diabeł. Ty znów zanadto wiele wymagałeś. Może bym nie

odszedł, żeby było inaczej... Kazałeś ustawicznie cieszyć się wszystkim i wszystko podziwiać, a tymczasem wszystko wkoło nas było takie szare, biedne, takie pospolite! Czy po dawnemu nie pozwalasz braciom nic posiadać, nie mieć żadnych zapasów i każesz im żyć bezdomnie?

— Jakże mógłbym to zmienić, braciszku, skoro Chrystus tak nakazał postępować, a On słów swoich nie zmieni...

— I zostali wszyscy?

— Przybyło ich bardzo wielu. Jest nas już więcej niż pół tysiąca...

— Dziwne, dziwne... Tak było ciężko... A najgorsza ta pospolitość. I że nie pozwalałeś nigdy mówić o żadnych cudach. Ani ich chciałeś pokazać. O, nie przerywaj. Franciszku! Robisz cuda. Czyż nie zaczarowałeś sułtana? Ty zaczarujesz każdego. Wierzyć się nie chce, że chrześcijanin przyszedł do Kairu i odszedł nie tylko żywy, lecz zaszczycony pieczęcią sułtańską. Taki firman — bo to się firman nazywa — bardzo rzadko komu dają. To wielka rzecz. W każdym grodzie możesz z nim iść do emira albo do kadiego, czyli po naszymu burmistrza, i żądać, czego chcesz: wydania miasta, skarbu, niewolników — a oni muszą posłuchać. I ty to dostałeś! Mógłbyś pójść i kazać uwolnić wszystkich jeńców chrześcijańskich, wziętych w czasie trzeciej krucjaty, pracujących teraz w Kairze przy budowie meczetu El Sultan kalaun... Uczynisz to chyba, Franciszku?...

— Nie uczynię. Nadużyłbym zaufania sułtana. Mogę tylko wrócić do niego i prosić, by ich odpuścił...

— Ale nie każesz chyba... mnie?

Jan spojrział w twarz Franciszka z niepokojem. Tamten uśmiechnął się.

— Bardzo ci tu było źle?

— Piekło, piekło... Boże, co za piekło!

— Nie zostaniesz w nim zatem... A teraz opowiedz dalej. Z owych dzieciątek nie uratowało się żadne? Nie można by jeszcze którego odnaleźć?

— Nie przypominaj tych dzieci. Toć ja je namawiałem. Do mnie wołały: „Ratuj!” Cztery galery zatoneły, jak pewno wiecie. Jedna, na której byłem, ocalała... Bodajby ją morze wchłonęło z tamtymi! Wysadzono nas na ląd. Wnet się rozpoczęła bójka między kupcami, co tam już na nas czekali. Bo wysłańcy Starca z Gór, który wielkie pieniądze Wenecjanom naprzód za dzieci dał, wołali, że wszyscy chłopcy uratowani do niego należą, a inni powiadali, że mają iść do podziału. Bili się między sobą i szarpali dzieci. Dzieci płakały. Nocą kilkoro z nich próbowało uciec. Chwycono je i bito okrutnie. Słyszając jęki chłostanych, mała Marita skoczyła ze strachu do morza i utonęła. Na koniec porozdzielano je i zabrano... Stałem tam do ostatka. Wołały: „Gdzie

archanioł Gabriel?! Dlaczego nie przychodzi?!” Tego wołania nigdy nie zapomnę. Nie wiem, co się z nimi później stało... Jeżeli jeszcze żyją, to gdzieś daleko, gdzie nikt o nich nie wie prócz Boga... Dlaczego Bóg tak dopuścił? Dlaczego ich nie ocalił? Jestem potępiony, Franciszku, bo zważyłem o sprawiedliwości Bożej...

— Ej, bracie, sam się do ich niedoli przyczyniłeś, a Boga winisz?

— Dlaczego... dlaczego... dopuścił? Jestem potępiony... — łkał Jan.

— Na potępienie zasługuje każdy z nas, ale miłosierdzie czuwa... I gdziekolwiek znajdują się te dzieciątka, Bóg jest z nimi.

— Gdybym mógł zapomnieć! Teraz znów trudno mi uwierzyć, że nareszcie będę wolny... Wolałbym, abyśmy już nie szli nigdzie indziej, lecz wprost zdążali do Damiety. Drzę, że sułtan się rozmyśli, że wyśle za nami pogoń nie widząc mnie powracającego...

— Ja powrócę zamiast ciebie, więc pogoni nie wyśle...

— Ty?! Za mnie?!

— Jeden musi przecież wrócić. Dostyc się nacierpiałeś, bracie. Słusznie ci się wolność należy.

— Ja nie chcę, żebyś za mnie zostawał! — krzyknął Jan.

— Nie chcę! Dlaczego nie możemy wrócić obaj?!

— Bo sułtan nam zawierzył.

— On to umyślnie zrobił. Widziałem, jak się uśmiechał ten diabeł!

— Tym bardziej nie możemy ulec pokusie.

— Przecież ty nie możesz zostać! Co poczną bez ciebie bracia?! Ty jesteś potrzebny! A ja... ja też nie mogę. Nie mogę... Gdybyś wiedział! Ta poniewierka, ta nędza, ta ustawiczna praca... Ja bym niedługo oszalał.

— Toteż powrócisz do swoich, braciszku. A o mnie się nie troszcz. Bracia dadzą sobie radę. Mnie i tak zbyt dobrze dzieje się na świecie i szczęśliwy będę mogąc trochę pocierpieć dla Pana naszego. Wyuczę się tutejszej mowy i będę o Nim opowiadał... Wszędzie człowiek może być pożyteczny i zadowolony...

Jan rozplakał się w głos jak dziecko.

— Ja nie chcę! Wracajmy razem!

— Sam wiesz, że to niemożliwe. Próżno mówić o tym dłużej. Chodź, napijemy się jeszcze wody ze źródła Panny Najświętszej. Potem chciałbym pójść na tamtą stronę zobaczyć owe

wielkie piramidy, o których opowiadał kiedyś astrolog królewski. Przy nich stoi pono figura Sfinksa, który jest zagadką ziemi?

— Widziałem go nieraz — odparł Jan obojętny i zrozpaczony. — Wielki jak góra. Arabowie zowią go Abu-Hol, co znaczy Ojciec Grozy. Wykuły go podobno demony i demony w nim mieszkają. To musi być prawda. Uśmiecha się, jakby natrzęsając się ze wszystkiego. Tylko szatan może się tak uśmiechać. Przechodziłem tamtędy, ciągnąc z innymi kamienie, i zawsze ciężar zdawał mi się wtedy jeszcze nieznośniejszy, a szleja wrzynała się głębiej... Odwracałem głowę, żeby go nie widzieć...

Urwał i z nagłą rozpaczą wykrzyknął:

— Ja nie chcę zostać! Nie zostanę!

— Jużem ci rzekł, że nie zostaniesz.

— Ale ja nie mogę przystać na tę cenę...

— Cena jest bardzo mizerna, a ja, jak widzisz, nie krzywduję sobie wcale. Bałbym się niewolnictwa, gdy nie obawiam się czyścica, który mnie niechybnie czeka?

Ale Jan był niepocieszony, i gdy obmywszy się przy źródle ruszyli ku Gizeh, włókł się ciężko, przygnieciony myślami. Franciszek co chwila obracał się ku niemu pytając z żywością o to lub owo. Odpowiadał półgębkiem, nie bardzo wiedząc, co mówi. Ręką dotykał sułtańskiego firmanu, bo Franciszek jemu powierzył znak drogocenny, brzydząc się jego dotknięciem Teraz ty go miej, a potem poproszę brata Iluminata, który pewno ze mną do Jerozolimy pojedzie, żeby go nosił — mówił.

Firman składał się z zielonego jedwabnego sznura zakończonego chwastami, przejętego w połowie złotą pieczęcią.

Jan myślał: Mógłbym z nim uciec i zrobić, co chcę. Mógłbym do swoich wrócić z bogactwami albo uwolnić jeńców... Franciszek był i jest szaleńcem. Głupi by się z nim liczył. Głupi by nie wykorzystał tego firmanu dla dobra swego i drugich. Jeżeli teraz zawrócę, nie będzie na pewno usiłował mnie gonić. Stanie tylko i będzie patrzył. Będzie patrzył... Nie wytrzymam tego spojrzenia. Poczekam lepiej, aż zaśnie. Sypia pewno jak dawniej beztrosko i mocno.

Tak myślał, a mrok wkoło nich zapadał. Nadeszła chwila między zachodem słońca a wzejściem księżyca, że stało się całkiem ciemno i cicho, i słyhać było jedynie szakale nawołujące się w krzakach. Razem z mrokiem spadł na ziemię przenikliwy chłód, tylko piasek, sujący się miałko pod nogami, zachował jeszcze ciepło dnia i grzał bosc stopy.

...Ucieknę — postanawiał Jan. — Franciszkowi nic się złego nie stanie. Będzie się po swojemu uśmiechał w niewoli. Zbity lub sponiewierany, powie, że to dobrze, bo na nic lepszego nie zasłużył. Czyż go nie znam? Zresztą niech się jeno zdoła porozumieć, zaraz pozyska sobie wszystkich. Kto wie, może nawet stary Mahmud dozorca, ponury okrutnik, zmieni się pod jego wpływem? Lecz co poczną bez niego bracia? Bracia?! Co powiedzą, gdy powrócę ja na miejsce Franciszka? Ech, nie potrzebują przecież wiedzieć. Kto im powie? Ja szukać ich nie będę... — postanawiał.

...Lecz jeśli sułtan zwolni Franciszka pomimo ucieczki Jana, jeżeli spotkają się w Damiecie? Co wtedy? Wiadomo. Franciszek wyciągnie ręce i zawoła serdecznie jak zwykle: „Braciszku!...” Nie, nie, to nie do zniesienia!

...Ach, dlaczego te trudności?! Dlaczego nie mogą spokojnie wrócić do swoich razem?

Powtórzył głośno to pytanie. Franciszek obrócił się ku niemu.

— Bo to byłoby nieuczciwie.

— Uczciwość nie obowiązuje względem poganina i wroga!

— Kto ci to powiedział?! Uczciwość obowiązuje zawsze. To Boży nakaz.

— Ile razy najlepsi ludzie uciekają się do wybiegów, by osiągnąć jakiś dobry cel!

— Zapewniam cię, że go wtedy nie osiągają. Oddalają go od siebie. Pan nasz nie uznaje złych środków. Droga jest zawsze tylko jedna. Prosta.

Jan chciał zaprzeczyć, lecz wspomniał chwilę, gdy Robert ukradł ojcu denara, a Mikołaj go za to pochwalił, zapewniając, że każdy środek jest godziwy, gdy chodzi o dobry cel. Więc zamilkł.

— Według ciebie grzechem jest nawet usiłować uciec z niewoli?! — zawołał z urazą.

— Ależ bynajmniej. Sam bym pewnie starał się uciec. Nie wtedy jednak, gdybym obiecał, że tego nie zrobię...

I znów szli. Miesiąc wytoczył się czerwony, wielki. Pomału z czerwonego stał się złoty a świetlisty i zalał blaskiem okolicę. Franciszek przystanął nagle.

— To on? — zapytał.

— Tak, to on — odparł Jan ścisząc mimo woli głos. — Ojciec Grozy.

Potężne zbocza piramid jakby cofnęły się dalej, błyszcząc granitową powierzchnią w poświacie księżyca, a na ich tle wyrastała kamienna głowa, niepodobna do żadnej innej na

świecie. Piasek pustyni zasypał ją prawie po szyję, linia grzbietu zaledwie rysowała się nad wydmą.

— Powiadają — szeptał Jan — że pod piaskiem jest cały. Piersi, łapy... Wiatr go zasypał. Straszno tu stać, bo zdarza się podobno, że przemawia. Nikt nie rozumie jego słów, ale ludzie umierają z trwogi na samą myśl, że zagadałby do nich. Chodźmy stąd. Patrz, to są piramidy... A te koleiny to my, jeńcy, wyłobiliśmy ciągnąc kamienie spod tamtej trzeciej. Bo będzie temu podobno pięćdziesiąt lat, gdy sułtan Otman chciał je rozebrać. Od najmniejszej zaczął. Tysiąc ludzi pracowało przez osiem miesięcy. Wywalili takie kupy kamieni, że świata za nimi nie było widać. Sułtan przyjechał i widząc to był zadowolony. Aż podniósł głowę do góry i patrzy, a piramida stoi, jak stała, trochę tylko z jednego boku podrapana... O, widzisz tam tę rysę? To to właśnie. Sułtan zawstydził się i kazał roboty zaprzestać. A te kamienie, co wtedy zwalono, że obrobione i gładkie, trzeba wlec do Kairu do budowy. Chodźmy, bo niemiło tu stać...

— Przeciwnie, tu jest pięknie i nierad bym tak skoro odchodzić — odparł Franciszek. — Musimy gdzieś przenocować. Można by tutaj.

— Franciszku! — zawołał Jan z przestachem. — Wierz mi, że każdy muzułmanin wolałby raczej spędzić noc na Skale Żurawi niż tu!

— Cóż to za Skala Żurawi?

— Po tamtej stronie Nilu. W dzień można ją stąd dojrzeć. Zowie się Gebel el-Tair. Jest w niej szczelina, w której jak w tym Sfinksie mieszkają szatany. Raz do roku zlatują się na skałę żurawie, czaple i bociany z całego kraju. Póty krążą nad nią jęcząc i kracząc, aż szczelina pochłonie jednego ptaka, a wtedy reszta odlatuje wyzwolona. Ludzie boją się przechodzić nocą koło Gebel el-Tair. Woleliby jednak w owej szczelinie nocować niż tu w cieniu Ojca Grozy!...

— Muzułmanie, nieboraki, muszą się lękać, a my nie. Siostrzyczki gwiazdy jak pięknie świecą nad nami! Niby namiot okrywa nas Boża przytomność. I nie masz chyba, bracie, na ziemi miejsca, gdzie by chrześcijanin musiał się czuć osamotniony!

— Słuchając cię — zauważył Jan z przekąsem — można by myśleć, że szatana nie ma wcale na świecie...

— Oj, jest, jest! Płacze się wszędy. Jedno nic zdziałać nie może, gdzie Boska opieka...

I nie zważając na opór i strach towarzysza, wybrał na nocleg zagłębienie w piasku. Legli w nim obaj, przytulając się do siebie, bo zimno stawało się coraz dotkliwsze. Mimo bliskości ciał myśli ich były różne i dalekie. Jan toczył w głowie zagadnienie niewoli, Franciszek nie odrywał oczu od wznoszącego się nad nimi Sfinksa. Sfinks... Jakie dziwne słowo! Astrolog mówił, że

oznacza tajemnicę lub zagadkę. Iście, wygląda, jakby wiedział coś, o czym nikt nie wie. Miesiąc żeglował po niebie, skracając lub wydłużając na kamiennym licu cienie, i mogło się zdawać, że olbrzym żyje i za chwilę przemówi.

...On czeka na coś — myślał Franciszek — unosi głowę do góry i spogląda czujnie. Uśmiecha się, bo jest pewien, że oczekiwane nadejdzie. Ale na co czeka, na co?

...Muzułmanie twierdzą, że zrobili go demony i że demonem jest sam...

...Błękitna postać niewieścia z Dzieciątkiem w ramionach przechodziła przez te piaski przed wiekami i może Jej powrotu oczekuje kamienne oblicze? Bo Ona ma wyprosić dla wszystkich zbawienie...

Przymknął oczy przed natłokiem obrazów. Przypomniała mu się stara, powszechnie znana gadka, że diabeł nigdy nie wymaga od zaprzędanego mu duszę człowieka, aby się wyrzekł Najświętszej Pani, bo liczy, że Ona kiedyś wstawi się za nim i wyjedna mu przebaczenie. I myśli jego poszybowały z przerażającą szybkością skroś czasów. Zwidziało mu się cudne marzenie. Acz wiedział, że jest tylko marzeniem, nie mógł się odeń oderwać. Oto zbliża się kres świata. Gwiazdy przeżyły już swój wiek i zgasły. Dzieje się straszliwy Sąd. A gdy już Sąd dokonany, Maryja osłania płaszczem wszystkich potępionych, piekło razem z szatanami i prosi:

— Daruj im, daruj! W żywociem Ciebie nosiła, więc mi nie możesz odmówić!

— Przekłęci są — odpowiada Chrystus. — Zaparli się mnie, Boga, przetom i ja się ich zaparł!

A Maryja na to:

— Mnie się nigdy nie zaparli, a kto wierzy w Matkę, wierzy w Syna.

I Chrystus skinie łaskawie głową i próżne stanie się piekło, wypełnione niebo. I przestanie istnieć Zło... Nie będzie Zła!... Na tę myśl porwało go uniesienie. Ogarnęła chęć wyskoczyć z kotliny, w której leżeli, i tańczyć, i śpiewać. Szczerze zapragnął ujrzeć przed sobą szatana, przemówić doń słowami świętego Marcina:

— Bracie szatanie, i ty możesz być zbawionym!

...Nie będzie Zła... Natura stanie się świętą i czystą, jak była niegdyś przed upadkiem. Natura... Nie onaż to uśmiecha się kamiennymi ustami, patrząc w dal ponad pustynią? A nie uśmiechaż się dlatego właśnie, że o swoim przyszłym wyzwoleniu wie i że na nie czeka?... Tylko poganin mógł nazwać Sfinksa demonem lub dziełem demona... Demon to rozterka i niepokój, a on tchnie spokojem. Nie demonem jest, lecz Istotą Ziemi, Przyrodą samą, przez grzechy ludzkie

skalaną, sponiewieraną, niewolną, przecie uśmiechającą się w poczuciu swej nieśmiertelnej świętości. A tajemnica Sfinksa to przekonanie o ostatecznym zbawieniu...

I Franciszek, który wszelkie stworzenie miłował tak, że serce mu się ścisnęło, gdy płomyk łuczywa gasł, poczuł niewymowną radość. Wezbrała w nim, przelała się aż po brzegi. Niezdolny słowa przemówić, wyciągnął ku kamiennemu olbrzymowi ręce w poczuciu braterstwa i wspólnej nadziei...

Zdziwiony tym ruchem, Jan podniósł głowę i przeraził się. Wydało mu się, że uśmiech dobrego brata Franciszka jest odbiciem wszystkowiedzącego uśmiechu Sfinksa.

— Oto już widać naszych — rzekł Franciszek ze zwykłą pogodą. — To namioty ludzi pana Szymona de Joinville, na którego wypada w tym miesiącu pora stróżowania. Całe wojsko rozmieszczone jest w grodzie, lecz część stoi zawsze tutaj, dając baczenie na okolicę. Żegnaj, bracie, bracie. Niech cię Pan nasz strzeże i darzy pokojem. Jeśli zobaczysz braci Iluminata i Cezarego, pozdrów ich ode mnie i powiedz, że proszę, by pracowali nadal jak obecnie. Oni bardzo wiele robią, o wiele więcej niż ja, którym się tylko wałęsał w ostatnich czasach. Brat Iluminat aż ochrypl od mówienia kazań...

— Wyobrażam sobie, jak mnie przyjmą — mruknął gniewnie Jan.

— Czy mogą cię przyjąć inaczej niż brata? Pan nasz niech cię strzeże! Żegnaj!

— Nie odchodź jeszcze! — krzyknął Jan chwytając go rozpaczliwie za rękę.

Wpatrzył się w bielejące niedaleko namioty, w powiewające nad nimi znaki chorągwi. Tak, to są chrześcijanie, Latyńcy. W grodzie znajdzie swoich z Italii... Jeszcze parę kroków, a przestanie być niewolnikiem, stanie się wolnym człowiekiem. A Franciszek?

— Nie odchodź jeszcze — powtarzał. — Nie mogę... Słuchaj... Dlaczego jesteś taki?... To okrucieństwo. Pastwisz się nade mną. Musisz zrozumieć, że nie mogę ani tego, co mi dajesz, przyjąć, ani odrzucić... Och, jak ja się męczę!

— Bracie mój — szepnął Franciszek ze słodyczą — nie trap się o mnie. Ja jestem szczęśliwy. Lecz Jan przestał panować nad swym rozdrażnieniem.

— Szczęśliwy?! — krzyknął prawie. — Ja wiem, ty zawsze jesteś szczęśliwy! Boję się ciebie. Kusicielu! Widziałem w nocy, jak uśmiechałeś się tak samo jak Sfinks i wyciągałaś ręce do tego kamiennego diabła. Jesteś straszny z tą swoją miłością wszystkiego. Jesteś nieubłagany...

Nie ma rzeczy, której byś od człowieka nie zażądał, jakby to była drobnostka. Rad byś wyrzucić świat na nice...

— Braciszku mój... Jać nic nie chcę ani żądam. Cóżem jest? Najlichszy sługa Pana, źdźbło i plewa... To On cię woła, to Jego miłość jest nieubłagana.

— Miałbym pozostać w niewoli i nie wrócić tam, do swoich?! — Ikał Jan.

— Przeciwnie. Mówię ci: idź! Ja jestem szczęśliwy. Może zdołam odpokutować nieco moich win, zmniejszyć pokutę pośmiertną... To wielka łaska uprzędzić śmierć, która wyrwie nas i ciśnie przed sąd Pana, zanim będziemy gotowi.

Jan milczał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

— Idę — rzekł nareszcie. — Idę. Niewolnikiem dłużej nie będę.

— Słusznie czynisz. Idź w pokoju.

— Stój! Poczekaj! A Ziemia Święta? Nie pojedziesz do niej?!

— Nie pojedę. Widocznie nie jestem godzien jej oglądać. Nie troszcz się już o mnie, bracie...

— Nie mogę! Nie odchodź! Idziesz sobie zadowolony, a ja... a ja... Jak ja będę żył?!

— Więc pomódlmy się jeszcze razem...

Uklękli obok siebie. Z obozu żołnierze pana de Joinville spoglądali ciekawie na dwóch obdartusów.

— Czy niewolnik, którego posłałem z derwiszem chrześcijańskim, powrócił? — pytał nazajutrz rano sultan al-Kamil.

— Nie powrócił, Władco Wiernych. Zali rozkażesz go ścigać?

— Nie trzeba.

Sultan podłożył ręce pod głowę i wpatrzył się w mozaikę pokrywającą pułap lśniącym wzorem. Sądziłem — myślał — że ów człowiek okaże się innym niż wszyscy... Zdawał się innym... Omyliłem się. Ludzie są zawsze jednacy. W tej wierze czy tamtej — to bydlęta, niegodne niczego prócz wzgardy. Omyliłem się.

— Czego chcesz? — zapytał ostro wsuwającego się nieśmiało sługę.

— O Władco Wiernych, chciałem tylko rzec, że niewolnik, o którego raczyłeś pytać, wrócił przed chwilą i stanął do pracy z innymi...

— Allah akbar! Możesz odejść.

Rozdział jedenasty

Historia się powtarza

Kardynał Pelagiusz przyglądał się Franciszkowi z niedowierzaniem. Był niezadowolony, jak zwykle, gdy się gdzieś coś stało mimo jego wiedzy.

— Chodziłeś do sułtana bez mojego zezwolenia? — stwierdził niechętnie.

— Nie sądziłem, dostojny panie legacie, że powinienem zezwolenie posiadać. Cóż ja jestem? Nie poseł żaden ani nawet goniec. Tak sobie poszedłem.

— Sam pomysł nie był zły — przyznał kardynał. — Wolałbym jednak, żeby poszedł ktoś pokaźniejszy, mówniejszy, ktoś, co by wiarę świętą lepiej potrafił przedstawić... Zgoła inne wrażenie byłby wywarł na poganach...

— To prawda — zgodził się Franciszek ze skrucą — nie myślałem o tym.

— Nie myślałeś, oczywiście. Rozumiem i nie mam za złe. Wiem, czego można od ludzi wymagać... To nie na twój umysł, bracie... Ach, co za szkoda, że nie poszedł który z naszych teologów! No, stało się... I z samym sułtanem rozmawiałeś?

— Tak jest, dostojny panie legacie. Z sułtanem.

— Jakież ci się wydał?

— Wydaje się dobrym człowiekiem...

— Dobrym?! — Głos legata wzdął się oburzeniem. — Poganin przecie!...

— Może Pan nasz zezwoli, że przestanie być poganinem. A człowiekiem jest dobrym na pewno.

— Takeś go poznał? O czym mówiliście?

— Prosiłem go, żeby przyjął naszą wiarę...

Aczkolwiek kardynałowi nie brakło odwagi, zdumiał się na to oświadczenie tak, że zamilkł na chwilę.

— Prosiłeś, żeby... I nie rzucili się na ciebie?

— Nie. Nawet sułtan dał mi pieczęć, którą teraz brat Iluminat nosi w zanadrzu, a z którą mogę iść w granice sułtańskie, gdzie chcę. Właśnie chciałem prosić o zezwolenie pojechania do Jerozolimy...

— Teraz chcesz jechać? Sam? Nie lepiej poczekać, aż za parę niedziel udamy się tam wszyscy w tryumfie jako do swojej dziedziny?

— Niech Pan nasz jak najszybciej ześle wyzwolenie Grobu, ale ja czekać nie będę. Co tam po mnie w dniu tryumfu? Wolej pokłonię się Panu, póki w opuszczeniu jest i gdy nikt się tam może nie modli...

— Jak chcesz. Jak chcesz. Nie bronię. Jedź z Bogiem... Zaczekaj no jeszcze chwilę...

Franciszek, który już odchodził, wstrzymał się w pół kroku. Kardynał tarł czoło, jakby zapomniał, o co chciał pytać. Żałował teraz, że go zatrzymał. Ilekroć był w towarzystwie Franciszka, ogarniało go dziwne uczucie politowania dla tego prostaczka, a zarazem jakiegoś nieusprawiedliwionego niepokoju. Pragnął o czymś mówić, coś wyjaśnić. Uczucie to wzmogło się teraz, gdy posłyszał, że Franciszek odjeżdża. Ale co by miał rzec, nie wiedział.

A prostaczek stał ciągle przy drzwiach patrząc życzliwie i wyczekująco.

— Po co właściwie chodziłeś do sułtana? — zapytał legat, aby coś powiedzieć.

— Chciałbym, żeby wojna się skończyła i ludzie przestali się zabijać wzajemnie. Wy, dostojny panie legacie, nie chcieliście mnie słuchać, więc poszedłem do sułtana.

— Ach, więc dlatego... Pamiętam, żeś się tu kiedyś litował nad tymi, co zginęli w Damecie. Cóż zrobić? Uważają mnie wszyscy za człowieka twardego serca. Niesłusznie. Ja nie mam twardego serca, tylko umiem patrzeć na cel, który sobie postawiłem, nie zważając na drobiazgi. Wszystko się godzi uczynić, byle ten daleki a świetny cel osiągnąć!

— O, nie! O, nie! — obruszył się żywo Franciszek.

— Jak to nie? — zmarszczył brwi legat. — Ty będziesz mi zaprzeczał, ty?

— Zaprzeczę, dostojny panie legacie. Nie jest obojętne, jaką drogą idzie się do celu. To jest nawet bardzo ważne, bo osiągnięcie zadania zależy od Pana naszego, a wybór środków od nas, więc stanowi naszą własną zasługę lub winę...

— Ech — machnął ręką kardynał — nie będę się z tobą wdawał w dysputy! Co ty rozumiesz?! Jedź, skoro chcesz jechać, i niech cię Bóg strzeże!

Franciszek ucałował dłoń kardynała i wymknął się cicho. Przy drzwiach minął się z Janem de Brienne, który wchodził chmurny.

— Mam niepomyślne wiadomości — zaczął od progu.

— A ja mam doskonale — odparł kardynał z żywością. — Jakie to dziwne! Wszyscy mnie ciągle straszą, choć wszystko idzie jak najlepiej! Czarno patrzycie na świat, panowie rycerze.

Mam zupełnie pewne dane, że sułtan w najbliższych dniach przyśle nowe poselstwo, zgadzając się na nasze warunki...

— Dałby to Bóg! Bo ja otrzymałem właśnie list od rycerza Ibelina sprawiającego w moim zastępstwie rządu w Akrze, który donosi mi, że do niedawna muzułmanie pośpiesznie rozbierali mury Jerozolimy i innych grodów, jak gdyby gotując się do odejścia... Nawet twierdzą na górze Tabor rozwalili! Ową straszną twierdzę, o którą rozbiła się węgierska krucjata! I ludność chrześcijańska, co jeszcze w kraju pozostała, szalała z radości, że widno sułtan odstępuje Ziemię Świętą, a muzułmany biadały i gromadnie opuszczały Palestynę, wyprzedając całe mienie. Z samej Jerozolimy wyszło podobno więcej niż tysiąc rodzin muzułmańskich. Grunta i domy sprzedali za łączny grosz... Tak było do niedawna. W ostatnich niedzielach zaś to się jakoby zmieniło. Mury przestano rozbierać, a muzułmany powróciły. I odebrali sprzedane domy chrześcijanom i bardzo się srożą, a nasi po dawnemu nie śmieją ani tchnąć... Więc Ibelin się niepokoi...

Kardynał wzruszył ramionami lekceważąco.

— Plotki, plotki, żadnego związku z nami nie mające. Posłuchajcie m o i c h nowin: Znany wam niewątpliwie szaleniec, Franciszek z Asyżu, wybrał się, nic nikomu nie mówiąc, w odwiedziny do sułtana... Tak, tak, do samego sułtana... Do al-Kamila... I nagabywał go, żeby wiarę świętą przyjął... Uważacie?!

— To niesłychane! Roznieśli go? — zapytał Jan.

— Otóż nie! Właśnie, że nie! Nie roznieśli. Sułtan z nim przyjacielsko gadał, na koniec dał mu swój firman, swoją pieczęć, z którą nasz poczciwiec może wędrować choćby do Damaszku. Był tu przed chwilą. Wybiera się do Jerozolimy.

— To ciekawe rzeczywiście. I Wasza Dostojność przypuszcza, że powodem tej łaskawości sułtana było?...

— Cóż innego mogłoby być, jeśli nie chęć nawiązania z nami stosunków i zaskarżenia sobie naszej życzliwości? Znamy Franciszka. Nie olśnił sułtana ani wymową, ani rozumem, ani urodą... Biedaczyna to o dziecinnym sposobie myślenia. Al-Kamil widno chciał, żeby wróciwszy do nas, wychwalał jego wspaniałość... Dlatego go puścił wolno i zaszczyił pieczęcią... Obaczycie, że w najbliższych dniach zjawi się nowe poselstwo.

— Dałby to Bóg — powtórzył de Brienne po raz drugi. — Pociesza mnie Wasza Dostojność. Bo Ibelin...

Rozłożył bezwiednie przyniesiony ze sobą list i wodził po nim oczami z uwagą. W dalszym ciągu stary pan z Bejrutu pisał:

...Królowna Jolanta chowa się, Bogu dzięki, zdrowo. Miałem zaszczyt widzieć ją onegdaj. Siedzi już sama prosto w kolebeczce. Podobnusiańka do nieboszczki matki, Miłościwej Pani naszej...

...Podobna do matki. — Jan pomyślał, że ciężko będzie mieć ją ciągle przed oczami. A równocześnie czuł w sercu budzące się nieokreślone uczucie do nie znanej prawie małej istotki siedzącej prosto w kolebeczce.

Myślał o tym i milczał. Kardynał milczał również. Nie posiadał dziecka, ale urzekł go człowiek, o którym sam powiedział przed chwilą, że ma dziecienny sposób myślenia. W słowach podkreślał rozmyślnie jego nieuctwo, prostactwo, a opędzić się nie mógł temu samemu co poprzednio uczuciu, że należało z tym prostakiem o czymś ważnym pomówić, o coś zapytać... Nie wiedzieć skąd, zdało mu się nagle, że spór o to, czy cel usprawiedliwia lub nie każdą drogę, jest zagadnieniem niezmiernie ważnym, które trzeba koniecznie rozstrzygnąć. ważniejszym od wszystkiego, co się dzieje wokół, nawet od możliwego poselstwa sułtana. Były to dziwne i nieoczekiwane myśli, kardynał sam czuł się nimi zawstydzony. To pewno wpływ klimatu i przebytej febry. Szczęściem nikt się nie domyślał tych, niewłaściwych dla wodza, objawów słabości. De Brienne otrząsnął się pierwszy.

— Skorzystam — rzekł — z tego, że Franciszek jedzie do Jerozolimy, i polecę mu dowiedzieć się dokładnie, jak było z owym rozbieraniem murów. Choć prostak, ale to może zauważyć. Bo Ibelin też swoimi oczami nie widział, tylko przez czwarte, piąte usta słyszał. Gdzie go można znaleźć?

— Nie wiem — wyznał kardynał. — Franciszek stałego pomieszkania nie ma. Żyje jak ptak na gałęzi. Ciurów obozowych pytajcie. Na pewno wiedzą. Przepadają za nim i za jego kazaniami. Jeno nie zwlekajcie, bo lada dzień odjedzie.

Jan nie zwlekał. Rozesłał giermków. Przybocznych rycerzy prosił, by w razie spotkania brata z Asyżu zatrzymali go. Pierwszym, któremu się to udało, był Gerard d'Avesnes. Nie znał dotychczas Franciszka, a że cały obóz wiedział już o jego wyprawie do sułtana i szczęśliwym powrocie, przyglądał mu się ciekawie.

— Miłościwy Pan chce was widzieć przed odjazdem, bo podobno jedzicie do Jerozolimy...

— Z pomocą Pana naszego pojedę.

— Mówią, żeście byli w Kairze. Wiele też sułtan ma wojska? Siła przy nim? Więcej jazdy czy pieszych? Pospolite ruszenie czy zaciężne? A jak rozmieszczone?

Franciszek zaczął się śmiać.

— Bracie rycerzu, próżno mnie o takie rzeczy pytać. Widziałem po drodze wielu ludzi konnych i pieszych, którzy zdali mi się nic o Panu naszym nie wiedzieć. Skąd jednak mógłbym poznać, z jakich są pułków i jaka ich liczba?

— Miłościwy Pan chce, żebyście w Jerozolimie zwrócili na te rzeczy baczniejszą uwagę. To dla nas niezmiernie ważne...

— He! Czyż można w Jerozolimie zwracać uwagę na coś więcej niż na Grób Pana naszego? Cóż znaczy wszystko wobec miejsca Jego Męki?!

D'Avesnes zakłopotał się i westchnął, nie wiedząc czemu.

— Uczynicie, jak chcecie — zakończył. — Mam i ja do was prośbę: Będziecie niewątpliwie w Akrze i na górze Karmel. Pod tą górą, na cyplu skalnym budują strażnicę. Zowie się Kasztel Pielgrzyma. To moja fundacja, ja budowę rozpocząłem. Dla obrony Ziemi Świętej. Boję się, czy teraz, gdy mnie nie ma, roboty nie zaprzestano...

Przeciagnął dłonią po czole i mówił dalej:

— Na sercu mi leży ten kasztel, bom go umyślił jako dar dla Matki Najświętszej, w zamian za miłosierdzie nad jedną potępioną duszą...

— Skąd wiecie, że potępiona? — zgorszył się Franciszek.

— Bo nieszczęsna sama sobie śmierć zadała. Żona to moja była. Ciągle o niej myślę i męczę się myślą o jej męce. Powiadają, że samobójcom nic modlitwa nie pomoże, że bez ratunku są zgubieni. Gdyby tak było naprawdę, chyba bym oszalał...

— Nie są zgubieni — odparł Franciszek — a przynajmniej my nic nie możemy o tym wiedzieć. I wielkim grzechem byłoby sądzić, żeśmy przeniknęli sądy Boże. Myśl jest chybciejsza od czynu i nieraz pewno się zdarza, że ciało już ginie, a myśl strwożona rwie się modlitwą do Boga i przebaczenie osiąga...

— Amen — rzekł d'Avesnes. — Bóg zapłać za te słowa.

— Jest pewne — podjął Franciszek z rzadką u niego powagą — że ani w życiu, ani w śmierci człowiek nie ujdzie przed Bogiem i przed sobą samym. I że najostrzejszy sąd jest swój własny. Lecz miłosierdzie jest wielkie jak świat i każdy w nim łaskę znajdzie. Dowiem się o kasztel wasz, bracie rycerzu...

Na odległej i nie znanej nikomu Rusi wojska Dżingizhana spaliły złotobramny Kijów.

Lato egipskie wysuszyło żarem krzyżowców. Drugie już lato z kolei. Poczynał się trzeci rok pobytu nad Nilem. Genueńczycy i inne plemię kupieckie zdążyło się już zagospodarować w Damiecie i uczynić z niej swą stację handlową. Egipt ruchliwszy był i bogatszy niż ograbione i zniszczone Bizancjum, toteż dumni pogromcy Greków, Wenecjanie, bledli z zazdrości. Wojsk krzyżowych dowodzonych przez legata Pelagiusza została mniej niż połowa. Wykruszyło się jak zboże długo nie młócone, w stercie stojące. Walki, choroby, a przede wszystkim łatwość powrotu do kraju, galery chodzące nieustannie tam i nazad, spowodowały ten odpływ. Wyciekało bractwo ani się spostrzegł, kiedy. Najwięcej wrzawy zrobiło odejście do Akry rycerzy teutońskich Najświętszej Panny Maryi Jerozolimskiej. Mieli oni z dawna zamiar przesiedlenia się do Europy i przypuszczano, że teraz zamierzają go wykonać. Na domiar złego coraz uporczywiej krążyły pogłoski, że bracia sułtańscy, al-Aszraf z Edessy i al-Muzaam z Damaszku, ruszyli z długo oczekiwaną przez Egipt odsieczą. A zapowiadane przez legata poselstwo sułtana nie pojawiała się wcale.

Wobec tego stanu rzeczy de Brienne doradzał zebrać w Damiecie (której mury podniósł jeszcze wyżej, że stały się niemożliwe do zdobycia) wielkie zapasy żywności i gotować się do długiego oblężenia. Równocześnie prosić panów chrześcijańskich o posiłki, szczególnie wiarołomnego cesarza, Fryderyka II, co ślubowawszy przed kilku laty, że krzyż weźmie, dotąd przysięgi nie wykonał. Kardynał Pelagiusz zgadzał się, by cesarza molestować i naciskać, lecz w twierdzy zamykać się nie chciał. Uparta, władcza natura pchała go naprzód i naprzód. Bieg wypadków przewidywał zawsze taki, jaki odpowiadał jego usposobieniu.

Dość długo — mówił staliśmy w miejscu niepotrzebnie. Musimy uderzyć na sułtana, zdobyć Kair.

By zdobyć Kair — odpowiadał de Brienne — należałoby mieć pięciokrotnie liczniejsze siły, niż mamy. Ruszając naprzód, musimy zabezpieczyć sobie tyły, zostawić w Damiecie silną załogę, zapewnić dowóz żywności. Cóż zostanie do natarcia? Jaki będzie stosunek naszych wojsk do wojsk sułtana, zwłaszcza jeżeli tamten otrzyma posiłki? Wasza Dostojność, racz posłuchać rady doświadczonego, starego żołnierza! W grodzie jesteśmy bezpieczni. Żadna siła nas stąd nie ruszy. Możemy spokojnie czekać, aż cesarz nadciągnie lub Ojciec święty przyśle pomoc. Nie damy się odciąć od morza, a tym samym ogłodzić. Czekajmy. Jeżeli dokonamy podboju Egiptu w dwadzieścia lat, to i tak będzie bardzo szybko!

Tego samego zdania, o dziwo, był podesta genueński Bartłomiej Doria. Ale kardynał przestał wierzyć Dorii, odkąd zdanie jego nie szło po myśli dumnego Hiszpana.

— Nie przysyłałby sułtan dwukrotnie poselstwa — dowodził — gdyby nie czuł, że mamy go w naszej mocy. Co było pewne wówczas, jest pewne i dziś.

— Niestety, Wasza Dostojność! Wówczas było zgoła inaczej. Islam drżał przed najściem Mongołów i bracia sułtana oczekiwali pomocy od Egiptu, nie Egipt od nich. Złoty ptak wyleciał nam z ręki i darmo wspominać popelniony błąd. Obecne lato niepodobne do zeszłego. Ten sam liść nigdy nie spada dwa razy.

Nie było rzeczą roztropną przypominanie kardynałowi pomyłki, której sam w duchu poczynał żałować. Czarne oczy legata zabłyśły, zacisnął wąskie wargi, broda podała się nagłym ruchem w przód.

— Jak ten kruk kraczenie — syknął. — Nieraz, gdy was słucham, myślę, zali mam przed sobą sprzymierzeńca sułtana czy tchórza?!

Blady jak płótno Jan porwał się z miejsca.

— Słyszysz ja... słyszysz dobrze?

— Com rzekł, nie cofam.

— Ejże, tak?! Wasza Dostojność! Ej, Wasza Dostojność! Żeby nie ta suknia! Nie to kapłaństwo!... Zdzierzę i słowem się już nie odezwę. I noga moja już tu nie postanie. Ostatni raz rzekę: Utraciliśmy Grób Święty! Utraciliśmy na wieki! Teraz idziemy na zgubę sami. Idziemy pod drugie Hattin! Prosiłem was, jak Rajmund z Tripoli prosił Luzyniana. I również daremnie. I zginiemy, jak zginęli tamci. Niech Bóg ratuje Grób Święty!

Wyszedł kipiący wściekłością i żalem. Kopnął drzwi nogą, że mało nie zleciały z zawias. Skoczył na konia i pognął przed siebie, sam nie wiedząc dokąd, byle wyładować gniew. Bódl bachmata ostrogami, aż krew kapiała na ziemię, szarpał wędzidłem. ...Tchórz... Sprzymierzeniec sułtana. Zguba niechybna. I pomyśleć, że on miał być wodzem, on, on, nie ta kukła czerwona, z pychy i zarozumiałości ulepiona! On...

...A dlaczego nim nie był?... Koń rzeził ciężko i robił bokami zmydlony. Piana na bokach i pysku była krwawa. Jan zwolnił i zawrócił ku miastu. Nie myśleć, nie myśleć! Nie przypominać, dlaczego...

Kardynał Pelagiusz siedział nieruchomo w swej komnacie, kosym okiem spoglądając na drzwi kołyszące się długo po gwałtownym wyjściu Jana. Czuł, że niepotrzebnie się uniósł. Sam wiedział przecież, że de Brienne nie jest ani tchórzem, ani przyjacielem muzułmanów. Gdyby

mógł obelgę cofnąć, chętnie byłby to uczynił. Ale słowa raz powiedziane już się nie wracają. Można je chyba tylko o d w o ł a ć , a do tego kardynał Albano nie czuł się zdolny.

Zresztą zadawniona niechęć do rycerstwa, do wielmożów, jak ich pogardliwie nazywał, była w jego duszy zbyt mocna, by ją rozsądek zdołał przełamać. Wierzył silnie w to, że postępuje dobrze, gdy postępuje przeciwnie, niż radzą baroni. Wierzył też, że da sobie radę bez pomocy Jana de Brienne. Bóg go wspomóż, Bóg go natchnie właściwym postanowieniem, pokieruje wszystkim, jak kierował dotąd. W przekonaniu kardynała tak się szczęśliwie składało, że Bóg chciał zawsze tego samego, co on.

De Brienne zawział się i, jak obiecał, nie opuszcza swojego obozu. Gdy starsze rycerstwo przychodzi prosić go, by wpłynął na kardynała i nie dopuścił do lekkomyślnego pochodu, odpowiada:

— Nazwał mnie zdrajcą i tchórzem. Dość uczyniłem, że go mieczem nie pchnąłem. Nie żądajcie ode mnie więcej!

Sapia z gniewu, zgrzytają zębami, przyznają słuszność obrażonemu królowi. Prawy rycerz nie może o takiej ułudzie zapomnieć! I rozumiejąc, że zamierzona wyprawa prowadzi do zguby, gotują się do niej w milczeniu, twardo i zawzięcie. Śmierć raz pisana. Zginiemy wszyscy, ale pycha legata będzie ukarana!

Na razie legat jest dobrej myśli. Z niespożyta energią sam wszystkim rządzi, kieruje, dogląda. Nie zwołuje rady. I za jego osobistą odpowiedzialnością, za jego rozkazem wojska opuszczają Damietę w ostatnim tygodniu lipca. Lipca 1220 roku.

Wojsko wyrusza. Posuwa się w górę trójkąta, którego szczyt stanowi Kair, a podstawę Damietta. Boki trójkąta tworzą: Nil po prawej, jezioro Menzareh i odnoga Nilu, zwana Bar al-Sagir, po lewej. Kardynał chwali sobie to położenie. Nieprzyjaciel nie napadnie z boków. Dolina jest pełna żywności i zbiorów, przeto wojsko bierze ze sobą zapasów tylko na tydzień, by nie opóźniać pochodu nadmiarem taborów.

Słońce, sprzymierzeniec wroga, pali niemiłosiernie, rozprężając zbroje. Pył wzbija się słupem wysoko, przesłania niebo tumanem. Armia posuwa się w milczeniu i upale dzień, dwa, trzy... Nieprzyjaciela nie widać. Nie widać w ogóle nikogo. Czasem z dala ukażą się lotne postacie Beduinów i pierzchają, nim Frankowie zdołają się do nich zbliżyć.

— Pierwsze straże sułtana — szydzi kardynał. — Obawiam się, że do bitwy wcale nie przyjdzie, gdyż nie ośmielą się zmierzyć z nami... Zajmiemy Kair bez walki.

Pusto, pusto. Aż od tej pustki czyni się duszy złowrogo. Zniknęli nawet fellachowie i przestały skrzypieć nieśmiertelne koła ciągnące wodę z Nilu do kanałów. Nieudolnie klecone, niechlujne wioski arabskie stoją opuszczone. Mieszkańcy odeszli. I tylko bóstwa egipskie, coraz liczniej zachowane, patrzą obojętnie na przechodzących. Kolumny w kształcie stulonego papirusu lub rozkwitłego lotosu podtrzymują belkowania granitowe. Pod granitowym siestranem stoją postacie o zagadkowym uśmiechu. Obracają się, spozierają wydłużonymi oczami, załamują lub wyciągają ręce jakby w ostrzeżeniu.

Przybywszy do wyludnionego i pustego Szaramszah, kardynał zarządza dwudniowy odpoczynek. Starsi rycerze radzą zebrani w namiocie.

— To cofanie się nieprzyjaciela — mówi Walter de Nemours — kryje niewątpliwie zasadzkę. Im dalej posuwamy się na południe, tym łatwiej możemy zostać odcięci od Damiety i naszej floty. Szaleństwem byłoby iść dalej!

Wszyscy mu potakują. Posępnie kiwają głowami. Starzy wojownicy znają wybiegi wojny, sami je nieraz stosowali. Niezawodnym instynktem żołnierskim czują, że idą w pułapkę. I mimo urazy do legata pragnęliby się ratować.

Zwracają się przeto do Jana de Brienne. Jedyne to człowiek, który może i ma prawo w imieniu rycerstwa wystąpić. Był wodzem. Zastępował legata w czasie jego choroby. Wszystkie powodzenia, odniesione dotychczas, są jego zasługą. Kardynał powinien się z nim liczyć. Wprawdzie obraził go ciężko, lecz tu chodzi o rzeczy najważniejsze: o zwycięstwo lub klęskę krucjaty. O los całej armii. De Brienne musi poświęcić swą dumę i wytłumaczyć purpurowemu szaleńcowi, żeby nie pchał wojska dalej. Chce walki, niech się okopie tu, w Szaramszah, i niech czeka.

De Brienne ulega namowom niechętnie. Zgłasza się do kardynała zły, nastroszony, napęczniały urazą. Stają naprzeciwko siebie jak wrogowie. W tych warunkach rozmowa trwa krótko.

— Zdobędziemy Egipt teraz lub nigdy! — krzyczy kardynał. — Nie cofam się, ani nie czekam! Nie spoczne, aż dognam sułtana i zmuszę do bitwy! Przez jutro ludzie i konie mogą odpoczywać, a pojutrze do dnia — w drogę!

— Nie będzie w przyszłości sporu o to, kto zaprzepaścił wyprawę — powiada zimno Jan i wychodzi.

Pan Cezarei oczekuje go z niepokojem.

— Nic — odpowiada na jego pytające spojrzenie Jan. — Pojutrze idziemy pod Hattin.

— Pod?...

— Hattin. Nie pamiętasz? Nie rozumiesz?

Owszem. Rycerz już zrozumiał. Nie pyta dalej. Kroczą w milczeniu i zda się im, że widzą przed sobą przekłete siodłate wzgórze ściekające krwią, grób Królestwa Jerozolimskiego pochowanego przed trzydziestu trzema laty...

Rozdział dwunasty

Gniew ojca rzek

Lekki, sztywny kształt śmiertelny, podobny poczwarcie spowitej w przędzę kokonu, niepokojący umysł astrologa Jakuba Pochard, sekretarza Scholastyka i bakałarza Mateusza Pesaro, nie został dotychczas rozpowity, nie wydał swojej zagadki. Wprawdzie już na drugi dzień po odkryciu spoczywającej w dwóch trumnach mumii trójca badaczy powróciła do grobowca, spotkała jednak nieoczekiwane przeszkody. Poprzednie ich odwiedziny zwróciły uwagę mieszkańców w pobliżu Koptów. Czarni milkliwi współwyznawcy nie ośmielili się wprawdzie zabronić obcym wstępu do mastaby, lecz otoczyli uczonych nieustającą opieką, tłocząc się za nimi w malowanych komorach skalnych i niezycyliwie śledząc każdy ruch. Podejrzliwa ta czujność miała dwa powody.

Koptowie — których nazwa pochodziła według jednych od miasta Koptos w Tebaidzie, według drugich od słowa greckiego kopto — obrzezują lub również greckiego Ajgyptios — Egipcjanin — uważali się za jedynych i właściwych potomków ludu faraonów. Nie uznawali narzuconej niegdyś przez Grecję nazwy Egipt, zowiąc swój kraj po dawnemu Kemet, czyli Czarna Ziemia. Świadomość wielkiego dziedzictwa nie podniosła ich z upodlenia, w jakim żyli. Byli barbarzyńscy i ciemni. Niszczyli bezmyślnie najpiękniejsze zabytki. Chciwość stanowiła zasadniczą cechę ich charakteru. Ze świetnej przeszłości pozostała im wrośnięta w krew jedna tylko rzecz: obawa przed naruszeniem pokoju umarłych.

Przez tysiące lat praojcowie ich uważali szacunek dla zwłok za najważniejszy fundament swej wiary. Drążyli skały chodnikami, komorami, wiercili studnie i zapadnie. Przecinały je biegnące w głąb pochylnie, owijały spiralne korytarze biegnące to w górę, to w dół. Przemysłny

labirynt, na pozór niewytłumaczony, mający na celu odstraszenie możliwego gwałciciela mogił, oszukanie jego kroków, zabicie z drogi, by nie dotarł do właściwego grobowca, ciasnej, niewielkiej komnaty, w której spoczywała mumia. Uszkodzenie mumii! Skutki podobnej zbrodni mogły być straszliwe, mogły odbić się na całym kraju. Wszakże dzięki magicznym zaklęciom Księgi Umarłych zmarli posiadali możność przybierania dowolnego kształtu. Duch znieważony mógł się mścić. Mścić straszliwie i zawzięcie. Niech bogi mają w swej opiece tego, co naraził się na pomstę umarłych!

I ciemne, bierne fellachy, nic nie rozumiejące, używające za żarna lub kamienie młyńskie pierścieni kolumnowych pokrytych najpiękniejszymi hieroglifami, czuli instynktowną obawę przed gniewem mumii. Nie ruszali ich sami i nie pozwalali, by to uczynił ktoś inny. Umarli biją na ślepo. Obcy Latyńcy odjadą, a biedny miejscowy lud zostanie i będzie za ich czyny odpowiadał.

Drugi powód był niemniej poważny. Z dawna krążyło wśród społeczności koptyjskiej przekonanie, że ukryte w grobowcach i piramidach skarby częściowo tylko zostały zagrabione przez Beduinów lub innych łupieżców. Mocą tajemniczej władzy posiadanej przez mumię najcenniejsze rzeczy zapadły się w ziemię lub przemieniły w głązy ginąc dla oczu napastników. Kto by znał odpowiednie słowa, odczyniające urok, mógłby złoto wydobyć na nowo...

— Nie znamy tego zaklęcia i nie poszukujemy skarbów — zapewniali najszczerzej trzej badacze, dowiedziawszy się, o co chodzi nieproszonym towarzyszom.

Milcząca cisza potrzęsała głowami nieufnie i podejrzliwie.

— Więc po co przychodzicie tutaj trzeci raz? Latyńcy chętną się wiedzą. Musicie wiedzieć, jak odzyskać złoto...

— Nie wiemy.

— Słowa zaklęcia są spisane na tych ścianach. Ale klucz pisma zaginął. Jeżeli go znajdziecie, pozwolimy wam zabrać jedną część złota dla siebie. Podobno trzeba ściany okadzać ziołami. Nie wiemy jednak, ile razy i jakich ziół używając. Czyście naprawdę o tym nie słyszeli?

Zapewniali, że nie, przeto tłum zawiedziony ogarniało wzburzenie.

— Idźcie stąd precz w takim razie i nie powracajcie więcej! Złota znaleźć nie umiecie, a zmarłego ruszać nie pozwolimy! Odejdźcie!

Z ciężkim sercem odchodzili trzej uczeni. Nie na długo. Raz rozbudzona ciekawość nie zaśnie. Wrócili następną nocą. Nie paląc światła, by uwagi niczyjej nie zwrócić, weszli mackiem do grobowca. Pochłonięci swoją pasją, nie zdawali sobie sprawy, że mało który z rycerzy

zdobyłby się na czyn podobnej odwagi. Znając dokładnie położenie sarkofagu, odnaleźli w jego wnętrzu trumny i zabrali mumię. Unieśli. Uciekali jak złoczyńcy ścigani przez własne cienie, szakale ujadły za nimi. Przetrwali noc do rana w zaroślach. O świcie obłożyli mumię trzcina cukrową, związali w wiązkę i najęli człowieka z osłem, który zgodził się odwieźć snop do miasta. Trzcina miała rzekomo służyć do naukowych doświadczeń. Dotąd wszystko szło jak z płatka. Trudności zaczęły się, gdy jęli snop taszczyć do kardynalskiego pałacu, na kwaterę Scholastyka. Cały dwór zleciał się pytać, co robią, i na co potrzebne to ziele. Brat Filip sądząc, że to jakiś inny nowy gatunek trzciny, wyciągał co dłuższe dudy, żując je z namysłem, i zachodziła obawa, że odsłoni przy tym prawdziwą treść snopa. Astrolog był blady, bakałarz czerwony. Sekretarz nadrabiał miną. Gniewny głos kardynała odwrócił ogólną uwagę.

— Co za zbiegowisko? — pytał legat. — A, jest Scholasticus? Nareszcie! Mam pilne listy, a sekretarz podczas wałęsa się, nie wiedzieć gdzie... Zabraniałem już kilkakrotnie. Widno jednak moje słowa i należne zwierzchnikowi posłuszeństwo przestały mieć dla was walor. Ostatni raz zapowiadam: nie wolno bez zezwolenia opuszczać mojej komnaty... Na co ta trzcina? Tu nie stajnia.

— Zerwalim ją przy szczególnie pomyślnych koniunkturach gwiezdnych — zapewnił żywo astrolog. — Będzie skuteczna dla leków...

— Wydam was, jeśli ją ruszycie beze mnie — mruknął półgłosem Scholasticus do przyjaciół i markotnie powlókł się za kardynałem. Niebezpieczeństwo na razie było zażegnane. Cenna, tajemnicza zdobycz spoczęła w skrzyni, w której astrolog przewoził zwykle swe narzędzia gwiezdne. Strzeżona zamczystą kłódką, mogła czekać sposobnej do oględzin pory.

Nie mieli jednak szczęścia pierwsi europejscy egiptolodzy. Pora sposobna nie nadeszła. Nadszedł za to rozkaz pochodu na Kair. Nie dotyczył on wprawdzie astrologa i bakałarza, których nikt na wojaczce nie potrzebował, lecz Scholasticus musiał towarzyszyć kardynałowi. Ostatecznie więc ruszyli wszyscy trzej. Nie chcieli się rozłączać, przy tym słowo Kair oznaczało piramidy, wielkiego Sfinksa i przeróżne nieznanne, tajemnicze cuda. Choć ilość wozów zdążających za wojskiem była surowo ograniczona, zdołali nie tylko umieścić się na jednym z nich, ale i zabrać swą skrzynię. Nie uważali bowiem za bezpieczne pozostawiać ją w Damiecie. A nużby któremu z pachołków przyszła ochota zajrzeć do wnętrza? Zresztą nie wiadomo, kiedy wrócą. Może osiadą na stałe w Kairze?

Beztroscy o dalsze losy wojny, na której nie rozumieli się wcale, skorzystali z postoju w Szaramsah, by ruszyć na zwykłe poszukiwania. O pół mili niespełna od obozu, tuż nad brzegiem

Nilu, sterczały dobrze im już znane skośne płaszczyzny pylonów oznaczające niechybnie świątynię. Postanowili ją zwiedzić.

— Beduiny was złapią — ostrzegął pan d’Arcy sprawujący strażę wokoło obozu.

— Nikogo przecie dookolusienka nie widać.

— Nie widać, a zasadzka może być, choćby w tych zaroślach. Przeklęty kraj. Uważaliście, jak rzeka przybrała? Deszcz pół roku nie padał, więc z czego?

— W zeszłym roku także był taki przybór i też nie wiadomo z czego.

— Idźcie, jeśli chcecie — ciągnął pan d’Arcy — jeno ostrzegam, że na pomoc wam nie ruszam. Zdałoby się co prawda podjazd wywiadowców pchnąć i obaczyć, jak daleko, z jaką siłą stoi sułtan, ale skoro jegomość legat tego nie rozkazał, to niechta.

Uraza i gorycz brzmiały w jego głosie. Przyjaciele nie zwrócili na to uwagi. Zobojętnieli na wszystko. Kardynał będzie się znów sierdził na swojego sekretarza, że bez pozwolenia odbieżał: i o to mniejsza. Geniusz wiedzy porwał ich w swoje szpony. Zobaczyć! Poznać!... Nic ich nie mogło zatrzymać. Spiesznie ruszyli z obozu.

Ostatkiem instynktu samozachowawczego przystanęli na najbliższym wzgórku, rozglądając się uważnie po okolicy. Pustka i cisza, towarzysząca od paru dni pochodowi, trwały nadal. Okolica zdawała się być doszczętnie wymarła. Nie obracały się koła, nie skrzypiały pierwotniejsze od nich, coraz częstsze w górze Nilu żurawie zwane szaduf. Tylko rzeka wezbrana szumiała.

— Tam widać ludzi — rzekł nagle bakałarz ukazując dłonią.

— Na przeciwnym brzegu, to nas nie obchodzi... Ciekawe, co też tam robią.

— Wygląda, jakby zasypywali kanał...

— Och, a tu, spójrzcie! Zasypane, zatkane, i tam też, i tam! Kamieniami zawalone na moc...

Od dwu lat przebywając w Egipcie wiedzieli już, że te ciągnące się co kilkadziesiąt kroków kanały pracowicie napełniane wodą stanowią niezbędny warunek urodzajności i życia kraju, przeto ze zdziwieniem spoglądali na ujścia ich przywalone kamieniami. I to właśnie teraz, gdy woda przybrała, pieniała się niecierpliwie!

— Bóg ich wie, po co to zrobili — wzruszył ramionami sekretarz. — A no, ich rzecz. Nie mamy czym się kłopotać.

Ruszyli szybkim krokiem ku ciemniejącej nad rzeką świątyni. Nie zauważony poprzednio wznosił się opodal niewielki koptyjski klasztor. Jak wszystkie tego rodzaju budowle, był ulepiony niezdarnie z gliny, słomy i nawozu, obłym kształtem przypominając barcie albo gniazdo os.

— Znów będą nam deptać po piętach te obrzydłe capy! — westchnął astrolog, który chował nieprzejednaną urazę do Koptów.

— Zawsze to chrześcijany. Zajdźmy do nich zapytać, czy muzułmanów nie ma gdzie w pobliżu...

— Powiedzą wam, a jużci! Nieszczere juchy.

— Jak ich zręcznie zażyć, to powiedzą — zapewniał Mateusz Pesaro.

Skręcili ku klasztorowi. Okazało się jednak, że jest wyludniony na równi z całą okolicą. Ciemne, smrodliwe wnętrza ziały pustką. Tylko roje much, utrapionych much egipskich, brzęczały w smudze słonecznej.

— Ale się nas nastraszyli, no no... — kręcił głową Scholasticus.

— Nie wiedzieć czemu. Pod Damietą siedzieli cały czas spokojnie i siedzą dotychczas i zgoła nie uciekali...

— Musiały im muzułmany dziwów o naszej srogości naopowiadać.

— Cichajcie, tam się ktoś rusza...

Jakoż klasztor nie był całkowicie opuszczony. Ktoś grzebał się w ciemnym zakamarku, ktoś chrząkał, pluł, szurał nogami. Nareszcie wylazł. Stary przygarbiony mnich. Oczy miał chore, czerwone, wyglądały jak dwie rany. Pół siwa, pół czarna skudłona broda sięgała po pas. Ciągnął za sobą tłumok z odzieżą i gotował się zadać go sobie na plecy, gdy spostrzegł obcych i zatrzymał się nieufny.

— Chrystus Panem naszym — rzekł spiesźnie Scholasticus po grecku.

Stary odmamrotał pozdrowienie bez zapалу. Czerwone jego oczy biegały jak spłoszone.

— Dlaczego klasztor jest pusty? Gdzie poszli wszyscy bracia? Czy żołnierzy sultańskich nie ma w pobliżu? — dopytywał sekretarz.

— Nie wiem, nie wiem — zachrypiał szybko stary. — Widziałem tylko tych, co zamykali jazy. Już odeszli...

Popatrzył przez chwilę na przybyłych, po czym podniósł w górę ręce upuszczając tłumok i jakby z przerażeniem zawołał:

— Pozamykali jazy! Zatkali kanały! I poszli...

— Gdzie reszta braci? — nalegał Scholasticus.

— Jakoż mieli zostać, skoro kanały zamknięte? Ja też odchodzę i wy uciekajcie. Skoro... Skoro...

— Przecież powiadacie, że pogan już tu nie ma?

Stary nic nie rzekł. Podjął worek, narzucił go sobie na plecy i skierował się ku wyjściu. Zwrócił się jeszcze ku stojącym:

— Idźcie, powiedzcie waszym, że kanały zatkane!

— Gdy tylko pobijemy sultana, nasi naprawią kanały — zapewnił z dumą Scholasticus. — Bądźcie spokojni. Chcemy obejrzeć te ruiny nad rzeką. Pewno świątynia... Nie wiecie, komu była poświęcona?...

— Bogini Neftys. Pogańskiej bogini śmierci — odparł niechętnie stary i odszedł. Śpieszył, jak mógł, uginając się pod workiem. Oni też nie stali długo. Cel ich wycieczki oddalony był już zaledwie o kilkadziesiąt kroków.

Przyjemny chłód objął uznojone czoła. Dłuższą chwilę stali pogrążeni w mroku, zanim źrenice przyzwyczyły się do cienia i zdołali rozpoznać, gdzie są. Bakałarz wyciągał z zanadru przygotowane łuczywo i krzesał pracowicie ognia. Nikły płomyczek zabłysnął.

Ściany pierwszego przedsionka wyłożone były płytkami błyszczącymi nie znaną im polewą, gładką i połyskliwą jak lód, o barwach błękitnej, zielonej i szarej. Na tym tle widniały obrazy łowów, ptactwa unoszącego się nad szuwarami, lwów i gazeli. Poszczególne płytki przycumowane były do muru miedzianym, cienkim jak nić drutem. Z przedsionka wąskie granitowe odrzwia prowadziły do właściwej sali. Była pokryta aż pod strop malowidłami i barwnym mrowiem napisów. Znany już badaczom zwykły korowód bogów o głowach krogulca i szakala, bogiń o głowie hipopotama, kota albo krowy, powtarzał zwykłe obrzędowe gesty. Kilkakrotnie większa od nich pani świątyni, nazwana przez starego mnicha boginią śmierci Neftys, królowała nad zespołem swoich towarzyszy. Bakałarz świecił łuczywem. Dwaj uczeni wpatrywali się z bliska w napisy, przysuwali tuż do nich twarze, wodzili po wgłębieniach palcami, szukali powtarzających się rysunków.

— Mistrzu Jakubie — szepnął gorąco Scholastyk. — Zdaje mi się, że gdybym pobyl tu dłużej, wpadłbym na trop tego alfabetu... Gdybym mógł tu pozostać! Bo to nie są zmniejszone obrazki, jak sądziłim wprzód. To są z pewnością dźwięki odpowiadające literom. Gdyby choć jedno słowo posłyszeć we właściwym brzmieniu, mielibyśmy już pewną wskazówkę. Ten stary

powiadał, że świątynia należy do bogini Neftys. To pewnie ta wielka, górująca nad nimi. Jej imię musi być tu powtórzone niezliczoną ilość razy. Gdybyż je odnaleźć! Neftys... Neftys...

— Neftys oznacza podobno śmierć. Co w ich pojęciu wyobrażać mogło zgon?...

— Zapewniam was, mistrzu, że to jest pismo dźwiękowe, a nie wyobrazeniowe. Zresztą, kto wie?... Oto tu na przykład jest sowa... Tu też...

— Sowa albo nie sowa. Może inny ptak. I nie wiadomo, czy u nich sowa prorokuje śmierć. U Greków była pono symbolem mądrości...

— Śmierć, śmierć... Neftys... Neftys... — mruzczał astrolog suwając nosem po ścianie. — O, gdybyż tu zostać dłużej!

— Zda mi się, jakby ktoś kołatał w ścianę — zaniepokoił się bakałarz.

Podnieśli wszyscy trzej głowy nasłuchując. Malowane postacie zwięzały oczy nasłuchując także. Miarowy łoskot przygłuszony grubością murów dawał się słyszeć, jednostajny i przeciągły.

— Pewnie gałąź uderza o ścianę — domyślił się astrolog.

Wrócili do swoich badań.

— Więc sowa... Może to nie sowa... Może krogulec... Pełno tu w Egipcie krogulców żywych i malowanych...

— Coś szeleści... — podniósł znów głowę Mateusz.

I z bezmiernym zdumieniem w głosie dodał:

— Woda! Skąd się tutaj wzięła woda?!

Wlewała się przez wejście, szeleściła na stopniach, żółta i spieniona, jakby zdyszana. Na suchej, pokrytej pyłem posadzce wąskie jej strużki nie rozlewały się od razu, płynąc wpierw wężykowato, niby opatrując kąty. Lecz wnet nadbiegały nowe i pomału ciemniała cała powierzchnia komnaty. Wilgoć przeradzała się w lśniące zwierciadło, po schodach płynęły z szumem małe wodospady.

— Uchodźmy! — krzyknął sekretarz, który pierwszy oprzytomniał.

Skoczyli do schodów i pięli się po nich z trudem. Woda, choć płytka, była rwąca i garnęła z nóg. Spychała w tył. Czepiając się granitowych odrzwi, wyszli na próg i zdrętwieli.

Miejsce otaczającej poprzednio równiny zajęło wielkie wzburzone jezioro. Zdało się sięgać od gór do gór, od Pustyni Libijskiej do Sahary. Nad powierzchnią wody niby wyspy sterczały kępy drzew i dachy domów. Pobliski klasztor do połowy zanurzał się w wodzie. Obłe, kopulaste

dachy drżały, jakby za chwilę miały runąć podmyte. Palmy chwiały rozpaczliwie czubami liści nad wodą. Łoskot fal zagłuszał słowa.

— Zastawmy wejście! — krzyknął przeraźliwie Mateusz cofając się z powrotem. Zeszli, ślizgając się na schodach wraz z pędzącą wodą. Zastawić, ale czym? Żaden z głazów, żaden z posągów nie dał się poruszyć z miejsca. Nie na siły trzech ludzi podobne ciężary. Darmo krwawili ręce, szarpali się do utraty tchu. Woda wzbierała coraz gwałtowniej, szumiała coraz to głośniejsze.

— Wyżej nie pójdzie! — zawołał z otuchą Scholastyk. — Spójrzcie! Tu znać na ścianach zacieki, dokąd innymi laty sięgała powódź!

— Wyżej nie pójdzie...

Niestety, w parę pacierzy woda sięgnęła wyżej, pokryła najwyższe znaki i rosła nieubłaganie. Już ją mieli wyżej kolan, już po golenie, już prawie po pas... Trzymając się rozpaczliwie za ręce, wsparci plecyma o ścianę, na której górowała bogini Neftys, patrzyli nieprzytomnymi z trwogi oczyma na świat nieznanych, szydersko uśmiechniętych bogów zanurzających się w wodzie wraz z nimi...

Szeregi wojska tłoczyły się w przerażeniu. Nie było pośród krzyżowców, kto by nie widział w swym życiu powodzi. Toczą się potoki dżdżu z nieba i wałą pioruny. Nisko nad ziemią wiatr przegania chmury sine, ciężarne gromem i ulewą. Rzeki się srożą, podnoszą, bałwaną. Występują wściekle z brzegów. Zmywają wszystko po drodze. Niszczą sioła i grody. Lecz to, co widzieli obecnie, nie było podobne do żadnej powodzi. To, co widzieli, mogło się zdarzyć tylko w Egipcie, tajemniczym kraju ponurych cudów, gdzie Mojżesz zsyłał na opornego faraona plagi, gdzie zalał wojska pogańskie w osuszonym przedtem morzu. Nieznani czarownicy podpatrzyli snadź sposoby Mojżeszowe i przekazali je potomkom, którzy obecnie mszczą się na chrześcijanach.

Nie padał deszcz, nie było burzy ani huraganu. Niezmiennie pogodne niebo wisi nad głowami, a na niebie tkwi żarliwe, oślepiające blaskiem słońce. Dalekie góry mienią się tęczą jak zwykle. Są ni to błękitne, ni to różowe, ni szare. Widoczna z obu stron pustynia pozostała płowa jak grzbiet lwa albo lamparta. Więc skąd się wzięła woda, mnogością przypominająca potop, zamieniająca dolinę w wielkie morze żółte, gęste i bure niby polewka grochowa?! Po wzburzonych falach płyną kępy trawy, jak wyspy pływające, oderwane naporem fali gdzieś w Górnym Egipcie. Prąd czesze za nimi drugie, dziwaczne wodorosty, kołyszą się sitowia. Uczępione ich małe przerażone małpki piszczą jak dzieci. Płyną obalone kłody drzew i obciążone

owocem palmy. Hipopotamy znoszone prądem ryczą z przestachu, usiłując przeciąć wodę w skos i wyostać się na brzeg. Wśród hipopotamów suną podobne z dala do kłód drzewa krokodyle. Daleko, daleko, niewidoczni dla oczu. na wysokim brzegu stoją ludzie. Patrzą w bezmownej rozpaczy. Oto Ojciec Rzek niesie swój coroczny dar wilgoci i żyznego mułu, lecz z rozkazu sułtana wzdłuż całej rzeki zamknięte zostały kanały rozprowadzające wodę do zbiorników i cały impet rzeki pędzi nieużytecznie ku Delcie, by rozlać się w morze. Tak sułtan kazał. Wola sułtana jest wolą Proroka. Ten rok będzie rokiem głodu.

Głód skosi ludzi, lecz woda zatopi zuchwałych i pysznych Franków. Wielkie jest imię Proroka!

Stłoczone szeregi wojska patrzą w osłupieniu. Podłużne wzgórze, na którym rozłożyli obóz, jest z trzech stron otoczone wodą. Nil oraz odnoga jego, Bar-al-Sagir, rozszumiały, rozlane, łączą się poniżej Szaramszah. tworząc już dalej jedno wielkie morze. Wąski grzbiet ziemi łączy obóz z suchym łądem, wijąc się wprost w górę Nilu.

Przez milczące, zmartwiałe szeregi przelatuje konno legat jak czerwony płomień. Ręką ukazuje na południe.

— Naprzód! — krzyczy — naprzód! Nic nam innego nie pozostaje!

Co do tego nie ma dwóch zdań. Nic innego nie pozostaje rzeczywiście. Woda huczy. Pasemko grzbietu zwięża się z każdą chwilą. Grunt podmaka.

Spiesznie zbierają się wojska do pochodu. Wozy mają pozostać. Kardynał rozkazuje sprawdzić ich zawartość. Co się znajdzie żywności, rozdać ludziom, cenniejsze lub niezbędne przedmioty wziąć ze sobą.

— Co pocniem z tą skrzynią mistrza astrologa? — pyta pachołek brata Filipa, kapelana.

— Święty patronie mój, Apostole! Mogęż ja wiedzieć, co jest w tej skrzyni? Dlaczego mistrz astrolog sam się o nią nie zatroszczy? Ani jego, ani mistrza Scholastyka nie ma... Święty patronie, czy znowu gdzie nie poleźli i woda ich nie zalała?!

— Więc co z tą skrzynią? — dopytywał pachołek.

— Bo ja wiem, bo ja wiem... Wypadnie zostawić... Nie weźmiemy jej przecie na koń. Jego Dostojność przykazał, by nic nie zabierać. Obacz no, co tam jest...

Stroskany brat Filip wrócił do swego zajęcia. Pachołek podważył toporem wieko skrzyni. Odkoczyło. Spojrzał w głąb i zadziwił się.

A cóż to za maskara?!

Poruszył. Lekkie. Dotknął. Twarde. Dziw, dziw, jakby człowieka spowili. Ano, warto zobaczyć, co w środku.

Spróbował kozikiem. Nie szło. Zaostrzył go gładko o kamień i jął znów rozpruwać pracowicie.

— Wielaż tych powijków!...

— Jezusie Nazareński! — wrzasnął nagle przeraźliwym głosem. Rzucił kozik i puścił się pędem. Nie zawróciłby, nie spojrzął ponownie za żadne skarby świata.

— Czego ten znów wrzeszczy? — zdziwił się brat Filip wychodząc z namiotu. — Gadzina go ukąsiła? Poleciał jak oparzony, latawiec...

Nachylił się ciekawie nad rozwartą skrzynią i twarz mu nagle zszarzała. Ze zdławionym piskiem uciekł nie mniej szybko od pacholka. Ręce mu się trzęsły. Ukląkł w namiocie, próbując się modlić. Lecz na modły nie było czasu, bo już trąby grały. Trzeba co szybciej kończyć składanie przyborów mszalnych. O Boże, o wielki Boże!...

Pomimo trąb i pośpiechu zbiegają się zewsząd ciekawi. Pacholek szcękając ze strachu zębami zdążył już im odpowiedzieć, że na wozach Jego Dostojności księdza legata, w skrzyni astrologowej, znajduje się pogańskie przekłete truchło... Leży jak żywe, patrzy na człowieka, pewnikiem upiór. Święci męczennicy, upiór!... Co z nim teraz począć? Najlepiej spalić, żeby nie pogonił za wojskiem i zguby nie naprowadził. Ale na rozniecenie ognia nie ma czasu. Żebyż choć ksiądz kapelan wodą święconą skropił i egzorcyzmy odprawił!

Lecz brat Filip nie chce słyszeć o tym. Ucieka co szybciej, tuląc do piersi puszkę i kielich. Zresztą naprawdę nie ma czasu. Trąby zwołują coraz natarczywiej. Ustawiają szeregi. Na konie wyprężone z wozów siada po dwóch pieszych. Każdy z rycerzy bierze jednego giermka za siebie. Piesi, dla których nie starczyło koni, nadążają z tyłu. Konnica puszcza się cwałem. Legat i wszyscy rycerze sądzą, że sułtan jest zaskoczony powodzią równie jak oni i że nagłym uderzeniem oszołomią go i złamią. Byle natrzeć jak najprędzej!

Nie minęły dwie godziny, a na otoczonym rosnącą wodą wzgórzu nie ma nic prócz wyprężonych wozów, porzuconych namiotów i rozwartej skrzyni, w której zewłok człowieka zmarłego przed kilku tysiącami lat spogląda w to samo co za życia niebo.

Niedługo trwa pochód wojska krzyżowego. Nie dalej niż dwie mile za Szaramszah drogę przecina wysoki, potężny mur obwarowany wieżami. Zajmuje cały grzbiet, sięga od fali rozlanej

do fali, od Nilu do Bar-al-Sagir. Ten mur, te wieże, to niespodzianka sułtana, to owoc jego pozornej bezczynności. To twierdza warowna wzniesiona w ciągu ostatniego półrocza nazwana dumnie Mansurah. Zwycięska.

Jużcić, nie jest ona równa basztom i szańcom Damiety. Nie należy do rzędu twierdz niemożliwych do zdobycia. Przecie, by ją osiąść, trzeba mieć beluardy, katapulty, drabiny, ogień grecki. Trzeba mieć przede wszystkim wojsko zaopatrzone i c z a s . Krzyżowcy nie mają nic. Głodne konie, głodni ludzie, żadnej możliwości zdobycia żywności. W ręku gołe miecze. Za plecami woda.

Nie z tym się kusić o zdobycie murów! Równie byś szedł z kijaszkiem na lwa, z pomiotłem na orężnego!

Mury owe tak nagle stanęły przed nimi, że zrazu nie wierzą oczom. Wszakże słyszeli, że na tutejszych pustyniach, tych niedalekich i płowych, ukazują się oczom widziadła, obłudy, grody lub gaje nie istniejące. Może i ta twierdza, o której nie wiadano, nie słyszano, jest takim samym omamem? Może rozwieje się w tuman, gdy podjechać bliżej?

...O nie, nie rozwiewa się. Sypie rojowiskiem strzał.

Zamknięta droga. Legat, mało doświadczony wódz, nie wysłał przodem podjazdów ani szpiegów, a de Brienne, zawziąwszy się, że nic doradzać nie będzie, nie przypominał o tej koniecznej ostrożności. I teraz oto stoją przed obojętnym murem, przeszkodą nie do przebycia, a po obu stronach woda wciąż przybiera. Powietrze cuchnie rybami, mułem i parną wilgocią. Głód daje się już porządnie we znaki. Rycerstwo milczy, za to pospólstwo nie żałuje gardła. Huczy i szumi jak woda. Burzy się przeciw swym wodzom. Jedni wołają: „Upiora pogańskiego wozili ze sobą na zgubę nas chrześcijan! Na wozie go trzymali dla czarów! Przez te obrzydłe praktyki zginiemy!” A drudzy: „Co tam zewłok pogański znaczy?! To kara Boża, że o dzieciątkach zaginionych zapomniano! Zamiast odzyskać Ziemię Świętą, tuśmy się bawili, nie wiedzieć po co i dla kogo!... Egiptu nam się zachciało! Za to nas Bóg chce zatopić, jak one niewiniątka zatonęły!..”

Po raz pierwszy od początku wyprawy legat wzywa do siebie rycerstwo na Radę. Idą niechętnie, bo o czym tu radzić? Kto nawarzył piwa, niech je sam wypije. Niemniej z mimowolnym podziwem patrzą na Pelagiusza, który się jeszcze nie ugiął, jeszcze ma władczy głos i rozkazuje jak wódz.

— Wyślemy — powiada — poselstwo do sułtana al-Kamila. Jak dobry rycerz rycerzom, niech da nam pole i bije się z nami.

Myśl jest dobra i mimo urazy rycerstwo przystaje na nią jednogłośnie. Zresztą innego wyjścia nie ma. Panowie Szymon de Joinville i Aymar de Layron z Cezarei jadą ku twierdzy, otrębując się, że są posłami.

Wracają nadspodziewanie szybko. Sułtan nie jest w Kairze, jak sądzono, lecz tu, opodal, za murem. Z nim nieprzeliczone masy wojska, gdyż obaj bracia już przybyli z wielkimi siłami.

— Wiedli nas w paradzie przez cały obóz aż do namiotu sułtana — opowiada pan de Layron. — Trzech ich siedziało sułtanów, al-Kamil pośrodku. Sprawiliśmy poselstwo, on zasie się śmiał. I rzekł: „Odpowiem, coście rzekli moim posłom, kiedym ja prosił o pokój: Nie przychodźcie do mnie więcej z taką mową!”

A gdyśmy nastawali, rozgniewał się i krzyknął: „Nie będę psuł swoich żołnierzy, gdy wasze ścierwa i tak krokodyle zjedzą!” Wtedy skłonili my się i odeszli.

...Krokodyle zjedzą! Ano, słusznie gadał, poganin przeklęty!...

Wojsko zawraca tym samym porządkiem, co przyszło. Mijają nie zatrzymując się porzucony rano obóz. Idą dalej wprost ku wodzie. Legatowi błyska bowiem myśl, że może Bartłomiej Doria, podesta, widząc, w jakim położeniu musiała się znaleźć armia, podpłynie bliżej z flotą. Będzie można przedostać się na okręty, choćby wplaw.

Rzeczywistość zdaje się potwierdzać tę nadzieję. Widać liczne, gęste zagłę. Nasi! Nasi! Lgnąc w rozmiękłym błocie, potem brodząc w wodzie, ludzie biegną, dają znaki, wyciągają ręce... Przebóg! To nie flota krzyżowców! To sułtańskie galery: korzystając z wysokiego poziomu wody przedostały się tu z jeziora Menzaleh i odcięły drogę. Nie ma już wyjścia, nie ma już ratunku.

Licząca przeszło dwanaście tysięcy ludzi armia kardynała Pelagiusza jest zgubiona, stracona nieodwołalnie, haniebnie. Nieszczęśliwsi niż ich ojcowie pod Hattin, nie mają nawet tej pociechy, by zginąć z orężem w ręku, w godziwej, choć nierównej walce. Z tymi skazańcami nikt nie myśli walczyć. Osłabli z głodu stoją po kolana w wodzie. Niektórzy kładą się w mule. Niech się dzieje, co chce. Im prędzej zginą, tym lepiej.

Reszta z wysiłkiem wyciąga nogi z bagniska, zdąża po raz trzeci ku porzuconemu obozowi. Koni większość ustaje, pada w błocie. Żołnierze dorzynają je natychmiast, sprawiają, wywlekają mięso na suchszy grunt. Za odchodzącymi pełzną krokodyle. Wyłażą z wody coraz to liczniej. Zwierzęcym instynktem czują, że ci ludzie to żer dla nich. Następują natarczywie, coraz trudniej je odganiać. Koło każdego padłego konia toczy się walka równie zgłodniałych ludzi i jaszczurów. Niedługo życzenie sułtana się spełni.

Niby gromada widm oblepionych błotem i mułem rycerstwo wkracza do obozu. Wszystko w nim leży, jak pozostawiono. Namioty, wozy i skrzynia rozwarta.

Na prośby legata panowie de Nemours i d'Arcy idą z ponownym poselstwem. Straszno to iść niby pokutnicy, pieszo, pod palącym słońcem.

Wracają. Takie są słowa sułtana:

— Wypuszczę Franków, jeśli wódz naczelny sam stanie prosić o łaskę przede mną.

Panowie de Nemours i d'Arcy zdają sprawę z tego krótkiego posłania, po czym kładą się obojętnie na ziemi. Wyszły, czartowską sztuką utrzymany w całości trup pogański leży na wzgórzu i śmieje się z nich.

Kardynał idzie od swego namiotu do namiotu króla jerozolimskiego. Niełatwo mu przebyć te kilkadziesiąt kroków. Każdy krok znaczy się straszliwym ciężarem, każdy krok przydaje lat. Ileż dumy trzeba w sobie zdeptać, jak srogo samego siebie przełamać! Powoli legat idzie. Wchodzi do namiotu. Jan siedzi na ziemi z brodą podpartą dłońmi. Targają nim głód i rozpacz. Przygasłym, obojętnym wzrokiem spogląda na kardynała. Nie dziwi się jego przyjsciu. Nie dziwi się już niczemu. Wskazuje gościowi stołek i siedzi nieporuszony.

— Czy wiecie — pyta Pelagiusz — co odpowiedział sułtan? De Brienne kiwa głową na znak, że wie.

— Przyszedłem... przyszedłem prosić was, abyście...

Przełyka z wysiłkiem ślinę i kończy:

— Abyście za mnie poszli do sułtana...

— Nie jestem wodzem — odpowiada Jan.

— Nielekko przychodzi mi błagać. Ja was błagam...

— Sułtan chce mówić z wodzem. Ja nie jestem wodzem! Gdybym nim był, zamiast tutaj czekać śmierci, panowalibyśmy już w Jerozolimie. Nie pójdę. Zginę, bo zginąć muszę. Uniżyć się nie potrzebuję i nie będę. Czemuż Wasza Dostojność sam nie idzie?

Kardynał zasłania twarz dłońmi.

— Skruszyła mnie dłoń Pańska — wzdycha. — Uniżyłem się aż do ziemi, do prochu. Nic ze mnie nie pozostało... I nic mnie gorzej poniżyć nie może...

— Więc co tu długo myśleć? — mówi gburowato Jan. — Nie zastanawiać się, tylko iść!

— Mam godność duchowną! — woła Pelagiusz z rozpaczą. — Nie zdołam zdjąć mojej sukni, choćbym chciał. Jednem ona ze mną... Nie mogę przestać być kardynałem i legatem Ojca Świętego. W mojej osobie Kościół Chrystusowy będzie się upokarzał przed Mahometem!

— Ileż to razy — odpowiada gorzko Jan — ileż to razy, nie pomnąc swojej wysokiej godności, postępowaliście, panie, jak człowiek pyszny i hardy, nie kierujący się zgoła miłością bliźniego ni żadnymi zasadami Kościoła? Ileż razy słyszelim, jak powiadaliście, że cel pochwała każdy środek, a siła doczesna jest podstawą mocy Kościoła? Ileż razy upokarzaliście nas wszystkich, nie dbając o miłosierdzie zalecone przez Chrystusa Pana?

— Grzeszyłem. Winien jestem... Ale wy, chrześcijanin... Pomnijcie na Kościół!

I zanim Jan zdołał go wstrzymać, upadł na ziemię do jego stóp, wziął pyłu i posypał nim swą głowę. De Brienne drgnął. Wydało mu się, że runęła skała. Czerwona skała. Przejął go mimowolny lęk, jaki przejmują, gdy wali się coś, co z natury swojej zdawało się niewzruszalne.

— Wstańcie, Wasza Dostojność — rzekł. — Ludzie patrzą.

— Nie wstanę, aż się zlitujecie. Ludzie niech widzą. Patrzyli na moją pychę, niech patrzą na skruchę i karę. Nicem jest... Ale tu o Kościół chodzi! O Kościół!

Bez słowa Jan wstał i wyszedł z namiotu. Wrzała w nim burza myśli. Nie pójdzie, nie myśli pójść! Nie zniesie, by sułtan zeń się naigrawał. Ten niech idzie, kto zawinił. Kościół... Tu chodzi o Kościół. Jeśli znieważą Jana, znieważą rycerza. Jeżeli znieważą Pelagiusza, znieważą papieskiego legata. On, Jan, jest chrześcijaninem. Winien dbać o cześć Kościoła... Jednak nie pójdzie! Za nic! Najlepiej nie iść wcale! Ani legat, ani on... Nie upokarzać się. To i tak bezcelowe. Sułtan daruje życie krzyżowcom pod warunkiem, że złożą pokłon Prorokowi, lub inną hańbę wymyśli, od której lepsza stokroć śmierć, choćby tak nędzna jak ta, co ich czeka... Nie iść! Umrzeć z zaciśniętymi zębami!

Rozejrzał się wkoło po ciżbie otaczającej. Tłum zgłodniały, utyłany w błocie, wlepiający w niego błagalne, przerażone oczy. Słońce z góry pali żarem. Roje much natrętnie obsiadają leżących. Woda się wciąż podnosi. Dwanaście tysięcy ludzi znajduje się tutaj. Dwanaście tysięcy ludzi skazanych na powolną śmierć. Wymrą jak tamci w Damiecie, jeno tamci wyschli, a ci zgniją. Zaczynają już gnąć za życia. Nie uratuje się nikt. Umierając będą przeklinać wodzów, którzy dla swojej dumy nie chcieli próbować ostatniej deski ratunku...

...Mnie przeklinać nie będą — pociesza się Jan — bom ja nic temu nie winien...

I nagle niepojęta groza chwyta go za włosy. Tyś nie winien? Jenó kto?! Kto?! Kogo Ojciec święty chciał wodzem mianować?! Na kogo czekał?! Dlaczego nie ty dowodzisz krucjatą, tylko tamten dumny i zawzięty człowiek?! Zaprawdę, tyś jeden winien!

Z przeraźliwą jasnością dzieje ostatnich kilku lat przesuwają się przez głowę. Życie piękne, łatwe, według zasad trubadurów... Przekłeta trucizno poezji, wmawiająca ludziom, że miłość dwojga ludzi jest najwyższym prawem! O, pamięta on dobrze te wzniosłe zasady wyjęte z Kodeksu Amora: **M a ł ż e ń s t w o n i e m o ż e b y ć p r e s z k o d ą d l a k o c h a n k ó w . M i ł o ś ć j e s t p i e r w s z ą p o n a d w s z e l k i e p r a w a !** Pod wpływem tych zasad, w przekonaniu, że jest człowiekiem wolnym i może czynić, co chce, zaniedbał swoich obowiązków i przysięgi. I to zaniedbanie mści się na nim dzisiaj. To zaniedbanie stało się zgubnym upiorem, nie trup w skrzyni astrologa! W przeciwieństwie do tego, co głoszą trubadurzy, życie ma prawa twarde i surowe, z których nie lza się wyłamać. Grzech przeciw tym prawom namotał łańcuch następstw, co będzie włókł się za nim całe życie i poza życie. De Brienne dawno spocznie w grobie, a skutki jego błędu będą się toczyć po świecie, ściągając przekleństwa na pamięć winowajcy...

Wrócił do namiotu. Kardynał z licem zakrytym połą płaszcz siedział w dalszym ciągu na ziemi. W Janie drgnęło serce. Poczul dla nieszczęśliwego najżywsze współczucie i litość. Podniósł go z ziemi i posadził na stołku.

— Uspokójcie się, Wasza Dostojność. Jam tyle samo winien, co wy. Pójdę zaraz do sułtana.

Wyrwał z pośpiechem dłoń, którą kardynał Pelagiusz chciał ująć i ucałować.

Barwisty namiot przechodził w przepychu wszystkie baśniowe pojęcia o Wschodzie. Nie był to właściwie namiot, ale gmach rozkładany, z czterema wieżami, z siedemdziesięciu siedmiu komnatami, o ścianach z najdroższych jedwabi haftowanych w cudne wzory. W głównej, środkowej sali, której przednią i tylną ścianę podpięto dla przewiewu, siedział sułtan al-Kamil, mając po bokach obu swoich braci, al-Muzaama, sułtana Damaszku, Syrii i Palestyny, oraz al-Aszrafa, sułtana Mezopotamii i Edessy. Siedzieli w kucki na podgiętych nogach, strojni w olbrzymie turbany skrzące klejnotami, nieruchomi i poważni. Stojący za nimi niewolnicy poruszali bezszelestnie wachlarzami z piór. Jan szedł pieszo w swym zwykłym pancerzu i kubraku skórzanym, który Wilfryd jako tako oczyścił z błota. Dziesięciu rycerzy postępowało za nim. Twarze wszystkich były blade, brwi groźnie ściągnięte. Stąpali niby po rozpalonym żelazie.

Gdy podeszli, Jan skierował się wprost do sultana Egiptu, bez słowa podając mu miecz wyciągnięty głowicą w przód.

— Zachowaj twój oręż, królu — rzekł al-Kamil po łacinie z godnością — i usiądź przy naszym boku.

Z westchnieniem ulgi Jan zatrzymał miecz i zajął miejsce pomiędzy sultanem Egiptu a sultanem Damaszku. Niby natrętna mucha przeleciało przez głowę przypomnienie, że to właśnie ów al-Muzaam rozwalił mury Jerozolimy i twierdzę na górze Tabor, gotując się na rozkaz brata do oddania Ziemi Świętej Frankom. Zdusił w sobie zrywający się na tę myśl skowyt i mówił coś, sam dobrze nie wiedział co. O dwunastu tysiącach ludzi skazanych na śmierć...

— Nie ja ich skazywałem — rzecze sultan. — Chcecie ode mnie litości, gdy krew zmarłych w Damiecie krzyczy pomsty?!

— Tamci mogli się poddać, jak my się poddajemy.

Sultan rozdyma dumnie nozdrza.

— Mogli, ale tego uczynić nie chcieli.

Zapada długie, męczące milczenie. Jan ociera rękawem pot z czoła.

...Zaprawdę — myśli — wypijam kielich upokorzenia i goryczy do dna. Nic już gorszego spotkać mnie nie może...

I znów mówi o powodzi, której nikt wszak przewidzieć nie mógł. O tym, że nie przystoi rycerzom korzystać z klęski żywiołów, by pokonać wroga.

Al-Kamil spogląda na niego ze zdziwieniem.

— Dwa lata przeszło jesteście w Egipcie, a nie wiecie, iż Ojciec Rzek wylewa zawsze o tej porze? Nie klęska to, lecz porządek rzeczy.

Więc Jan milknie spuszczać głowę. I sam nie wie, po co tu jeszcze siedzi. I po co w ogóle przyszedł? Czarni niewolnicy wnoszą niskie stoliki zastawione bogato, pachnące korzennymi potrawami. W złocistych dzbanach wino, na kryształowych czarach sorbety. Sultan częstuje gościa. Gość patrzy przed siebie. Widzi żalosne obozowisko na podmokłej kępie, otoczone żółtą wezbraną wodą, obozowisko skazanych na śmierć głodomorów. Sultan, częstując go, daje do poznania, że nie uczyni żadnej krzywdy Janowi ni jego dziesięciu rycerzom, bo kto przełamał chleb pod dachem muzułmanina, jest przyjacielem i gościem, ale co będzie z tamtymi, z tamtymi...

Niewolnicy dolewają wina. Prześliczne, niedorosłe pacholeta wchodzą i poczynają tańczyć przed panami. Za nimi muzykanci i śpiewacy. Świetna to uczta.

Jeden z pieśniarzy wysuwa się na czoło. Bibars, dowódca wojsk sułtańskich, mówi do niego parę słów. Pieśniarz uderza w dziwaczny, brzękliwy instrument i rozpoczyna śpiew:

...Oblicze czasu rozjaśniło się. Twarze niewiernych zmierzchły i zwiędły jak liść pod upałem... Dusze ich zetlały, serca upadły, szatan ich odstąpił.

Wszyscy niewierni z ziemi Franków zebrali się pod Damiatą. Mieli jedną myśl, jedną wolę, jedną chęć — pognębić Proroka. Sądziło, że go zwyciężą. Przebyli morze, dosiadając okrętów jak koni...

Czym są dzisiaj, zapytajcie kopyt naszych rumaków, które mogą deptać po nich.

Allach okazał swoją sprawiedliwość. Czyż może znaleźć się w górze to, co powinno być w dole?

Jan de Brienne i jego towarzysze nie rozumieją słów arabskiej pieśni, lecz z niezadowolonego wzroku al-Kamila, z okrutnego uśmiechu Bibarsa, z rozweselonych spojrzeń sułtańskich braci domyślają się, o czym mowa, i sorbet więźnie im w gardle.

Dość tej gry! Wiedzieć nareszcie, czy uprosi się łaskę lub daremnie znosi upokorzenie. Patrząc wprost w twarz sułtana, Jan mówi:

— Tam jest dwanaście tysięcy ludzi, którzy nie chcą nic innego, jeno móc wrócić do swojego kraju...

Al-Kamil milczy.

— Po co z niego tu przybyli? — porywa się gniewnie al-Aszraf.

— Odebrać Ziemię Świętą nad wszystko nam drogą — odpowiada Jan.

Al-Kamil obraca się ku niemu.

— Oddawałem ją wam dwukrotnie, nie chcieliście przyjąć. Nie zależało wam na Ziemi Świętej, lecz na egipskich bogactwach.

Milczenie. Trzeba się napić wina, by zdusić zrywający się znów w duszy skowyt. Ma prawo sułtan tak mówić, ma prawo!

Al-Kamil zabiera głos.

— Posłuchaj, królu, słów moich! Przysięgłem na utrudzone sandały Proroka, że żaden z was żyw stąd nie odejdzie. I dotrzymałbym tej przysięgi. Darmo korzyłybyś się przede mną. Był tu u mnie jednak przed niedawnym czasem człowiek pewien z waszego obozu... Słyszeliście o tym?

— Słyszałem, owszem — powiada zdziwiony Jan. — Wiem, że przyszedł, nie opowiadając się u nas nikomu, i wrócił. Mnich. Zowią go Franciszek...

— W zachowaniu jest u was?

— To biedaczyna bez znaczenia. Skąd by mógł mieć zachowanie?! Większość u nas uważa go za człowieka niespełna rozumu. Prawda, że nasz Ojciec święty, papież rzymski, bardzo go podobno ceni...

— I ja go cenię — rzecze poważnie al-Kamil. — Gdzie on jest teraz?

— Pojechał do Ziemi Świętej korzystając z waszego zezwolenia.

— Rad bym go jeszcze kiedy zobaczyć. Otóż wiedz, królu, że tylko dla niego, jedynego chrześcijanina, jakiegom w życiu spotkał, którego czyny wierze nie kłamią, gotów jestem darować wam życie. Tylko dla niego! Chcę, żeby mnie dobrze wspominał. Przeto daruję wolność nie tylko wam, ale jeńcom chrześcijańskim, którzy tu są u mnie. Możecie ich wszystkich zabrać. Niewolników mam i tak dość.

Jan skłania w milczeniu głowę. Ponury Turek Bibars czyni gest zniecierpliwienia. Po twarzy giaura domyśla się, że Frankowie otrzymali łaskę, i czuje się z tego niezadowolony.

— Taką jest moja wola, Bibarsie — powtarza sułtan z naciskiem. — Niewierni mogą odejść.

Zwraca się znów do Jana:

— Woda za kilka dni opadnie. Wtedy odejdziecie. Żywności każę wam przywieźć dziś jeszcze. Allah jest wielki!

— Allah jest wielki! — powtarzają obaj bracia pochylając głowy.

Rozdział trzynasty

Prawo życia

Jan de Brienne jechał stępą, nie zwracając uwagi na gniewne okrzyki, skargi i narzekania ulicznej gawiedzi. Dwa tygodnie czasu dał sułtan Frankom na opuszczenie Damiety, na opuszczenie Egiptu w ogóle. Wśród osiedleńców, przybyłych tłumnie z Europy na wezwanie legata, panuje rozpacz nie do opisania. Szczególnie kupcy genueńscy nie posiadają się ze złości. Niektórzy zabiegają już cichaczem o łaskę sułtana, gotowi się poturczyć, byle móc pozostać. Inni, mniej przedsiębiorczy lub uczciwsi, lamentują. Kobiety zawodzą. Sprowadzono je z dziećmi, a

teraz muszą uciekać, a do czego wrócą w kraju?! A gdzie się podzieją?! Jak zwykle w takich razach tłum szuka winowajców. Kardynał zniedołężniały, złamany nie pokazuje się wcale. Nie opuszcza pokładu swej wielkiej galery, z której już zdjęto purpurę. Odziany w pokutne szaty, pyszny do niedawna legat modli się całe dni, pisze listy do Ojca świętego, w których po niezliczoną ilość razy oskarża sam siebie, płacze. Całą władzę przekazał Janowi de Brienne. De Brienne kieruje opróżnianiem miasta, odjazdem wojska i osadników. On też wysłuchuje soczystych wyzwisk i przekleństw.

Jadący z tyłu Wilfryd zaciska zęby. Widać, że go pięści świerzbią. Lecz król jest tak obojętny, jakby obelgi nie docierały do jego świadomości. Nie docierają istotnie. Głębsze są jego zmartwienia. Przekleństwa umysłu ludzkiego to pamięć, to możność wyobrażania sobie, co by było, gdyby postąpiło się inaczej. Ta zhora czepliła się Jana. Ta zhora go nie opuszcza. Nieustannie widzi przed sobą obraz Ziemi Świętej już odzyskanej, ocalonej, i znów utraconej. Utraconej bezpowrotnie. Bo próżno oczekiwać nowego cudu, nowej dziecinnej krucjaty, która by zagrzała ludzi. Cuda się nie powtarzają. Splot wyjątkowo szczęśliwych okoliczności towarzyszących tej wyprawie, nie wróci również...

Zmęczony i udręczony, jechał do jedyne go człowieka, z którym mógł mówić otwarcie, do Blanki. Nie widział jej dawno. Po przyjeździe spod Szaramszah — raz tylko i to przelotnie, przy ludziach. Ostatnio zatęsknił za nią. Jeżeli nie przeszła miłość, to popełniona wspólnie wina łączyła ich przecież ściśle.

Podobnie jak legat, grabini Szampanii przeniosła się już na pokład galery. Nie czuje się jednak złamana ani ugięta. Boleje nad haniebnym wynikiem wyprawy, lecz w głębi duszy żywi przekonanie, że wszystkie te sprawy tylko pośrednio dotyczą jej i Jana. Oboje żyją, a to najważniejsze. Jeszcze się los ich ułoży.

Ta nadzieja skryta sprawia, że mniej się postarzała, mniej zmieniła niż Jan. Co prawda nie brnęła w mule, nie patrzyła na głodomorów i nie potrzebowała wypraszać łaski sułtańskiej. Te rzeczy dodają lat. Blanka ich nie zaznała.

Nie jest wprawdzie równie smagłą i gładką jak przed trzema laty, pozostaje jednak piękną, gorącą kobietą. Na widok kochanka oczy jej promienieją. Rumieni się jak młoda dziewczyna.

...Kochanek!... Siwy jak gołąb, szerniały i wychudły Jan uśmiecha się wyrozumiale. Zamiast zachwycać — zda się jakby go razila jej trwająca pomimo wszystko uroda. Przyszedł, by się uzalić, wyjawić, co go tak dotkliwie dręczy, ona zaś zdaje się oczekiwać zgoła innych wyznań.

Światem jej po dawnemu tylko on. Zakłopotany, zaczyna rozmowę o rzeczach obojętnych. O astrologu Jakubie Pochard, który przepadł bez wieści. Woda musiała go zalać.

— Pan małżonek bardzo się tym zmartwi — mówi Blanka. — Zawsze powiadał, że lepszego astrologa nawet w Paryżu nie mają.

— Może lepiej, że się stracił — zauważa Jan — bo pospólstwo strasznie było na niego zawzięte. Nie uszedłby i tak z życiem. Dziwna to była historia. Sekretarz legata, Scholasticus, wasz astrolog i bakałarz jeden, co plątał się u mnie przy dworze, stowarzyszyli się razem i łazili nieustannie po okolicy wyszukując pogańskich różnych zwalisk i napisów. Legat krzyczał na swojego sekretarza i groził, że go odeśle, a oni nic. Jakby ich bies opętał. Nie dosyć na tym. Trupa pogańskiego skądś wywlekli i trzymali w skrzyni. Pod Szaramszah go ze sobą powieźli...

— Toż fetor musiał być — krzywi się Blanka.

— Fetoru nie było, bo trup to był zasuszony, mógł tysiąc lat leżeć, kto go wie, może i tyle leżał... Tutaj zowią takie mumią... Gdy nas woda objęła, a ludzie, otworzywszy skrzynię, odkryli to padło, dalejże krzyżeć, iż upióra wozim, że z jego przyczyny powódź i takie hałasy. Nie żywiliby astrologa, gdyby się wtedy pokazał. Ale on wówczas musiał już być na sądzie Bożym...

— Może i prawdę gadali, że upiór powódź przywołał? Nasz kapelan zawsze podejrzewał astrologa...

— Sam tak mniemałem, ale sułtan mi potem powiedział, że powódź to zwyczajna tutaj rzecz co roku...

Umilkł marszcząc boleśnie brwi. Domyśliła się, że zakłuło go wspomnienie bytności u sułtana i połączonego z tym upokorzenia.

— Poszedłeś tam, by ocalić innych — szepnęła serdecznie. — Poświęciłeś się dla nich... Każdy wie, że gdyby tylko o ciebie chodziło, nie ruszyłbyś palcem, by życie ratować. Straciłabym cię... Co za szczęście, że oni tam byli!

— Nie myślałem o tym — odparł. — Zamilkłem, bo gdym rzekł, że mistrz Pochard już na sądzie Bożym, przyszło mi do głowy, kiedy ja też przed tym sądem stanę, a to nie jest lekka myśl...

Spojrzała zaskoczona. Nigdy dotąd nie słyszała podobnych słów u swojego Jana.

— Przecież nic z tego, co się stało, nie wynikło z twojej winy — rzekła z przekonaniem.

— Nic? Przeciwnie, Blanko! Wszystko jest z mojej winy, rozumiesz, wszystko!

Cofnęła się przed bólem brzmącym w jego głosie.

— Nie widzę, w czym byś zawinił.

Bez odpowiedzi Jan przygląda się jej długo. Patrzy na twarz, szyję, oczy... Te same to rysy, te same lica, które go tak czarowały, rozpały. Ta sama Blanka... Czemuż on się tak odmienił?

— Nie widzę, w czym byś zawinił — powtarza ona.

— W czym? Przeze mnie Ziemia Święta utracona. Namówiłem cię, byś rzuciła męża, ja. Zaniebaliśmy dowództwo wyprawy, świata dla ciebie zapomniawszy. Żona przeze mnie umarła. Śmierć jej na moim sumieniu cięży.

Słuchała stygnąc.

— Mieliśmy prawo tak uczynić — zapewniła.

— Ja też dawniej w to wierzyłem. Prawo! Dziś sądzę, że takie prawo nie istnieje. Jest tylko jedno prawo: Boże. Twarde prawo.

Blanka zacisnęła usta. Kto coś podobnego mówił? Te same zupełnie słowa? Ach, już wie. Wilhelm Divini, śmieszny trubadur, co najpierw patronował ich miłości, potem został mnichem i błagał ją, by zwracała do Troyes wyrzekłszy się szczęścia. Odepchnęła go z gniewem jako głupca i szaleńca. Przypomniała sobie żywo tę chwilę: Siedział na ziemi, trzymając się oburącz za głowę, pocieszny w swym worku-habicie. Ten dawniej strojny, świetny i miły Divini... A teraz Jan, jej krzepki rycerz, powtarza to samo! Zbuntowała się jak wówczas.

— To, co powiadasz — rzekła cierpko — mówił mi trubadur Divini zostawszy mnichem.

— Divini także? — zadziwił się Jan. — Różnymi snadź drogami ludzie dochodzą do tej samej prawdy. Bo to j e s t prawda.

Broniła się jeszcze uporczywie.

— Jesteśmy wolni ludzie. I miłowaliśmy się...

— Nie jesteśmy wolni. Gdybym dawniej o tym wiedział, Jerozolima byłaby odzyskana. Grób Święty w naszym ręku... Imię moje wspomniano by wiecznie jako tego, co się do przywrócenia wolności miejsc świętych przyczynił... To się już nigdy, nigdy nie stanie...

— Przecież nie z twojej winy wojna przegrana!

Poruszył dłonią zniechęcony.

— Cóż mi z tego, że powszechność winić będzie legata, nieszczęśliwego człowieka, do którego nie czuję już ni żdźbła niechęci albo urazy? Wiem, że winowajcą jestem ja, i tego nic we mnie nie zagłuszy...

— Kochaliśmy się przecież! — zawołała z rozpaczą. Okrzyk ten był zarazem usprawiedliwieniem, uzasadnieniem i wytłumaczeniem. Kochaliśmy się... To słowo czyż mu już nie wystarczyło?!

— Kochaliśmy się — powtórzył rycerz jak echo. — Cóż stąd? Kocham cię i dziś. Kocham cię jak samego siebie, jak swoją własną, najistotniejszą część. Tracąc się cierpiałbym równie, jakbym tracił rękę lub nogę...

Milczał chwilę, ciszej dodał:

— Ale bywa, że człek mówi: wolej bym nie miał ręki czy nogi, niż uczynił, com uczynił!

Zachwiała się jak podcięta. Wpatrzyła się w niego rozszerzonymi oczami. On pożałował tych słów.

— Tyś niczemu nie winna — rzekł miękko. — Gdybym nie ja, zostałabyś w Troyes. Żyłabyś tam spokojnie dotychczas.

— To nie było życie — szepnęła głucho.

— A czym jest twoje bytowanie tutaj od dwu lat?

Wstał i znużonym krokiem chodził po pokładzie. Wodziła za nim oczami, krzepiąc się do dalszej walki. Nagle zatrzymał się przed nią.

— Chyba tam powrócisz, Blanko?

Zatrzęsa się. Nie chciał jej już?! Nie miłował?!

— Miłuję cię, jeno inaczej. Jakże bym cię nie miłował? Jesteś jedynym człowiekiem, z którym mogę mówić szczerze. Jedynym moim przyjacielem. Zrośliśmy się w jedno. Gdy odjedziesz, zostanę przeraźliwie sam. Jednakże mówię ci: wróć! Tak trzeba.

— Nie wrócę za nic — syknęła przez zaciśnięte zęby. — Mąż, a za nim inni pomyśleliby, żem ci się sprzykrzyła, żeś mnie odprawił!

— Dbasz jeszcze o to, co sądzą ludzie? Ja nie. Blanko, nie jesteśmy młodzi oboje. Czas nam myśleć o odpowiedzialności.

— Nie chcę myśleć o niczym, co nie jest tobą i mną! Jesteś śmieszny jak ów mnich trubadur, który stał się świątobliwy i drżący przed grzechem na starość! A może — dodała kąśliwie — boisz się, że będę wymagać od ciebie miłości, do której się czujesz zbyt wiekowy?

Cierpienie musiało go mocno przeorać, skoro się nie obruszył na te słowa.

— Nie, Blanko — odparł spokojnie. — Boję się tylko o d p o w i e d z i a l n o ś c i .
Odpowiedzialności za życie. Rozumiesz?

Nie chciała zrozumieć. Trzęsła uparcie piękną głową. Chwytała się rozpaczliwie życia, miłości, nie była w stanie sięgnąć poza nie.

— Kocham cię więcej niż ty mnie, dlatego takie myśli mnie nie nawiedzają!

— Nie wiem — wyznał — nie wiem. To pewne, że troszczę się jednako o ciebie jak o siebie. Myślę o nas obojgu. Bóg świadkiem, że ciężko mi będzie samemu.

Znów się zatrzymał, zawahał i niby bezwiednie dodał:

— Ale i z tobą jest ciężko...

Policzki jej zapalały.

— Więc dlaczego tu przyszedłeś?! Odejdź!

— Nie chciałbym odejść zostawiając cię w żalu i gniewie. Czy nie zechcesz zrozumieć mnie, moja miła, droga?

— Nie jestem twoją miłą i drogą. Byłam nią kiedyś. Dawno. To było szczęście. Mówiłam wtedy: na potępienie pójdę, byle być z nim rok, dzień, bodaj godzinę!... Tak się stało. Byłeś mój. Nie było dla ciebie nic poza mną. Nie miałeś wtedy skrupułów ani obawy. To było szczęście. Więc nie narzekam. Niech się stanie. Jestem gotowa.

Spojrzał na nią z przerażeniem.

— O czym ty mówisz, o czym ty myślisz, niewiasto?!

Roześmiała się śmiechem, który brzmiał jak łkanie.

— O niczym. O tym, jak bywaliśmy szczęśliwi. Pomnisz, gdyśmy chodzili nocami pod górę Karmel? O tym myślę... I o tym, że twojego prawa, twardego prawa, jak powiadasz, nie chcę, nie uznaję! Nie prosiłam się na świat. Dlaczego mam mu podlegać? Dlaczego mam żyć spętana, piąć się ustawicznie pod jakieś urojone góry? Ja nie chcę!

— Ja też nie wiem, dlaczego — przyznał — ale pojmuję, że tak trzeba. Wymaga tego jakiś wielki Ład, jakiś łańcuch, którego ogniwami jesteśmy i ty, i ja...

— Nie chcę! — powtórzyła kładąc w to zapewnienie całą swoją siłę życiową i pasję. — Nie chcę!...

— Nie poradzisz nic twym niechceniem. Próżno przeciw ościeniowi wierzgać.

Potrząsnęła dumnie głową. Wstała i oparła się o burtę nie patrząc na niego. Woda już opadła, Nil płynął w zwykłym korycie. Ogołoczone z zieleni brzegi pokrywał gęsty, bury i cuchnący muł. W górze mewy krążyły z piskiem drapieżnym.

Spojrzała na niego, ręką równocześnie dotykając piersi. Odetchnęła z ulgą. Jest. Mały płócienny woreczek przyszyty do sukni. Chodziła po niego kiedyś w złą, wietrzną noc do wiedzmy Margochy. Chodziła po swój własny koniec, po swój kres. Miała usunąć inną, stojącą na drodze, a usunąć samą siebie. Jest. Nie zgubiła go. Doczekała się chwili właściwej. Ziemia skruszyła się na proszek, lecz mocy swej przez to nie straciły...

— Żegnaj, Janie — rzuciła w jego stronę przez ramię.

— Odejdę, skoro chcesz, ale jutro wrócę. Nie pozwolę ci odjechać, dopóki się nie porozumiemy. Blanko! Mielizbyśmy się w żalu rozstać?!

— Tak, tak — potwierdziła spieszenie — wróc jutro. Porozumiemy się na pewno.

Brzmienie jej głosu uderzyło go. Podszedł, ujął ją za rękę, którą trzymała na piersiach, jakby tam coś ukrywając.

Przytuliła się całym ciałem do niego.

— Kochałam cię bardzo, Janie.

— Boże mój! — krzyknął. — Jakże i ja cię kochałem!

Odsunęła się na krok.

— Dobrze, iż przyznajesz, że kochałeś niegdyś...

— Chwytasz mnie za słowa — sarknął.

— Cóż znowu! Więc już odchodzisz? Byłeś i tak bardzo długo. Gotowyś zapomnieć znów o jakimś obowiązku...

— Blanko! — zawołał z wyrzutem tak szczerym, że mało nie wybuchnęła płaczem.

— Daruj — szepnęła. — Idź... Gdy wrócisz jutro, będę już spokojna. Nie będę ci się przeciwiać...

— Zostań więc z Bogiem. Do jutra...

Chciał zbliżyć się do niej, objąć serdecznie na pożegnanie, odsunęła się jednak niecierpliwym ruchem, patrząc uparcie na wodę.

...Lepiej jej nie drażnić — pomyślał. — Przyjadę jutro i przekonam ją. To niemożliwe, by się nie dała przekonać. Skinął, by łódź po niego podpłynęła. Odjechał.

Gdy Tybald wpadł do komnaty, blady, pomieszany, niezdolny słowa przemówić, Jan dał znak ręką, by milczał. Nie potrzebuje mówić. On już w i e d z i a ł . Domyślił się natychmiast, od razu.

Czyż to nie było jasne? Czyż mogło skończyć się inaczej? W tej chwili uprzytomnił sobie, że przecież nosił tę świadomość od wczoraj. Że takiej właśnie wieści oczekiwał. Blanka nie żyje! Nie żyje! Mniejsza o to, czy do wody skoczyła jak małżonka rycerza d’Avesnes, czy się struła lub mizerykordią pchnęła. Istoty rzeczy to nie zmienia. Blanka nie żyje, a winnym tej śmierci jest on.

Dziwnym skojarzeniem przypomniało mu się, jak kiedyś w pałacu sułtana stwierdził, że jest zabezpieczony przed nieszczęściem, gdyż nic gorszego nie może go spotkać niż to, co go już spotkało. Jakże się mylił! Nie przewidział tej rzeczy najboleśniej, najgorszej, a do której sam się przyczynił. On był właściwym zabójcą, nie Blanka. Jak mógł odejść wczoraj, ją pozostawiając?! Przypomniał sobie słowo po słowie wszystko, co mówili: jej rozdrażnienie, bunt, potem pozorną nagłą obojętność. To wtedy powzięła swe postanowienie, a on się nie domyślił. Z ulgą odszedł, obiecując powrócić nazajutrz. „Zastaniesz mnie spokojną” — obiecała. Dotrzymała słowa. Ciało jej, tak żądne rozkoszy, uspokoiło się już na zawsze, lecz gdzie jest harda, dumna dusza Blanki, Blanka sama?! Czy potępiona, jak sądził o samobójcach d’Avesnes? Och, jak straszno o tym pomyśleć! D’Avesnes wyznawał, że był czasem bliski obłądu, a wszakże on niczym się do śmierci swojej żony nie przyczynił. Podczas gdy Jan... Jan ją opuścił. Więcej myślał o sobie niż o niej. — Przecież w naszym sporze ja miałem słuszość — próbował się bronić. — Miałeś słuszość — odpowiadało sumienie — lecz zarazem byłeś nią zmęczony. Nie z samej bojaźni Bożej płynęła twoja oziębłość... Zostawiłeś ją samotną, zrozpaczoną, nie dbając o to, jakie myśli ją opanują. Nie dbałeś o to, że szatan szczególnie pilnie krąży wkoło tych, co pozostają osamotnieni w rozpaczach!

Podniósł głowę, bo Tybald mówił coś od dłuższej chwili. Chłopak niewiele się zmienił przez ostatni okres czasu. Był to ten sam łagodny, niezdarzony niemrawiec, stworzony na rybałta, lecz nie na rycerza. Pobyt w Ziemi Świętej, potem w Egipcie minął nad nim bez głębszego wrażenia i wpływu, jeśli nie liczyć, że się opalił i dostał piegów na policzkach i na nosie. Należał do rodzaju ludzi, których historia mija obojętnie, zbyt nijakich, by zauważyła ich los, zły czy dobry.

Płaczliwym głosem opowiadał:

— Wczoraj mnie zawołała wieczorem i gadała długo i tak jakoś inaczej niż zwykle. „Chyba wrócisz do ojca, Tybaldzie, powiedziała, dość już masz pewnie wojaczki?” Ucieszyłem się okrutnie, bo dotąd ani wspomnieć nie pozwalała o powrocie. Pytam: „Kiedy rozkażecie, pani matko, żebyśmy wracali?” A ona: „Kiedy będziesz chciał”... Tak powiedziała, naprawdę: „Kiedy będziesz chciał”...

Powtórzył te słowa dwukrotnie, z najwyższym zdumieniem, dotąd bowiem nikt, a już najmniej matka, nie liczył się z jego chceniem lub niechceniem.

— Powiedziała: „Kiedy chcesz” i pocałowała mnie... I jeszcze dodała: „Wracaj, synu, do ojca”. I odeszła. Ażem w nocy spać nie mógł, myśląc, co się stało. Do zakonu pani matka idą, czy co? A ona widno przeczuwała swój zgon, nieboga... Zasnąłem twardo nad ranem, aż tu Genowefa przylatuje z krzykiem...

— Martwa już była? — szepnął Jan.

— Całkiem zimna i skrzepła... — odparł Tybald ocierając oczy. — Co to się stało?! Tak pomrzeć bez sakramentów świętych, bez księdza! Co kapelan powie? Co ojciec?! I ślubu nie dokonała, w Jerozolimie nie była!

— Ślubu nie dokonała... — powtórzył Jan jak echo.

— A taka się zdawała zawsze zdrowa! — biadał dalej Tybald. — Zdrowa i krzepka. Wiecie, wuju, w chodzie ja się zawsze prędzej zmęczyłem niż ona. Nigdy nie słabowała... I co się jej stało?! Co jej się stało?!

Usta mu drgały jak u dziecka. Płaczliwym głosem dokończył:

— A najgorsze wiecie, wuju, co? Oni, to znaczy Genowefa, opowiadają takie straszne rzeczy... Ja nic nie rozumiem. Ja nie wiem... Genowefa mówi, że pani matka, że się samochcąc otruła... Wuju!...

— To niemożliwe — rzekł Jan z wysiłkiem. — Skąd Genowefie podobne myśli przychodzą do głowy?

— Prawda, że to niemożliwe? Prawda?! Ja myślę, że ją coś ukąsiło. Może pająk?... Tu są podobno pająki, od których ukąszenia człowiek wnet umiera. A może napotkała gdzie bazyliżka... Bo i o bazyliżkach mówią, że się tu trafiają. Powiedziałem to Genowefie i rozniewałem się na nią, a ona: „Wasz wuj, Miłościwy Król jerozolimski, będzie wiedział, dlaczego pani tak zrobiła”. Wuju?!

Pułap walił się z łoskotem na głowę Jana, on opanował się jednak i spokojnym głosem odparł:

— Oszalała chyba ta dziewczka. Z żalu rozum jej się pomieszał, bo wiem, że bardzo była do nieboszczki przywiązana. Sam z nią pomówię i wypytam, co miała na myśli...

— Przecież to nie mogło być! — szlochał Tybald. — To byłoby okropne!

— Uspokój się. Twoja matka była czcigodną, bogobojną niewiastą. Nie popełniłaby nigdy podobnego szaleństwa. Słusznie przypuszczasz, że musiał być pająk albo bazyliżek...

— O, tak, tak... Nieprawdaż?!

— A z Genowefą sam pomówię — dorzucą de Brienne. W duszy myśli: Oto ciągnie się, ciągnie łańcuch skutków... Kiedy i gdzie się zakończy?

Rozdział czternasty

Straż Ziemi Świętej

Wspaniała bazylika Baldwina I, okrywająca Grób Święty i Golgotę wyniosłą kopułą, uderzała opuszczeniem. Kilku żołnierzy muzułmańskich, grających dla skrócenia czasu w kości, strzegło wejścia. Za prawo wstępu pobierali sutą opłatę, której wysokość zmieniała się zależnie od biegu gry i lepszego lub gorszego nastroju stróżujących. Uiszczenie opłaty nie stanowiło zresztą rękojmi bezpieczeństwa. Dawalo prawo wejścia do świątyni, ale nie pozostawiania tam w spokoju. Gdy nieliczni pobożni, których kieszenie były dość zasobne, by haracz opłacić, a odwaga dość wielka, trwali w modlitwie przed zrujnowanym, obdartym Grobem Pana — stróże muzułmańscy wpadali tupiąc, hałasując, wygrażając modlącym lub w oczach ich znieważając Grób. Był wprawdzie krótki okres czasu, gdy powszechnie mówiono, że Palestyna będzie zwrócona Frankom, a muzułmanie pośpiesznie opuszczali miasto. Wtedy buta stróżów świątyni znacznie osłabła. Przestali zamykać wrota, sypiać na Kamieniu Namaszczenia i starali się nawet zaskarbić sobie przyjaźń chrześcijan. Okres ten trwał jednak krótko, a nadchodzące wiadomości o sromotnej porażce Franków spotęgowały poprzedni nastrój nienawiści i pogardy. Przerażeni chrześcijanie kryli się na nowo po kątach grodu, znikali z powierzchni życia usiłując nie zwracać na siebie uwagi. Ujść niepostrzeżenie, nie wywołać nowych prześladowań i rzezi, było jedynym ich zadaniem i celem.

I nieraz tygodnie mijały, a nikt przy Grobie Świętym nie uklęknął, nie zapłonęło przy Nim światło.

To zastali Franciszek i brat Iluminat przybywszy do Jerozolimy. Okazywany przez brata Iluminata sułtański firman otwierał im wszystkie wrota. Otworzył też odrzwia świątyni. Wionęło z wnętrza duszne zatechłe powietrze. Nogi potykały się na powyłamywanej, dziurawej posadzce.

Z niezliczonych *ex-voto*, ofiar, darów, okrywających dawniej Grób Święty złotą łuską, nie pozostało ni śladu. Nie pozostała ani jedna lampa, ani jeden świecznik. Nagrobki królów jerozolimskich były pogruchotane i zniszczone. Jako ostatnia pamiątka kołysał się tylko u stropu kaplicy pęk strzał zawieszony tam niegdyś przez patriarchę, strzał, którymi butni rycerze zakonni,

joannici, obrzucali idących do kościoła księży. I tak jedynym śladem panowania Franków był ów dowód niezgody i braterskiej nienawiści, nie ustępujących nawet przed drzwiami kościoła.

Boczne kaplice zalegały gruz i rumowie. Potłuczone posągi zagrażały drogę. Lecz skała i wykute w jej caliznie łoże skalne, na którym spoczęło niegdyś Ciało Boga, i kamień, którego anioł odwalił w dzień Zmartwychwstania, nie zostały uszkodzone. Do nich ze łzami przypadli obaj pielgrzymi. Obejmowali szarą, chropowatą skałę, z uczuciem, z jakim strudzony, skołatany burzą żeglarz wpływa do błogosławionej przystani. Zaprawdę, to była przystań jedyna pewna i trwała, cel, do którego nieświadomie człowiek całe życie dąży.

Modlili się długo, ale nie za długo, bo trzeba było uprzątnąć i oczyścić kościół. Stróże patrzyli zdziwieni, nie śmieli jednak przeszkadzać, sądząc, że obaj derwisze mają prawo tu się rządzić, skoro tak śmieie sobie poczynają. Oni zaś gorliwie wynosili gruz i śmiecie, zmywali staplane ściany. Franciszek przypominał, jak to niegdyś odnawiał zrujnowany kościółek Świętego Damiana. — Zalim wtedy przypuszczał — mówił — że Pan nasz udzieli mi łaski, bym Jego własny Grób obmiatał?! O, bracie, jacyż my jesteśmy szczęśliwi!

Doprowadziwszy jako tako wnętrze do porządku, poszli na miasto wyszukiwać swoich. Prócz braci lazarystów, którzy nie ukrywali się wcale, niełatwe to było zadanie. Wielu chrześcijan wolało udawać, że są muzułmanami, niż wyjawić prawdziwą wiarę. Wstydił ich Franciszek za tę małoduszność i do odwagi zachęcał.

— Jeżeli nie przyznajecie się do Pana naszego — mówił — jakóż On przyzna się do was? Lecz jeśli śmiałym sercem otuchę swoją na Nim położycie, wspomni o was w dniu ucisku. Spójrzcie na braci lazarystów, jako bez obawy służbę swą spełniają!

— Lazaryści trędowatych pielęgnują — odpowiadało — przeto są zawsze potrzebni. A i to spytajcie, wielu ich wymordowano! Dość my się napatrzyli krwi, dość łez! Nie chcemy nic, kromia życia w spokoju!

— Lepszy niepokój za życia, a wieczny pokój i Łaska po śmierci niż odwrotnie — tłumaczył Franciszek i pomału przygarniał ludzi do kościoła. Niejeden, co turban już wdziewał, poszedł znowu czcić jawnie Ukrzyżowanego.

Oprócz Świątyni Grobu świadkami długich modłów obu braci były Wieczernik i Góra Oliwna, i kościół Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny, i w górach położony domek Elżbiety, gdzie ją nawiedziła Maryja. Wędrując po tych miejscach deptali wszędzie po gruzach kościołów starożytnych, przez Helenę cesarzową stawianych, a potem przez Persów zburzonych oraz nowych, świetnych, potężnych, wspaniałych, na wieki obliczonych, przez Baldwina I i następców

jego wznoszonych, przez muzułmanów obalonych. Walały się po ziemi potłuczone posągi, kapitele i kolumny, głazy leżały na głazach, łącząc się w jedno z kamienną przyrodą pustynnego kraju, co sam zdawał się być rumowiem i ruiną świata. Gdy patrzyli na te zwałiska, serce rwało im się z żalu. Leżące w gruzach świątynie były dziełem rozmachu twórczego i mocy. Wzniosła je duma zdobywców, co przyszli tu z dala, wędrowali lata w nieskończonych trudach, ponieśli nadludzkie ofiary i osiągnęli nareszcie swój cel: oswobodzili Ziemię Świętą, wypędzili Saracenów! Zdało się im w upojeniu, że są niezwyciężeni, że nikt ich stąd nigdy nie wyżenie. Z królewską rozrzutnością stawiali kościół za kościołem jako świadectwo swej siły orężnej, swych praw. Sto lat nie minęło, a cóż z tych ludzi, cóż z tych budowli ostało? Gruzy, gruzy i ta garść chrześcijan upodlonych, zastraszonych, nie różniących się wiele od Koptów egipskich! Takż był koniec wysiłku zbrojnego nieprzeliczonych szeregów? Temuż służyły zapał, wiara i nieporównane męstwo?!

— Hej, bracie! Jakże nietrwałe jest wszystko, co człowiecze! — wzdychał Franciszek.

Najwięcej i najchętniej przebywali w Betlejem, tam czując się najswobodniej. Obraz zniszczenia mniej raził, gdyż wielka Bazylika Narodzenia, stawiana przez pobożną cesarzową Helenę, była jedynym kościołem na całej przestrzeni Ziemi Świętej, który nie został zburzony ni swojego czasu przez Persów, ni obecnie przez Arabów. Chosroes ją oszczędził dzięki umieszczonej na przedniej ścianie mozaice przedstawiającej pokłon Trzech Mędrców ze Wschodu. Lśniące złotem i barwami, wiernie oddane szaty Magów ujednały dzikiego niszczyciela. Ten sam wzgląd powstrzymał może muzułmanów, dość że bazylika ocalała. Tylko wielki romański łuk wejściowy został zamurowany z pozostawieniem tuż nad ziemią niewielkiego otworu, przez który wierni wślizgiwali się do wnętrza jak lisy do jamy. To, by uniemożliwić Saracenom wpadanie konno do kościoła, traktowanie modlących, co wpierv często się zdarzało.

Wewnątrz bazyliki, na kolumnach z żółtego marmuru rozdzielających pięć równoległych naw, wyryte były podpisy krzyżowców z pierwszej krucjaty. Wpadłszy tu pod przewodem Tankreda zaraz po zdobyciu Jerozolimy, kuli je radośnie, posługując się puginałem, pobijając pięścią w łuskowanej rękawicy. Rozmiłowany w legendzie rycerskiej Franciszek odczytywał chwalebne nazwiska z uznaniem, a ze wzruszeniem spoglądał na mnóstwo bezimiennych krzyżyków stanowiących podpisy tych krzyżowców, co sztuki stawiania liter nie znali.

To było na wierzchu. Splendory mozaiki, długie nawy rozdzielone kolumnami i napisy. Poniżej leżała Grota. Serce i przyczyna istnienia Kościoła. Schodziło się do niej po kilku kamiennych wydeptanych schodkach. Niewielka, półkragła, częścią naturalna, częścią wykuta w

skale, stanowiąca niegdyś schronienie dla trzody. Pozostała taką prawie, jaką była w ó w c z a s . Krzyżowcy z odczuciem wielkości, które ich cechowało, nie zmienili nic w surowej, dostojnej prostocie miejsca Narodzenia Pana. Kamienne jasło do pojenia bydła, w którym Najświętsza Panna złożyła Dzieciątko, stało jak niegdyś pod ścianą. Przed niedawnym czasem tuż ponad jasłem jako jedyna ozdoba Groty znajdował się niewielki ołtarz, na którym w dniu uroczyste patriarcha odprawiał Mszę świętą. Że był szczerozłoty, zabrali go muzułmanie. I można było sobie wyobrazić, że nic nie zaszło na świecie od chwili, gdy pasterze zbiegli się tu nocą, zwołani blaskiem z tej Groty bijącym.

Nigdy jeszcze i nigdzie Franciszek nie odczuwał tak głębokiej radości życia jak tu. Gdy leżał w Grocie krzyżem na ziemi, głową przypadłszy do kamiennego jasła, gdy uprzytomnił sobie, że Pan nad wiekami spoczywał w tym żłobie jako Dzieciątko słabe i śmiertelne, a to dlatego, by ludzie grzeszni i ułomni mogli stać się dziećmi Bożymi — ogarniały go miłość i zachwyt tak wielkie, że sądził czasem, iż dusza się w nim rozerwie z nadmiaru uczucia. Niby człowiek nieprzytomny śmiał się i płakał, powtarzał z udręką: „Dosyć, o Panie mój, dosyć, bo objąć nie mogę!” To wykrzykiwał bez związku słowa jakby pieśni. Nie narodzone hymny rwały mu się z ust. Aż dobry brat Iluminat spoglądał na niego z niepokojem i cucił, przywracał do rzeczywistości i obowiązków.

Obowiązków zdążyło się nagromadzić sporo. Przykład Franciszka, jego gorące słowa pociągnęły za sobą opornych zrazu współwyznawców. Miał już pośród nich nie tylko przyjaciół, ale towarzyszy. Nową gromadkę Braci Mniejszych. W pierwszym rzędzie rekrutowali się oni spośród członków rycerskiego zakonu braci lazarystów, który to zakon jeden jedyny przetrwał na miejscu po upadku państwa jerozolimskiego. Co prawda, nie nowiną było lazarystom żyć w ciągłej trosce o życie. Wszakże najczcigodniejszy, najstarszy ten zakon, za cesarza Herakliusza założony, istniał bez przerwy i działał w Jerozolimie na długo przed zdobyciem Ziemi Świętej przez krzyżowców. Waliły się mocarstwa, a oni jednako pielęgnowali swych chorych. Przewroty polityczne, dni chwały lub klęski nie wpływały w niczym na zapal, z jakim oddawali się swym obowiązkom. Szczególnej pieczy doznawali od nich ci, których świat lęka się i brzydzi: przez Boga nieuleczalnie naznaczeni, trędowaci.

Ofiarni i bohaterscy, bracia lazaryści bardziej niż ktokolwiek inny byli przygotowani, by przyjąć i zrozumieć Franciszka.

Miał więc wkoło siebie gromadę przyjaciół dzielących jego myśli i uczucia, miał Grób Święty i Betlejem i czuł się bardzo szczęśliwy. Nie leżało w mocy jego i braci odbudować zburzone kościoły, lecz można było ruiny chronić i trzymać w czystości. Można było palić

światło przy Grobie, można go było mieć gałęziami palm, znosić Chrystusowi wielkie, wonne fiołki rosnące na Górze Oliwnej, lub drobne, różowe anemony. Posepni stróże w zawojach przyzwyczajali się do wesołej obecności Biedaczyny, a za nim do jego przyjaciół. Przestali zwracać na nich uwagę, jak się nie zwraca uwagi na ćwierkające ptaki. Zresztą Franciszek był tak niezmiennie serdeczny, uprzejmy! Tak ochotnie oddawał im užebraną dla siebie strawę! Firman sułtański, przyszyty pod połą brata Iluminata, wystrzępił się, zszarzał, a pieczęć wykruszyła. Nikt by już w nim nie poznał cennego, potężnego znaku. Zresztą był niepotrzebny. Od dawna, ku wielkiemu zadowoleniu Franciszka, nie używano go wcale.

Franciszek czuł się więc szczęśliwy i marzył o tym, by pozostać w Ziemi Świętej na stałe. Wprawdzie Bóg jest wszędzie przytomny, tu jednak obecność Boża stawała się niejako bardziej namacalną, dostępną i zrozumiałą. Że stopy Jego odbijały ślad na tych kamieniach, że głos Jego rozlegał się pośród tych murów, że w cieniu tych drzew lękał się i płakał jak człowiek — czyniło Go bliższym i, jeśli to możliwe, jeszcze więcej drogim. I zdawało się nieraz rozmodlonemu Biedaczynie, że Betlejem i Golgota, kamienne Jasło i drewniany Krzyż — to dwa słupy firmamentu, dwu punkty, między którymi spoczywa cała treść i racja istnienia wszechświata. Kres wszystkiego i początek.

Tak stały rzeczy, gdy nieoczekiwanie zjawił się przed nim w stroju Araba Jan a Capello, niewolnik sułtański, pożegnany w Egipcie u bramy Damiety. Franciszek, który go często najczulej wspominał, ucieszył się na ten widok niewypowiedzianie.

— Braciszku! — wykrzyknął, wyciągając ręce ku niemu.

Jan uśmiechnął się. Wspomniął, że tak właśnie wyobrażał sobie kiedyś, w chwili najcięższej walki z sobą samym, powitanie Franciszka. Jeno to, co wydawało się nieznośnym, gdyby czuł się winowajcą, zmieniało się w słodycz samą, skoro przyszedł radośnie, serdecznie, z podniesionym czołem.

— Ubrałem się w to, by zmylić strażę — mówił zdejmując zawój z głowy. — Po arabsku gadam tak dobrze, że nikt mnie nie pozna. Niewolnikiem już nie jestem. Jestem wolny. Sułtan odpuścił nas wszystkich, gdy zwalniał wojsko uwięzione w Delcie.

— O, niech go Bóg nagrodzi, tego dobrego sułtana! Jakże to się stało? Powiadaj!

— To się stało z twojego powodu, Franciszku. Tobie, nie komu innemu zawdzięczamy swobodę. Bo sułtan powiedział królowi jerozolimskiemu — a słyszało to wielu ludzi — że odpuszcza wojsko i nas przez wzgląd na jedyne prawdziwego chrześcijanina, jakiego w życiu spotkał... Mogłeś nim być tylko ty...

— Ja?! — wykrzyknął Franciszek i parsknął szczerym, niewstrzymanym śmiechem. — Ja?! Nie żartuj ze mnie, bracie. Biedny byłby sułtan, gdyby lepszego chrześcijanina nie zobaczył. Nie, nie... Musiał się bez waszej wiedzy spotkać z jakim świętobliwym pustelnikiem. To go przekonało. Co za szczęście... O, jaki Pan nasz jest dobry! A jak się stało, braciszku, żeś nie pojechał wprost do kraju, do swoich?

— Chciałem cię jak najprędzej zobaczyć — objaśnił Jan a Capello. — Wiedziałem, żeś w Jerozolimie, przeto przybywszy do Akry czekałem. Trochem się bał sam tu iść, jakoby w paszczę wroga z powrotem leżąc. Myślałem sobie: Przecie nie będzie u Grobu świętego wiekował i wróci, a wtedy którądy indziej nie pójdzie, tylko tędy. Byłbym tam jeszcze siedział, ale że przyjechał po ciebie z kraju brat Pietro, więc się odważyłem przyjść...

— Brat Pietro po mnie przyjechał?! Co się stało? Po co?!

— Nie chciał mi mówić, powiadając, że tobie samemu to powie. Zaufania do mnie nie miał, co i nie dziwota. Wie przecież, żeś od was uciekł. I widział mnie kiedyś z owym diabelskim Mikołajem i Wenecjanami. Więc tylko prosił a prosił, żeby cię rychło sprowadzić, bo, powiada, to są rzeczy ważne, najważniejsze...

— Pójdę zaraz — rzekł z westchnieniem Franciszek. — Tak tu dobrze u stóp Pana naszego, żeś zapomniał o tamtych moich braciach najmilszych. Wstyd mi, wstyd... Co się też mogło stać? Pójdę...

Jakoż tego samego dnia zebrał się do drogi, żegnając serdecznie brata Iluminata i nowo zebranych towarzyszy.

— Zostajecie, braciszku moi — mówił. — Pewno już do was nie wrócę, boć to szmat niełacnej drogi. Ciężko mi się z wami rozstawać, ale tamci jeszcze bliżsi, przyjaciele kochani. Więc ostawajcie w pokoju i opiece Pańskiej, a Grobu Świętego strzeżcie. Ustanawiam was stróżą Ziemi Świętej, jako prośbę serdeczną i nakaz przekazując, byście od tego stróżowania nigdy odwieść się nie dali: Będziecie tu żyć jak teraz. Bez oręża... Nie będzie was nikt chronił ani strzegł, ani osłaniał, tylko moc Pana naszego. I na nią jedną macie liczyć, a o żadną inną obronę nigdy się nie starać. I dla wszystkich macie zachować tę samą życzliwość i ludzkość, tak dla swoich, jak dla pogan, dla Arabów czy dla Turków, dla dobrych czy dla złych... I każdemu być pożytecznym i każdemu pomóc... A gdyby kto chciał znieważać Grób Święty, proście, by tego nie czynił przez miłość Chrystusa Pana... A gdyby nie posłuchał, połóżcie się wokół Grobu, powiadając: „Zabij nas i zniszcz ciała nasze, ale błagamy, nie ruszaj Pana naszego”... I jestem pewien, że jeśli tak postępować będziecie, zachowa was Pan i straż wasza przy Nim będzie trwała

tak długo, jak długo Mu się spodoba kształt widomy swego Grobu zatrzymać na ziemi. Jestem tego bardzo pewien. A przełożonym waszym i moim zastępcą ustanawiam brata Jana, świeżo przybyłego...

— Mnie?! Cóż znowu?! — zawołał były niewolnik z przerażeniem. — Ja nie chcę! Ja wracam z tobą do kraju!

— Bracie — odparł Franciszek uśmiechając się z tkliwością — bracie, kogóż naznaczę, jeśli nie ciebie? Jesteś najcenniejszy, bo doświadczony i wypróbowany. Komu pewniej mogę zaufać niż tobie, któryś tak wielkie i świetne zwycięstwo nad sobą samym osiągnął?

— Chciałem powracać do kraju! — bronił się Jan.

— Nie jestże tu nasza najdroższa ojczyzna i kraj? Musisz pozostać i braćmi kierować. Szczęśliwyś, że znasz arabską mowę! Wyuczysz jej resztę braci i będziecie mogli opowiadać tutejszym ludziom o Panu naszym i Jego dobroci. Gdy to posłyszą, a na uczynki wasze patrzeć będą, nawrócą się z pewnością. Przysporzycie dusz Niebu. Spójrz, bracie, jak cudownie Pan nasz wszystkim pokierował! A teraz klęknijmy, pomódlmy się ostatni raz spolem. Ojczy nasz...

Aczkolwiek Franciszkowi pilno było posłyszeć, po co go z powrotem do kraju wzywano, musiał się uzbroić w cierpliwość przybywszy do Akry, gdyż Pietro Cani poszedł zwiedzać miasto i nie można go było znaleźć. Powrócić miał dopiero nazajutrz. Siedzącego przy drodze Franciszka zobaczył i poznał Wilfyd. On też oznajmił jego przybycie swemu panu, gdy de Brienne późnym wieczorem powrócił z konnej przejażdżki.

— Jest ten brat, co w Egipcie był z nami i do sułtana chodził, a teraz z Jerozolimy przyszedł...

— Franciszek z Asyżu?! Przyślijcie go zaraz do mnie!

— Może by jutro rano, Miłościwy Panie? Już późna pora.

— Powiedziałem: dziś.

Zawstydzony Wilfyd pobiegł wołać Biedaczyny, a de Brienne powlókł się z wolna na swoje komnaty. Był zmęczony — mniej spędzonym pracowicie dniem niż czekającą go nocą, o której wiedział, że jak większość jego nocy będzie długa i bezsenna. Życie toczyło się na pozór tak samo jak dawniej, w pierwszym roku panowania. Rządził po staremu skrawkiem wybrzeża, mniejszym niż połowa włości grabiego Szampanii, a zwanym szumnie Królestwem Jerozolimskim. Kierował tym szczątkiem rozumnie, uczciwie i zapobiegliwie. Ze strony baronów

oraz wielkich mistrzów nie napotykał trudności, z jakimi borykali się dawni królowie. Szanowano go powszechnie i ceniono. Małeńka córeczka, królowna Jolanta, chowała się zdrowo. Zewnętrznie zatem nic się nie zmieniło na gorsze w ciągu ostatnich paru lat. Nic, co by usprawiedliwiało rosnącą melancholię króla.

Całe dni zajmowały mu sprawy państwowe. Wieczorem wyjeżdżał konno samojeden, nie znosząc, by mu towarzyszył ktokolwiek, i wracał o zupełnym zmroku. Starsi rycerze, niezadowoleni z tego obyczaju, przedkładali mu często niebezpieczeństwo, na jakie naraża siebie i państwo, możliwość zasadzki. Uśmiechał się na to lekceważąco, zapewniając, że śmierć kosi tylko tych, którzy się jej boją.

Przed chwilą właśnie powrócił z góry Karmel stanowiącej częsty cel tych samotnych wycieczek. Szczyt, z którego widać było całą Galileę i górę Tabor, poniżej skalna ostroga i stojący na niej, sumptem pana d'Avesnes wzniesiony, Kasztel Pielgrzyma. Wspomnienie chwil spędzanych tu z Blanką łączyło się w dziwny sposób z groźną sylwetką strażnicy mającej uzyskać miłosierdzie dla samobójczyni. Cóż ja wystawię, by ciebie, niebogo moja, ratować? — myślał de Brienne przejeżdżając stępą podle murów. Gdy te rozważania go opadły, próżno było marzyć za powrotem o śnie. Kładł się z wieczora, by pozbyć się obecności Wilfryda i pokojowców, a gdy zasnęli w przyległej komnacie, wstawał z łoża i chodził, chodził nieprzerwanie. Z kąta w kąt, z kąta w kąt, jak gdyby pędzony. Czasem przystawał przy oknie i patrzył na dachy domów lśniące w świetle księżycowym. Tak stał kiedyś, szukając wzrokiem dachu hospicjum, w którym zatrzymała się po przyjeździe Blanka. Okno umieszczone było nisko nad ziemią, futryna zaledwie sięgała kolan. Jeden z królów jerozolimskich, Henryk z Szampanii, wyleciał nocą przez podobne okno i zabił się upadając na płyty dziedzińca. ...Dziwiłem się zawdy — myślał Jan — że rycerz mógł stracić równowagę i tak marnie upaść, a otom sam runął z większej wysokości. — Po czym znów chodził, chodził godzinami. Stapał cicho, by nie zwrócić uwagi służby, ale ślady tych nocnych wędrówek widoczne były z czasem na kobiercu. Słała się na nim wydeptana, równa ścieżka. Widok jej nasunął giermkom przypuszczenie, że Miłościwy Pan odbywa w ten sposób pielgrzymkę. Prawdopodobnie do Jerozolimy. Ten sposób wypełniania ślubów był nieraz przecież praktykowany.

— Do Jerozolimy stąd nie tak daleko. Dawno by zaszedł, więc po cóż chodzi i chodzi?

— Musiał ślubować, że idzie do Rzymu.

Gdy Franciszek wszedł ze zwykłym swym pogodnym uśmiechem na twarzy, Jana uderzyło, że Biedaczyna nie zmienił się nic a nic. Był wciąż taki sam. Drobny, szary i radosny. Zdziwiło go to stwierdzenie. Ubiegłe lata przyniosły mu tyle zmian i goryczy, przeobraził się sam tak

gruntownie, że mimo woli zdawało mu się, iż czas ten dla nikogo nie powinien być minąć obojętnie. W sercu poczuł jak gdyby cień śmiesznej urazy. Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu.

— Przychodzisz, bracie, z Jerozolimy — rzekł w końcu de Brienne. — Opowiedz mi, coś tam widział: W jakim stanie znajduje się Grób Święty?

— Grób Pana naszego jest nie naruszony, tylko bazylika nad nim zrujnowana. Wszystkie kościoły w Ziemi Świętej są obalone i patrzeć na te ruiny to bardzo ciężki i bolesny widok. Nie uchował się ani jeden, wyjąwszy bazylikę Narodzenia w Betlejem.

Jan westchnął ciężko i zaczął chodzić po swojemu po komnacie.

— Sam nie wiem, czemu — wyznał — dawniej nie obchodziło mnie to tyle, co teraz. Żyłem tu przecież, panowałem i godziłem się z tym, że Ziemia Święta należy do muzułmanów. Miałem inne troski... Teraz zaś to mi spokoju nie daje. Ze zgryzotą myślę, że Święte Miejsca w poniewierce pozostają i opuszczeniu...

— Opuszczone całkiem nie są — odparł Franciszek wesoło — bom tam zostawił dobrą załogę, która nie podda się i nie zawiedzie.

— Coś zostawił?! — zapytał Jan, sądząc, że nie dosłyszał.

— Załogę. Gromadkę Braci Mniejszych, którzy tam do mnie przystali. Na razie jest ich dziesięciu, ale da Bóg, pomału ta liczba się zwiększy. Oni będą czuwać nad Grobem Świętym i ochraniać należyście...

De Brienne wzruszył ramionami pobłaźliwie.

— Wiele zrobią twoi bracia! Muzułmanie rozpędzą ich na cztery wiatry!

— Nie rozpędzą — zapewnił Franciszek z przekonaniem. — Utrzymają się i pozostaną. Więc o Grób Święty nie trapie się, panie królu. Nie opuszczony on, nie...

— Ale świątynia nad nim ograbiona i zniszczona?

— Pan nasz nie dba o splendory, jeno o miłość ludzką. A Bracia Mniejsi będą Go wiele sił miłować. Ich modlitwy zastąpią kopułę...

— Nie wierzę, by się utrzymali — westchnął Jan.

— Utrzymają się, gdyż nikt im nie będzie źle życzył. Bo tylko oręż wyzywa oręż, a siła drażni siłę. To zaś, co nie dba o ziemską ochronę, jest najbezpieczniejsze i trwałe...

— Na wszystko masz odpowiedź — zauważył de Brienne przystając. — Może potrafiłbyś wyjaśnić mi wiele rzeczy, które mnie dręczą. Nielekkie jest moje życie. Meczę się...

— Gdym was pierwszy raz widział, Miłościwy Panie, męczyliście się bardzo również...

— Pierwszy raz? — Jan zastanowił się. — Kiedyż to było? Pamiętam! Widziałem cię bujającego się na desce.

— To nie był pierwszy raz. Przypominam sobie zresztą i bujanie. Postąpiłem wówczas bardzo nieobyczajnie i wstydziłem się tego długi czas. Ale spotkaliśmy się wcześniej... Wy, panie królu, nie mogliście mnie widzieć, ja jednak zauważyłem was dobrze. Było to na popasie w gospodzie niedaleko Rzymu. Jechaliście do Ojca świętego otrzymać jerozolimską koronę, a ja z towarzyszami wędrowałem także do Ojca świętego po zatwierdzenie reguły...

Jan przetarł czoło. W pamięci zamajaczyła ówczesna rozterka. Jechał przyniewolony, zbuntowany, powtarzając co krok uparte, dziecinne: „Nie chcę!” a jednak jadąc dalej. Pomału przypomniawszy sobie nocleg i gospodę, zapach sera owczego i ziół, okno otwarte na szafirowy chłód nocy, na dole przy ognisku gromadkę ludzi. Drażnił go śmiech i głośnie rozmowa prostaków. Myślał: co może wiedzieć, co czuje to bydło? Uważał się za nieskończenie wyższego od nich. Dzielili ich przepaść. On, rycerz, jutrzejszy król, i ta przyziemna hołota! A dziś — dziś prawie pokornie spogląda na prostaczka, który tak go raził wówczas. Oczekiwał od niego rady i pociechy. W czym tkwiła tajemnica pogody i jasności tego dziwnego człowieka? Wydało się Janowi, że gdyby ją posiadał, zrozumiałby tym samym właściwy sens życia. Ów sens wyłaniał mu się chwilami, ukazywał, by znów zniknąć. Pojął już wprawdzie konieczność prawa, owego twardego prawa, o którym mówił Blance w czasie ich ostatniej rozmowy, lecz nie wiedział jeszcze, dlaczego prawo to ma być radosne i błogosławione...

— Widziałem was wtedy przez okno — ciągnął dalej Franciszek. — Chodziliście wzburzeni po komnacie, rzucając rękami i głową. Myślałem wtedy: Jakże cierpi ten biedny rycerz! I jakże chciałbym mu pomóc!

— Pomóż mi zatem teraz. Cierpię o wiele więcej niż wówczas. Nie jestem złym człowiekiem ani zbrojnym, a ciąży na mnie tyle win, że strach zbiera na samo wspomnienie. Najcięższa ostatnia: niewiasta jedna, którą do grzechu przywiódłem, umarła, sama sobie śmierć zadając. Mówiłem jej, że nie mamy prawa grzeszyć więcej, a ona buntowała się i wołała: „Dlaczego?! Jesteśmy ludzie wolni!” Nie umiałem jej wytłumaczyć, dlaczego i nie ocaliłem...

— Trzeba jej było litość i serce okazać jak dziecku małemu, boć tylko dziecko może nie rozumieć. Tylko dziecko powiada: „Wolę raczkować niż chodzić prosto, bo nauczyć się tego bardzo trudno”... Jeśli wół podda głowę pod jarzmo, orze ziemię, która urodzi dobry plon. Lecz

jeśli wół włóczy się samopas, ziemia pozostaje ugorna i nie wyda swojego owocu. Stworzył nas Pan nasz do wielkich i wspaniałych rzeczy, ale osiągnąć ich nie można bez wysiłku...

— Słuchając cię wszystko zda się proste — uśmiechnął się Jan. — W rzeczywistości przymus, który znosim, to łamanie człowieka...

— Ej, panie królu, chyba wyzwalanie?!

— Wyzwalanie?... Nie wiem... Muszę nad tym pomyśleć... Późno już... Jesteś pewno, bracie, strudzony... Pora ci spocząć... Obiecuj mi, że nie odejdziesz, nie zobaczywszy się przedtem ze mną jeszcze raz... Chciałbym dokończyć tej rozmowy i zapytać cię... zapytać...

— Przyjdę na pewno — obiecał Franciszek. — Pokój Pana naszego niech będzie z wami, miłościwy królu...

Wyszedł, a Jan stał dłuższą chwilę nieporuszony. Zdało mu się nagle, że niespokojne, nie ukojone jego kroki stanęły u mety, że doszedł. Meta była tutaj, w miejscu, gdzie stał przed chwilą Franciszek.

Pietro Cani płakał z radości jak bóbr. Zaraz też zabrał Franciszka w ustronny i odludny kąt dziedzińca, gdzie mogli rozmawiać swobodnie.

— Przyszedłem po ciebie — szeptał Pietro — ponieważ...

— Dlaczego mówisz tak cicho? — roześmiał się Franciszek. — Nie knujemy chyba żadnej zdrady?

— To prawda — przyznał Pietro. — To tak z przyzwyczajenia. Odwykliśmy od swobodnej, głośnej rozmowy. Więc widzisz, przyjechałem przysłany przez braci Anioła, Leona, Bernarda, Jałowca i resztę naszych najstarszych...

— No i brata Eliasza zapewne?

— O nie, brat Eliasz nie wie wcale, że tu jestem. Myśli, że poszedłem, jak kazał, do Francji...

Oczy Franciszka zaokrągliły się zdumieniem.

— Jak mogłeś uczynić coś podobnego, braciszku?! Przecież to nieuczciwie, to wbrew przykazaniom...

— Cóż było robić? — westchnął Cani. — Brat Eliasz nie puściłby mnie i nadal nic byś nie wiedział.

— Nie puścił? Dlaczego?

— Woli, żebyś był daleko, dopóki, dopóki... O, Franciszku! Co za szczęście, że ciebie znalazłem! Nie dziw się, że nie potrafię powiedzieć jasno wszystkiego od razu. Tyle tego... Pomału wszystko powiem. Bardzo się u nas zmieniło. My, starzy, zbieramy się i płaczemy, i prosimy Boga, żebyś wrócił. Póki czas...

— Ale co się stało, braciszku?! Mówże wyraźnie! Ja nic nie rozumiem. Co się dzieje z zakonem?! Odebrano wam prawo nauczania?

— O nie, przeciwnie. Mamy wszelkie prawa i przywileje, i poparcie wszędzie. Zakon bardzo się rozrósł. Jest nas już przeszło trzy tysiące. Trzy tysiące, Franciszku! Nasi bracia rozeszli się po wszystkich krajach...

— A w Polsce też są? — przerwał z zaciekawieniem Franciszek.

— W Polsce? — zdziwił się Pietro. — Nie wiem. Zdaje mi się, że nie... Skąd ci przyszła do głowy Polska?

— Słyszałem o niej od jednego rycerza. Jeżeli tam naszych braci jeszcze nie ma, poślę ich zaraz po powrocie... Opowiadaj dalej. Więc jest was tyłu? To coś cudownego!

— Jesteśmy bardzo potężnym zakonem — ciągnął Pietro — i wszystkie inne nam zazdroszczą. Mamy szkołę, w której się nasi nowicjusze doksztalają, a niedługo ma powstać akademia w Bolonii. Urządza ją brat Piotr Stacia. Mamy też cztery piękne murowane klasztory...

Franciszek skoczył na równe nogi.

— Akademie?! Klasztory?! Chyba żartujesz, bracie!

— Nie żartuję wcale. Tak jest naprawdę.

— Ależ tego nie wolno! To sprzeczne z regułą!

— Reguły na razie nie ma, bo się zagubiła...

Franciszek zbladł. Oczy mu się zaiskrzyły.

— Zgubiona! Nasza reguła?! Brat Leon, mój brat Baranek, któremu ją powierzyłem, zgubił?!

— O, brat Leon nie byłby zgubił reguły. On już jej dawno nie nosił. Brat Eliasz zabrał od niego. A potem powiedział nam, że się straciła. Teraz układają nową regułę, trochę inną. Więc widzisz, Franciszku, że miałem rację przychodząc, choćby po kryjomu. Musisz wrócić do nas, zanim nową regułę ułożą i uzyskają jej zatwierdzenie przez Ojca świętego...

Franciszek rozplakał się.

— Nasza reguła! Przez Ojca świętego Innocentego podpisana! Najdroższa, na słowach Pana naszego oparta regułka! Zgubili ją, zgubili!

Otarł oczy i obrócił się z nagłym gniewem do Piotra:

— Chyba każdy z was miał jej słowa wyryte w pamięci! Jakoż nie było pójść do brata Eliasza i uklęknąć przed nim, i chórem ją powtarzając prosić, by wiernie spisał na nowo, ani litery nie zmieniając?!

— Ładnie by nas przyjął! Zdaje ci się, że jest tak samo, jak było przy tobie. Brat Eliasz jest surowy. Mądry, o, bardzo mądry, sam Ojciec święty często go pyta o radę, ale surowy. Bracia się go boją. Boją się i słuchają. Powiem ci, że więcej słuchają niż ciebie. Czasem jest może za surowy. Nie przyjmuje byle kogo do zakonu. Trzeba wpierw przejść egzamin i wykazać się uczciwym życiem. Niedawno zgłosił się kacierz jeden, katarą, który kiedyś z tobą podobno rozmawiał. Powiadał, że od czasu tej rozmowy żył w niepokoju dusznym i coś go tak ciągnęło, ciągnęło, aż przyszedł. Brat Eliasz go nie przyjął. „Nie potrzeba nam nieczystych! — powiedział. — Kto się raz splamił herezją, nie znajdzie miejsca wśród nas”.

Franciszek zasłonił twarz dłońmi. Łzy ściekały mu przez palce.

— Przecież to straszne! — wyjąkał. — To wszystko na odwrót niż trzeba! Mój biedny kacierz! Może uda mi się go odnaleźć...

— Brat Rufin i brat Idzi usunęli się całkiem od ludzi. W pustelniach żyją. Do wielkiej świętości doszli. Nieraz nas też zbiera ochota iść za ich przykładem, ale pamiętamy, żeś zawsze zalecał, by nie tylko o własnym zbawieniu myśleć i od ludzi się nie odsuwać. Więc kołaczemy się pośród tych nowych porządków... Czasem zbieramy się u pani Jakuby di Settesoli, małżonki rycerza Frangipani. Pamiętasz, nazywałeś ją bratem Jakuba. Ona cię bardzo miłuje i zawsze wspomina, i nas zachęca, byśmy postępowali, jak przykazywałeś. Tam, skoro jesteśmy, mówimy ciągle o tobie...

— A brat Jałowiec?! Mój miły brat Jałowiec?!

— Brat Eliasz wcale go miłym nie nazywa. Nie lubi go. Brat Jałowiec miał niedawno taką przygodę. W Viterbo jakiś zbój czy złodziej, co go mieli skazać na szubienicę, uciekł i skrył się, i pachołcy kasztelana pilno go po całej okolicy szukali. Jak raz napotkali brata Jałowca, który z twarzy wydał im się do tamtego podobny. Więc go związali i powiedli. A on wcale się nie bronił ani nie tłumaczył. Stawili go przed sędzią. Sędzia pyta: „Zrobiłeś to i to?!” Jałowiec powiada: „Nie przypominam sobie, ale zdolny jestem do jeszcze gorszych rzeczy”... Więc go skazali i na szubienicę wiedli. On nic. Ludzi zesła się kupa, jak to zwykle przy straceniu, i niektórzy go poznali. Dalejże w krzyk: „Brat Jałowiec! Brata Jałowca chcą tracić! Brata Jałowca!” Zacukali się sędziowie. Pytają: „Tyżeś to?” „Jam jest”. Kasztelan w srogi gniew wpadł: „Jeszcze chwila

byłbyś wisiał! Dlaczego nic nie mówiłeś?” A Jałowiec na to: „Panie kasztelanie! Na karę zasługuję, bom grzesznik i Pana naszego ustawicznie obrażam. A jakbyście mnie powiesili, toby uszedł cało tamten biedak, który pewnie śmierci boi się gorzej niż ja... I bardzo cię proszę, panie kasztelanie, darujcie tamtemu albo mnie powieście”. I darowali...

— Mój najdroższy brat Jałowiec! — wykrzyknął Franciszek przez łyzy.

— On jest zawsze taki. Nic sobie z niczego nie robi. Na zesze święta kazał mu zakrystian pilnować ołtarza w naszym nowym kościele w Asyżu. Ołtarz jest bardzo bogaty i wisiały na nim wkoło srebrne dzwonki strasznie piękne. Modli się brat Jałowiec, aż tu przychodzi jakaś kobiecina i doprasza się jałmużny. Nie miał nic, więc odczepił te dzwonki srebrne i dał jej. Poszła. Zakrystian wrócił i w krzyk! Do samego brata Eliasza poleciał, że taka szkoda się stała. Przyszedł brat Eliaz i cała starszyczna. Na brata Jałowca: Jak śmiał! I co sobie myśli?! I że to dobro Pańskie, i na chwałę Bożą... A Jałowiec powiada: „Tej kobiecie bardzo ich było potrzeba, a tu poza przepychem i prózną chwalbą do niczego nie służyły. Pan nasz na pewno na mnie się nie gniewa”... No, skrzyczał go wtedy brat Eliaz, skrzyczał...

— Skrzyczał go! Skrzyczał za to, że postąpił, jak powinien! O Boże! Boże! Wszystkiemu mógł się spodziewać, jeno nie tego. A nasi opiekunowie, kardynał Colonna, kardynał Ugolino... Czemuście się do nich nie zwrócili?!

— Kardynał Colonna chorzeje, a u kardynała Ugolino byliśmy parę razy. Pocieszał nas i koił, ale właściwie nic nie pomógł. Tłumaczył, że to jest... Czekaj, jak to on powiedział? Że to jest zwykła kolej rzeczy. Że co innego, gdy nas było dwunastu samych przez ciebie wybranych, a co innego, gdy jest trzy tysiące. Że oni zrazu wiedzieli, iż pierwotna reguła nie da się utrzymać z winy ułomności ludzkiej. Że taka gromada, jak nasz zakon dzisiaj, składa się z różnych ludzi, którzy muszą być objęci dyscypliną i porządkiem i mieć jakieś schronienie, jakiś dom macierzysty. I że wykształcenie jest potrzebne. I że mając klasztor i książki można też żyć po twojemu, po franciszkańsku...

— Nie, nie! Nie można! Wystarczy najmniejszą rzecz posiadać a już jest się związanym i niezdolnym iść swobodnie za Panem naszym!

— Tośmy też powiadali, a on swoje. Takie mądre racje podawał, że odeprzeć nie było można. Ty byś pewno potrafił, my nie. Czasem mi się nawet zdaje, że kardynał trochę miał słuszności... Nie płaczże tak, Franciszku! Widzisz, to była różnica, gdy nas miałeś dwunastu i chodziliśmy razem, i spali, i jedli, i modlili się spodem, i znali się jak rodzeni. A ty byłeś ciągle z nami. To różnica: wtedy a teraz. Trzy tysiące! Mało kto zna się w tym tłumie. Może mówię głupio, bom

prostak. Przy naszej obecnej starszyźnie anibyśmy śmiały gębę otworzyć, ale z tobą to co innego. Więc zapamiętałem dobrze, co mówił kardynał: że gdy się jakieś dzieło bardzo rozrośnie, nie może już zachować tej samej gorącości, jaką miało na początku... Ale że zawsze pierwotny odblask w nim zostaje i że nasz zakon, choć niezupełnie taki, jak ty sobie wyobrażałeś, jest jednak całkiem różny od innych zakonów i wiele dobrego zdoła... Płakaliśmy z żalu nad tymi słowami, powiadając, że chcemy, aby pozostało wszystko tak, jak było, kardynał zaś powiedział: „Rzeka nie może stać w miejscu ni płynąć pod górę”. Po tej rozmowie powiedzieliśmy sobie: „Może Franciszek jeszcze co pomoże”. I przyszedłem.

Franciszek płakał nie odpowiadając. Czuł się wstrząśnięty, złamany.

W naiwnej ufności wierzył, że bez niego wszystko wśród braci idzie tak samo jak przy nim. Sądził, że wystarczy naprowadzić ludzi na prostą drogę, by się jej nadal trzymali. Był pewny swojego dzieła i spokojny. A oto dowiadywał się, że nie tylko wszystko szło na opak, że zagubiono regułę, jego najdroższą regułę, lecz że człowiek mądry i dobry, i szczerze życzliwy, jak kardynał Ugolino, nazywał te zmiany naturalną kolejną rzeczą! To, co stanowiło dla Franciszka katastrofę, przyjmował spokojnie, pocieszając braci, że inaczej być nie może!

Zatem on, Franciszek, był marzycielem, a jego dzieło niezdolne do trwania? Ludzie nie mogli żyć według dosłownie pojętej Ewangelii świętej? W pysze i zarozumiałości myślał, że wykłada wolę Pana, że z Braci Mniejszych utworzy armię, która przeobrazą świat. Wszystko to było złudą, może złudą grzeszną? Nic z tych pięknych marzeń nie pozostawało.

Nigdy dotąd nie poddawał się smutkowi, uważając go za grzech i „babilońską chorobę”, tym razem jednak zmartwienie go zmogło i płakał tak, jakby już nigdy nie miał zostać pocieszony. Odeszła go ochota powrotu z Piotrem do kraju. Po co tam pójdzie? Pan się od niego odwrócił. Po co ma patrzeć na swoją pracę przeinaczoną, popsutą, której i tak naprawić nie zdoła?

Łkanie wstrząsało jego wychudłymi łopatkami. Pietro Cani milczał patrząc nań ze współczuciem. Naraz Franciszek podniósł głowę.

— A siostra Klara? — zapytał. — Czy ona także?

— Siostra Klara?! Cóż znowu! U sióstr jest wszystko po staremu. Siostra Klara nie zagubiła reguły i nie odstąpi od niej ani na włos. „Franciszek tak chciał” — powiada i darmo byś jej przedkładał co innego. Chciał Ojciec święty dać siostronom bullę zapewniającą siakie takie utrzymanie i grożącą klątwą każdemu, co by siostry skrzywdził lub ograbił. Odmówiła. Przez biskupa Gwidona prosiła, żeby Ojciec święty tej myśli zaniechał. Ale biskup był też zdania, że bulla potrzebna, że nie mogą święte panny żyć jak te ptaki, na wszystko złe narażone. Więc Klara

wybrała się sama do Rzymu. I przyszła do Ojca świętego. Do nóg mu padła z płaczem i zaklinała, żeby pozwolił jej i siostrom żyć wedle pierwszej reguły. I powiedziała, że nie wstanie, aż jej tej łaski udzieli. A Ojciec święty rzekł: „Córko moja, o bogactwo i zaszczyty tak mnie nigdy nie proszono, jak ty prosisz o nędzę i biedę. Niech się stanie, jako chcesz”. I dał jej Przywilej Doskonałego Ubóstwa. Wracała niosąc ten przywilej ucieszona. Całą drogę podobno się śmiała, choć taka zwykle poważna.

Franciszek usiadł, otarł oczy i wpatrzył się w mówiącego z chciwością.

— Wiedziałem, że siostra Klara nie zawiedzie — szepnął.

— O, tak, siostra Klara nie zawiedzie! Tak tam miło u nich, radośnie... Wszyscy ludzie okoliczni siostrom błogosławią, bo każdemu z pomocą śpieszą. Na co im potrzebna bulla?! Nikt ich nie skrzywdzi! Sióstr sporo przybyło. A siostrę Klarę czczą wszyscy i powiadają, że święta. A ma ona pod oknem skraweczek ziemi, który nazywa swoim ogrodem. I sadi w nim trojaki kwiaty: róże, lilie i fiołki. I kwitną tak, jakby je anieli pielęgnowali. Nigdzie nie ma takich kwiatów jak w ogrodzie siostry Klary. Kiedyś biskup zapytał, dlaczego nigdy innych nie posadzi, tylko te trzy. Powiedziała, że lilie to Najświętsza Maryja Panna, a róże to miłość Chrystusowa, a fiołki to ty, Franciszku. I że nie chce innych kwiatów...

— Naprawdę tak powiedziała?

— Naprawdę. I te fiołki tak pachną, tak pachną... Wonieją z daleka. Ludzie czują je przechodząc i mówią: „Pachnie ogród siostry Klary”...

Łzy płynęły znowu po twarzy Franciszka, lecz były to łzy radości. Więc coś z jego dzieła pozostało w nieskażonym kształcie! Przetrwało radosne i święte Ubóstwo, kamień węgielny pracy jego życia! Poczł nagle pokrzepienie, jakby wiatr przywiał woń fiołków, o których opowiadał brat Piotr. Zawstydzil się gorąco swojej poprzedniej rozpacz. Bluźnił Panu, sądził, że Pan się od niego odwrócił. Jakże był nędzny i niewdzięczny! Daleki od siostry Klary, tak mocnej, niezłomnej, wiernej... O, niech będzie pochwalona Bogarodzica, Najświętsza Maryja Panna, która Klarą szczególnie się opiekuje i strzeże! Niech będzie uwielbiona i umiłowana Matka najlepsza! W ślad za tą miłością objęło go uczucie niewysłowionej tkliwości dla całego rodzaju niewieściego. Drogie, dobre towarzyski! Anielskie i czyste jak Klara, uczciwe jak Jakuba, mądre i mężne jak nieznana branka, której sułtan Saladyn i jego potomstwo zawdzięczali zyczliwość dla chrześcijan. Kobiety! Oneż noszą ród ludzki pod sercem. I żadne dzieło mężczyzny nie jest prawdziwie trwałe, gdy jego wykonania kochającym dłoniom kobiety nie powierzy. I Bóg Maryi Pannie powierzył Syna swojego...

Prawie pocieszony uśmiechnął się przez nie obeschłe łązy do Piotra Cani. Rażnym już głosem zawołał:

— Wracajmy zatem, braciszku! W Panu nadzieja, że nie wszystek nasz zasiew stracony!